

Weber David

1633

- Cóż za urzekający widok! - wykrzyknął Richelieu. - Nigdy jeszcze nie widziałem kota o tak wyjątkowej urodzie. Umaszczenie jest wprost cudowne.

Arystokratyczna, intelektualna twarz rzeczywistego władcy Francji na moment pojaśniała młodzieńczym blaskiem. Przez kilka chwil Richelieu kompletnie nie zważał na Rebeke. Stearns i bawił się małutkimi łapkami kota, który siedział na jego kolanach, a którego niewiele wcześniej Rebeka ofiarowała mu w charakterze подарunku dyplomatycznego. Podniósł uśmiechniętą twarz.

- Nazwałaś go, pani, „kotem syjamskim”? Wydaje mi się niemożliwym, abyście zdołali w tak krótkim czasie nawiązać współpracę handlową z południowo-wschodnią Azją. Nawet zważywszy na wasz geniusz techniczny, zakrawałoby to na kolejny cud.

Rebeka zastanawiała się nad tym uśmiechem, równocześnie przygotowując odpowiedź. Przynajmniej jedna rzecz stała się dla niej jasna od czasu, gdy kilka minut wcześniej wprowadzono ją na prywatną audiencję u kardynała. Niezależnie od pozostałych cech, Richelieu wydawał się najinteligentniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkała. A z całą pewnością najprzebieglejszym.

I dość ujmującym, czego się nie spodziewała. Połączenie niebywałego intelektu z wewnętrznym ciepłem i wdziękiem było rozbijające dla kogoś takiego jak Rebeka, która sama była intelektualistką.

Przypomniała sobie stanowczo o tym, że bycie rozbijonym w obecności Richelieu to ostatnia rzecz, na jaką może sobie pozwolić. Mimo błyskotliwości i osobistego uroku kardynał bez wątpienia stanowił aktualnie największe zagrożenie dla jej narodu. I choć nie przypuszczała, żeby z natury był okrutny, już wcześniej pokazał, że w obronie tego, co zwykło określać „interesem narodu”, nie okazuje cienia litości. Zwrot la gloire de France brzmiał cudownie dźwięcznie - lecz krył w sobie ostrze wymierzone w tych, którzy staną mu na drodze.

Zdecydowała się uchwycić ostatnich słów kardynała.

- „Kolejny” cud? - zapytała, unosząc brew. - Ciekawe określenie, Wasza Eminencjo. O ile mnie pamięć nie zawodzi, ostatnio uznałaś, panie, Ognisty Krąg za „czary”.

Łagodny uśmiech Richelieu nie zmienił się ani na chwilę, odkąd znalazła się w jego prywatnej sali audiencyjnej.

- To nieporozumienie - rzekł zdecydowanie, machnąwszy lekceważąco dłonią. Przez chwilę podziwiał zwierzę uderzające łapką w jego długie palce. - Mój błąd, za który biorę pełną odpowiedzialność. Pochopne wysnuwanie wniosków, kiedy się ma jedynie poszlaki, zawsze jest błędem. Ja zaś, obawiam się, byłem wówczas chyba pod zbyt wielkim wpływem poglądów ojca Józefa. Zapewne poznałaś go, pani, wczoraj podczas audiencji u króla?

W tym zdaniu również kryło się podwójne znaczenie. Richelieu delikatnie przypominał Rebecę, że alternatywą dla rozmów z nim było układanie się z dość dziecinny królem Ludwikiem XIII albo - co gorsza - z ojcem Józefem, fanatykiem religijnym. Kapucyn był bliskim znajomym kardynała, a poza tym stał na czele ortodoksyjnej świeckiej organizacji katolickiej, znanej jako Towarzystwo Świętego Sakramentu.

Rebeka zwalczyła naturalną pokusę każdego intelektualisty: pokusę mówienia. W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, została fachowo przeszkolona przez swego męża, który nie był aż takim intelektualistą. Mike Stearns pełnił niegdyś funkcję przewodniczącego związku zawodowego i - w przeciwieństwie do Rebeci - już dawno temu nauczył się, że często najlepszą strategią negocjacji jest zwykle milczenie.

-Niech druga strona gada - powtarzał jej. - W ogóle uważam, że z otwartą gębą dwa razy łatwiej coś schrzanić niż z zamkniętą.

Kardynał, rzecz jasna, był tego doskonale świadom. Milczenie przeciągało się.

Dla każdego intelektualisty milczenie jest grzechem śmiertelnym. Rebeka musiała więc ponownie zmusić się do trzymania języka za zębami.

Ratowała się, kierując myśli ku swemu małżonkowi: Mike, o twarzy nieco wymizerowanej i smutnej, żegnający ją w drzwiach ich domu w Grantville, gdy wyruszała w podróż dyplomatyczną do Francji i Holandii; ta sama twarz (to wspomnienie znacznie bardziej podniosło ją na duchu) wcześniejszej nocy, w ich łóżku.

W uśmiechu, który przywołało na jej twarz właśnie tamto wspomnienie, było coś, co pokonało kardynała. Oczywiście uśmiech Richelieu wciąż pozostawał niezmienny. Westchnął jednak głęboko i - delikatnie, lecz stanowczo - postawił kotka na posadzce, kończąc igraszki.

- Ów „Ognisty Krąg”, jak go nazywacie, który sprowadził do naszego świata tych „Amerykanów” wraz z ich cudaczną techniką, był czymś wystarczająco niezwykłym, by wszystkich nas wprowadzić w błąd, pani. Jednakże po głębszych rozważaniach, szczególnie popartych dowodami, na których mogłem się oprzeć, doszedłem do wniosku, że byłem w błędzie, określając to wasze... proszę wybaczyć moje określenie, dziwaczne nowe państwo wytworem „czarów”.

Richelieu umilkł na chwilę i wygładził swoje bogate szaty.

- Zaiste, to niewybaczalny błąd z mojej strony. Raz, gdy znalazłem chwilę, by przemyśleć tę sprawę, zdałem sobie sprawę, że niebezpiecznie zbliżyłem się do manicheizmu. - Zachichotał. - Ile to już czasu minęło, odkąd potępiono tę herezję? Półtora tysiąclecia, ha! A ja się uważam za kardynała!

Rebeka uznała, że może bezpiecznie zaśmiać się w odpowiedzi na ten żart. Na tym jednak koniec. Niemalże wyczuwała, jak przyciągają ma-gnetyzująca osobowość kardynała, i ani przez chwilę nie wątpiła, że Richelieu doskonale zdaje sobie sprawę z siły własnego uroku. Kardynał był człowiekiem ze wszech miar cnotliwym, „uwodzenie” było jednak określeniem o kilku różnych znaczeniach. Wielokrotnie dochodzenie Richelieu do władzy i wpływów łagodzone było jego osobistym czarem • wdziękiem - a w przypadku innych intelektualistów także giętkością jego umysłu. Na dobrą sprawę gdyby Rebeka nie była wysłanniczką kraju toczącego wojnę z Richelieu, z miłą chęcią poświęciłaby kilka godzin jednemu z najwybitniejszych umysłów świata chrześcijańskiego, by podyskutować o teologicznych implikacjach owego dziwnego zdarzenia, które sprowadziło do siedemnastowiecznej Europy pełne ludzi miasteczko z miejsca odległego w czasie o kilka stuleci, a zwanego „Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej”.

„Zamilcz, kobieto! Bądź posłuszna mężowi!”.

Ta myśl tylko utrzymała jej pogodny uśmiech. Tak naprawdę Mike'owi Stearnsowi daleko było do patriarchy. Rebeka wiedziała, że rozbawiłaby go, opowiadając mu o tym, jak sama siebie strofowała. („Niech mnie kule biją. Chcesz powiedzieć, że chociaż raz mnie posłuchałaś?”).

Richelieu poniósł kolejną drobną porażkę. Widziała to w jego uśmiechu, który stał się jakby odrobinę wymuszony. Kardynał ponownie wygładził szaty, a następnie wznowił swą wypowiedź.

- Nie, jedynie Bóg mógł dokonać tak niebywałej zamiany czasu i przestrzeni. A wasz termin „Ognisty Krąg” wydaje się bardzo na miejscu. - Jego uśmiech stał się teraz niezwykle pogodny. - Jak zapewne zdajesz sobie, pani, sprawę, moi szpiedzy już od dawna badali te wasze „Stany Zjednoczone” w Turyngii. Kilku z nich przepytano miejscowych, którzy byli świadkami tego wydarzenia. I ci prości chłopcy również widzieli, jak niebiosa się rozwierają i aureola ognia pozbawionego żaru tworzy mały świat w niewielkiej części środkowych Niemiec.

- Mimo to - rzekł, unosząc gwałtownie dłoń, jakby chciał uprzeczyć słowa Rebeki, choć ona wcale nie miała zamiaru się odzywać - sam fakt, że zdarzenie to było dziełem bożym, nie daje nam konkretnej odpowiedzi na pytanie o jego cel.

„Zaczyna się - pomyślała Rebeka. - Oficjalna linia postępowania”.

Zdawała sobie sprawę, że spotyka ją zaszczyt. Z rozmów, które prowadziła ubiegłego wieczora z dworzanami podczas audiencji u króla, jasno wynikało, że elita Francji wciąż szuka spójnego ideologicznego wytłumaczenia pojawienia się Grantville w niemieckim księstwie Turyngii. Po przetrwaniu dwóch lat (nie wspominając o rozgromieniu po drodze kilku nacierających armii, z których przynajmniej jedna była zwerbowana i opłacona przez Francję) Amerykanie wraz z nowo tworzonym przez siebie społeczeństwem nie mogli już być traktowani tylko jako pogłoska. Określenie „czary” było zaś... zbyt błahe.

Nie miała wątpliwości, że Richelieu skonstruował już wytłumaczenie i właśnie ona usłyszy je jako pierwsza.

- Czy zastanawiałaś się, pani, nad historią świata, który stworzył tych waszych Amerykanów? - zapytał. - Zapewne wiesz, pani, również, że pozyskałem - znowu machnął lekceważąco dłonią - różnymi sposobami część ksiąg historycznych, które wasi Amerykanie zabrali ze sobą. Przestudiowałem je wszystkie bardzo uważnie.

„To jest akurat jasne” - pomyślała Rebeka. Była to myśl nieco posepna, ponieważ jasne stało się dopiero teraz. Wcześniej ani ona, ani Mike, ani nikt z władz nowych Stanów Zjednoczonych nie pomyślał nawet, że zdobycie ksiązek do historii stanie się jednym z głównych celów obcego wywiadu. Literatura techniczna - owszem, plany, szkice - owszem; wszystko to, co pozwoliłoby wrogom Stanów Zjednoczonych ukraść część ich niebywalej technologii. Jednak... licealne podręczniki?

Teraz, rzecz jasna, było to oczywiste. Latem roku 1633 każdy władca i wpływowy polityk na świecie wiele by dał, żeby się dowiedzieć, co go czeka w najbliższych latach. Konsekwencje tej wiedzy mogłyby być prawdziwie nieobliczalne. Jeżeli król wie, co nastąpi za rok, tudzież dwa lata, to zrobi wszystko, żeby ten obrót spraw przyspieszyć - jeśli rozwój wypadków mu odpowiada - albo żeby do niego w ogóle nie dopuścić.

I w ten właśnie sposób ów król momentalnie pomiesza następstwo wydarzeń, które w ogóle doprowadziły do tamtego stanu rzeczy. Był toodwieczny dylemat osób podróżujących w czasie, z czym Rebeka zdołała się zapoznać podczas lektury ksiązek science fiction, przeniesionych wraz z całym miasteczkiem do siedemnastego wieku. I podobnie jak jej mąż, uznała, że Ognisty Krąg stworzył świat równoległy do tego, z którego pochodziło Grantville i cała historia, która doprowadziła do powstania miasteczka.

Gdy tak rozmyślała, Richelieu przyglądał jej się bacznie. Jego inteligentne ciemnobrązowe oczy również kryły w sobie coś ponurego. Ani przez chwilę nie myślała, że kardynał jest zbyt głupi, by to pojąć. On również wiedział, że historia, która miała miejsce, już się nie powtórzy - wiedział też jednak, że mimo to można dostrzec w owych wydarzeniach pewne ogólne wzorce. I odpowiednio pokierować losami Francji.

Potwierdziły to jego kolejne słowa.

- Naturalnie konkretne wydarzenia będą inne, jednakże podstawowy zarys tamtej przyszłości jest wystarczająco przejrzysty. Myślę, że można go podsumować określeniem, które tak faworyzujecie: „demokracja”. Bądź też, jak ja bym to ujął, rządy mas, albowiem, szczerze mówiąc, u podstaw wszystkich struktur politycznych owego świata przyszłości leży ta sama cecha. Odrzucono władzę panującej arystokracji i rodziny królewskiej; cała władza spoczywa w rękach ludu - niezależnie od tego, czy nazywa się go „obywatelami”, „proletariatem”, czy też jeszcze inaczej. Żadnych Cugh, żadnej kontroli, żadnych ograniczeń nałożonych na ich pragnienia i ambicje.

Tym razem machnięcie dłonią nie było lekceważące.

- A za tym idzie cała reszta. Masakra sześciu milionów twych żydowskich pobratymców, pani, że wspomnę tylko o jednym przykładzie. Zbrodnie dokonane przez takie potwory, jak Stalin i ci Azjaci. Mao i Pol Pot, o ile dobrze sobie przypominam. Nie zapominajmy też o dewastacji całych miast i regionów przez reżimy, które może i były mniej

despotyczne, lecz siły równie wielkie spustoszenie wśród narodów. Pragnę ci też przypomnieć, pani, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, które tak usilnie pragniecie odtworzyć w tym świecie, ani przez chwilę nie zawahały się przed spopieleniem miast w Japonii - a także w Niemczech, z którymi przecież teraz sąsiadujecie. Pół miliona ludzi - choć bardziej prawdopodobne, że cały milion - wybitych niczym insekty.

Rebeka zacisnęła szczęki. Instynktownie chciała wrzasnąć w odpowiedzi: „Czyżby? A to, że przez ciebie Niemcy są spustoszone? W wojnie trzydziestoletniej zginie więcej Niemców niż w którejkolwiek z wojen światowych dwudziestego wieku! Nie wspominając już o milionach dzieci, które co roku umierają w tym twoim drogocennym arystokratycznym świecie z powodu chorób, głodu i ubóstwa - nawet, gdy panuje pokój - a wszystkiemu temu można przecież zaradzić w mgnieniu oka!”.

Posłuchała jednak rady, której udzielił jej mąż. Kłótnia z Richelieu nie miała sensu. On nie stawiał żadnej hipotezy. On po prostu uświadamiał wysłannikowi Stanów Zjednoczonych, że konflikt trwa i nie dobiegnie końca, dopóki jedna ze stron nie zwycięży. Mimo całego wdzięku, uprzejmości i pogody ducha, jakie kryły się w jego uśmiechu, Richelieu właśnie wypowiadał im wojnę.

I w rzeczy samej takie były jego kolejne słowa.

- Wszystko to ma już dla mnie sens. Owszem, to Bóg stworzył Ognisty Krąg. Nadawanie temu cudowi miana „czarów” zakrawa na absurd. Uczynił to po to, by ostrzec nas przed niebezpieczeństwami przyszłości, abyśmy mogli przygotować się na ich odparcie. Abyśmy niezłomie próbowali stworzyć świat oparty na niezachwianych fundamentach monarchii, arystokracji i kościoła państwowego. Owe niebezpieczeństwa pani, Madame Stearns, i pani lud - bynajmniej nie chcę pani urazić i nie implikuję pani osobistej grzeszności - zarówno szerzycie, jak i ucieleśnacie.

Kardynał powstał i z szacunkiem uklonił się Rebecce.

- A teraz obawiam się, że muszę się zająć sprawami króla. Ufam, pani, że spędzisz miło czas w Paryżu, a gdybym tylko mógł w czymkolwiek służyć, proszę, daj mi znać. Jak prędko zamierzasz, pani, wyruszyć do Holandii? I w jaki sposób?

„Tak szybko, jak tylko dam radę, pierwszą lepszą drogą”.

Ograniczyła się jednak do nieśmiałego, prawie dziewczęcego:

- Nie jestem pewna. Podróż stąd do Holandii będzie ciężka z uwagi na czasy, które nastąpiły.

Urok Richelieu wrócił z pełną mocą, gdy odprowadzał ją do drzwi.

- Zdecydowanie doradzam drogę lądową. Na kanale La Manche - a nawet na Morzu Północnym - załęgł się piraci. Mogę zapewnić ci, pani, ochronę do granicy Niderlandów Hiszpańskich i bez wątplenia bezpieczną przeprawę do Holandii. Owszem, owszem, obecnie Francja i Hiszpania są antagonistami, lecz - mimo tego, co mogłaś słyszeć, pani - moje osobiste relacje z arcyksiężną Izabelą są całkiem dobre. Hiszpanie na pewno nie będą robili przeszkód.

Stwierdzenie to było co najmniej śmieszne. Ostatnią rzeczą, jaką Hiszpanie chcieliby ujrzeć, była misja dyplomatyczna pod przewodnictwem małżonki prezydenta Stanów Zjednoczonych, zadomowiona w Holandii, którą owi Hiszpanie starali się od półwiecza podbić. Te Stany Zjednoczone może i nie były wielkie. Jeśli chodzi o obszar, były to po prostu stare regiony Turynгии i zachodniej Frankonii - mały wycinek Niemiec. Zgoda, wedle niemieckich standardów Stany Zjednoczone były ważnym księstwem. Tylko Saksonia miała większą liczbę ludności. Jednak ich populacja była niczym w porównaniu z populacją czy to Francji, czy Hiszpanii. A mimo to rok wcześniej owo nowe małe państwo rozbiło armię hiszpańską pod Eisenach i zamkiem Wartburg. Sama idea sojuszu między Stanami Zjednoczonymi i Republiką Zjednoczonych Prowincji... była najgorszym z koszmarów dla każdego hiszpańskiego oficjela.

- Być może - tylko tyle powiedziała. Gdy wychodziła, miała na twarzy Pogodny uśmiech.

Gdy drzwi się zamknęły, Richelieu odwrócił się i z powrotem usiadł. Po chwili przez wąskie wejście znajdujące się w głębi pomieszczenia wszedł Etienne Servien. Pozornie były to drzwi szafy; w rzeczywistości prowadziły do komnaty, z której Servien mógł śledzić audyencje u kardynała, kiedy tylko Richelieu sobie tobie życzył. Servien należał do grona specjalnych agentów zwanych „intendentami”, pieczołowicie wyselekcjonowanych przez samego kardynała. Richelieu zawsze jemu powierzał najdelikatniejsze zadania.

- Słyszałeś? - mruknął kardynał. Servien skinął głową.
Richelieu wyrzucił ramiona w górę w geście łączącym rozbawienie i poirytowanie.

- Cóż za wyjątkowa kobieta!
Kardynał poczuł lekkie szarpnięcie i spojrzał w dół na kotka bawiącego się rąbkami jego szaty. Pogodny uśmiech wrócił na jego twarz. Schylił się, podniósł drobne stworzenie i posadził je na kolanach. Głaszcząc zwierzę, wrócił do poruszanej kwestii.

- Nigdy bym się tego nie spodziewał, Etienne. Sefardyjka, córka doktora Baltazara Abrabanela we własnej osobie! Oni potrafią rozmawiać bez końca, nie zważając nawet na głód. Tylko filozofowie i teolodzy. Myślałem, że będę się tylko uśmiechał, a informacje same napłyną do mych uszu. A tymczasem...

Zaśmiał się.

1633 19

- Nie zdarza mi się to zbyt często. Ufam, że nie zdradziłem się z niczym istotnym?
Servien wzruszył ramionami.

- Sefardyjczycy stanowią również większość bankierów w Europie i Imperium Osmańskim, Wasza Eminencjo - a to nie jest profesja znana z nadmiernej rozmowności. Może i Baltazar Abrabanel jest medykiem oraz filozofem, ale podobnie jak jego brat Uriel, jest też doświadczonym szpiegiem. A ten fach również nie sprzyja gadulstwu. A na domiar złego córka Abrabanela w opinii wszystkich, również jej wrogów, jest nieprawdopodobnie

inteligentna. Bez wątpienia wydedukowała, że Francja nie złożyła broni. Tak więc... sędę, że wybraeś, panie, najlepsze wyjście. Poza tym niczego się nie dowiedziała. Z całą pewnością, panie, nie było w twych słowach żadnej sugestii dotyczącej naszego wielkiego planu.

- „Wielki plan” - powtórzył Richelieu. - Który wielki plan masz na myśli, Etienne? Ten większy czy ten mniejszy?

- Każdy z osobna bądź obydwu naraz. Zapewniam cię, panie, że z twych słów nawet sam szatan niczego by nie wywnioskował. Ona jest inteligentna, nie przeczę, lecz jak sam mówieś, panie, nie jest czarownicą.

Kardynał zadumał się na chwilę; jego pociągła twarz zdawała się jeszcze bardziej wydłużać.

- Wciąż uważam, że jest zbyt inteligentna - oznajmił w końcu. - Mam nadzieję, że przyjmie mą ofertę i pozwoli się odeskortować drogą lądową do Niderlandów Hiszpańskich. Wtedy moglibyśmy na dziesiątki różnych sposobów przedłużyć jej podróż. Jednak...

Potrząsnął głową.

- Wątpię w to. Tyle z pewnością sama wydedukuje i zdecyduje się na podróż morską do Holandii. A przecież absolutnie nie możemy dopuścić do tego, żeby miała okazję przyrzec się naszym portom. Na pewno nie teraz!

Servien zacisnął usta.

- Z całą pewnością mogę trzymać ją z dala od Hawru, Wasza Eminencjo, ale nie od każdego portu na La Manche - to by było zbyt czytelne. Gdyby jednak była zmuszona wsiąść na statek w którymś z mniejszych portów, być może nie dostrzegłaby wystarczająco wiele...

Richelieu przerwał mu zniecierpliwionym gestem.

- Dość, Etienne! Zdaję sobie sprawę, że chcesz mi oszczędzić konieczności podjęcia decyzji. Decyzji, która - Bóg mi świadkiem - jest mi do cna wstrętne. Jednakże racja stanu nigdy nie kieruje się sentymentami. - Westchnął ciężko. - Oczywiście wiesz, że nie możesz dopuścić jej do Hawru. Któryś z mniejszych portów i tak lepiej się nada do... tego, co niezbędne.

Kardynał spojrział na kotka, który wciąż bawił się jego wskazującym palcem.

- Kto wie? Może szczęście się do nas uśmiechnie, do niej zresztą też, i podejmie złą decyzję.

Łagodny uśmiech znów pojawił się na jego twarzy.

- Na świecie istnieje tak niewiele cudownych stworzeń boskich. Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli unicestwić kolejnego z nich. Gdy będziesz wychodził, Etienne, bądź tak dobry i wezwij służącego.

Uprzejmie, lecz stanowczo odprawiony Servien uklonił się i opuścił komnatę.

Chwilę później do pomieszczenia wszedł Desbournais. Był on valet de chambre kardynała, który przyjął go do służby jako siedemnastoletniego chłopca. Richelieu cieszył się równie wielką popularnością wśród swych służących, jak i sojuszników i współpracowników. Gdy bronił interesów Francji, często nie znał litości, jednak wobec otaczających go osób zawsze był miły i uprzejmy, niezależnie od tego, jakiego byli pochodzenia. Był też dla nich bardzo szczodry. Richelieu odplacał lojalnością za lojalność. Tyczyło się to zarówno pomocy kuchennej, jak i Ludwika XIII, króla Francji.

Kardynał uniósł kota i pokazał go Desbournais'owi.

- Czyż nie jest cudowny? Zapewnij mu opiekę, Desbournais - i to najlepszą, pamiętaj.

Kiedy służący wyszedł, Richelieu wstał z fotela i podszedł do okna. Budynek, w którym kardynał mieszkał zawsze, gdy przebywał w Paryżu - a który tylko z nazwy nie był pałacem - był kupionym przez niego starym hotelem przy rue St. Honoré nieopodal Luwru. Richelieu nabył także sąsiadujący hotel, żeby po zrównaniu go z ziemią zapewnić sobie lepszy widok na miasto.

Gdy tak stał i wyglądał przez okno, wszelka zyczliwość i łagodność odpłynęły z jego twarzy.

Wrogowie kardynała znali to zimne, surowe, wręcz wyniosłe oblicze, które spoglądało w dół

na wspaniały Paryż. Mimo całego swego uroku i wdzięku Richelieu potrafił stać się niesamowicie przerażający. Był wysokim mężczyzną, którego szczupłość przysłaniały zawsze noszone przezeń ciężkie i bogate szaty. Podłużna twarz, wysokie czoło, łukowato wygięte brwi, duże brązowe oczy - to były cechy intelektualisty. Jednak lekko zakrzywiony nos i mocno zarysowany podbródek, który podkreślała spiczasta i starannie przyszyżona bródka, charakteryzowały już zupełnie innego człowieka.

Hernán Cortés zrozumiałby tę twarz. Podobnie książę Alba. Każdy z wielkich zdobywców tego świata zrozumiałby twarz, którą ukształtowały lata żelaznych postanowień.

- Niech i tak będzie - powiedział cicho. - Bóg litościwy tworzy wystarczająco wiele cudownych stworzeń, żebyśmy mogli niszczyć te, które zniszczyć musimy. Taka jest konieczność.

* * *

-No i jak poszło? - zapytał radośnie Jeff Higgins. Gdy jednak ujrzał zaciętą minę Rebeki, jego uśmiech nieco osłabł. - Aż tak źle? Wydawało mi się, że ten facet ma reputację...

Rebeka pokręciła głową.

- Był uпрzejmy i czarujący. Co absolutnie nie przeszkodziło mu w wypowiedzeniu nam ni mniej, ni więcej, tylko wojny totalnej.

Głęboko wdychając, zdjęła szal, który nosiła dla ochrony przed typową paryską mżawką. Tylko trochę przesiąkł wilgocią, rozwiesiła go więc na oparciu jednego z krzeseł w salonie domu, który poselstwo Stanów Zjednoczonych wynajęło w Paryżu. Na widok wchodzącego do pokoju Heinricha Schmidta uśmiechnęła się smutno. Majora Heinricha Schmidta, jeśli chodzi o ścisłość. Oficera dowodzącego niewielkim oddziałem żołnierzy armii amerykańskiej, którzy wraz z Jeffem i Gretchen Higgin-sami oraz Jimmym Andersenem towarzyszyli Rebecce w jej podróży.

- Obawiam się poważnie, że już wkrótce będziecie, panowie, zarabiać na chleb. Heinrich wzruszył ramionami. Tak samo Jeff, który - choć w trakcie tej misji miał zadanie specjalne - również służył w armii Stanów Zjednoczonych, podobnie jak jego przyjaciel Jimmy.

Kolejną osobą, która wkroczyła do pokoju, była żona Jeffa.

- No i jak się sprawy mają? - zapytała. Niemiecki akcent wciąż się przebijał przez jej swobodną, potoczną angielszczyznę.

Rebeka uśmiechnęła się nieco szerzej. Kontrast między Jeffem a Gretchen zawsze wywoływał u niej serdeczne rozbawienie. Właśnie to Amerykanie nazywali „dziwną parą” w jednej z tych elektronicznych sztuk, które wciąż mocno ją fascynowały, mimo tak wielu godzin spędzonych przed ekranem telewizora, a nawet prowadzenia własnego talk-show. Mimo że Jeff Higgins znacznie zmęźniał przez ostatnie dwa lata, odkąd niewielkie amerykańskie miasteczko zostało przeniesione do roku 1631, do centrum rozdarłej wojną środkowej Europy, wciąż jednak roztańczał wokół siebie aurę kogoś, kogo Amerykanie nazywali „maniakiem komputerowym”. Był wysoki i nadal - mimo licznych ćwiczeń - miał sporą nadwagę. Chociaż ostatnio świętował swoje dwudzieste urodziny, wciąż wyglądał jak nastoletni chłopiec. Perkaty nos widniał między oczyma intelektualisty, które spoglądały na świat przez grube szkła okularów dla krótkowidzów. Trudno sobie wyobrazić mniej romantyczną postać.

Tymczasem jego małżonka...

Gretchen z domu Richter była starsza od Jeffa o dwa lata. Nie można było jej określić mianem „piękności” - miała wydatny nos i mocną szczękę, pomijając już okazałą posturę i ramiona szersze niż u większości kobiet - jednak była na tyle urodziwa, że gdziekolwiek poszła, mężczyźni się za nią oglądali. Zaś fakt, że Gretchen była, jak to Amerykanie mawiają, „dobrze zbudowana”, tylko wzmacniał ów efekt, podobnie jak długie blond włosy, które spływały kaskadą na jej masywne ramiona.

W przeciwieństwie do Jeffa, Gretchen urodziła się tutaj. Podobnie jak Rebeka, należała do grona siedemnastowiecznych Europejczyków, których losy Ognisty Krąg związał z losami nowo przybyłych Amerykanów, wśród których obydwie kobiety znalazły mężów. Gretchen nie zważała na swe korzenie - przyswoiła sobie światopogląd i ideologię amerykańską z zapalem i gorliwością neofitki. Chociaż prawie wszyscy Amerykanie oddani byli ideom demokracji i równości społecznej, zaangażowanie Gretchen (co nie powinno dziwić z uwagi na koszmar, przez który musiała przejść) nawet w nich samych wywoływało przerażenie.

Rebeka przypominała sobie o tym po raz kolejny, gdy ujrzała Gretchen bawiącą się skrajem swej kamizelki, która wspaniale maskowała przedmiot wiszący w futerale na jej ramieniu. Rebeka doskonale wiedziała, że to jej ukochany pistolet kaliber 9 milimetrów. Czasem kusilo ją, by zapytać Jeffa, czy jego żona także śpi z tą bronią.

Przyczyną uśmiechu Rebeki było jednak głównie to, że lubiła Jeffa i Gretchen Higginsów i bardzo mocno im sprzyjała. W przypadku Jeffa chodziło między innymi o to, że ów młodzieniec kiedyś ocalił ją od pewnej śmierci z rąk chorwackiego kawalerzysty w służbie austriackich Habsburgów. Jeśli chodzi o Gretchen - pomijając fakt, że się przyjaźniły - Rebeka dobrze wiedziała, że ten bez mała fanatyzm Gretchen jest jednym z kluczy do przetrwania nowego społeczeństwa tworzonych przez Rebeke i jej męża Mike'a.

* * *

Gretchen mogła przerażać innych, lecz nigdy nie przerażała Mike'a Stearnsa. Oczywiście nie zawsze podzielał jej zdanie - a nawet jeśli tak było, to często uważał jej metody działania za niedopuszczalne. Niezależnie od tego, jak wysoko wspiałby się w tym nowym świecie, mąż Rebeki wciąż pozostawał tym samym człowiekiem, co zawsze: przewodniczącym związku zawodowego appalachijskich górników, którzy również mieli bolesne wspomnienia związane z uciskiem ze strony potężnych i bogatych.

- Kogo chcesz oszukać? - burknął kiedyś do Rebeki, gdy ta ze złością wyrażała się o żarliwości Gretchen, połączonej z kompletnym lekceważeniem zawłości sytuacji politycznej. Właśnie skończyli śniadanie i Mike pomagał żonie zmywać naczynia. Choć już zdążyła się do tego przyzwyczaić, wciąż jednak urzekało ją to, że ktoś tak bardzo męski pomaga jej w kuchennych obowiązkach.

- Jak przyjdzie co do czego, jedynymi ludźmi, na których naprawdę będę mógł polegać - pomijając moich górników, nowe związki zawodowe i pewnie też nowe kółka rolnicze Williego Raya - będą Gretchen i jej popierdzielone dzieciaki.

Mike wytarł ostatni talerz i włożył go do szafki.

- Oczywiście wiadomo, że teraz jesteśmy w łaskach u Szwedów. Gustaw Adolf jest naszym przyjacielem, a kanclerz Oxenstierna pewnie też. Nie zapominaj jednak, że to jest król, a szlachcic Axel Oxenstierna jest w takim samym stopniu oddany arystokracji, w jakim Gretchen tych drańmi nienawidzi. Jeśli los się odwróci...

Wyjrzał przez okno kuchenne ich domu w Grantville i zdecydowanie pokręcił głową.

-Chociaż Gustaw II Adolf będzie się strasznie wzbraniał, to jednak w mgnieniu oka poderżnie nam gardła, jeśli tylko pojawią się niesprzyjające okoliczności. A jak nas zabraknie, Gretchen i jej skrajni demokraci z komitetów korespondencyjnych staną się tylko karmą dla psów - i bądź pewna, że ona doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Ilekroć wkurzam ją gadaniem o „kompromisie z zasadami”, ona wie, że potrzebuje mnie tak samo, jak ja potrzebuję jej.

Gdy odwrócił się od okna, w jego błękitnych oczach tańczyły radosne iskierki.

- Poza tym ona niesamowicie się przydaje. Czytałaś o amerykańskim ruchu na rzecz obrony praw obywatelskich, prawda?

Rebeka przytaknęła. Wprost pożerała książki o historii Stanów Zjednoczonych (tak naprawdę to o historii wszystkich krajów, ale Stanów Zjednoczonych w szczególności),

odkąd Mike ocalił ją i jej ojca przed bandą maruderów. Wydarzyło się to tego samego dnia, kiedy pojawił się Ogni-sty Krąg. Dwa lata temu - a Rebeka bardzo szybko czytała. Przeczytała naprawdę dużo książek.

Mike uśmiechnął się.

- Opowiem ci pewną anegdotę. Malcolm X powiedział kiedyś, że biały establishment tylko dlatego chce rozmawiać z wielbionym Martinem Lutherem Kingiem, że nie chce rozmawiać z nim. I mniej więcej tak to się właśnie przedstawia, jeśli chodzi o mnie i Gretchen.

Jakieś poruszenie za oknem musiało przykuć jego uwagę, ponieważ Mike na chwilę się odwrócił. Cokolwiek ujrzał, wywołało to szeroki uśmiech na jego twarzy.

-O wilku mowa... Pozwól na chwilę, skarbie, a zobaczysz, o co mi chodzi.

Rebeka podeszła do okna i ujrzała Harry'ego Lefferts'a przechadzającego się po ulicy. Było wczesnie rano, a wnosząc po jego wielce usatysfakcjonowanej minie, Harry spędził noc w towarzystwie jednej z dziewcząt, które lgnęły do niego niczym muchy do miodu. Harry był przystojnym młodzieńcem, obdarzonym zuchwałą pewnością siebie i beztróskim poczuciem humoru, co przyciągało rozliczne młode niewiasty.

Zdziwiła się nieco. Miłosne podboje Harry'ego wydawały się nie mieć żadnego związku z dyskusją, którą prowadziła z Michael'em. Patrząc jednak, jak zawadiacko Harry maszeruje - nic przesadnego, po prostu lekka zadziorność młodego, niesamowicie pewnego siebie człowieka - Rebeka zaczęła rozumieć.

Te cechy Harry'ego, które podobały się kobietom, nie musiały się podobać mężczyznom, zwłaszcza tym, którzy postanowili nie wchodzić mu w drogę. Ci, którzy to zrobili, bardzo szybko dowiadywali się, co Amerykanie rozumieją pod pojęciem „twardziel”. Harry był dobrze umięśniony, a jego umysł dorównywał zatwardziałością jego ciała. Kiedy chciał, potrafił być naprawdę przerażający.

- Czy mówiłem ci, jak zawsze wykorzystywałem Harry'ego w trakcie negocjacji? - wymruczał jej do ucha Mike. - Kiedy jeszcze byłem związkowcem?

Rebeka pokręciła głową, a następnie zachichotała, gdy pomruk Mike'a przerodził się w coś bardziej intymnego z językiem i uchem w rolach głównych.

- Przestań! - Odepchnęła go z rozbawieniem. - Mało ci po zeszłej nocy?

Mike wyszczerzył zęby i powoli zaczął się zbliżać.

- Widzisz, zawsze dbałem o to, żeby zabierać Harry'ego na negocjacje z przedstawicielami firmy. Cały czas siedział w kącie, a gdy tylko zaczynałem przebąkiwać o pójściu na kompromis, warczał i spoglądał na mnie z wściekłością. To było jak czary - skutkowało w dziewięciu na dziesięć przypadków.

Rebeka ponownie zachichotała i wymknęła się mężowi, choć nieszczerze, bo znalazła się w kącie kuchni.

- Mniej więcej tak właśnie widzę rolę Gretchen - wymruczał Mike. Zbliżał się coraz bardziej. Pomruk stał się delikatnie chropawy. - Euro-pejscy arystokraci szczerze mnie nienawidzą, ale jak zobaczą Gretchen siedzącą w kącie i warczącą...

Znalazła się w potrzasku. Mike był wytrawnym strategiem i natychmiast ją dopadł.

- Owszem - powiedział. - Tak się składa, że mało mi po zeszłej nocy.

* * *

Na wspomnienie tego, co nastąpiło później, Rebecę zrobiło się nieco cieplej w sercu - równocześnie jednak stało się to źródłem pewnej frustracji. Zazdrościła Jeffowi i Gretchen, że mogli w tę podróż wyruszyć razem, szczególnie wtedy, gdy do jej uszu dobiegały odgłosy z sąsiedniej sypialni, a ona usychała z tęsknoty za własnym łóżkiem w Grantville. Za Mike'iem i jego cudownym gorącym ciałem.

Lecz... nie było takiej możliwości, żeby Mike pojechał z nimi. Był prezydentem Stanów Zjednoczonych i obowiązki nie pozwalały mu na nieobecność dłuższą niż kilka dni.

Jej twarz musiała coś zdradzić, bo ujrzała, że Gretchen uśmiecha się z lekką radością, ale i z pełną satysfakcją. Gretchen i Jeff mogli dla innych stanowić „dziwną parę”, Rebeka wiedziała jednak, że obydwoje są sobie równie oddani, jak ona i Mike. A wniosując po nocnych odgłosach („Noc po nocy, niech to szlag!”), łączyła ich też równie wielka namiętność.

Może jednak źle odczytała ten uśmiech. Żarliwe przekonania Gretchen same w sobie często sprawiały, że była radosna i pełna satysfakcji.

-A czego się spodziewałaś? - zapytała młoda Niemka. - Przecież to kardynał! Ten sam cuchnący wieprz, który rok temu chciał zarżnąć nasze dzieci w szkole - nie zapominaj o tym. Rebeka nie zapomniała. W trakcie rozmowy z Richelieu to wspomnienie było w gruncie rzeczy równie pomocne, jak rady jej męża. Kardynał może i był pełen wdzięku i uroku, jednak ani na moment nie zapomniała, że potrafi być bezlitosny niczym żmija - i z równie zimną krwią zabijać.

Pomimo tego...

Zawsze będzie pewna różnica między tym, jak postrzega świat Gretchen, a jak go widzi Rebeka Stearns z domu Abrabanel. Dla niej okrucieństwa popełnione przez władców Europy zawsze majaczyły gdzieś na horyzoncie. Z Gretchen było inaczej. Na własne oczy widziała, jak mordują jej ojca; zgwałciła ją banda najemników, a następnie zaciągnęła do swego obozu; lata wcześniej inna banda najemników zabrała jej matkę i nie wiadomo było, jaki spotkał ją los; połowa rodziny była martwa bądź też w inny sposób rozbita - a wszystkie te potworności wynikały z tego, że europejscy arystokraci postanowili się spierać o przywileje. To, że przy okazji zrujnują całe Niemcy i wyrzną ćwierć ludności, nie stanowiło dla nich najmniejszego problemu.

Rebeka sprzeciwiała się takim rządów arystokracji i dlatego postanowili wraz z mężem wprowadzić nowy, lepszy ustrój. Nie знаła jednak takiej czystej nienawiści, jaką czuła Gretchen. Doskonale wiedziała, że Niemka nie dostrzegłaby czaru i wdzięku w Jego Eminencji, kardynale Richelieu. Cały czas starałaby się w myślach dopasować pętlę do jego długiej arystokratycznej szyi.

- Być może - mruknęła do samej siebie - to wcale nie byłby taki zły pomysł.

- Słucham? - zapytał Heinrich.

Twarcz majora również była pogodna. Mimo młodego wieku - Heinrich skończył zaledwie dwadzieścia cztery lata - ów były najemnik widział już więcej przelanej krwi, niż większość żołnierzy w różnych okresach historycznych widziała przez całe swe życie. Rebeka niewątpliwie lubiła Heinricha, jednak jego obojętność na cierpienie momentami ją przerażała. Może nie tyle sama obojętność, co przyczyna tej obojętności. Heinrich Schmidt był z natury człowiekiem raczej dobrodusznym, ale długi czas spędzony w armii Tilly'ego, po tym, jak w wieku piętnastu lat został przymusowo do niej „wcielony”, pozostawiły na nim żelazną skorupę. Gdy tylko dostał szansę, z chęcią zgłosił się na ochotnika do armii amerykańskiej. I Rebeka była pewna, że na swój sposób Heinrich jest równie oddany swej nowej ojczyźnie, jak ona sama. W dalszym ciągu jednak często wychodził z niego bezduszny najemnik.

- Nieważne - odparła. - Właśnie sobie przypomniałam - skinęła głową w stronę Gretchen - że Richelieu jest zdolny do wszystkiego.

Wysunęła krzesło, na którym wcześniej rozwiesiła szal, i usiadła.

- I w związku z tym musimy podjąć pewną decyzję. Dłuższy pobyt w Paryżu nie ma najmniejszego sensu. Pytanie brzmi: jaką drogą wyruszymy do Holandii?

Nagły ruch w drzwiach zwrócił jej uwagę. Do kuchni wkroczył młodszy kolega Jeffa, Jimmy Andersen. Za jego plecami Rebeka dostrzegła pozostałych pięciu żołnierzy z oddziału Heinricha.

Poczekala, aż wszyscy weszli do środka i albo gdzieś przycupnęli, albo oparli się o ściany.

Rebeka przypuszczała, że jej partnerskie zwyczaje wprawiłyby w osłupienie większość

ambasadorów w historii ludzkości. Całą swą świętą traktowała jak kompanów, a nie jak podwładnych. Nie widziała w tym niczego złego. Była intelektualistką i jako taka cieszyła się każdą rozmową i polemiką.

- Oto jaki mamy wybór - oznajmiła, gdy już wszyscy słuchali. - Możemy podróżować drogą lądową albo spróbować wynająć przybrzeżny statek. Jeśli wybierzemy to pierwsze, Richelieu zaoferował, że da nam eskortę do terytorium hiszpańskiego i zapewnił mnie, że zdobędzie od Hiszpanów pozwolenie, żebyśmy bezpiecznie przedostali się do Zjednoczonych Prowincji.

Gretchen i Jeff już kręcili głowami.

- To pułapka - warknęła Gretchen. - Po drodze urządzi na nas zasadzkę. Heinrich również kręcił głową, lecz jego gest skierowany był do Gretchen.

- Absolutnie nie - powiedział stanowczo. - Richelieu jest mężem stanu, Gretchen, a nie ulicznym oprychem. - Uśmiechnął się nieznacznie. - I to nie jest kwestia moralności, bo prędzej zaufałbym rozbójnikowi. Po prostu gdyby kazał nas zamordować wtedy, gdy oficjalnie jesteśmy pod jego opieką, cała jego reputacja ległaby w gruzach.

Gretchen patrzyła na niego wściekłym wzrokiem, lecz Heinrich był niewzruszony.

- Owszem, ległaby. I przestań tak na mnie patrzeć, głupia dziewczucho! Nienawiść do wrogów jest czymś pięknym i wspaniałym, lecz nie wtedy, gdy ci robi wodę z mózgu.

- Zgadza się z Heinrichem - wtrąciła się Rebeka. - Jednym z głównych powodów, dla których Richelieu odniósł sukces, jest to, że ludzie mu ufają. Za wszystko ręczy własnym słowem. Taka jest prawda, Gretchen, i myśl sobie, co chcesz.

Sięgnęła ręką za siebie i zdjęła z oparcia szal. Był wystarczająco suchy, więc zaczęła go składać.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jeśli przyjmujemy jego propozycję, Richelieu zapewni nam bezpieczeństwo. Z drugiej jednak strony nie mam żadnych wątpliwości, że... Heinrich zaśmiał się cicho.

- Będzie to najdłuższa podróż, jaką ktokolwiek odbył z Paryża do Holandii. Nie więcej niż kilkaset kilometrów - a założę się o co tylko chcecie, że dotarcie tam zajęłoby nam tygodnie, a może nawet miesiące.

W tym momencie wrogość Gretchen znalazła nowy cel i Niemka odzyskała swą normalną przytomność umysłu.

- I to bez żadnego problemu. Co pięć kilometrów złamana oś. Kulawe konie. Niespodziewane objazdy z powodu niespodziewanych powodzi. Wszystkie mosty zmiotły fale i - coś niebywałego - nikt nie wie, gdzie jest bród. Co najmniej dwa tygodnie na granicy, użeranie się z hiszpańskimi urzędnikami. Do wyboru, do koloru.

Jeff przez cały czas obserwował Rebeke.

- A jaki jest problem z tą drugą możliwością? Rebeka skrzywiła się.

- W portach na północy Francji dzieje się coś, czego Richelieu nie chce nam pokazać. Nie wiem, co to może być, ale tu nie chodzi tylko o sojusz z Holendrami. Jestem tego niemal pewna. A to oznacza - uśmiechnęła się do Heinricha - i tutaj ja się założę, że nie zostaniemy wpuszczeni do Hawru. Richelieu już zadba o to, żeby znalazła się jakaś wymówka.

- Masz rację - przyznał Heinrich. - Trzeba będzie wsiąść na statek w którymś z mniejszych i bardziej odległych portów.

Major najwyraźniej już wybiegał myślami w przód. Jak każdy wytrawny żołnierz, miał niemal instynktowną orientację w terenie. A podczas gdy Rebeka spędziła ostatnie dwa lata na pochłanianiu książek, które przeniosły się wraz z Grantville, Heinrich z równie wielkim zapętem zgłębiał tajniki cudownych map i atlasów, które posiadali Amerykanie. W tym momencie jego wiedza o geografii Europy była niemal encyklopedyczna.

- Wciąż nie widzę, w czym problem - powiedział Jeff. - Nawet jeśli podróż wydłuży się o dwa albo trzy dni, to co z tego? Nadal będziemy w stanie dotrzeć do Holandii w ciągu dwóch tygodni.

- Piraci - odpowiedzieli niemal równocześnie Heinrich i Rebeka. Rebeka uśmiechnęła się i dała mężczyźnie znak głową, żeby kontynuował.

- Kanał Angielski aż roi się od tych drani - warknął major. - Trwa to od stuleci, ale tak źle jak teraz to chyba jeszcze nigdy nie było: Francuzi i Hiszpanie zajmują się problemami na lądzie, a na tronie angielskim zasiada ten żaloszny Karol.

Pięciu z sześciu zgromadzonych w kuchni żołnierzy kiwnęło potakująco głowami. Szósty, Jimmy Andersen, który poza Jeffem był jedynym rodowitym Amerykaninem w tej grupie, gapił się na niego z wybałuszo-nymi oczyma.

- Piraci? Na Kanale Angielskim?

Rebeka z trudem powstrzymała się od śmiechu. Chociaż przez te dwa lata Amerykanie zdążyli już niezłe przystosować się do realiów siedem-nastowiecznej Europy, wciąż jednak zdarzało im się podświadomie myśleć starymi kategoriami. Dla nich wszystko co związane z „Anglią” niosło w sobie takie skojarzenia, jak: bezpieczeństwo, pewność, a czasem wręcz nuda. Sam pomysł piratów na Kanale Angielskim...

- Skąd oni się wzięli? - zapytał Jimmy.

- Większość ich baz wypadowych mieści się w północnej Afryce - odparł Heinrich. Wzruszył ramionami. - Oczywiście nie wszyscy to Mauro-wie. „Kaprowie” na usługach hiszpańskich, którzy robią wypadki z Dun-kierki i Ostendy, napadając na holenderskie statki, oraz dunkierczycy nie są zbyt wybredni, jeśli chodzi o ofiary. Nawet u Maurów pewnie połowa załóg wywodzi się z Europy. Hieny całego świata.

Jimmy wciąż kręcił głową z niedowierzaniem. Jeff, który zawsze przy-stosowywał się do rzeczywistości szybciej niż jego kolega, posłał Rebecę znaczące spojrzenie.

- Czyli, krótko mówiąc, uważacie, że jeśli wybierzemy drogę morską... •tek trudno byłoby Richelieu zorganizować napaść piratów?

Rebeka nie była pewna. Heinrich również, sądząc po wyrazie jego twarzy.

Gretchen za to była pewna.

- Bez wątpienia tak zrobi! - ucięła. - On jest jak pajak. Wszędzie ma swą sieć. Jak zawsze w przypadku Gretchen, odpowiedź była równie pewna jak analiza problemu. Tak jak myślała Rebeka, dziewięciomilimetrowiec był na swoim miejscu. Chwilę później Gretchen trzymała go w dłoni. Położy-ła go zdecydowanym ruchem na stole.

- Piraci, tak? - Omiotła całą kuchnię wrogim spojrzeniem. - Dajmy im posmakować szybkostrzelności, chłopcy. Co wy na to?

Ochryply i pełen aprobaty śmiech dobył się z gardeł żołnierzy. Rebeka spojrzała na Heinricha. Wzruszył ramionami.

- Jak dla mnie, to jest równie dobre rozwiązanie, jak każde inne. Wzrok Rebeki padł teraz na Jeffa i Jimmy'ego. Twarz Jeffa, co wcale

jej nie dziwiło, wyrażała zacięty upór, z jakim popierał żonę. Jimmy zaś...

Teraz już nie mogła się nie roześmiać. Może i czasem realia tego no-wego świata otumaniały Jimmy'ego Andersena, lecz wciąż był to nastola-tek zapatrzony w gry, który cieszy się każdą nadarżającą się okazją.

-Ale ekstra! Wypróbujemy granatniki!

Doktor James Nichols skończył myć ręce, odwrócił się od umywalki i pomachał energicznie dłońmi, żeby je osuszyć. Mike wiedział, że nawet w szpitalu zapas ręczników jest tak skąpy, że James zalecił personełowi medycznemu używanie ich tylko wtedy, gdy będzie to naprawdę niezbędne.

Spodziewał się nieuniknionej skargi. Doktor jednak tylko lekko się skrzywił, pokręcił głową i podszedł do drzwi.

- Chodźmy już stąd. Pozwólmy tej biedaczce nieco się przespać.

Mike otworzył drzwi lekarzowi, który wciąż miał wilgotne ręce i wyszedł za nim na korytarz. Zastanawiał się przez chwilę, jak ta chora kobieta ma zasnąć, skoro cała rodzina tłoczy się wokół jej łóżka.

Ale tylko przez chwilę. Mike wiedział, że sam nigdy się do tego nie przyzwyczai, ale siedemnastowieczni Niemcy przywykli do takiej liczby osób w swych domach, która większość Amerykanów doprowadziłaby do obłędu. Liczyło się każde dobre łóżko - po co marnować je na dwoje ludzi, skoro zmieści się czworo?

Gdy drzwi się zamknęły, spojrzał ukradkiem na Nicholusa. Starł się ukryć swoje obawy, lecz chyba bez większego powodzenia.

Najwyraźniej w ogóle bez powodzenia.

- To nie dżuma, jeśli tego się obawiasz. - Głos Jamesa był bardziej ochrypły niż zazwyczaj. Nichols normalnie pracował całymi dniami, ale odkąd Melissa wyjechała z Grantville, praktycznie mieszkał w szpitalu.

Jeśli tylko twarz czarnoskórego mężczyzny może być poszarzała ze zmęczenia, to twarz Jamesa taka była. Ostre, surowe rysy zdawały się być nieco łagodniejsze, jednak nie z powodu wewnętrznego ciepła, tylko z wyćienienia.

- Ty też musisz się przespać - oznajmił stanowczo Mike. James posłał mu ironiczny uśmiech.

- Co ty powiesz? A ile ty sypiasz, odkąd Becky wyjechała?

Gdy tak szli w stronę gabinetu Nicholusa, przedzierając się przez zatłoczone korytarze jedynego szpitala w Grantville, grymas powrócił na twarz lekarza - tym razem już wyraźny.

- Boże święty, co nas opętało, żeby wysyłać kobiety na takie dzikie pustkowia? - zapytał.

Mike parsknął.

- Paryż i Londyn nie zaliczają się raczej do „dzikich pustkowi”, James. Jestem przekonany, że James Fenimore Cooper zgodzi się ze mną w tej kwestii, jak tylko się urodzi. Podobnie George Armstrong Custer.

- Pierdoły - nadeszła momentalnie odpowiedź. - Nie jestem jakimś „pogromcą czerwonoskórych”, do cholery jasnej, jestem lekarzem. W tych czasach miasta to istny raj dla zarazków. Nawet tutaj w Grantville jest ciężko przy naszym - śmiechu warte! - tak zwanym „systemie sanitarnym”.

Dotarli do gabinetu Jamesa i Mike po raz kolejny otworzył lekarzowi drzwi.

- Zapomnij o „radosnym Paryżu”, Mike. W roku Pańskim 1633 wyrażona paryska koncepcja „higieny” polega na wyrzuceniu przez okno przed wylaniem zawartości nocnika. Mike skrzywił się lekko na myśl o tym, lecz nie oponował. I tak już wkrótce czekała go dyskusja. Kpina z warunków sanitarnych w Grantville bez wątpienia stanowiła preludium do jednej z częstych tyrad Jamesa na temat szaleństwa przywódców narodów ogólnie, a przywódców Konfederacji Księstw Europejskich w szczególności. Do tych ostatnich zaliczał się oczywiście sam Mike.

Gdy już usiedli - James za biurkiem, a Mike naprzeciw niego - zdecydował się zareagować na tyradę, zanim jeszcze się rozpoczęła.

- Darujmy sobie tradycyjne kazanie - mruknął. Jego głos również brzmiał dość ochryple. Powiedział sobie wyraźnie, że nie będzie wyładowywał na Nicholcie własnej frustracji spowodowanej nieobecnością Rebecki. Chociaż irytowało go, że doktor ma niemalże obsesję na punkcie epidemii, to jednak bardzo szanował i podziwiał Nicholca. Pomijając już fakt, że od czasu Ognistego Kręgu James stał się jednym z jego najlepszych przyjaciół, umiejętności doktora poparte jego zapalem utrzymały przy życiu setki osób. Może nawet tysiące, jeśli spojrzeć na pośrednie efekty jego pracy.

- Co jej jest? - zapytał szorstko. - Znowu grypa? Nichols skinął głową.

- Najprawdopodobniej. Może to być coś innego - a raczej grypa plus coś innego. Ale powiedziałbym, że to raczej kolejny przypadek - z Bóg wie ilu - kiedy to amerykańskie siedlisko chorób rozsiało wśród bezbronnych tubylców nasze wysoko rozwinięte szczepy grypy.

Jego wydatne usta wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu.

- Oczywiście jestem przekonany, że wkrótce się na nas odegrają, jak tylko dopadnie nas ospa wietrzna. A tak się stanie, możesz być spokojny.

- Udało się coś...?

James wzruszył ramionami.

- Jeff Adams uważa, że w ciągu miesiąca powinniśmy już mieć szczepionkę, i to w wystarczająco dużych ilościach. Mam tylko nadzieję, że się nie myli w kwestii stosowania krowiej ospy. Ja nie jestem do końca przekonany, ale...

Ni stąd, ni zowąd uśmiechnął się. Ten wyraz twarzy był dla niego znacznie bardziej naturalny niż grymas, jaki towarzyszył mu w ostatnich dniach.

- Wydawać by się mogło, że chłopak z getta będzie mniej pedantyczny niż wy, biali! Ale nie jestem, Mike. Boże, to się nazywa ironia losu. Pamiętam jeszcze dni, kiedy narzekałem w swej klinice w getcie, że ugrzęzłem w mrokach średniowiecza. A teraz naprawdę tak się stało.

- Uważaj, żeby Melissa nigdy tego nie usłyszała - odparł Mike z szerokim uśmiechem.

- To by dopiero była tyrada!

James pociągnął nosem.

- Jej się łatwo prawi kazania o szlachetności ludzi wszelkich czasów

1 miejsc. Wychowano ją na bostońską intelektualistkę. Pewnie od dziecka karmiono ją poprawnością polityczną. Ja dorastałem na ulicach na południu Chicago i wiem, jaka jest prawda. Niektórzy ludzie po prostu są gniądami, a większość ludzi to lenie. A przynajmniej niechluj.

Dźwignął się z trudem z krzesła i pochylił nad blatem, opierając się całym swym ciężarem na dłoniach. ~ Mike, ja naprawdę nie mam obsesji. Nie masz pojęcia, co choroba może

2 nami - z całym pieprzonym kontynentem - zrobić w tych warunkach. Do tej pory mieliśmy szczęście. Kilka ognisk tu i tam - nic, co można by nazwać epidemią. Ale to tylko kwestia czasu.

Wskazał kciukiem na leżące za oknem miasteczko Grantville.

- Jaki jest sens tłumaczenia ludziom co wieczór w programach telewizyjnych, że higiena osobista jest istotna, kiedy większości z nich nie stać na ubrania na zmianę? Co mają zrobić w samym środku Niemiec w zimie? Stać nago w kolejce do jednej jedynej pralni z prawdziwego zdarzenia?

Po uśmiechu nie było już śladu.

- Podczas kiedy my poświęcamy nasze cenne zasoby na budowanie coraz to nowszych zabawek dla tego pieprzonego króla, zamiast na prze-mysł włókienniczy i odzieżowy, wszy mają używanie. A gwarantuję ci, że choroby wybiją więcej osób - więcej żołnierzy tego durnego Gustawa

- niż wszystkie wojska Habsburgów i Burbonów na całym świecie.

Mike wyprostował się. Znow przysła pora na kłótnię i nie było sen-su jej unikać. James Nichols był równie uparty i nieustępliwy, jak inteli-gentny i pełen poświęcenia. Mike przynajmniej w połowie zgadzał się z doktorem, co sprawiało, że z jeszcze większym uporem bronił Gusta-wa Adolfa - oraz, rzecz jasna, swej własnej polityki. Stany Zjednoczo-ne, których prezydentem był Mike Stearns, stanowiły po prostu kolejne księstwo wchodzące w skład Konfederacji Księstw Europejskich pod rządami króla Szwecji. Nawet jeśli w praktyce cieszyły się niemalże su-werennością.

- James, nie można tego sprowadzać do zwykłej arytmetyki. Ja wiem, że choroby i głód to prawdziwi zabójcy. Ale każdy kolejny rok jest inny. Jeżeli ustabilizujemy Konfederację i zakończymy wojnę trzydziestolet-nią, wtedy będziemy mogli zacząć na serio planować przyszłość. Ale do tego czasu...

Cieężko westchnął.

- Czego ode mnie oczekujesz, James? Mimo wszystkich jego uprze-dzeń i dziwactw oraz koszmarnego podejścia do wielu kwestii Gustaw Adolf jest najlepszym władcą tych czasów. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. I podobnie jak ja nie sądzisz, że Grantville dałoby sobie radę samo

- bez przeznaczania jeszcze większej ilości zasobów na cele czysto mili-tarne.

Przynależność do Konfederacji, pomimo wszelkich minusów - a są-dzę, że rozumiem je lepiej niż ty - to najlepsza opcja. Ale równocześnie oznacza, że nie mamy innego wyjścia, jak robić wszystko, co w naszej mocy, żeby Konfederacja utrzymała się na powierzchni. Zerwał się i przemierzył trzema krokami odległość do okna. Ze złością wyjrzał na zewnątrz. Z gabinetu Nicholasa mieszczącego się na samej górze dwupiętrowego szpitala roztaczał się widok na tętniące życiem małe miasto.

Tętniące życiem i rojące się od ludzi. Senne appalachijskie miastecz-ko, które dwa lata temu przeszło przez Ognisty Krąg, już dawno zniknęło, choć oczywiście Mike ciągle jeszcze widział pozostałości po nim. Jak większość miasteczek w Wirginii Zachodniej, tak i Grantville cierpiało na spadek liczby ludności w dziesięcioleciach poprzedzających Ognisty Krąg. W centrum wznosiło się kilka wysokich, kilkupiętrowych budyn-ków, które niegdyś stanowiły siedziby centrali przemysłu górniczego i ga-żowniczego. W przeddzień tajemniczej i wciąż niewyjaśnionej katastrofy kosmicznej, która przeniosła miasteczko do siedemnastowiecznej Euro-py, budynki te stały niemal puste. Teraz były wypchane po brzegi, a wszę-dzie wyrastały nowe - co prawda siermiężne, ale zawsze.

Ten widok nieco go uspokoił. Niezależnie od tego, co zrobił, niezależ-nie od błędów, jakie mógł popełnić, Mike Stearns i jego polityka prze-kształciły Grantville wraz z przyległymi terenami w jeden z nielicznych obszarów w środkowej Europie, na których rozkwitała gospodarka i wzra-stała liczba ludności. I to wzrastała gwałtownie. Nawet jeśli upór Mike'a w kwestii wspierania kampanii zbrojnej Gustawa Adolfa doprowadzi do śmierci wielu ludzi (a że tak właśnie będzie, wiedział równie dobrze jak Nichols), to jeszcze większą liczbę ludzi utrzyma przy życiu. Przy życiu

1 w dobrobycie.

Taką przynajmniej miał nadzieję.

- Co ja mam zrobić, James? - powtórzył raczej łagodnie niż ze złością. - Znaleźliśmy się w trój szcękowym imadle, a mamy tylko dwie ręce, żeby się bronić.

Nie odwracając się od okna, uniósł palec.

- „Szczęka numer jeden”. Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy w samym środku jednej z najstraszniejszych wojen w historii Europy. Pod wieloma względami straszniejszej nawet niż którakolwiek z wojen światowych dwudziestego wieku. I nic nie wskazuje na to, że któraś z otaczających nas potęg zamierza zawrzeć pokój.

Usłyszał dyskretne chrząknięcie za plecami i pokręcił głową.

- Przykro mi, nie mamy jeszcze żadnych wieści od Rity i Melissy. Zdziwiłbym się, gdybyśmy mieli - razem z Julie i Alexem planowali popłynąć

2 Hamburga. Ale wczoraj dostałem wiadomość od Becky. Kilka dni temu dotarła do Paryża i już wyrusza do Holandii.

Usłyszał, jak James wzdycha.

- Richelieu był niebywale uprzejmy, lecz nie ustąpił ani na włos. Becky uważa, że tak naprawdę on planuje jakąś nową kampanię. Jeżeli ma rację, to znając tego cwane go sukinsyna, czeka nas niezła jazda.

Spojrzał na południe.

- No i oczywiście wciąż pozostają uroczy Habsburgowie z Austrii. Nie mówiąc już o Maksymilianie Bawarskim. Ani o tym, że Wallenstein przeżył po Alte Feste i Bóg jeden wie, co ten człowiek knuje w swych czeskich posiadłościach. Ani o tym, że król Danii, Chrystian - a to przecież też protestant - wciąż planuje zniszczyć Szwedów. Ani o tym, że większość „oddanych książąt” Gustawa - a to przecież też protestanci - to najgorsza banda zdradzieckich drani, jaką można sobie wyobrazić.

Mike zabębnił palcami o szybę.

- To była „pierwsza szczęka”. Trwa wojna, czy nam się to podoba, czy nie. Co gorsza, teraz chyba rozgorzeje na nowo.

- I w ten sposób docieramy do „szczęki numer dwa”. Jak mamy walczyć? Tak samo, jak robi to Gustaw, odkąd trzy lata temu wylądował w północnych Niemczech? Olbrzymie wojska zaciężne pustoszące okolicę? Nie mówię już nawet o przemocy, jakiej z ich strony doświadcza ludność cywilna - a wierz mi, że doświadcza, nawet przy praktykach dyscyplinarnych Gustawa - ale poza tym jest to najgłupszy możliwy sposób na zmarnowanie zasobów gospodarczych. Nie dość, że tak właśnie Szwecja utraciła masę zdrowych mężczyzn, to jeszcze skarbiec Gustawa świeci pustkami.

Ruszał palcami. Bum, bum, bum - niczym dobośz wybijający marsz.

- Nie możemy wiecznie pożyczyc od kogoś pieniędzy, James. Abrabanelowie i reszta finansistów w Europie i Turcji, którzy nas wspierają, nie mają aż tylu funduszy, jeśli chodzi o ścisłość. Zwłaszcza jeśli porównamy to z tym, co mogą zgromadzić Richelieu i Habsburgowie. To oznacza zatem więcej podatków i opłat dla naszej ludności - a już w tym momencie jest tego za dużo.

Odwrócił się i odwzajemnił rozgniewane spojrzenie Jamesa.

- Przy takich podatkach, jakie są teraz, nie będzie ich nawet stać na ubrania na zmianę. Zostają nam opłaty za wszystko, jak tylko przekroczysz granicę Stanów Zjednoczonych. Nie mamy wyboru.

Nichols odwrócił wzrok, policzki nieco mu się zapadły. Chociaż wiele spraw leżało mu na sercu, James absolutnie nie był głupcem. Mike nie przerywał ani na chwilę.

- Jaką mamy alternatywę - pomijając „nową politykę wojskową” Johna Simpsona? Na wzmiankę o Simpsonie twarz Nicholisa przybrała srogi wyraz. Mike zarechotał, choć zazwyczaj słowa „John Simpson” wywoływały grymas i na jego twarzy.

- No jasne. Ten facet to skończony osioł. Bezczelny, zarozumiały, równie wrażliwy jak kamień przy drodze. Jak to mówi Melissa - „wypisz, wymaluj pierdoła naczelny”? James skinął głową i zachichotał. Ukochana doktora gardziła Johnem Simpsonem jeszcze bardziej niż on sam i Mike. Mike wzruszył ramionami.

- Czegokolwiek byśmy o nim nie powiedzieli, John Simpson to jedyny doświadczony wojskowy w Grantville. Przynajmniej jeśli mówimy o tego rodzaju doświadczeniu. Bo widzisz, on ukończył Akademię w Anna-polis oraz Akademię Techniczną Sił Zbrojnych³ w Fort McNair. I niezależnie od tego, ile wazeliny zużył w trakcie swego pobytu w Penta-gonie, to jest jedyna osoba, która ma pojęcie o tym, jak zaplanować i sko-ordynować coś takiego.

Mike oparł się dłońmi o parapet i odepchnął od okna. Po chwili wrócił na krzesło.

- Słuchaj, James, w tej kwestii Simpson ma rację. Dlatego właśnie, zaciskając zęby, popierałem go od momentu, gdy zgłosił swój projekt. Nie tylko popierałem, ale także jako pierwszy namówiłem Gustawa Adolfa wraz z jego doradcami i generałami. Musimy zmniejszyć tę cholerną armię. Stała się już gigantycznym tasiemcem w jelitach narodu. A jedyny sposób, żeby tego dokonać przy tych wszystkich otaczających nas wrogach, to postawić na jakość, a nie na ilość. A to z kolei oznacza przeznaczenie olbrzymiej większości naszych nowoczesnych zakładów produkcyjnych i siły roboczej na potrzeby armii. Westchnął i potarł twarz.

- No i dotarliśmy do „szczęki numer trzy”, ponieważ te same zasoby, których używamy do budowania „zabawek” dla Gustawa, jak raczyłeś Je nazwać, służą też do rozwijania innych dziedzin. Na przykład do ożywienia przemysłu włókienniczego albo udzielenia drobnemu przemysłowi samochodowemu takiego poparcia, jakiego już dawno powinniśmy mu udzielić - rolnikom potrzeba sporo małych silników o mocy dziesięciu koni, a nie garstki dieslowskich potworów, które napędzają Pancerniki.

Przez chwilę przyglądali się sobie. Następnie Mike znów wzruszył ramionami i dodał:

- Chrzanić to, bądźmy optymistami. Kryzys gospodarczy i techniczny sprawia przynajmniej, że wszyscy dla odmiany myślą. Myślą i się organizują. Słowo „organizować” - co było nieuniknione w przypadku mężczyzny wychowanego wśród związkowców - wywołało pierwszy prawdziwy uśmiech na twarzy Mike'a.

- Ty to lepiej docień, James, dobrze ci radzę. Możemy być żalosną zgrają nosicieli zarazy, ale gwarantuję ci, że ludność Stanów Zjednoczonych lada moment stanie się najlepiej zorganizowaną grupą ludzi na całym świecie. I to w dodatku zorganizowaną przez samych siebie, co jest sto razy lepsze od wszystkiego, co przychodzi z góry.

Machnął dłonią w geście pełnym werwy, kontrastującej z rezygnacją doktora.

- Do wyboru, do koloru. Co chwila powstają nowe związki zawodowe, kółka rolnicze, dzieciaki Williego Raya z jego Europejskich Rolników Przyszłości równie wiele czasu spędzają na dyskusjach o polityce, jak i obsiewaniu pól, w komitetach korespondencyjnych Gretchen są same wulkany energii. Chyba nawet organizacje dla dziadków są w świetnej formie i o czymś tam gadają, poza odbywaniem swoich durnych rytuałów. Henry Dreeson powiedział mi, że w zeszłym tygodniu „Lioni” uchwalili, że zaczną regularnie składać datki na Fundację „Łuki Wolności”.

Oczy Jamesa niemal wyszły na wierzch. W jakiś sposób - do tej pory nikt nie wiedział, jak zdołała tego dokonać - Gretchen przejęła byłą placówkę McDonald's w Grantville dla swych komitetów korespondencyjnych. Kierownik restauracji, Andy Yost, zaklinał się, że nic o tym nie wie. lecz mimo to wciąż pełnił funkcję kierownika i - zapewne czystym zbiegiem okoliczności - był członkiem komisji nadzorującej gwałtownie rosnącą grupę radykałów. Gretchen zmieniła nazwę na „Łuki Wolności” i niedawny McDonald's w okamgnieniu stał się siedemnastowiecznym odpowiednikiem słynnych bistr i kawiarenek rewolucyjnego Paryża w późniejszych czasach. Z właściwą sobie szybkością i zapałem komitety korespondencyjne

rozpoczęły proces tworzenia podobnych placówek w każdym miasteczku Stanów Zjednoczonych - a także poza granicami. Nowe „Łuki Wolności” powstały właśnie tuż poza obszarem Lipska, najbliższego z dużych miast Saksonii. Bardzo się to nie spodobało Janowi Jerzemu, księciu saskiemu, który od razu poskarżył się Gustawowi Adolfowi. Jednakże król Szwecji, który był też cesarzem Konfederacji Księstw Europejskich, nie wyraził zgody na ich likwidację. Gustaw miał swe własne obawy - delikatnie mówiąc - dotyczące komitetów korespondencyjnych. Nie był jednak głupcem, a z historii swej własnej dynastii Wazów nauczył się, że arystokrację trzeba trzymać krótko. Może i komitety nieco go irytowały, ale takich ludzi jak Jan Jerzy z Saksonii one wręcz przerażały - a to było pożądane.

Budynki, w których rodziły się nowe „Łuki Wolności”, były naturalnie siedemnastowiecznymi konstrukcjami. Owe wyeksponowane łuki - mimo że było to malowane drewno, a nie jakaś wymyślna nowoczesna robota - zostałyby jednak momentalnie rozpoznane przez każdego obywatela Stanów Zjednoczonych ze świata, który został gdzieś daleko w tyle. Co więcej, gdyby przeciętny Amerykanin z dwudziestego pierwszego wieku wszedł do środka, byłby raczej zaskoczony. Serwowano tu do jedzenia zwyczajny chleb, a zamiast kawy podawano do picia herbatę lub piwo. A z całą pewnością ogarnęłoby go zdumienie na widok prymitywnej pras-y drukarskiej stojącej na honorowym miejscu w „sali jadalnej” i otaczającej ją - niemal przez całą dobę - grupy nastolatków z radością produkujących broszury i gazety dużego formatu.

- „Lioni”? - wykrztusił Nichols. Mike uśmiechnął się szeroko.

- Aha. Oczywiście się z tym kryją. Spróbuj ich zrozumieć, James. Pewnie, że Gretchen i jej podżegacze wywołują ich niepokój, ale nawet najbardziej drętwi biznesmeni w miasteczku zdają sobie sprawę, że walczy-my o nasze życie. Rycerze Kolumba nawet nie próbują się kryć ze swoimi dotacjami. Jako katolicy zdecydowani są udowodnić wszystkim ludziom, że to właśnie oni należą do najbardziej lojalnych obywateli.

James chrząknął. Na skutek przedziwnych procesów, jakie czasem zachodzą w historii, oficjalnie protestancka Konfederacja Księstw Europejskich (w tej części, która podlegała Stanom Zjednoczonym i ich ściśle przestrzeganej zasadzie wolności wyznania) stała się przystanią dla katolików ze środkowej Europy. Napływ imigrantów i wcielenie zachodniej Frankonii po zwycięstwie Gustawa i jego amerykańskich sojuszników nad Habsburgami w bitwie pod Alte Feste sprawiły, że katolicka ludność Stanów Zjednoczonych najprawdopodobniej dorównywała już liczebnie wyznawcom protestantyzmu i - co było typowe - stawała się jeszcze bardziej oddana ich radykalnym, wedle ówczesnych standardów europejskich, zasadom politycznym.

Mike rozłożył ręce.

- Tak więc, jak już mówiłem, bądźmy optymistami. Gramy na czas, James. Obydwa dobrze wiemy, że może u nas wybuchnąć epidemia. Ale jeśli tak się stanie, przynajmniej z kryzysem będą walczyć obywatele, którzy są czujni, z każdym dniem coraz lepiej zorganizowani i którzy już teraz są pewnie lepiej wykształceni niż jakikolwiek inny naród w Europie - pomijając może Holendrów.

- Wciąż nie widzę sensu poświęcania tak wielu naszych zasobów - mówię o tych wojskowych - na te pancerniki, na które Simpson jest tak napalony - powiedział kwaśno James. - Przecież to cholerstwo nas zrujnuje. Pomijając już fakt, że musieliśmy oddać masę dobrej stali - a mam lepsze pomysły na spożytkowanie kilometrów szyn, które pozostały po Ognistym Kręgu, niż zużywanie ich na pancerze - to jeszcze musieliśmy rozmontować kilka dużych silników dieslowskich, najlepsze pompy w kopalni...

Zamilkł.

- Dobra, przyznaję, nie byłem na zebraniu gabinetu, kiedy podejmowano tę decyzję, gdyż wtedy przebywałem w Weimarze, bo trzeba było zdusić mały wybuch czerwonej - to

przynajmniej możemy opanować -ale twoje późniejsze podsumowanie wyjaśniające nigdy nie miało dla mnie zbyt wielkiego sensu.

Mike zacisnął wargi i spojrzał przez okno. Wcale go to nie dziwiło; z militarnego punktu widzenia rzeczywiście nie było sensu budować amerykańskiej marynarki sprzymierzonej z Gustawem Adolfem, która mogła prowadzić działania jedynie na rzekach środkowych Niemiec. Nie była to nawet straż wybrzeża.

Mike zawahał się. Nie bardzo chciał poruszać ten temat, gdyż prawdziwy powód wiązał się z tak bezwzględną polityką realną i myśleniem ma-kiawelicznym, że większość urodzonych i wychowanych w Ameryce członków gabinetu zadławiłaby się nim. Melissa Mailey dostałaby ataku szału. Mimo że uczestniczyła w tamtym zebraniu, dla niej wszystkie kwestie militarne były na szczęście tak niesmaczne, że nawet nie przestudowała tego zagadnienia, za co Mike dziękował niebiosom. Gdy tylko odrzucała swe uprzedzenia i z góry przyjęte osady, miała diabelsko przenikliwy umysł.

Nichols jako lekarz (pomijając nawet miłosne relacje między nim a Melissą) również by się zadławił. Głównie dlatego, że w przeciwieństwie do wielu lekarzy, których Mike miał okazję spotkać, James Nichols traktował swą profesję uzdrowiciela śmiertelnie poważnie. Przysięga Hipokratesa nie była czymś, co James Nichols odbębnił czym prędzej, żeby tylko dostać licencję i zacząć zgarniać forszę. Z drugiej strony...

Przez chwilę Mike obserwował Jamesa. Smościście czarny mężczyzna

0 topornych rysach twarzy w milczeniu odwzajemniał spojrzenie; dłonie splótł przed sobą na blacie biurka. Były na nich blizny, które nie powstały na skutek praktyk medycznych. Zanim Nichols odwrócił swe życie do góry nogami, był dzieckiem ulicy w jednym z najgorszych chicagowskich gett. Za czasów jego młodości teren ten należał do Blackstone Rangers.

„A co tam. Jeśli przez tę cholerną robotę mam okłamywać jednego z najlepszych przyjaciół, to pieprzę to”.

- Dobra, James, będę z tobą zupełnie szczerzy. Gustaw Adolf chce mieć te pancerniki, żeby zabezpieczyć swe szlaki komunikacyjne na wypadek, gdyby zaatakowano Konfederację z zewnątrz. W tych czasach zaopatrzenie dla wojska najszybciej można przetransportować właśnie drogą wodną. Jeżeli będzie kontrolować rzeki - głównie Łabę, ale też te mniejsze, oraz kanały, gdy już je ulepszymy - będzie miał znaczącą przewagę nad potencjalnym najeźdźcą. To jednak tylko część prawdy, i to nie ta najważniejsza.

Wyprostował się.

- Ważniejsze jest to - dodał szorstko - że potrzebuje ich, a przynajmniej myśli, że ich potrzebuje, aby przede wszystkim utrzymać Konfederację w jednym kawałku.

Nichols otworzył oczy nieco szerzej. Tylko nieco.

- Zastanów się, na litość boską - ciągnął dalej Mike. Machnął ręką w stronę okna. - Konfederacja Księstw Europejskich to najbardziej rozklekotane, posklejane i sypiące się „królestwo” - ostatnie słowo aż ociekało sarkazmem - jakie świat kiedykolwiek widział. Szwedzki król władający mozaiką niemieckich księstw, autonomicznych miast cesarskich, jawnej republiki założonej przez żyjących na obczyźnie amerykańskich »nadczasowców” - do wyboru, do koloru. Wszystko to przeżarte dewocją

1 brakiem tolerancji, że nie wspomnę już o okresowych polowaniach na czarownice. To coś jak rodem z powieści fantasy albo z domu wariatów. Połowa na wpół niezależnych „podwładnych” Gustawa - zacznijmy od Jana Jerzego z Saksonii, który rządzi najpotężniejszym z tych księstw - w okamgnieniu wbiłaby mu nóż w plecy. W tym czasie większość pozostałych...

Nichols prychnął.

-Przyjmowałyby zakłady oto, jak głęboko wejdzie ostrze. A potem zaczęliby się kłócić o to, kto ma trzymać pieniądze.

- Właśnie. W każdej chwili wszystko może się rozlecieć. Pomyśl więc, jak wygląda cała sytuacja z punktu widzenia cesarza. Jeżeli uda mu się wystarczająco poprawić stan rzek i wybudować nowe kanały, a także ulepszyć te, które już istnieją, i jeżeli zapewnimy mu kilka pancerników rzecznych, które mogą rozwalić wszystko wokół, to wtedy Konfederacja stanie się już opłacalnym przedsięwzięciem. Przynajmniej jeśli chodzi o nagą siłę. Zerknij kiedyś na mapę - zapewniam cię, że Gustaw Adolf już to zrobił, bo nasza ekipa miernicza udostępniła mu najlepszą, jaką teraz można znaleźć - a zrozumiesz, o czym mówię. Wyobraź sobie, że Łaba to połączenie rdzenia kręgowego i tętnicy głównej. I spójrz później na te wszystkie odgałęzienia - rzeki, kanały, czasem i to, i to - które wszystko ze sobą łączą: Bałtyk z Turynią, Hesję-Kassel z Saksonią i Brandenburgią.

Na jego twarzy pojawił się drapieżny uśmiech.

- Weźmy na przykład Kanał Finów łączący Odrę i Hawelę. Jak być może wiesz, jest to jeden z tych kanałów, którym Gustaw dał pierwszeństwo w rozbudowie i ulepszaniu. Tak naprawdę swoim znaczeniem ustępuje tylko kanałom łączącym Łabę z bałtyckimi portami - Lubeką i Wi-smarem. Zastanów się, jak będzie wyglądała sytuacja z punktu widzenia Jerzego Wilhelma, elektora brandenburskiego, który jest niemal równie niegodny zaufania, jak elektor saski, kiedy obiektem jego rozmyślań stanie się jeden z pancerników Simpsona, unoszący się na Haweli w Berlinie. Z dziesięciociałowymi działami wymierzonymi w jego pałac.

- Mogą zdemolować kanały - zaprotestował James. - A przynajmniej zniszczyć śluzy. - Był to jednak protest bez specjalnego przekonania.

Mike wzruszył ramionami.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, James, i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Dobre oddziały inżynierskie - a Gustaw ma najlepsze - mogą je odbudować. Poza tym wszystko to zakłada śmiało, dobrze zorganizowane powstanie, wywołane przez grupę książąt działających wspólnie. A to z kolei...

James już się śmiał.

- Ta banda chciwych, kłótliwych złodziei? W życiu!

Wesołość udzieliła się też Mike'owi. Jednak już po kilku sekundach uśmiech zniknął z twarzy Jamesa. Spoglądał teraz na Mike'a spod przy-mrużonych powiek.

- Jesteś aż tak bezwzględny? - wymamrotał. - Ofiarujesz Gustawowi taką pilę mechaniczną... wiedząc oczywiście, że jedyną częścią jego małego cesarstwa, przeciwko której nie mógłby użyć ostrza, jesteśmy my sami. Ponieważ w gruncie rzeczy - przynajmniej przez jakiś czas - to my będziemy budować te pancerniki i to my będziemy je obsadzać.

Mike wzruszył ramionami.

- Owszem, jestem. Jak już mówiłem, James, próbuję zyskać dla nas trochę czasu. I dla Gustawa Adolfa również, bo jeszcze dość długo nasze losy będą ze sobą związane.

Nichols położył splecione dłonie na kolanach, odchylił się na krześle i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Chyba nieźle dałbyś sobie radę przy Sześćdziesiątej Trzeciej i Cotta-ge Grove. Oczywiście kolor twojej skóry byłby pewnym utrudnieniem, ale znając cię, na to też byś coś poradził.

Mike wciąż się uśmiechał.

- W tych okolicznościach uznaję to za komplement. Nichols parsknął.

- W tych okolicznościach to jest komplement. Jedyną różnicą między przywódcami chicagowskich gangów a niemieckimi arystokratami jest to, że przywódcy gangów są z zasady bystrzejsi, a niemieccy arystokraci są z zasady bardziej zdradziecy. Trzeba by rzucić monetą, żeby wybrać tych okrutniej szych.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Twarz Jamesa wciąż była ściągnięta troską, lecz po chwili Mike zorientował się, że ta troska nie dotyczy już spraw ogólnych, tylko czegoś znacznie bliższego sercu doktora.

- Dam ci znać, jak tylko dostanę od niej jakieś wieści - powiedział cicho. - Nic jej nie będzie, James. Dałem Ricie i Melissie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby mogły wynająć naprawdę duży statek. A poza tym z Tomem i Julie na pokładzie każdego pirata, który spróbuje ich zaatakować, czeka przykra niespodzianka.

James uśmiechnął się. Julie Sims (teraz już Julie Mackay, odkąd wyszła za oficera szkockiej kawalerii w armii Gustawa Adolfa) była najlepszym strzelcem, jakiego kiedykolwiek widział. A niezależnie od tego, co James i Mike sądzili o Johnie Simpsonie, obydwaj bardzo lubili jego syna, Toma, który poślubił siostrę Mike'a tego samego dnia, w którym Ognisty Krąg zmienił cały ich świat. Lubili go szczególnie w tych okolicznościach, gdyż spośród różnych niebezpieczeństw, na które Melissa i Rita, mogły się natknąć podczas swej podróży dyplomatycznej do Anglii, z całą pewnością

nie groził im atak rabusiów. Tom Simpson był prawdopodobnie jednym z dziesięciu największych ludzi na świecie. Nawet w Ameryce dwudziestego pierwszego wieku uchodził za olbrzyma - takiej postury można było oczekiwać od gracza pierwszej linii najlepszej uniwersyteckiej drużyny futbolowej.

Szybko jednak uśmiech zniknął z twarzy lekarza. Mike wiedział, że nie martwi się - przynajmniej niespecjalnie - piratami i rabusiami. Melissa i Rita będą miały do czynienia ze znacznie groźniejszymi ludźmi.

- Królowie, królewicze, kardynałowie, książęta - pożałuj Boże - i pierprzeni hrabiowie - zagrzmał Nichols. - Wszystkich trzeba by wystrzelać.

W uśmiechu Mike'a pojawiło się chyba nieco okrucieństwa. Taki bez wątpienia miał zamiar, widząc, że doktorowi przyda się trochę otuchy.

-To jeszcze nie jest wykluczone. I to w większości przypadków. Jak powiedziałem: bądźmy optymistami. Simpson może sobie być dupkiem, ale zna się na działach ciężkiego kalibru.

Rozdział 4

Hałas jak zawsze był potworny.

John Chandler Simpson nauczył się go tolerować, aczkolwiek wątpił, żeby kiedykolwiek do niego przywykł. Wiedział, że w roku Pańskim 1633 do wielu rzeczy nie będzie w stanie przywyknąć.

Na tę myśl parsknął z niezadowoleniem, brnąc przez olbrzymie kałuże błota, które z wyprawy do stoczni czyniły wręcz... przygodę. Kiedyś omijał podobne przeszkody, ale to było wtedy,

gdy miał na sobie buty z dwudziestego pierwszego wieku, o które mógł dbać. To było też wtedy, gdy miał dostatecznie dużo energii, żeby trwonić ją na takie zmartwienia.

Parsknął ponownie z jeszcze większym niezadowoleniem. Wydawało mu się, że powinien odczuwać pewną satysfakcję z faktu, że ten dupek Stearns musiał wreszcie przyznać, że Simpson wie o czym mówi, gdy w grę wchodzi coś poważnego. I w gruncie rzeczy tak właśnie było. Jednak wszelką satysfakcję mącił fakt, że musiał liczyć się z tym, co myśli Stearns. Przyjmowanie rozkazów od prostackiego appalachijskiego „prezydenta”, który nigdy nie ukończył college'u, było dla człowieka o takich ciągnięciach jak Simpson pigułką nie do przełknięcia.

Nie żeby Stearns był skończonym idiotą. Miał przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, żeby zauważyć, że Simpson ma rację w kwestii konieczności „zredukowania” hałastu najemników Gustawa Adolfa. Jak też pan Prezydent krztusił się, próbując wymówić to słowo! W takiej chwili konieczność przekonywania go do czegokolwiek już nie była taka straszna.

Ale mimo że zaaprobował sugestię Simpsona, nie chciał przyjąć jej konsekwencji - jeżeli Gustaw Adolf zamierza przeprowadzić redukcję, Amerykanie będą musieli mu to zrekompenzować... nawet jeśli oznacza to odebranie zasobów przemysłowych niektórym ukochanym dzieciom prezydenta i spółki.

Co prawda musiał przyznać, choć z wielką złością, że Stearns miał rację, kładąc nacisk na zwiększenie siły roboczej w celu przetrwania tamtej pierwszej zimy. To oczywiście nie znaczy, że nie można było wymyślić czegoś lepszego, prawda?

Na razie sprawy układały się znacznie lepiej, niż Simpson zakładał w momencie, gdy zrozumiał, w jakim kierunku podąża Stearns ze swą nową konstytucją. Rzecz jasna, nie było gwarancji, że ten stan się utrzyma. W innych okolicznościach Simpson zapewne miałby ubaw, patrząc, jak Stearns próbuje opanować tę niemal anarchię, którą sam stworzył, obdarowując prawem wyborczym miejscowych Niemców i ich przybyłych kuzynów oraz powinowatych, gdy tylko przenieśli się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Tubylcy po prostu nie mieli wpojonych wzorców myślenia, dzięki którym ten system funkcjonowałby równie sprawnie, jak niegdyś u nich w kraju. Wydawało im się, że mają, ale większość z nich była nawet bardziej uzależniona od lawinowych wybuchów nieskrępowanego entuzjazmu niż Stearns i jego związkowe tępaki. A ich chory umysłowo odłam - uosabiany przez stronników Melissy Mailey i komitety korespondencyjne Gretchen Higgins - był jeszcze gorszy. Trudno przewidzieć, do jakich nieszczęść mogą doprowadzić. Oczywiście można by wszystkich uniknąć, gdyby tylko te prostaki miały tyle rozumu, żeby ograniczyć prawo wyborcze do tych osób, które pokazały, że będą wiedziały, co z nim zrobić.

Simpson dotarł do bramy stoczni, gdzie mógł już oderwać spojrzenie od błota, przez które się przedzierał. Wartownik uzbrojony w dubeltówkę stanął na baczność i zsalutował. Podobnie jak większość personelu wojskowego armii Stanów Zjednoczonych, wartownik był siedemnastowiecznym Niemcem. To dobrze, zauważył. Swobodne podejście do spraw militarnych, które reprezentowali rdzenni mieszkańcy Grantville - na czele z „generałem” Jacksonem - było jedną z rzeczy, których Simpson nienawidził u tych ludzi. Żaden z nich nie doceniał olbrzymiego znaczenia dyscypliny wojskowej lub też zwrotów grzecznościowych, które pomagają ją budować. Dla miejscowych rekrutów niuanse formalnego protokołu wojskowego też nie miały specjalnego sensu, lecz przynajmniej każdy, kto przetrwał koszmarny chaos panujący na siedemnastowiecznym polu bitewnym, rozumiał absolutną konieczność utrzymywania żelaznej dyscypliny. Poza placem boju mogli być gwałcicielami, mordercami i złodziejami - Ale pole bitwy to coś zupełnie innego - Simpson z zaciekawieniem obserwował, z jakim zapałem siedemnastowieczni oficerowie i

podoficerowie akceptowali to, czego nadczasowi rodacy Simpsona nie byli w stanie pojąć, niezależnie od tego, jak bardzo starał się wbić im to do głów. Dyscypliny trzeba się nauczyć i pielęgnować ją zarówno na placu boju, jak i poza nim, jeśli się chce stworzyć naprawdę solidną zawodową armię. W tej konkretnej kwestii punkt widzenia Gustawa Adolfa pokrywał się dokładnie z jego własnym.

Odsalutował i wszedł na teren stoczni. Przystanął.

Za jego plecami leżał Magdeburg, który dźwigał się z gruzów w całości pyłu, dymu, smrodu, wrzasków i ogólnego rozgardiaszu. Na działkach, których właściciele udało się ustalić, zazwyczaj stawiano tradycyjny mur pruski lub budynki z cegły; przeplatało się to z drewnianymi konstrukcjami szkieletowymi na parcelach, które przeszły na rzecz miasta. Przed nim roztaczał się widok na Łabę i inną tętniącą życiem krainę. Było tu tyle samo szaleństwa i jeszcze więcej zgiełku niż w chaotycznej odbudowie, która odbywała się za jego plecami, lecz w jego spojrzeniu widać było zaborczą dumę, która zaskoczyła trochę nawet jego samego. Choć w porównaniu z przedsiębiorstwami przemysłowymi, które niegdyś nadzorował, tu wszystko było nieudolne i sklecone na poczekaniu, to jednak była to jego własność. A biorąc pod uwagę środki, jakimi dysponował, to co udało mu się osiągnąć, było równie imponujące, jak zbudowanie jednego z lotniskowców klasy Nimitz w dawnych Stanach Zjednoczonych.

Ogłuszający jazgot, dym ze spalanego węgla i chmury trocin wydostały się z napędzanego parą tartaku, zaprojektowanego i zbudowanego przez Natę Davisa. Ustawiona pionowo piła z mechaniczną precyzją cięła kłody na deski, które pracownicy tartaku ładowali na oczekujący wagon, kiedy tylko ostrze kończyło piłowanie. Tartak pojawił się dopiero niedawno, postanowiono bowiem nie zużywać nielicznych zasobów na budowę młyna wodnego albo wiatraka, który jako rozwiązanie przejściowe i tak w końcu zostałyby rozebrany. Jeszcze dwa tygodnie wcześniej Mężczyźni, którzy teraz układali deski, pracowali na staroświeckiej traczni, zagrzebani po uda w spadających trocinach, wytwarzając każdą deskę siłą własnych mięśni.

Za tartakiem inna ekipa pracowała przy walcierce zasilanej tym samym silnikiem parowym. Nie była ona specjalnie okazała, jeśli porównać ją z potężnymi maszynami w hutach z dwudziestego pierwszego wieku, ale w zupełności wystarczała na ich obecne potrzeby. Simpson patrzył z zadowoleniem, jak ekipa wyciąga z otwartego pieca kolejną odzyskaną szynę kolejową i wrzuca ją między walce. Stal, wciąż dymiąca i rozgrzana do czerwoności, wyłoniła się ze szczęk walcarki zmiażdżona na sztabę o grubości mniej więcej dwóch i pół centymetra i szerokości nieco ponad trzydziestu centymetrów. Gdy zjechała po kolejnym zestawie walców, zaczęły się unosić kłęby pary wytworzone przez hartownicze rozpylacze. Kolejni robotnicy nieśli już ochłodzone belki stalowe do następnego otwartego pomieszczenia, gdzie jeden z drogocennych przenośnych generatorów benzynowych napędzał pionową wiertarkę. Ciche wycie maszyny wiercącej w stali otwory na śruby ginęło w ogólnym jazgocie.

Simpson jeszcze przez chwilę stał i się przyglądał, następnie kiwnął głową z satysfakcją i ruszył w dalszą drogę do swego biura. Mieściło się ono pomiędzy dwiema pochylniami - w cieniu wiszących nad nim surowych prostokątnych płyt. Były szpetne, niedokończone i posępne, i nawet po ukończeniu budowy nikt nie powie, że są eleganckie. Johnowi Simpsonowi jednak to nie przeszkadzało. Bo gdy już będą ukończone, elegancja nie będzie odgrywała większej roli.

Kolejny wartownik pilnujący drzwi do biura stanął na baczność, gdy ujrzał swego przełożonego. Simpson odsalutował, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Poziom hałasu natychmiast się obniżył. Jego sekretarz już miał się podnieść z krzesła, gdy Simpson gestem nakazał mu siedzieć.

- Dzień dobry, Dietrich - powiedział.

- Dzień dobry, Herr Admiral - odparł sekretarz.
- Czy od wczoraj wydarzyło się coś istotnego?
- Nie, panie admiralu. Ale przybyli Herr Davis i kapitan Cantrell.

W głosie sekretarza dało się słyszeć odrobinę współczucia. Admiral skrzywił się - jedynie przy nielicznych podwładnych pozwoliłby sobie na taki grymas, niezależnie od tego, co myślał o wizycie tej konkretnej pary. Publiczne okazywanie jakichkolwiek emocji mogło jedynie doprowadzić do nadszarpnięcia hierarchii służbowej, którą w pocie czoła udało mu się zbudować.

Dietrich Schwanhausser stanowił jednak wyjątek. W kwestiach administracyjnych człowiek ten był na wagę złota. Przywiązał się do komputera stojącego przed nim na biurku zupełnie jak ci nastoletni wariaci z dwudziestego pierwszego wieku... co w połączeniu z umiejętnością inteligentnego przewidywania, czego Simpson może potrzebować w następnej kolejności, czyniło z niego skarb, który warto było pielęgnować. Admiral od razu się na nim poznał, lecz mimo to zaskakiwał go poziom zażyłości, jaka między nimi powstała.

- Dziękuję za ostrzeżenie - powiedział cierpko, a usta Schwanhaussera lekko zadrżały, niemal wykrzywiając się w uśmiechu. Simpson skinął mu głową i przeszedł do gabinetu. Było tam głośniejsze niż w przedsionku. W przeciwieństwie do miejsca pracy Schwanhaussera, gabinet Simpsona posiadał okno. Wychodziło ono na rzekę. Szyba nie była zbyt dobrej jakości, nawet jak na siedemnastowieczne standardy, ale wpuszczała do środka wystarczająco dużo światła i równocześnie pozwalała admirałowi oglądać swoje włosy. A fakt, że delikatnie podkreślała status osoby, której ścianę zdobiła, tylko działał na jego korzyść.

W gabinecie czekały na niego dwie osoby. Nat Davis był mężczyzną po czterdziestce, o stwardniałych dłoniach wykwalifikowanego robotnika i stopniowo rosnącej łysinie w miejscu, w którym niegdyś były ciemnobrązowe włosy. Nosił okulary. Zanim wydarzył się Ognisty Krąg, Nat żuł tytoń, lecz odkąd Grantville pojawiło się w Turyngii, zmuszony był z tym skończyć. Ów nawyk, w połączeniu z silnym akcentem mieszkańca Wirginii Zachodniej i bardzo powolnym sposobem wysławiania się, poprzedzonym uważnym dobieraniem wyrazów, sprawił, że admirał początkowo nie doceniał inteligencji Davisa. Człowiek ze wschodniego wybrzeża zdążył już jednak zmienić zdanie i ze znacznie większym niż dawniej szacunkiem skinął mechanikowi głową na powitanie.

Młodzieniec czekający wraz z Davisem był zupełnie innym przypadkiem. Eddie Cantrell dopiero za kilka miesięcy miał obchodzić swoje dwudzieste urodziny i teoretycznie mógł być zaprojektowany jako fizyczne przeciwieństwo Davisa.

Starszy mężczyzna był krępy i poruszał się w ten sam sposób, w jaki mówił - ze swoistą przemyślaną dokładnością, która zdawała się wykluczać jakąkolwiek spontaniczność. Simpson zorientował się, że ta pozorna ciężałość mogła sprawiać równie złudne wrażenie, jak sposób, w jaki dobierał słowa, lecz absolutnie nie było nic złudnego w pewności, z jaką Davis przechodził od jednego do drugiego celu.

Tymczasem Eddie mógł mieć spontaniczność na drugie imię. Był rudowłosy i żyłasty, a jego dłonie i stopy, wyraźnie za duże w porównaniu z resztą ciała, sprawiały wrażenie niedokończonych. Cała koncepcja dys-cypliny była mu totalnie obca. Co gorsza, chłopak ten był pełen życia. Nie, to za mało. On tryskał energią. W nim aż wrzało. Emanował z niego entuzjazm i poczucie absolutnej pewności siebie, do którego zdolna jest tylko niedoświadczona młodzież. John Simpson doszedł do wniosku, że to dokładnie przemyślana zemsta Mike'a Stearnsa, który z premedytacją przydzielił Eddiego do stoczni. Fakt, że cały projekt powstał w wyniku jednego z wybuchów nieokiełzanego entuzjazmu Eddiego, dał prezydentowi idealne usprawiedliwienie dla obarczenia go tym młodzieńcem.

Dlatego też niebywałym zaskoczeniem dla Simpsona było to, że w gruncie rzeczy polubił tego nieznośnego natręta.

Bynajmniej jednak nie zamierzał mu tego oznajmiać.

- Dzień dobry, panowie - powitał ich i ruszył w stronę swojego biurka, przeciskając się przez ciasne pomieszczenie. Usadowił się na krześle i odchylił nieco do tyłu, żeby lepiej ich widzieć.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Davis i Cantrell spojrzeli po sobie. W końcu Davis wzruszył ramionami, lekko się uśmiechnął i wykonał delikatny ruch dłonią.

- Chyba ja powinienem zacząć... panie admirale - odezwał się młodszy z nich. Chwila wahania przed „panie admirale” nie była celową pauzą. Simpson raczej nie miał co do tego wątpliwości. Był to jedynie kolejny dowód na to, że wpojone Eddiemu formy etykiety wojskowej były kompletnie obce jego naturze.

- Proponuję więc, aby pan to zrobił... kapitanie. - Pauza Simpsona była celowa i zauważył, że Eddie lekko zarumienił się z zadowolenia. Według jego przewidywań już za jakieś trzy, może cztery lata ów młody człowiek nabierze odpowiednich zwyczajów.

- Tak, panie admirale. - Eddie otrząsnął się. - Matthias właśnie złożył raport. Mówi, że baron von Bleckede wciąż jest... hm... uparty.

- Rozumiem. - Simpson odchylił się jeszcze bardziej na krześle i zmarszczył brwi. Matthias Schaubach był jednym z garstki rdzennych mieszkańców Magdeburga ocalałych po masakrze zgotowanej miastu przez najemników Tilly'ego. Przed tym koszmarnym wydarzeniem był mocno zaangażowany w handel solą w górę i dół Łaby, co sprawiło, że Amerykanie wykorzystywali go w charakterze doradcy we wszelkich kwestiach dotyczących transportu na tej rzece.

pomimo swych rozmiarów, a także znaczenia dla północnych Niemiec, Łaba miała długość odpowiadającą około jednej trzeciej długości Missisipi. Trudno określić, czy jej odcinek powyżej Magdeburga, ponad sto sześćdziesiąt mil morskich od Hamburga, można by nazwać „spławnym”. Żegluga barkami była możliwa, lecz rzeczono barki liczyły nie więcej niż dwanaście metrów długości, czyli znacznie mniej, niż potrzebowali Amerykanie. Pewne ulepszenia nawigacyjne były konieczne, żeby barki w ogóle mogły przepłynąć - a nie ulegało wątpliwości, że wkrótce niezbędne będą także inne zmiany.

Przez ostatnich kilka tygodni Schaubach podróżował w górę i dół Łaby, omawiając z miejscowymi owe „inne zmiany”. Istniejąca sieć wehrluecken była jakimś punktem wyjścia, lecz na tym się kończyło. Wehrluecken były to na dobrą sprawę tamy zbudowane w poprzek rzeki, mające pośrodku luki albo przelewy spływowe, szersze niż maksymalna szerokość barki. Tama podnosiła poziom wody dostatecznie wysoko, żeby można było spławiać barki, przelew zaś umożliwiał barkom przedostanie się przez zaporę. Niestety żadna z istniejących wehrluecken nie odpowiadała potrzebom Simpsona, a przerabianie ich zakrawało na jedną z prac Heraklesa. Groziło to też poważnym utrudnieniem normalnej żeglugi i właściciele istniejących wehrluecken nie byli specjalnie zachwyceni taką wizją. Podobnie Gustaw Adolf; w jego nowym środkowoeuropejskim cesarstwie Łaba pełniła funkcję rdzenia kręgowego. Właściciele wehrluecken zazwyczaj słuchali głosu rozsądku, gdy tylko Schaubach zaczynał obrazowo przedstawiać wizję żeglugi, jaka będzie się odbywała na rzece po ulepszeniu całej infrastruktury i rozpoczęciu produkcji amerykańskich łodzi parowych. Gdy to nie skutkowało, zwykle zdawała egzamin subtelna wzmianka o armii szwedzkiej, połączona ze spostrzeżeniem, że Gustaw Adolf bardzo liczy na ich współpracę.

Niektórzy byli jednak bardziej uparci. Na przykład drobny arystokrata, baron von Bleckede. W gruncie rzeczy Simpson współczuł temu człowiekowi, ale bynajmniej nie ucieszył się z wieści od Eddiego.

~ Jak miemam, pan Schaubach nie składałby raportu, gdyby uważał, że może jeszcze wpłynąć na zmianę decyzji Bleckedego? - powiedział po chwili.

- Nie wydaje się, żeby miał na to szansę - przytaknął Eddie. Skrzywił się. - Wygląda na to, że von Bleckede niezbyt się nami przejmuje. I Szwem też nie.

~ To mnie nie dziwi - odparł Simpson. - Trudno go za to winić.

Uśmiechnął się beznamiętnie na widok oburzenia, które przemknęło po twarzy Eddiego. Zastanawiał się, czy nie rozwinąć tematu. Nie zaszkodziłoby przypomnieć Eddiemu, że elita z czasów poprzedzających Ognisty Krąg miała niezliczone powody ku temu, by obawiać się wstrząsu, do jakiego mogłoby dojść w wyniku naruszenia status quo. Jak tylko Eddiemu chciało się pomyśleć, to oczywiście doskonale to rozumiał. Tylko że jemu się nie chciało. Lub raczej: był zbyt pochłonięty rozwalaniem przeszkód, żeby przejmować się tym, co było przyczyną ich powstania. A gdy Simpson o nich napomykał, wtedy młody zapaleniec tylko umacniał się w swoim przekonaniu o „reakcyjnych” poglądach admirała.

- No cóż - kapitan odezwał się z nieco większą niecierpliwością niż zazwyczaj, jak gdyby chciał potwierdzić zdanie Simpsona - niezależnie od tego, czy go za to winimy, czy nie, wciąż musimy dostać zezwolenie, żeby nasze ekipy mogły rozpocząć prace nad jego wehrmuecke. Żaden pan-cernik nie przedostanie się przez tę szczelinę, nawet jeśli zupełnie opróżnimy zbiorniki balastowe.

- Zgadza się, nie przedostanie się - przyznał mu rację Simpson. Uważał, żeby tego po sobie nie pokazać, lecz w głębi duszy zrobiło mu się miło, gdy Eddie wspominał o zbiornikach balastowych. Cały projekt pan-cerników narodził się dzięki wielkiej pasji Eddiego, jaką były gry wojenne. To właśnie on ułożył stertę książek na rogu biurka Mike'a Stearnsa i rozbudził w nim wielki entuzjazm na myśl o opancerzonych parowcach, które patrolują rzeki. Rzecz jasna, tym oryginalnym i szaleńczym koncepcjom potrzebne było spojrzenie dorosłego człowieka, jednak sam zarys projektu w chwili, gdy został po raz pierwszy omówiony i zatwierdzony, opierał się na jego własnych pomysłach udoskonalenia modeli z czasów wojny secesyjnej. Skromnie licząc, w owym projekcie Simpson doszukał się nie więcej niż dwudziestu-trzydziestu uchybień... czego należało oczekiwać w sytuacji, gdy pasjonat stara się przenieść w rzeczywistości świat informacje rodem z gier.

Gdy już Simpson i Greg Ferrara skończyli obliczać wyporność, okazało się, że w projekcie Eddiego przy minimalnym ładunku statek będzie miał zanurzenie co najmniej trzy i pół metra. To byłoby zbyt dużo nawet na Missisipi, a co dopiero na Łabie. Pojazd był też wystarczająco opancerzony, żeby wytrzymać ostrzał dziewiętnastowiecznych dział, takich jak piętnastocalowa artyleria gładkolufowa używana podczas wojny secesyjnej, a nie zdecydowanie bardziej anemicznych dział z siedemnastego wieku.

Co gorsza, Eddie domagał się pojedynczej śruby. Jego zamierzenia były ze wszech miar godne pochwały, chciał bowiem zaoszczędzić na osłonie koła łopatkowego, która nie tylko ograniczyłaby ilość miejsca do zamontowania uzbrojenia, lecz równocześnie wymagałaby jeszcze większego zainwestowania w pancerz. Biorąc pod uwagę, że musieli walczyć jak lwy z osobami pokroju Quentina Underwooda o każdą odzyskaną szynę kolejową, nie było to bez znaczenia.

Odpowiednie zaprojektowanie śruby napędowej okazało się znacznie trudniejszym zadaniem, niż się Eddiemu kiedykolwiek wydawało. Simpson wiedział o tym - tuż przed tym, nim znalazł się w Pentagonie, był członkiem zespołu projektowego, który opracowywał systemy napędu dla okrętu podwodnego typu „Seawolf”. Odslonięta zewnętrzna śruba oraz wał napędowy byłyby narażone na uszkodzenia, gdyby któryś ze statków osiadł na mieliźnie, co w końcu było nieuniknione w przypadku ciężkich i pokracznych łodzi opancerzonych pływających po wodach śródlądowych. A zamontowanie pojedynczego napędu oznaczałoby, że jakiegokolwiek uszkodzenie śruby będzie równoznaczne z unieruchomieniem jednego z ich cennych pancerników.

Dlatego właśnie Simpson zmusił Stearnsa do udostępnienia mu wysokopiętnych zespołów napędowych z czterech olbrzymich węglarek, które pierwotnie wykorzystywano w

charakterze transporterów opancerzonych. Paliwo do silników transporterów wciąż było dostępne, choć w niewielkich ilościach, lecz gdy Underwood upora się wreszcie ze swym polem naftowym, przestanie to być jakimkolwiek problemem. Zwłaszcza że Stearns zgodził się oddać pierwszeństwo marynarce wojennej.

Z silnikami w dłoni - mówiąc w przenośni - Simpson zbudował dalece zmodyfikowaną wersję oryginalnej koncepcji Eddiego, która wykorzystywała potężne pompy napędzane silnikami wysokoprężnymi, wygrzebane z kopalni w Grantville, zapewniając jej napęd strugowodny. Pompy miały wystarczającą moc, żeby bez żadnych uszkodzeń pożreć większość niewielkich odpadków, a sita przykrywające wloty chroniły je przed czymś większym. Z logistycznego punktu widzenia stosowanie silników wysokoprężnych jeszcze bardziej uzależniało łodzie od bazy przemysłowej Grantville - w krytycznej sytuacji nie było możliwości napędzania ich Węglem lub drewnem, co było wykonalne przy konstrukcji parowej. ^ drugiej jednak strony zbiorniki paliwa były bezpiecznie umieszczone pod powierzchnią wody i gdyby przypadkowy pocisk jakimś cudem zdołał przebić się do wnętrza któregoś z pancerników, nie trzeba już było obawiać się, że praktyczny kocioł wypełniony aktywną parą ugotuje żywcem całą załogę.

Pozostałe dwie zmiany, jakie wprowadził do projektu Eddiego, to obcięcie grubości pancerza o połowę i dodanie zbiorników balastowych. Redukcja pancerza umożliwiła zbudowanie dodatkowej łodzi z szyn przeznaczonych dla całego projektu i zmniejszyła wyporność, ale zbiorniki były równie istotne. Oryginalny „Monitor” miał niewielką wolną burtę, żeby zminimalizować powierzchnię ostrzału, lecz w tym projekcie to już nie było możliwe. Ponieważ w tym momencie nie można było zaprojektować porządnej wieżyczki, nie mieli innego wyjścia, niż mniej lub bardziej tradycyjne burtowe ustawienie dział - co upodabniało statek do „Mer-rimacka”... bądź też (co Eddie podkreślał tonem pełnym rozpaczki) do „Virginii”. To tłumaczyło pancerz z wielkich płyt i ogólnie niezgrabny wygląd. To także wiązało się z głębszym zanurzeniem niż w przypadku pierwowzoru. Simpson wbudował zbiorniki balastowe, które po napełnieniu sprawiały, że statek „zanurzał się” do walki. W ten sposób stworzył projekt blisko pięciusettonowego okrętu, który zanurzał się na nieco ponad metr przy opróżnionych zbiornikach i na trzy metry przy zbiornikach napełnionych. To pozwalało zaoszczędzić jakieś półtora metra dla opancerzonej burty, która przy zanurzeniu miała być pod osłoną wody.

Początkowo Eddie miał zamiar stroić fochy, widząc, jak Simpson przerabia jego projekt. Na całe szczęście był w stanie dostrzec, że te zmiany faktycznie stanowią ulepszenie, i właśnie dlatego na osobiste życzenie Simpsona (który wątpił, żeby młodzieniec zdawał sobie z tego sprawę) przydzielony został do marynarki wojennej. Stearns już zresztą zdążył wysłać go do Magdeburga, żeby nadzorował projekt, więc admirał i tak nie mógł się go pozbyć. A w marynarce potrzebni byli ludzie potrafiący myśleć. Wbrew pozorom było ich znacznie mniej, niż mogło się wydać, a doświadczony Simpson bezbłędnie zauważył elastyczność, z jaką chłopak przyjął to, że ktoś inny ulepszył jego własne dziecko. Połączył więc przyjemne z pożytecznym... i tak oto zarówno Eddie, jak i jego przyjaciel Larry Wild błyskawicznie zostali mianowani kapitanami marynarki wojennej Johna Simpsona.

A jeśli przy okazji mógł zatriumfować nad Mike'iem Stearnsem, to tym lepiej.

- Na szczęście - kontynuował po chwili - przekonanie barona do współpracy z nami tak naprawdę nie jest naszym zmartwieniem. Jeśli pan Schaubach czuje, że nie jest w stanie przemówić von Bleckedemu do rozumu.

odeślijcie go do pana Piazzę. - Na widok zmarszczonych brwi Eddiego po raz kolejny uśmiechnął się, tym razem bardziej beznamiętnie niż kiedykolwiek. Ed Piazza, sekretarz stanu, został wybrany przez Stearnsa na swojego przedstawiciela w rozmowach ze wszystkimi pomniejszych lokalnymi arystokratami, którzy nie byli wari osobistego zainteresowania głowy państwa.

- To zajmie trochę czasu - zaczął Eddie - i...

_ Być może - przerwał mu Simpson - ale takie rzeczy należą do obowiązków sekretarza stanu. Albo kaźcie uporać się z tym kanclerzowi Gustawa, Oxenstiernie. Mamy ważniejsze sprawy na głowie, niż użeranie się z jednym podrzędnym arystokratą, który nie chce nas zrozumieć. Poza rym - czy się nam to podoba, czy nie - minie jeszcze sporo czasu, zanim będziemy musieli płynąć aż tak daleko w dół rzeki, zgadza się?

Eddie wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć, ale Simpson już się do tego przyzwyczaił. Bardziej liczył się dla niego fakt, że chłopak zwał-czył to w sobie i ostatecznie pozwolił sobie tylko na jeden mały grymas.

-A więc - kontynuował Simpson - czy jeszcze czegoś potrzebujecie, kapitanie?

-Nie, chyba już nic... panie admirale.

- Świetnie. - Simpson odwrócił się do Davisa. - A panu, panie Davis, czym mogę służyć? - zapytał.

- Właściwie chciałem pana powiadomić, że Ollie twierdzi, że do końca tygodnia powinien być w stanie wysłać nam sześć pierwszych luf.

- Świetnie!

Simpson nie zdawał sobie sprawy, jak ten autentyczny entuzjazm od-mienił jego twarz. Trwało to jedynie chwilę, lecz Davis zdążył to zauwa-żyć. Często myślał, że to wielka szkoda, że Simpson jest kompletnie po-zbawiony „słuchu”, gdy w grę wchodzi tak błahe kwestie, jak relacje międzyludzkie. Osobiście Davis wciąż uważał go za palanta, szczególnie jeśli chodzi o politykę, i niezbyt przejmował się obsesją „admirala” na punkcie hierarchii - czy to społecznej, czy wojskowej - i wszelkich idą-cych za nią wymogów. Wiedział jednak, że niezależnie od tego, jak bar-dzo uciążliwa jest osobowość Simpsona, nie można mu odmówić rozu-mu. I to całkiem dobrego rozumu, jeśli tylko udało się go oderwać od takich spraw, jak polityczne spory z Mike'iem Stearnsem.

Pomijając fakt, że Nat przyznawał to z olbrzymią niechęcią (a była to naprawdę olbrzymia niechęć), doświadczenie, jakie Simpson zdobył jako oficer nadczasowej marynarki Stanów Zjednoczonych, było widoczne gołym okiem, gdy się patrzyło na strukturę tworzoną przez niego w Mag-deburgu. Nadczasowcy znajdujący się pod jego komendą mogli zrzędzić, narzekać i mamrotać nienawistnie coś o „fiutach z zarządu,” lecz Davis w końcu zauważył, że w tym szaleństwie rzeczywiście jest metoda. Rzecz? jasna, czasami pracownik warsztatu zastanawiał się, jak wielki wpływ miał fakt, że Simpson lepiej od swych rodaków zdawał sobie sprawę z tego, co jest potrzebne, a ile wynikało z jego ogromnego pragnienia zbudowania imperium. Jakiegokolwiek jednak kierowały nim pobudki, prawda była taka, że marynarka Simpsona była znacznie lepiej zorganizowana i znacznie szybciej przybierała formę profesjonalnej organizacji niż wojsko Franka Jacksona.

Zbyt wielu starszych oficerów Jacksona było nadczasowcami i dlatego zachowywali się zarówno wobec niego, jak i wobec siebie samych zupeł-nie jak cywile. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby chodziło tylko o nich -wszyscy dobrze się znali, a ich wzajemne relacje, choć bardzo poufałe, sprawdzały się. Rdzeń armii stanowiło Amerykańskie Stowarzyszenie Górników. Davis nie był przekonany, czy przykład takiej postawy dobrze wpłynie na osoby spoza szeregów ASG, które awansują w hierarchii. W przeciwieństwie do Franka Jacksona, Simpson nie opierał się na zad-nej istniejącej strukturze. On tworzył marynarkę zupełnie od podstaw. Jego personel niemal w stu procentach składał się z siedemnastowiecznych Niemców i Szwedów; nadczasowców było tylko tylu, ilu było potrzebnych z uwagi na umiejętności techniczne, których świeżo upieczeni Amerykanie nie zdążyli jeszcze posiadać. A to była już zupełnie inna para kaloszy.

Davis bynajmniej nie czuł przez to większej sympatii do Simpsona, ale musiał przyznać, że ten człowiek ma jednak pewne cechy, które zasługują na uwagę. I dlatego właśnie sądził, że to wielka szkoda, że Simpson tak uporczywie nie chce (a może nie jest w stanie) okazać

entuzjazmu, choć Davis widział, że jest wielce zadowolony ze swego obecnego zadania. Zamiast tego Simpson notorycznie sprawiał wrażenie osoby, która podjęła się tego „ciężkiego obowiązku”, bo szlachectwo zobowiązuje i musi ocalić prymitywnych appalachijskich kmotków przed skutkami ich własnej ignorancji. I to właśnie - bardziej niż jakiegokolwiek różnice politycznej - tłumaczyło wrogość, którą iście po mistrzowsku wywoływał w tych członkach amerykańskiego rządu, z którymi miał do czynienia. „Bogu dzięki, że jesteśmy w Magdeburgu - pomyślał cierpko Nat. - Gdybyśmy mieli bazę w Grantville, co wtorek ktoś wyzywałby Simpsona na pojedynek”.

- Użyjemy drutowania czy oblejemy brązem? - zapytał Cantrell. Simpson skarcił go wzrokiem za przerywanie, ale nie odezwał się ani słowem. Davis zauważył, że Simpson pozwala młodzieńcowi na znacznie więcej swobody niż komukolwiek innemu. Zastanawiał się, czy sam Eddie jest tego świadom.

- Drutowanie, przynajmniej dla pierwszej szóstki - odpowiedział Nat. - Elektrownia ma wystarczająco dużo dwunastocalowych rur typu „Schedule 160” na lufy dla wszystkich szesnastu gwintowanych dział, a rozplataliśmy tyle liny stalowej, że mamy mnóstwo drutu. Zarówno Simpson, jak i Eddie skinęli głowami. Dwunastocalowa rura typu „Schedule 160” miała wewnętrzną średnicę o długości nieco ponad dwudziestu centymetrów i ścianę o grubości mniej więcej trzech centymetrów. To w zupełności wystarczało na lufę dziesięciocalowego działka, a przy potencjalnie obróbczym Grantville nagwintowanie luf nie stanowiło najmniejszego problemu. Pozostawała jeszcze kwestia wzmocnienia. W oryginalnej elektrowni w Grantville często panowało dość wysokie ciśnienie, ale nijak się ono miało do ciśnienia, jakie powstawało wewnątrz lufy czarnoprochowego działka!

Zaproponowano dwa konkurencyjne rozwiązania. Jedno polegało na wzmocnieniu luf przez owinięcie ich kokonami ze stalowego drutu, którego akurat było pod dostatkiem, odkąd w kopalni znaleziono szpule stalowej liny. Ręczne rozplatanie liny w celu oddzielenia pojedynczych żyłek drutu było zadaniem bardzo żmudnym i pracochłonnym, jednak gdy już zapadła decyzja o wsparciu projektu pancerników, siła robocza została udostępniona. Drugie rozwiązanie polegało na oblaniu luf brązem. Pod pewnymi względami było to rozwiązanie łatwiejsze. Działka byłyby nieco cięższe, lecz potrzebna do tego technologia była już znana siedemnastowiecznym metalurgom. Same lufy mogłyby również lekko się odkształcić w trakcie procesu oblewania - Davis jednak nie sądził, żeby to odkształcenie mogło prowadzić do jakichkolwiek nierozwiązywalnych trudności. I tak zamierzano dokonać we wszystkich lufach ostatecznego odwiertu, żeby ujednolicić ich wymiary. ~ Przypuszczam, że dopóki nie będziemy mogli zrobić odlewu tutaj na miejscu, będą zmuszeni wysyłać gotowe armaty drogą lądową. Ekipy odlewnicze są teraz bardzo mocno zaangażowane w projekty artylerii polowej i karonad. Uwzględnili niższą wagę, co ma istotne znaczenie dla transportu, i zdecydowali się na drut.

- Jeśli tylko będą trzymali się grafiku, to nie obchodzi mnie, którą opcję wybiorą - oznajmił Simpson.

- Jasne - przytaknął Eddie, lecz na twarzy miał grymas. - Wciąż uważam, że powinniśmy zdecydować się na produkcję broni odcylkowej. Nasza szybkostrzelność będzie śmiechu warta.

- Podjęto już decyzję, kapitanie - zauważył chłodno Simpson. Po chwili odrobinę ustąpił. - Sam bym wolał broń odcylkową - dorzucił - ale komisja przydziałowa miała rację. Brakuje nam zasobów na to, co musimy zrobić, a broń odprzodowa załatwi sprawę. Zwłaszcza z hydraulicznym systemem odrzutu.

Wzruszył ramionami. Eddie skinął głową w sposób, którego nikt nie określiłby mianem radosnego, jednak nie widać było śladu prawdziwego sprzeciwu.

- Przynajmniej dzięki niemu będzie można bezpiecznie załadować działko pod pokładem - westchnął.

- Szczególnie w świetle pańskiej sugestii obsługiwania furt za pomocą tego samego systemu - przyznał mu rację Simpson.

Nat wiedział, że Eddie wciąż uważa się za niezłomnego zwolennika rządów Stearnsa, a tym samym - niejako z definicji - za naturalnego wroga wszystkiego, co jest związane z Johnem Chandlerem Simpsonem. Mimo to zauważył błysk satysfakcji w szarych oczach rudzielca w chwili, gdy Simpson go docenił. On sam natomiast wciąż był zdumiony - nie dość, że Simpson miał dla nich uznanie, to jeszcze otwarcie do tego się przyznawał.

Podobnie jak kilka razy wcześniej, Davis zaczął się zastanawiać, czy dla starszego z rodu Simpsonów konflikt z własnym synem nie był jednak bardziej bolesny, niż kiedykolwiek publicznie okazywał. Jeśli tak, to może w jakiś przedziwny sposób John Simpson traktował młodego i bezczelnego Eddiego Cantrella - a także jego przyjaciela Larry'ego Wilda - jak kogoś w rodzaju zastępczych synów.

Trudno powiedzieć. Niezależnie od wszelkich talentów Johna Simpsona, „wrażliwość osobista” znajdowała się gdzieś na samym dole listy. Nat nieznacznie pokręcił głową i ponownie skupił się na bieżących sprawach

Projekt mocowania dział, na który ostatecznie zdecydowali się Davis i Ollie Reardon, za żadne skarby nie przeszedłby w dwudziestym pierwszym wieku, ale dla ich obecnych potrzeb wydawał się satysfakcjonujący. Po każdym strzale działo gwałtownie szarpało w tył, następnie automatycznie blokowało się z lufą schowaną pod pokładem, gdzie było czyszczone i przeładowywane, aż wreszcie przesuwano dźwignię zwalniającą i cylindry hydrauliczne wypychały działo z powrotem do baterii. Po wprowadzeniu w życie pomysłu Eddiego i zastosowaniu podnoszonych furt pancernych dla otworów strzelniczych, a także pręta łączącego każdą okiennicę z lawetą odpowiadającej jej armaty, ten sam system hydrauliczny odpowiadał za otwieranie otworów strzelniczych i zamykanie ich wtedy, gdy zajmowano się bronią.

- A co z karonadami burtowymi i drewnianymi pancernikami? - zapytał Simpson.

- Będą zgodnie z grafiką - zapewnił go Davis. - A ekipa w Lubece mówi, że za jakieś cztery-pięć tygodni będą gotowi, żeby na miejscu zrobić odlewy karonad dla Gustawa. Wczoraj dostaliśmy od nich wiadomość radiową.

- Byleby tylko nie zabierali zasobów naszemu projektowi - mruknął kwaśno Simpson. - To monstrum, którego zażyczył sobie Gustaw, kosztowało nas już wystarczająco wiele trudu.

- Chyba nie powinno nas to dziwić - zauważył Eddie z szerokim uśmiechem. - Parę lat przed Ognistym Kręgiem zebrałem do jednej gry trochę materiałów o siedemnasto- i osiemnastowiecznej marynarce i okazało się, że zaledwie kilka lat temu Gustaw zbudował taki naprawdę olbrzymi galion. Miał to być największy i najgroźniejszy okręt wojenny na całym Bałtyku. Nazwał go na cześć dynastii Wazów.

- Serio? - Davis spojrzał na niego i uniósł brew. - Po twojej minie widzę, że tamten projekt nie był do końca udany.

- Można to tak ująć - zachichotał Eddie. - To badziewie poszło na dno już w samym porcie. Chyba ktoś się nieco pomylił w obliczeniach stabilności.

- Cudownie - parsknął Simpson. - To chyba nie jest najlepsza rekomendacja ich ostatniego projektu, zgadza się?

- Myślę, że teraz będą już bliżej sukcesu... panie admirale. - Eddie Ponownie się uśmiechnął. - Inżynierowie króla o mały włos nie pożarli moich egzemplarzy książek Chappelle'a o projektach amerykańskich żaglowców. Nie ma tam nic o pancernikach, ale ten projekt korwety, na którym się skupili, powinien bez problemu utrzymać pancierz. Szczególnie przy obniżeniu wagi dział.

~ Absolutnie nie wątpię w to, że ów projekt jest wykonalny, kapitanie - Powiedział Simpson.

- Czy praktyczny... to już zupełnie inna kwestia. ^° jest żaglowiec. Oznacza to, że wciąż będą

musieli mieć załogę na pokładzie, żeby stawiać żagle, a to chyba jednak będzie taka maciupeń-ka szczelinka w ich osłonie.

-No racja - przytaknął Eddie. - Oczywiście opancerzone nadburcia powinny trochę pomóc.

- Trochę. Tymczasem jednak kierujemy wysiłki na zbudowanie w Lu-bece prawdziwej walcowni.

- Może i tak - odparł Davis - ale będzie produkowała żelazo, a nie stal. A poszczególne płyty i tak nie będą o wiele większe od naszych. -Uśmiechnął się szeroko. - Szczerze mówiąc, z miłą chęcią pozwolę im bawić się w realizację ich własnego projektu, jeśli my w tym czasie zajmujemy się budową naszego.

- Może to słuszna uwaga - odparł Simpson. Chwilę kiwał się na fotelu, myśląc o tym, co usłyszał od Eddiego i Nata. Przynajmniej nie grożą im kolejne obsunięcia w planie produkcyjnym. Po raz kolejny zastanowił się, czy nie dać pierwszeństwa drewnianym pancernikom. Byłyby znacznie mniejsze, uzbrojone tylko w karonady o dość krótkim zasięgu i osłaniane jedynie wyjątkowo grubym i ciężkim „pancerzem” z drewna. Po nadto miały być napędzane kołami łopatkowymi umieszczonymi między kadłubami, az kolei ich napęd byłby parowy. Tak czy inaczej, te znacznie prostsze projekty byłyby dostępne w większej liczbie i miałyby wyraźnie mniejsze zanurzenie niż tradycyjne pancerniki, nawet ze zbiornikami balastowymi.

Dlatego dręczyły go wątpliwości, czy nie powinien nalegać na szybsze ukończenie prac. W końcu potrzebne im były zwyczajne statki, które po prostu spełnią swoje zadania, a nie najwspanialsze na świecie konstrukcje. W czasach, gdy służył w marynarce, zdarzało mu się widzieć wiele niefortunnych demonstracji, kiedy to ekipa upierała się, żeby dobudować wszelkie możliwe fajerwerki!

Po raz kolejny nakazał swym wątpliwościom się zamknąć. Bez wątpienia było w tym trochę racji, jednak warto też było zbudować kilka naprawdę dobrych jednostek, które byłyby wspierane przez drewniane pancerniki. I nawet jeśli tkwił w tym element tak pogardzanego przez Simpsona tworzenia imperium (choć równocześnie sam pochłonięty był tworzeniem swego własnego małego imperium politycznego), to trudno.

- To chyba wszystko, panowie - odezwał się. - Panie Davis, byłbym wdzięczny, gdyby skontaktował się pan osobiście z miejscowymi kowaliami. Przypuszczam, że naszym kolejnym wąskim gardłem będzie produkcja śrub. Wytwarzanie pancierza nie będzie miało wielkiego sensu, jeśli nie będziemy w stanie przymocować go do kadłubów! Chciałbym, żeby się pan o to zatroszczył.

Davis skinął głową i Simpson odwrócił się do Eddiego.

- Teraz pan, kapitanie. Według Dietricha jest problem z mocowaniem dział burtowych w Trójce. Nie bardzo wie, o co może chodzić. Chciałbym, żebyście skontaktowali się z brygadzystą i uzyskali wszelkie możliwe informacje. Jeżeli uznacie, że poradzicie sobie z tym sami, to proszę bardzo. Gdyby była konieczna pomoc, jestem przekonany, że pan Davis z miłą chęcią się tego podejmie.

- Tak jest, panie admirale - powiedział Eddie. - Już się do tego biorę.

- Dobrze. W tej sytuacji, panowie, możecie odmaszerować.

Davis skinął głową, a Eddie stanął na baczność (albo przynajmniej -uznał Simpson - było to coś bardziej zbliżonego do stania na baczność niż zazwyczaj), po czym obaj odwrócili się i skierowali do wyjścia.

- Jeszcze jedno - zatrzymał ich tuż przed drzwiami, a gdy się odwrócili, uśmiechnął się lekko do Eddiego. - O mało co zapomniałem. Może pana zainteresuje, kapitanie, że prezydent i Kongres zaakceptowali pańskie propozycje nazw dla pancerników.

- Naprawdę? To wspaniale! - Eddie uśmiechał się od ucha do ucha.

- Owszem, naprawdę. Jedyńka będzie się nazywać „Constitution”. Dwójka - „United States”. Trójka - „President”, a Czwórka - „Monitor”. Mniemam, że spełnia to pańskie oczekiwania?
- No jasne! - odparł z zapałem Eddie, po czym się zreflektował. - To znaczy oczywiście, że tak, panie admirale.
- To wspaniała wieść - powiedział oschle Simpson. - Odmaszerować, panowie.

1633

63

- Mam! - wykrzyknął niespodziewanie Gustaw Adolf. - Złóżmy im wizytę!
Axel Oxenstierna, stojący tuż obok niego przy otwartym oknie nowego pałacu z widokiem na serce Magdeburga, otworzył szeroko oczy. Spoglądał na jeden z budynków, które ostatnio wzniesiono w mieście. A konkretnie: piorunował go wzrokiem. I to bardziej specyficzną ornamentyką niż sam budynek.
Niemal każda budowla w Magdeburgu była nowa albo prawie nowa. Dwa lata wcześniej, w trakcie długiej, pełnej potworności wojny, bawarscy żołnierze Tilly'ego splądrowali miasto. Zamordowano większość mieszkańców - jakieś dwadzieścia-trzydzieści tysięcy ludzi, w zależności od tego, kto o tym opowiadał - a sam Magdeburg puszczono z dymem. Mało co uchowało się przed grabieżą, gdy armia Tilly'ego w końcu opuściła miasto.
Tymczasem już od miesięcy (począwszy od decyzji Gustawa Adolfa, który ubiegłej jesieni ustanowił Magdeburg stolicą swego nowego królestwa zwanego Konfederacją Księstw Europejskich) w mieście wrzało jak w ulu. Nikt nie znał całkowitej liczby ludności, ale Oxenstierna nie miał wątpliwości, że przekroczyła ona już trzydzieści tysięcy. Ludzie z całych środkowych Niemiec - a nawet spoza nich - dosłownie zalewali miasto, aby wykorzystać szansę, jakie im stwarzało. Wszędzie powstawały wszelkiego rodzaju konstrukcje: nowe posiadłości, rzecz jasna, - w tym także nowy pałac cesarza, w którym Oxenstierna właśnie przebywał - lecz również przedziwnie wyglądające fabryki wzdłuż brzegów Łaby, które zaprojektowali amerykańscy poddani Gustawa. Z miejsc, w którym

stał, Axel był w stanie dostrzec fabrykę okrętów, gdzie John Simpson i jego ludzie budowali nowe opancerzone łodzie.

„Poddani - pomyślał kwaśno Oxenstierna. - To tak, jakby nazywać wilka »pieskiem« tylko dlatego, że na chwilę pozwolił sobie założyć obrożę. Ze sznurkiem zamiast smyczy i bez kagańca”.

- Chyba żartujesz - warknął. - Gustawie, ty przecież nie mówisz poważnie.

Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na swego władcę. Postura Gustawa II Adolfa - tudzież Gustavusa Adolphusa w wersji zlatynizowanej - dorównywała jego pozycji w świecie. Król Szwecji i cesarz Konfederacji Księstw Europejskich był olbrzymim mężczyzną. Mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt, był szeroki w barach i mocno umięśniony. Warstwy tłuszczu, które nieuchronnie pokrywały jego ciało zawsze wtedy, gdy król nie brał udziału w wyczerpujących kampaniach, tylko dodawały powagi jego postaci.

- Chyba żartujesz - powtórzył kanclerz, tym razem już niemal błagalnie. Gustaw wzruszył ramionami.

- Czemu niby miałbym żartować?

Pochylił twarz okoloną krótkimi jasnymi włosami i zwieńczoną kozią bródką, która łączyła się z grubymi wąsami. Jego potężny haczykowaty nos zdawał się wycelowany wprost w obraźliwą konstrukcję poniżej.

-To są moi poddani, Axelu, nawet jeśli... - Zaśmiał się tubalnie. -Przyznaję, że te lajdaki zdają się kompletnie tą zależnością nie przejmować. Ale chciałbym ci przypomnieć, że ani razu - ani razu, Axelu - otwarcie się nie zbuntowali.

- Nie, otwarcie nie - przyznał kanclerz. Z kwaśną miną przyglądał się osobliwym bliźniaczym łukom, które zdobiły odległy gmach. Były jasnożółtego koloru, co sprawiało, że wyróżniały się spośród szarości otaczających budynków. Zwłaszcza że ta szarość należała głównie do okolicznych fabryk.

Przypuszczalnie właśnie ten kolor irytował Oxenstierne bardziej niż cokolwiek innego.

Częściowo dlatego, że jego jaskrawość, odznaczająca się na tle nowo wzniesionych brych fabryk i warsztatów, podkreślała ów niezwykle fakt, że te przekłete komitety korespondencyjne praktycznie zawsze znajdowały chętnych słuchaczy wśród klasy robotniczej, gwałtownie wyrastającej w środkowych Niemczech. A już szczególnie gwałtownie w Magdeburgu.

Głównie jednak irytowało go to, że złota farba była naprawdę droga.

Konsekwencje całej tej sytuacji nie dawały Oxenstiemie spokoju. W królestwach zdarzało się, że wśród części populacji pojawiały się niepokoje i radykalne poglądy. Nie było w tym nic niezwykłego. Od dwóch wieków Europę trawiły okresowe wybuchy masowego niezadowolenia - a nawet rebelie. Ruch comuneros zatrzęsł nawet posadami hiszpańskiego królestwa Karola V, Holendrzy całkowicie pozbyli się Habsburgów, zaś w poprzednim stuleciu Cesarstwem Niemieckim wstrząsnęły Wojna Chłopska i zajęcie Munster przez anabaptystów. Nawet Szwedzi miewali własne niepokoje społeczne, takie jak powstanie chłopskie pod wodzą Nilsa Dacke, które miało miejsce sto lat wcześniej.

Większość tych rebelii była jednak łatwa do stłumienia. Powstańcy z zasady stanowili jedną wielką zbieraninę ubogich wieśniaków i mieszczan - niejednokrotnie zwyczajnych włóczęgów - „dowodzonych” (jeśli w ogóle można użyć takiego sformułowania) przez garstkę najniższej urodzonej szlachty. Niedouczonej, i to zarówno w kwestii realiów politycznych, jak i wszystkiego innego, pozbawionych na dobrą sprawę jakichkolwiek przewodnich zasad, poza fanatyczną religijnością i nienawiścią do uciśkających ich możnych. Niezależnie od tego, jak wielkie były „armie” powstańców - chłopci ze środkowych i południowych Niemiec wysłani kiedyś do boju przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn - prawdziwe wojsko, odpowiednio dowodzone i zorganizowane, miażdżyło ich najpóźniej po

dwóch latach. Z wyjątkiem Holendrów, którzy cieszyli się specjalną przewagą, żadne z europejskich powstań nie trwało długo.

Tymczasem to... było coś innego. Sam fakt, że komitety korespondencyjne zawsze potrafiły zebrać od swych zwolenników fundusze na kupno złotej farby, był niewielką, lecz wyraźną tego oznaką.

- Szlag by trafił tę przekłętą kobietę - mruknął Axel. - Czasem myślę.

- Nie waż się tego mówić - przerwał mu król. - Nie waż się, Axelu. Ani w mojej obecności, ani w obecności kogokolwiek innego. - Gustaw obrócił głowę, kierując swój drapieżnie zakrzywiony nos na kanclerza. - Nie jestem tym angielskim królem - Henrykiem II, prawda? - który ponoć rzekł: „Dalibóg! Czy ktoś oswobodzi mnie od tego klechy?4”.

Znów powrócił do lustrowania złotych łuków.

- Poza tym przesadnie się zamartwiasz. To, co ciebie najbardziej prze-raża w Gretchen Richter i jej malkontentach, mnie akurat uspokaja. Niech ci się nie wydaje, Axelu, że masz do czynienia z ciemnymi wieśniakami. Czytałem ich broszury i gazety. Podobnie jak i ty. Są wielce przemyślane i uczone, pomimo ich ostrej wymowy. Czy kiedykolwiek wymieniali mnie jako swego wroga?

Oxenstierna zacisnął szczęki.

- Nie - przyznał niechętnie. - Przynajmniej jeszcze nie. Ale poznałem tę kobietę - podobnie jak i ty - i jeśli ciągle myślisz, że ona przy pierw-szej nadarżającej...

- Możesz ją za to winić? - warknął Gustaw. - Powiedz mi, arystokra-to, czy gdybyś przeszedł przez to, co ona, też byłbyś pełen szacunku i po-dziwu dla tych „znaczniejszych” od siebie?

Spojrzał na niego.

- Nie sądzę! To, że skarga pochodzi od człowieka niskiego urodzenia, nie oznacza, że owa skarga jest bezzasadna - dobrze ci radzę, kanclerzu, byś o tym nie zapominał. Ani o tym...

Gniew powrócił na jego twarz.

- Ani o tym, że Bóg nie stosuje takich podziałów. Z pewnością nie w nie-biosach, niezależnie od tego, co ustanowi na tym świecie.

Oxenstierna stłumił westchnienie. Jego władca był człowiekiem po-bożnym, oddanym swej własnej, nieco specyficznej interpretacji luterani-zmu. A może była to po prostu spuścizna jego rodowych tradycji. Dyna-stia Wazów doszła do władzy w Szwecji między innymi dlatego, że wielki założyciel rodu - Gustaw Waza, dziadek mężczyzny stojącego obok -zawsze skłonny był stanąć po stronie pospółstwa w sporze z arystokracją. Od czasu do czasu Gustaw Adolf uważał za stosowne przypominać o tym wszystkim swym szlachetnie urodzonym podwładnym.

- Dość! - wykrzyknął Gustaw. W słowie tym zadźwięczała nutka we-sołości. - Chcę złożyć im wizytę, Axelu, i tak właśnie zrobimy. Dziś.

Odwrócił się od okna i ruszył ciężko w stronę drzwi.

- Tym bardziej że od twoich szpiegów wiemy, że ten cały Spartakus przebywa obecnie w mieście. Równie dobrze mogę teraz wyrobić sobie o nim zdanie. Według pozyskanych informacji to właśnie on, bardziej niż Gretchen Richter, jest przywódcą całej bandy.

- Oni nie mają prawdziwego przywódcy - zagrmiał Axel, idąc w ślad ^ swym władcą. - Richter jest najbardziej znana, ale przynajmniej pół tuzina innych odgrywa równie ważną rolę jak ona. Nawet jeśli...

Gorycz powróciła do jego głosu, i to z pełną mocą. Kolejne słowa wy-powiedział raczej z żalem niż potępieniem.

- Gdzie, na litość boską, córka drukarza nauczyła się tak przemawiać Publicznie?

Znajdowali się już na korytarzu. Człapanie Gustawa trudno było na. zwać „marszem” z uwagi na to, że stawiał kroki z delikatnością wołu. Przemieszczał się jednak bardzo szybko.

- Powiedz mi coś więcej o tym Spartakusie - zażądał przez ramię.
 - Po pierwsze, to nie jest jego imię. To zwyczajna głupia poza, którą przyjmuje w swoich broszurach. Naprawdę nazywa się Joachim Thierbach - a może von Thierbach - i wydaje się pochodzić z mniej znaczącego rodu saskiej szlachty.
 - Jeśli to „von” Thierbach, to może wcale nie pomniejszej. Axel potrząsnął głową z rozdrażnieniem.
 - Sasi! A właściwie wszyscy Niemcy! Kto może pojąć tę ich skomplikowaną hierarchię? Przypuszczam, że nawet oni sami nie mogą.
- Dotarli już do bramy pałacowej; król niemal sadził w dół po schodach, aż w końcu znalazł się na ulicy. O ile ten błotnisty teren można było określić mianem „ulicy”. Nawet tutaj, w dzielnicy królewskiej, robotnicy kładący nowy bruk lub naprawiający stary nie nadawali za gwałtownie odrażdżającym się miastem.
- Pilnujący bramy oddział szkockich najemników natychmiast zaczął formować szyk wokół monarchy. Gustaw Adolf gestem nakazał im wrócić na posterunek.
- Myślę, że to byłby błąd dyplomatyczny. - Wizja okazania prawdziwego męstwa jak zawsze uradowała króla Szwecji. - Chyba rozsądniej będzie wkroczyć jako kapitan generał Gars.
- Przystanął i uśmiechnął się szeroko do Oxenstierny.
- A czy tak nieustraszony żołnierz potrzebuje ochrony?
- Axel w końcu uznał, że trzeba poddać się temu, co nieuchronne i odwzajemnił uśmiech.
- Z całą pewnością nie. - Spojrzał na miecz u boku Gustawa i położył dłoń na rękojeści swojego. - W końcu można z tego zrobić dobry użytek, a my wiemy, jak tego dokonać. Zadrżycie przed nami, studenci, rzemieślnicy i ulicznicy!
- Gustaw wybuchnął śmiechem.
- Raczej nie. Ale myślę, że będą uprzejmi.
- * * *
- Okazało się, że Spartakus był więcej niż uprzejmy. Był wprost dworski. A swymi niewymuszonymi manierami i swobodnym, aczkolwiek pełnym szacunku zachowaniem udowodnił, że podejrzenia Oxenstierny nie były bezpodstawne. Prawie na pewno „von” Thierbach.
- Gustaw nie miał nic przeciwko temu, żeby się dowiedzieć. Gdy więc on i Axel spoczęli już przy stole w rogu magdeburskich „Łuków Wolności” (obydwaj mieli spore trudności z zachowaniem powagi na widok gromady ludzi wlepiających w nich oczy z każdego zakamarka przestronnej izby jadalnej), król od razu przeszedł do rzeczy.
- Jak to z tobą jest, młodzieńcze? Joachim Thierbach? A może von Thierbach?
- Joachim uśmiechnął się. Mężczyzna siedzący na wprost króla i kancle-rza nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Był szczupłej budowy i raczej wysoki. Okulary tkwiące na nosie w połączeniu z przedwcześnie łysiejącymi skrońmi nadawały mu wygląd uczonego.
- Von Thierbach, Wasza Wysokość. Mójród pochodzi z miasteczka nieopodal Lipska.
 - Niecodzienne pochodzenie, tak mi się wydaje, jak na kogoś o twoich, że się tak wyrażę, „skrajnych poglądach”.
- Thierbach wzruszył ramionami.
- Czemuż to, Wasza Wysokość? Czemuż miałbym się ograniczać do horyzontów umysłowych małego szlachetnie urodzonego Sasa? - Uśmiech niepostrzeżenie przeszedł w gorzki, ironiczny grymas. - „Małostkowy” jest tu właściwym słowem. Okupować niezbyt wielką posiadłość, władać niezbyt wielką gromadą brudnych i ledwo piśmiennych chłopów. Tacy właśnie są „szlachetnie urodzeni”.
- Axel patrzył z wściekłością. Gustaw się uśmiechał.
- Owszem, najczęściej tak jest - zgodził się król.

Przestronny budynek, który zajęły komitety korespondencyjne, utrzymany był w dużej czystości. Wręcz w niezwykłej, jeśli porównać z większością ówczesnych budynków. Dla zwolenników ruchu politycznego Gretchen Richter dbałość o czystość i higiena osobista były niemalże obiektem kultu - choćby dlatego, że były „nowoczesne”. Nawet Axel po c>chu przyznawał, że akurat ten konkretny aspekt działalności komitetów jest godzien pochwały. Wnętrze budynku urządzono istic po spartańsku. Meble były tanie i prymitywne, podobnie jak mieszczące się w części kuchennej piec i piekarzski. Jedynym wyjątkiem był nowy żeliwny „piec Franklina” usytuowany w r°gu głównego pomieszczenia. Gustaw powstrzymał się od wyszczerbia zębów w uśmiechu. Jeden z jego szwedzkich dworzan niedawno oznajmił kwaśno, że komitety korespondencyjne przyjęły piece konwek-eXine tak samo, jak wczesny Kościół przyjął symbol krzyża.

Król zerknął na półmisek z jedzeniem, który przyniósł jeden z usługujących młodzieńców. Leżały na nim jakieś plastry przypominające mieszaninę kapusty kiszzonej i roztopionego żółtego sera, położone na czymś, co wyglądało jak chleb. Pomimo że Gustaw zrezygnował ze swego tradycyjnego obfitego drugiego śniadania, nie kusilo go, by spróbować tego jedzenia. Bez wątpienia jakiś niezbyt wykwalifikowany piekarz zrobił je na miejscu z najtańszych dostępnych produktów.

Wiedział, że to również jest jedna z tych rzeczy, które denerwowały jego kanclerza. Połączenie niechęci do wygod z aż nazbyt widoczną umiejętnościami zbierania funduszy świadczyło o swoistym fanatyzmie członków komitetów korespondencyjnych. Niezależnie od tego, w jak wielkim stopniu zaczerpnęli swą ideologię od amerykańskich mentorów, żarliwość, z jaką się do niej stosowali, musiała chyba nawet samych Amerykanów przyprawiać o dreszcze.

Rozumiał obawy Axela. Teoretycznie komitety rzeczywiście były dość niebezpieczne. Jednak...

„Wojna to wojna, kampania to kampania, bitwa to bitwa, a potyczka to potyczka. Nie mylmy jednego z drugim”.

- Powiem wprost - rzekł. Wskazał kciukiem na siedzącego tuż obok kanclerza. - Mojego przyjaciela i doradcę, tego tutaj Oxenstierne, martwią wasze zamiary. I zagrożenie, jakie te zamiary mogą stanowić dla mych rządów.

Joachim przez chwilę patrzył uważnie na Axela. Było w jego spojrzeniu coś sowiego. Uczzonego, owszem - lecz sowy to też drapieżniki.

- Ma rację, że się martwi - powiedział wreszcie ostro. - Ale nie z powodu naszych zamiarów, lecz z powodu logiki wydarzeń. Nie będę kłamał, Wasza Wysokość. Może nadejść taki czas - podkreślam: może - że znajdziemy się w przeciwnych obozach. Lecz jeśli o mnie chodzi, wołałbym uniknąć takiej ewentualności.

Król chrząknął.

„Proszę. Nawet najwięksi radykałowie mają swoje frakcje. Tego się spodziewałem”.

- Richter nie wróci jeszcze przez jakiś czas - zauważył łagodnie Drażył.

Thierbach przeniósł na niego swój sowy wzrok.

- Proszę nie spodziewać się rozłamów w naszych szeregach. Wasza Wysokość. Albo może proszę ich nie interpretować w niewłaściwy sposób. To prawda, że Gretchen i ja nie zawsze się zgadzamy. Nikt z tego zresztą nie robi tajemnicy. Obydwoje pisaliśmy broszury i wygłaszaliśmy przemowy, w których te różnice były dość wyraźne.

Gustaw zerknął z ukosa na Axela. Kanclerz wydawał się lekko zarużmienić. Król poczuł się rozdarty między rozbawieniem a irytacją. Najwyraźniej dla arystokratycznego Oxenstierne subtelne różnice w opiniach radykalnych demokratów były nie do uchwycenia.

„Muszę postarać się o własną sieć szpiegów - pomyślał król. - Wnikliwych, którzy zrozumieją to, co zobaczą, zamiast sapać z oburzenia. Chyba że jestem w wielkim błędzie...”.

Chwilowo odsunął te myśli na bok. Zbyt wiele intrygujących rzeczy odnajdywał w siedzącym naprzeciwko młodzieńcu, żeby zaprzęcać sobie głowę czym innym.

„...przez resztę życia będę miał do czynienia z Thierbachem, Richter i im podobnymi. Dobrze jest poznać swych wrogów - i swych przyjaciół zarazem, bo królowi nie zawsze łatwo jest odróżnić jednych od drugich”.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś rozwinął temat. - Pomimo całej łagodności, słowa te były ni mniej, ni więcej, tylko królewskim rozkazem.

Młody Thierbach nie uniósł się gniewem. To również było intrygujące. Z doświadczenia wiedział, że większość młodzieńców w gorącej wodzie kapanych właśnie tak by się zachowała.

- Różnice między mną a Gretchen to nie tyle różnice w poglądach, Ważna Wysokość - a już z pewnością nie w pryncypiach - co raczej różnice, które wynikają z naszej odmiennej działalności. Gretchen jest... - Nie był to brak określeń, lecz raczej szukanie tego najważniejszego. - Nazwijmy ją naszym „duchem przewodnim”. Ona nie zna strachu, zawsze pierwsza wdrze się przez każdy wyłom.

Gustaw kiwnął potakująco głową. Poznał już tę młodą kobietę - pierwszy raz spotkali się, gdy stała z dymiącym pistoletem nad trupami chorwackich kawalerzystów w służbie cesarza Habsburga. Część z nich zabiła osobiście.

Joachim uśmiechnął się, poprawił okulary i przejechał dłonią po wysokim czole.

- Ufam, że sam też bym się przed takim wyłomem nie zatrzymał. Ale zdecydowanie nie jesteśmy z tej samej gliny. Ja jestem bardziej organizatorem naszych komitetów. Tym, który stoi z tyłu i dba o to, by ci nieustraszeni z pierwszych szeregów nie omdleli z braku pożywienia. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Amerykanie mają na to takie jedno pospolite określenie: „pierdolony gryzpiórek”.

Gustaw wyszczerzył zęby. Oxenstierna wprost się roześmiał. Mimo całego swego snobizmu kanclerz nie był świętoszkiem - sam zresztą dowodził wojskiem na polu bitwy.

- Pierdolony gryzpiórek - zachichotał. Spojrzał na siedzącego obok monarchę i dorzucił: - Taką właśnie rolę Gustaw zazwyczaj mnie obdarza.

Oxenstierna przeniósł wzrok z powrotem na młodego radykała po drugiej stronie stołu i - po raz pierwszy - Gustaw dostrzegł w jego oczach coś więcej poza absolutnym brakiem zrozumienia i skrywaną pogardą.

„Bogu dzięki. Przydałby mi się twój intelekt, Axelu, tak dla odmiany. Twoje uprzedzenia są dla mnie bezużyteczne”.

- Kontynuuj, proszę - powiedział kanclerz. O dziwo, ton jego głosu był równie uprzejmy jak same słowa.

- Chodzi mi po prostu o to, że z uwagi na swą pozycję na przedzie Gretchen często nie zważa na to, co można by określić mianem politycznej logistyki kampanii. - Twarz Joachima zdawała się teraz należeć do znacznie starszego mężczyzny. - Królu i kanclerzu, ja jestem świadom zarówno kosztów rewolucji, jak i korzyści z niej płynących. Przystudiowałem książki historyczne, które Amerykanie przywieźli ze sobą - wy bez wątpienia również. I pomimo że te książki w znaczącym stopniu pomogły mi dojść do odpowiednich wniosków, zarazem jednak przestrzegły mnie - myślę, że bardziej niż Gretchen - przed grozącymi nam niebezpieczeństwami. Tak więc osobiście skłaniałbym się ku wolniejszej kampanii.

Sowi wzrok powrócił i tym razem był bardzo drapieżny.

- Miasto można przecież zdobyć na wiele różnych sposobów. Zażarta bitwa przy wyłomie, a później grabież to tylko jeden z nich, a biorąc wszystko pod uwagę, zazwyczaj nie jest to najlepsze rozwiązanie.

Gustaw II Adolf, król Szwecji, cesarz Konfederacji Księstw Europejskich, odwzajemnił to spojrzenie drapieżnego ptaka. Ponieważ niemal powszechnie uznawano go za

najwspanialszego żołnierza owych czasów, było to spojrzenie imponujące. Wielki zakrzywiony nos tylko potęgował wrażenie.

Pomimo tego młoda sowa nie skuliła się pod spojrzeniem dojrzałego orła. Z jakiegoś względu to uspokoiło Gustawa.

- Zgadza się - rzekł ostro. - Oblegałem i zdobyłem już wiele miast - pewnie więcej niż jakikolwiek człowiek naszych czasów. Najlepszym sposobem na wygranie oblężenia jest sprawić, by obrońcy się poddali. A z doświadczenia wiem, że jest to znacznie łatwiejsze, gdy mogą się poddać z honorem oraz godnością i wymaszerować z miasta, niosąc swą broń i sztandary. A już najlepiej jest wtedy, gdy wstępują potem do ciebie na służbę.

Wreszcie Thierbach zdawał się być tym, kim naprawdę był - młodzieńczeniem stawiającym czoła starszemu i znacznie potężniejszemu mężczyźnie. Miał minę... nie speszoną, nie, nawet nie zdenerwowaną - lecz chyba odrobinę niepewną.

- Też tak uważam - powiedział cicho. - Nie dążę do rozlewu krwi, Wasza Wysokość. Gretchen też nie, cokolwiek myślą o niej ludzie.

Teraz był to już młody chłopak. W jego oczach malował się smutek.

- A co z nią, tak przy okazji? Czy coś wam wiadomo? - Oszczędnym gestem wskazał na gromadę ludzi w pomieszczeniu. - Wszyscy się o nią martwimy. Sytuacja we Francji wydaje się... niepomyślna.

Gustaw zaśmiał się krótko.

- A czy właśnie nie dlatego ją tam wysłaliście? „Niepomyślna”, też coś! To wymarzone miejsce dla wichrycy.

Joachim zdobył się na uśmiech, lecz najwyraźniej troska go nie opuściła. Król machnął ciężką dłoń.

- Nic mi nie wiadomo. Ale...

* * *

Później Axel lajał go i rugał. Godzinami i dniami, które przeszły w tygodnie i miesiące.

Gustaw Adolf zawsze jednak był człowiekiem stanowczym. Od czasu, gdy jako szesnastoletni książę poprowadził armię ojca do zdobycia duńskiej twierdzy, wiedział już, że brak zdecydowania jest znacznie częstszą przyczyną przegranych bitew - i wojen - niż jakiegokolwiek błędy.

- Zgoda - powiedział zdecydowanie. - Jeśli to będzie konieczne, zrobię, co tylko będę mógł, dla tej waszej podżegaczki. Macie moje słowo. Z mojej strony - jeśli będzie to konieczne - oczekuję od was pełnego Poparcia w walce z moimi wrogami. Sytuacja we Francji, jak raczyłeś to ująć, wydaje się niepomyślna.

- Richelieu - syknął Joachim. Gustaw ucieszył się, słysząc, że syk rozszedł się po całym pomieszczeniu.

Młody radykał wyprostował się.

- Richelieu, Habsburgowie - całe to ściwierwo - przeciwko nim, Wasza wysokość, komitety korespondencyjne zawsze będą cię wspierać.

Po raz kolejny szmer, jaki rozległ się wśród tłumu, wskazywał na to, że młody Thierbach mówił w imieniu ich wszystkich. Gustaw skinął głową.

- Dobrze. A teraz, zanim się oddalę, czy jest jeszcze coś, co chciałbyś powiedzieć?

Joachim przyglądał mu się swymi poważnymi, sowimi oczyma. W końcu rzucił nieco gwałtownie:

- „Omówić” nie jest może najwłaściwszym słowem, Wasza Wysokość. Powiedziałbym raczej: zilustrować pewien problem.

Obrócił się na krześle i wskazał na jednego z młodzieńców stojących z przodu zbiorowiska.

Młokos, najwyżej siedemnastoletni, niski i kościsty.

- To Friedrich Guida. Pochodzi z Meklemburgii. Jest sierotą. Już od pięciu lat, kiedy to Wallenstein tamtędy przeszedł. Udało mu się ukryć w polu, gdy mordowano jego rodzinę.

Chował się tam przez kilka godzin, słuchał tego wszystkiego. Żołnierze Wallensteina bynajmniej się nie spieszyli.

Pozwolił, by Gustaw Adolfi Oxenstierna wyobrazili sobie ze szczegółami, co to oznaczało. Ponieważ obaj byli doświadczonymi żołnierzami, nie mieli z tym żadnych problemów. Palec Joachima wskazał następną osobę.

- Ta dziewczyna to Hannelore. Ma szesnaście lat. Pochodzi z Bran-denburgii. Podobna opowieść, z tym że przeżył też jej starszy brat, a ich najbliższych zabili Duńczycy. Tak im się przynajmniej wydaje. Mogli to być również ludzie Mansfelda. Kto to wie? Pospółstwu, a zwłaszcza chłopom, trudno jest odróżnić jedną armię najemników od drugiej.

Gustaw Adolf zacisnął szczęki.

„Trudno je odróżnić również ze względu na domniemanych »przywódców«. Między innymi dlatego przystałem na propozycję Stearnsa. Albo Simpsona, bo chyba od niego wyszła”.

Palec przesunął się dalej i zatrzymał na mężczyźnie o surowych rysach, który miał około dwudziestu pięciu lat. Wyraz jego twarzy był... nieprzejednany.

- To właśnie jej starszy brat. Gunther Achterhof. - Usta Joachima wykrzywiły się. - Na początku, gdy Gunther tu przybył, miał ze sobą zawi-nięte w szmatę jakieś potworne wyschnięte uszy i nosy. Cały tydzień za-jęło mi przekonanie go, żeby je wyrzucił. Na szczęście już wcześniej pozbył się intymnych narządów.

Spojrzał na króla i kanclerza wzrokiem równie surowym jak Achterhot

- Wraz z kuzynem i paroma sąsiadami schwytali później dwóch żoł-nierzy.

Maruderów. Zapewne to nie byli ci, którzy zamordowali jego ro-dzinę, lecz Gunthera to nie obchodziło. W najmniejszym stopniu. Najem-nik to najemnik.

Jeśli to w ogóle możliwe, w tym momencie twarz Joachima miała w so-bie jeszcze więcej surowości niż twarz Achterhofa.

_pła niego książkę, który wynajął tego żołnierza, to po prostu kolejny l^jąkę. Gunthera już niezbyt obchodzą - jeśli w ogóle - subtelne rozróż-nienia- Podobnie jest z jego kuzynem Ludwigiem, tym wysokim mężczy-zną stojącym w kącie.

palec nieubłaganie przesunął się dalej.

- Ten rudowłosy to Franz Heidebreder. Również pochodzi z Meklem-burgii- Na szczęście większość jego rodziny przeżyła. Tam stoi jego brat Friedrich, a tam są jego kuzyn Moritz i kuzynka Agnes. Trzy lata temu stracili swoje gospodarstwa, kiedy twoja szwedzka armia, panie, przybyła do Niemiec. Zarekwirowano wszystkie owce, a wraz z nimi niemal całą resztą. Owszem, zapłacono im za owce. Tylekroć jednak obniżałeś war-tość swej waluty, panie, że większość kupców nie przyjmuje już szwedz-kiego pieniądza. Masywne szczęki Gustawa zacisnęły się jeszcze mocniej, lecz nie opo-nował. Rzeczywiście obniżał wartość swej waluty, chcąc ukryć olbrzymie wydatki związane z wyprawą do Niemiec.

Joachim kontynuował głosem cichym, lecz twardym niczym granit.

- Matka Franza umarła pierwszej zimy z powodu choroby, którą spro-wadził głód. Jego najmłodszy brat zmarł wiosną. Cała rodzina opuściła Meklemburgię i starała się znaleźć schronienie gdzie indziej; jeden z ku-zynów i ciotka umarli po drodze. Znowu choroba z powodu osłabienia brakiem żywności i dachu nad głową. Gdy Franz znalazł ciało ciotki, miała wepchniętą w usta garść trawy. Pod koniec najwyraźniej starała się jązjeść.

Twarz Oxenstierny była napięta. Na obliczu króla malowała się obojęt-ność. Kanclerz już miał coś powiedzieć, kiedy władca położył swą ciężką dłoń na jego ramieniu.

Tymczasem palec Joachima wskazywał dalej. Twarz młodego saskie-go arystokraty chyba nieco złagodniała.

- Tamta dziewczyna to Mathilde Wiegert. Tak się składa, że to ona Przedstawiła mnie Gretchen Richter. Pochodzi z Palatynatu, ją również wojna skazała na wygnanie. Samą

Mathilde poznałem, kiedy studiowałem w Jenie. Razem ze swą kuzynką Ingą zostały ulicznicami, żeby mieć na życie dla siebie i grupy młodszych dziewcząt.

Urodziwa młoda kobieta zwana Mathilde posłała Gustawowi Adol-fowi lekki uśmiech. W całym pomieszczeniu jej twarz była jedyną uśmiechniętą. Król wiedział jednak, że ów uśmiech tak naprawdę nie był skierowany do niego. Skierowany był do młodzieńca, który właśnie

przedstawił królowi niezbyt delikatną „ilustrację”.

Joachim z powrotem obrócił się na krzesło i spojrzał na Gustawa i Oxen-stiernę.

- Tak się składa, że Mathilde jest również bezpośrednią przyczyną mo-jego odejścia od rodziny. Mój szlachetnie urodzony ojciec nie miał nic przeciwko temu, żebym sypiał z dziewczką z pospólstwa - co więcej, za-chęcał mnie do tego, traktując to jako część mojego wykształcenia - lec? wpadł w szal, kiedy dowiedział się, że planuję ją poślubić, gdy prawo w Magdeburgu zmieni się na wzór prawa Stanów Zjednoczonych.

„Gdy” zmieni się prawo. Nie „Jeśli”. To również mówiło samo za siebie.

-Taka właśnie jest pobożność arystokracji, królu i kanclerzu. Do tego właśnie - do niczego innego - sprowadzają się wasze subtelne rozróżnie-nia między luteranami, kalwinistami i katolikami. Który arystokrata ogra-bi i wyzyska którego plebejusza, jak mu będzie najdogodniej.

- Dość! - warknął Oxenstierna.

Cichy pomruk przetoczył się po ogromnej sali. Joachim wlepił w Oxen-stiernę kamienne spojrzenie.

- Właśnie, kanclerzu. O tym mówię. Dość.

Rozwścieczony Oxenstierna zaczął się podnosić. Tym razem jednak Gustaw, który cieszył się niebywałą siłą, zwyczajnie schwycił go za ramię i posadził z powrotem na krzesło.

- Będiesz słuchał mego ludu, kanclerzu - syknął. - Nie zamierzam utracić dynastii z powodu głupoty arystokracji. - Posłał Oxenstiernie wła-sną wersję kamiennego spojrzenia; żarliwość Joachima nadrabiał pewno-ścią siebie. - Waza. Nie zapominaj.

Obrócił się do Joachima. Wyczuł, że tłum za plecami nieco się uspokoił. Przez chwilę król i rewolucjonista obserwowali się nawzajem. W koń-cu Gustaw Adolf skinął głową na znak, że podjął decyzję. W końcu nie pierwszy raz król Szwecji uznał za stosowne spalić za sobą most w trak-cie kampanii.

- Postanowiłem sprowadzić rodzinę ze Szwecji tutaj, do Magdeburga. Przynajmniej moją córkę. Jak może wiesz, Krystyna jest jeszcze młocie. Ma siedem lat.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Większość zgromadzonych wygląda-ła na nastolatków i ludzi po dwudziestym roku życia. Jednak tu i ówdz,e dostrzegł kilkoro starszych - a także garstkę dzieci.

_ pałace to bardzo nudne miejsca dla żywiołowej dziewczynki. Myślę, IC raz na jakiś czas wycieczka tutaj dobrze by jej zrobiła.

Znów spojrzał na Thierbacha. Przez chwilę młodzieniec wydawał się ^paraliżowany.

Następnie zdumiony, a potem...

Jego wątle ramiona wyprostowały się.

_ Będzie musiała nauczyć się piec - oznajmił zdecydowanie głosem, w którym prawie nie czuło się drżenia. - Taka jest zasada. Axel wyglądał tak, jakby był na skraju apopleksji.

Gustaw zarechotał.

- Przewybornie! - powiedział, uderzając masywną dłonią w blat. -lej matka, a moja żona, dostanie, rzecz jasna, ataku. Podobnie byłoby z moją własną matką. Z drugiej jednak strony moja babka, małżonka wielkiego Gustawa Wazy, była ponoć znakomitym piekarzem. Nie wi-dzę żadnego powodu, żeby nie przywrócić tej umiejętności w naszym rodzie.

* * *

Oxenstierna zaczął stanowczo protestować, gdy tylko wyszli z budynku. Gustaw jednak machnął niecierpliwie ręką, każąc mu się uspokoić.

- Później, Axelu, później. Wiesz równie dobrze jak ja, że moja żona nie będzie w stanie wychować mojej córki. To urocza kobieta, lecz... sła-ba. Ile już kłopotów przysporzyła nam jej podatność na wpływy dworskich pochlebców?

Przystanął gwałtownie z butami zagrzebanymi w błocie i spojrzał gniewnie w dół na kanclerza.

- I ty też wiesz - czytałeś przecież te same księgi - co się stało z Krystyną. Mimo niezaprzecznego intelektu i rozlicznych talentów ostatecznie przeszła na katolicyzm i abdykowała. Nie dopuszczę do tego!

- Ale wtedy byłeś martwy, w tamtej... - Axel jakby starał się uchwycić coś dłonią. - Innej historii. W tej żyjesz.

Król wzruszył ramionami.

~ Zgadza się. Ona jednak musi wychowywać się między kobietami. Przynajmniej częściowo.

- Wskazał ruchem głowy na „Łuki Wolności”.

Mów, co chcesz o Gretchen Richter i jej kamratkach, ale im akurat sła-bej est obca.

^warz Axela oblała się niemal purpurą. Gustaw postanowił nieco ustą-P'c- Położył dłoń na ramieniu kanclerza i zaczął prowadzić go z powro-en* w stronę pałacu.

- Bądź spokojny. Nie zamierzam pozwalać, żeby Krystyna spędzała ^yt wiele czasu wśród tej zgrai radykałów. Co to, to nie. Znajdę jakąś odpowiednią arystokratkę, żeby była jej... Jak to nazywają Amerykanie? „Wzorzec osobowy”, o ile dobrze pamiętam.

Oxenstierna wydawał się nieco udobruchany. Gustaw, mając przed sobą dzień pełen sporów i debat, postanowił już nie drażnić tematu. Nie ma potrzeby wspominać o konkretnej arystokratce, którą miał na myśli.

Niestety jednak, mimo często bezmyślnych uprzedzeń, Oxenstierna był niebywale przenikliwy. Nie przeszli jeszcze dziesięciu kroków, gdy twarz kanclerza znowu przybrała srogi wyraz.

-To niemożliwe. Gustawie! Chyba nie myślisz...

- A niby czemu nie? - zapytał stanowczo król. - Uważam, że moja najnowsza - i zarazem najmłodsza - baronowa będzie wymarzoną towa-rzyszką dla Krystyny.

Wystawił jeden palec.

- Z uwagi na czasy, w których przyszło nam żyć, Krystyna powinna nauczyć się strzelać.

Potem wystawił drugi palec.

- Z drugiej strony Julie Mackay siedzi na koniu niczym wór ziemniaków. Krystyna zaś już teraz jeździ wyśmienicie, mogłaby więc pomóc baronowej nabyć umiejętność, która, z tym bez wątpienia się zgodzisz jest niezbędna dla poważanej szwedzkiej arystokratki.

- Julie Mackay jest w Anglii - burknął Oxenstierna. - Może już nawet w Szkocji.

- Cóż z tego? Przecież wróci.

- Sytuacja w Anglii również nie wydaje się „pomyślna”.

- Cóż z tego? - powtórzył Gustaw. Wskazał kciukiem za siebie, na „Łuki Wolności”. - Skoro muszę ratować jedną pyską młodą niewiastę, to czemu od razu nie dwie?

Przez chwilę stąpali w milczeniu. W końcu Axel westchnął.

- A może trzy, a może cztery. Nigdy nie sądziłem, że nadejdzie dzień-w którym to powiem, ale żałuję, że nie ma wśród nas Rebeki Stearns Brakuje mi... jej rady. Jest wielce przenikliwa i tak łatwo się z nią pracuje

Gustaw zaśmiał się tubalnie.

- Zaiste. Intrygujące, jak to wszystko się układa, nieprawdaż? W p0' równaniu z Gretchen Richter albo Julie Mackay Rebeka Stearns nagle sprawia wrażenie najmądrzejszej kobiety na świecie.

- Julie, przypominam ci - powiedziała stanowczo Melissa - że nie masz żadnych antybiotyków. Tak więc...

- Da mi już pani spokój? - przerwała jej rozszlochana Julie. Owinęła róg kocyka wokół główki swego dziecka. - Jeżeli jeszcze raz będę musiała słuchać tego kazania, to chyba zacznę krzyczeć. - Posłała mężowi kwaśne spojrzenie. - Alex truje mi o tym dziesięć razy dziennie.

Szkocki mążnek Julie oblał się rumieńcem. Przy jego jasnej cerze i rudych piegach najłżejszy rumieniec od razu rzucał się w oczy.

- Do diabła, dziewczyno - burknął - tu nie ma z czego żartować. Nie powinienem być ci pozwolić wyruszyć w tę podróż, a tym bardziej zabieć dziecko.

Julie już otworzyła usta. Melissa niemal się skrzywiła, wyobrażając sobie ripostę. „A jak niby, do cholery jasnej, miałeś zamiar powstrzymać mnie przed wyjazdem? Ty...!”

Na szczęście Julie zapanowała nad impulsem. Niezależnie od tego, jakie byty w rzeczywistości relacje między nimi, jej mążnek chciał sprawiać urażenie, że jest „głową rodziny”, a ona przyjęła to do wiadomości. Fakt, że z wielką niechęcią zgodził się na towarzystwo żony i malutkiej córeczki w pilnej i niespodziewanej podróży do Szkocji, był jednym z wielu Olnpromisów, na jakie poszli obydwój, chcąc, by ich małżeństwo trwało. Melissa wiedziała, że nie zawsze było im łatwo. Zderzenie wzorów ułturowych siedemnastowiecznego szkockiego kawalerzysty i amerykańskiej kobiety z dwudziestego pierwszego wieku było momentami... przerażają. I ce. Nie pomagał też fakt, że Alex Mackay był arystokratą - owszem, z r% I prawego łoża, ale przyjął postawę przedstawiciela wyższych warstw sp^ I łącznych. Z drugiej zaś strony... Melissa z trudem powstrzymała się ^ I śmiechu. Określić Julie Mackay jako „upartą i zawziętą” to mniej więcCe: f tak, jakby określić ocean jako „mokry i słony”. Aksjomat, coś oczywiste. ^ go. Równie dobrze można by nakazać przypluwowi się cofnąć, jak ocze. kiwać od niej skromności i pokory.

Poza tym obydwój byli bardzo młodzi. Alex był świeżo po dwudziest. ce, a Julie dopiero za kilka miesięcy miała skończyć dwadzieścia lat. Mim0 wszelkich zalet bycia w sile wieku i zdecydowanie mniejszej przepaści spo. łącznej, u Melissy i Jamesa kłótnie domowe też nie były ewenementem.

Melissa szukała odpowiednich słów, które załagodziłyby sytuację, po nieważ czuła się nieco odpowiedzialna za wywołanie najnowszej utarczki.

„Szlag by to trafił, kobieto, ponoć masz tu być rozjemcą. Nie jesteś już radykałem z lat sześćdziesiątych, który radośnie poszturkuje ustalony po-żrządek”.

Szukała i szukała. Prawda była taka, że dla Melissy agitacja i wicherz)1-1 cielstwo były znacznie bardziej naturalne niż dyplomacja. Nie mogła zna-leżć słów.

Na szczęście poza uporem Julie miała też inne cechy. Jedną z nich - i to I dość wyrazistą - była uczuciowość. Tak więc Melissa nie musiała wcielać i się w rolę rozjemcy. Julie nagle się uśmiechnęła, objęła męża w pasie i przy-1 ciągnęła go do siebie. Mokry i entuzjastyczny całus w policzek sprawił, że rumieniec odpłynął z twarzy Alexa. I, rzecz jasna, zaraz pojawił się nowy i Tyle że tym razem był to rumieniec zadowolenia, a nie gniewu.

Ani nie wstydu, chociaż Julie okazała swoje uczucia całkiem publicznie. Stali na nabrzeżu, do którego przycumowany był statek z Hamburga W londyńskich dokach wprost roily się tłumy żeglarzy, dokerów i ludzi, którzy czekali, by wsiąść na pokłady innych statków.

Alexowi to jednak nie przeszkadzało. I to w najmniejszym stopniu, sądząc po tym, jak jcgc usta szukały ust Julie.

Jedną z rzeczy, których Melissa nauczyła się w ciągu tych dwóch la' od Ognistego Kręgu, było to, że w siedemnastym wieku ludzie daleO byli od pruderyjnej postawy życiowej

obowiązującej w późniejszej epoce, zwanej „wiktoriańską”. Zaskoczyło ją to, chociaż pracowała jako nauczycielka historii. Nie zastanawiając się nad tym specjalnie, Melissa założyła, że im wcześniejsze były czasy, tym bardziej „wiktoriańska” była kultura w Europie. A już z całą pewnością spodziewała się, że w początkach siedemnastego wieku - okresu purytanizmu i rozkwitu żarliwości religijnej - będzie panował umiar we wszelkich tematach, a zwłaszcza w temacie seksu.

Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Prudencja obyczajów społecznych w dziewiętnastym wieku była nowością, którą wprowadzili metodyki Johna Wesleya w odpowiedzi na upadek moralny osiemnastowiecznych angielskich mieszczan i która rozprzestrzeniła się na kontynencie poprzez ruch petystów⁵. Melissa odkryła, że w siedemnastym wieku ludzie byli całkiem dosadni, a wręcz sprośni. Nawet jeśli dla szkockich kawalerzystów, którzy trafili do Grantville wkrótce po Ognistym Kręgu, ubiór Amerykanek był dość skandaliczny, to nie było dla nich niczego dziwnego w ich „nowoczesnym” i swobodnym podejściu do seksu. Oni sami, jak większość siedemnastowiecznych Europejczyków wraz z ich bezceremonialnym stosunkiem do spraw erotycznych, więcej mieli wspólnego z obyczajami późnego dwudziestego i wczesnego dwudziestego pierwszego wieku w Ameryce niż z epoką wiktoriańską.

W pewnych sytuacjach było to wprost wstrząsające dla kogoś o wychowaniu i poglądach Melissy. Wciąż pamiętała szok, jaki przeżyła, gdy dowiedziała się, że jedna z owdowiątych chłopek mieszkających obok Grantville pozwała swego przełożonego, gdyż ów mężczyzna, napotkawszy ją pochyloną w ogródku warzywnym, z radością wykorzystał tę okazję, by (jak to będą eufemistycznie ujmować w późniejszych czasach) „zrobić, co do niego należało”, nie zważając na gwałtowny protest kobiety.

Shock nie był spowodowany faktem gwałtu. Melissy nie chowano pod kloszem, a w Ameryce w dwudziestym pierwszym wieku gwałty zdarzały się dość często. Tym, co ją zbulwersowało, było podejście samej kobiety - Zgadza się, chłopka była wściekła na mężczyznę, który tak po chamsku ją potraktował. Nie wniosła jednak oskarżenia o gwałt - ona po prostu wtargnęła do sądu, żądając, by w razie ciąży ten podły sukinyś uznał bękartą za swojego i zapewnił dziecku alimenty.

Wtedy w Grantville było głośno o tej sprawie, ponieważ wprowadziła Jeszcze więcej chaosu w i tak już trudny proces tworzenia jednolitego kodeksu prawnego dla kształtującego się społeczeństwa. W tej kwestii, podobnie jak w wielu innych, nowocześni Amerykanie zwykli patrzeć na wszystko pod kątem praw osobistych, siedemnastowieczni Niemcy zaś jaktowali wszystko w kategoriach własności i zobowiązań finansowych.

Zywiście to, że mężczyzna zgwałcił kobietę, wywoływało gniew. Ale prawdziwy gniew wywoływało to, że zagroził jej mieniu, najprawdopodobniej płodząc niechciane dziecko, które będzie przyczyną nieustannej topnienia jej niezbyt znaczących środków. Nawet sam winowajca potrafił strzeżeć to w ten sposób. Otwarcie zeznał w sądzie, że miał nadzieję postawić swą pracownicę w trudnym położeniu i w ten sposób zmusić ją do małżeństwa, co zapewniłoby mu dożywotni dochód z gospodarstwa.

Ostatecznie sąd przystał na warunki kobiety. I chociaż Melissa była w ów. czas wściekła, z perspektywy czasu już nie uważała, że lepiej byłoby wsadzić chłama na parę lat do amerykańskiego więzienia - a i tak zwolniliby go wcześniej za dobre sprawowanie - niż ogołocić go niemal z każdego grosza i tym samym praktycznie skazać na trwającą dwie dekady niewolę.

Mając w pamięci owo zdarzenie. Melissa przyglądała się pocałunkowi Julie, który przerażał się w coś bardzo odważnego (twarz Alexa przybrała już niemal kolor buraczkowy, lecz Szkot entuzjastycznie się jej odwdzięczał), i jeszcze raz z trudem zdusiła w sobie śmiech. „O, nowy, wspaniały świat, w którym żyją tacy ludzie!”. Pod pewnymi względami nie znosiła siedemnastowiecznego społeczeństwa, pod innymi niemal wbrew sobie zaczynała je cenić.

Podatność na choroby jednak się do nich nie zaliczała. A prawda była taka, że Julie bardzo dużo ryzykowała, zabierając dziecko na tę wyprawę. Ludzie w tych czasach zazwyczaj zostawiali dzieci - a szczególnie niemowlęta - w domach, jeśli tylko wyruszali w podróż dalszą niż po najbliższej okolicy. Rebeka i Gretchen nawet nie zastanawiały się, czy pojechać na swe misje wraz z dziećmi. Pomijając już bardzo realne zagrożenie ze strony piratów i przydrożnych rabusiów, każdy kontakt z obcą społecznością mógł spowodować chorobę. Nawet jeśli dzieci nie podróżowały i nie były niepotrzebnie narażane, jedna trzecia tych, które się rodziły, nie była w stanie przetrwać nawet roku. Połowa umierała, zanim skończyła pięć lat.

Na dźwięk stukotu kopyt Melissa odwróciła się od Alexa i Julie. Maty oddział kawalerzystów kłusował po nabrzeżu mniej niż pięćdziesiąt metrów od nich. Wykorzystywali swe rumaki, by rozgonić dokerów i żeglarzy - arogancja żołnierzy wobec cywilów była kolejną z ówczesnych cech znawczych przez Melisse. „Z drogi albo cię zmiżdżymy, do kroćset

Zacisnęła usta. Oficer jadący na czele lustrował otoczenie, najwyraźniej kogoś szukając. Tym kimś - Melissa nie miała co do tego wątpliwości - była ona sama. Albo raczej jej orszak.

Jeźdźcy co prawda nie nosili żadnych mundurów - w tych czasach wciąż nie były one powszechne - jeździł

niektórzy w kaftany, buty z cholewkami, rękawice i kapelusze z piórami miały jednak swoje znaczenie.

W tej okolicy tak odziani mogli być tylko królewscy żołnierze.

Oficjalna eskorta. Nie wiem, czy się cieszyć, czy nie”.

Wyczuła czyjąś obecność za plecami. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że to Tom Simpson. Charakter męża Rity diametralnie różnił się od osobowości wyniosłego oficera, który zmierzał w jej stronę. Melissa wiedziała, że Tom praktycznie każdemu schodzi z drogi. Sama jego postura wystarczała jednak, by mężczyzna ów przyprawiał o dreszcze, zwyczajnie będąc w pobliżu. Nie była to nawet kwestia olbrzymiego wzrostu - Tom miał niewiele ponad sto osiemdziesiąt centymetrów - ale jego zwalistej figury. Ani grama tłuszczu, wiedziała o tym. Tom Simpson był w formie już jako członek drużyny futbolowej Uniwersytetu Wirginii Zachodniej. Od tamtej pory większość czasu służył w armii nowych Stanów Zjednoczonych, co pozwoliło mu tę formę jeszcze poprawić.

Jego obecność podniosła ją na duchu, szczególnie że oficer i jego oddział właśnie się zbliżyli. W ciągu dwóch lat, które minęły od Ognistego Kręgu, Melisse udało się wreszcie pozbyć części uprzedzeń wobec żołnierzy. Lecz tylko części. Choć na całym świecie zdarzało się niejednemu Alex Mackay i niejednemu Tom Simpson, równocześnie byli też żołnierze, którym zaufałaby równie chętnie jak grzechotnikowi. A nawet nieco mniej, bo nikt w życiu nie oskarżyłby grzechotnika o popełnienie zbrodni.

Oficer, który dowodził oddziałem... nie wyglądał obiecująco. Z pióropuszcem niczym u pawia, spoglądający na wszystkich tak wyniosłe, że wyglądało to niemal jak parodia filmu. Jego długi nos był zmarszczony w grymasie wiecznego niezadowolenia.

-Nie żebym sama nie czuła, że strasznie tu cuchnie." Zapach miast i miasteczek bez wątplenia nie zaliczał się do tych aspektów siedemnastego wieku, którego przypadły Melisse do gustu.

-To na pewno do nas - mruknął Tom. - Skoczę po Ritę.

Melissa kiwnęła głową. Rita Simpson była oficjalnym ambasadorem z wyjątkiem u króla Karola I. Wszystkim Amerykanom w Grantville (łącznie z samą Ritą - raptem dwudziestotrzyletnią zainteresowaną) wydawało się to dość niegrzeczne. Mike poszedł jednak za radą Baltazara, Rebeki oraz Francisco - a także kanclerza Gustawa, Oxenstierny - i przydzielił to zadanie swojej młodszej siostrze. W siedemnastowiecznej Europie „dyplomaci” w sensie decydujących i wiążących negocjacji raczej niż czynności - owych - nie zajmowali się zawodowi ambasadorzy. Odległości były

zwyczajnie za duże, a transport za słabo rozwinięty, żeby państwa mogły nadzorować działania własnych emisariuszy. W rezultacie na ambasadorów najczęściej wyznaczano krewnych zainteresowanych monarchów, po nieważ tylko oni mieli szansę na rozmowę z władcą.

Owszem, Mike Stearns nie był królem, jednak Stany Zjednoczone nie miały bliższego jego odpowiednika. I tak chcąc nie chcąc, na czele poselstw do Francji, Holandii i Anglii stanęły jego żona i jego siostra.

W przypadku misji Rebeki sprawowana funkcja przystawała do rzeczywistości. Nikt, może poza nią samą, nie miał najmniejszych wątpliwości, że podoła temu zadaniu. Dlatego jej właśnie przydzielono misję trudniejszą i bardziej istotną: zawrzeć pokój z Francją, jeśli to w ogóle możliwe, i wejść w sojusz z Holandią.

Co do misji w Anglii, sytuacja przedstawiała się inaczej. Z Ritą wszystko było w porządku - Melissa uważała ją za fantastyczny wzór młodej Amerykanki, zdrowej na ciele i umyśle. Nikt jednak - a już z całą pewnością sama Rita - nie przypuszczał, że stacją na taką samą błyskotliwość, jaką często demonstrowała Rebeka.

Dlatego też wbrew swojej woli Melissa Mailey została zmuszona do pełnienia roli „doradcy” Rity, choć w gruncie rzeczy to ona przewodziła poselstwu.

„Szlag by to trafił, niedługo stuknie mi sześćdziesiątka! Jestem już za stara i zbyt niedołączna na takie przygody. Tęsknię za moim łóżkiem, za Jamesem, który w nim leży. I za wygodami i moimi przyzwyczajeniami. Tęsknię nawet za skrzypiącym zawiasem w drzwiach kuchennych, który James przyrzeka naprawić”.

Zbliżający się oficer wciąż ich nie dostrzegał. Pod wpływem impulsu Melissa znów odwróciła się do Alexa i Julie.

- Powinniśmy się rozdzielić. Teraz. Nie ma powodu przypuszczać, że... - Zawahała się. - Mimo to...

Alex skinął głową.

- Gdyby były jakieś kłopoty, lepiej, żeby nas ze sobą nie wiązano. ' Objął Julie ramieniem i odwrócił. Uśmiechnął się lekko. - Rzecz jasna, pojawią się szpiecy. Zanim jednak skończą wyklócać się ze skarbnikami Karola o cenę informacji, będziemy już w połowie drogi do Edynburga.

Melissa widziała, że Julie wyraźnie chce uścisnąć ją na pożegnania. Była jednak uparta, a nie głupia, po chwili więc zadowolona się ciepłym uśmiechem i szepnęła:

„ Proszę pamiętać o kontakcie radiowym. Codziennie będę nasłuchiwać, tak jak planowaliśmy.

Melissa kiwnęła głową w odpowiedzi. Ponieważ oficer nie mógł widzieć jej twarzy, posłała Julie całusa. Następnie zdecydowanie - choć nie przyszło jej to z łatwością, gdyż od czasu Ognistego Kręgu Julie stała się niemal jej przybraną córką - odwróciła się do nich plecami. Odwróciła się plecami, wyprostowała ramiona i uniosła głowę tak wysoko, jak pozwalała jej długa szyja. Skierowała ku nadciągającemu oficerowi nos, który, prawdę mówiąc, był równie arystokratyczny jak jego własny. I obdarzyła go spojrzeniem, którego wyniosłości nie powstydzilaby się cesarzowa. Lata gromienia wzrokiem młodzieńczej bezczelności nie poszły na marne.

Wreszcie oficer ją dostrzegł. A chwilę później Tom i Rita Simpsonowie stali obok niej. Za nimi Darryl McCarthy, Gayle Mason oraz Friedrich i Nelly Bruchowie doglądali bagaży. Obydwie pary (prawdziwa małżeństwa Bruchów oraz udawana Darryla i Gayle) pełniły na czas tej misji rolę „służby”. W tamtych czasach wszystkie poselstwa zabierały własnych służących. Cała czwórka wypełniała swoje obowiązki dość skwapliwie, choć Darryl i Gayle nie mogli sobie odmówić sarkastycznych uwag na osobności. Tak naprawdę do zadań Gayle należało utrzymywanie łączności radiowej, Darryla i Friedricha - zapewnianie Tomowi

fizycznej ochrony, a żona Friedricha, która była rodem z Londynu, miała (przy wsparciu męża, również dobrze znającego miasto) przeprowadzać konieczny wywiad lokalny. Melissa ujrzała, że oficer nieco szerzej otworzył oczy. Jego nos chyba jeszcze bardziej się zwięził.

„Przykro mi, dupku. Nie noszę piór ani kit. Może i jesteśmy z niższych warstw, ale masz przed sobą oficjalne poselstwo Stanów Zjednoczonych”.

Było to odrobinę niesprawiedliwe. Przecież starała się namówić Ritę na założenie bardzo wyszukanego stroju i kapelusza z piórem. To jednak było zbyt wiele dla wrodzonej appalachijskiej skromności dziewczyny.

Spojrzenie oficera padło na Toma. Melissa zaśmiała się cicho pod nosem, widząc, jak arogancki wyraz twarzy żołnierza zmienia się. Chociaż siedział na koniu, bez wątplenia rozważał całkiem realną sytuację, w której Tom jedną dłonią powala konia na ziemię, a drugą ściąga z niego oficera, zdając po jego zmrużonych oczach, Melissa uznała, że zastanawia się, co mogłoby później nastąpić.

Najwyraźniej były to zbyt potworne rozważania. Oficer zmusił się do Piechu i podjechał do nich.

- A! Lady Stearns, jak mniemam?

Melissa zdołała przeskokić Ritę na tyle, że ta nie wyskoczyła z odpowiedzią w swoim stylu:

„Chyba pan żartuje. Poza tym jestem już panią Simpson, a ten tu koleś to mój mężulek”.

Zamiast tego Rita skłoniła się z gracją i wskazała na pozostałych.

- I moja świta - powiedziała.

„Trochę zbyt cicho - pomyślała Melissa. - Ale... całkiem nieźle. A co tam, do diabła. Skoro już tu jestem, równie dobrze mogę mieć z tego trochę radości”.

* * *

Nieco później, gdy ich powóz wraz z eskortą dotarł do celu, Melissie daleko było do radości. Rozpoznała to miejsce, ponieważ tak się złożyło, że była tu z wycieczką już trzy razy w życiu.

- O co chodzi? - zapytała cicho Rita. - Wyglądasz, jakbyś zjadła cytrynę.

Melissa wskazała palcem przez okno.

- O to chodzi! O miejsce, do którego jedziemy. Myślałam, że zabiorą nas do Pałacu Whitehall, który w tym okresie historii brytyjskiej jest królewską rezydencją.

Tom przechylił się i wyjrzał przez okno. Po chwili też się skrzywił. Melissa nie była zdziwiona, że rozpoznał cel ich podróży, chociaż - w przeciwieństwie do niej - nigdy nie był w Anglii. Tom dorastał w Pittsburghu, nie w miasteczku w Wirginii Zachodniej, i jego rodzice byli bardzo zażoźni. To taki typ rodziców, którzy dostają pocztę z całego świata. Miejsce, do którego bram właśnie się zbliżali, było w gruncie rzeczy dość sławne. Ten charakterystyczny kontur zdobił miliony pocztówek. - Cudownie - wymamrotał. - Tower.

- Wcale nie jest tak źle, Rita - powiedziała Melissa, rozglądając się po pomieszczeniu, do którego zaprowadził ich oficer wraz z eskortą. Twarz Rity była napięta od chwili, gdy poznała cel ich podróży.

- Bycie wtrąconym do Tower to niezupełnie to samo, co bycie wtrąconym do lochu. Rzecz jasna, są tu prawdziwe lochy, i to całkiem sporo, ale Tower jest przede wszystkim miejscem, w którym władcy Anglii przetrzymywali ważne osoby w charakterze „luksusowych więźniów”.

Zatoczyła ręką łuk, wskazując na otoczenie.

- Zresztą rozejrzyjcie się sami. Jasne, że cała konstrukcja jest średnio-wieczna i że im mniej myślimy o ubikacji, tym lepiej dla nas. Ale poza tym te pomieszczenia i to umeblowanie są godne króla. I to dosłownie, tak się składa. To jest Wieża Świętego Tomasza, w której mieszkał przy-najmniej jeden średniowieczny król Anglii. Jeśli się nie mylę, to któryś z Edwardów.

Melissa podeszła do jednego z okien wychodzących na Tamizę. Zaważyla, że szkło było równie przejrzyste, jak w czasach współczesnych. ^ dole wąska brukowana uliczka oddzielała zewnętrzny mur Tower, którego częścią była Wieża Świętego Tomasza, od muru wewnętrznego.

kazała na kamienne budynki wchodzące w skład konstrukcji wewnętrzne8o muru w tej części londyńskiej Tower.

I ~"Tb właśnie tam trzymali Sir Waltera Raleigha przez jakie8 dwana8cie au i to wcale nie tak dawno. Zresztą w naprawdę dobrych warunkach.

Uznała, że nie ma potrzeby wspominać o tym, że na wieżę Raleigha mówiono „Krwawa Wieża”. To zresztą była tylko legenda. Nie wiadomo przecie8, czy Ryszard III naprawdę zamordował swych bratanków - a tym bardziej czy zrobił to właśnie tam. Uznała te8, że nie ma sensu wspominać o niezabudowanej parceli gdzie8 po drugiej stronie Krwawej Wie8\ 87

1633

lissę i kilkoro innych nauczycieli do swego gabinetu na potajemnego drinka z ćwiartki Jacka Danielsa, którą ukrył w szufladzie biurka.

- Skoro już się tych dwóch pozbyliśmy - powiedział, obserwując pustą butelkę, a opróżniono ją w bardzo szybkim tempie - może zacne8 stosować si? do moich własnych przepisów dotyczących spo8ywania alkoholu na

(nie było jej widać z ich punktu obserwacyjnego), w którym to miejscu terenie szkoły. Henryk VIII kazał skrócić Annę Boleyn o głowę. - Szczerze wąpię - burknął Greg Ferrara, nauczyciel przedmiotów ści-

słych. Z zalem spojrzal na pustą butelkę. - Nie zapominaj, że wcia8 mamy...

Rita chyba nieco się rozluźniła.

- Siedz cicho - warknął Piazza. - Po prostu siedz cicho.

* * *

„Ró8ne czasy, ró8ne miejsca”.

Słyszac powolne kroki na schodach prowadzących do Wie8y Świętego Tomasza, Melissa odwróciła się od okna. Dźwięk był tak subtelny, że wiedziala, iż ten, kto wchodzi na górę, nie jest zwykłym wartownikiem. Kroki te miały w sobie jakie8 namaszczenie - raczej godno8 niż zwykłą siłę - które wskazywało na przybycie „osoby wpływowej”.

I rzeczywi8cie mężczyzna, który wszedł do komnaty, odziany był bar-dzo szykownie.

Pomijajac sam strój, był człowiekiem robiącym imponujace wrażenie. Wysoki, szczupły, o wyrazistych rysach, może nawet przy-gęste ciemne włosy i brązowe oczy do8 ostro kontrastowały

- Rozumiem, że jednym słowem mamy „areszt domowy”. A oni oddali nam najładniejszy dom, jaki mają do dyspozycji.

Melissa skinęła głową. Już miała rozwinac temat, kiedy pojawil się Darryl McCarthy. Wszedł drzwiami na drugim końcu połączonych komnat, do których ich zaprowadzono, a o których Melissa już my8lała jak o „apartamencie ambasadorskim”. Świe8o upieczony żołnierz kręcił głowę, lecz był to raczej gest konsternacji niż dezaprobaty.

- Wypasiony hotel, pomijajac może... no, nazwijmy to „ubikacją”. Ale...

- Wskazał kciukiem ponad ramieniem. - W przej8ciu, które prowad/i na drugą stronę ulicy, stoją wartownicy. Dali mi jasno do zrozumienia, że nie mogę przej8ć. Powiedzieli, że musimy zaczekać, aż pojawi się jakiś leszcz

- nie pamiętam nazwiska.

stojny.

..» f II mul . —

J J „

wywnioskowała, że owo Jasno nik próbował jakoś przeforsować tę kwestię. Być może nawet dwóch lub trzech partyzan dzierzonych przez strażników. Darryl, podobnie jak jego przyjaciel Harry Lefferts, był bezczelny i zuchwały. Typ ap-palachijskiego młodzieńca, który w historii Stanów Zjednoczonych dostarczał mnóstwa rewolwerowców i bandytów - a także pilotów. Widząc, jak Darryl bezwiednie pociera klatkę piersiową, Melissa z bladą cerą. Miał poważny i uroczysty wyraz twarzy. Melissa odniosła " oznaczało ostrze partyzany, gdy gór- wrazenie, że był to raczej wyuczony nawyk niż kwestia usposobienia.

Przelotny uśmiech, który błysnął na jego obliczu - całkowicie kłócąc się z jego pełną godności pozą - tylko potwierdził jej przypuszczenia.

- Pragnę wszystkich was powitać - odezwał się mężczyzna. - W imieniu swoim własnym, lecz także w imieniu króla Karola. Jestem Sir Thomas Wentworth...

oblatywaczy. Urwał i przez moment na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Było Właściwie to hrabia Strafford. Król niedawno uznał za stosowne nadać mi ów tytuł. - Odchrząknął. - Obawiam się, że sam król jest chwili niedysponowany. Królowa poważnie zaniemogła i Jego Wysokość, rozdarty między troską o jej zdrowie a naglącymi sprawami państwowej, polecił mi powitać was w jego imieniu. Prosił r^niez - ponownie odchrząknął - żebym najmocniej was przeprosił 'a to> że nie udostępnił wam komnat w Whitehall. Niestety dolegliwość królowej przeniosła się na dworzan i służbę, przeto król lękałby

Dla Melissy takie męskie prostactwo często było odstręczające, jednak, to coś subtelnego. Na wpół zaskoczenie, na wpół radość - jakby nagle „Różne czasy, różne miejsca. Boże, jak się cieszę, że Darryl jest tu. Przypomniał sobie niedawny i bardzo niespodziewany uśmiech losu. z nami. W najgorszym wypadku nie wejdziemy łagodnie do tej dobrej nocy. Nawet Harry'ego Lefferts'a mi brakuje. No... w pewnym sensie Myślę, że powstrzymam Darryla od zrobienia czegoś głupiego. Ale gdy by był z nim Harry... Ojej".

Uśmiechnęła się na wspomnienie minionych lat - sprzed Ognistej Kręgu - gdy będąc nauczycielką, często miała ochotę udusić tych dw& rozwrzeszczanych nastolatków. Gdy Harry i Darryl wreszcie ukończ) liceum i poszli pracować w kopalni, Ed Piazza, dyrektor szkoły, zapmsl

się o wasze zdrowie, gdybyście mieli zamieszkać w pałacu, który prze-istoczył się w siedlisko chorób.

„Całkiem sprawnie sobie z tym poradził" - pomyślała Melissa, niemal całkowicie przekonana, że to bezczelne kłamstwo. Stratford po raz kolejny, ny posłał im przelotny uśmiech. Była to dość niezwykła mina - tak jakby człowiek, który ją zrobił, obawiał się swego własnego ciepła.

- Szczerze mówiąc, a sam zatrzymywałem się kilka razy w Whitehall, tutaj będzie wam znacznie wygodniej. Pałac królewski bardzo często jest jak dom dla obłąkanych, a panuje w nim taki tłok, że musieliby was wszystkich umieścić w jednym lub dwóch pokojach. Tymczasem tutaj...

Powolnym, królewskim gestem wskazał dłonią na uroki otoczenia.

- Osobne komnaty, w tym nawet dobre kwatery dla służących, jeden z najwspanialszych kominków w całej Anglii i zapewne najlepsze łoża. wyjąwszy te z komnat królowej w Whitehall.

Melissa podejrzewała, że nie mijał się z prawdą. Ledwie była w stanie rozpoznać Wieżę Świętego Tomasza, kiedy ich wprowadzono do środka. Z zewnątrz nie różniła się specjalnie od tej, którą widziała, gdy zwiedzała Tower pod koniec dwudziestego wieku. Wówczas środek był kompletnie surowy. A nawet bardziej niż surowy, ponieważ ludzie zarządzający budowlą celowo nie przykryli części starej architektury, żeby turyści mogli zobaczyć

wszystkie warstwy, jakie kładziono w różnych stuleciach. Teraz zaś miała przed oczyma to miejsce takie, jakim rzeczywiście było podczas jednego z tych minionych stuleci. Dywany, bogate gobeliny, lina pościel i kunsztowne obicie mebli wyglądających tak, jakby niedawno ktoś z nich korzystał. Największe jednak wrażenie wywarł na niej olbrzymi kominek, który dominował w komnacie. Pamiętała go jeszcze z wychodzących. Była jednak olbrzymia różnica między majestatycznym, lecz zimnym paleniskiem, które zapamiętała, a tym kominkiem rozgrzanym od popiołu i na wpół spalonych polan.

„Oczywiście autentyczny zapach można by sobie darować”. Jednak nawet on wleciał przez okna komnaty, z których roztaczał widok na Tamizę. Pochodził z nieruchomych wód fosy, będącej - pryncypalnie rzecz biorąc - odkrytym ściekiem. Same pomieszczenia w Wieży Świętego Tomasza były nieskazitelnie czyste.

Melissa już miała coś powiedzieć, gdy odezwała się Rita. - Dziękuję, lordzie Strafford. Racz przekazać królowi wyrazy wdzięczności. Kiedy będziemy mieli okazję, by spotkać się z Jego Wysokością osobiście?

Strafford splótł dłonie za plecami i pochylił się nieco do przodu.

- Obawiam się, że nie umiem odpowiedzieć. W tym momencie natłok spraw jest wręcz przerażający - tak już zresztą było, zanim królowa zażądała. A gdy to się jeszcze nałożyło...

Mina Strafforda była mistrzostwem dyplomacji. Melissa niemal się roześmiała. Wyrażała odczucia człowieka, który - powodowany serdecznością • dobrą wolą - wyjawia sekret nieznanym, którym od razu zaufał i którego od razu polubił. Na wskroś fałszywe, lecz świetnie zagrane. Naprawdę świetnie zagrane.

- Jeśli wolno mi tak powiedzieć, król być może nieco za bardzo hołubi królową.

Oskarżenia o to, że jest nią zaślepiony, osobiście uważam za fałszywe, a wręcz za potwarz. Nie ma jednak wątpliwości, że królowa jest dlań wielkim skarbem. Gdy choruje... trudno go oderwać od jej boku, a nawet jeśli się uda, to tylko w najpilniejszych i najistotniejszych sprawach.

Melissa uznała, że Rita dobrze sobie radzi, i pozwoliła jej kontynuować. Niezależnie od tego, ile nerwów kosztowała tę młodą kobietę rola, którą zmuszona była grać, była to rola, której musiała się nauczyć. A jedynym sposobem była nauka przez praktykę.

- Rozumiem. Życzę więc Jej Wysokości szybkiego powrotu do zdrowia. Tymczasem...

- Rita spojrzała w stronę okna wychodzącego na pozostałą część Tower. Pewność siebie, którą do tej pory udawało jej się zachować, zaczynała ją nieco opuszczać.

Strafford być może wyczuł jej skrepowanie i gładko interweniował.

- Wasza służba, rzecz jasna, może swobodnie przemieszczać się po Tower, żeby dostarczać wam, czego tylko będziecie potrzebowali. - Obrzucił Darryla sceptycznym spojrzeniem, lecz na tym poprzestał. - Nie będą jednak mogli opuszczać samej Tower. I obawiam się, że muszę prosić ciebie, Lady Stearns, a także twojego małżonka i... hm... Spoglądał na Melissę. Podobnie jak Rita, ona również nie potrafiła się zmusić do tego, by założyć bogate szaty typowe dla arystokratek w tamtych czasach. Jednak - również podobnie jak Rita - odziana była w strój znacznie okazalszy niż państwo Bruchowie, Darryl albo Gayle. Melissa Mailey - oznajmiła.

Strafford zmarszczył lekko czoło, jak gdyby szperał w pamięci. Melissa widząc, jak błyskawicznie się wygładziło. Naturalnie. Jesteś, pani, członkinią... Cóż to była za nazwa?... k, „gabinetu” waszego rządu, jak mniemam. - Skłonił się uprzejmie,

pozdrawiając ją. - Zatem i panią także. Prosimy, byście zechcieli opuścić kwatery.

Rita nie była chyba w stanie wymyślić odpowiednich słów, żeby wyrazić sprzeciw. Melissa również - z tej prostej przyczyny, że doznała czołowego szoku.

Nie z uwagi na ograniczenie swobody, bo tego się spodziewała - tak standardowo postępowano ze wszystkimi ważnymi „gośćmi” w Tower. Zaszokowało ją to, że Strafford wiedział, kim ona jest.

„Dobry Boże, przecież ten człowiek musi być w Londynie od niedawna. I już tyle o nas wie?”.

Z właściwą sobie uprzejmością Strafford kontynuował.

- Ograniczenie to wprowadzono tylko i wyłącznie dla waszego bezpieczeństwa i ufam, że to rozumiecie. - Odwrócił głowę i spojrzał gniewnie na rzekę widoczną przez okna od południowej strony. - Przykro mi to mówić, ale ostatnimi czasy królestwem targają pewne niepokoje. Nie wiadomo, jak wiele z nich mogło przedostać się do samej Tower, a kto wie, do czego byliby zdolni szaleńcy?

Wyprostował się nieco, a następnie uklonił. Gest ten - perfekcyjny jak wszystko, co robił - wyrażał równocześnie przeprosiny, serdeczność, mocne postanowienie i... „Zrobiłem, co do mnie należało, i wynoszę się stąd Adios, amigos - i nawet nie próbujcie ze mną zadzierać”. Kilka wymamrotanych słów uprzejmego pożegnania i już go nie było. Wyszedł chyba nieco szybciej, niż przyszedł, lecz wciąż tym samym pewnym i dostojnym krokiem.

Gdy już znalazł się poza zasięgiem słuchu, Melissa wypuściła z siebie powietrze i stłumiła przekleństwo.

Mniej więcej.

- Cholerny świat. Wentworth! Już go zrobili hrabią!

„Co za gówno”. - To jednak zachowała dla siebie, nauczona przez wiele lat pracy w szkole.

Wszyscy patrzyli na nią. Melissa odwróciła się do Gayle.

- Czy ktoś nas może usłyszeć? Przysadzista kobieta pokręciła głową.

- Nie. Podczas gdy Darryl strugał twardego drewna przed wartownikami, ja wszystko sprawdziłam. Friedrich zresztą też. Nie ma miejsca na bryjony** i stanowiska nasłuchowe, a wartownicy na zewnątrz usłyszą nas chyba tylko wtedy, gdy zaczniemy się wydzierać. Albo strzelać.

Melissa skinęła głową.

- W porządku. - Podeszła do pobliskiego fotela i klapnęła na niego. ^ bardzo miękki i wygodny. - Chodźcie tutaj. Przedstawię wam sytuację na ty^e' na "e sama jestem w stanie ją ogarnąć.

Gdy już zgromadzili się wokół niej - Rita i Tom przycupnęli na małej sofie, reszta stała - Melissa wskazała palcem na drzwi, przez które wyszedł Wentworth.

- To jest prawdopodobnie najbardziej niebezpieczny człowiek w Anglii, przynajmniej dla nas. Sir Thomas Wentworth, który później został hrabią Stratford. Tylko że w naszym świecie król nie mianował go hrabią, zanim... - Szukała w pamięci. - Nie mogę sobie przypomnieć dokładnej daty, ale to na pewno nie było już w 1633 roku. W tej chwili on powinien być w trakcie podróży do Irlandii jako świeżo mianowany lord namiestnik wyspy. Darryl McCarthy wreszcie skojarzył to nazwisko. Melissa zastanawiała się, kiedy to nastąpi. Pomimo że Darryl przejawiał typową dla chłopaka zappalachijskiej klasy robotniczej obojętność na historię, dla jednego zagadnienia robił wyjątek. Ojciec Darryla, Michael, od dawna był zwolennikiem Komitetu Wsparcia dla Irlandczyków z Północy a cały klan McCar-thyich składał się z zacieklej irlandzko-amerykańskich nacjonalistów.

- Czarny Tom Tyran! - warknął. - Pieprzony drań! To on zabił powstańców z dziewięćdziesiątego ósmego!

Melissa westchnęła. Jak zwykle wszystko mu się poplątało. Do tej pory pamiętała odpowiedź Darryla na jednym z testów sprzed wielu lat: „Jerzy III, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych”.

- Darryl, on ma czterdzieści lat! - rzuciła ze zniecierpliwieniem. - Wołbec tego „zabijał powstańców z dziewięćdziesiątego ósmego” jako pięćciolatek - przyjmując oczywiście, że mówimy o ludziach z roku tysiąc Pęćset dziewięćdziesiątego ósmego, a nie z 1798, kiedy to właśnie miało miejsce powstanie. Pomyliłeś się o blisko dwa stulecia.

Darryl był wściekły. Nie z powodu nagany - to po nim spłynęło, zresztą jak zawsze; była to wściekłość człowieka, który wie swoje, do jasnej cholery, i nie mieszać mu jakimiś faktami. Melissa potarła twarz, przypominając sobie, że obecnie jest dyplomatką, a nie nauczycielką w szkole. Uzupełnianie wiedzy historycznej Darryla nie miało żadnego sensu. Nieważne, z jakiego powodu ów młodzieniec nię nawidził Strafforda, wystarczyło, że go nienawidził. Nie miała jeszcze ^dnej pewności, ale wszystko wskazywało na to, że Anglia jest dla nich ^tracona. Przybyła tu po pokój - może nawet po sojusz - lecz skoro ^fford został już hrabią, a sytuacja wygląda tak, jak wygląda...

- Jest mniej więcej tak: Wentworth zawsze był zdecydowanie najlep. szym doradcą i urzędnikiem, jakiego miał król Karol. Tylko że w świecie, z którego przybyliśmy, Karol niespecjalnie się nim przejmował. Z grubsza dlatego, że Wentworth był zbyt bystry, zbyt kompetentny i zbyt skuteczny.

- Nie ufał mu? - burknął Tom. Melissa pokręciła przecząco głową.

- Nie, tu chodziło o coś innego. Wentworth - Strafford - był lojalny aż do szpiku kości. Kiedy wreszcie nadszedł ten czas... Zaraz, kiedy to było? Wy. daje mi się, że jakoś koło 1641 roku, mogę się mylić o rok. Kiedy wreszcie nadszedł ten czas, że angielska rewolucja zażądała głowy Strafforda. król Karol oddał go w ich ręce - mimo że poprzysiął Straffordowi i. że będzie go wspierał niezależnie od wszystkiego.

Melissa, w przeciwieństwie do Darryla, widziała w historii także szarości. Bohaterowie rzadko kiedy byli po prostu bohaterami, a łajdacy nie zawsze byli łajdakami. Strafford, tak samo jak Richelieu - a nawet tak jak Wallenstein - był skomplikowanym człowiekiem.

Właściwie nie dało się go nie podziwiać, niezależnie od tego, jak wielką czuło się nienawiść do tego wszystkiego, co sobą reprezentował w tym czasie i miejscu.

- Tak naprawdę Strafford to facet godny szacunku - powiedziała ci-cho. - Wysłał, a właściwie wysłałby, w tamtym świecie list do króla, zwał-niający go ze złożonego ślubu. I wszyscy twierdzili - nawet jego wrogo-wie - że poszedł na śmierć z wielką odwagą i godnością, i nawet nie powiedział ani słowa skargi na swego...

Dyplomacja nie była już konieczna.

- Swego bezwartościowego, zdradzieckiego, bezużytecznego, nieudol-nego, nieodpowiedzialnego i gównianego króla.

„No! Od razu lepiej”.

Darryl wyszczerzył zęby, słysząc, jak niecenzuralnie się wyraziła.

- Pani profesor!

Wszyscy w pomieszczeniu roześmiali się. Melissa też się uśmiechnęła

- Król Karol I był - jest - jednym z najgłupszych królów, jakimi An-ghia kiedykolwiek była obarczona. Hm... „Głupi” nie jest najodpowied-niejszym słowem. W jego przypadku to brzmi wręcz jak komplement. By' -jest - chyba wystarczająco bystry. Więc nawet nie ma tej wymówki. jednak temperament dziecka. Obraża się, grymasi, chce mieć i rybki-i akwarium. Przez lata zaniedbywał swą katolicką żonę z Francji na rzecz? zauroczenia ulubionym dworzaniem, księciem Buckingham, który b) jeszcze większym dupkiem niż on sam. Buckingham zamordowane vV. 1628 roku. To też miało miejsce w tym świecie, bo nastąpiło przed Ogni--tym Kręgiem. Od tamtej pory nic widzi świata poza żoną. A Henrieta Ma-ria to kolejny bałwan w rodzie królewskim. Jest siostrą Ludwika XIII i w du-2Cj mierze ulepiono ją z tej samej gliny, co brata. Gdyby Richelieu nie władał Francją zamiast Ludwika - ten przynajmniej ma tyle rozumu, żeby dostrzec prawdziwy talent - kraj byłby w oplakany stanie. Tom zarechotał.

- Czy w tych czasach w ogóle są jacyś władcy, którzy potrafią sami zasznurować sobie buty? Pomijając oczywiście Gustawa Adolfa.

- Tak się składa, że jest kilku. Duński król Chrystian jest monarchą naprawdę godnym podziwu. Jego największy problem polega na tym, że zawsze porywa się z motyką na słońce. Ale jest kompetentny, co do tego nie ma wątpliwości - nawet jeśli przez większość czasu jest pijany. A choć - ciąż o obecnych władcach hiszpańskich i austriackich nie za bardzo można powiedzieć cokolwiek dobrego, to już o ich młodszych krewnych jak najbardziej. Don Fernando z Hiszpanii - chyba już nazywają go kardynałem-infantem - niedługo zacznie swą niesamowitą karierę wojskową. Tyle w kwestii hiszpańskich Habsburgów. W austriackiej linii rodu syn cesarza Ferdynanda, król Węgier, lada dzień się usamodzielni.

Zakręciła palcami młynka, starając się zilustrować pogmatwaną strukturę czasoprzestrzeni. - W świecie, który był - który byłby... cholera, który pewnie gdzieś jest - kardynał-infant i król Węgier dowodziliby wojskami Habsburgów, które pobili Szwedów pod Nordlingen w 1634 roku. Rzecz jasna - dodała na pocieszenie - nie musieli stawiać czoła Gustawowi Adolfowi, bo on zginął pod Liitzen.

Tom Simpson przynajmniej znał historię wojskowości.

- To byłby listopad zeszłego roku. - Jego masywną pierś wstrząsnął śmiech. - Jednak nie w tym świecie. Dostatecznie pokrzyżowaliśmy 'm plany pod Alte Feste.

Rita uciszyła go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Mów dalej, Melissa.

~ Sytuacja wygląda następująco. Powodem, dla którego Karol nie przepiął za Wentworthem - a królowa Henrieta Maria jeszcze bardziej go n,c znosiła - było to, że ten człowiek go zadreślał. „Zrób to, zrób tamto”. ^am fakt, że bezsprzecznie był lojalny i że jego rady zasadniczo były do-|re> nie miał dla Karola żadnego znaczenia. Wentworth po prostu go mę-c*ył i tyle. Odciągał go - a przynajmniej próbował - od jego ukochanych balów maskowych i pochlebstw wazeliniarskich dworzan, którzy nieustannie otaczali królewską parę.

- Hrabia Strafford! - parsknęła. - Wentworth nie wywodzi się z arystokracji, tylko z rodziny ziemiańskiej. Tak jak każdy zdolny i ambitny człowiek w tamtych czasach - w tych czasach - pragnął zaszczytów i uznania. Przez lata, przez ciężkie lata, kiedy służył królowi dobrze, a wręcz świetnie, prosił Karola, by ten mianował go hrabią. A Karol naturalnie - Boże, cóż to był... jest... za żaloszny człowiek - nagradzał go obojętnością. Obsypywał hrabiostwami wszystkich dworskich matołów, którzy zyskali sobie przychylność jego bądź Henriety Marii, lecz dla Wentwortha nic nie miał. Nic poza kolejnym zadaniem. Dopiero pod sam koniec, kiedy Anglia zaczęła mu się już wymykać z rąk, Karol uczynił wreszcie Wentwortha hrabią Strafford. To się powinno wydarzyć dopiero za kilka lat. W tej chwili Wentworth powinien właśnie dotrzeć do Irlandii i spędzić tam całe lata, nadając jej kształt odpowiadający Anglikom.

Darryl skrzywił się, ale na szczęście milczał.

- Widzicie już, do czego zmierzam? - Jeszcze raz wskazała na drzwi wejściowe. - W tym czasie i miejscu Karol już mianował go hrabią Stratford. A mogę was zapewnić, że nie dlatego, że teraz jest mniejszym idiotą. Więc jaki z tego wniosek?

- Oni wiedzą, co się wydarzy - powiedział od razu Tom. - Oczywiście byliśmy już tego świadomi - przecież Rebeka odkryła, że doktor Harvey skopiował pewne strony z książki do historii, na którą się natknął, odwieżdżając Grantville. Ale wiedzieć o czymś, a przekonać się o czymś to dwie zupełnie różne rzeczy.

Wstał i podszedł do okna, z którego widać było ulicę między Wieżą Świętego Tomasza a wewnętrznym murem londyńskiej Tower.

- Będzie z tego jedno wielkie gówno, prawda? To właśnie chcesz nam powiedzieć.

- Cóż, tak bym tego nie ujęła - powiedziała sztywno, lecz śmiech, który zagrział w komnacie, przypomniał jej, że kilka minut temu sama użyła tego słowa. Uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem i mówiła dalej.

- Ale owszem, do tego się to sprowadza. Karol bez wątpienia już wie że zbliża się rewolucja i że według „historycznego porządku” idzie na ścięcie. Jak mówił Samuel Johnson: „Proszę mi wierzyć, drogi panie, kie dy człowiek wie, że zawisnie za dwa tygodnie, to zdumiewająco popi"3' wia mu się koncentracja”. Nawet Karol nie jest na tyle niepoważny, żeby pozwolić, by jego błahe rozdrażnienie Wentworthem przeszkodziło m11 & zachowaniu życia i władzy. Najwyraźniej więc sprowadził go z powroćtni z Irlandii i w jego wielce sprawne ręce przekazał zadanie stłumienia rewolucji, zanim jeszcze się rozpoczęła. Wskazała na okno wychodzące na Tamizę.

- Wszyscy zauważyliśmy, że żegluga na La Manche odbywa się w dziwny sposób. Skinęła głową w stronę Brucha.

- Ściśle biorąc, Friedrich nam to powiedział. - W minionych latach Friedrich służył na jednym ze statków Hanzy. - A jaki kiedyś był ruch na Tami-zie. Pamiętajcie, że w tych czasach większość tak zwanych „okrętów wojennych” to po prostu uzbrojone statki kupieckie. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Anglicy szykują się do jakiejś wyprawy morskiej.

- Po co? - zapytała Rita z twarzą wykrzywioną grymasem. - Wydawało mi się, że skoro Karol obawia się rewolucji tutaj, to właśnie na tym się skupi. Nie na zabawie w wyprawy wojenne.

- Sama już nie wiem, Rita. Jednak... - Melissa starała się znaleźć szybki i prosty sposób przedstawienia wszystkich zawiłości.

- Słuchajcie, już od miesiący słyżymy o nowej wyprawie Hiszpanów na Holandię. I o reakcji Francuzów. Powiedzmy, że Anglicy w tym momencie też nie przepadają jakoś specjalnie za Holendrami. W naszej historii Karol i jego dwór woleli Hiszpanów od Holendrów, niezależnie od tego, że szczylicli się zwycięstwem nad Armadą. Oczywiście Hiszpania ^słaaby drugą Armadę dopiero za kilka lat w naszej historii, więc sam fakt, że planują ją już teraz, świadczy o tym, że poświęcili nieco czasu na zgłębianie przyszłości. -Zmierzam jednak do tego, że chociaż wówczas „oficjalna Anglia” preferowała Hiszpanię, Karol absolutnie by Hiszpanom nie pomógł. Nie-należnie od tego, jak bardzo nic trawił Holendrów, zdawał sobie sprawę, że łączy ich wspólnota interesów. Wiedział też, że polityka Richelieu za-wsze ukierunkowana była na zniszczenie potęgi Habsburgów, więc gdy-by sprzymierzył się z Hiszpanami przeciwko Holendrom, stałby się też ^Togic-m Francji. Dlatego właśnie w naszej przeszłości nie opowiedział Sle. po żadnej ze stron w tym konflikcie.

~ Teraz jednak przygotowuje wyprawę morską, co wskazuje na to, że ^razem nie zamierza siedzieć i się przyglądać. Nie uwierzę, że otwar-Cle poprze Hiszpanię - mając świadomość, że Richelieu by się wściekł, a Już na pewno nie w świetle tego, że Hiszpanie nie są w stanie zaoferować 11111 niczego takiego, co byłoby warte zachodu. Ale skoro nie Hiszpania, to zamiast tego musi planować przymierze z Holendrami, a to też kom, plemię nie ma sensu. Chyba że Richelieu jest w to jakoś zamieszany.

- Ale czemu miałyby chcieć pomóc Richelieu? - zapytała Rita, marsz, cząc brwi.

- Wszystko ostatecznie sprowadza się do pieniędzy - odparła Melissa. - Karol już od lat nie zwoływał parlamentu - ostatni z roku 1628 dopro. wadził go do białej gorączki. A bez parlamentu ma dosyć ograniczone możliwości zbierania funduszy. To zawsze utrudniało życie angielskim monarchom. Właśnie dlatego Anglia ma znacznie mniejszą armię niż inne państwa w tych czasach. Bez uzyskania zgody parlamentu Korona nie dysponuje funduszami na wojnę. A ostatnią rzeczą, jaką Karol robi, bę-dzie zwołanie nowego parlamentu. Poprzedni stał się siedliskiem pury. tańskich odszczepieńców.

Tom wybiegał już myślami naprzód, co nie było dla niej zaskoczeniem. Może i ten olbrzymi żołnierz nie ma temperamentu ojca, ale z całą pewnością odziedziczył jego intelekt.

- Potrzebne mu są pieniądze, żeby zdławić rewolucję, więc ściąga je z zagranicy. Czemu nie Francja? W końcu jego żona jest siostrą króla Francji. Niezależnie od tego, skąd je weźmie, będzie musiał za to zapłacić. No, na przykład wspierając działania wojenne kogoś innego - choćby starania Richelieu o powstrzymanie hiszpańskich Habsburgów przed odzyskaniem kontroli nad Holandią.

Odsunął się od okna i spojrzał na Melisę.

- To chyba ma sens. Wydaje się jednak nieco zbyt skomplikowane - w końcu to myślenie przyszłościowe - na tak durnego króla, jakim jest, jak twierdzisz, Karol.

- Zgadza się. Ale Wentworth jest w stanie myśleć przyszłościowo. Poza tym, jak już wspominałam, mianowano go hrabią Strafford...

- Dużo przed terminem - zakończył Tom i odwrócił się z powrotem w stronę okna. Chwilę później jakby zeszywniał.

- Mamy tu coś jeszcze. - Wskazał palcem na ulicę poniżej. - Nie wiem, o co chodzi, Melissa, ale ciągną tu nowego lokatora. A patrząc na łańcuchy, którymi go obwiązali, nie wygląda na to, żeby oczekiwały go równie „królewskie warunki”.

Melissa zerwała się i podeszła do okna. Zobaczyła jakiegoś prowadzonego siłą mężczyznę. Dwóch strażników unieruchamiało mu ręce, a kilku innych maszerowało z przodu i z tyłu. Te środki bezpieczeństwa wydały się nieco absurdalne. Jak mówił Tom, mężczyzna miał nadgarstki i kostki spętane łańcuchami, a te z kolei przymocowane były do ciężkiego skózanego pasa.

Na chwilę - być może kątem oka dostrzegł poruszenie w oknie - mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał na nią. Na jego twarzy malował się absolutny spokój. Była to twarz człowieka, który zdecydował się pozostać wszystkemu własnemu losowi. „Niech się dzieje, co chce, taka jest wola Boga. Jestem, kim jestem”.

Następnie odwrócił się i pokazał jej swój profil.

- Jezus Maria - wyszeptła. Był oczywiście młodszy, rozpoznała go jednak bez większych problemów. Ta sama twarz widniała na portretach w każdej książce w Grantville, która omawiała angielską rewolucję 1640 roku.

Dany 1 już był przy innym oknie i niemal równie szybko jak ona rozpoznał mężczyznę.

- Sukinsyn! - warknął. Następnie wydarł się, prawie przebijając grubą szybę: - Mam nadzieję, że cię wypatroszą i poćwiartują, ty zawszony...

Melissa odskoczyła od swojego okna.

- Mam już tego dosyć, młody człowieku!

To był Ten Głos. Stara jędrza naprawdę się wkurzyła. Darryl natychmiast zamilkł, tak jak to bywało w poprzednich latach. Nawet nieco się skulił.

Spojrzała na niego z wściekłością. Następnie popatrzyła na Toma i wskazała McCarthy'ego palcem.

- Masz pilnować, żeby twój podkomendny utrzymywał dyscyplinę. Zadbaj o to, żeby ten cham, ten kretyn, ten smarkaty...

Tom wyszczerzył zęby.

- Proszę się o to nie martwić.

Naprężył ramiona. Widać było, że nawet Darryl się wystraszył. Jeszcze bardziej się skulił.

Melissa uśmiechnęła się blado.

- Świetnie. - Posłała McCarthy'emu spojrzenie, które wróżyło mu na Przyszłość równie dobrze, jak lata temu takie samo spojrzenie wróżyło tttu w kwestii ocen i perspektyw.

- W tej chwili nie mam czasu na lekcję historii, młody człowieku. Czeka dużo pracy. A ty będziesz mnie słuchał.

Darryl przełknął ślinę. Pospieszenie kiwnął głową.

- Wspaniale. - Odwróciła się do Friedricha i Nelly. Podobnie jak reszta grupy, państwo Bruchowie stali przy jednym z okien wychodzących na

ulicę. - Wam będzie łatwiej poruszać się niż nam, a poza tym nie macie tak dziwnego akcentu jak Gayle. Będziecie więc naszymi szpiegami.

Wyjrzała przez okno. Człowieka pod strażą przeprowadzano właśnie przez drzwi. Drzwi, którym brakowało tylko tabliczki: „Tędy do lochów!”

- Dacie radę go rozpoznać? - Bruchowie przytaknęli.

- Spróbujcie się dowiedzieć, dokąd dokładnie go zabrali i, jeśli będzie taka możliwość, co zamierzają z nim zrobić.

Nelly otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz Melissa ciągnęła dalej.

- Tom - i ty też, Darryl - musimy zacząć planować ucieczkę. Nie ma pośpiechu i mam nadzieję, że w ogóle nie będzie takiej potrzeby. Ale w razie czego będziemy gotowi.

To natychmiast przywróciło Darrylowi jego charakterystyczną niefrasobliwość. Podczas gdy Tom zaczął uważnie sprawdzać pomieszczenia i rozważać różne możliwości, Darryl otworzył jeden z olbrzymich kufrów, które przywieźli. Przekopanie się przez masę ubrań zajęło mu raptem kilka sekund i już po chwili zaczął wydobywać schowane pod spodem przedmioty. Mimo że Melissa była temu przeciwna, Mike Stearns nalegał, żeby zabrali je ze sobą. „Na wszelki wypadek” - powiedział.

- Nie mogę uwierzyć, że byli tak głupi, żeby nas nie przeszukać - rzeki z radością Darryl. Łup, łup. Dwa pistolety automatyczne zmaterializowały się na stoliku obok niego. Łup. Pudełko amunicji.

- To by było wielce niedyplomatyczne - odparła Melissa. - Byłam niemal pewna, że tego nie zrobią.

Łup, łup, łup. Trzy laski dynamitu. Brzdęk. Melissa rozpoznała spłonki.

Bach. Wydawało jej się, że mówili na to „lont detonujący”. Oczywiście nie miała pewności - nie wiedziała zbyt wiele o ładunkach wybuchowych, z wyjątkiem prymitywnych bomb zapalających, które majstrował na strychu jej chłopak anarchista w szalonych i jakże odległych latach sześćdziesiątych. Nie była z nim jednak długo. Nawet jako młody radykał krzywiła się na widok przemocy.

ŁUP. To był akumulator. Mogła się domyślić jego przeznaczenia.

Westchnęła na wspomnienie tamtych niewinnych dni.

- Poza tym - dodała - w tych czasach ludzie uważają broń palną za wielką i toporną rzecz, którą przeładowuje się całe wieki.

- Właśnie - skomentował z uśmiechem Darryl. - Na pewno znajdzie my kupę miejsc, w których da się upchnąć te maciupeńkie, tycie-tyciutki Smithy i Wessony. - Zerknął w górę na jedną z ciężkich półek na ścianie

1633 99

A dynamit to pestka. Rozsmarujemy nieco kurzu i schowamy razem zresztą świeczek. Tak jak kiedyś z Harrym...

Urwał i z miną winowajcy rzucił okiem na Melissę, po czym zabrał się za coś cięższego na dnie kufra. Sapnął ciężko i: BUCH.

-Jezu, Darryl! - zachichotała Rita. - Nie będziemy zdobywać żadnych szczytów.

Darryl pokręcił stanowczo głową.

- Liny nigdy za wiele. A poza tym to jest nylon. Starczy nam na pewno -ha! Pamiętam, jak raz z Harrym prawie daliśmy się złapać, gdy...

Ponownie uciekł przed wzrokiem Melissy i powrócił do grzebania w kufrze.

- Zresztą nieważne. Cholera jasna, gdzie są bomby dymne? Melissa nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. „Przy najmniej tym razem ten drań jest po mojej stronie. Mam nadzieję”, odeszła do niej Nelly.

- Wybacz, chyba ci wcześniej przerwałam. Chciałaś mnie o coś za-pytać?
Nelly skinęła głową, a po chwili jeszcze raz, ale w kierunku odległych drzwi, przez które wprowadzili więźnia.

- Kto to był?

Zanim Melissa zdążyła odpowiedzieć, wyręczył ją Darryl.

- Oliver Cromwell. Śmierzący skurwiel, żeby się w piekle smażył. -Powiedział to jednak cicho i nie patrząc na Melisę, a równocześnie cały czas grzebał w kufrze. Nie mógł oczywiście nie dorzucić: - Rzeźnik z Irlandii. Tyran... - Reszta była tylko niezrozumiałym pomrukiem.

Melissa zacisnęła wargi.

- Może kiedyś, Darrylu McCarthy, wyjaśnię ci - a może raczej spróbuję ci wyjaśnić - złożoność tego zagadnienia. Jednak w tym momencie...

Omiotła pomieszczenie wzrokiem, spoglądając na wszystkich.

- W tym momencie sprawa przedstawia się tak. W obecnych czasach tamten człowiek jest zwyczajnym ziemianinem. Mężczyzną po trzydzie-stce, mało znanym członkiem parlamentu. Jednak w swych okolicach -w hrabstwie East Anglia, koło Cambridge - jest dosyć popularny.

Posłała Darrylowi surowe spojrzenie.

- Wołają na niego „Pan na Bagnach”. A to dlatego, że już od kilku lat J^ut pr/yw ódcą biednych rolników z East Anglii, którzy próbują sprzeci-wić się naruszeniu ich ziem przez bogatych sąsiadów.

Ramiona Darryla drgnęły i nagle nad kufrem pojawiła się jego głowa. Posłał Melissie zdumione spojrzenie.

- Nie wiedziałem o tym.

Melissa omal się nie roześmiała. Niezależnie od swych irlandzko-anie-rykańskich poglądów na różne kwestie, Darryl był zagorzałym związkow-cem. Tak jak reszta członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Górni, ków, miał zwyczaj dzielić świat na dwie proste kategorie: ciężko pracujący facet - dobry, bogaty kanciarz - zły. A teraz znalazł się w potrzasku jed-nej z rozlicznych sprzeczności historycznych.

- Jest bardzo wiele rzeczy, których nie wiesz, młody człowieku - ucieła. - W minionych latach chyba dosyć często ci to mówiłam.

Tom zakończył lekcję historii na ten dzień.

- Ja też o tym nie wiedziałem. Wiem jednak, kim stał się później. - Wy-dawał się nie mieć tak mieszanych uczuć jak Darryl. Mimo że był potom-kiem rodziny, której korzenie wywodziły się z angielskiej arystokracji, ra-czej nie mógł przychylnie zareagować na nazwisko Oliver Cromwell.

- „Stary Ironsides10”-powiedział, najwyraźniej delektując się tymi sło-wami. - We własnej osobie, Boże święty. Twórca Armii Nowego Wzoru, która obaliła angielską Koronę. Obok Gustawa Adolfa i może tego mło-dego Turenne'a, który dopiero rozkręca się we Francji, najlepszy generał tych czasów. I wreszcie lord protektor Anglii.

Uśmiechnął się szeroko do kucającego McCarthy'ego.

- To oczywiście nieco później. Po tym, jak już oddzielił głowę Karola od reszty ciała. A z tego, co słyszę, nie była to wielka strata.

Darryl podniósł na niego wzrok. Pomijając historię Irlandii, całą pozo-stałą wiedzę Darryla można by z łatwością zmieścić na łepku od szpilki.

- Nie wiedziałem o tym.

-Aha - oznajmił radośnie Tom. Uderzył kantem jednej dłoni w we-wnętrzną stronę drugiej. - Ciach. Ściął frajera, ot tak. Oliver Cromwell Kawał twardziela, nawet jak na nasze standardy.

Cela była wilgotna i - ponieważ słońce już zaszło - oświetlona tylko trzymaną przez Strafforda świecą. Było jednak na tyle jasno, że zauważył mężczyznę kucającego pod kamienną ścianą. Przyćmione światło pobły-skiwało na kajdanach, którymi spętane były jego nadgarstki i kostki. Hrabia nie był jednak w stanie dostrzec prawie żadnych szczegółów twarzy poza wydatnym nosem.

Strafford przez moment chciał, by rozkuto więźnia, lecz oparł się tej po-kusie.

Niespodziewane względy króla były zbyt świeżą sprawą, by ryzyko-wać ściągnięcie na siebie gniewu władcy, i to z tak błahego powodu. Poza tym i tak byłaby to hipokryzja, bo przecież Strafford robił, co mógł, aby przekonać króla Karola, że tego człowieka należy czym prędzej stracić.

Z mroku dobył się chropawy głos.

- Widzę, że dobrze ci się wie-dzie, Thomasie.

W głosie tym pobrzmiwał bardziej zgryźliwy, gorzki humor niż praw-dziwy gniew. Minęło pięć lat, odkąd hrabia i więzień ostatnio się spotkali, ecz spokój tego mężczyzny nie był dla jego rozmówcy zaskoczeniem. Strafford - wówczas jeszcze Thomas Wentworth - spędził trochę czasu w towarzystwie swego młodego kolegi, również członka parlamentu. °bydwaj poczuli do siebie sympatię. Być może dlatego, że wywodzili się z 2 Podobnych środowisk, z ziemiańskich rodzin, a nie z arystokracji, i wal-ali o swoje własne miejsce na świecie. A może była to po prostu kwe-stia usposobienia.

- Dowiedziałem się dopiero przed dwoma dniami, Oliverze, gdy przy. byłem do Londynu. - Strafford odkaslnął. - Ubolewam nad tym, co się stało z Elizabeth. Nie wydano im rozkazu skrzywdzenia twojej żony.

- Żołnierze. Czego się spodziewałeś? - Znów ten zgryźliwy, gorzki humor. - Ale z tego, co pamiętam, ty zawsze miałeś wprawę w umywaniu rąk.

Zniknęły wszelkie ślady humoru. Został tylko przejmujący ból.

- Zastrzelili ją jak wściekłego psa, Thomasie. A ona ich nawet nie tknęła, Wyzwała ich tylko od bandy kundli. A potem zastrzelili mojego syna Rj. charda, gdy ich za to przeklinał. Na mych oczach zabili obydwaje, a ja leżałem bezsilny w kajdanach.

Strafford skrzywił się. Już miał wypowiedzieć ostre słowa, poprzysiąc, że zadba o to, by winowajcy stanęli przed sądem. Słowa uwięzły mu jed-nak w gardle. Hrabia nie miał ani czasu, ani sposobności, by dopilnować ukarania samowolnych żołnierzy.

I Cromwell o tym wiedział. Z miejsca, w którym kucał, dobiegł ochry-pty śmiech.

- Świetnie. Przynajmniej nie zostałeś kłamcą.

- Nigdy nie byłem kłamcą - wycedził Strafford.

- Zgadza się. Kłamcą nie. Powiedz mi więc, uczciwy Tomie, dla-czego?

Cromwell raptownie przysunął twarz do rzucającej przyćmione światło świecy. Teraz poza nosem Strafford widział też jego usta. Zapomniał już o rzucającej się w oczy brodawce na dolnej wardze Cromwella.

- Dlaczego?

Widok tej brodawki sprawił, że Strafford na chwilę zastygł. Odpłynął myślami, przypominając sobie portret Cromwella w książce, którą pokazał mu król. Był to jeden z podręczników do historii, które ludzie Riche-lieu zdobyli w Grantville i sprezentowali królowi Anglii.

Oliver Cromwell był na tym portrecie znacznie starszy od mężczyzny; który leżał w tej celi skuty kajdanami. Mężczyzna po pięćdziesiątce, a nie po trzydziestce. Portret „lorda-protektora Anglii”, królobójcy i władcy wy-spy, a nie więźnia Tower.

Było sporo różnic, ale ta brodawka znalazła się na portrecie. Strafford wiedział, że to pasowało do Cromwella. Większość ludzi władzy kazała-by upiększyć swoje portrety. Ale ten człowiek nigdy by tak nie zrobił-

Strafford odetchnął głęboko i wypuścił powietrze. Gdyby takie by*0 zrządzenie Boga, znacznie bardziej wolałby być ministrem króla Olive*3 niż króla Karola. Jednak... rzeczywistość była taka, a nie inna. Karol, na jobre i na złe, był prawowitym władcą Anglii. A Oliver Cromwell nim 0 był, niezależnie od tego, jak bardzo Strafford go podziwiał i szano-wał- Był niedoszłym buntownikiem i zdrajcą, a Strafford doświadczył już wystarczająco wielu obłąkanych decyzji parlamentów, żeby wiedzieć, jak wielkie spustoszenia pociągnie za sobą rebelia.

- Dlaczego? - zapytał po raz kolejny Cromwell. -Nie wiesz? Nie powiedzieli ci?

Cisza.

Strafford westchnął. Nie, oczywiście, że nie powiedzieli. Kazali tylko żołnierzom zamordować jego żonę i jednego z synów, a jego samego przy-wlec tu w łańcuchach.

- Słyszałeś o tym nowym miejscu na kontynencie, w Niemczech? O tym miasteczku zwanym Grantville, które przybyło tutaj z przyszłości?

- To nedorzeczne pogłoski. Na Bagnach krąży pełno zabobonów.

- To nie zabobony - odparł Strafford i pokręcił przecząco głową. - To prawda, Oliverze. Wierz mi. Złamali Hiszpanów pod Eisenach i wojska cesarskie pod Alte Feste. Mówi się, że jedna z ich kobiet postrzeliła sa-mego Wallensteina z odległości półtora kilometra za pomocą ich diabel-skiej strzelby.

Oczy więźnia rozszerzyły się.

- A cóż to ma wspólnego ze mną? Hrabia przyglądał mu się przez chwilę.

- Zabrali ze sobą z przyszłości nie tylko broń, Oliverze. Na przykład książki o historii. Francuski kardynał Richelieu zadbał o to, by część z nich trafiła do króla Karola. W przyszłości...

Odchrząknął.

- Przyszłości, której nie będzie, powinienem być rzec. W Anglii doj-dzie do rewolucji. Zacznie się już za kilka lat. Gdy dobiegnie końca, ty będziesz władał całym krajem - a króla skrócisz o głowę.

Twarz znów wycofała się w cień. W świetle świecy widać było już tyl-ko nos.

~ Ty sam chyba jesteś purytaninem, Thomasie, o ile mnie pamięć nie myli. Predestynacja, czyż nie? - Z rogu celi dobiegł lodowaty Stniech. - Niech król Karol zabije żonę i syna królobójcy, a samego kfólobójcę niech zostawi przy życiu. Radzę ci, byś mnie stracił. Albo-tem dołożę wszelkich starań, daję ci moje słowo, by woli bożej stało si? zadość.

Stratford zacisnął szczęki. Nigdy nie był kłamcą

- W rzeczy samej. Tak też wczoraj doradziłem Jego Wysokości. Znów cisza. Wreszcie Cromwell zapytał:

-Ary, Thomasie? W tym świecie przyszłości.

- Mnie również stracono. Przed królem. - Nie widział powodu, dla którego miałby wspominać Cromwellowi o haniebnym zachowaniu króla. Nawet Karol miał tyle przyzwoitości, by odwrócić się z zażenowaniem, gdy Stratford zaczął czytać tę partię historii.

Ale Cromwell nie dał się oszukać.

- Rzucił cię na pożarcie, nieprawdaż? To by było do niego podobne. A ty, Thomasie, jak sobie z tym poradziłeś?

Hrabia Stratford wyprostował się nieco.

- Umarłem z godnością. Nawet moi wrogowie tak twierdzili.

- Och, to mnie wcale nie dziwi. Pamiętaj o tym, Thomasie. - Twarz całkiem pogrzyżyła się w mroku. - Lepiej już idź. Król będzie miał dla ciebie nowe obowiązki. A ja chcę pogrzyżyć się w żałobie.

* * *

Laud oczekiwał Strafforda w jego komnatach w Whitehall. Biskup Londynu chodził tam i z powrotem, wyraźnie wzburzony.

- Cóż to za brednie usłyszałem od Jego Wysokości? - zapytał stanowczo, gdy tylko dostrzegł Strafforda.

Hrabia z trudem się opanował. Jakaś jego część najchętniej udusiłaby biskupa, lecz... w ostatecznym rozrachunku Laud był jego przyjacielem-a Stratford przypuszczał, że obecnie zostało mu niewielu przyjaciół. Nie miał też żadnych wątpliwości, że gdy obecny arcybiskup Canterbury umrze - a z tego, co ludzie mówili, opat był już jedną nogą w grobie - Laud będzie jego następcą. Tak się stało w „tamnym świecie”, tak też stanie się tutaj. Król Karol sprzyjał Laudowi.

To, że nie miał zamiaru go udusić, nie oznaczało, że ma być delikatny Stratford spodziewał się kłótni i był na nią przygotowany.

-Nie zachowuj się jak imbecyl, Williamie. Nawet ty musisz pojmować, że nowa sytuacja wymaga odłożenia naszych planów reformy kościoła. Planów, które, pozwolę sobie dodać, były najbardziej znaczącymi z przyczyn wybuchu rewolucji - wykonał dłonią gest w powietrzu - w tamtej drugiej historii.

Odwzajemnił gniewne spojrzenie biskupa.

- Szlag by zresztą trafił tych wszystkich fanatyków! Ty i to twoje wtrącanie się w sprawy Szkotów, gdy już zostałeś arcybiskupem - ruina, o»

Łaud doprowadził. Do czego byś doprowadził - ale nie tym razem, jak też powiedziałem królowi, i powiedziałem to stanowczo, podszedł sztywno do krzesła i opadł na nie.

„A Jego Wysokość przyznaje mi rację, więc nie ma dyskusji. Nie będzie wtrącania się w sprawy Szkotów i w te ich presbiteriańskie sesje. Zostawisz ich w spokoju, Williamie.

Zostawisz te tępe, na wpół barbarzyńskie klany ich własnym waśniom i sporom. Podburz ich - jak uczyniłeś to w tamtych czasach - a staną się młotem do purytańskiego kowadła.

„Równie dobrze mogę to mieć już za sobą” - powiedział sam do siebie ze zdecydowaniem.

Spodziewał się całkowitego rozłamu z Laudem. Zasmuciło go to, lecz cóż z tego? Widok człowieka takiego jak Oliver Cromwell gnijącego w lochu też go zasmucił. Liczą się potrzeby kraju.

-I to samo z Irlandią. Zostawisz Staroanglików ich papistowskiemu bałwochwalstwu, a Irlandia stanie się bastionem rojalizmu. Podburz ich, a będziemy musieli stawić czoła kolejnej rebelii.

Laud zaczął coś bełkotać, jednak mocny głos Strafforda zagłuszył jego protest.

- Williamie, do cholery! Czyżbyś nie był w stanie dostrzec dłoni, którą masz przed samą twarzą? Czy czytałeś te książki?

-A czemu mielibyśmy im ufać? - zaskrzeczał Laud. - Równie dobrze mogli je napisać czciciele diabła albo mogą to być francuskie falsyfikaty. - Oczy biskupa zwięzły się. - Poznałeś dziś tę wiedzę. Bez wątpienia wyczułeś smród plugastwa. Strafford wybuchnął śmiechem.

- „Wiedzę”? Którą, Williamie? Tę o imieniu Melissa, która - choć niemłoda - wygląda równie zacnie, jak każda księżna w Europie? Czy też może tę młodszą o imieniu Rita, nie gorszą od wszystkich hiszpańskich infantek'?

Wyprostował się i pokręcił głową.

-Nie było żadnego smrodu, Williamie. Daj sobie z tym spokój. Sam Przecież w to nie wierzysz - cała ta koncepcja trąci wiejskim zabobonem. Czy szatan jest tak potężny, że mógłby stworzyć nowy świat? Bzdura. Skądkolwiek ci ludzie się wzięli, nie była to otchłań piekielna. W tej jed- * neJ kwestii skłonny jestem zgodzić się z Richelieu. Oni osobiście nie są

I Co więcej, to właśnie ten brak niegodziwości z ich strony dobitniej p°dkreśla ostrzeżenie, które Bóg nam przesyła: pozwólcie temu szaleń-stwu się rozwinąć, a nawet najlepszych dosięgnie zniszczenie.

Nic nie było w stanie przyciągnąć uwagi Lauda tak, jak zagadnienia teologiczne. Biskup wciąż marszczył brwi, lecz teraz bardziej w geście namysłu niż czystego oburzenia.

- Kardynał papista nie jest w stanie dobrze rozumować, Thomasie, i niech ci się nigdy nie wydaje inaczej. Nasz angielski kościół to jedyny prawdziwy kościół katolicki. Jednakże... Znów zaczął chodzić po pomieszczeniu.

- Przyznaję, że w tym konkretnym przypadku rozumowanie Richelieu nie jest pozbawione podstaw. Jednakże...

Zatrzymał się, odwrócił na pięcie i wyciągnął dłoń w błagalnym geście.

- Czy nie widzisz, co czynisz? Na dobrą sprawę przyjmujesz poli-tykę... tych ludzi. - Zacisnął usta, jakby zjadł cytrynę. - Tolerancja religijna. Każdy głupiec w kraju uważa się za równego biskupowi,

Strafford ponownie się roześmiał.

- „Tych ludzi”? Chodzi ci o kolonialnych czcicieli diabła, jak mnie-mam?

Laud wydawał się uspokoić na tyle, że Stratford odzyskał nadzieję, iż nie będzie całkowitego rozłamu. Wstał, podszedł do starego przyjaciela i otoczył niższego mężczyznę ramieniem.

- Nie powiedziałem, że musimy na zawsze porzucić nasze plany reformy kościoła, Williamie. I zapewniam cię też, że nie podzielam bzdurnych przekonań tych „Amerykanów”, że tolerancja religijna jest wartością samą w sobie.

„Nie żeby - pomyślał kwaśno - spora jej dawka nie była korzystna”.

- W końcu nawet Syn Boży potrzebował trzech dni na to, by powstać z martwych. Nie możemy robić wszystkiego naraz, Williamie. Jeżeli król nie będzie naszą kotwicą, to niemożliwy jest kościół państwowy - wiesz o tym równie dobrze jak ja. Pozwolisz mi więc czynić to, co konieczne, by ocalić tron? Czy też...

Jego głos stwardniał, podobnie jak uścisk wielkiej dłoni na ramieniu biskupa.

- Czy też wstąpisz w szeregi mych wrogów? Wybieraj, Williamie. Wybieraj teraz. Jego Wysokość uznał za stosowne przydzielić mi to zadanie a ja nie uchylę się od obowiązku. Z żadnych względów - włączając w W przyjaźń i osobiste sentymenty.

Ramiona Lauda zeszywniały. A potem opadły.

- Tylko nie to, Thomasie. Wróg? Nigdy w życiu.

_ Dobrze. - Dłonią trzymaną na ramieniu biskupa skierował go w stronę najbliższego krzesła. - Skoro mamy to już za sobą, stary przyjacielu, chętnie skorzystałbym z twoich rad i wskazówek. Bóg mi świadkiem, że przydałaby mi się twoja żywotność i dyscyplina.

Gdy już wszystko ustalili, Stratford postanowił wykorzystać swą prze-wagę-

- Poza tym spójrz na to z innej strony: dzięki pieniądзом, którymi ob-sypują nas Francuzi, będzie mnie stać na wynajęcie prawdziwych żołnierzy. Choć raz król Anglii może pokazać pazury.

- Tylko nie Francuzów - syknął Laud. - Gdyby te wieprze dostały się na wyspę--Stratford roześmiał się.

- Czyżbym narodził się wczoraj? Rzecz jasna, wysłannik kardynała złożył taką propozycję - pewnie nie uwierzysz, ale on nawet wspomniał o możliwości zwerbowania hiszpańskich oddziałów.

Twarz Lauda nabrała koloru jasnej czerwieni.

- Hiszpańskie oddziały! - zapiszczał. Wciąż się śmiejąc, Strafford machnął dłonią.

- Możesz spać spokojnie, Williamie. Przynajmniej tyle dobrego wynika z tego szaleństwa na kontynencie. Po piętnastu latach wojny mamy tysiące - dziesiątki tysięcy - zaprawionych w bojach angielskich najemników, z których każdy byłby zachwycony możliwością powrotu do ojczyzny i służenia pod sztandarem własnego króla.

Laudowi jeszcze nie przeszła chęć patrzenia spode łba.

- Gorsząca zgraja. Żołnierze do wynajęcia. Grzesznicy. Wentworth wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, to chyba lepiej. Raczej nie będą się przejmowali sentymentami parlamentu, czyż nie?

Wstał i podszedł do okna, z którego widać było wspaniałe miasto. Po chwili zakończył nawracanie biskupa.

~ Z całą pewnością nie będą się patyczkować z londyńską milicją.

Na wzmiankę o stołecznych oddziałach rzemieślników i czeladników, które przez lata przysporzyły tak wielu trosk angielskim monarchom i bi-skupom, Laud zerwał się na nogi.

- Zgnieść ten motłoch!

Stratford splótł ręce za plecami i wyprostował się. Następnie spojrzał P°sodnie na spowite mrokiem ulice Londynu.

Taki właśnie mam zamiar. Możesz być tego pewien, Williamie.

Nieco później, w trakcie znacznie bardziej przyjacielskiego posiju Laud zaczął dopytywać się o los nowego więźnia Tower. Twarz Strafforda nieco spochmurniała.

- Jutro znów spróbuję przekonać króla, żeby nakazał ściąć Cromwella Pyma również, gdy tylko żołnierze doprowadzą go do Tower. I Hampde. na, jeśli będziemy w stanie go pojmać. Jednak...

- On jest z natury bardzo niezdecydowany, Thomasie.

Nowy faktyczny premier Anglii pokręcił głową zaszepiony, myśląc o władcy, któremu służył.

- Nawet gorzej. Niezdecydowany w istotnych kwestiach, uparty w nie-istotnych. Myślę, że roi mu się coś - niewątpliwie z powodu małżonki -o wielce spektakularnym procesie za jakiś czas. Takim, na który wywie-cze z Tower wszystkich swych nieprzyjaciół i urzędzi pokaz.

- Przed kim? - zapytał gwałtownie Laud. - Chyba nie przed parla-mentem!

Strafford wzruszył ramionami.

- To już będzie należało do nas, jak mniemam. To znaczy będziemy musieli ustanowić jakiś odpowiedni organ, który zastąpi parlament. I wy-daje mi się, że w tej kwestii - tylko się nie unoś! - wiele przemawia za systemem francuskim...

Spór, który rozgorzał później, był na swój sposób bardzo zajadły. Nie była to jednak kłótnia wrogów, a spór między przyjaciółmi, którym dys-kutowanie sprawia przyjemność.

I tak oto Thomas Wentworth, hrabia Strafford, był w stanie zakończyć dzień lepszym akcentem, niż go rozpoczął. Był także w stanie zabrać ze sobą do łóżka wspomnienie o zachowanej przyjaźni, zagłuszające smutek, który czuł, widząc, jak podziwiany przez niego człowiek gnije w lo-chu, oplakując zamordowaną żonę i syna.

Obowiązek, rzecz jasna, pozostał.

„Jak tylko wstanę, zrobię wszystko, co w mej mocy, by przekonać Karola, że trzeba go stracić. Oliver jest groźny. Jeżeli kiedyś ucieknie...”

Zapadł w sen, pocieszony myślą o grubych murach Tower. Owszem, bywało, że ludziom udawało się stamtąd zbiec. Lecz nigdy tym zamkniętym w lochach.

* * *

Strafford byłby mniej spokojny - znacznie mniej - gdyby wiedział, co robi młody człowiek o imieniu Dairy 1 w chwili, gdy on zasypiał. Mi

ojej swej błyskotliwości hrabia Strafford - podobnie jak Richelieu - nie do końca pojmował istotę nowej amerykańskiej technologii. Był skłonny pierzyć w broń strzelającą na pół mili ze zdumiewającą celnością. Wciąż, jednak - podobnie jak Richelieu - kierował się

zakorzenionym sposobem myślenia człowieka, który urodził się i wychował w siedemnastym wieku. Owszem, obaj byli skłonni uwierzyć w imponujące maszyny czy przyrządy. Od razu jednak zakładali, że taka maszyna czy przyrząd muszą też „imponująco wyglądać.

W końcu działało, którym można zburzyć kamienny mur, takie właśnie jest. Prawdziwy kolos.

* * *

- Gotowe - powiedział cicho Darryl i obrócił się z uśmiechem w stronę Melissy. - Wystarczy jedno słowo, pani profesor, i ta piękna ściana zamieni się w stertę gruzu, a my się zmyjemy. Oczywiście jeśli uda się skombinować jakiś transport. - Zerknął ze sceptycyzmem przez okno na fosę i Tamizę. W ciemnościach nocy nie dostrzegał wody, ale za to ją czuł. - Nie powiem, żebym chciał sobie popływać w tej cuchnącej rzeczce, a tym bardziej w tej fosie - zakładając, że w ogóle dałbym radę się przeprawić.

Melissa skrzywiła się.

- Nie wierzę, że mogłabym zniszczyć... na litość boską, sami rozumiecie - Tower of London. Przecież to jest światowy zabytek.

- Tutaj nie - powiedział Tom Simpson. - Tutaj to jest kolejne pieprzone więzienie.

Melissa skinęła głową. Przyjrzała się niewielkiej dziurze w ścianie, którą Darryl maskował teraz błotem, rozsmarowując je po kamieniach. Gdy tylko błoto zaschnie i osiadzie na nim trochę kurzu, nie będzie wiadomo, że tam jest ładunek wybuchowy, pomijając cienki drut, który ciągnął się po ziemi. Miał on jednak być schowany za meblem (ciężką kanapą, która według Darryla i Toma pomoże ukierunkować wybuch), a zresztą i tak nie było to coś, co siedemnastowieczny wartownik mógłby rozpoznać.

- Nie wygląda jakoś specjalnie, prawda? - zaśmiał się Tom.

- Na to właśnie liczę. - Melissa odwróciła się ze zdecydowaniem. Jedną z rzeczy, których nauczyła się przez ostatnie dwa lata, było panowanie nad „wyższymi uczuciami”. Zabytek czy nie, jeśli nadejdzie taki czas, ^aże zburzyć tę ścianę. Niech średniowieczna architektura sama się o siebie troszczy. Ona odpowiada za żywe istoty.

- Jak tam radiostacja? - zapytała.

Gayle kucnęła na podłodze. Podniosła wzrok.

- Zmontowałam już generator, Friedrich przykręca pedały, a Nelly montuje antenę. Dobrze, że wartownicy nas nie widzą, bo pomyśleliby, ^jesteśmy stuknięci.

Melissa zrobiła kwaśną minę.

- Nie wiem, czy nie mieliby racji.

W drodze powrotnej do domu, pod wpływem impulsu, Mike zoczył ze swej normalnej trasy i przeszedł obok kompleksu przyczep, który w zeszłym roku zamieszkiwała dość specyficzna wielopokoleniowa rodzina Gretchen. „Oficjalnie” (co znaczy, że tak postanowiła straszliwa Gretchen Richter) znany był jako „rezydencja państwa Higginsów”. Jeff poślubił Gretchen Richter tuż po Ognistym Kręgu, a jej babka Weronika nalegała na porządny protokół małżeński. Porządny według amerykańskich standardów - chociaż babcia uważała, że Jeff jest zbyt młody na męża, nie miało to nic do rzeczy.

Mike, jak większość mieszkańców Grantville, myślał o tym miejscu inaczej. W zależności od okoliczności był to albo „dom chłopaków”, ponieważ jedna z przyczep należała do przyjaciela Jeffa, Larry'ego Wilda, a dwaj inni najlepsi przyjaciele - Eddie Cantrell i Jimmy Andersen - też tam mieszkali, albo też „dom Richterów”, ponieważ wraz z Gretchen i jej babką wprowadziły się tam po weselu również nieprzebrane rzesze krewnych i nieoficjalnie adoptowanych sierot. Ślub Jeffa i Gretchen wprowadził jeszcze większy zamęt. Dla rdzennych Amerykanów Gretchen była „Gretchen Higgins”, więc dla nich był to „dom Higginsów”. Jednak w siedemnastowiecznych Niemczech nie było zwyczaju przyjmowania nazwiska męża, więc dla Niemców ona wciąż była „Richter”.

Mike nie mógł się nie roześmiać. Nieraz zdarzało mu się myśleć o tym miejscu jako o „legowisku Gretchen”. Jeśli kiedykolwiek napotkał tygry-SlcC w ludzkiej skórze, to była nią właśnie ta młoda kobieta.

Przystanął na chwilę i spojrzał na kompleks przyczep. Wszystko zdawało się tu zmienić i Mike nie bardzo wiedział, co ma o tym sądzić. Oczywiście, były to zmiany na lepsze - nieuniknione przemiany pojawiające w ludzkim życiu poprzez małżeństwa, narodziny dzieci, a także inne faf. ty. Wciąż jednak brakowało mu tej hałaśliwej energii, którą to miejsce tętniło zaraz po Ognistym Kręgu. Zawsze uważał, że w całym miasteczku ten właśnie kompleks przyczep jest najjaśniejszym symbolem przyszłości pełnej nadziei.

A teraz...

Mogą sobie być Higginsami albo Richterami - ich już tutaj nie ma. W przyczepach wciąż mieszkała masa osób, lecz byli to tylko dzierżawcy. Kilka spokrewnionych rodzin niemieckich, jeśli Mike dobrze zrozumiał to, co powiedziała mu babcia Richter. Nie znał ich osobiście.

Ponownie się zaśmiał. Babcia zarządzała kompleksem na czas nieobecności Jeffa i Larry'ego. Znając Weronikę, Mike nie miał wątpliwości, że nowi lokatorzy płacili czynsz bez zwłoki, i to w całości. Co prawda przyczepianie jej łatki „sknery” byłoby niesprawiedliwe, ale... ta kobieta miała stosowne i na wskroś germańskie pojęcie o wartości majątku. Rzucił okiem na zegarek i dotarło do niego, że wraca do domu nieco wcześniej niż zazwyczaj. Tak więc pod wpływem kolejnego impulsu przeszedł przez ulicę i skręcił w następną. W tej chwili oddalał się od domu, ale już zaraz miał dotrzeć do celu.

Niespełna minutę później stał przed bardzo dużym piętrowym domem należącym do burmistrza Grantville, Henry'ego Dreesona. Dom stał na rogu, a postawiona tam nowa latarnia gazowa już się paliła.

Mike przez chwilę przyglądał się latarni. W tej sprawie również miał mieszane uczucia. Z jednej strony rozumiał i zgadzał się z logiką odejścia od rozrzutnego gospodarowania oświetleniem elektrycznym. Problemem nie był brak prądu, bo tego nigdy by nie zabrakło. Problem był znacznie prostszy i przez to nie do wytrzymania - tak jak większość problemów Mike'a. Owszem, prądu nie brakowało. Ale prąd nie zda się na wiek kiedy zabraknie żarówek - a te (podobnie jak mnóstwo innych „drobnych” rzeczy, które dla Amerykanów były czymś oczywistym) zaczynały się wyczerpywać i bardzo trudno było je czymś zastąpić. Z drugiej strony... wydawało się to nieco głupie, żeby sięgać do nologii z dziewiętnastego wieku, skoro wiedzieli wszystko, co trzeba w dzieć, żeby wytwarzać takie przedmioty, jak żarówki i inne elementy 111 stacji oświetleniowej. Rzeczywistość była jednak taka a nie inna. 1*

wyglądała właśnie stara - i jeśli nawet nie zawsze akceptowana, to przybij mniej dobrze znana - różnica między nauką i inżynierią. Samo to, że powiek rozumie wszelkie zasady naukowe, wcale nie oznacza, że dysponuje odpowiednią technologią i środkami, żeby je jakoś wykorzystać.

podjęto więc decyzję o przerwaniu się na oświetlenie gazowe, a Henry Dreeson jako burmistrz miasta dał dobry przykład i kazał zamontować pierwszą latarnię gazową przed swym własnym domem.

Mike usłyszał, że drzwi się otwierają i zerknął w tamtym kierunku. Ze środka wyszedł Henry Dreeson we własnej osobie i ruszył po schodach w jego kierunku.

-Cześć, Mike! - Staruszek zauważył, czemu Mike tak badawczo się przygląda i uśmiechnął się. - Przestań się tak przejmować. Ani się obierzysz, a pochłonie cię tradycyjna kwestia papieru toaletowego.

Mike skrzywił się z niesmakiem.

-Nawet mi nie przypominaj.

Henry nadal się uśmiechał, ale widać było w tym uśmiechu ślady lęku. -Czy są jakieś wieści? To znaczy... Mike pokręcił głową.

- Bez obaw. Henry. Z tego, co wiem, z Gretchen i chłopakami - a także z Becky, Ritą, Melissą i całą resztą - wszystko w porządku. Nie dlatego wpadłem. Po prostu... sam już nie wiem. Chyba chciałem zobaczyć się z tobą, Wercią i dziećmi. Oczywiście nie chcę się narzucać, jeśli jesteście zajęci...

Zanim skończył mówić, Dreeson trzymał go już za łokieć i prowadził po schodach.

-Absolutnie! Zapraszam! Wercia ucieszy się na twój widok. Oczywiście tego nie zauważysz, bo będzie rzędzić, że pozwoliłeś tym „niewidkom” włączyć się samotnie po rozdarłej wojnę Europie, ale...

Staruszek wyszczerzył zęby.

~ Cóż mogę rzec? Szaleję za nią, ale pierwszy bym przyznał, że moja Małżonka to niezła wiedźma.

~"Daj spokój, Henry, nie uważam, że jest wiedźmą, w gruncie rzeczy tylko..."

Weronika Dreeson stała już w drzwiach z dłońmi opartymi na biodrach. Patrzyła spode łba na dwóch mężczyzn wspinających się po schodach.

~Aha! Wszyscy zginęli, prawda? Ostrzegałam cię!

"~ W gruncie rzeczy nie jest wiedźmą - wymamrotał Mike. - Tylko... I^wie.

Henry posłał swej żonie szeroki uśmiech.

- Słońce ty moje, wszystko z nimi w porządku. Właśnie się dowiedziałem od Mike'a. Weronika nie dała się tak łatwo udobruchać. Prychnęła, wkładając w ten dźwięk gorycz doświadczeń całego swego życia. Chłopy i ich łgarstwa.

- A skąd on może wiedzieć, co się stało z dziećmi? - Z pewną niechęcią odsunęła się na bok i gestem zaprosiła Mike'a do środka. Gdy ją mi. jał, wciąż utyskiwała. - Na pewno leżą

gdzieś w rowie. Tot - allei Wszy. scy martwi. Może dziewuchy jeszcze żyją. Zniewolone, rzecz jasna, i wciągnięte do obozu.

Mike skrzywił się. Kusilo go, żeby posprzeczać się ze staruszką, ale...

Prawda była taka, że wszystkie okropieństwa, o których mówiła, faktycznie miały miejsce. Przez lata, które minęły od wybuchu wojny trzydziestoletniej, Weronika widziała, jak te rzeczy się przytrafiają - i to jej własnej rodzinie.

Szczęśliwie na ratunek przyszedł ktoś inny. Młodszy brat Gretchen, Hans, siedział na kanapie w salonie obok Sharon, córki Jamesa Nicholasa. Młodzieniec zerwał się z właściwą sobie energią i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Witamy w naszym domu, prezydencie narodu! - Posłał babce spojrzanie pełne wyrzutu. Nie trzeba dodawać, że odbiło się od niej niczym kamyczek od muru. Weronika nie zadała sobie nawet trudu, żeby prychnąć.

Powitanie Sharon było znacznie mniej oficjalne.

- Cześć, Mike.

Uśmiechnął się do niej i skinął głową. I w głębi ducha poprzysiągł sobie, że nie wspomni ojcu Sharon o tym, że ją tu widział. James Nicholase przypuszczałnie z powodu tego, że całe dzieciństwo i młodzieńcze UB spędził w getcie, był bardziej skłonny do ojcowskiej ingerencji w życie uczuciowe swej pociechy, niż odważyłaby się większość Amerykanów mających dwudziestotrzyletnie córki. Mike nie miał ochoty się nasłuchiwać. Po raz kolejny.

Tu nie chodziło o to, że James Nichols osobiście miał coś przeciw Hansowi - pomijając może brawurę młodego Niemca, kiedy zasiadać kierownicą uwielbianych przez niego amerykańskich pojazdów nicznych. Chodziło o to, że Hans był trzy lata młodszy od Sharon, a ona miała wątpliwości, czy pod względem wieku i wykształcenia nie do

niech przepięć" nie do przebycia. Szczerze mówiąc, Mike też miał wątpliwości-

Drugi problem był jeszcze prostszy. W oczach Jamesa Nicholasa ów człowiek, do którego jego córka zapałała uczuciem, cierpiał na typową przypadłość, z powodu której zaliczał się w poczet legionów szatana.

„To jest szczeniak, do jasnej cholery! Pamiętam, jaki ja byłem w jego wieku! Możesz mi uwierzyć - tylko jedno mu w głowie...”

-I nie mów tacie, że tu byłem - dodała. - Nie chcę znowu mieć kazania.

Weronika jak zawsze nie kryła się ze swym zdaniem.

-Gdyby Hans zaczął się do ciebie zalecać tak, jak przystało, twój ojciec nie miałby nic przeciwko temu. - Prychnięcie. - Ja bym oczywiście miała, bo Hans jest jeszcze za młody, żeby się do kogokolwiek zalecać. Ale...

Westchnęła tak ciężko, że dało się odczuć żal całych stuleci i opadła na swój ulubiony fotel.

-Niech i tak będzie. Wszyscy Amerykanie to szaleńcy, nawet mój Henry, i ja już się poddałam. Róbcie, jak uważacie.

Mike uśmiechnął się do niej. Lubiał babcię Dreeson. Jasne, była to twarda staruszka. I co z tego? Mike czuł sympatię do „twardych staruszek” - w tym nowym świecie stworzonym przez Ognisty Krąg nawet bardziej niż w tam-tym, który zostawili. Jednym z powodów, dla których nie był tak zaniepokojony, jak byłby normalnie, słysząc, że Rebeka i Gretchen zostawiają na kilka miesięcy swoje niemowlęta, było to, że babcia Richter z miejsca oznajmiła, że zapewni dzieciom należytą opiekę. I tak właśnie zrobiła. Bezpośrednio w przypadku dwójki dzieci Gretchen i Jeffa, które teraz mieszkały w domu państwa Dreeson. Pośrednio - w przypadku Seffie, córki Mike'a i Rebeki, dla której znalazła młode niemieckie małżeństwo, podczas nieobecności Mike'a pełniące rolę stałych niani. Mike ufał osądowi staruszki i jak dotąd tego nie żałował.

•^Staruszki". Tak naprawdę Weronika nie skończyła jeszcze sześćdziesięciu lat - miała praktycznie tyle samo lat co Melissa Mailey. Gdyby żyła * Ameryce w dwudziestym

pierwszym wieku, ludzie uważaliby ją za osobę " średnim wieku. Jednakże trudy tych czasów i życie, jakie wiodła, sprawiały, że wyglądała znacznie starszej niż Melissa; starszej nawet niż jej mąż, który zbliżał się do siedemdziesiątki, a mimo to...

- Dobrze wyglądasz, Werciu - oznajmił. I prawdę mówiąc, tak właśnie było. Ususzona starucha, która dwa lata wcześniej pojawiła się w Grantville jako część rodziny ocalonej przed najemnikami przez Jefta i jego przyjaciół, dawno już odeszła w niepamięć. Teraz Weronika wyglądała po prostu na „steraną życiem”. Po pierwsze, odzyskała dawną wagę, a po drugie...

- To te nowe zęby - odparła z satysfakcją i otworzyła usta, by zademonstrować wspaniałą sztuczną szczękę. Zaciśnęła zęby z kłopotem. - Poza tym nie ma różnicy. Ta sama wąła starowinka.

Mike i Henry zaczęli ją zapewniać, że ta samoocena mija się z prawdą (bez wątpienia się mijała, jeśli chodzi o „wąłość”), ale przerwano im w środku przemowy. Młodsza siostra Gretchen, Annalise, wpadła do salonu, trzymając na rękach Josepha, syna Jeffa i Gretchen.

- Nic im nie jest? - spytała zadyszczonym głosem. Nie czekając na odpowiedź, wyrzuciła z siebie prawdziwe pytanie, które absorbowало szesnastolatkę przeżywającą swe pierwsze zauroczenie. - Czy coś się stało Heinrichowi?

Następnie spojrzała na babkę z miną winowajczyni.

- To znaczy majorowi Schmidtowi.

Mike stłumił uśmiech. Gniewne, bazyliżkowate spojrzenie, którym Weronika obrzuciła swą wnuczkę, mogłoby usmażyć całe hordy szlajających się chłopczych.

Weronika miała stanowcze zdanie na temat romansowania, i zdanie to podzielała większość Niemców w tamtych czasach. Mike był zaskoczony, gdy odkrył, że w siedemnastym wieku ludzie na północy Europy raczej nie pobierali się w młodym wieku. Wręcz przeciwnie. Mężczyźni zazwyczaj brali sobie żony, gdy zbliżali się do trzydziestki, a kobiety wychodziły za mąż około dwudziestego piątego roku życia.

Powód był prosty - i ekonomiczny. W przeciwieństwie do nowoczesnego uprzemysłowionego społeczeństwa, w którym mężczyźni i kobiety mogli w młodym wieku znaleźć pracę i utrzymać rodzinę, mieszkańcy północnej Europy, jeżeli nie należeli do arystokracji lub którejś z bogatych rodzin, musieli potrzebny kapitał gromadzić całymi latami. Młodzi mężczyźni najczęściej przyuczali się do fachu albo pracowali na roli, a kobiety zaś zwykle pracowały jako służące.

Tak więc między młodą parą nie było również ogromnej różnicy wieku. Z całą pewnością nie była to ośmioletnia przepaść, jak między Heitchem i Annalise - zakładając w ogóle, że Heinrich był zainteresowany.

117

1633

Weroniką. W co Mike raczej wątpił. Wiedział, że młody niemiecki oficer ma świadomość afektu Annalise, ale z tego, co się orientował, Heinrich nie odwzajemniał jej uczuć. Tak można było przynajmniej sądzić po malowanych komentarzach, jakie usłyszał od niego tuż przed wyprawą z Rebeką w misji dyplomatycznej. Mike odniósł nawet wrażenie, że robi to z ulgą, bo Annalise nie była do końca subtelna. Nie chodziło, rzecz jasna, o to, że Annalise nie podobała się Heinrichowi - ona musiała się podobać każdemu normalnemu mężczyźnie w jego wieku. Choć miała dopiero szesnaście lat, już widać było, że będzie jeszcze ładniejsza od swej starszej siostry, a była też osobą znacznie bardziej promienną niż Gretchen. Heinrich jednak wyznawał takie samo tradycyjne niemieckie podejście jak Weronika: małżeństwo jest czymś praktycznym, a nie „romantycznym” zgodnie z amerykańskim rozumieniem tego słowa. Może i przystojny młody oficer miałby ochotę na niezobowiązujące zaloty z chętną nastolatką, lecz...

Na takie zachowanie wobec młodszej siostry Gretchen nie odważyłby się nawet najdzielniejszy z żołnierzy. Co prawda nigdy tego nie dowiedziono, ale opowieść o Gretchen, która rozprawiła się z najemnikiem pożądanym Annalise, poderżnąwszy mu gardło (i na dokładkę rozbawiając go przy okazji, krążyła po okolicy jako obowiązująca prawda, która urosła do miana „Legendy o Gretchen”.

* * *

Tak się składało, że Hans był jednym z wyjątków od reguły, która mówiła, że Niemcy postrzegają miłość inaczej niż Amerykanie. Może spowodowała to jego własna sytuacja z Sharon, a może po prostu jego lyiek, ale pod tym względem zasymilował się bardziej niż reszta. Widząc więc, że spojrzenie Weroniki zaraz zamieni Annalise w kamień, młodzieniec demonstracyjnie stanął u boku swej młodszej siostry.

- To jest szanowany oficer, babciu - oznajmił z mocą - i to w prawdziwej armii. W Armii Stanów Zjednoczonych. To nie jest zwykły najemnik! I o więcej...

^like postanowił interweniować, zanim to, co rozpoczęło się jako nieplanowane odwiedziny, przemieni się w awanturę rodzinną - a nie zaangażował w niej uczestniczyć. Przeszedł więc energicznie kilka kroków i położył się nad niemowlęciem.

n*go

^ A jak tam Joseph? - zapytał. Chłopiec podniósł na niego wzrok. Wyglądał się nieco zaniepokojony na widok schylającego się nad nim potężnego mężczyzny. Rychło w czas Mike przypomniał sobie, że dziecko jest

już na tyle duże, że zaczyna odczuwać lęk przed obcymi. I chociaż uSposobienia znacznie bardziej przypominał swego ojczyma. Podobnie jak dzieć o jego osobowości.

Chłopiec przypatrywał się Mike'owi z taką samą ciekawością, jaką Mike często widział u Jeffa rozmyślającego nad jakimś nowo odkrytym aspektem wszechświata.

_ Cemu do nas wpadłeś, Mike? - zapytał Henry Dreeson. - Oczywiście zawsze jesteś mile widziany...

Mike sam się nad tym zastanawiał, gdy stał na zewnątrz przed wejściem. I teraz odpowiedź przyszła do niego z siłą huraganu, aż musiał powstrzymać napływające łzy. Nie były to łzy smutku czy żalu, ale zwykłego uczucia zadowolenia - tak głębokiego i przejmującego, że jego dusza zatrzęsała się niczym drzewo na wietrze.

Niespiesznie powiódł dokoła wzrokiem - pomieszczenie było teraz zatłoczone, jako że kolejni członkowie „rodziny” przychodzili zobaczyć, kto ich odwiedził.

Uśmiechający się serdecznie Henry Dreeson. Człowiek, którego Mike znał całe życie, burmistrz tego, co kiedyś było zaledwie górniczym miasteczkiem w Wirginii Zachodniej.

Jego nowa niemiecka żona o surowej, wręcz kamiennej twarzy uciekinierki, którą przygnała do nich fala ludobójstwa szerzącego się w środkowej Europie.

Jej jasnowłosa wnuczka o twarzy równie pogodnej jak ślicznej, pomimo trudów, które musiała znieść jako młoda dziewczyna. Obok niej jej żyłasty brat, niemal komiczny w sposobie, w jaki emanował młodzieńczą energią. Z boku, wciąż siedząca i patrząca czule na swego młodego niemieckiego chłopaka, ciemnoskóra Sharon, córka Jamesa Nicholasa.

Wszędzie zdrowe dzieci. Mieszanina kompletnie różnych ludzi, którzy w jakiś sposób zdołali rozpocząć proces scalania się w prawdziwy nowy naród. I nawet jeśli w tym pomieszczeniu dało się odczuć sporą dozę surowości (zdecydowanie bardziej w osobie twardej staruszki niż śmiałej ^odzieży), to jednak nieporównywalnie więcej czuło się tu miłości, opieki, akceptacji i cichego postanowienia, że wszystko będzie jak najlepiej.

Czyli jednak kompleks przyczep nie zniknął. Zwyczajnie przeniósł się Przystronniejszego i wygodniejszego lokum. ^ A, nic takiego - wymamrotał cicho. - Po prostu... chciałem zamienić słowa.

naprawdę on nie był obcy, jednak ze względu na natłok obowiązków rzadko Jeff, który również w niemałego wzrostu, Willi wydawał się poważny i prawi-
widywał małego Josepha. - W tym wieku, rzecz jasna, nie dało się jeszcze zbyt wiele powie-

To wystarczyło jednak, by rozładować chwilowe napięcie. AnnaliSe | uśmiechnęła się i pocałowała Josepha w pokrytą meszkiem główkę.

- W porządku. Willi też. Myślę jednak, że Willi jest już na tyle duży, że tęskni za rodzicami. Ale ten mały... - Zaśmiała się cicho. - W tym wieku chyba niespecjalnie się martwi, że na chwilę wyjechali.

W głębi ducha Mike miał nadzieję, że to prawda. Z tego, co był w stanie zaobserwować, po jego własnej córce nie widać było ujemnych skutków całkowitej nieobecności matki i częstej nieobecności ojca. Trudno jednak było stwierdzić to z całkowitą pewnością, dlatego wielokrotnie zamartwiał się z tego powodu.

Teraz przyszła kolej na interwencję babci. Zrobiła to w taki sposób, że Mike'owi od razu ulżyło. W końcu asymilacja przebiegała w obydwie strony - odkrył, że w niektórych kwestiach stoicyzm siedemnastowiecznych Niemców przewyższał dwudziestopierwszowieczny amerykański...

„Pseudopsychologiczny bełkot, bądźmy szczerzy”.

- Oczywiście, że nic mu nie jest! - ucięła Weronika poirytowanym tonem. - Czemu miałoby być inaczej? Karmimy go, jest mu ciepło, ma dobrą opiekę. - Gniew w spojrzeniu, którym obdarzyła Annalise, nieco zelżał, a przynajmniej skupił się na czym innym. - Dla niego najgorsze jest to, że Annalise wciąż go rozpieszcza.

W tym momencie do pomieszczenia przydreptał Wilhelm, starszy z synów Gretchen. Jedną z dziewczyn, które należały do rodziny, trzymała go za rękę. Mike nie mógł sobie przypomnieć jej imienia - była tak nieśmiała, że nigdy się przy nim nie odzywała - ale ją rozpoznał. Tak jak większość członków „familii Richterów”, ona również nie była spokrewniona z Weroniką i Gretchen. Należała do chłopskiej rodziny, którą rozbili najemnicy Tilly'ego, a ona jako jedna z nielicznych przeżyła. Gretchen przygarnęła ją pod swoje skrzydła, zanim ci sami najemnicy zginęli, rozszarpani na kawałki podczas ataku na Grantville.

do

- Willi z całą pewnością zdrowo wygląda - powiedział Mike. I rzecz' i wieście tak było. Nieżyjący ojciec chłopca (zabity w tej samej bitwie pod Grantville) należał do zaciężnych żołnierzy Tilly'ego i zrobił z Gretche". swoją nałożnicę po tym, jak spustoszyli miasto, w którym mieszkała. WsZ) ; scy twierdzili, że był to kawał bydlaka. Chociaż jasne włosy i - co już by* widoczne - spory wzrost Wilhelm odziedziczył po ojcu, pod względe 1

Rzucił okiem na zegarek.

-Ale teraz już naprawdę muszę lecieć. Moja mała córeczka oczekuje że będę na czas, a jak się nie zjawię, to się zasmuci.

Henry odprowadził go do drzwi. Oddalając się, jeszcze usłyszał jedną z mądrości twardej staruszki.

- Bzdura - prychnęła Weronika. - Twoja córka to niemowlę. Jej świat zaczyna się od cycka i kończy na cycku. I już! Później oczywiście będziesz miał z nią wieczne utrapienie.

* * *

Ruszył pospiesznie do domu ulicami, które teraz okrywał mrok. Może to z powodu tej ciemności mężczyzna dobrze po trzydziestce, piastujący czcigodny urząd prezydenta Stanów

Zjednoczonych, maszerował bardziej zawadiacko niż zazwyczaj. Ten sam zawadiacki chód prezentował lata temu, wchodząc na ring jako zawodowy bokser.

„No dalej, Richelieu. Spróbuj, jeśli jesteś na tyle głupi. Ale dobrze ci radzę: posłuchaj mojej żony, póki jeszcze masz szansę”.

Mędrcy, którzyście dotąd

^ozbzml W

o on mówi? - zapytał Jeff Higgins, spoglądając na kapitana lugra. Rebeka skrzywiła się lekko.

- Niewiele, i jeśli się nie mylę, są to głównie flamandzkie przekleństwa.

Zerknęła na wspomnianego mężczyznę, który przechylał się przez re-ling stateczku i z wściekłością patrzył w stronę rufy. Dwie, może trzy mile za nimi widać było inny statek płynący w ich kierunku.

- Podejrzewam, że te przekleństwa były skierowane przede wszystkim do mnie. Kapitan chyba już nie jest zadowolony, że przewozi nas do Ni-derlandów.

- Po takiej zapłacie? - parsknął Jeff. W geście, który nie do końca był rnimowolny, jego wielka dłoń pogładziła łożę strzelby przewieszanej przez ramię. Strzelba ta, wraz z resztą broni palnej, w którą uzbrojona była eskort-ta Rebeki, stanowiła przedmiot ukradkowych spojrzeń kapitana i jego za-l°gi. Arkebuzy i pistolety z zamkiem kołowym, z którymi byli obeznani, Prawie w niczym nie przypominały tej broni. Rebeka nie dziwiła się ich reakcji. Pamiętała, jak sama pierwszy raz zobaczyła broń Amerykanów; r>aWet dla takiego laika, jakim wówczas była, te przedmioty zdawały się krzyczeć: „zabijam!”.

- Myślisz, że będą kłopoty? - Jeff skinął nieznacznie głową w kierun-^u kapitana. - Pytam o niego i jego ludzi.

Rebeka zastanowiła się nad odpowiedzią.

1633

125

-Trudno powiedzieć - odezwała się po kilku sekundach. - Z jednej strony nie będą się kwapić - bynajmniej - do konfrontacji z tobą i twojej żołnierzami. Ale z drugiej strony...

Ponownie zaczęła się przyglądać odległemu statkowi, który płynął w ślad za nimi.

- Z drugiej strony coraz bardziej oczywiste jest, że podąża za nami statek piracki. Z uwagi na to, że piraci na tych wodach mają reputację wyjątkowo bezlitosnych, kapitan i reszta załogi będą chcieli zawinąć do portu, gdzie tylko się da, zanim tamci nas dościgną.

- I w ten sposób znowu trafimy na francuską ziemię - podsumował Jeff i wskazał ruchem głowy na sterburtę. Brzeg wcale nie był daleko. - Czyli dokładnie tam, gdzie nie chcemy być. Podszedł do nich Heinrich.

- Znosi się na kłopoty - mruknął. - Załoga - trzech ludzi na dziobie - majstruje coś przy schowku. Jestem pewien, że w środku znajduje się broń. - Uśmiechnął się ponuro. - A z tego, co słyszałem, nie zamierzają połować na ryby.

Rebeka zmierzyła go wzrokiem.

- Jak dobrze znasz flamandzki?

- Wystarczająco dobrze. - Heinrich wzruszył lekko ramionami. - Głównie przeklinali.

- To by było na tyle - powiedział Jeff. Wyprostował się i spojrzał w dół na Rebece. - Oczywiście ty tu rządzisz, ale jak mniemam, nie zamierzasz znowu korzystać z „gościny” Richelieu.

Rebeka pokręciła głową, lecz niezbyt pewnie.

- Nie, ale... Czy my jesteśmy w stanie odeprzeć piratów, jak przyjdzie co do czego? Jediną odpowiedzią był szeroki uśmiech na twarzy Heinricha i słaby dźwięk, który dobiegł z nozdrzy Jeffa. Mogło to być szydercze prychnięcie

Chwilę później Heinrich maszerował w stronę kapitana, a Rebeka i Gretchen podążały w ślad za nim. Tymczasem Jeff zwrócił się do Jimmy'ego i pozostałych żołnierzy z eskorty.

- Jimmy, zostań tu z amunicją. Jak trzeba, to niech jeden mu pomoże. Reszta idzie ze mną. Muszę wyjaśnić tym patafianom z przodu parę żółtych spraw.

Żołnierze jakby oczekiwali tego rozkazu. W mgnieniu oka przygód wali strzelby i czterech z nich podążyło za Jeffem w stronę dziobu. wciąż miał strzelbę przewieszoną przez ramię. Żeglarzom mocującym s«

ze schowkiem właśnie udało się go otworzyć, gdy do ich uszu dotarł dźwięk wsuwania naboju do komór. Podnieśli wzrok, spojrzeli na cztery lufy wycelowane w ich głowy i zamarli. Chociaż ta broń nie była im znana, to i tak sprawiała wrażenie... śmiertelnej. Jeff pokazał im gestem, że mają się odsunąć. Bezwłocznie usłuchali, potem zbliżył się, upewniwszy się najpierw, że nie wszedł między strzelby a cele, w które są wymierzone. Zajrzał do schowka i z hukiem opuścił pokrywę.

- Nie będą wam potrzebne, panowie. To i tak straszny złom. - Wyszczerył zęby do marynarzy. - Zajmijcie się żaglami - cokolwiek - a my załatwimy resztę.

Żeglarze najwyraźniej nie rozumieli angielskiego. Jeff powtórzył po niemiecku. A kiedy znowu wydawali się nie rozumieć - w swym kulałym licealnym hiszpańskim.

Hiszpański zrozumieli, nawet jeśli był to bardzo kiepski hiszpańsko-meksykański z dwudziestego pierwszego wieku, mówiony z amerykańskim akcentem. Ich spojrzenia wędrowały od amerykańskich żołnierzy, którzy trzymali ich na muszce, do pirackiego statku dwie mile od nich.

Upłynęło kilka chwil i wreszcie jeden z żeglarzy wymamrotał coś do pozostałych. Jeff nie rozumiał jego słów, ale przekaz był klarowny: „między młotem a kowadłem, tyle że młot wisi nam nad głowami”. A przynajmniej coś w tym rodzaju. Za moment marynarze odeszli chyłkiem od schowka i wrócili do swych obowiązków.

Jeff przekrzywił głowę i ryknął:

- Załatwione!

Zanim wiadomość dotarła do Heinricha, na rufie również wszystko było już „załatwione”. Całkowicie. Może i jego znajomość flamandzkiego nie była doskonała, ale w tej sytuacji

całkowicie wystarczyła. Kapitan statku miał twarz w czerwone i białe plamy. Czerwone z wściekłości na zniewa-§L Heinricha, białe ponieważ ów twardy niemiecki oficer był niebywale Precyzyjny, opisując konsekwencje nieposłuszeństwa. Nawet łamany fla-mandzki wystarczył do opisanego zmiędzonych palców, nadgarstków, ra-mi^n, głów... praktycznie każdej istniejącej części ciała.

Twarz Rebeki też była nieco blada. Heinrich normalnie był tak sympa-tycznym człowiekiem, że zapomniała, jaki potrafi być okrutny, gdy tylko 2aJdzie potrzeba. Miała tyle samo wątpliwości co do prawdziwości tych ^źb, co kapitan statku..

Podobnie Gretchen. Młoda Niemka nawet nie zadała sobie trudu wy. ciągnięcia pistoletu. W końcu знаła Heinricha od lat.

- A więc wszystko jasne - powiedziała z zadowoleniem. - Teraz mu. simy już tylko uporać się z piratami. - Zaczęła wyrażać własne zdanie dotyczące tego, jak powinni się do sprawy zabrać, lecz urwała, widząc grymas złości na twarzy Heinricha.

- Nieważne - oznajmiła ze słodkim uśmiechem. - Po cóż miałyby^ się wtrącać w żołnierskie sprawy prawdziwych mężczyzn?

Grymas Heinricha przeszedł w półuśmiech. Major wymienił spojrze-nia z Rebeką i wzruszył ramionami.

- Niech się pobawi, czemu nie? Poza tym pewnie ma rację.

Skinął głową na Jimmy'ego Andersena, który przyglądał się im z nie-cierpliwością. Chłopak już otworzył skrzynię z granatami nasadkowymi, wyciągnął pierwsze z nich i z pomocą innego żołnierza zaczął je usta-wiać na pokładzie.

Jeff i dwóch żołnierzy wrócili truchtem z dziobu, a dwaj inni zostali pilnować marynarzy. Jeff zdjął strzelbę i zaczął wyjmować pociski śru-towe, żeby zastąpić je specjalnymi nabojami do granatów. Jimmy posłał mu dość chłodne spojrzenie, ale nie zamierzał się spierać. Był zakocha-ny w nowych granatach nasadkowych, jednak Jeff posługiwał się nimi znacznie lepiej od niego, a nie mieli ich tyle, żeby pozwolić sobie na marnotrawstwo.

Jeff przyglądał się płynącemu za nimi brygowi i równocześnie przeła-dowywał strzelbę nabojami wziętymi od Jimmy'ego. To, że ich ścigano, nie podlegało już dyskusji. Szybsi piraci stopniowo ich doganiali i w tej chwili byli już niespełna milę za nimi. Na tych wodach żaden statek o uczci-nych zamiarach nie zbliżyłby się tak bardzo. Kanał La Manche wciąż był wystarczająco szeroki, żeby statki nie musiały przepływać obok siebie, tym bardziej że zazwyczaj traktowano to jako zagrożenie.

- Jeszcze chwila - oznajmił ze spokojem. Rebeka patrzyła na niego i nie mogła się nadziwić zmianie, jaka zaszła w tym młodzieńcu od czasu gdy go poznała dwa lata temu.

Wciąż widziała w tej pulchnej twarzy i grubych okularach ślady „Jeffa głupka”. Ślady te były już jednak słabe. O" brzynie ciało straciło swą nastoletnią miękkość - nawet bardziej niż twa#

Owszem, Jeff pewnie przez całe życie będzie miał nadwagę, ale w,e-chwili już nikt, kto widział, jak młody żołnierz spokojnie przygląda sl* nadciągającym wrogom, nie miałby wątpliwości, że te zielone oczy P° większe przez szkła są oczami doświadczonego zabójcy.

Rebeca ta zmiana nic do końca się podobała, lecz... Przegnała to uczu-ĄQ niemal z rozdrażnieniem. W końcu gdyby ta zmiana nie zaszła, już l;lvVno byłaby martwa. Nie mogła zaprzeczyć, że rozbawił ją widok Gretchen łaszczącej leniwie szerokie plecy Jeffa.

Oczywiście Gretchen nie miała nic przeciwko tej przemianie męża. W gruncie rzeczy sama była w dużej mierze za nią odpowiedzialna.

Przełożony Jeffa zbliżył się i stanął obok niego na rufie. Gretchen usu-nęła się z pewnym ociąganiem. Jak zawsze niezbyt chemie odnosiła się Jo dyscypliny wojskowej.

- Jesteś naszym specjalistą - odezwał się Heinrich. - Zajmiesz się tym jam, czy oddajemy salwę? Jeff zacisnął wydatne usta.

-Myślę, że sam... - i dodał, jakby nagle sobie przypomniał, że to na prawdę jest sytuacja bojowa - majorze. Tak naprawdę wcale nie mamy zbyt wielu granatów. Poza tym skoro sami musimy wyciągać zawleczeni...

Zarówno on, jak i Heinrich skrzywili się. Wizja uzbrojonego granatu, który wyslizguje się komuś z dłoni i toczy po pokładzie, była żywcem wyjęta z koszmaru. Jednym z powodów, dla których Jeff był bardziej precyzyjny i stabilny niż cała reszta, była zwyczajnie jego potężna budowa. Ciężkie granaty wystrzeliwane ze strzelby dawały potworny odrzut. Na dość niepewnym podłożu, jakim jest pokład płynącego statku, mogłyby zwalić lżejszego mężczyznę z nóg. Jeff wrócił do obserwowania statku piratów.

- Majorze, czy zna się pan na statkach lepiej ode mnie?

Heinrich uśmiechnął się, słysząc tę wojskową etykietę. W czasie tygo-dni, które minęły od wyjazdu z Grantville, członkowie eskorty Rebeki weszli w bardziej poufale relacje.

'tern przekonany, że stara krowa mojej ciotki zna się na statkach iej od was, sierżancie. -

Wypiął dumnie pierś. - A ja, urodzony oficer, Już jako szczeniak byłem znawcą. Umilkł na chwilę i wpatrywał się w bryg piratów.

- Przypuszczam, że zastanawiasz się, czy mają działo dziobowe.

Jeff kiwnął głową. Heinrich podrapał się od niechcenia po klatce pier-zowej.

- Jeśli mam być szczerzy, to nie wiem. Ale tym bym się nie przejmował, staro wiadomo, jak celne są te armaty na okrętach. - Rozejrzał się po Czającym ich morzu. - Nie jest specjalnie wzburzone, ale jeśli napraw-^ chcą nas trafić, muszą wykonać zwrot na burcie.

- Chyba „obrócić się do nas burta”... majorze. Heinrich pogardliwie wykrzywił usta.

- Żeglarze i ich przeklęty żargon. I nie udawaj, że jesteś... Jak wy t0 mówicie?

„Wilkiem morskim”, prawda, Jeffie? Przepraszam: sierżancie Ty i ja jesteśmy piechurami. Wskazał palcem na statek piratów.

- Tak więc jak mówiłem, muszą wykonać zwrot, a jeśli to zrobi-stracą za dużo terenu. Wody. Nieważne. A na dodatek ta zaszra łajba ma cztery działa obrotowe. - Pokazał na małe jednofuntowe armaty zamocowane na nadburciu. - Raczej nie będą się ich obawiać, a to oznacza, że będą nas tak długo ścigać, aż w końcu do nas dobiegą i za-atakują przez abordaż. Po co tracić czas na salwy, kiedy mogą nas zalać ludźmi? A skoro nie możesz ich trafić wcześniej, niż te ich dzia-ła mogą trafić nas...

- Wystrzele pierwszy granat przy stu pięćdziesięciu metrach. Pewnie spudłuje, ale chociaż wyczuję sprzęt. - Spojrzał pod nogi, a potem na morze falujące wraz z ruchem statku.

- Całe szczęście, że nie mam choro-by morskiej.

- Zapalnik uderzeniowy czy czasowy? - zapytał gorliwie Jimmy. - Prze-ciwpiechotne czy zapalające?

- Uderzeniowy - burknął Jeff. - Nigdy nic nie wiadomo. Może jednak dostanę choroby morskiej, a wtedy raczej nie zamierzam bawić się pod-palonym lontem. A zapalające zostawimy na bliski zasięg, jeśli będzie taka konieczność. W końcu mamy tylko pięć.

- Uderzeniowy, proszę bardzo. Daj mi swoją strzelbę.

* * *

Pierwszy granat chybił celu. Jeff przekonał się, że sto pięćdziesiąt me-trów to za dużo, żeby właściwie ocenić, jak kołysanie statku wpływa na tor lotu pocisku. Granat wylądował za blisko. Ale biała fontanna pokaza-ła, że niewiele brakowało.

- Jeszcze chwilka - powiedział beztrasko. Rebeka nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

Przy stu metrach ponownie wystrzelił. Drugi granat wylądował w ta-kielunku. Wybuch nie złamał masztu, ale podarł na strzępy fok statku Wielki prostokąt wypełnionego wiatrem płótna runął niczym pokraczn) umierający ptak, a następnie byle jak przykrył fordek. Niestety - i tu można mówić o pechu - ani żagiel, ani reszta łatwopalnego takielunku nie zajęty się ogniem, chociaż prędkość statku wyraźnie spadła.

Sądząc po nagłej krzątaninie na pokładzie, granat podarł piratom na strzepy również ich pewność siebie. Załoga dość szybko postawiła fok-marsel i odzyskała większość utraconej prędkości, ale blisko pięć minut zajęło im usunięcie z fordeku okrywającego go płótna. Wkrótce potem żłhniura dymu spowiła dziób statku. A więc jednak mieli działo dziobowe. Strzał był bardzo niecelny, tak jak przewidywał Heinrich. Kula plasnęła w wodę prawie piętnaście metrów od rufy i tyle samo od sterburty.

Zanim jeszcze kula rozorała wodę, Jeff posłał trzeci granat - ten już nie marnował czasu na żagle. Wylądował niemal dokładnie na śródkręciu; sądząc po odgłosach, piraci trochę niedbale podeszli do kwestii składowania amunicji. Granat oczywiście nie uderzył w prochownię, ale po pierwszej eksplozji nastąpiły przynajmniej kolejne dwie, gdy ładunki przygotowane dla dział burtowych wyleciały w powietrze. Seria eksplozji wzbudziła gęstą chmurę brudnego szarobiałego dymu... i odcięła wanty grotmasztu po nawietrznej. Może uszkodziła też sam maszt, lecz ani Jeff, ani Heinrich tego nie wiedzieli - zresztą nie było to specjalnie istotne.

Grotmaszt brygu wydawał się zginać w pół. Następnie stenga oraz bram-stónga złamały się i grzmotnęły po zawietrznej. Potem w trzaskającym gąszczu rozrywanego olinowania runął fokbramsel i statek piracki zachwiał się, ponieważ cały takielunek został obrócony w perzynę. Słabe odgłosy niosące się po wodzie świadczyły o tym, że granat zabił lub ranił kilku piratów. Minęło kilka sekund i Jeff i Heinrich zauważyli smużki dymu. Najwidoczniej granat rozniecił ogień na pokładzie wrogiego statku.

- Jeszcze jeden - wydał rozkaz Heinrich.

Statek piracki odpadł od wiatru, zwracając się burtą do luga. Nie był to celowy manewr, tylko skutek nagłej utraty dwóch z trzech masztów. Czwarty Pocisk uderzył w reling. Zapewne nie wyrządził wielkich szkód i nikogo nie uśmiercił, lecz wrzaski załogi wydawały się znacznie głośniejsze.

-Powinno wystarczyć - oznajmił Heinrich. - Chyba mają już dosyć. Jeszcze i tak będą chwilę biegać w kółko, próbując ugasić pożar. Poza tym - uśmiechnął się paskudnie - nie mają szans nas dogonić z większością omaszutowania zmienioną w drzazgi. Lepiej oszczędzać amunicję.
* * *

Tak też było. Po kilku minutach luger zwiększył dystans między statkami o kilkaset metrów. Z tego, co widzieli, piraci starali się już tylko naprężyć się do nowego żagiel i odpłynąć. Na szczęście dla nich ogień rozniecony wybuch granatu nie przeniósł się na pozostałości takielunku.

Wczesnym popołudniem piracki statek całkiem zniknął im z oczu.

- W porządku - oznajmił Heinrich. Posłał serdeczny uśmiech w stronę kapitana luga. - Widzicie? Nie trzeba się bać.

W odpowiedzi kapitan uśmiechnął się niewyraźnie. Pewnie wciąż jeszcze żywił urazę za apodyktyczne zachowanie Heinricha. Z drugiej jednak strony otrzymał dość szczerą zapłatę - i najwyraźniej podczas tego rejsu nie musiał się już przejmować piratami. Co więcej, Rebeka była przekonana, że kapitan zgarnie kolejną przyzwoitą sumkę, sprzedając relację z tego zajścia komuś z agentów Richelieu. A może Hiszpanom. A najprawdopodobniej i Francuzom, i Hiszpanom.

* * *

Tymczasem kapitan piratów wprost dyszał z wściekłości. Gdy jego zdruzgotany statek wreszcie zakotwiczył w pobliskim niewielkim porcie, z którego wcześniej wypłynął, wypadł na brzeg jak burza i pognął do jednej z licznych karczm w miasteczku.

Człowiek, którego spodziewał się tam zastać, siedział przy stoliku w głębi zapuszczonej sali. Kapitan wślizgnął się na krzesło ustawione po drugiej stronie, oparł masywne ręce o blat i syknął ze złością:

- Servien, ty gnido. Nie mówiłeś...

Intendent kardynała uciszył go władczym gestem.

- Powiedziałem ci, że są groźni. O ile sobie dobrze przypominam, to śmiałeś się z tego i chciałeś rozmawiać tylko o kobietach. - Servien wzruszył ramionami. - Złóż mi chociaż pełny raport. Zapłacę za niego.

Gdy kapitan piratów skończył, Servien wyciągnął ciężki trzos. Wysypał kilka monet na stół. Beztroska jego zachowania - ewidentny brak obaw przed oprychami, którzy mogli się temu przyglądać - był najlepszym dowodem potęgi kardynała. Nawet portowy bandzior nie byłby tak szalony, żeby chcieć obrabować jednego z tajnych agentów Richelieu.

Kapitan z kwaśną miną zgarpnął monety ze stołu wprost do swojej sakwy

- Nie starczy nawet na żagle, a co dopiero na omasztowanie. Servien przeszył go zimnym, gadzim wzrokiem.

- Zawiodłeś. Ciesz się, że chociaż tyle dostałeś.

Nie mówiąc już ani słowa, wstał od stołu i wymaszerował z karczmy. Gdy przeszedł trzy kroki po błotnistej ulicy, dołączyło do niego dwóch mężczyzn. Obydwaj byli wyraźnie potężniejsi od maszerującego między nimi intendenta; z całą pewnością byli to żołnierze, a nawet oficerowie sądząc po aroganckim chodzie i eleganckich mieczach, które wisiały u boku.

- Rozpoznać go? - zapytał Servien. - I jego okręt?

HI'

jeden z oficerów chrząknął. Drugi mruknął sarkastycznie: _ Jeżeli to coś w ogóle można nazwać „okrętem”. Servien kiwnął głową.

_ Najpóźniej jutro rano kapitan ma być martwy. Za dwie godziny będzie pijany i nie powinniście mieć z tym problemów. Możecie zatrzymać pieniądze, które ma przy sobie. - Intendent rzucił okiem w stronę przystanku - Później wróćcie na swój statek i powiecie kapitanowi de Hautforte, że ma pilnować tej przystani. Gdy tylko tamten bryg odpłynie, macie do pilnować, żeby go zniszczono. Całą załogę stracić.

- Piraci - burknął pierwszy z oficerów.

- Natychmiast karać śmiercią bez cienia litości - dorzucił drugi.

* * *

Nie mówiąc już nic więcej, Servien brnął przez błoto. Tak naprawdę nie spodziewał się, że fortel się uda. Dostrzegł, że kardynał wciąż nie docenia przeklętych wynalazków Amerykanów. Problem polegał na tym, że one wcale nie musiały być olbrzymie. A trudno jest ocenić, jakich stoszeń może dokonać kilka nieszkodliwie wyglądających kufrów i sakwojaży.

Jeszcze gorsze było to, że Amerykanie raczej nie byli skłonni do powielania klasycznych błędów konkwistadorów. Zamiast szydzić z „tubylców” i lekceważyć ich rady, oni wyraźnie mieli talent przeciągania ich na swoją stronę. Żydówka, która przewodziła misji dyplomatycznej, była niezwykle przebiegła jak na swój młody wiek. Servien wystarczająco dobrze przyjrzał się też niemieckiemu najemnikowi, który dowodził jej eskortą, żeby rozpoznać ten typ człowieka. Tacy ludzie, zahartowani przez lata wojny pustoszącej kontynent od 1618 roku, byli tak samo bezlitośni jak agenci kardynała.

Servien westchnął. Dźwięk ten był równie ciężki jak jego ubłocone buty. Była jeszcze ta cholerna Niemka. Servien nie miał wątpliwości, że Po powrocie do Paryża spędzi większość czasu na tropieniu zdradzieckich komórek studentów i rzemieślników, które zostawiła za sobą.

- Merde, alors\ - wykrzyknął nagle.

Jeden z oficerów ponownie chrząknął. Drugi zerknął na swoje buty i krzywił się.

~To też. Służącemu zejdzie godzina, zanim porządnie wyczyści.

Rozdział 11

- Gotowe!

Joseph „Jesse” Wood rozejrzał się na boki, zacisnął dłoń na przepustnicy i przekręcił śrubokręt. Narzędzie tkwiące w stacyjce w zastępstwie zaginionego kluczyka spełniło swoje zadanie, silnik zaskoczył i w końcu zapalił. Śmigło zawirowało mu przed oczyma.

Uśmiechnął się mimowolnie i spojrzał w lewo, gdzie stała Kathy, osłaniając oczy przed porannym słońcem. Dostrzegła jego wzrok i pomachała mu. Zrewanżował się uniesionym kciukiem. Następnie popatrzył na Hansa Richtera, który czekał obok końcówki skrzydła, i dał mu sygnał, żeby zabrał podstawki. Chłopak uśmiechnął się szeroko, zanurkował pod skrzydło i wynurzył się, trzymając w rękach drewniane kliny. Jesse powoli skupił się na wnętrzu kabiny pilota.

Nie żeby było na co patrzeć. Obrotomierz wskazywał „mały gaz”, ciśnienie oleju było w porządku, akumulator również. Wskaźnik prędkości lotu, wysokościomierz i wariometr tkwiły w bezruchu, a kulka w domowej roboty chyłomierzu z zakrętomierzem delikatnie wibrowała. Busola magnetyczna zatrzęsa się, gdy w nią zastukał. Dziesięć centymetrów sznurka przykręconego śrubą do owiewki zatrzepotało mu przed twarzą. Na kręcił mały zegar, zapamiętując godzinę.

Kabina sprawdzona. Nie był to Boeing 747.

„Marnujesz benzynę”.

Ostrożnie przesunął drążek do oporu - w lewo, w prawo, cały czas pałając na lotki. Następnie od siebie i do siebie, obserwując ster wysokości xV lusterku, które zamontował na owiewce tuż powyżej wysokości oczu, zestrojonym z małym oknem z pleksiglasu, zainstalowanym centralnie za Równym dźwigarem powyżej jego głowy. Spokojnie wciskał do oporu pedały orczyka.

„Na razie wszystko gra”.

Przeгляд przedstartowy zakończony.

Nie miał żadnych hamulców, co go trochę martwiło, ale samolot stał nieruchomo, tylko lekko drząc. Zacisnął pasy własnej roboty. Lewą dłonią przesunął przepustnicę do przodu i poczuł, jak samolot rusza po trawie. Tak samo jak podczas testów kołowania, przesunął przepustnicę, pozwalając samolotowi nabrać prędkości i nerwowo pracował orczykiem, aż w końcu wyczuł, że działa. Był już ustawiony pod wiatr.

Posuwając się coraz szybciej, nagle zdał sobie sprawę, że jego umysł nie nadąża za tym, co się dzieje, nie jest gotowy na to, co ma nastąpić, pomimo niezliczonych godzin, które spędził na powtarzaniu wszystkiego w myślach. Nie latał od ponad dwóch lat. Wpatrywał się w przyrządy nic nierozumiejącym wzrokiem, jakby je widział pierwszy raz na oczy i próbował zwalczyć ogarniającą go panikę. Skoncentrował się na obrotomie-rzu. Obroty silnika w porządku. Tak jak wcześniej, opony odzyskane ze skutera toczyły się wystarczająco płynnie; zorientował się, że zbliża się do prędkości startu. Strużka potu spłynęła mu po twarzy, mimo że poranek był chłodny. Pchnął lekko drążek do przodu i pochylił dziób; zanim się zorientował, co się dzieje, szum kół ustał. Pociągając drążek z powrotem poza neutralne położenie, zaczął się wznosić. Leciał.

Złapał się na tym, że odczuwa znajomy pęd.

- Siedzisz w samolocie, do cholery jasnej. Patrz, co się dzieje!

Uspokoił się na dźwięk własnego głosu. Silnik wciąż wył. Z rozgoryczeniem zmniejszył obroty i rozejrzał się. Wiatr jęczał za pozbawionymi szyb oknami. Leciał już wysoko nad drzewami i wciąż się wznosił. Sterowanie działało bez zarzutu, chociaż lotki były nieco za wolne, trochę bezwładne. Zanotował sobie w pamięci, żeby naprężyć cięgła i spojrzał na

wysokościomierz - bardzo szybko pokazał ponad pięćset stóp. To się chyba zgadzało. Wariometr jednak nie działał dobrze, bo najpierw w ogóle nie pokazywał wznoszenia, potem pokazał nurkowanie, a wreszcie niemożliwą prędkość wznoszenia 4000 stóp na minutę. „Cudownie” - pomyślał sarkastycznie.

Patrząc na wysokościomierz, dokonał szybkiego obliczenia. Jakieżś 500 stóp na minutę.

- Nieźle - powiedział i zastukał w tarczę. Spojrzał na wskaźnik prędkości i już wiedział, że ma kolejny problem. On również pracował nie równo, raz pokazując tylko dwadzieścia pięć węzłów, a raz czterdzieści. Rzucił okiem na sznurek, jego sztuczny horyzont i wskaźnik kąta natarcia w wersji dla ubogich. Był rozciągnięty do tyłu, a końcówka podrygiwała tuż nad osłoną silnika. Zgrał kąt natarcia ze znakami odniesienia, które narysował na owiewce.

- Już dobrze, Jesse. Wyluzuj - powiedział sam do siebie. - Masz nos zadarty o cztery lub pięć stopni. Robisz pewnie z sześćdziesiąt węzłów.

Pomyślał o wskaźniku prędkości.

„Pewnie błąd w instalacji. Rurka Pitota musiała się nieco przekrzywić”.

Wyrównał mały górnołat na wysokości dwóch tysięcy stóp („mniej więcej” - przypomniał sobie) i zauważył, że wskaźnik prędkości stopniowo przesuwa się, aż wreszcie pokazał równe osiemdziesiąt pięć węzłów. Sznurek leżał teraz płasko na osłonie silnika. Jeszcze bardziej zmniejszył obroty, nieco się odprężył i spróbował ustalić swoje położenie. Patrząc w lewo obok zastrzału, nie widział nic poza lasem, ponieważ od chwili startu oddalał się od Grantville i przybliżał do Lasu Turyńskiego. Delikatnie pochylił samolot na prawe skrzydło, kontrolując orczykiem, żeby utrzymać kurs i zerknął przez prawe siedzenie. Jeszcze więcej drzew..

To nic, i tak potrzebował prywatności. Spojrzał na busolę i zegar i ze zdumieniem dostrzegł, że jest w powietrzu zaledwie od pięciu minut. Utrzymując kurs, leciał jeszcze przez kilka minut i eksperymentował z systemem sterowania. Poza zbyt luźnymi lotkami samolot sprawował się naprawdę dobrze. Ciesząc się bezchmurnym porankiem, spróbował kilku podstawowych manewrów.

- Cholera, dobry jestem! - Uśmiechnął się ironicznie po tym, jak wykonał raczej nieśmiałą ósemkę. Powłoka kadłuba i osłony silnika błysnęły w słońcu, gdy wyrównywał lot.

Jesse zmrużył oczy, porażony lśnieniem.

„Trzeba było pomalować na matowy czarny albo coś w tym stylu. Coż nie da się wszystkiego przewidzieć. I tak nieźle mi się udało...”.

Przez kilka chwil podziwiał własne dzieło. Prawie nie było wibracji świadectwo dbałości, z jaką silnik został zamocowany w łożu z walcowanej stali. Ten zespół był równie dobrze połączony z czterokątnymi rurkami z lekkiej stali, które służyły jako podstawa kadłuba; zwały się w kierunku ogona, gdzie zamontowano do nich kołko samonastawne, odzyskane z pojemnika na śmieci. Kolejne stalowe rurki połączono z głównym dźwigarem, do którego zamocowano też skrzydła. Pionowe rurki tworzyły prześtrzeń kabiny, która została wzmocniona półcalową sklejką przykręconą śrubami. Podłogę stanowił arkusz sklejki o grubości trzech czwartych cala. „może była to przesada, lecz przynajmniej fotele miały solidne oparcie.

Jesse spojrzął za siebie na listwy, które tworzyły podłużnice w kadłubie, w poszukiwaniu szczelin w miejscach, w których zamocowano półsztatowe poszycie. Niczego nie dostrzegł, chociaż uważał, że powinien dłużej użyć więcej wkrętów.

„Szczelny. Zobaczymy, jak będzie padać. Może uda mi się dorwać tubkę pasty uszczelniającej”.

Przesunął palcami po chropowatej wewnętrznej stronie drzwi, zrobionych z tego samego materiału, co kadłub i osłona silnika.

..Najlepsze na świecie zastosowanie różowych kuchennych laminatów -pomyślał z zadowoleniem. - Zwłaszcza gdy brakuje ci lakieru".

W domu ojca znalazł pokój niemal do połowy wypełniony arkuszami tego towaru, z pewnością nabytego po śmiesznie niskiej cenie, gdy stał się już niemodny. Cięższe niż spreparowana tkanina laminaty wybornie usztywniały kadłub, chociaż na skrzydła były zbyt mało elastyczne. Jesse zawsze wołał solidne modele i podejrzewał, że gładka powierzchnia zmniejszy opór.

Zerknął na skrzydło tradycyjnie wzmocnione dźwigarem, a potem znów skupił uwagę na locie.

* * *

Ostatnia część lotu była najistotniejsza, zwłaszcza przy zacinającym się wskaźniku prędkości. Zanim podejdzie do lądowania, chciał sprawdzić, jak samolot będzie się zachowywał, zbliżając się do prędkości przecignięcia. Celowo przeszedł w tryb instruktorski, wydając sam sobie polecenia.

- Dobra, Jesse, tylko powoli i spokojnie. Wyrównaj na trzech tysiącach stóp - nie, lepiej na pięciu tysiącach. - Zagwizdał, gdy samolot wznosił się i wyrównał lot. - W porządku, powoli zmniejsz obroty. Wyrównuj lot. Jeszcze zmniejsz. Jeszcze trochę.

Patrząc na wysokościomierz, wykonywał własne polecenia. Ręce miały już większą pewność - czuł, że samolot zwalnia i dziób wędruje do przodu. System sterowania stawał się mniej efektywny i coraz trudniej mu utrzymać zadarty dziób. Miał pewność, że dzięki swemu doświadczeniu wyczuje zbliżające się przecignięcie. Odnotował w pamięci moc natarcia. Samolot wydawał się stabilny.

Sznurek wystrzelił ponad osłonę silnika i rozpaczliwie zatrzepotał. Samolot coraz bardziej zwalniał, nos był już zadarty o ponad piętnaście stopni i wtedy właśnie stracił nośność, zarzuciło nim w lewo, po czym runął w dół. Kontrolowany lot zmienił się w gwałtowną spiralę. Zniknęła pewność siebie - teraz Jesse był w szoku. Mimo zapiętych pasów ujemne przeciążenie nie wypchnęło jego ciało do góry i Jesse uderzył głową w niski sufit kabiny. Lekko go zamroczyło.

- Jezu! Cholera jasna! - wrzasnął, zdezorientowany i przerażony, patrząc przez szybę na rozmazane drzewa. Szarpnął za drążek, lecz bez rezultatu. Serce waliło mu jak młot. Przyrządy zwariowały.

„Wcale nie zwariowały, Jesse - pomyślał. - Wpadłeś w korkociąg", Potrząsnął głową i sprawdził jeszcze raz. Kulka w zakrętomierzu z wysokościomierzem znajdowała się teraz w prawym końcu rurki, a wysokościomierz wskazywał ponad 2600 stóp.

- Już, już - sapnął. Jego dłonie postępowały teraz zgodnie z procedurą opanowaną trzydzieści lat temu i o cały świat stąd, a w umyśle miał obraz wytłuszczonych słów z podręcznika. **PEDAŁY ORCZYKA W POŁOŻENIU NEUTRALNYM. DRAŻEK ENERGETYCZNIE ŚCIGA SIĘ NA SIEBIE I TRZYMAMY. DRAŻEK WBIŁ MU SIĘ W ŻOŁĄDEK. USTAL KIERUNEK OBROTU. W lewo. WYSUŃ MAKSYMALNIE STER KIERUNKU PRZECIWNIE DO KIERUNKU OBROTU SAMOLOTU I TRZYMAJ GO DO MOMENTU, GDY SAMOLOT PRZESTANIE SIĘ OBRACAĆ. Niemal wgniół prawy pedał orczyka w podłogę i świat odrobinę zwolnił. PRZESUŃ DRAŻEK MAKSYMALNIE DO PRZODU, ABY WYPROWADZIĆ SAMOLOT Z PRZEPADANIA. Z całą mocą pchnął drążek do przodu i nos jeszcze bardziej opadł. Poczul, jak pedały zaczynają drżeć. WYPROWADŹ SAMOLOT Z POWSTAŁEGO NURKOWANIA. Silnik ryknął, gdy wszedł na najwyższe obroty, a następnie spokojnie odchylił drążek. Znowu leciał.**

Otarł pot z oczu, zaczął normalnie oddychać. Spojrzał na wysokość Tysiąc dwieście stóp. Pokryte drzewami wzgórza były nie więcej niż stf-demset-osiemset stóp poniżej, a z przodu dostrzegł wyłaniające się Grant-ville z charakterystycznym konturem elektrowni w tle. „Tak. Pięć tysięcy stóp to był dobry pomysł. Dałeś lekką plamę, mistrzu • Musi się dowiedzieć, co poszło nie tak, dlaczego dał się zaskoczyć Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

- Nie ma ostrzeżenia, głąbie - powiedział do siebie, mając na mysU urządzenie zainstalowane w większości samolotów, które na trzy-czteO ^7ły przed przeciągnięciem ostrzega pilota. - Na przeszłość będziesz pamiętał. piętnaście minut później miał już za sobą trzy w pełni udane zbliżenia jo przeciągnięcia i zmierzał do bazy. Niebo miało kolor przejmującego S\vyiri pięknem błękitu, a niewielkie cumulusy przepływały na wysokości jego samolotu. Zalała go fala wspomnień z beztróskich lat i jego twarz roZptynęła się w uśmiechu, gdy robił slalom pomiędzy białymi chmura-IIU ćwicząc płaskie zakręty. Potem wbił się w sam środek obłoku, upaja-jąc się nagłą ciemnością, chłodną mgiełką wpływającą przez okno i ośle-piającym blaskiem, gdy przedarł się na drugą stronę. Musiał stłumić w sobie chęć wykonania „beczki zwycięstwa”. „To jest próbny lot, Jesse”.

Ani się obejrzał, a już zbliżał się do lotniska i znowu trzeba było się skoncentrować. Ustawił się z wiatrem na tysiącu stóp, cofnął przepustnicę oraz sprawdził dystans przed końcowym zakrętem. Dopiero teraz za-uważył na ziemi ludzi - było ich znacznie więcej niż wtedy, gdy startował - rolników pracujących z końmi na małym poletku, spoglądających na niego, osłaniających oczy. Od strony miasta pędziła w jego kierunku pół-ciężarówka, wzbijając na żwirowej drodze kurz, a niedaleko za nią jechał jeden z miejskich autobusów. Rozpoznał samochód - był to pikap prezy-denta Stanów Zjednoczonych.

O cholera.

Z powrotem w trybie instruktora.

„Dobra, Jesse, tylko się nie denerwuj. Musi nam ładnie wyjść. Obniż i zaciągnij z siłą. Jak prawdziwy bombowiec. Uważaj na prędkość. Żad-nego tłoku w powietrzu”.

Na tę ostatnią myśl uśmiechnął się.

Zmniejszył obroty silnika i zawrócił o dziewięćdziesiąt stopni, obniżył lot, wyrównał skrzydła na kilka sekund, a następnie wyprowadził samolot na prostą. Przeleciał na wysokości czterystu stóp nad domem Sterlinga, Prawie milę od lądowiska.

~ „Jastrząb I” na podejściu, podwozie w dół i przybywam - rzucił z uśmiechem, gdy ustawił się na zamierzonej ścieżce schodzenia, przeła-żąc jakieś dwadzieścia stóp nad wierzchołkami niewielkich drzew ro-żących na skraju lądowiska. Niżej, wprost pod wiatr, trawa prześlizgi-“*afa się p0d kołami. Spojrzał na sznurek, teraz lekko odchylony od Powierzchni osłony silnika. Szarpnął przepustnicę do siebie i osiadł z klasą

Złemi. Czując, że koła dotykają gruntu, przesunął przepustnicę na „mały gaz” i pozwolił samolotowi toczyć się aż do zatrzymania. Silnik wyłąc2 ny. Nie będzie tracił paliwa na kołowanie.

* * *

Joseph „Jesse” Wood wrócił na dół, z powrotem do świata ludzi i ło-potów, roku Pańskiego 1633. A sądząc po tym, z jakim poślizgiem Mik Stearns zahamował na skraju pola, czekała go należna porcja kłopotów

* * *

Na szczęście Hal Smith, wspólnik Jesse'ego, zatrzymał Mike'a, nim wy. raźnie poirytowany prezydent zdążył odejść trzy kroki od samochodu. Zanim Jesse wygramolił się z kabiny pilota i zaczął zabezpieczać samolot z pomocą Hansa i Kathy, Halowi udało się już chyba sprawić, że Mike nieco ochłona}.

Jesse podziękował mu w duchu. Emerytowany inżynier lotnictwa miał znacznie łagodniejsze usposobienie niż on. Gdyby to on, a nie Hal, trafił na pierwszy wybuch niezadowolonego Mike'a, najprawdopodobniej od razu doszłoby do eskalacji konfliktu.

Mimo to nie dało się zbyt długo odwlekać nieuniknionego.

- Dokończ to już sama, dobrze? - szepnął do Kathy. Posłała mu uśmiech pełen współczucia.

- ...cholery jasnej, Hal, obaj przyrzekaliście mi, że nie będzie takich numerów! - Mike niemal ryczał. - Już i tak mam wystarczająco dużo zmartwień z tymi wszystkimi ludźmi, którzy rzucają się na mnie z oskarżeniami, że po raz kolejny podejmuję arogancką i jednostronną decyzję polityczną. Szlag by to trafił...

Jesse kroczył powoli w stronę kłócącej się pary, a na jego twarzy pojawił się lekki grymas. W odniesieniu do niego samego to oskarżenie wcale nie tak bardzo mijало się z prawdą. Mike od początku ich popierał, ale w rządzie było sporo osób, które bez wielkiego entuzjazmu odnosiły się do „idiotycznej” koncepcji przywracania lotów załogowych w „nowym świecie” - nie mówiąc już o grupie rozwijających się przemysłowców i przedsiębiorców, którym nie podobało się odbieranie zasobów ich wy*marzonym projektom. Zdecydowali się na ten pierwszy bezprawny lot chcąc w ten sposób wymusić rozwiązanie tej kwestii.

Teraz Mike jego piorunował wzrokiem.

-A ty co?! Co to za pomysł, do cholery, żeby tak ryzykować -jedyW prawdziwy pilot, jakiego mamy poza...

Dostrzegł Hansa, który uśmiechał się praktycznie od ucha do ucha i rwał. Następnie westchnął. Potem przejechał dłonią po twarzy.

- Tylko nie to - jęknął cicho.

Jesse wzruszył ramionami.

- No to kto inny? Nie mogłem jednak pozwolić, żeby to on wystartował jako pierwszy. On jeszcze nigdy nie latał, Mike. Zresztą nikt w okolicy poza Lanniem, braćmi Kitt, Bobem Kelly i... eee... żoną Boba. - Mówiąc o tej kobiecie, Jesse nigdy nie używał jej imienia. Nie chodziło o to, że miał jakieś konkretne uprzedzenia do latających kobiet - on po prostu szczerze i ze wszech miar jej nie znosił.

- Bracia Kitt i państwo Kelly pracują nad własnymi projektami - dodał Hal - więc ich raczej nie mogliśmy prosić. A Lannie, cóż...

- Najczęściej jest nawalony - zakończył ponuro Mike. Jego dłoń wciąż pocierała dolną połowę twarzy, gdy wpatrywał się w Hansa Richtera. - Choć - mruknął - nie wiem, czy pijus nie byłby lepszy od niego. Jezus Maria, przecież ten dzieciak nawet kolejką elektryczną rozbiłby się na zakręcie.

Jesse czuł się w obowiązku stanąć w obronie swego młodego niemieckiego asystenta.

- Jesteś niesprawiedliwy, Mike. Tak naprawdę nie będę wiedział, czy on się nadaje na pilota, dopóki nie zabiorę go w powietrze. Prawda jest jednak taka, że Hans ma świetny refleks i jest bardzo opanowany, gdy sytuacja robi się niepewna...

Jesse przerwał; postanowił, że ten konkretny epizod pominie. Nie było sensu zagłębiać się w to, że gdyby Hans przede wszystkim nie jechał jak wariat, to pikap w ogóle by nie wpadł w poślizg - nawet jeśli dzieciak poradził sobie energicznie i z klasą.

- Widzisz, ja też z nim jechałem - wymamrotał Mike przez palce. Opuścił dłoń i Jesse z ulgą dostrzegł na jego twarzy cień uśmiechu. - No dobra, może go nie „rozbił”. Po prostu koszmarnie poobijał. A tak przy oka-ZJU jak bardzo można poobijać samolot?

W tym momencie autobus, który jechał za Mike'iem, dotarł na miejsce 1 zaczął wypluwać pasażerów. Jesse ujrzał ze ściśniętym żołądkiem, że ze środka wysiada chyba połowa rządu Stanów Zjednoczonych - na pewno organ wykonawczy. Wśród nich również trudno było dostrzec kogoś zadowolonego.

Mike zerknął przez ramię.

* Byliśmy w trakcie posiedzenia gabinetu, kiedy przeleciałeś nad miastem. Świetne wyczucie.

Na szczęście pierwszy pojawił się Frank Jackson. Frank miał wiele °Znych wcieleń - jednym z nich było „dobry kumpel Mike'a”, a jeszcze innym „wiceprezydent Stanów Zjednoczonych”. Najbardziej do rzeczy było jednak trzecie: „generał”. Dokładnego tytułu nigdy nie ustalono. ale sprowadzało się to do tego, że Frank był „Przewodniczącym Połączonego Komitetu Szefów Sztabów” - sztabów, które składały się tylko z jednego człowieka. Z niego samego. A co najlepsze, Frank i Jesse lubili się nawzajem i Frank od początku wspierał ten projekt - bardziej nawet niż Mike.

Jednak pierwsze słowa Franka sprawiły, że Jesse'emu przewróciły się wnętrzności.

- Gratulacje i tak dalej! - huknął. - Zostałeś przywrócony do służby Jesse. Możesz sobie wybrać własny tytuł, o ile nie będzie zbyt cudaczny. Nieważne, co wymyślisz - sugeruję proste „generał”. Obejmujesz dowództwo nad Siłami Powietrznymi Stanów Zjednoczonych. - Uśmiechnął się szelmowsko. - No i wreszcie „Komitet Szefów” jest faktycznie „połączony”.

Jesse już miał zaprotestować, ale jedno spojrzenie na twarz Mike'a wystarczyło, żeby zdławić ten pomysł w zarodku. W końcu nadal był rezerwistą sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli tamte „Stany Zjednoczone” zniknęły gdzieś daleko w innym świecie. Zresztą i tak niemal spodziewał się takiego rozwoju wypadków, gdyby udało mu się udowodnić, że lot załogowy jest wykonalny.

Postanowił więc zrobić z tego jak najlepszy użytek.

- Z majora do generała w dwadzieścia cztery godziny, co? Niezły awans. Ale za duży. To bez sensu, żeby generał dowodził „siłami” powietrznymi w liczbie jednego samolotu. Pułkownik wystarczy. Skromny Jesse to właśnie ja. Przeczesał palcami rzednące włosy.

- Pozwolisz mi na oddzielne siły powietrzne? Czy znowu trzeba będzie użerać się z tym głównianym „korpusem powietrznym”?

Uśmiech Franka zdawał się przyklejony na stałe.

- Dla mnie to żaden problem. Ale szef operacji morskich może mieć inne zdanie. Gdy już zostanie mianowany.

Znaczenie tych słów dotarło do Jesse'ego dopiero po chwili. Gdy dotarło, odniósł wrażenie, że jego wnętrzności próbują zawiązać się w supeł

- O Boże - jęknął. - Nie mów mi, że... Teraz Mike również się uśmiechał.

- Dwie pieczenie na jednym ogniu. Skoro już przyprawiłeś mnie o ból głowy, mogę to jak najlepiej wykorzystać. Simpson prześladowa mnie tydzień. Sam wiesz, jak on uwielbia te swoje tytuły. Dzięki temu b

[fial-- l"11" mo^c nawet tydzień ciszy i spokoju, zanim przyjdzie narzeć na coś innego.

Jesse nie mógł się nie roześmiać. Jego własne sporadyczne kontakty z Johnem Simpsonem nie sprawiły, że poczuł do niego sympatię.

- Szkoda, że nie mogliśmy udawać, że nie mamy radiostacji. Gdyby musiał wysyłać gońców z zażaleniami, to wieki by minęły, zanim taki dotarłby tu z Magdeburga.

Słowo „Magdeburg” trochę Jesse'ego pocieszyło. Nie będzie miał bezpośrednio do czynienia z Simpsonem. A przynajmniej przez wiele miesięcy. Z czysto geograficznych względów rodząca się „Marynarka Wojskowa Stanów Zjednoczonych” miała stacjonować na Łabie w pobliżu Magdeburga.

To jednak było zmartwienie na później. W tym momencie został otoczony przez resztę gabinetu - a przy okazji chyba przez połowę miasteczka. Zalała go istna Niagara słów. Wiele pytań, wiele skarg, najwięcej jednak... zwyczajnych głosów uznania.

Gdzieś ze zgromadzonego wokół tłumu wyłowił twarz Mike'a. Prezydent ostrożnie wycofał się. Na jego twarzy widać było przebiegły uśmiešek. Jesse dość szybko pojął jego znaczenie.

Kłótnie kłótniami, ale jednak sukces robi swoje. Niezależnie od tego, co myśleli o skomplikowanych kwestiach gospodarczych wiążących się z tym problemem, w całym Grantville nie było ani jednego Amerykanina (i bardzo niewielu Niemców), którego nie podniosłby na duchu widok samolotu przelatującego nad stolicą nowych Stanów Zjednoczonych.

Jasne, było to ustrojstwo domowej roboty, prowizorka od góry do dołu. Nawet piloci z czasów pierwszej wojny światowej zaśmialiby się szyderco. Jednakże w tym świecie to był jedyny istniejący samolot.

Wypchaj się, Richelieu. Wy też, cesarzu Ferdynandzie II i Maksymilianie Bawarski. A ty, Filipie IV, królu Hiszpanii...

* * *

W ciągu dwóch lat od Ognistego Kręgu w Grantville zaczęto wydawać 2 trz>' gazety, a korespondenci pojawili się we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych. Może i większości tych reporterów brakowało doświadczenia, ale nauczyli się już przynajmniej torować sobie drogę wśród tłumu. Wkrótce więc pytania stały się bardziej podchwytliwe.

- ...ile jeszcze, jak pan myśli?

^esse zastanowił się nad tym pytaniem i zerknął na Hala, szukając wsparcia. Jego współnik wyciągnął jeden palec, a następnie trzy.

- Wydaje nam się, że możemy zbudować jeszcze jeden taki samolot i trzy kolejne o większej ładowności. Wszystkie będą dwumiejscowe a w tych większych może zdecydujemy się na ustawienie siedzeń jedno za drugim. To dlatego, że...

- ...ile bomb? Pokręcił głową.

- Drodzy państwo, tylko spokojnie. - Wskazał kciukiem na samolot... Ten uniesie dwie osoby, powiedzmy, sto sześćdziesiąt kilogramów, do tego może kolejnych czterdzieści pięć kilo ładunku, a 121-litrowy zbiornik to dodatkowo jakieś trzydzieści kilo. Nie mówimy tu o B-52, mówimy o samych początkach. Nawet te większe...

- ...karabiny maszynowe?

- Zapomnijcie o tym! Macie pojęcie, jak trudno się...

- ...warsztaty mechaniczne na pewno mogą coś...

- ...nie mówiąc już o wadze amunicji. Więc zapomnijcie o tym. To same początki, jak już mówiłem.

- ...z paliwem? Skinął głową.

- To jest oczywiście jeden z problemów. Mamy nadzieję, że uda się zastosować silnik na przetworzony gaz ziemny...

Widział, że Hal się krzywi, a on sam z trudem się powstrzymał. Latać nie samolotem, zwłaszcza w warunkach bojowych, było i tak wystarczająco niebezpieczne. A ze zbiornikiem wypełnionym gazem ziemnym... tylko czekającym na zabłąkaną kulę...

Jednak się skrzywił. Dziennikarze wciąż bombardowali go pytaniami, więc chyba żaden z nich tego nie zauważył. A może po prostu ich to nie obchodziło. Rzucili się na kwestię paliwa niczym wygłodniałe rekiny.

- ...niesamowicie ograniczone. Jaki jest sens budować coś, co po miesiącu może nie wystartować z powodu braku paliwa?

Starał się jakoś z tego wyplątać, szermując ogólnikami o nowym polu naftowym w Wietrze w pobliżu miasteczka Celle, a także o prawdopodobnym sukcesie planu z metanolem. Szczerze mówiąc, nie było to jednak coś, w czym się specjalnie dobrze orientował. Jesse nigdy zbytnio

nie martwił się brakiem paliwa, bo wyznawał zasadę, że jeśli coś jest naprawdę konieczne, to zawsze znajdzie się jakiś mądrała, który rozwiąże problem.

Na szczęście dziennikarze trochę mu odpuścili. Jesse zauważył, że przez biegły uśmiešek zniknął z twarzy Mike'a. Bez wątpienia jeszcze przed zachodem słońca to właśnie jego będą zadrećcać w tej kwestii.

końcu miał już dosyć.

„ Ostatnie pytanie i kończymy.

-jsja chwilę zapadła cisza. A potem: jak pan nazwie ten samolot?

Spojrzał na reportera, który zadał to pytanie. Oslupiał na chwilę. Zanim przeszedł na emeryturę, był produktem amerykańskich sił powietrznych późnego dwudziestego wieku. Pilotem tankowca, na litość boską- Kto, do cholery, nazywał KC-135?

Wyłowił z tłumu kolejną twarz. Twarz, którą ujrzał po raz pierwszy po Ognistym Kręgu, kiedy to niepokoje towarzyszące narodzinom nowego społeczeństwa zapędziły emerytowanego oficera sił powietrznych na zabawę taneczną - pierwszą w jego życiu - gdzie poznał kobietę, którą jej własne dryfujące życie przygnało na kilka miesięcy do pewnego miasteczka w Wirginii Zachodniej. Nie była to twarz szczególnej urody. W średnim wieku, znękana, okolona włosami ciemnoblonde. Wciąż jednak dało się zauważyć więcej niż tylko ślad pięknej młodej dziewczyny. A prawda była taka, że bardziej przyciągnęły go te linie, dodane przez czas i trudy życia.

„Belle12"! - huknął. A gdy ujrzał, jak twarz Kathy się rozjaśnia, poczuł, że robi mu się lżej na sercu.

* * *

Podobało mu się to uczucie. Więc jakiś czas później, gdy szli z powrotem w stronę hangaru - prowizorycznego jak cała reszta, z przerobionej stodoły - zdobył się wreszcie na odwagę, by zadać pytanie, które rozważał od kilku tygodni.

- Wyjdiesz za mnie?

- Jasne - odparła natychmiast Kathy i objęła go mocno w pasie. -Wszystko się układa w idealną całość. Pracowałam na to całe życie. Małomiałostekowa dziewczucha z zadupia w północnej Kalifornii, tancerka z Las Vegas, piosenkarka barowa - Boże, ależ te ćwoki z branży muzycznej przegapiły okazję - barmanka, kelnerka w stołówce. Dalszy ciąg jest chyba oczywisty? Kim innym miałabym niby zostać, jeśli nie żoną dowódcy Strategicznych Sił Powietrznych?

- Potrzebny ci będzie oficjalny kierowca! - pisał za ich plecami Hans. ^Ja, ma się rozumieć!

Kathy pobladła.

1633

145

Z powrotem Frank jechał z Mike'iem, ponieważ ten postanowił, że od rano posiedzenie gabinetu do następnego dnia. Zamieszanie na lotnisku pochłonęło większą część popołudnia i Mike oznajmił, że wieczorem ma ważne spotkanie, którego nie chce przekładać.

- Wkurzyłeś się na mnie? - zapytał Frank, jak tylko ciężarówka ruszyła z miejsca. Twarz Mike'a wykrzywiona była w dzikim grymasie. - Wiem, że powinienem cię zapytać, zanim...

- Daj spokój - odparł Mike i pokręcił głową. - Już wcześniej rozmawialiśmy o tym, że powierzemy Jesse'emu dowództwo, jeśli tylko odezwie ten złom od ziemi. Wtedy to miało dla mnie sens i teraz też ma. Nie w tym rzecz. Chodzi o tę cholerną ropę.

Frank uniósł brwi.

- Myślałem, że wszystko idzie całkiem dobrze. Ostatni raport od Quentina brzmiał obiecująco.

Mike jeszcze bardziej się skrzywił, patrzył teraz wilkiem.

-Taaa, jasne. Quentin to wymagający kierownik i trudno znaleźć bardziej kompetentnego, i wiesz równie dobrze jak ja, że on w końcu uruchomi to pole naftowe szybciej niż ktokolwiek inny. Jestem więc przekonany, że raport nie kłamał. Ale przy okazji to chyba najgorszy przypadek kłapek na oczach, jaki w życiu spotkałem. Chyba że już zapomniałeś? Frank uśmiechnął się. W czasach przed Ognistym Kręgiem on i Mike pracowali jako górnicy dla Quentina Underwooda, który wówczas zarządzał

na kopalnię. Nikt nigdy nie kwestionował zdolności kierowniczych Quentina ale - praktycznie cała reszta jego osoby doprowadzała pracowników do białej gorączki.

_ Oczywiście Quentin ani przez moment nie zastanowił się nad tym, jak mamy przetransportować tę ropę, gdy uruchomi rafinerię. To już pewnie mój problem, nie jego.

- Cały Quentin Underwood. Może zakłada, że rurociąg sam się magicznie pojawi. Ciekawe, z czego zrobiony... i przez kogo? Przez metalurgów, którzy dopiero kilka miesięcy temu doszli do produkcji piecyków wolnostojących?

Mike pokręcił głową.

_ Nie mówiąc już o tym, że Quentin wydaje się kompletnie nie mieć pojęcia, co oznacza termin „konflikt interesów”. Z tego, co mówi Uriel, on już zawiązał spółkę z Niemcami, którzy wyłożyli większą część pieniędzy na tę operację. Będę więc musiał walnąć pięścią w stół. Znowu.

Quentin pojechał do Celle, żeby nadzorować tworzenie przemysłu wydobywczego- rafineryjnego na pobliskich polach naftowych w Wietze - jako sekretarz stanu do spraw wewnętrznych, a nie jako prywatny przedsiębiorca. Jednak, podobnie jak to już bywało wcześniej, człowiek ten zdawał się nie widzieć niczego złego w wykorzystywaniu swej oficjalnej funkcji do dbania o własne interesy. Oczywiście pod warunkiem, że niczego się nie kradnie. Quentin Underwood bardziej niż ktokolwiek inny oburzyłby się, gdyby ktoś posądził go o złodziejstwo.

„W moich księgach wszystko się zgadza, do cholery jasnej!”.

„W porządku, Quentin, tylko że to przede wszystkim nie powinny być twoje księgi!”.

Mike dalej burczał.

- Jak tacy dwaj porządni związkowcy jak my zmuszeni zostali do kierowania bandą rekinów finansjery, hm? Jak mi Bóg miły, Frank...

Urwał i westchnął.

Frank wzruszył ramionami.

^Nie jest aż tak źle. Takie rzeczy muszą się zdarzać, Mike, w tych okolicznościach. Wszystko się rozwija w ekspresowym tempie i każdy j^hoe dostać swój kawałek. Przecież połowa gości z ASG dorabia sobie na ch U ma te&° zatrzymac _nawet gdybyś chciał, a przecież nie esz. Może i są to brudne interesy, ale wzrost gospodarczy jest nam Ch^lennie potrzebny.

- Przyznaję - dodał - że po drodze dojdzie do kilku przykrych !acji. Ale nie zapominaj, że my też mamy potężny związek zawodom Więc...

Podrapał się po głowie.

- W tym momencie Becky pewnie lepiej ode mnie zna się na historii-ruchu związkowego w Ameryce, ale jedno wiem na pewno: kiedy w dzje więtnastym wieku szalały te stare rekiny finansjery, mieli za sobą praVn pracy - jeżeli w ogóle można to tak nazwać - któremu daleko było d0 tego, co my mamy. Nie wspomnę już...

Frank odkaslnął.

- Nie chcę być okrutny, Mike, ale pamiętaj, że tym razem to my marnv za sobą armię, a nie oni. Nie przyjadą więc żadne oddziały federalne, żeby złamać wszystkie większe strajki, jak te sukinsyny pod Blair Mountain albo tamten strajk na kolei w... Kiedy to było? Chyba coś koło 1870 roku. Nie ma mowy. A niech no te nadziane buce spróbują się postawić, kiedy mogą tylko wynająć bandziorów. Ha!

Przez chwilę wewnątrz pikapa wypełniał słuszny gniew dwóch odwiecznych związkowców, toczących wokół zabójczym wzrokiem, jak gdyby chcieli rzucić wyzwanie przyszłym wyzyskiwaczom.

„No dalej! Spróbujcie!”.

Nagle ich gniewne spojrzenia przemieniły się w śmiech.

- Święte słowa - przyznał Mike, wciąż chichocząc i pokręcił głową -Ale z nas prostaki! Tak to już jest: możesz zabrać człowieka z wiochy, ale nie dasz rady zabrać wiochy z człowieka.

Dojechali już do miasteczka i Mike zwolnił. Latem 1633 roku Grant-ville było już niemal tak gęsto zaludnione jak Manhattan i - pomijając autobusy i od czasu do czasu jakieś pojazdy służbowe - ulice przeznaczo- no całkowicie do ruchu pieszego.

Ale nie do końca. Co pewien czas ktoś z nowo przybyłych, nieświa- dom rozporządzeń władz, próbował wyjechać konno na ulicę. A już oo miesiąca zaczęto widywać pierwsze produkty niedawno założonej spółk1 Jennings, Reich & Kuhn. Nowe rowery były dość prymitywne w porów- naniu z tymi kilkoma, które przeszły przez Ognisty Krąg. Ważne jednak- że działały i że rodzina z przyzwoitym dochodem mogła sobie pozwolić na ich kupno.

- O cholera! - zawołał Frank, gdy jego wzrok przykuł widok czeg0* przemierzającego się po jednej z bocznych ulic. - Widziałeś?

- Co? - Mike, skupiony najeździe, wybierał drogę pośród tłumu.

c0ś jakby... No nie wiem. Chyba można to nazwać rykszą, tylko że gnaj j3- k^e^ na rowerze. Z tyłu siedziały dwie osoby. Przez chwilę ^pomnił mi się Sajgon. \like chrząknął.

„Jakiś czas temu Steve Jennings wspominał mi, że myślą o wprowa-^eniu usług „taksówkarskich”.

_ chyba mu się teraz dobrze wiedzie.

_ pewnie tak - zgodził się Mike. Znów marszczył brwi.

_ O co chodzi? Steve jest w porządku, a po tych wszystkich przejściach, jakie miał kilka lat temu, na pewno nie jestem zazdrosny.

-Ja też nie, Frank. Problem jest taki, że... - Umilkł na chwilę, gdy przejeżdżali powoli przez główne skrzyżowanie miasteczka. - To nie Steve jest problemem, a w ogóle to sprawa na dłuższą metę.

Machnął ręką, wskazując na otaczające ich miasteczko.

-Za parę lat, Frank, wszystko tu się zmieni. Nie ma ucieczki. Prawda jest taka, że gdy już opadnie kurz, to tak na oko co najmniej połowa rodowitych Amerykanów, którzy przeszli przez Ognisty Krąg, będzie bogatsza niż kiedykolwiek w życiu. Dużo bogatsza. Oczywiście w porównaniu z innymi, nawet jeśli będzie im brakować luksusu papieru toaletowego. Pierwszy lepszy półgłówek z liceum jest w stanie wykombinować, jak wykorzystać swoją wiedzę, żeby osiągnąć zysk. A jeśli nie będzie w stanie, to na pewno zrobi to jakiś chętny niemiecki wspólnik.

Spojrzał na Franka badawczym wzrokiem.

-Aco potem? Jak silne będzie oddanie idei demokracji i równości, kiedy większość osób, które ją ze sobą sprowadziły, stanie się częścią wyższych sfer? Hm?

Frank zacisnął usta. W końcu odezwał się z pewnym zażenowaniem:

- Kurde, Mike, ja awansowałem z górnika na dowódcę wojsk lądowych. Tobie poszło jeszcze lepiej. Ale nie powiedziałbym, że mój - jak by to nazwać? - „polityczny kręgosłup moralny” jakoś na tym ucierpiał.

Mike uśmiechnął się.

I tam. A

- Mój też nie. Ale niezupełnie o to mi chodzi, Frank. Nie spodziewam się, żeby ktokolwiek - no, może garstka osób - zaczął wyśpiewywać hymny Pochwalne na cześć rządów arystokracji. To będzie znacznie subtelniej - SZE - A'E wkrótce się zaczniesz, mogę ci to zagwarantować. Ludzie na szczycie zawsze patrzą na świat ze swojego punktu widzenia. Pod tym względem ile jesteśmy inni. Nikt tak naprawdę nie jest, poza paroma wyjątkami tu parę wyjątków to trochę za mało, żeby się liczyć.

Przyjechali już pod dom Franka i Mike zatrzymał ciężarówkę. D0(jaj ściszym głosem:

- Ścigamy się z czasem, Frank, taka jest prawda. Do tej pory udało nam się utrzymać przewagę, jaką mieliśmy od samego początku. Ale nje nie będzie trwało wiecznie - nic, włącznie z polityką i ideałami. Chyba przekształcimy, jeśli można tak powiedzieć, wystarczająco wielu ludzi z w świata, żeby to oni mogli naciągnąć linę wtedy, gdy większość rodowitych Amerykanów poluzuje uchwyt. Inaczej wszystko poleci na łeb na szyję.

Frank przypatrywał mu się przez chwilę.

- Słuchałeś Becky, prawda? -Tak. Boże, jak mi jej brakuje.

- Mnie też. To wszystko jest znacznie bardziej przygnębiające, niż ona to zazwyczaj przedstawia.

Mike wruszył ramionami.

- Ja w gruncie rzeczy nie jestem tym „przygnębiony”. Becky też nie. Po prostu staram się być realistą, żeby nie dać się zaskoczyć, gdy nadejdzie ten czas. I - co pewnie jest znacznie istotniejsze - żeby nie schrzanić tego przedwcześnie i podjąć kroki, które wszystko ułatwią.

Frank nieco zmrużył oczy. Mike uśmiechnął się szeroko.

- Nie, do cholery! Nie myślę o zamachach stanu i innych republikach bananowych.

Frank nie do końca odetchnął z ulgą.

- Całe szczęście. Już tyle lat się przyjaźnimy i bardzo bym nie chciał, żeby to wszystko diabli wzięli. A tak by było, gdyby... A, pieprzyć to. Nie ma mowy, żebym pozwolił użyć moich oddziałów do łamania strajków -jak tylko dostanę takie polecenie, od razu składam rezygnację. Żadnej dyktatury wojskowej i takich tam.

Mike wciąż uśmiechał się szeroko.

- Frank, ja powiedziałem, że słuchałem Becky. Nie Otto von Bismarcka.

- Kogo?

Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

- Nic dziwnego, że oblałeś historię.

- Cholera jasna, dostałem troję. Nie oblałem. - Frank otworzył drzwi i zaczął wysiadać.

- Choć przyznam, że profesor Pierce dał mi troję - chyba chciał się mnie pozbyć ze swoich zajęć. Mimo to nie oblałem. M0* żesz sprawdzić na moim świadectwie.

Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi i wsadził głowę przez otwarte okno.

No i dokąd teraz zmierzasz? Cóż to za tajemnicze spotkanie, którego nie możesz przegapić?

Uśmiech Mike'a nieco osłabł, lecz nie zniknął całkowicie.

, Trudno to wyjaśnić. Powiedzmy, że spróbuję podjąć jeden z tych zapobiegawczych kroków, o których wspominałem.

Frank odsunął się od ciężarówki i pokręcił głową.

_ Dobrze, że jestem zwykłym tępem. Nawet jeśli noszę wymyślne... Ej, jak się teraz nad tym zastanawiam, to nigdy nie zabraliśmy się za projekt odpowiedniego munduru dla - khem, khem! - szefa sztabu Armii Stanów Zjednoczonych. Myślisz, że ile złotego galonu powinienem dostać? Kilogram? Półtora?

Mike odjechał.

- Jeezu - burknął Frank. - Nie musiałeś od razu palić gumy... A wiesz, że gumy zaczyna nam już brakować?! - krzyknął za półcieżką.

Ruszył z uśmiechem w stronę domu. Jego żona Dianę stała już w otwartych drzwiach.

- Chłopak za dużo się martwi - oznajmił. Dianę pokręciła głową z bardzo poważną miną.

- Za mało - stwierdziła. Patrząc z góry na tę mierzącą raptem metr pięćdziesiąt kobietę, Frank nagle sobie przypomniał, że urodziła się w kraju zwanym Wietnamem.

- Może i masz rację - zgodził się.

* * *

Spotkanie odbywało się na „terenie neutralnym”, jeśli to pojęcie w ogóle coś oznaczało w Grantville. Niezależnie od tego, jaka czekała ich przyszłość, w tej chwili Grantville wciąż spoczywało w rękach Mike'a Stearnsa i jego zwolenników. Jednak przez półtora roku od chwili otwarcia „Ogrodów Turyńskich” miejsce to stało się tak popularne, że idealnie nadawało się na nieoficjalne spotkanie.

Nawet dla człowieka, który nigdy nie był władcą tych terenów.

~ Dobrze wyglądasz, Wilhelmie - powiedział Mike i uściśnął wyciągnięty do niego dłoń.

Wilhelm Sasko-Weimarski uśmiechnął się i tą samą dłonią zaprosił Mike'a do łóżka.

^ ~ Czy łóżko jest odpowiednia? Pomyślałem, że tu będą lepsze warunki rozmowy niż w głównej sali.

Mike skrzywił się. Do prowadzenia rozmowy w głównej sali „Ogrodów” w piątkowy wieczór (tak naprawdę to w każdy wieczór) potrzebny byłby płucza wołu.

- Tak jest w porządku. Zasuńmy jeszcze zasłony.

Sięgnął za siebie i tak właśnie zrobił. Gdy się z powrotem odwrócił Wilhelm już siedział, a obok niego znajdował się mężczyzna bardzo go przypominający.

- Ufam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, by został z nami mój brat Albrecht. Zaprosiłbym też Ernsta, lecz, jak zapewne wiesz, wraz z generałem Banerem prowadzą teraz kampanię przeciw Bawarczykom.

Mike pokręcił głową.

- Absolutnie mi to nie przeszkadza. Powinienem był sam cię poprosić, żebyś go zabrał. Gawędzili sobie, dopóki nie przyszła kelnerka z dzbanem piwa i trzema kufkami. Wilhelm pociągnął łyk, mlasnął z zachwytem, po czym odstawił kufek i splótł dłonie na blacie stołu.

- Tak więc, Michaelu, czemu mnie tu zaprosiłeś?

Mike wpatrywał się w niego przez chwilę. Czterej bracia sasko-weimarscy - Wilhelm, Albrecht, Ernst i Bernard - wciąż byli na tym terenie oficjalnie rządzącą arystokracją. Wilhelm, najstarszy i najznaczniejszy z książąt Sachsen-Weimar, był szczupłym mężczyzną po trzydziestce - mniej więcej w wieku Mike'a. Jego brązowe oczy znamionowały jednak intelektualistę, a nie kawalerzystę. Tym bardziej że spoglądały na Mike'a przez amerykańskie okulary. Sam fakt, że Wilhelm opanował angielski w stopniu doskonałym i niemal bez obcego akcentu, świadczył już o jego intelekcie. Prawdę mówiąc, angielski Wilhelma był lepszy niż niemiecki Mike'a - a on naprawdę bardzo się starał nauczyć tego języka. Zgadza się, były to oczy intelektualisty. Wciąż jednak były to też oczy człowieka przyzwyczajonego do sprawowania władzy i swobodnego poruszania się po jej korytarzach. Oczy dziekana, a może rektora, i to prestiżowej uczelni - nie zaś oczy roztargnionego profesora, który wciąż nief jest pewny, czy dostanie etat. Mike ani przez chwilę nie zapomniał o tym, że siedzący naprzeciwko mężczyzna to jeden z najbardziej zaufanych niemieckich doradców i sojuszników Gustawa Adolfa.

- Chciałem zaproponować ci stanowisko w Sądzie Najwyższym - powiedział bez ceregieli. - Nie prezesa - tu ponownie mianuję Chucka Riddle'a - ale następną nominację, którą będę wysyłał do Kongresu -

Oczywiście niczego nie mogę zagwarantować, lecz nie sądzę, żeby był ktoś większy przeciw.

Wilhelm przyglądał mu się przez chwilę, a jego oczy nie wyrażały niczego poza chłodną kalkulacją.

„Rozumiem, że zdecydowałeś się działać szybko. Prawo nie każe ci „iikogo” wyznaczać na stałe, dopóki nie minie „stan nadzwyczajny”. Czyli przez następnych kilka miesięcy.

Mike nie tyle wzruszył ramionami, ile wykonał gest człowieka, który zrzuca z siebie ciężar.

- Po co czekać? Chrzanić te formalności. Jedynym uzasadnieniem stanu nadzwyczajnego było to, żeby dać nowemu rządowi chwilę wytchnienia. Ale już nam to nie jest potrzebne. Jak zaczniesz się przyzwyczajać do takiego naginania... to w końcu się do tego przyzwyczaisz.

Na chwilę zapadła cisza; Wilhelm nadal w spokoju obserwował Vlike'a.

- To bardzo sprytnie z twojej strony - powiedział cicho. - Lecz czy to miałby być pełen wachlarz, czy też jedynie władza sądownicza? - Wilhelm pociągnął kolejny łyk piwa. -

Muszę cię przestrzec: jeżeli dostanę stanowisko w Sądzie Najwyższym, opowiem się przeciwko równoczesnemu piastowaniu przez Franka Jacksona urzędów wiceprezydenta oraz dowódcy armii. Albo jedno, albo drugie, Michaelu.

Mike pochylił głowę, łącząc ten gest z uniesieniem kufła.

- To jest kwestia czasu, Wilhelmie. Frank zrzeknie się wiceprezydentury, jak tylko ogłoszę, że rząd rozważa zakończenie stanu nadzwyczajnego.

Wilhelm zmrużył nieco oczy, widząc, jak Mike jednym haustem opróżnił połowę kufła.

- Ach, chciałbym mieć tyle werwy! Uważam, że twoja ocena jest słuszna - na tym miejscu też bym zachował Franka w armii. Nie sądzę, żeby był jakiś poważny sprzeciw.

Mike odstawił kufel i przechylił głowę na bok.

- Tak? Mnie się wydaje, że ludzie będą zrzędzić. Przecież wiadomo, gdzie leży prawdziwa władza.

„Też coś!” - odezwał się po raz pierwszy Albrecht. - Żaden panujący przy zdrowych zmysłach nie zrzeknie się władzy nad armią. Szczególnie nie po to, by zachować ten - raczej wybaczyć afront - głupi i bezużyteczny urząd „wiceprezydenta”, który za wszelką cenę chciałeś uwzględnić w konstytucji.

David Weber, Eric Flint

Wilhelm pokręcił głową.

- Wcale nie taki głupi, Albrechcie. Owszem, stanowisko samo w sobie jest... Jak Amerykanie na to mówią? A tak, „piątym kołem u wozu”. Lec^ przynajmniej ustala klarowną linię sukcesji. - Posłał swemu młodszemu bratu ostre spojrzenie. - Czyli coś, z czym - jak pewnie zauważyłeś - Niemcy, nie potrafiliśmy sobie poradzić jakieś dziesięć tysięcy razy tyty^ na przestrzeni ostatniego stulecia.

Albrecht przyjął naganę z uśmiechem.

- Jak zawsze zrzęda! Teraz widzisz, Michaelu, co my, nieszczęśni bra-cia, musieliśmy znosić przez te wszystkie lata.

Mike powstrzymał się od komentarza, który momentalnie przyszedł mu do głowy: „Bernard nie musiał!”. To by było... niedyplomatyczne. Odkąd Bernard zdradziecko odszedł z obozu Gustawa Adolfa i został so-jusznikiem Francuzów, pozostali trzej bracia Sachsen-Weimar nigdy pu-blicznie nie wymawiali jego imienia. Mike uznał, że tym lepiej to o nich świadczy. Szczególnie Wilhelm i Ernst znacząco przyczynili się do stwo-rzenia KKE.

Wilhelm powrócił do przypatrywania się Mike'owi. Ponownie na chwilę zapadła cisza.

- Spójrzmy na to z innej perspektywy - rzekł. - Zamiast składać mi propozycję, Michaelu, może raczej udzieliłbyś mi rady. Czy przyjąłbyś taką ofertę, będąc na moim miejscu?

- Nie - odparł Mike bez wahania. - To w gruncie rzeczy jest pułapka. Ze świetną przynętą. Miałbyś całkiem sporo władzy, i to częściowo nawet takiej prawdziwej. Oczywiście mnóstwo prestiżu. No i... dobrze byś sobie poradził. Nie proponuję ci tego ot tak, Wilhelmie. Ja naprawdę myślę, że byłby z ciebie dobry sędzia Sądu Najwyższego. Nawet jeśli - uśmiechnął się, by złagodzić wymowę swoich słów - jestem święcie przekonany, że j głównie bym cię przeklinał.

Albrecht poruszył się na krześle, jakby chciał coś powiedzieć, lecz rów-nocześnie czuł, że wyszedłby na głupca. Starszy brat położył delikatnie dłoń na jego ramieniu.

- Posłuchaj przez chwilę, Albrechcie. Już ci mówiłem: nie myśl, żecl Amerykanie są naiwni, tylko dlatego, że zdają się tak szorstcy w obejści l l' Ja przestudiowałem te księgi historyczne - ty nie. A przynajmniej nieW)" starczająco. Przez dwa stulecia potrafili rządzić królestwem wielkości tego kontynentu tak, że wybuchła tylko jedna wojna domowa. Porówna to z naszymi europejskimi dziejami.

Albrecht zmarszczył czoło, wciąż najwyraźniej nie rozumiejąc prze-lania- Wilhelm uśmiechnął się.

_ ich pojęcie „władzy” jest nieco subtelniejsze niż nasze, bracie. Dla ,ias władza wiąże się bezpośrednio z mieczem albo prawem. Spróbuj więc posłuchać, a czegoś się nauczysz.

Skinał głową w stronę Mike'a.

-Mów dalej, proszę.

- Jako sędzia jesteś w stanie co najwyżej interpretować prawo, a interpretacja może - oczywiście do pewnego stopnia - je kształtować. To jest jasne. Ale nie może go tworzyć ani też przekraczać pewnych granic. W tym celu trzeba zasiadać w Kongresie.

Albrecht nie mógł się opanować.

- Ta bzdurna Izba Lordów, na którą się zgodziłeś, ma zęby szczenięcia! Zrobiłeś to tylko dlatego, że nalegał na to cesarz i jego szwedzcy doradcy. Próbowałem...

- Posłuchaj, powiedziałem. - Tym razem w głosie Wilhelma pobrzmiwało coś groźnego. Jego młodszy brat nieco się skulił.

-Mów dalej, Michaelu. - Wilhelm cały czas był uśmiechnięty, lecz oczy mu się zwęziły. - Chyba przechodzimy do istoty tego spotkania.

Mike osuszył kufel i odstawił go na stół tak zdecydowanym ruchem, że omal go nie rozbił.

-Na litość boską, przestań się zgrywać! Wilhelmie, obserwuję cię już od ponad roku.

Nazwałbym to „szpiegowaniem”, tyle że tak naprawdę nie pogwałciłem twoich osobistych i obywatelskich praw. I wiem, że nie kończyło się na prywatnych spotkaniach ze wszystkimi ważniakami z Turyngii i Frankonii, którzy mają ze mną na pieńku.

- Rozumiem... I co takiego odkryłeś?

- Na początek: rejestr biblioteczny wykazuje, że wypożyczałeś - i to zazwyczaj kilka razy z rzędu - wszystkie możliwe książki odnoszące się do wczesnej historii i teorii politycznej Ameryki i Anglii. A jedną książkę w szczególności - tę, której termin zwrotu przedłużałeś przez trzy miesiące.

Wilhelm odchylił się na krześle.

- Chyba nie oskarżasz mnie...

^ke machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

"Nie wygłupiaj się. Jaki, do cholery, pożytek z tych książek miałby elieu - a tym bardziej ten sukinsyn Ferdynand?"

- Ach. - Książę nagle otworzył szeroko oczy.

- Bingo - powiedział Mike. - Najwyższa pora. Nadejdzie taki dziej; Wilhelmie - nie wiem kiedy, ale nadejdzie, jak dwa razy dwa jest cztery^ gdy będzie mi potrzebny kolejny prawdziwy Edmund Burke¹³. A dokładaj niej: gdy będzie potrzebny krajowi. Nie jakiś bezużyteczny arystokrata który przeczytał osiemnaście razy Rozważania o rewolucji we Francji^ ^ nie miał nic lepszego do roboty.

W tej chwili Wilhelm miał już oczy bardzo szeroko rozwarte. Albrecht wpatrywał się w niego ze zdziwieniem. Najwyraźniej niezbyt często miał okazję oglądać starszego brata kompletnie zaskoczonego.

- Głupie - warknął Mike. - Cholernie głupie, żalodne, nic niewarte przywileje.

Naprawdę ci zależy, Wilhelmie?

Książę powoli zaczął kręcić głową.

- To dobrze. Zdziwiłbym się, skoro już ktoś uświadomił ci to, co oczy. wiste.

- Czemu to robisz? - zapytał Wilhelm niemal szeptem.

Mike potarł głowę swą masywną dłońią i uśmiechnął się odrobinę przebiegle.

- Coś takiego! Jeszcze ani śladu łysienia. Oczywiście nie będzie tak wiecznie. Kiedy mój staruszek umarł, wyglądał jak mnich. Aleja najchętniej zatrzymałbym je, póki się da. Oparł dłoń o blat i rozpostarł palce, całym swym ciężarem napierając na stół.

- Będzie opozycja, Wilhelmie. Cholera, już jest, i to spora. Tyle żenię mieli wokół kogo się zorganizować. Simpson wciąż jest skompromitowany w oczach Niemców z powodu tych rasistowskich pierdoł z poprzednich wyborów. Obecna arystokracja, z paroma wyjątkami - ty jesteś jedynym z nich; myślę, że Wilhelm Heski może być kolejnym - ma wyobraźni? polityczną godną bandy hien. Bez urazy, po prostu jestem normalnym' prymitywnym i

nieokrzesanym sobą. - Skinął lekko głową w stronę Albrechta, jak gdyby jego również warunkowo oczyszczał z tego zarzutu.

- Zastanów się nad tym, Wilhelmie. Prawdziwą siłą napędową opozycji będzie nowa krew. Taka jak Troelke wśród Niemców i Quentin Underwood wśród nadczasowców.

- Underwood jest członkiem twojej partii - odparł Wilhelm. Tyle # była to dość słaba riposta.

Mike ponownie machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

- To nie będzie trwało wiecznie, i wiesz o tym równie dobrze jak Ja; Partia Czwartego Lipca to koalicja, a Quentin tak naprawdę nigdy się w niej nie czuł komfortowo. Jeśli dostrzeże opłacalną alternatywę, skorzysta z niej bez chwili wahania. _ Czemu więc sam jej nie stworzy?

Mike nie odezwał się ani słowem, tylko patrzył na księcia. Po chwili Wilhelm wziął głęboki oddech i spojrzął w drugą stronę.

„Ach tak. „Nowa krew”, jak to ująłeś. Z wyobraźnią równie bogatą jak u arystokratów.

_ Właśnie. Więcej zapału, bez wątpienia. Wyobraźnia? Pewnie nawet mniej- „Dawać”. Taka byłaby z grubsza istota programu, który by wy-myślił”

I znów na chwilę zapadło milczenie. Zdezorientowany Albrecht wykorzystał tę okazję, by napelnić wszystkim kufle. Mike natychmiast opróżnił połowę swojego, ani przez moment nie odrywając zimnego, wyzywającego wzroku od twarzy księcia. Wilhelm tymczasem sączył piwo powoli i z namysłem. Nie unikał spojrzenia Mike'a, lecz nie patrzył mu prosto w oczy.

Nagle wybuchnął śmiechem.

- Boże, świat jeszcze nie widział takiego politycznego awanturnika! -Obdarzył Mike'a spojrzeniem pełnym aprobaty wymieszanej ze zdumieniem i szczyptą drwiny. Tak patrzy jeden mężczyzna na drugiego, który stąpa po linie nad przepaścią tylko i wyłącznie dlatego, że chce udowodnić światu, że potrafi to zrobić. - Muszę ci powiedzieć, że Machiavelli byłby twoim stanowczym przeciwnikiem. - Pociągnął kolejny łyk i delikatnie odstawił kufel na stół. - A może obwołałby cię swym najzdolniejszym uczniem.

Albrecht nie mógł już dłużej się powstrzymać.

- O czym wy mówicie?

Wilhelm zerknął na młodszego brata i uśmiechnął się pogodnie, po czym znów przeniósł swe mądre spojrzenie na Mike'a.

-Ten prymitywny i nieokrzesany jegomość siedzący po drugiej stronie stołu próbuje skonstruować najlepszą opozycję, jaka przychodzi mu do głowy. Ponieważ jeśli taka opozycja powstanie, któregoś dnia będzie gł zrzec się władzy. Przynajmniej na jakiś czas. Zamiast doprowadzić

wójny domowej. Można powiedzieć, że chce mieć i Jeffersona, i Washingtona. Zarówno Burke'a, jak i Pitta.

Albrecht wciąż marszczył brwi.

Ale przecież nie ma takiej możliwości, żeby... Wybacz mi, Wilhelmie, uważam

ain cię za najbystrzejszego - a z całą pewnością za najmądrzejszego

- ze znanych mi myślicieli politycznych. - Spojrzął na Mike'a niemal złością. - Ale w takim księstwie, jakie oni stworzyli, zwyczajnie nie

takiej możliwości, żebyś mógł czymkolwiek pokierować. Ja to wierzę Wilhelmie. W przeciwieństwie do ciebie, uczestniczyłem w większości posiedzeń Izby Lordów. Mówię ci...

- Ty i Ernst będziecie musieli podjąć decyzję - powiedział cicho tyj helm - który z was zostanie moim następcą, gdy już abdykuję.

- Wypiję za to! - huknął Mike, po czym napełnił kufle i uniósł swój d0 góry. - Za nowego kandydata na stanowisko reprezentanta z okręgu 141
 - Izba Gmin? - wykrztusił Albrecht.
 - Pamiętaj - dodał Mike i radośnie siorbnął - że to nie będzie łatwi, zna. Dopilnuję, żebyś musiał poprowadzić ostrą kampanię. Gdybym tego nie zrobił, ludzie zaczęliby coś podejrzewać.
- Stuknęli się z Wilhelmem kufłami. Po raz pierwszy książę wziął głęboki łyk.
- Skoro już będę plebejuszem - wyjaśnił - mogę sobie pozwolić na odrobinę nieokrzesania.

^azbzinl 13

- Nie mamy szans dostać się do niego i z nim pogadać - powiedział Tom. - Najmniejszych szans, według tego, co mówi Nelly. Trzymają go w celi, do której prowadzi tylko jedno wejście, a tam jest zawsze co najmniej trzech wartowników. I to jest gwardia królewska, a nie jakieś zwykłe leszcze.

Melissa skinęła głową. W czasie tych kilku tygodni od ich przybycia do Tower stało się oczywiste, że ci gwardziści nie mają nic wspólnego z przyjaznymi, rozluźnionymi przewodnikami w strojach strażników, określonymi mianem Beefeaters, których spotkała jako turystka pod koniec dwudziestego wieku. To byli elitarni żołnierze, zdyscyplinowani i zorganizowani. I zdecydowanie uważali siebie za „ludzi króla”, a nie zwykłych najemników. Jednego może dałoby się przekupić, ale na pewno nie kilku. Chyba że...

każd Poł,

Tom natychmiast odrzucił tę myśl, zanim jeszcze zdążyła zapytać. -Nie, cały czas wymieniają ludzi. Ta sama trójka czy czwórka nigdy nie stoi razem dłużej niż kilka dni pod rząd. To chyba bezpośredni rozkaz samego Strafforda. Nie zamierza ryzykować z Cromwellem. ~ Pewnie wie, i to lepiej od nas - westchnęła Melissa - że praktycznie a ucieczka z Tower była efektem skorumpowania ludzi wewnątrz. -°2yła dłonie na kolanach i wyprostowała się. - Cholera, za stara na to Jestem. W moim wieku planować ucieczkę z więzienia! T°m spojrział na nią szelmowskim wzrokiem.

- No widzisz, a wydawało mi się, że masz w tym praktykę.

- Daj spokój - parsknęła Melissa. - Byłam protestującym, a nie ^ kłym kryminalistą. A tym bardziej nie byłam awanturnikiem. I robiła wszystko, żeby mnie aresztowano, bo wtedy mogłam coś udowodnić. GeL bym zwiewała, to całą ideę by diabli wzięli. - Kolejne parsknięcie. - Cho, dzi mi o to, że wtedy bym się przyznała do jakiejś winy. A tymczasem ja tylko byłam i dalej jestem - i tak już będzie, do cholery jasnej! - orędown. niczką cywilizowanego zdrowego rozsądku.

Darryl McCarthy przysłuchiwał się tej rozmowie oparty o ścianę, zawsze wtedy, gdy poruszano temat Olivera Cromwella, jego młodą twarz wykrzywił grymas niezadowolenia. Teraz niezadowolenie ustąpiło miej. sca obawie. Zerwał się na równe nogi.

- Pani Melisso, to znaczy... No co pani. Te wszystkie pierdoły o „niepo-słuszeństwie obywatelskim"... yyy... to znaczy ta cała idea... ona się w ogó-le nie sprawdzi w tych czasach. Nie ma szans! - Jego wzrok nagle powę-drował w stronę znajdujących się po drugiej stronie komnaty drzwi, które prowadziły w głąb Tower. Za nimi stali gwardziści pilnujący poselstwa ze Stanów Zjednoczonych. - Jezu, spróbuje się pani przykuć tutaj do bramy... Nawet nie pofatygują się po kowala. Odrąbią ręce przy nadgarstkach i będą się śmiać, aż się pani wykrwawi. A krew zabiorą na kaszanke. To znaczy...

- Och, żeby ci język usechł! - Melissa chciała, żeby tej naganie towa-rzyszył surowy wzrok, lecz poniosła totalną klęskę. Zaraz po słowie „usechł" nastąpił wybuch śmiechu. Tom i Rita też się śmiali. Gay le szczyrzyła zęby.

- Co z tobą, Darryl? - zapytała. - Myślę, że wyglądałbyś uroczo, gdy-byś tak wmaszerował do Whitehall i usiadł w bufecie obok króla i królo-wej. Zapisałbyś się w historii.

Darryl spojrział na nią ze złością. W przeciwieństwie do Melissy, Gayle Mason nie wzbudzała w nim strachu. No, może odrobinę. Gayle była wy starczająco bojowa, żeby wzbudzać strach w każdym mężczyźnie, który próbowałby nią dyrygować. Tyle że ona była po trzydziestce, a nie zbliż3' ła się do sześćdziesiątki - a poza tym nigdy nie była szkolną nauczycielką Darryla. Relacje między nimi były więc raczej takie, jak między mło- szym bratem i starszą siostrą.

- Bardzo śmieszne! - warknęła. Melissa bezsilnie machnęła ręką.

- Wystarczy już. Darryl, ja naprawdę nie jestem głupia. Doskonale zda) ^ sobie sprawę z tego, że w tych czasach ktoś starający się iść w śla ^

l ^ahatny Gandhiego albo wielebnego Martina Luthera Kinga ma za- ,bebeszony i poćwiartowany, łamany kołem, Bóg raczy wiedzieć, co ,arantowane krótkie życie. - Skrzywiła się. - Krótkie i bolesne życie.

Wy

jeszcze.

podeszła do najbliższego okna i zaczęła wpatrywać się w Tamizę. Przez chwile czuła, jak zalewa ją smutek ogromny jak ta rzeka.

_ Cywilizowany zdrowy rozsądek - wymamrotała do siebie. - Tylko co to znaczy dla „cywilizacji", w której śruby do miażdżenia kciuków są źródłem sprawiedliwości?

Rita stanęła obok niej. Zdawała się rozumieć jej nastrój.

-To nie twoja wina, Melissa. Naprawdę, to we jest twoja wina.

Wyraźna troska w głosie Rity sprawiła, że na twarzy Melissy poja-wił się uśmiech. A wraz z nim odpłynął nieokreślony smutek. W koń-cu w tym nowym bezdusznym świecie wiele rzeczy mogło ją pocie-szyć. W tym starym, choć tak bardzo „cywilizowanym", Melissa Mailey była samotna. Szanowana, owszem, przez wielu nawet podziwiana. Ale sama. Często wydawało jej się, że jej tożsamość zaczyna się od i kończy na „belferka", „radykał" i coraz częściej (głównie za jej ple-cami) „stara panna". „Nie ma swoich dzieci, to dlatego jest takim babsz-tylem".

Teraz zaś... miała ukochanego, niemal małżonka. A także praktycznie całe mnóstwo dzieci. „Zwłaszcza córek".

Ta myśl niezwykle ją ucieszyła. Spojrzała na Gayle.

- Udało ci się nawiązać kontakt z Julie i Alexem? Gayle wzruszyła ramionami.

- Pewności oczywiście nie mam, bo oni ustawili się tylko na odbiór. Ale wątpię. Zanim nie dotrą do Szkocji, Julie nie będzie w stanie dobrze ustawić radiostacji. To jest raptem najzwyczajniejsze RadioShack DX-^98. Całkiem niezłe radyjko, owszem, ale... - Jej głos przepełniała duma.

Nie może się równać ze sprzętem, który ja zabrałam, albo z tym, który ma Becky. Ale nawet wtedy założę się, że trzeba będzie przesyłać wiadomości do Szkocji przez Holandię.

tQJim

Melissa kiwnęła głową. Gayle była w Grantville jednym z trójki radioamatorów klasy amateur extra i odegrała znaczącą rolę w konstruowaniu stacji radiowej, którą zabrały ze sobą wszystkie misje dyplomatyczne. Ich ekipie to ona była specjalistką od radiostacji, tak jak u Rebeki był

fity Andersen - radioamator klasy general.

160

David Weber, Eric Flint

- I od Becky też nic. Szczerze mówiąc, zaczynam się trochę niepokoić.

- Melissa, trudno jest cokolwiek stwierdzić, jeżeli się nie ma wystarczająco dużo danych. - Gayle zerknęła na kufer, w którym ukryli radio stację. - Z takim sprzętem bez problemu skontaktujemy się z Jirnnym gdy już ulokuje się w Holandii. Ale zanim to się stanie...

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko przez to cholerne minimum Maundera. Z punktu widzenia radioamatora przybyliśmy do Europy w złym momencie. Oficjalnie to się zaczęło dopiero w 1645 roku, ale w rzeczywistości to jest znacznie bardziej skomplikowane. Liczba plam słonecznych już spada...

- Cholera jasna, Gayle - warknął Darryl - nie mam zamiaru znowu tego wysłuchiwać. Nie dość, że Melissa codziennie robi mi wykłady z historii, to jeszcze ty się dołączasz. I to z historią cykli plam słonecznych i tego, jak schrzały - albo nie schrzały, już nie pamiętam - transmisję radiową! - Dorzucił pośpiesznie: - Przecież ja się koszmarnie męczyłem, zanim wreszcie zapamiętałem tych Rooseveltów.

W pomieszczeniu rozległ się śmiech. W przypadku Melissy trwał on dłużej niż u reszty.

- Nie zapamiętałeś, jeśli chodzi o ścisłość. - Posłała Darrylowi uśmiech, który był znacznie przyjaźniejszy niż rozgniewane spojrzenie, jakim go wówczas obdarzyła. - O tak, wciąż to świetnie pamiętam. Darrylu McCarthy, muszę przyznać, że twoje odpowiedzi na testach zawsze były... hm... jedyne w swoim rodzaju.

Zaczął mówić z zaśpiewem.

- „Teddy Roosevelt. Poprowadził „Twardych Jeźdźców 15” przeciwko Japończykom pod Pearl Harbor”.

Tom wybuchł śmiechem.

- Chyba żartujesz? Darryl oblał się rumieńcem. Melissa z radością pokiwała głową.

- Wcale nie. Co tam jeszcze było... „Jerzy III, pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych”.

Rita zawtórowała mężowi śmiechem. Gayle też się przyłączyła. Twatf Darryla przybrała kolor jasnoróżowy.

Melissa uznała, że już da spokój. A przynajmniej złagodzi ton.

i-ii

- Na jego obronę muszę jednak powiedzieć, że Harry Lefferts za*** go przebijał.

Pamiętam jedno pytanie, na które odpowiedział: „Abrann

161

1633

Lincoln. Wynalazł markę Continental”. Napisał też kiedyś wypracowanie o tym, Jak t0 starożytni Grecy podbili Rzymian, ponieważ chcieli się zemścić za zatrucie ołowiem po erupcji Mount Saint Helens.

Tom rechotał już tak bardzo, że musiał usiąść, żeby się nie przewrócić. (3aylc • Rita byty w równie ciężkim stanie.

Darryl zaś najwyraźniej uznał, że nie da się już bardziej go zawstydzić, więc równie dobrze może przyłączyć się do zabawy i też zaczął się śmiać.

_ Dajcie spokój. Ja i Harry byliśmy za bardzo zajęci przebudową samochodów, żeby się przejmować historią. To znaczy po co nam wiedzieć więcej niż to, że prezydent Ford wynalazł automobil? - Zmarszczył czołło. - To znaczy chodzi mi o pierwszego prezydenta Forda. Nie o tego kolesia, co sobie nie radził z futbolem. Tom spadł z krzesła.

* * *

Dwaj gwardziści stojący w przejściu prowadzącym z Wieży Świętego Tomasza do wewnętrznych zabudowań i przysłuchujący się wybuchom śmiechu spojrzeli po sobie.

- Wesoła gromadka - rzekł jeden.

Jego towarzysz uśmiechnął się i przytaknął skinieniem.

- Prawda. Myślę, że hrabia za bardzo się przejmuje. - Wskazał ruchem głowy na niewidocznych lokatorów. - To nie brzmi jak nowy spisek pro-chowy, co?

Na chwilę zapadło milczenie. Potem gwardzista rozejrzał się i powiedział ściszym głosem:

- Chodzą słuchy, że są bogaci.

- Bo są. Sam widziałem srebro.

Znowu cisza, tym razem dłuższa. Wreszcie ten, który widział srebro, odezwał się półszepem.

~ Nic się przecież nie stanie, Andrew. Ani królowi, ani nam, ani w ogóle nikomu.

Jego towarzysz kiwnął głową i wcielił się w rolę współnika.

~ Prawda. To co, Will - po równo? Wszystko jedno, który stoi na barcie?

*" urnowa stoi. Wszystko, czego chce ta kobieta - ta, która pokazała mi ^ebro - to żeby przynosić i wynosić pakunki.

Andrew zmarszczył brwi. , ^ylko małe pakunki. - Oparł partyzanę o ramię i energicznymi ruchami dłoni pokazał dopuszczalny rozmiar.

- Jasna rzecz. Inaczej byłoby za duże ryzyko. - Will wzruszył ramionami. - Ale myślę, że oni nie chcą niczego więcej. Same zbytki, ro^ miesz.

- To niegroźne.

* * *

- ...groźne jest... hm... dziwactwo Jego Wysokości - podsumował Laun Biskup Londynu poruszył się na fotelu. - Daj więc temu pokój, Thorny sie, nie warto już złościć króla. Skoro Karol cieszy się na myśl, że Oliver Cromwell gnije w lochach zamiast w grobie, to cóż w tym złego?

Strafford już miał oponować, lecz zacisnął wargi i poprzestał na wściekłym spoglądaniu na panoramę Londynu ze swych komnat w Pałacu Wbj. tehall.

- Zapewne nic - warknął po kilku chwilach milczenia. - Skoro Pym już nie żyje... Boże, cóż go opętało? Stawiać opór żołnierzom, w jego wieku?! Ileż on miał - pięćdziesiąt lat?

Laud skrzywił się, jakby właśnie ugryzł cytrynę. Hrabia musiał się powstrzymać, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Najwidoczniej biskup orientował się w wieku buntowniczego parlamentarzysty równie dobrze, jak we wnętrzu sułtańskiego haremu.

Chwilowe rozweselenie przegnało złość spowodowaną uporem króla.

- Może zresztą masz rację. Owszem, Hampden wymknął nam się z rąk. Ale na pewno opuścił już wyspę, a nie bardzo wiem, jak mógłby nam zaszkodzić z kontynentu. To Oliver był - a raczej byłby - wśród nich żołnierzem.

- Jest jeszcze Monck.

Uśmiech Strafforda był odrobinę szyderczy.

- A, tak. Szacowny George Monck. Ciężki orzech do zgryzienia.

- A więc rozmawiałeś z nim?

- Przed dwoma dniami. Kazałem mu usiąść, pokazałem mu adekwatne partie historii i w niespełną pół godziny przemówiłem mu do rozsądku „Jakież to ma sens?“, zapytałem go. Zacznie jako rojalista, w połowie przejdzie na drugą stronę - a ostatecznie po śmierci Cromwella umieści na tronie księcia Walii. Czemu więc nie pozbyć się tego całego zamętu? Laud wyglądał na lekko zaniepokojonego.

- Ufam, że nie...

- Naturalnie, że nie! - Strafford roześmiał się. - Zabrałem mu książkę - zanim zdążył odwrócić stronę i zobaczyć, że Karol II nagrodziłby go księstwem. Ten człowiek jest już i tak wystarczająco ambitny!

przez chwilę Stratford krzywił się równie niemiłosiernie, jak wcześniej Land. Doskonale wiedział, że on sam nie ma szans na księstwo, ostatecznym rozrachunku król polegał na Stratfordzie... ale go nie lubił i nigdy go nie polubi.

„Książę Albemarle” - mruknął hrabia. - Otrzymał znaczne nadania ziemne, a na dokładkę mianowano go królewskim koniuszym. Zmarł w łóżku ze starości, bogaty jak Krezus. A ja położyłem głowę. Ty też wkrótce potem.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Zarówno hrabia, jak i biskup dokładnie przestudowali książki do historii sprowadzone do Anglii przez agenta Richelieu, a także kopie stron z innej książki, przywiezione przez królewskiego medyka. Był nim William Harvey, którego przywitano jak bohatera, gdy rok wcześniej odwiedził Amerykanów w ich stolicy.

Wyglądało na to, że on również stanie się w przyszłości sławny.

Gorycz w tym milczeniu była prawie namacalna. W tamtej historii król wydał lojalnego hrabiego w ręce nieprzyjaciół. A następnie, gdy to samo uczynił z arcybiskupem, obwieścił, że stracenie Lauda będzie widziane przez Boga jako akt pokuty za zdradzenie Strafforda.

Taką logikę... mógł pojąć tylko ktoś pokroju Karola I.

- Nie wolno nam żywić urazy - napomniał go biskup. - To graniczy z grzechem.

Stratford wzruszył ramionami i splótł dłonie za plecami.

- Tak... Masz oczywiście rację. Nie znaczy to jednak, że muszę go lubić. - Nawet dla niego samego nie było jasne, o kim mówił: o przyszłym księciu Albemarle czy obecnym królu Anglii.

Uznał, że lepiej będzie, jeśli porzuci te rozważania.

- Tak czy inaczej - dodał - nie widziałem żadnego powodu, dla którego George Monck, syn posiadacza ziemskiego z hrabstwa Devon, miałby zostać księciem w tym... Jak byś to określił, Williamie? Czasie? Świecie? Wszechświecie?

Laud wzruszył z zakłopotaniem ramionami.

~To Bóg jeden może tylko pojąć. Przynajmniej w pełni. Ja zwyczajnie myślę o tym... -

Wskazał ręką na wszystko wokół. - To znaczy o tym SVVlec'e, jako o prawdziwym. O tamtym zaś jako o wizji fałszu i zakłamania, zesłanej przez Boga.

Strafford zaśmiał się. - Wal! - mówić! To nie ty musisz spotykać się z Lady Mailey i próbować jej wytłumaczyć, że ich pobyt w Tower jest „wyrazem uprzejmości”.

Zapewniam cię, Williamie, że o ile ta Lady sama w sobie może być fajna, to jej umysł z całą pewnością nie jest.

- To nie jest żadna „Lady”! - uciął Laud. - To zwyczajny plebejus*. „Mały biskup, normalnie czerwony na twarzy, teraz wprost spłoszył, wielu ludzi urodzonych wśród pospólstwa - ojciec Lauda pracował kupiec bławatny - był wyczulony na kwestię „dobrego wychowania” bar. dziej nawet niż arystokracja.

Strafford już miał odparować, lecz się powstrzymał. Poruszyli jeden z nielicznych tematów - może nawet jedyny - o których nie mógł dyskusować z Williamem Laudem, choć byli przecież dobrymi przyjaciółmi. William Laud i biskup Laud byli jedną i tą samą osobą. A hrabia Strafford i Thomas Wentworth... niezupełnie.

Spojrzał w stronę Tower - choć nie mógł jej dostrzec, to jednak widział ją oczyma wyobraźni.

- Nie, Williamie, ona jest „Lady”. Jeżeli ta nazwa kryje w sobie cokolwiek więcej niż błahy tytuł. To ja się z nią spotkałem, nie ty. Ma w sobie taką wytworność, pewność i wiarę w siebie, że każda księżna mogłaby jej pozazdrościć.

Stanął mu przed oczami obraz królowej Henriety Marii, roztrzepanej Francuzki poślubionej przez angielskiego króla, który na swój sposób był chyba jeszcze bardziej roztrzepany.

„Albo równie dobrze królowa. O ile przecucie mnie nie myli, to samo można by rzec o młodszej siostrze władcy, która przyjechała wraz z nią”

- Jak oni to robią? - wymamrotał.

- Słucham?

Strafford potrząsnął głową.

- Nic takiego, Williamie. Mówiłem sam do siebie. Biskup zachichotał.

- To jest zły nawyk. Lepiej to ogranicz, zanim będzie za późno.

- Tak. - Wentworth (nie, hrabia Strafford) zacisnął splecione dłonie. Tak. Nasze zadanie jest jasne.

Odwrócił się od okna. Wcześniej jednak zdążył ujrzeć oczyma wT obrazni skulonego w kącie celi Olivera Cromwella. I zdążył też przypo' mnieć sobie coś jeszcze, co wyczytał w tamtych książkach. Linijkę 1»s który ten sam więzień wysłałby do swych przeciwników.

„Zaklinam was na miłość Jezusa Chrystusa - czyście pewni, że \$ błędzicie?”.

* * *

_ pomyliłeś się! - pisnęła Nan, klaszcząc w dłonie. - Zobaczcie, tatko ,it, pomyli*! Zagrał złą kartę!

„Uspokój się, dziecko - napomniała ją Elizabeth, żona Wentwortha. --fwój ojciec jest pochłonięty sprawami kraju, to dlatego się pomylił. -Yłoda, dziewiętnastoletnia kobieta, prawie jeszcze dziecko, uśmiechnęła jję nieśmiało do swego czterdziestjednoletniego małżonka. - Jest bar-ważną osobą, przecież wiesz.

Stratford odpowiedział jej uśmiechem. I to szczerym, a nie takim z grzeczności. Ucieszył się, widząc, że jego córka Nan tak dobrze przyjęła naganę. Uśmiechała się teraz czule do swej macochy. Elizabeth, tak jak się spodziewał, wspaniale radziła sobie z dziećmi.

Ta myśl na chwilę wróciła mu smutek. Owszem, bardzo lubił swą nową żonę. Wiedział jednak, że nigdy nie będzie w stanie zająć w jego sercu miejsca Arabelli. Jego poprzednia żona była... wyjątkowa.

Powróciło wspomnienie. Ten potworny dzień w Yorku, przed niespełna dwoma laty, kiedy to Arabella umarła. Udali się tam, by uciec przed zarazą, która rozszalała się w Anglii latem 1631 roku. Wciąż pamiętał -sądził, że nigdy nie zapomni - chwilę, w której to się stało.

Arabella, w ciąży z ich piątym dzieckiem, wstała, by go powitać, uśmiechnięta na widok męża wchodzącego do ogrodu. Strzepnęła owada z ubrania - stworzenie nagle rozpostarło skrzydła i pofrunęło prosto w jej twarz. Potknęła się, upadła, nie mógł do niej zdążyć...

Umarła wkrótce potem. Piąty października 1631 roku; data, której za-wsze całym sercem będzie nienawidził.

- Czemu tak nagle posmutniałeś, tatko? - zapytała Nan. - To wcale nie Wł taki straszny błąd. Przecież to tylko gra.

Odsunął melancholię w najdalszy kraniec umysłu i uśmiechnął się cie-Pto do swej rodziny, która zgromadziła się przy stole. Bardziej ze wzglę-du na Elizabeth niż na swą córkę. Nan była wówczas jeszcze zbyt mała, Ze°y pamiętać swą matkę - w chwili jej śmierci miała nie więcej niż czte-*y latka. Will nie był wiele starszy.

Jego młoda małżonka miała bolesną świadomość tego, że próbuje zamiejsce kobiety, którą Thomas Wentworth, teraz już hrabia Strafford, ^arzył głęboką i płomienną miłością. I niezależnie od tego, jak bardzo sPomnienie Arabelli czasami

przytłaczało Strafforda, za wszelką cenę C Cncial, by Elizabeth cierpiała z tego powodu. Dziewczyna nie miała danf^ Weso*o^c'1 błyskotliwości Arabelli. Była pod wszelkimi względ-
1 typową córką dziedzica, raczej pozbawioną wyrafinowania jego poprzedniej małżonki. Poślubił ją jednak wkrótce po śmierci Arabelli I wzgląd na swe dzieci, a ona okazała się najlepszą macochą, o jaką ^ prosić. Był jej winien przynajmniej dobroć i szacunek.

- Jest tak, jak mówi mama - wyjaśnił. - Jestem po prostu nieco ro^ jarzony...

problemami kraju. - Ostatnim dwóm słowom towarzyszyło n^ dbałe machnięcie ręką.

- Powinieneś zrobić to, co słuszne - oznajmiła stanowczo jego pięćciole,. nia córeczka. Nan zawsze obwieszczała wszystko z pewnością cesarzowej.. Wtedy nie będziesz smutny, nieważne, co się stanie. Zawsze mi to mówisz, Strafford zaśmiał się cicho.

-Aczy to nie przypadkiem nasz mały tyran? Pamiętam jeszcze, jak doprowadzałaś robotników do furii, maszerując wte i wewte po deskach, podczas gdy oni dobudowywali nowe skrzydło domu. „Zróbcie to, zróbcie tamto”. Miałas wtedy cztery latka.

Nan wyglądała tak dostojnie, jak tylko może wyglądać dziewczynka, która wkrótce będzie obchodzić szóste urodziny.

- Leniuchowali co jakiś czas - stwierdziła. - Zawsze powinno się ro-bić to, co słuszne.

* * *

Później tego samego wieczora, gdy dzieci poszły już spać, Elizabeth wstała od stołu i dość nieśmiało zapytała:

- Czy udajesz się na spoczynek, mężu? Strafford gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, najdroższa. Miałem taki zamiar, lecz... muszę dopilnować pew-nej sprawy.

Zaraz. Nie zmrzyłbym oka, gdybym tego nie zrobił.

Wstał i zawahał się.

- Nie czekaj na mnie. Wrócę dopiero za kilka godzin. Do Tower dale-ka droga.

* * *

- Wyczyścić dokładnie celę. Przynieść mu dobre poślanie. Solidne po-siłki. Trochę ruchu raz dziennie. Poza celą ma być skuty, ale gdy P w środku, ma mieć zdjęte kajdany.

Gwardzista, do którego skierowane były rozkazy, skinął głową. -Tak jest.

Strafford spojrział na niego kamiennym wzrokiem.

- Tylko żadnego leniuchowania. Macie go pilnować jeszcze lepiej11

dotąd. -Tak jest.

t Odejdźcie. Chcę porozmawiać z więźniem na osobności.

^ Tak jest. - Gwardzista skłonił się i wyszedł z celi. Strafford obrócił • w stronę ciemnego kształtu w rogu i podniósł świecę. W kręgu świa-tła pojawił się wydatny nos.

_ Zrobiłem, co mogłem, żeby przekonać Jego Królewską Mość, że na-leży cię- ~ powiedział bez ceregieli. - Odmawia jednak, z jemu tylko wiadomych powodów. Nie zamierzam już nalegać.

Rozległ się ochryply śmiech.

- Głód i choroba wystarczą, Thomasie. Czemu nie poczekasz, aż zima sama zrobi to, co trzeba?

Strafford zacisnął wargi.

- Jesteś niesprawiedliwy, OHverze.

Zapadła cisza. Nos zniknął z pola widzenia, jak gdyby ledwo widocz-na głowa pochyliła się na moment.

- Masz rację. Przepraszam.

- Zabiję człowieka, jeśli uznam to za konieczne. Ale zabiję go jak czło-wieka, a nie jak psa czy szczura.

Strafford odchrząknął.

- Próbowałem się dowiedzieć, co się stało z twoimi dziećmi, Oliverze. Ale wygląda na to, że zniknęły.

Nos znowu się pojawił.

- To mnie nie dziwi. Znasz ludzi z Bagien, Thomasie. Ktoś je przygar-
nał, ukrył. Żadni wałęsający się żołnierze ich nie znajdą.

Strafford kiwnął głową. Jego znajomość wielkich bagien Norfolk nie była tak gruntowna jak wiedza Cromwella, ale wystarczająco dobrze orientował się w realiach tamtejszego życia. Gdy pod koniec 1628 roku został lordem rządcą Północy, apodyktycznych posiadaczy ziemskich z północy Anglii zaszokowały działania nowo mianowanego Thomasa Wentwortha, który wystąpił w obronie interesów ubogiej ludności na tym obszarze. Zmusił potężnego i wpływowego Holendra Vermuydena - sprawozdanego z Niderlandów, żeby osuszył bagna łowiska Hatfield - do oddania Wielkich połaci ziemi, którą sobie przywłaszczył, a także do zapłacenia 2a szkody, jakie wyrządził biednym wieśniakom. Niezadowolony Vermuyden przeniósł się do Norfolk. Tam, wspierany przez Potężniejszą grupę udziałowców (i nie będąc już zmuszonym stać czoła ludziom z Bagien wziętym w obronę przez Wentwortha), miał jąta-
rękę. Ledwie garstka miejscowych dziedziców, prowadzona przez

Ivera Cromwella, próbowała stawiać mu opór.

Były lord-rządca Północy i były „Pan na Bagnach” wpatrywali się w Sje bie przez chwilę. Teraz jeden był najpotężniejszym człowiekiem w Anglii zaraz po królu, drugi zaś tkwił w więzieniu. Niegdyś byli w pewnym sensie sprzymierzeńcami.

- Co sądzisz o predestynacji? - zapytał nagle Strafford. - Tak naprawa Śmiech Cromwella był strasznie chropawy. W ciemności panując w celi Strafford nie był w stanie dobrze przyjrzeć się mężczyźnie, ale nie miał wątpliwości, że odczuwa on skutki kilku tygodni spędzonych w 10. chu. Postanowił w duchu, że każe gwardzistom przyprowadzić do niego medyka.

- Nigdy nie byłem wielkim teologiem, Thomasie. Zawsze jednak wy. dawało mi się, że klucz tkwi w naturze duszy człowieka, a nie w jego historii - przeszłej, teraźniejszej czy też przyszłej.

I dodał oschle:

- Nie wątpię, że twój arminiański przyjaciel, biskup Laud, miałby odmienne zdanie. Strafford milczał przez chwilę. W końcu wyszeptał:

- Wszystko się... niezwykle skomplikowało. Przez tych Amerykanów.

- A więc oni istnieją? Nie byłem pewien. Nie pasowałyby to do twych metod, jednak... myślałem, że to wszystko jest jedynie wybiegiem. Choć-
ciaż przyznaję, że powód, dla którego król kazał mnie uwięzić, pozostał dla mnie tajemnicą. - Ochrypli śmiech ponownie wypełnił celę. - Przecież tak wspaniale brzmiący tytuł „Pan na Bagnach” nic nie znaczył poza hrabstwem Norfolk.

Strafford otworzył szeroko oczy.

- Istnieją? - wykrztusił. - Na miłość boską, Oliverze, oni są tutaj. Całe amerykańskie poselstwo siedzi właśnie tutaj, w Wieży Świętego Tom-
sza. Ambasadorzy. Przewodzi im siostra ich władcy.

Gwałtownie potrząsnął głową. „Czemu rozmawiam o tym z więź-
niem?”

Wróciła rzeczywistość, spychając na bok wszelkie myśli o przeszłości i przyszłości.

- Pym nie żyje - oznajmił chłodno. - Hampden wyemigrował. Mon-
stał się lojalny wobec Korony. A ty jesteś w Tower. Więc to koniec.

Postać Cromwella poruszyła się, jakby wzruszył ramionami.

- Nie znam tych ludzi, Thomasie, chyba że z widzenia. A tego „Mo-
ka” to zupełnie nie. Pamiętam, że raz wymieniłem uprzejmości z Hafli-
denem. To było w trakcie ostatniego parlamentu.

fsjie było już nic do dodania. Strafford odwrócił się do wyjścia. Po-dtrzymał go niski głos Cromwella.

„ Gdy na Bagna dotarły wieści, Thomasie, wielce ubolewałem, że to .jyszę- Mówię o Arabelli. Nigdy jej nie poznałem, ale wiedziałem, że by-jeś do niej niezwykle przywiązany. Może pamiętasz, że mówiłeś mi o niej. Niegdyś byłeś człowiekiem, którego bardzo podziwiałem - a nawet gdy-byś nie był, żadnemu mężczyźnie nie życzyłbym tak źle. W tych słowach krył się przenikliwy żal wdowca. Strafford popatrzył -a ciemną postać przykucniętą w celi.

Jo również nas łączy".

Nie odpowiedział jednak ani słowem. Tylko odwrócił się i wyszedł. J cóż z tego? Namiestnik króla. Więzień Tower. Tak ma być".

1633

171

^{azbzml 14

Hrabia Strafford nie był jedynym człowiekiem na świecie, który roz-ważał zagadnienie predestynacji. Następnego dnia, na niebie nad środko-wymi Niemcami, Jesse Wood robił dokładnie to samo.

* * *

- Spróbuj jeszcze raz, Jim.

Jesse spojrział w prawo na swego pocącego się ucznia. Nie osiągnął jeszcze takiej swobody, żeby pozwolić chłopakowi usiąść na siedzeniu po lewej z jedyną przepustnicą. Na tym skrawku nieba na północ od mia-steczka, który wyznaczył jako strefę lotów treningowych, nie miało to wielkiego znaczenia, ale blisko ziemi młodzieniec był jeszcze bardzo niezdarny. Ustawił moc prawie na maksimum i odruchowo sprawdził wzrokiem lewą stronę, gdy Jim Horton rozpoczął kolejną nieudolną ósemkę. Jesse czuł, że pedały orczyka poruszają się nierówno pod jego stopami; wie-dział, że uczeń ma problemy już ze zrobieniem pierwszego prawidłowego zakrętu w tym prostym manewrze. Potem samolotem rzuciło i Jesse za-uważył zbyt duży skok w kącie przechylenia.

- Sprawdź jeszcze raz z chyłomierzem i zakrętomierzem, jeśli musisz - doradził. - Trzymaj stabilnie drążek i pozwól, aby samolot stopniowo zwiększał kąt przechylenia, aż osiągnie dziewięćdziesiąt stopni na górze
Niestety to, co ujrzał, sprawiło mu kolejny zawód. Gdy samolot zbliżył się do zamierzonej wysokości, poczuł, że uczeń odpuszcza drążek i ślizga się zakręcie, nie osiągając pionu. Instruktor milczał, gdy usilnie starał się, aby uczeń skończył wykonywać ósemkę i spojrzął na Jesse'ego, szukając u niego aprobaty.
„Teraz było lepiej, prawda, panie pułkowniku?” - zapytał z nadzieją w głosie.
„Odrobinę, Jim - przyznał Jesse, choć odnotował, że samolot został wyprowadzony o jakieś trzydzieści stopni poza miejsce, w którym powinien zakończyć manewr, stracił tysiąc stóp wysokości i w jakiś sposób przemieszczał się o dwadzieścia węzłów wolniej niż powinien. Nie miał wątpliwości, że cała reszta jego uczniów poradziła sobie lepiej już w trakcie drugiego lotu. Ci najlepsi - Hans, Woody i Alice - może nawet podczas pierwszego.
- Wracamy do domu, hm?
* * *

Jesse schronił się wśród swych zapisków, oceniając zakończony właśnie lot treningowy z Jimem. Siedzieli na dwóch rozdartych i połamanych fotelach, które uczniowie skądś wycyganili, a następnie umieścili na trawniku u stóp wieży kontrolnej; w ciepłe popołudnie można było z nich po-dziwiać całe lotnisko. Słuchał, jak Jim przedstawia swoją wersję tego, dlaczego drugie lądowanie i start bez zatrzymania poszły źle, co zmusiło instruktora do przejścia sterów, aby uniknąć katastrofy. Jesse doskonale wiedział, jaki błąd został popełniony. I co musi teraz zrobić.

„Gdyby tylko nie był tak gorliwy i oddany - pomyślał. - A, cholera, powiedz mu wreszcie. Nie trzymaj go w niepewności. Bądź rzeczowy”.

Zaniknął teczkę i wyprostował się w chwili, gdy wyjaśnienia kadeta dobiegły końca.

- Jim, odsuwam cię od lotniczej części szkolenia. - Widział, że chłopak jakby dostał obuchem w głowę, ale kontynuował. - Masz fenomenalną wiedzę teoretyczną o aeronautyce i ze wszystkich naszych uczniów to ty najlepiej przyswajasz wiadomości. Nikt z pozostałych nie może się z tobą równać pod względem wiedzy o budowie i wyposażeniu samolotu. Niestety moje doświadczenie zawodowe mówi mi, że nie zrobisz wystarczających postępów, żeby móc samodzielnie latać. Przykro mi.

Jesse ujrzał, że oczy Jima zaczynają wzbierać łzami; kadet z trudem zdołał wykrztusić:

*~ Proszę dać mi jeszcze jedną szansę, panie pułkowniku. Tylko jeden raz. Dobrze, panie pułkowniku? Jesse zebrał się w sobie.

- Nie, synu, przykro mi. Może w innych okolicznościach, kiedy ^ dziej... Nie zbywa nam jednak na czasie i mówię ci to wprost - nie do tego talentu. Jim zmrugał oczami.

- Tak, panie pułkowniku. Za pańskim pozwoleniem, zabiorę swoje rzeczy z kwatery i jeszcze dziś wrócę do miasta. - Zaczął podnosić się z fotela.

Jesse dotknął ramienia młodzieńca.

- Nie tak prędko, Jim. Usiądź. Przyszło mi do głowy coś innego. Chłopak z lekko drżącą szczęką opadł z powrotem na fotel.

- Rozejrzyj się, Jim, i powiedz mi, co widzisz.

- Lotnisko, panie pułkowniku. Jesse parsknął.

- Nie, widzisz kiepsko skoszone pastwisko, na którym zaczynają się robić koleiny.

Widzisz dupiastą „wieżę kontrolną”, która niczego nie kontroluje. Widzisz samolot, rękaw lotniskowy, stodołę pełniącą funkcję hangaru i linii produkcyjnej, a także prawdopodobnie najbardziej żalosalne na świecie budy, które mają uchodzić za kwatery w bazie wojsk lotniczych.

Skrzywił się.

- Krótko mówiąc, widzisz zbliżającą się katastrofę. A przynajmniej ja ją widzę.

Złowił spojrzenie Jima.

- Potrzebna nam jest dobra organizacja, Jim. A dokładniej: potrzebują jej nasze operacje naziemne. Sam nie dam rady, przecież mam wypełniony grafik lotów treningowych, a muszę jeszcze pomagać w projektowaniu samolotów. Gdybym chciał polegać na Kathy, musiałbym prosić Mike'a. żeby ją wcielił do służby, a... - Skrzywił się. - To nie wpłynęłoby zbyt dobrze na harmonię małżeńską, a o „szczęściu” można by już w ogóle zapomnieć.

Zerknął na przekształconą w hangar stodołę.

- A jeśli już o tym mowa, to znaczy o projektowaniu samolotów, to Ha' Smith potrzebuje stałego asystenta. Ma niemieckich pomocników i ntf' chaników z miasta, kiedy tylko znajdą czas, no i ma mnie. Ale to za małe. Praktycznie ze wszystkim jest do tyłu.

Jesse widział, że w oczach Jima pojawia się ciekawość. - Ale co to ma wspólnego ze mną, panie pułkowniku? Właśnie zreszła” gnowałem.

„Wszystko, Jim. Jeszcze w tamtych dawnych Stanach siły powietrzne liczyły ponad osiemdziesiąt tysięcy oficerów. Jak myślisz, ilu z nich stałnowili piloci? Powiem ci - mniej niż dwadzieścia pięć tysięcy. A ponad Ołowa z nich zawsze miała zlecenia niezwiązane z lataniem, ponieważ j0 wielu zadań w spierających potrzebny był ktoś z doświadczeniem w za-kresie pilotażu. Zarządzanie siłami powietrznymi wymaga czegoś więcej niż tylko grupy kretynów, których jedynym marzeniem jest „zapalić i od-palić”- Wymaga oddanego wsparcia. Chcę, żebyś zorganizował to wsparcie. A konkretnie - mam nadzieję, że pokierujesz tą pracą.

Jim słuchał uważnie, więc Jesse ciągnął dalej.

- Jim, te tutaj „kiły powietrzne” potrzebują oficera służby naziemnej. Nie potrzebujemy adiutanta ani oficera prasowego.

„Przynajmniej na razie, chociaż zaczyna przybywać tej cholerniej pa-pierkowej roboty”.

- Potrzebujemy za to kogoś, kto będzie w stanie wziąć tamtych ludzi przy płocie i zrobić z nich lotników. Kogoś, kto dopilnuje, żeby lotnisko było skoszone i gładkie, kto zadba o samoloty, kto zmieni tamten pieprzony rozpadający się skład paliwa i miejsce tankowania w coś, co nie wybuchnie, jeśli ktoś popełni błąd. Potrzebujemy kogoś, kto zorganizuje służbę meteorologiczną i nauczy kontroli ruchu lotniczego. No i w końcu po-trzebujemy kogoś samodzielnego, kto mógłby jeszcze raz zbudować to wszystko w innym miejscu.

Jesse przerwał.

- Masz dwadzieścia cztery lata, tak? Ukończyłeś jakiś college przed Ognistym Kręgiem? Studium wojskowe?

- W przyszłym miesiącu skończę dwadzieścia cztery lata. Tak, panie Pułkowniku. Dwa lata na Uniwersytecie Wirginii Zachodniej. - Jim wy-prostował się nieco na fotelu.

Jesse kiwnął głową.

~ Tak myślałem. Jesteś kilka lat starszy od pozostałych kadetów. Wiem, że jesteś bardziej dojrzały i cholernie bystry. Myślę, że dasz sobie radę z robotą dla mężczyzny. Chcesz spróbować?

•lirn zerwał się na równe nogi i stanął na baczność.

~ Tak jest!

Jesse z wysiłkiem dźwignął swój obolały tyłek z fotela. * W porządku. Od teraz jesteś więc oficerem służby naziemnej w pierw-iej eskadrze powietrznej. A także dowódcą bazy. A żeby ci kadeci słu-ali tego, co do nich mówisz, jesteś też kapitanem. Gratuluję, kapitanie Horton. Natychmiast zabierzecie swoje rzeczy z koszar i przeniesiecie J do pokoju gościnnego u Kathy i u mnie. Przynajmniej na jakiś czas pJe rozmawiamy później.

- Tak jest! - Jim uśmiechnął się i zasalutował.

* * *

Tego dnia predestynacja zaprzętała również uwagę Rebeki. W jej padku wiązała się ze złorzeczeniem.

* * *

- Nie chcą mnie słuchać - warknęła Rebeka, pojawiając się w drzwiach wejściowych domu, który wynajęli w Hadze. - Nie ma już sensu próbować. Czy radiostacja działa? Przeszła jak burza przez pokój, zmierzając w kierunku schodów prowadzących na piętro. Idący za nią Jeff ostrożnie zamknął drzwi, jakby obawiał się, że sam dźwięk mógłby doprowadzić Rebeke do jeszcze większej furii. Spojrzeli po sobie z Gretchen. Jego żona wzruszyła ramionami i podniosła się z kanapy.

Gretchen nigdy nie żywiła wielkich nadziei, że zadowoleni z siebie oligarchowie holenderscy posłuchają ostrzeżeń młodej kobiety, małżonki „prezydenta Stanów Zjednoczonych” - a zwłaszcza takiej, która na dodatek jest Żydówką i której ojciec wszedł w konflikt ze społecznością amsterdamskich Żydów. Minęły trzy dni od ich przyjazdu do Hagi, stolicy Zjednoczonych Prowincji, a zazwyczaj zrównoważona Rebeka była jak smok zionący ogniem. Przyjęcie, jakie ją spotkało ze strony holenderskich władz, sięgało od biurokratycznej obojętności, poprzez protekcyjność, aż po - i to dość często - ledwie skrywaną wrogość. Z drugiej strony Gretchen była zadowolona jak każda osoba, która może się pocieszyć tym, że złe wieści to dokładnie to, co przewidziała. „Tłuste mieszczychy. Świnie przy korycie - a ty chcesz ich ostrzec, że wkrótce skończą się pomyje. Oni nie chcą tego słuchać i już”. Idąc w stronę schodów, usłyszała głos Rebeki dobiegający z podestu powyżej.

- Głupcy! - To był prawie krzyk. Gretchen próbowała sobie przypisać, czy kiedykolwiek słyszała, żeby Rebeka krzyczała.

Nie była w stanie. Ani razu.

- Głupcy! - To już na pewno był krzyk. Kolejne słowa były już mnw głośnie, gdy Rebeka ponownie zaczęła tupać po schodach, lecz w jej głowie wciąż słychać było wściekłość.

Francuzi zawsze byli naszymi sojusznikami” - mruknęła. - „W ich terenie leży sprzeciwianie się Hiszpanom. Czemuż mieliby zmieniać swą wieloletnią politykę?”.

* Gdy Gretchen dotarła do półpiętra, ujrzała, że Rebeka rozmawia z Heinrichem. A dokładniej: wykorzystuje Heinricha w charakterze płyty rezonansowej dla swoich warknięć. 11 Słyszając kroki Gretchen, spojrzała za siebie.

jest dokładnie tak, jak przewidziałaś. Tłuste, głupie mieszczychy! Świnie przy korycie. Tyle że nawet świnie nie są tak głupie.

Właściwie to całkiem inteligentne zwierzęta - powiedział łagodnie Heinrich. - Prawdą jest jednak, że przy korycie świnia raczej nie jest w stanie myśleć o czymkolwiek innym poza pomyjami.

Rebeka zaczynała się powoli uspokajać. Na podstawie doświadczeń ostatnich kilku dni Gretchen wiedziała, że za parę chwil młoda Sefardyjka znów będzie normalną, spokojną kobietą. Rebeka nie była w stanie zbyt długo żywić urazy. W przeciwieństwie do Gretchen, która mogła ją żywić w nieskończoność. Pomogły kolejne słowa Heinricha.

-Tak się składa, że Jimmy'emu wreszcie udało się uruchomić radiostację. Nie więcej niż godzinę temu. - Uśmiechnął się słodko. - Jest wiadomość do ciebie od męża. On i dziecko mają się dobrze. Przesyła ci...

Rebeka jednak nie słuchała. Była już po drugiej stronie drzwi prowadzących do sali radiowej. Heinrich przeniósł uśmiech na Gretchen.

- Jaka niecierpliwa. To ta bzdurna „prawdziwa miłość”, o której gadają Amerykanie.

Gretchen odpowiedziała uśmiechem, który był jeszcze słodszy.

-Uważaj, Heinrich. Annalise czyta dwa amerykańskie romanse tygodniowo. Założę się, że teraz nawet jeden dziennie, skoro jest lato i nie ma szkoły. Myślę, że przebrnęła już przez połowę zbiorów w bibliotekach.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Gretchen nie mogła oprzeć się poku-Sle> żeby mu jeszcze bardziej dopiec. Przeszła ze „zgermanizowanego helskiego”, który stał się lingua franca w Stanach Zjednoczonych, na P^otoczny niemiecki z wyraźnym akcentem typowym dla Górnego Palaty-aatu> gdzie oboje dorastali.

~ Ajak skończy, to już nie będzie zmiłuj. Tuż przed naszym wyjazdem 2aPłaciła dwa dolary, żeby przyłączyć się do klubu miłośniczek ro-mansów.

Heinrich przewrócił oczyma.

- „Nie będzie zmiłuj” - mruknął. - Że też te nowomodne zwroty ,j jęcia zanieczyszczają nasz stary, dobry Oberpfalz. Gdzie się podziałaj cepcja, że czytanie zaczyna się od Biblii i na niej się kończy? Naw' cholerni protestanci nie twierdzili, że potrzeba czegoś więcej. A tera?^ Kluby miłośniczek romansów!

Gretchen uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Powinieneś zobaczyć, do czego należy mój mąż. Nazywają to \\ bem „miłośników fantastyki naukowej”.

Ona i Heinrich urodzili się i wychowali w pobliskich miastach w tej części Palatynatu Reńskiego, którą określano nazwą Oberpfalz, czyli Gón* Palatynat. Chociaż większość Amerykanów z Grantville uważała ich oboje za katolików, rzeczywistość była jednak znacznie bardziej skomplikowa. na. W roku 1555, na skutek tak zwanego „pokoju augsburskiego”; nie. mieccy księżęta ustanowili zasadę znaną jako citius regio, eius religio zgodnie z którą religia obowiązująca na danym obszarze uzależniona była od wiary księcia, który sprawował tam rządy. W niektórych rejonach Nie-miec (z których Palatynat był najbardziej jaskrawym przykładem) nastą-piły dekady ciągłych zmian oficjalnej przynależności religijnej. W trak-cie swego krótkiego życia Gretchen i Heinrich przebyli drogę od luteranizmu do kalwinizmu, a następnie do katolicyzmu; babka Gretchen. Weronika, miała już za sobą trzy takie zmiany, zanim oni w ogóle przyszli na świat.

Gdy się spotkali - on był wtedy najemnikiem, a ona dziewczką innego najemnika w armii Tilly'ego - w żadnym z nich nie zostało zbyt wiele z praktykowania wiary. W ich czasach, jeszcze przed pojawieniem się Amerykanów, którzy zaczęli wszystko wywracać do góry nogami, słowo „agnostycyzm” nie miało żadnego znaczenia. Teraz jednak odnosiło się do obydwójga - otwarcie w przypadku Gretchen, mniej otwarcie w przy padku Heinricha. W pewnych kwestiach wciąż jednak zachowywali swoje niemiecka zdanie. Żadne z nich przykładowo nie przejmowało się tymi ckliwy111 koncepcjami Amerykanów o „szkodliwym wpływie kar cielesnych ^ dzieci”. Jedyny wyjątek stanowiło zagadnienie „miłości romantycznej W tej kwestii Gretchen dała się całkowicie nawrócić. Nie przez ksi^ czy jakieś teorie, ale najnormalniej z powodu miłości, którą czuł do jej młody amerykański małżonek. Począwszy od ich nocy poślubnej. ^ skomplikowana namiętność Jeffa odsunęła na bok jej niemiecką P^ tyczność i trzeźwość myślenia.

JnaczeJ było w przypadku Heinricha. Zauroczenie młodszej siostry tchen jego osobą postrzegał dokładnie tak samo jak babka Annalise: ^jypota, niedorzeczność; Heinrich wciąż był za młody na ożenek, a co Jopiero szesnastolatka bez posagu.

Gretchen poklepała go po policzku i udała się do sali radiowej.

_ Biedny Heinrich - mruknęła. - Zupełnie jak owca prowadzona na rzeź-

w sali radiowej znalazła Rebekę siedzącą na krześle; trzymała w dłoni ilek papieru i czytała go przy świetle lampki oliwnej. Widząc, jak opuszcza ramiona, Gretchen natychmiast się zaniepokoiła. Lecz gdy Rebeka podniosła na nią uśmiechniętą twarz, zorientowała się, że był tt) wyraz ulgi.

- Wszystko w porządku - oznajmiła Rebeka. - Tylko strasznie za nimi tęsknię. Brakuje mi Michaela. A to, że nie mogę każdego dnia oglądać swej córeczki, jest jeszcze gorsze.

Gretchen podeszła i położyła dłoń na jej ramieniu, chcąc dodać Rebe-ce nieco otuchy.

- Seffie nic nie będzie. Ja wychowywałam Williego pośród żołnierzy i mały zniósł to całkiem dobrze. Dzieci są znacznie twardsze, niż ci się wydaje, jeżeli tylko nie zachorują. Gretchen wiedziała, że dla Rebeki sporym zaskoczeniem był fakt, że ona i Jeff bez obaw zostawili swoje dzieci w Grantville. Ale chyba nie dało się tego wytłumaczyć. Mimo że sama pochodziła z siedemnastego wieku, Rebeka dorastała raczej pod kloszem. Prawdę mówiąc, Gretchen też, dopóki nie skończyła szesnastu lat. Potem... żołnierze Tilly'ego przybyli do miasta, splądrowali jej dom, zamordowali ojca, a ją samą zgwałcili - Annalise, dzięki Bogu, wtedy była jeszcze za młoda - i to, co zostało z jej rodziny, zaciągnęli do swego obozu. Wciągu kolejnych dwóch lat Gretchen urodziła własne dziecko i została nieformalną matką wielu innych. Jej doświadczenie z wychowywaniem dzieci wyrobiło jej nie bardzo prosty pogląd na tę kwestię. Nakarm je; zaopiekuj się nimi; Przede wszystkim dbaj o to, żeby się nie rozchorowały. Wszystko

jak się zniósł. Nagle

na twarzy Rebeki pojawiło się lekkie poczucie winy i jeszcze raz zerknęła na skrawek papieru, który trzymała w dłoni. ~ Och, zapomniałam. Michael prosił, żebym przekazała tobie i Jeffo-! ze z Willim i Josephem też wszystko w porządku. Tak samo z twoją dąbką - Iz Annalise.

Gretchen kiwnęła głową.

- Jakież inne wieści?

- Raczej nie. Michael czuje, że coś „wisi w powietrzu”, jak to ujął. Jednak ani on, ani Gustaw Adolf nie są w stanie przewidzieć, co knu Richelieu. Chociaż pisze - wie o tym od Axela Oxenstierna - że Du Ruyter i jego ludzie są ostatnio bardzo wrodozy. Doszło do kilku mniejszych starć na Bałtyku.

Rebeka jeszcze nie skończyła mówić, a już powróciło napięcie. Gretchen odwróciła głowę i spojrzała przez okno. Tak się złożyło, że to okno wychodziło na północ. Dania leżała gdzieś tam za horyzontem i...

Rosnąca wrogość Duńczyków.

W ciągu dwóch lat, odkąd ona i jej rodzina zostali ocaleni przez Amerykanów, wyrobienie polityczne Gretchen i jej wiedza o świecie znacząco się poprawiły. Dlatego skojarzyła fakty niemal równie szybko jak Rebeka.

- O Boże - syknęła. - Jeśli Richelieu zdołał...

- Myślę, że zdołał - powiedziała stanowczo Rebeka. - To wszystko zaczyna mieć sens, Gretchen. Wszystko do siebie pasuje. Tylko że... zastanawiam się, dlaczego nie chciał, żebyśmy widzieli, jakiego rodzaju przygotowania trwają we francuskich portach?

- Każdy przecież wie, że Francuzi i Holendrzy szykują się do wojny z Hiszpanami - zaprotestowała Gretchen, nie dlatego, że uważała, iż Rebeka się myli, tylko dlatego, że bardzo chciała, żeby się myliła. - Czemu miałbyś chcieć to ukryć przed nami?

- Oczywiście wszyscy wiedzą o sojuszu z Holendrami - zgodziła się ponuro Rebeka. - Zadał sobie wiele trudu, żeby oni sami też wiedzieli. Ale musi być coś, co chciał przed nami ukryć. Coś poza tym, że rekwiruje kupieckie statki.

- Wszyscy je rekwirują, Becky.

- Owszem - przytaknęła Rebeka. W siedemnastym wieku w czasach wojny „floty” składały się głównie z uzbrojonych statków handlowych - Mobilizacja sił morskich polegała w dużej mierze na wcielaniu tych statków do służby wojskowej i dołączaniu ich do jednostek, które były specjalnie budowane jako okręty wojenne. - Tylko w jakim celu? - Uśmiechnęła się niewesoło. - Wszystkim nam się wydawało, że znamy odpowiedź na to pytanie, lecz teraz...

Gretchen zbliżyła się do okna i przycisnęła nos do szyby. Szkło (jak zazwyczaj bywało, oprócz najbogatszych domów) nie było tak przezroczyste

jak to, do którego przywykła w Grantville. Pomijając już pewne drob-

^jgdoskoności, te „płaskie” szyby niemal zawsze były nierówne i w ten ^osób trochę zniekształcały widok. Jednak nawet gdyby szkło było idealne a za oknem świeciło słońce, to i tak nie miałyby to żadnego znaczenia» °
Ponad dachami budynków nie widać było niczego innego poza holenderską równiną. A jeszcze dalej: Wyspy Fryzyjskie, Morze Północne i wreszcie Danię.

_ Jeśli Duńczycy potajemnie sprzymierzyli się z Francuzami - powiedziała cicho - co miałyby sporo sensu, z ich punktu widzenia, rzecz jasna...

Usłyszała, że Rebeka mruknęła na znak zgody. Chociaż zarówno Dania, jak i Szwecja były krajami luterskimi, od dziesięcioleci toczyły ze sobą wojny, 'ak jak zazwyczaj, podczas wojny trzydziestoletniej polityczne i dynastyczne zapędy przeważały nad przynależnością religijną. Do czasu olśniewających zwycięstw Gustawa Adolfa pod Breitenfeld i Alte Feste Francja była głównym sojusznikiem Szwedów. Do diabła z religią. Katolicka Francja zawsze o wiele bardziej przejmowała się zapędami katolickiej dynastii Habsburgów władającej Austrią i Hiszpanią niż jakimikolwiek herezjami.

Ponieważ Gustaw niespodziewanie urósł w siłę - głównie ze względu na sojusz z nowo przybyłymi Amerykanami - Francja przyjęła wobec niego wrogą postawę. Tak więc przymierze z Duńczykami było teraz całkiem logiczne. Wciąż jednak Hiszpania pozostawała tradycyjnym wrogiem Francji. Jeżeli historia tego świata będzie taka sama jak świata, z którego pochodzili Amerykanie, to zgodnie z „planem” Francja i Hiszpania powinny rozpocząć wojnę w 1635 roku.

Wojna trwałaby ćwierć wieku i nie przyniosłaby konkretnego rozstrzygnięcia, a pozostawiłaby oba kraje w ruinie. W 1640 roku Portugalczycy zbuntowaliby się, i to z powodzeniem, a Katalończycy bez powodzenia, obydwa powstania byłyby wywołane obciążeniami wojennymi i uciskiem Korony hiszpańskiej. Francja wyszłaby z tego w nieco lepszym stanie niż Hiszpania, ale niewiele. Zyskałaby kilka nieistotnych obszarów - Artois, Javelines, Roussillon i Cerdagne - a okupiliby to gigantyczną ilością i złotem.

Richelieu czytał te same książki historyczne - mruknęła Gretchen. - ' On nie jest głupcem. Odwróciła się do Rebeki i w jej energicznym kiwaniu głową dostrze-
* Potwierdzenie własnych myśli.

- Nie ma jakiegoś poważnego powodu, dla którego Francja i Hiszpania miałyby rozpoczynać wojnę - oznajmiła stanowczo Rebeka. - ty ^ tym... - Jej dłoń zatoczyła lekki łuk; tym gestem często posługiwano w odniesieniu do „tamtego drugiego świata, który mógł być lub który n^ był być gdzie indziej”. - W tamtym świecie ta wojna wybuchła z najg^ szych możliwych przyczyn. Małostkowe dynastyczne spory o kilka nie wielkich miasteczek i osad. I nikomu nie przyniosła ona korzyści.

- A więc wielkie przymierze - powiedziała Gretchen. - Francja, Dania i Hiszpania, a to z kolei będzie wymagało od Francuzów skończenia z wie. loletnim popieraniem Zjednoczonych Prowincji. Taka byłaby cena Hiszpanów. - Zawahała się. - Wciąż jednak nie rozumiem, co Francja na tym zyska, poza tym, że będzie mogła nas zaatakować.

Wzrok Rebeki zdawał się nieco zamglony, jak zwykle wtedy, gdy ^ nad czymś zastanawiała.

- Owszem. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale nie zapominajmy o tym, jak istotny jest Bałtyk dla każdego kraju z zakusami morskimi. Drewno, smoła, żelazo, miedź... Lista ciągnie się w nieskończoność, a wszystko to składa się na potęgę morską. Sam fakt, że Gustavus gotów jest odciąć całą Europę od tych zasobów - a przynajmniej udostępnić je tylko i wyłącznie na własnych zasadach - daje mu niebywałe dodatkowe wpływy. W rzeczy samej, przez kilka następnych lat polityka zagraniczna Holandii skupi się - a może raczej skupiłaby się - na tym, żeby ostrożnie szcuć Szwedów na Duńczyków, i w ten sposób nikt nigdy nie miałby takiej pozycji, jaką teraz ma Gustaw.

- Myślisz, że to wszystko tłumaczy? - zapytała z niedowierzaniem Gretchen. Rebeka parsknęła.

- Oczywiście, że nie. Jestem przekonana, że to stanowi... nazwijmy to „podtekst”, ale z całą pewnością nie jest to główny czynnik. Na pewno nie dla Francuzów. Zmarszczyła czoło, pogrążona w głębokim namyśle.

- W przypadku całej reszty wydaje się to dość jasne - wymamrotała zarówno do Gretchen, jak i do siebie samej. - Duńczycy otrzymaliby siły - której potrzebują, by zaatakować Szwedów i z powrotem objąć panowanie nad Bałtykiem. Hiszpanie dostaliby kolejną szansę, by odbić z buntu wane prowincje niderlandzkie - i to szansę większą niż kiedykolwiek skoro armia francuska nie zagrażałaby im od południowego zachodu.

- Wciąż musieliby jeszcze pokonać holenderską flotę, która jest najpotężniejsza na świecie - zauważyła Gretchen.

Rebeka skrzywiła się. Jeżeli Francuzi zdradzą, stanie się to możliwe. Zwłaszcza - kolejne informacje praktycznie wysyczała - jeśli ci głupi Holendrzy nie posłuchają tych ostrzeżeń.

Wstała gwałtownie i zaczęła chodzić w kółko.

Wiedziała, że coś jest nie w porządku. Trudno było jednak wyjaśnić to tym głupim tłumaczącym moimi wrażeniami wywołanymi zachowaniem Richelieu na prywatnej audiencji. Ale swój sposób ciężko ich winić za tę nieufność - powiedziała niechętnie Gretchen. Rebeka spojrzała na nią pytająco, a ona wzruszyła ramionami. - Jedyne stałym punktem w polityce zagranicznej Richelieu, jedynym celem, którego nigdy nie zaniechał, było odparcie, a następnie zniszczenie potęgi Habsburgów. Czemu teraz miałyby się to zmienić? Skoro nawet my nie widzimy, co mogłby zyskać na takiej zdradzie, czemu Holendrzy mieliby to widzieć? Obwieścił całemu światu, że zamierza ich bronić przed każdym nowym aktem hiszpańskiej agresji, a nie potrafimy wykazać, że kłamał. Gdybym była Holenderką, też bym temu nie dała wiary. Zwłaszcza bez niezbitych dowodów.

- A zatem - Rebeka uniosła trzymaną w rękę wiadomość radiową - może dzięki temu...

- Nie wygłupiaj się, Rebeko. Tam są tylko wrażenia szwedzkiego kancлера na temat Duńczyków. Przecież to jasne, że Oxenstierna będzie podejrzewał króla Chrystiana o wszelkie ciemne knowania przeciw Szwedom i Bałtykowi! Holendrzy powiedzą, że to zwyczajne szwedzko-duńskie przepychanki.

Dłoń Rebeki opadła.

- Racja - westchnęła. - Szlag by trafił tych zadufanych Holendrów.

- Duńczycy, Hiszpanie i Francuzi - wymamrotała Gretchen pod nosem, a następnie spojrzała na Rebeke i uniosła brew. - Wszyscy poza Anglikami - zauważyła. - Jak myślisz, gdzie jest ich miejsce w tym wszystkim?

Rebeka wzruszyła ramionami.

~ W tej chwili nie mam najmniejszego pojęcia - przyznała. - Bałtyckie zasoby obchodzą ich znacznie bardziej niż Francuzów, więc nie sądzę, że by chcieli poprzeć kogoś, kto mógłby zdominować cały ten obszar. To powinno oznaczać, że będą równie przeciwni oddaniu panowania nad

w ręce Duńczyków, jak i pozostawieniu go Gustawowi, może

Pozostaną neutralni. Wieść głosi, że Karol ma wystarczająco wiele problemów u siebie, żeby wplątywać się w kolejne sprawy poza granicami. Najistotniejsi są jednak Francuzi. Francuzi... i Hiszpanie.

Pokręciła zdecydowanie głową i podeszła do stołu, na którym Jj ustawił radiostację. Z okna na drugim piętrze wystawał sześciokątny przedmiot ze zwojem w środku, zatknięty na końcu pręta. Nawet Rebeki, która nie była zbyt obeznana z radiostacjami, ta antena wyglądała groteskowo. W przekroju też była spora - prawie metr w najszerszym miejscu.

To Gayle Mason i pozostała dwójka radioamatorów klasy extra : Grant, ville zbudowali ten sprzęt, a także identyczny - zabrany przez misję ^ Londynu. Zdecydowali się nań dlatego, że bez problemu można go było zapakować do kufra i niepotrzebna była długa antena.

Jimmy majstrował coś przy radiostacji, która odbierała tylko szumy i trzaski. Po jego lewej siedział na krześle jeden z niemieckich żołnierzy; i ze stoickim spokojem pedałowal na małym ustrojstwie, które przysrubowali do podłogi. Dostarczało ono prądu do radia i również było projektem Gayle i jej ekipy. Jimmy powiedział Gretchen, że wzorowali się na urządzeniu skonstruowanym na początku dwudziestego wieku przez ludzi w australijskim buszu. Przez chwilę Gretchen zamierzała wybuchnąć śmiechem. W jej położeniu było coś niezwykle śmiesznego. Oto dziewczyna urodzona w siedemnastym wieku w środkowych Niemczech jest w domu w Holandii i zadaje się z Amerykanami pochodzącymi z odległej przyszłości, którzy z kolei korzystają z urządzenia wymyślonego w kraju, który jeszcze nie istnieje, na kontynencie dopiero co odkrytym przez Europejczyków.

Zobaczyła, że uśmiechnięta Rebeka rzuca na nią okiem.

- Owszem - mruknęła młoda Sefardyjka. - To wszystko jest nieco.. pogmatwane. Odwróciła się do Jimmy'ego i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Z Anglią wciąż bez zmian?

Jego długa, wymamrotana pod nosem odpowiedź była dla Gretche" prawie niezrozumiała. Nie dlatego, że mówił zbyt cicho, ale zwyczaj-dlatego, że same słowa były bez znaczenia. Przynajmniej dla wszystkie którzy nie znali technicznego żargonu.

- Jest dużo zakłóceń, ale pasma są czyste, bo tylko my jesteśmy11 antenie. Nie ma żadnych QRM, a QRN też znośnie - pewnie są j^ burze z piorunami - a wcześniej bez problemu robiliśmy QSO z SK-1-

Rebeka wywróciła oczami. Jimmy kontynuował:

Jeśli jednak oni w Londynie mają problem z wystawieniem anteny zeWnątrz - może muszą ukrywać ją w pokoju - to jest przerabana sprawa-113 raczej nie opłaca się zbliżyć do anteny przy takich napięciach, więc... Timrny! - krzyknęła Rebeka. - Czy byłbyś łaskaw przetłumaczyć to na angielski? Młodzieniec aż podskoczył na krześle.

_A. przepraszam. Chodzi mi o to, że... - Zmarszczki na jego czole dobrze oddawały wysiłek wkładany w porzucenie ukochanych skrótów-, „,QRM" to zakłócenia spowodowane przez inne radiostacje. W tych czasach to nie jest problem. Na pewno przez jakiś czas. „,QRN" oznacza szumy związane z... no... o Boże, no wiecie, zła pogoda, takie sprawy. QSO" to jest po prostu rozmowa.

- Prawdziwa oszczędność: zamiast trzech sylab trzy inne sylaby - zachichotała Rebeka. - Czasami myślę, że Amerykanie cierpią na przedziwną odmianę demencji, która objawia się obsesyjnym używaniem skrótowców.

Jimmy spoglądał na nią, zagubiony. Rebeka uśmiechnęła się mile. -Nieważne. A co znaczy „,SK-1"?

-A, to. To jest sygnał wywoławczy stacji. Trzeba go mieć.

- Po co? - wymamrotała Gretchen. Ale może i dobrze, że Jimmy jej nie usłyszał.

-, „,SK-1" to Magdeburg. Chester obczaja sked. Eee... to znaczy, że sprawdza częstotliwość o umówionych porach. Czyli w jego przypadku są to z grubsza pierwsze cztery godziny po zmroku.

-, „,SK-1". - Uśmiechnięta Rebeka wymawiała z namaszczaniem ko-'ejne zgłoski. - Cztery sylaby zamiast trzech. Przyznaję, że ta logika nie-co mnie przerasta.

Jimmy zmarszczył brwi.

~ Rebeka, nie może nie być sygnałów wywoławczych! Po prostu... po Pr°stu... muszą być i już. Grantville to „,W-1". Ludzie też je mają. Ja je-ste*n „,N00XF"...

~ Zamiast dwusylabowego „,Jimmy" - mruknęła Rebeka.

-•••a Gayle jest „,KC6EU"...

~~ zamiast jednosylabowego „Gayle”.

- W ogóle nie wiesz, o co w tym chodzi! - krzyknął niemal z płaczem. ^ ^ie przejmuj się, Jimmy - uspokoiła go i poklepała po ramieniu. -

°ałą Pewnością się myślę i zachowuję się nieznośnie. Niech będzie

OXF”. Jo zresztą całkiem ładne imię. Myślę, że do ciebie pasuje. Jimmy wyglądał na nieco udobruchanego.

- Mam je, odkąd... Nagle radiostacja zaczęła hałasować. Poprzez szумы przedarła się seria pisków i świstów. Tak przynajmniej brzmiało to dla Gretchen. Jimmy niemal podskoczył na krześle.

-To ona! To ona! To Gayle! - Chwycił ołówek i zaczął bazgrać, thj macząc dźwięki na bieżąco.

- „CQ CQ DE KC6EY CQ CQ”. Jezu, po co ona woła CQ? To znaczy „wywołanie dla wszystkich stacji”. - Sprawiał wrażenie niezadowolone, go. - A kto inny miałby tu być jak nie ja? Przecież nie da rady połączyć się z SK-1 ani W-1, nie z tym sprzętem.

Zaczął stukać w klucz, mamrocząc słowa, które przesyłał.

- „...KC6EY HC6EY KC6EY DE N0OXF” - tak powinna to zrobić, tyle że w odwrotnej kolejności; „odczyt 559” - to znaczy... Nieważne, to zbyt skomplikowane. Ale jest spoko, zwłaszcza ton.

Po chwili piski i świsty wróciły i trwały. I trwały. Jimmy bazgrał teraz jak szalony.

- Przez chwilę nie będę w stanie tłumaczyć, czuję, że to będzie długa wiadomość...

Rebeka powoli usiadła na krześle obok. Usadowiła się na samym brzeżgu, dłonie trzymała splecione na podołku. Gretchen, zbyt spięta, by usiąść, wróciła do okna i znów przycisnęła nos do szyby. W pobliskich domach widziała zapalone światła. Holandia była zamożnym krajem - prawdopodobnie najzamożniejszym w Europie - i nawet zwykłych mieszczan stać było na najlepsze lampy i świece.

...PISK PISK PIIIIISK ŚWIST PISK PIIIIISK...

W jakiś sposób te dziwne dźwięki były niepokojące. Gretchen nagle zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze zadufani Holendrzy będą się cieszyć dobrym oświetleniem we własnych domach.

„Niedługo, chyba że się mylę. Czuję, że - jakby to ujął mój mąż' wkrótce rozpęta się piekło”.

...PIIIISK ŚWIST PISK PISK ŚWIST...

- Czuję, że rozpęta się piekło - mruknął Jimmy. Pchnął pierwszą ukończoną stronę przez stół do Rebeki. Podniosła ją i zaczęła czytać.

- W Anglii też nie wygląda to dobrze. - ŚWIST PIIIIISK ŚWIST P\$ PISK PISK. - Nie mogę uwierzyć, że te dranie trzymają ich pod kluczek

Gretchen odwróciła się od okna i spojrzała na Rebeke. W miarę jak \$ wzrok przesunął się w dół strony, jej piękna twarz coraz bardziej zast) gała. Z każdym kolejnym zdaniem jej usta zdawały się coraz węższe-

Kątem oka Gretchen złowiła jakiś ruch w drzwiach. Jeff stał tam i pagnania-

Zle? - zapytał.

wzruszyła ramionami.

„ Jeszcze nie wiem, ale... chyba tak.

Kiwnął głową, nie wydając się bardzo przejęty. \o to trudno. Przynajmniej nasze dzieci będą bezpieczne.

przez chwilę mąż i żona przesyłali sobie spojrzenia pełne miłości. Na-depnie spojrzeli na Rebeke. Jimmy wręczył jej drugą stronę. Zaczęła się w nią wczytywać, a tymczasem on zapisywał kolejną.

- Owszem, źle - powiedziała. - Rita, Melissa i cała reszta są praktycz-ne uwięzieni. Dowodzi Wentworth - a właściwie Strafford, co już jest samo w sobie znaczące. Z tego, co zauważyli, angielska flota się prze-mieszcza. Jakaś zagraniczna wyprawa. Nie wiedzą zbyt wiele. Spojrzały po sobie z Gretchen; dwie pary brązowych oczu wypełnio-nych tym samym gorzkim przypuszczeniem.

Jimmy skończył pisać i pchnął trzecią stronę. Następnie wystukał parę krótkich zwrotów (które według Gretchen były jakąś pożegnalną formułką) i obrócił się na krzesło.

-Chcecie coś wysłać do SK-1?

Rebeka westchnęła.

-Jak najbardziej. Ale rozprostuj kości, Jimmy. Weź sobie szklanę wody, co tam chcesz. To będzie długa wiadomość. I taka rzeczywiście była. Zaczęła się jednak raptem od trzech sylab. Znów wojna.

1633

187

Bforzhzutł 15

Jesse cierpliwie czekał, aż Hans zorientuje się w sytuacji i zareaguje.

„No dalej, Hans, patrz, co się dzieje”-pomyślał, obserwując, jak siedzący po lewej kandydat na pilota wyrównuje lot i ustawia samolot z wiatrem

Jesse zawsze był łagodny - nie chciał brać przykładu z jednego z in-struktorów lotu dawno temu w Purdue. Tamten jegomość był prawdzi-wym „wrzaskunem”, wydawał się czerpać radość z doprowadzania i tak już zdenerwowanego kadeta do rozpacz, a tym samym do kolejnych błę-dów. Jesse uważał, że to głupia metoda. Preferował spokojniejsze podej-ście, dawał kadetom mnóstwo czasu, żeby sami mogli wyłapać własne błędy. Ale teraz już dosyć się naoglądał. Hans był tak ewidentnie zado-wolony ze swoich poprzednich wyników podczas tego - piątego już -lotu treningowego, że nie zauważył błędu, który potencjalnie mógł byt fatalny w skutkach.

- Hans! Prędkość! - powiedział ostro.

Hans momentalnie spojrzął na wskaźnik prędkości lotu, który wskazywał spadek poniżej pięćdziesięciu węzłów. Przepustnica była cofnięta \$ zakres „małego gazu”, gdzie ustawił ją przy długim schodzeniu na wys^o kość kręgu nadlotniskowego.

Gwałtownie wciągnął powietrze i zwiększył obroty silnika. Jedno-szybko nabrał prędkości i Jesse z satysfakcją zauważył, że mimo zask0-czenia Hans nie przyspiesza gwałtownie silnika i nie przestaje kontr-wać wysokości.

ijdało mn natomiast zdecydowanie przegapić punkt końcowego za-yctu- Jesse popukał młodego Niemca po ramieniu. N - Synu, wydaje mi się, że lotnisko jest w tamtą stronę - powiedział, wsk3zując za siebie kciukiem, podczas gdy jego uczeń szukał dużego drze-wa (znajdującego się już daleko w tyle), które wyznaczało tradycyjne ^ejsce do przyziemienia.

- burknął Hans i przechylił samolot na lewo, zmniejszając obro-

które raptem kilka sekund wcześniej zwiększył. Szybko obniżając i0t zerknął na lądowisko i wyprowadził samolot na prostą - niestety ze zbyt dużym przechyłem i nie udało mu się nadrobić dodatkowej odle-głości od lądowiska. W rezultacie samolot znalazł się niżej niż powi-nien, tym samym zmuszając Hansa do bardziej płaskiego podejścia i moc-no ograniczając i tak niewielkie pole widzenia przy podejściu do lądowania.

Jesse wiedział, co się szykuje i cierpliwie czekał, aż jego uczeń popeł-ni jeden z dwóch typowych błędów żółtodzioba. Kiwnął głową, gdy Han-sowi udało się uniknąć pierwszego, nie obniżając lotu ze zwykłą prędko-ścią, co spotęgowałoby tylko błąd.

- Bardzo dobrze, Hans. Wyrównaj i trzymaj się ścieżki schodzenia. Utrzymaj punkt przyziemienia powyżej jednej trzeciej wysokości owiew-ki, tak jak zawsze. Dodaj nieco mocy.

Młodzieniec wykonywał instrukcje; zmieniając na chwilę uchwyt, wy-tarł spoconą prawą dłoń o kurtkę. Dobre samopoczucie, które towarzy-szyło mu jeszcze dwie minuty temu, najwyraźniej już zniknęło i ze zde-nerwowania popełnił drugi z błędów, których spodziewał się Jesse. Podchodząc do lądowania pod niecodziennym kątem, przy mocy wyższej n'ż zazwyczaj, Hans nie zdołał utrzymać się poprawnej ścieżki schodze-nia. Nagle znalazł się zbyt wysoko, przelatując nad wierzchołkami drzew ■"osnących na skraju pasa.

~ Gott! - krzyknął, pociągnął przepustnicę na zakres „małego gazu" i Zanurkował w stronę trawiastego lądowiska.

Tylko spokojnie - powiedział Jesse. - Pozwól mu opaść. Dodaj tro-z\ mocy. - Nie po raz pierwszy żałował, że nie zamontował podwójnej ntroli przepustnicy. Mógłby normalnie sięgnąć na drugą stronę wąskiej lny> teraz jednak przepychanie się obok ucznia nie było najlepszym ^ysłem.

dwad

ttans za wcześnie podniósł dziób i chciał na ślepo przyziemić. Jakieś

z,ęcia stóp nad ziemią samolot zwolnił.

- Za wysoko! Obniż. Dodaj gazu! - Jesse zdecydowanie pchnął dł Hansa zaciśniętą na drążku.

Czując dotyk ręki instruktora, Hans wykonał polecenie: dodał m0c i wyrównał lot na wysokości dziesięciu stóp.

- Przejmuję stery - powiedział Jesse i chwycił za drążek. - Ustaw moc startową.

Chłopak ustawił drżącą ręką przepustnicę i z posepną miną zapadł w fotel.

- Nie za dobrze. - Spojrzął z grymasem na swego mentora.

- Owszem, niezbyt dobrze - przytaknął Jesse. - Odsapnij, Hans, i pQ. zwól, że przez chwilę ja będę pilotował. Powiedz mi, co źle zrobiłeś.

Jesse przypatrywał się swemu uczniowi, podczas gdy ten metodycznie wyliczał własne błędy. Cieszył się, że Hans dokładnie wie, gdzie się po-mylił, i umie wyjaśnić, co powinien był zrobić w każdej z tych sytuacji. Gdy skończył, był już spokojny i gotów do kolejnej próby.

- Okej, przejmujesz stery. Lądujesz z pełnym zatrzymaniem. - Jesse posłał mu uśmiech.
- Pogadamy o tym więcej, jak będziemy na ziemi. Tym razem postaraj się nie spierdzielić.
Uczeń odwzajemnił uśmiech.

- Przyjąłem, nie spierdzielić.

* * *

Gdy już wylądowali i zabezpieczyli samolot, ruszyli w stronę wieży kontrolnej. Wybudowano ją pośpiesznie tuż po tym, jak Mike Stearns prze-forsował zgodę na produkcję nowych samolotów po pierwszym udanym locie Jesse'ego. Nie było wielkiego sprzeciwu, ponieważ ludzie wspiera-jący dwa alternatywne projekty dostali zapewnienie, że otrzymają część wyasygnowanych funduszy.

Jesse uśmiechnął się, jak zawsze, gdy spoglądał na tę wieżę.

- To chyba jedyna drewniana wieża kontrolna w historii świata - powiedział ze śmiechem. - A ci weterani tak się kiedyś szczycili swoimi barakami

- Jakimi barkami?

-Barakami, Hans. Cierpliwości. Za kilka lat - no wiesz, postęp' pewnie będziesz je oglądał wszędzie dookoła. Może nawet szybciej, j^1 Jeny Wright i jego wspólnicy spełnią swe obietnice dotyczące blachy-

Jesse już zaczął mu objaśniać zamysł, lecz przerwał, gdy ujrzał, że uwag* Hansa przykuło zupełnie co innego.

Sharon Nichols wyłoniła się z drzwi na piętrze wieży kontrolnej i zmie rzała w ich stronę. Za nią szedł Mike Stearns.

jsjje wiedziałem, że ona tu jest - wybuchnął Hans. Jesse'ego rozba-yl wyraz jego twarzy.

Najwyraźniej Hans był równocześnie zachwycony . ^goryczony tym, że Sharon obserwowała jego lot treningowy. Zachwy-')ny, ponieważ ona tam była; rozgoryczony, ponieważ sam lot nie ukazał go w najlepszym świetle.

\W miarę jak się zbliżała i jej twarz stawała się wyraźniejsza, zadowo-lenie Hansa odpływało. Dziewczyna zdawała się zarówno rozzłoszczona, jak i zaniepokojona.

- Myślałem, że nie było aż tak źle - mruknął.

jesse natomiast obserwował zbliżającego się Mike'a i nagle dotarło do niego, że wyraz twarzy Sharon nie ma nic wspólnego z lotem.

- Robi się niezły gnój, Hans. O ile się nie mylę.

* * *

pierwsze słowa Mike'a brzmiały:

- Na kiedy możecie mieć samoloty bojowe? I kiedy będziecie mieć go-towych pilotów? Tymczasem Sharon uczepiła się Hansa, oczy jej zwilgotniały i zaczęła szeptać mu do ucha. „Nie chcę, żebyś to robił” - usłyszał Jesse. Wziął głęboki oddech.

- Cztery do sześciu miesięcy na samoloty. To na same próbne loty. Póź-niej pewnie zejdzie jeszcze trochę czasu, żeby wyeliminować błędy i wszystko dopiąć na ostatni guzik. - Zerknął na obejmującą się parę mło-dych ludzi, następnie odwrócił wzrok, wziął Mike'a za łokieć i odszedł z nim na kilka kroków.

- Piloci będą już wtedy gotowi. Hans wcześniej od reszty.

Mike kiwnął głową, rzucił okiem na Hansa i Sharon, i tak samo jak Jesse, również odwrócił wzrok.

-Jaki był wskaźnik umieralności pilotów w czasie pierwszej wojny światowej? - zapytał cicho.

Jesse wzruszył ramionami.

"" Dokładnie nie wiem. Wysoki. Naprawdę wysoki, Mike. Widziałem raz cmentarz w bazie lotniczej Taliaferro, gdzie instruktorzy Królewskiego Kor-Pusu Lotniczego16 szkolili amerykańskich pilotów od 1917 do 1918 roku. Podczas tych kilku miesięcy, kiedy Brytyjczycy i Kanadyjczycy stacjonowali !* ^ort Worth, w lotach treningowych zginęło

jakichś czterdziestu oficerów ^kadetów. Jedenastu z nich tam pochowano. A to było, zanim jeszcze ruszyli do boju. Wiem, że w najgorszych okresach średnią długość życia brytyjskie-Pdota, który dopiero co przybył do strefy walki, mierzyło się w dniach.

Mike zasępił się. Jesse próbował znaleźć słowa otuchy.

- Słuchaj, z nami nie powinno być tak źle. Przecież my nie będziemy wysyłać nowicjuszy przeciwko ludziom pokroju Barona von Richthofenai: A poza tym w czasie pierwszej wojny światowej strasznie spieszo ze szkoleniem. My możemy...

Urwał.

- To znaczy mam nadzieję, że możemy. Ile dokładnie czasu jeszcze mamy, Mike? I co tak naprawdę się dzieje?

Mike przejechał dłonią po włosach.

- Na to drugie pytanie nie mogę ci dać dokładnej odpowiedzi, Jesse. Prawda jest taka, że wciąż mało wiemy. W nocy dostałem jednak wiadomość od Becky - pierwszą, która do nas doszła - i ona jest całkowicie pewna, że wojna znowu wybuchnie pełną parą.

Zamilkł i jego spojrzenie jeszcze raz padło na Hansa i Sharon. Jesse podążył za jego wzrokiem. Młodzi ludzie całowali się. Mimo powagi tej chwili Jesse o mało się nie roześmiał. Sharon ewidentnie dała się ponieść namiętności. Hans, rzecz jasna, też. Ale po wyrazie jego twarzy Jesse wnioskował, że chłopak był głównie zdumiony (i zachwycony) dzikością tego pocałunku.

Jesse nie był pewien, ale podejrzewał, że do tej pory związek Hansa i Sharon daleki był - przynajmniej z technicznego punktu widzenia - od tego, co zwykle się określać „pójściem na całość”. Pomimo wszystkich potworności, których doświadczył podczas dwuletniej służby jako najemnik, Hans był porządnym niemieckim młodzieńcem. Jesse ani trochę by się nie zdziwił, gdyby się okazało, że wciąż jeszcze jest prawiczkim Ówczesnym Niemcem daleko było w kwestiach seksu do pruderii. Współżycie uznawano jednak za niewłaściwie, dopóki para nie była oficjalnie zaręczona. Potem już zazwyczaj nie czekano na ślub. Przynajmniej jedna trzecia niemieckich dziewcząt, które po Ognistym Kręgu stanęły prz^ ołtarzem, była w widocznej ciąży. Jeśli tylko były zaręczone, rodzinom najwyraźniej to nie przeszkadzało. W świetle tradycyjnego niemieckiego prawa zaręczyny traktowano jako wiążące - ich zerwanie odbywało się jedynie za orzeczeniem sądu, a unieważnienie zaręczyn wymagało takie go samego uzasadnienia jak rozwód.

Jesse wiedział, że cała ta kwestia jest jedną z wielu, które nowo uW0' rzonym sądom przysparzały rozlicznych trosk - w tej materii tradycje amerykańskie przedstawiały się zupełnie inaczej. Niezależnie jednak od os*3 tecznej decyzji sądu, zwyczajnie pozostawały; Jesse zauważył nawet, \$

„Oraz więcej Amerykanów zaczyna traktować „zaręczyny” jako coś po-tniej szeS° niż zwykły zakup pierścionka z brylantem.

Założę się, że dziś w nocy będzie się działo. Zaręczyny czy nie - Sharonie przyjmie odpowiedzi odmownej”.

Ta myśl go rozweseliła. I to niesamowicie. Mike'a również, jak można było się domyślać po nieznacznym uśmiechu na jego twarzy, gdy spoglądał na tę parę.

- Pieprzyć to - mruknął Mike. - Jamesowi przyda się dla odmiany jakieś inne zmartwienie.

Odwrócił się z powrotem do Jesse'ego. Kiedy się odezwał, jego głos był stanowczy i ostry.

- Na pierwsze pytanie mogę jednak odpowiedzieć. Masz tyle czasu, ile uważasz, że zajmie ci odpowiednie wyszkolenie pilota. - Jesse rzucił okiem na szerokie ramiona prezydenta i przypomniał sobie, że za młodu Mike Stearns był piekielnie dobrym bokserem. - Prędej mnie szlag trafi, niż wyślę na wojnę niewykszkolone dzieci w takich głuchotach.

Trenuj ich, Jesse. Trenuj ich, aż będą gotowi.

* * *

Gdy James Nichols wrócił wieczorem ze szpitala, zastał swą córkę i Hansa Richtera siedzących na kanapie w salonie. Jedno przy drugim, trzymając się za ręce. Ewidentnie czekali na niego. Twarz Hansa była blada z przerażenia. Na twarzy Sharon zaś malował się tylko upór.

Nie zrobił nawet dwóch kroków, gdy córka przemówiła.

- Hans i ja zaręczyliśmy się dziś po południu. - Uniosła dłoń, wciąż splecioną z dłonią Hansa, żeby pokazać mu pierścionek.

- Należał do mojej matki - powiedział Hans trzęsącym się ze zdenerwowania głosem. - Udało mi się go zachować przez te wszystkie lata, odkąd... odkąd zabrali ją żołnierze, gdy byłem dzieckiem. Ukrywałem go.

C2*hto

Przez chwilę Nichols stał jak sparalizowany. Znał historię rodziny Richter- Patrząc na tę bladą, ściągniętą dwudziestojednoletnią twarz, nagle przypomniawszy sobie, że na tym świecie są gorsze rzeczy - znacznie gorsze - niż różnice wieku, wykształcenia czy rasy. ^Hans zostaje na noc, tato - kontynuowała Sharon. - Ze mną. - Ton J 8*0su graniczył z wojowniczością. - Tylko mi nie praw kazań. W Niem-

Tak

sten

normalne po zaręczynach. Mają nawet na to nazwę.

S1S składało, że Nichols znał ten termin. Niemcy mówili na to Fen-
In& dosłownie od okna, przez które chłopak wchodził za wiedzą

i przyzwoleniem rodziców dziewczyny. Melissa kiedyś wytłumaczyła^ ten zwyczaj.

„To jest bardzo logiczne, James. Wiesz przecież, że oni zazwyczaj ^ pobierają się przed dwudziestym piątym rokiem życia, bo tyle czasu p0 trzeba, żeby zgromadzić kapitał na założenie rodziny. No więc dużo \c?e śniej się zaręczają, a potem... kto by się tam...”.

Pamiętał szelmowski uśmiech, jaki mu wtedy posłała, i poczuł nagłą tęsknotę za jej obecnością. Tęsknotę nawet głębszą niż zazwyczaj. Melis, sa wiedziałyby, jak sobie poradzić w tej sytuacji.

„...to lepsze niż jawne cudzołóstwo, prawda?”.

Świadomość tego, co musiało pchnąć jego córkę do tego aktu niepo-słuszeństwa, zwała się na niego jeszcze gwałtowniej.

- O Boże - wyszeptał. Zrobił krok, przyciągnął do siebie stojące nieopodal krzesło, po czym się na nie osunął.

Przez chwilę spoglądał na dwoje młodych na kanapie. Nie potrafił znaleźć żadnych słów, więc tylko skinął głową. To raczej nie było... błogosławieństwo. Bardziej pogodzenie się z rzeczywistością. Z całą pewnością James był już o wiele za stary na to, żeby co noc pilnować okien.

Promienny uśmiech, który wypłynął na twarz córki, wlał w jego serce otuchę. I o dziwo, pełne ulgi spojrzenie jej narzeczonego jeszcze pogłębi-ło to uczucie. Jakiegokolwiek zastrzeżenia James mógł mieć do tego związku, to do Hansa nie miał żadnych. Przynajmniej poza szaleńczym zachowaniem za kierownicą. Prawdę powiedziawszy, to był uroczy dzieciak. I w swym krótkim życiu wycierpiał już wystarczająco wiele, żeby James Nichols nie musiał się do tego dokładać.

Doktor odchrząknął.

- Zdobyłem wczoraj kilka jajek. Równie dobrze mogą być jutro na śniadanie. Sharon lubi jajecznicę, Hans. A ty?

* * *

Gdy weszli po schodach na górę, James westchnął i dźwignął się z krzesła. Czuł się staro. Podszedł do telefonu i wykręcił numer.

- Mike? James z tej strony. Jest tak źle, jak myślę?

Trzy minuty później rozłączył się i wykrecił kolejny numer.

- Haju? James z tej strony. Przykro mi, ale muszę cię prosić, żeby przerwał projekt chloramfenikolu. I tak już zacząłeś produkcję, więc res[^] może się zająć Sally. Przecież teraz już tylko dostrajasz, żeby popr[^]lvv wydajność.

Skrzywił się na natychmiastowy wybuch sprzeciwu i odsunął nieco słu--hawkę od ucha.

Kiedy gniewne słowa ucichły, odezwał się ponownie.

„ Tak, wiem, że to nasz ratunek w razie epidemii. Ale to jest sprawa utra, a póki co jest dzisiaj. - Wziął głęboki oddech. - Wkrótce będzie mi ,otrzeba więcej sulfonamidów, Tom. Mnóstwo. Niedługo trzeba będzie ■ajmować się rannymi. Przez chwilę po drugiej stronie telefonu panowała cisza. A następnie

padło:

- Cholera.

- Właśnie: cholera - powiedział doktor James Nichols. - Przykro mi, Tom, ale obawiam się, że ten świat nie będzie nastawiony przyjaźniej do hipisów i dzieci kwiatów niż tamten, z którego pochodzimy. Nawet do takich podstarzałych jak ty. A chyba nawet mniej. Jesteś jednak najlep--szym... hm... - skrzywił się - farmaceutą, jakiego mamy.

- Cholera.

-Ej, Haju, spójrz na to bardziej optymistycznie. Przynajmniej teraz twój główny towar jest legalny - a przy okazji, tego też będę sporo po--rzebował. Na razie nie mamy lepszego środka przeciwbólowego.

1633

195

Bjtozùtal 16

Gdy Richelieu skończył mówić, musiał stoczyć sam ze sobą zacie--kły bój, żeby nie parsknąć śmiechem. Młody francuski oficer stojący przed biurkiem kardynała był jak sparaliżowany. Opadła mu szczeka, oczy miał tak szeroko otwarte, jak tylko pozwala na to budowa ludzkiej twarzy.

Po chwili jednak Richelieu pozwolił sobie na krótki śmiech.

- Błagam! Traktuję to jako potwierdzenie arystokratycznych pryncypiów. W końcu twój rodowód militarny nie mógłby być bardziej znamienity. Wnuk, poprzez matkę Elżbietę, samego Wilhelma Milczącego. Maurycy Orański i Fryderyk Henryk - obaj uznani żołnierze tamtej epoki - wujowie. Czemuż więc decyzja króla miałyby być taką niespodzianką, Henri de La Tour d'Auvergne? Bądź też, żeby użyć nowego tytułu, którym Jego Wysokość, król arcychrześcijański, postanowił cię obdarzyć wicehrabio Turenne.

Oczy młodzieńca wciąż prawie wychodziły z orbit. Richelieu postawił, że nieco ustąpi. W końcu de La Tour d'Auvergne - Turenne - był jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Nie ukończył nawet dwudziestu dwóch lat, a właśnie się dowiedział, że mianowano go wysokim dowódcą wojskowym i nadano tytuł wicehrabiego.

- Widzicie, nigdy nie byłem srogim wobec protestantów - powiedział łagodnie kardynał - jeśli tylko pozostawali lojalni wobec króla i Francji. Nie wnikałem też - i wnikać nie będę, młody Henri - w sprawy &

...y pomimo że twój ojciec, książę de Bouillon, to hugenot, a matka - holenderska protestantka.

Richelieu położył swe długie palce na szczycie sterty ksiąg i manuskryptów znajdujących się na jego biurku -

1 Wszystko jest tutaj, młody Henri. Rzecz jasna, nie w takich szczegółach. Jakbym się tylko życzył - sądząc po ich bibliotekach, Amerykanie niestety nie przywiązują wielkiej wagi do dziejów Francji. Jednakże... to, w starszych. W tej kwestii bez wątplenia. Henri de La Tour d'Auvergne, późniejszy wicehrabia Turenne, zapisze się w historii jako jeden z najwybitniejszych generałów, jakich Francja kiedykolwiek wydała na świat. Zapiski są jasne, od początków kariery aż po śmierć w boju w wieku sześćdziesięciu czterech lat. Geniusz połączony z bezgraniczną lojalnością. O więcej ani ja, ani nikt inny na świecie nie śmie nawet prosić. Król zaś wyraża zgodę. Czemuż więc trwać kolejnych pięć lat, aż tego dowiedziesz? Możemy nie mieć luksusu tych kilku lat. Francja potrzebuje cię już teraz. Ostatnie zdanie najwyraźniej wyrwało młodzieńca ze wstrząsu. Turenne głośno zamknął usta, a jego oczy się zwęziły.

- Tak. Wasza Eminencjo. Z pewnością uczynię, co w mej mocy. - Zerwał na stertę ksiąg i manuskryptów. - Czy mógłbym je zabrać i przestudiować?

Richelieu uniósł dłoń i skinął głową.

- Naturalnie. Po to właśnie kazałem je przynieść.

Turenne już po nie sięgał, lecz nagle cofnął dłoń. Jego szczęki były teraz mocno napięte.

- Jeśli mam się tego podjąć, Wasza Eminencjo, muszę nalegać - nalegam - bym mógł sam dobrać swych współpracowników. Będę też potrzebował...

- Wszystko, o co poprosisz, Henri. Zapewniam cię, że król absolutnie ci ufa. Ja też.

Turenne wpatrywał się w niego przez chwilę. Następnie zgiął się i podniósł stertę ksiąg i manuskryptów. ~ ~ Zrobię, co w mej mocy, Wasza Eminencjo.

* * *

niespełna pięć minut po tym, jak Turenne opuścił komnatę kardynała, odwiedzono kolejnego mężczyznę. Ten nie był już młodzieńcem - Sa-^ de Champlain powoli zbliżał się do siedemdziesiątych urodzin. Champlain stanął na środku pokoju i skłonił się głęboko.

- Dziękuję, Wasza Eminencjo. Z głębi serca. Spełniło się marzenie moje, życia.

Richelieu machnął leniwie ręką.

- Zawsze powtarzałem ci, że popieram twe dążenia. Jednak w minionych czasach moje poparcie ograniczone było... No cóż, sam rozumie

Champlain sztywno skinął głową.

- Ten przekłety, zdradziecki Gaston. Powinieneś, panie...

- Samuelu! - napomniął go kardynał. - Zamilcz. Monsieur Gaston jest w końcu królewskim bratem. A także, chciałbym ci to przypomnieć. na stępcą tronu Francji. Z racji tego, że król nie ma własnych potomków.

Na dźwięk kilku ostatnich słów Champlain zacisnął wargi. Prawdęmó-więc, kardynał bardzo się starał, żeby na jego obliczu nie widać było tej samej goryczy. Ludwik XIII niestety był... hm...

Nawet we własnym umyśle kardynał uciekał przed tą myślą. Wystarczyło, że król nie spłodził potomka ze swą małżonką, Anną Austriaczką. Wedle wiedzy, którą posiadał Richelieu, od dawna nie było między nimi nawet pożycia małżeńskiego. Przez te wszystkie lata, odkąd Richelieu został mianowany głową Rady Królewskiej, królewska bezdzietność wisiała nad jego głową niczym miecz Damoklesa. Młodszy brat króla i jego dworska świta nienawidzili Richelieu i gardzili nim. Gdyby Ludwik XIII umarł, nie pozostawiając dzieci... Wtedy Gaston Orleański zostałby nowym królem Francji. Nikt nie miał wątpliwości - a już na pewno nie Richelieu - że następnego dnia głowa kardynała potoczyłaby się po szafocie. Kardynał już od lat wyprowadzał w pole Gastona i jego zgraję pochlebców, tak samo jak wszelkich innych wrogów we Francji. Na szczęście zarówno następca tronu, jak i jego zwolennicy, których skupił wokół siebie, mieli skłonność do pochopnych i lekkomyślnych działań. Z uwagi na jego pozycję Richelieu oczywiście nie mógł tknąć samego księcia orleańskiego. Kazał jednak stracić, wtrącić do lochu bądź wygnać znaczną liczbę popieczników Gastona, gdy tylko popełnili najmniejszy błąd. Asi* wetnego „dnia rozczarowań” w listopadzie 1630 roku Richelieu wreszcie udało się odsunąć od władzy i wpływów matkę króla, Marię Medycejską. A także ukarać wielu jej dworzan - na przykład marszałka de Mari-Hac” którego stracono, a jego brata wtrącono do więzienia, gdzie wkrótce P0' tern umarł.

Chociaż jednak Richelieu zawsze wychodził zwycięsko z tych okłnych walk frakcji, sama walka często odciągała jego uwagę od nagłą

^w wagi państwowej, a także ograniczała jego swobodę działania. Te-SP • anak - gdy ów Ognisty Krąg i przybycie Amerykanów tyle zdołały 1 zyfl'c - Ludwik XIII wydawał się skłonny dać Richelieu na wszystko 1 u blanche. A tak czy inaczej, większość nieprzyjaciół kardynała albo

ła już zmiażdżona, albo też kryła się w swych mysich dziurach. ^ \ to oznaczało między innymi, że niejaki Samuel de Champlain na- jsZCje uzyska poparcie, o jakie od dawna zabiegał.

_ Nie mówmy o przykrych sprawach, Samuelu, kiedy mam dla ciebie tak dobre wieści. Anglicy nie tylko wypuścili cię na wolność, ale zgodzili się też zwrócić wszystkie nasze ziemie w Nowej Francji.

_ Quebec też? - zapytał niecierpliwie Champlain. Sam założył to miasto w 1608 roku i był do niego szczególnie przywiązany.

- Wszystko. - Richelieu uśmiechnął się. - A nawet więcej. Nowy tajny traktat, który zawarłem z Anglikami, przepisuje na nas także wszystkie ich ziemie w Nowym Świecie. Plymouth i Jamestown, wszystko. Odtąd cała Ameryka na północ od posiadłości hiszpańskich należy do Korony francuskiej.

Teraz Richelieu miał przed sobą starca z opadłą szczęką i szeroko otwartymi oczyma, podobnie jak to było z tamtym młodzieńcem chwilę wcześniej. I znowu kardynał się roześmiał.

- O tak: wszystko, Samuelu! Kiedy wrócisz do Nowej Francji - do wspólniale rozrośniętej Nowej Francji - twój tytuł gubernatora będzie odpowiadał rzeczywistości. Jestem pewny, że sprostasz wyzwaniu.

-Z całą pewnością, Wasza Eminencjo! - Champlain wyprostował się na tyle, na ile pozwalały mu jego stare plecy. - Zrobię, co w mej mocy!

* * *

Niedługo po tym, jak Champlain został odprowadzony, wpuszczono mężczyznę po trzydziestce. Zastał kardynała wyglądającego przez okno.

- Pozwól mu przeżyć te dni, które mu pozostały, w spokoju, Michelu -mruknął Richelieu. - Przynajmniej spróbuj. Zasługuje choć na tyle po tych wszystkich latach służenia Koronie.

- Champlain i tak będzie martwy za dwa lata, a w tym czasie prestiż Jego nazwiska pozwoli mi zebrać potrzebne fundusze tutaj, we Francji, oczywiście Kompania Stu Wspólników już jest zachwycona naszą nową p^ohtyką, ale myślę, że mogę jeszcze nieco uszczknąć z ich kufrów. I to Jakiem spore nieco - to są przecież niezwykle pojemne kufry. - Riche-k u odwrócił się od okna. - Ty, rzecz jasna, będziesz prawdziwym gubernatorem tych nowych terytoriów. Nie próbuj jednak ścierać się ze starcem, chyba że będzie to absolutnie nieuniknione. Lojalność p[<]wl no się sownie nagrodzić.

Michel Mousnier wzruszył ramionami.

- Po tym, co przeszedł Champlain, nie sądzę, żeby bardzo się opjer gdybym musiał być surowy wobec angielskich osadników. Nie wiem jej nak, jak zareaguje na nasze plany dotyczące Nowego Amsterdamu or[^] holenderskich fortów Oranje i Nassau.

- To nie ma znaczenia. Zatrzymaj go w Wirginii, Michelu, gdyż będziemy sprowadzać większość nowych francuskich osadników. Tak p[^] okazji, będziemy potrzebowali nowej nazwy dla tej prowincji. Champlaj, jest całkiem dobry, jeśli chodzi o budowanie nowych miast, czemu więc drażnić go drastyczną wizją zdobywania tych już założonych? Kardynał zerknął na pobliską szafkę.

- Jak już mówiłem, umrze za dwa lata. - W tej szafce trzymane były inne manuskrypty i księgi - te, których nie skopiował dla Turenne'a. -Dokładnej daty nie znam. Nastąpi to jednak w roku 1635. Później, Mi-chelu, przejmiesz tytuł, a także faktyczną władzę.

- Zrobię, co w mej mocy, Wasza Eminencjo.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

* * *

Don Fernando kroczył w stronę drzwi do swych komnat, które otwo⁻rzył przed nim adiutant, gdy Izabela zawołała go z powrotem.

Przez chwilę księżę Hiszpanii chciał udać, że jej nie usłyszał - tak bardzo pragnął zakosztować chwały wojennej. Lecz...

Wołała go jednak infantka Izabela. Arcyksiężna Austrii i namiestnicz-ka Niderlandów Hiszpańskich, córka wielkiego Filipa II, a także kobieta, której życie było prawdziwie znamienite. Nawet teraz, gdy była na łożu śmierci, nie można było jej zlekceważyć. Nie mógł tego zrobić również młodszy brat króla Hiszpanii.

Adiutant księcia z całą pewnością nie był skłonny do nieposłuszeń⁻stwa. Miguel de Manrique zamknął drzwi, zanim jeszcze księżę się trzymał.

Gdy Don Fernando zawrócił, Izabela zarechotała na widok jego twarzy) -Mój drogi chłopcze! Wcale nie jest tak źle! W końcu czyż to niej kazałam ci porzucić te przekłete duchowne szaty i przywdziać ubiór nierza?

Fernando niechętnie skinał głową. A następnie, już nie tak niech? nie, posłał swej leciwej ciotce szczery uśmiech. Don Fernando nic braci zmusiły go do zostania duchownym. Pragnął sławy żołnierza,

j nie

kardynała-infanta". Był jednak posłusznym synem Hiszpanii. Gdy przybyć do Brukseli, żeby podjąć swe nowe obowiązki, ciotka na-|0nila &^o ^ przestał nosić kościelne szaty. Od wielu

dziesięcioleci iza-wią starała się, by w Niderlandach wreszcie zapanował pokój. Katolickie regalia> co uświadomiła infantowi, tylko by rozjuszyły wielu jego podda-nvch. Tymczasem nawet najbardziej zagorzały holenderski kalwinista ,j/ie szanował żołnierza, zwłaszcza takiego, który podążał za księciem parmy oraz Spinolę

pon Fernando zasadniczo był skłonny słuchać rad Izabeli. Wciąż jed-nak był to młody ksiązę w przeddzień pierwszego sprawdzianu w wiel-kiej bitwie i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było wysłuchiwanie prze-stróg bardzo schorowanej i starej kobiety.

- Błagam, Fernando - szepnęła kobieta, a łzy całego życia napłynęły jej do oczu. - Wkrótce odejdę i już nic więcej nie dam rady uczynić. Bła-ym. Jeśli zwyciężysz, przejmij dziedzictwo Spinoli. Moje dziedzictwo także. Przynieś pokój tej udręczonej krainie.

Nawet bezczelny, młody ksiązę nie mógł pozostać obojętny wobec proś-by malującej się w tych starych oczach. Pochylił głowę.

-Obiecuję, Tia Isabel. Dałem ci moje słowo i go dotrzymam. Nie bę-dzie żadnej „hiszpańskiej furii”. Ksiązę Alba leży w grobie i w grobie po-zostanie.

-To za mało! - Jej głos był chory i znużony, drżący ze starości. Przez moment jednak był to wciąż głos osoby spłodzonej przez Filipa II. - To za mało! Daj mi słowo, że zawrzesz ugodę. Kardynał-infant zawahał się. W końcu planował podbój, a nie „ugodę”, ^óry szanujący się zdobywca w historii poszedł na ugodę na tych sa-myh warunkach, które jego przeciwnik odrzucił w trakcie negocjacji? ^o oddawać coś, co już zostało zabrane?

Jednak... niezależnie od tego, co myślał o mądrości swej ciotki, nie był w stanie spojrzeć w te stare oczy. Może zresztą miała rację. Wciąż pozo-^lawała mądra, nawet na łożu śmierci.

- Zgoda - powiedział cicho. Potem bardziej zdecydowanie dodał: -nS się na mój honor. Krew Hiszpanii. Nawet jeśli wygram - gdy już

^gram - narzucę warunki, które poparliśmy w Hadze. Nic ponadto, ostatnia iskra buntowniczności kazała mu dorzucić: ~ I riic mniej, to chyba wiesz.

Izabela uśmiechnęła się.

- Naturalnie. Uwierz mi, bratanek, że darzę kalwinistów taką samą^ patią jak ty. Zwłaszcza tych plugawych antyremonstrantów. - i ^ stanowczo: - Z całą pewnością nie widzę powodu, dla którego nas2 własnej wiary nie można by swobodnie praktykować w miastach z hjs^ pańskimi garnizonami!

Uśmiech przygasł.

- Tylko trzymaj tę cuchn... inkwizycję. Na postronku, Fernando!

W tej kwestii bratanek i ciotka w pełni się zgadzali. Młode oczy ^ trzące w stare oczy pochodziły z jednego rodu. Hiszpańską gałąź Habs-burgów często oskarżano o nietolerancję, nigdy jednak nie zarzucano ^ braku królewskiej woli.

- Hiszpańska inkwizycja jest na usługach Korony hiszpańskiej - wart nał Fernando. - A ja jestem księciem Hiszpanii, a także kardynałem. Będę ich trzymał na postronku. Na bardzo krótkim postronku.

Izabela zamknęła oczy i skinęła głową. Następnie machnęła ręką.

- Idź już, idź. Ta wspianiała młodość. Spróbuj nie dać się zabić.

* * *

Gdy szli ramię w ramię pałacowym korytarzem, Fernando zerknął na Miguela.

- To twoje zadanie. Trzymaj ich na postronku, Miguelu. Nałóż im ka-ganiec, jeśli trzeba. Poprę cię w każdym calu.

- Z przyjemnością - warknął de Manrique. - Szlag by ich trafił. Tyle zgryzot nam przysparzali wszędzie, dokąd tylko dotarliśmy. Ha! - Suro-wa, poznaczona bliznami twarz wykrzywiła się w wąskim uśmiechu. -Jedno trzeba przyznać tym przeklętym Amerykanom:

kiedy inkwizytorzy w Wartburgu próbowali zaciągnąć żołnierzy z powrotem na mury, sarni stawali się celem strzelców.

Po trzech krokach uśmiech jednak przygasł. De Manrique dowodził armią hiszpańską zdruzgotaną pod Eisenach, a następnie uwięzioną w Wartburgu. Była to jedna z największych klęsk w historii kraju. Napaść z jednej ręki można by policzyć przypadki, w których skapitulowało całe hiszpańskie wojsko - i to przed mniejszymi siłami. De Manrique miał szczęście, że okrył się tylko hańbą, a nie trafił do lochu. Tak się złożyło, że kilka tygodni spędził na łasce inkwizycji, która chciała sprawdzić, czy jego porażka nie odzwierciedlała jakiegoś głębszego zła.

Wtedy ocalił go kardynał-infant - i to również on nalegał, by włączyć Miguela do swego sztabu na ekspedycję do Niderlandów. Przez te miesiące

upłynęły od tamtej pory, zaprawiony w bojach generał nabrał olbrzymiego szacunku dla młodego księcia Hiszpanii. Może i był uparty... 'r wet nie „może”. Pochopny, lekkomyślny, zuchwały... Tak, to z pewnością Przynajmniej słuchał. I w przeciwieństwie do większości hiszpańskich szlachtyców, którzy z miejsca, że już wszelkie tajniki pradawnej sztuki wojennej, były im znane.

W tym roku w pałacowych korytarzach panował lekki ziąb. To jednak nie chłód nadchodzącego zimy sprawił, że dreszcz przebiegł Mifuelowi po skórze. Zadowoleni z siebie hidalgowie tkwiący w swych kastylijskich posiadłościach nie widzieli piekła, jakie w zamku Wartburg rozpętały Amerykanie - to on je widział. Jakaś potworna broń ogniowa, najszybsza nawet niż legendarny ogień grecki. To on, a nie oni, widział, jak strzały z muszkietów z nieprawdopodobnej odległości obryzgiwały ściany móżgami jego ludzi. I

Dreszcz przyszedł i minął. W końcu Miguel de Manrique był żołnierzem. A widok mózgu wpływającego z czaszek aroganckich inkwizytorów dał mu pewną satysfakcję.

-Na postronku - powtórzył. - Postronki i kaganiec.

1633

203

W miejscu położonym bardziej na wschód inna twarz w średnim wieku zmarszczyła się w grymasie.

-Cholera jasna, Mike, przecież jest jakieś prawo!

Mike Stearns odpowiedział na gniewne spojrzenie byłego komendanta policji Grantville wzrokiem, w którym nie było ani grama niewinności.

- Wiem o tym, Dan. Wiem także, że nie mogę tego tak jak zwykle obejść i nie wmówię ci, że to wykracza poza twoją jurysdykcję.

- Z pewnością nie! - uciał Frost, piastujący teraz funkcję naczelnika policji państwowej całych Stanów Zjednoczonych, która to - mimo wszelkich ograniczeń - miała znacznie większą władzę niż FBI w Stanach Zjednoczonych z tamtego świata. Mike Stearns nalegał na to tak samo, jak nalegał na nominację Dana. Przy mozaice obszarów składających się na nowo powstałe Stany Zjednoczone nie chciał ryzykować sytuacji, że ja-kieś bezczelne niemieckie książytko będzie obnosić się z nowymi pra** mi, twierdząc, że jego posiadłość wielkości kilkuset akrów nie jest obje.13 państwową jurysdykcją.

Wciąż jednak amerykańska policja była bardzo ograniczona wzgk0^ mi prawnymi.

Konstytucja nowych Stanów Zjednoczonych miała taką^ Kartę Praw jak stara. I - co akurat jest znacznie istotniejsze - oparta by*8 na tych samych fundamentalnych zasadach prawnych. Jedną z nich - bardzo podstawową - było to, że jeśli ktoś ła*1", prawo, zostaje aresztowany i postawiony przed sądem. Nie jest Z

uporządkowany tajnej i całkowicie prywatnej sprawiedliwości rządu-P , organów wykonawczych.

^ Jest jakieś prawo, do cholery - powtórzył Frost. Skwaszony kome-I j rzucił okiem na jednego z pozostałych uczestników tego nieplano-

niego zebrania w szklarni. Harry Lefferts beztrósko opierał się o pobliza donicę- Młody żołnierz, były górnik, miał dość niecodzienną pozycję

hierarchii nowej armii Stanów Zjednoczonych. Oficjalnie był to „kapi-tm Lefferts". W praktyce był jednoosobowym połączeniem starego Biura Służb Strategicznych18 - z najbardziej mętnych czasów drugiej wojny światowej - • teš0' co zw'ązki zawodowe takie jak ASG czasem określały eufemistycznie mianem „komitetu wychowawczego".

- Szczególnie że on się tu kręci - burknął Ifen, wskazując kciukiem na Harry'ego. - A może chcesz mi powiedzieć, Me zabrałeś go, żeby „prze-mówił Freddiemu do rozsądku"? Harry tylko się uśmiechnął. Mike pokręcił głową.

- Dan, gdybym nie wziął Harry'ego, to byś mnie ochrzanił za to, że narażam - choć ustawianie Freddiego to raczej niewielkie ryzyko - czci-godną osobę pana prezydenta. Albo jedno, albo drugie.

Nagle niespodziewanie odezwał się właściciel szklarni. Aż do tej chwili Tom Stone - znany wszystkim jako „Haju" - siedział cicho. Przede wszystkim cała ta sytuacja była dla niego bardzo krępująca. To właśnie Tom dał Mike'owi cynk o zdradzie Freddiego Congdena, który zresztą był jego najbliższym sąsiadem. Z uwagi na przeszłość Stone'a i jego ogólne po-glądy zakrawało to praktycznie na cud - i świadczyło też o zaufaniu, ja-kim darzył Mike'a - że w ogóle się na to zdecydował. Ksywka „Haju" nie Ma przypadkowa i sam Tom miał do „kablowania" tradycyjne podejście każdego długoletniego hipisa i entuzjasty czegoś, co lubił określać mia-nem „alternatywnej rzeczywistości". Dla niego była to zbrodnia dorów-nująca niemal podpaleniu i napadowi z bronią w rękę.

Jednak... naprawdę ufał Mike'owi, a małżeństwo, które zawarł rok wcze-sniej z Niemką, dało mu nieco inne spojrzenie na pewne sprawy. Dla jego 2°ny Magdaleny „okrucieństwo" było czymś znacznie bardziej namacal-n'ż dla niego. Tak samo dla niej bad trip19 oznaczało podróż przez pustoszoną wojną ojczystą ziemię.

na

^ ~" dozwól, że o coś cię zapytam, Dan - powiedział gwałtownie Haju. - ^ widzę, że robisz wiele hałasu o oficjalne zasady i przepisy. Jakim cu-Przez te wszystkie lata ani razu mnie nie zgarnąłeś? Wtedy, jak jesz-
2e byłeś komendantem w miasteczku. - Ruchem głowy Haju pokazał

marihuanę rosnącą w szklarni obok. - Jasne, teraz to jest jak najbar^ legalne - to jest wręcz ceniona uprawa, skoro nie mamy żadnych leps^ środków przeciwbólowych. Na pewno nie w tej ilości, która ja jestem w st^ nie wyprodukować. Ale dawniej to z całą pewnością legalne nie było.

Spojrzał z dumą na bujnie rosnące, zdrowe rośliny. Była to specjał odmiana, którą od lat pieczołowicie uprawiał, a wytwarzany z niej nark0 tyk był nieoceniony dla wszystkich okolicznych lekarzy, szczególnie den tystów.

- Oczywiście dawniej nie hodowałem tego tak otwarcie. Ale nie po. wiesz mi, że nie wiedziałeś, co robię.

Dan Frost był nieswój. Odwrócił głowę i zaczął wpatrywać się w po. bliską grządkę ziół. Mike z trudem powstrzymywał śmiech. Dan ewidentnie starał się rozpoznać, które z tych roślin mogły być przed Ognistym Kręgiem substancjami nielegalnymi.

Trudno było powiedzieć. Tom Stone był równie dobrym hodowcą szklar-niowym, jak i „nieoficjalnym farmaceutą”. Od czasu, gdy pod koniec lat siedemdziesiątych ukończył farmację na Uniwersytecie w Purdue, więk-szość swego życia spędził w Grantville, prowadząc swoistą komunę. Praw-dopodobnie niewiele było rzeczy, których by nie mógł wyhodować, gdy-by tylko chciał. Mike zauważył, że Dan obrzuca kamiennym spojrzeniem rosnące w sąsiedniej szklarni grzyby.

- A, cholera - mruknął komendant. - Jasne, wiedziałem, co robisz. Ale... nigdy nie doszły mnie słuchy, żebyś się brał za kokainę czy heroinę i wiedziałem, że nie sprzedajesz trawy dzieciakom. - Zaczął się wiercić z zakłopotaniem. - No i... chyba radziłeś sobie z wychowywaniem tych swoich maluchów. Wiedziałem, że dobrze im idzie w szkole. Sprawdza-łem. Więc cóż... Co niby miałem zrobić? Gdybym cię zgarnął, kto by sie zajmował dziećmi?

Zaczerpnął głęboko powietrza i spojrzał ze złością w przestrzeń.

- Prawda jest taka, że zawsze uważałem tę cholerną „wojnę z narkoty-kami” za jeden wielki idiotyzm. A na pewno to, jak ją prowadzono. J3 miałem inne zmartwienia. Drobnostki, takie jak koleś, który prawie z3' tłukł żonę na śmierć, pijani kierowcy, kradzieże samochodów albo rozr° ba w co drugą noc w „Klubie 250”. Więc... pieprzyć to. Po prostu od* całym wzrok.

- Innymi słowy: łamałeś przepisy - powiedział Stone. Twarz Frosta stężała.

- Cholerny świat, to nie to samo.

10

lylike a kusilo, żeby się wtrącić, ale uznał, że pozwoli Tomowi tym się c Między innymi dlatego, że James Nichols wyraźnie poinstruował żeby robił wszystko, co możliwe, aby rozwinąć kształtującą się powoli "wiadomość obywatelską" Haja. Ekshipsis i wyrzutek przeradzał się w jed-.,0 z najcenniejszych członków nowego społeczeństwa, poza tym było coś komicznego w widoku Toma Stone'a prawiącego panowi Frostowi kazania na temat niuansów etyki policyjnej. Mike za-ważył, że Harry Lefferts, który stanął za Danem, żeby ten go nie widział, szczerzy zęby. Mike nie wątpił, że Harry i jego kumpel Darryl należeli do stałych klientów Haja w czasach przed Ognistym Kręgiem.

A właśnie, że tak, Dan. Zastanów się nad tym - Mike nie proponuje, żebyśmy zgarnęli Freddiego. Żadne więc sądy kapturowe, tajne więzie-nia, gułagi i sale tortur. On chce, żeby ta sytuacja nadal trwała... tyle że... no wiesz. Powiedzmy, że pod nowym kierownutfwem. A

zresztą, do cholery, jak możesz go oskarżać o to, że chce pogwałcić „prawa” Freddiego, skoro mógłby go kazać na zawsze wsadzić do więzienia albo nawet... - Haju zmarszczył brw i. Nie wiem, po cholere musimy utrzymywać tę pieprzoną karę śmierci, ale nawet jeśli jej nigdy nie stosowaliśmy, to ona jednak jest. A chyba nie sądzisz, że jak ludzie dowiedzą się, co Freddie robił, to nie będą się domagać stryczka.

Mike nie odzywał się. Osobiście - chociaż ostatecznej decyzji jeszcze nie podjął - zamierzał zdecydowanie wystąpić przeciwko karze śmierci. Ale...

Jedna bitwa naraz. Większość „starych Amerykanów” popierała karę śmierci. A siedemnastowieczni Niemcy i tak już uważali go za szaleńca, gdyby więc wysunął taką propozycję, miarka by się niechybnie przebrała, kanich kara śmierci była równie oczywista jak rosa o poranku.

~ Sprawa wygląda tak - kontynuował Haju - że o cokolwiek byś Mike'a nie oskarżył, to gdybyś to zrobił jawnie, byłoby dziesięć razy gorzej. A poza tym w tym podejściu jest jeszcze jeden plus, a mianowicie...

Naju spojrzął na komendanta z ukosa, najwyraźniej obawiając się tego, Co sam zaraz powie. Ni

"Słuchaj, Dan, szkoda, że to ja muszę ci to mówić - w końcu całe ^cie byłeś glina - ale nadmiar prawa może być jeszcze gorszy niż jego "ledobór.

stąd, ni zowąd Dan Frost wybuchnął śmiechem.

Pełni

Co ty powiesz? Jezu, Haju, chyba powinienem ci kiedyś kazać wy-c jeden z tych starych formularzy.

Mike uznał, że nastrój już wystarczająco się poprawił. Nadeszła p0r by „sfinalizować umowę”.

- Dan, ja wiem, że będę nagiął przepisy. Ale Haju ma rację, do cholery. Nieważne już, czy powiesiliby drania, czy nie. Szczerze mówiąc nje miałbym później problemów z zaśnięciem. W najlepszy dzień swego ży eia Freddie Congden był skończonym dupkiem. Obydwaj wiemy to rów. nie dobrze. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Anita tak długo cze. kała, zanim spakowała torby i go rzuciła.

- Bała się, że ją zabije - burknął Dan. - Miesiącami musiałem ją p^ konywać, że dopilnuję, żeby tak się nie stało. No i... - odwrócił wzrok-dopilnowałem.

Harry uśmiechał się jeszcze szerzej niż wcześniej.

- Znowu złamaliśmy reguły, co? Dan, nie trzeba było brudzić sobie rąk - wystarczyłoby szepnąć słówko mnie i Darrylowi. Stary, dobry Freddie już by więcej nie tknął Anity. Ciężko jest pobić żonę, gdy nie możesz jej złapać. A zapewniam cię, że Freddie nie byłby w stanie po tym. jak byśmy mu przemówili do rozumu. To niesamowite, jaką moc przekonywania ma kilogramowy młotek blacharski w kontakcie z rzepką.

Dan zachmurzył się, ale milczał. Mike gładko przeszedł dalej.

-l dobrze wiesz, co jeszcze by się stało. Wszystkie stare pierdziole wydrą się wniebogłoso, żeby każdą książkę w zasięgu wzroku trzymać pod kluczem. Zanim się zorientujesz, do biblioteki będzie się trudniej dostać niż do Fortu Knox. Pomijając już, że ucierpią prawdziwe swobod)' obywatelskie, to nasz własny postęp techniczny straci dziesięć razy więcej niż na skutek szpiegostwa. Spójrz prawdzie w oczy. Naprawdę chcesz, żeby wszystkie książki wydane w starym świecie zostały uznane za sprawę bezpieczeństwa narodowego?

Mike zerknął na marihuanę.

- Twierdzisz, że „wojna z narkotykami” jest czymś głupim. A co p° wiesz na „wojnę z nielegalnym czytelnictwem”?

Dan skrzywił się i podniósł dłoń w pokojowym geście.

- Dobra, już dobra. Ale...

Odwrócił się i zlustrował ostatniego członka grupy, który jak dotąd n,e

pisnął ani słowa. Tak się składało, że on jako jedyny urodził się w siedem-
nastym wieku - i na dowód tego przywdziewał odpowiednio wykwint
arystokratyczny strój. q

-Ale - powtórzył - nie chcę, żebyś się w to mieszał. Niech Francis się tym zajmie. Myślę, że
on przynajmniej będzie wystarczająco ro/s^n-

^jeśli coś się wyda, to zawsze lepiej, że... hm... „negocjacjami” zajął się zan0wany bankier.

Przynajmniej nie jest związkowym zabijaką ani by-[yrn zawodowym bokserem.

' Spokojna głowa - zapewnił go Mike. Francisco Nasi, niegdyś fa-voryt na dworze sułtana,
wpływowy członek rozproszonej po świecie rodziny Abrabanelów, teraz zaś prawdopodobnie
najwyżej ceniony ban-icr w Grantville, był człowiekiem o wielu talentach. Mike bardzo li-
cZył na to, że młody Sefardyjczyk jako szef jego nowych służb wywia-j0\vczych i
kontrwywiadowczych okaże się równie dobry, jak we wszystkim innym. Szczególnie z
Urielem i Baltazarem Abrabanelami w roli doradców, jako że obydwaj byli już za starzy, by
kontynuować czynne szpiegostwo.

;oŁi Jsti

Nie wspominał jednak o tym. Nie widział powodu, żeby zaczynać ko-lejny spór z Danem
Frostem. Zwłaszcza że jego nowy wywiad był zupeł-nie nieoficjalny i (Mike odkaszlnął w
głębi ducha) nigdy nie został za-twierdzony przez Kongres ani przez nikogoftinego poza nim
samym.

Francisco pozwolił, żeby Harry zajął się ^stepnymi negocjacjami. Gdy wszedł przez
roztraskane drzwi do obskurnej przyczepy Freddiego Cong-dena, wstęp właściwie dobiegał
już końca.

Nieco oszołomiony Freddie trzymał dłoń przy rozbitej wardze i zerkał z ukosa na szufladę
nocnego stolika ustawionego obok zasyfionej kana-py na której zapewne przesypiał
większość nocy. Sądząc po liczbie pu-tych butelek po piwie stojących na stoliku, nie miał
zwyczaju czytania przed snem.

- No, śmiało - powiedział wesoło Harry; kolba ciężkiego rewolweru,

^ora rozciął wargę Freddiego, teraz znów spoczywała w jego dłoni. -

^e krępuj się, gnoju. Mogę się założyć, o co chcesz, że rozwalę ci kręgo-
SftJp na cztery kawałki, zanim w ogóle otworzysz szufladę. A zresztą na-
^vet gdybyś ją otworzył, to co? Kiedy ostatni raz z niego strzelałeś? A tym
odziej czyściłeś? Co?

stawie od niechcienia posłał Freddiego kopniakiem z powrotem na ka-naPę.

"Pierdol się. - Harry pochylił się, wyciągnął całą szufladę i pchnął ją Pobliski stół z laminatu.
Był to stół jadalniany, o ile określenie to paso-wa mek'a ta^ kompletnie zagraconego, że
nawet nie było gdzie po-c kubka. Mała lawina śmieci zwała się na podłogę. Szybko zajrzał
do szuflady.

- Skąd ty w ogóle wytrzasnąłeś takie gównno? Pewnie od jakiegoś \ lesia przy drodze,
który stał z tabliczką: „Broń z demobilu za pac^ czipsów”.

Pokręcił głową.

- Boże. Z ciebie zawsze była straszna kutwa, nie? Nie mogę tylko wy myślić, skąd w
ogóle u ciebie są jakieś książki.

Freddie w końcu się odezwał.

- Jezu! Harry, przecież jestem w związku.

- Freddie, byłeś najbardziej żalonym członkiem ASG w historii. Aj^ nie jesteś aż tak
głupi, to raczej nie będziesz mi o tym przypominał. - Harry zrobił jakieś dwa kroki do przodu.

- Odpowiadaj na pytanie. Skąd. do cho-lery, wzięłeś te wszystkie książki, które sprzedajesz?
Nie wydaje mi się, żebyś przeczytał cokolwiek, odkąd cię wywalili z liceum - nawet gazetę.

- Nie wiem, o czym m... - But Harry'ego po raz kolejny pchnął go kanapę, zostawiając błotnisty odcisk na jego klatce piersiowej. Freddie z trudem złapał oddech.

- Przysługuje ci jedno kłamstwo, Freddie - powiedział spokojnie Harry. - Właśnie je wykorzystales. - Kiwnął głową w stronę Nasiego. - Albo zrobimy to tak, jak chce tamten pan, albo zrobimy to po mojemu. Osobiście sugeruję, żebyś zdał się na łaskę naszego bankiera. Nazwałbym to takim „surowym zaleceniem”.

Ktoś inny mógłby do tych słów dołożyć jakiś groźny gest. Sam fakt, że podczas gdy Harry wypowiadał te słowa, nie drgnął mu ani jeden mięsień poza tymi koniecznymi do mówienia, sprawił, że groźba stała się... prze-rażająca. Francisco Nasi był nieco zaskoczony. Zdał sobie sprawę, że wciąż zwykł myśleć o Harrym tak, jak myśleli o nim nadczasowcy: często lek-komyślny i zawsze skory do bitki młodzian, który jednak w głębi ducha jest dość porządny. Harry Lefferts wciąż był porządny - co do tego Francisco nie miał żadnych wątpliwości. On jednak również przeszedł swo-istą metamorfozę przez te dwa lata od Ognistego Kręgu. To już nie był „dzieciak”. To był bardzo, ale to bardzo niebezpieczny mężczyzna.

Freddie najwyraźniej doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Odwt° wzrok, krew wciąż ciekła mu z rozbitej wargi.

- No co, do cholery - wybełkotał. - To tylko książki, na litość bosk* a ja potrzebowałem kasy. Należy mi się za te wszystkie pieniądze, k^ przepuściłem na tego zasranego bachora. Francisco zaczął już przeszukiwać przyczepę, gdy zza pleców dob' gła go zimna odpowiedź Harry'ego.

jeszcze raz powiedz o George'u „zasrany”, pierdolcu, a będziesz pluł parni- Widzisz, ja pamiętam tego małego. Zawsze wydawał się słam-sZ0fly> wszystkiego się śmiertelnie bał. Jak się ma takiego starego, to nie ^ co się dziwić.

Nasi otworzył jedne z drzwi wewnątrz przyczepy i wszedł do małego koiku. Zrobił dwa kroki i zatrzymał się. Pokój... robił wrażenie. Przede wszystkim był czysty - na pewno w porównaniu z resztą przy-czepy- Francisco podejrzewał, że George sprzątał go regularnie, kiedy jeszcze tu mieszkał, a sam Freddie nigdy nie wchodził do pokoju, chyba że chciał ukraść jakąś rzecz swego syna, która mogłaby mu posłużyć do zdrady.

- Biedny chłopak - wymamrotał.

Pomieszczenie stanowiło praktycznie w całości bibliotekę. Tylko jedna ściana nie była zastawiona półkami. Oczywiście tanimi półkami - Freddie nie pozwoliłby na nic lepszego. Jednakże księgozbiór, który spoczywał na tych półkach, do najtańszych nie należał.

Oczywiście żadne tam pierwsze wydania i tylko kilka w twardej oprawie. Ale każda półka była zastawiona wszelkimi możliwymi rodzajami książek: Md bajek dziecięcych, które George musiał dostać jako mały chłopiec, plez podniszczone egzempla-rze historii amerykańskiej wojny secesyjnej autorstwa jakiegoś Foote'a, aż po opasły tom o zasadach astronomii.

Nasi przeniósł spojrzenie na tę ścianę, na której nie było półek. Z sufi-tu zwisał na nitce plastikowy model jakiegoś pojazdu kosmicznego. Francisco nie miał pewności, ale wydawało mu się, że to jest jakaś replika tego, co nadczasowcy nazywali „Apollo”. Widział to na rysunkach. Za n'm na niemal całej ścianie była olbrzymia mapa galaktyki. W narożnej ramce widniał Układ Słoneczny.

Poczuł ukłucie żalu. Wyobraził sobie życie małego George'a Congde-na z ojcem ponurym brutalem i matką zastraszoną szarą myszką; starają-ce się stworzyć sobie świat wyobraźni w tym jedynym malutkim poko-JU' ktory do niego należał; cichutko, lecz uparcie walczącego ze swym °Jcem o każdy grosz, żeby móc sobie kupić kolejną wymarzoną książkę al°o mapę innego świata.

hnego świata.

naJm Ha

7 dowodzenia, George, gdziekolwiek jesteś - szepnął Francisco. - Przy-
nieJ nie będziesz już musiał przejmować się swym ojcem.

Jtty podszedł do drzwi i zajrzał do środka. Jezu.

Francisco zerknął na niego i pokręcił głową.

- Czemu to wszystko zostawili? - powiedział ze zdziwieniem. -pak musiał przecież być zrozpaczony.

Harry też pokręcił głową, ale ze złością, nie ze zdziwieniem.

- Ja osobiście nie widziałem, jak wyjeżdżała, ale słyszałem o ty^ Wszystko, co Anita miała - poza może dwiema walizkami ubrań dla niej i dla dziecka - to była stara, rozklekotana fiesta. Nie było szans, żeby t0 wszystko zmieścić. - Zacisnął szczęki, przez co wyglądał jeszcze strasznie, niej. - Ale jedno ci powiem, Francisco. Może i George był zrozpaczony ale jak się dowiedział, że uwolni się od starego, to na pewno się nad tym nie zastanawiał. Każdy zdrowy na umyśle dzieciak zrobiłby to samo. Freddie Congden to naprawdę ciężki przypadek. Harry obrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do głównego pomiesz-
czenia. Po chwili znów stał przed Freddie, a tuż za nim Francisco. Sam Freddie wciąż siedział na kanapie i przecierał wargę jakąś brudną szmatą.

- Dobra, Freddie, teraz się dowiesz, co i jak. Gdybyśmy chcieli, to byś wylądował w pudle. Nie wiem, czy dałoby się akurat oskarżyć cię o zdra-
dę, bo myślę - no, w końcu nie jestem prawnikiem, więc tylko zgaduję-że „zdrada” ma pełno różnych kruczków i zawijasów, i ty mógłbyś się dokładnie nie mieścić. Ale to nic. Ja prawnikiem nie jestem, ale Mike Stearns ma najlepszego w mieście - pana prokuratora. „Kolaboracja z wro-
giem” albo coś innego - znalazłoby się tyle oskarżeń, że wsadzilibyśmy cię już na zawsze. Oczywiście jeśli byś miał fuksa. Pamiętaj, że ława przy-
sięgłych to będą w większości Niemcy, a oni nie mają żadnych oporów przed skazaniem na stryczek. To chyba rozumiesz.

Freddie przestał dotykać wargi i wyraźnie pobladł.

- Ej no, powaliło was?! Mówimy o książkach dla dzieci - a poza tym to była moja własność!

Harry uśmiechnął się niewyraźnie, złapał się lewą ręką za gardło i przeZ chwilę naśladował duszonego człowieka. Potem opuścił rękę.

- Oszczędzaj oddech, Freddie, szczególnie że tak wiele ci tych odde-
chów już nie zostało. Już widzę, jak rzucasz ten argument ławie przysię-
głych. Wiesz, to taka banda prymitywnych Szkopów - większość maJa kiś taki głupi żal o to, że ludzie, którym sprzedawałeś książki, ostatnich piętnaście lat mordowali, gwałcili, okradali, zarzynali i Pa ich rodziny.

Twarz Freddiego była blada jak papier.

„ Tak to właśnie wygląda, Congden - powiedział chłodno Harry. -chcesz spróbować szczęścia, to się nie krępuj. Ale sugeruję, żebyś zasta-
wił się nad moją propozycją.

Freddie przełknął ślinę.

^Jaką propozycją?

- Od tej pory pracujesz dla nas. Dalej idziesz tu mieszkać. I dalej bę-
dziesz sprzedawał książki dzieciaka i całą resztę. Tylko że teraz powiesz klientom, że zaczyna ci już nieco brakować towaru, więc będziesz im sprze-
dawał kopie. - Harry zerknął na zaśmiecony stół. - Będziesz musiał to sprzą-
nąćCł bo teraz większość czasu spędzisz siedząc przy tym stole, odręcznie kopiując książki, które ci wskażemy... z pewnymi zmianami w tekście.

Wskazał kciukiem na Nasiego.

- Francisco ci powie, o jakie zmiany chodzi. Myślę, że prawdziwi szpie-
dzy nazwaliby go „oficerem kontrolnym”. Ale my jesteśmy górnikami -nawet jeśli jesteś najgorszym sukinsynem, jaki kiedykolwiek zszedł do kopalni - więc myśl o nim jako o swoim szefie. Od tej pory, Freddie, bę-
dziesz robił wszystko, co ci Francisco każe. Kapujesz?

Freddie omiółł Francisco spojrzeniem i szybko odwrócił wzrok. Wy-
krzywił usta.

-Znajdź kogoś innego. Ja nie będę słuchał rozkazów jakiegoś pejsa. Każdy...

Tym razem but Flarry'ego wbił się w jego brzuch. Freddie zgiął się w pół i z trudem złapał oddech.

Chwilę później zaczął się krztusić. Harry wcisnął mu lufę do gardła. Freddie dosłownie zrobił zeza, patrząc na rewolwer w swoich ustach. Potem jego oczy zrobiły się bardzo okrągłe, gdy ujrzał - i usłyszał - że Harry odbezpiecza broń.

~ Wspominałem już, że to jest magnum .357? - Głos Harry'ego brzmiał dość bez troski. - I chciałbym ci podziękować, Freddie, bo dzięki tobie wygram taki stary zakład z Darrylem. Kiedyś się o to pokłóciliśmy. Darryl sierzni, że jeśli rozwalisz koleśowi łeb z broni, którą wepchnąłeś mu do ~ chodzi o krótką broń, spory kaliber, pocisk magnum - to przy ^zJi rozwalisz też sam sobie dłoń. „Szok hydrostatyczny” czy jakoś tak arryl zawsze lubił takie mądre słowa.

arry wyszczerzył zęby. Francisco uznał, że jest to najbardziej łodo-atyl zarazem najdzikszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział. \y ^a Osobiście - kontynuował Harry - uważam, że Darryl coś pierdoli, strzelę ci mózg z tyłu głowy i w najgorszym razie uszkodzę sobie kciuk.

Oczywiście Darryl na pewno będzie twierdził, że eksperyment był (j0 czego, bo przecież ty w ogóle nie masz mózgu - ale, szczerze mów ' mam to gdzieś. I tak mam na to ochotę, bo dla mnie jesteś kupą gów^ ' Przez chwilę Nasi miał wrażenie, że Freddie zemdleje. W końcu ! rzał, że mężczyzna rozpaczliwie przewraca oczami w jego stronę, i ^ klepał Lefferts'a po ramieniu.

- Myślę, że już poszedł po rozum do głowy, Harry.

Harry wyciągnął lufę, odchylił broń i zabezpieczył. Następnie skrzywił się i podszedł do stolika. Wyciągnął ze sterty śmieci jakąś szmatę, może ręcznik, trudno to było stwierdzić - i zaczął pospiesznie wyciec broń.

- Cholera - mruknął. - Twoja ślina jest gorsza niż kwas. A to mój ulu. biony gnat.

Wreszcie oderwał wzrok od broni i spojrzał na Freddiego; w jego oczach kryła się czysta groźba.

- Będziesz, gnoju, robił to, co ci każe szef - dla ciebie „pan Nasi” - albo już nie będziesz musiał się martwić niemiecką ławą przysięgłych. Sam cię zabiję. Oszczędzimy pieniądze podatników.

- Dobrze - wychrypiał Freddie.

Gdy wrócili do domu Haja, gdzie czekał na nich Mike, Harry postanowił coś obwieścić.

- Myślę, że mam talent do tych klimatów „007”. Muszę jeszcze tylko się nauczyć tej śmiesznej gry. Jak to się nazywa? Szemon-de-fer czy coś takiego. No wiecie, to, w co się gra w Monaco.

Nasi lekko się zaśmiał. Mike stanowczo pokręcił głową.

- Nie ma szans, Harry. Musiałbyś darować sobie czystą i nauczyć się pić wytrawne martini. Wstrząśnięte, nie mieszane.

Harry spochmurniał.

- No to nic z tego. W takim razie zostanę wiejskim twardzielem.

Ławice makreli

1

/

^zbzinl 18

Kanał Angielski był niespotykanie ożywiony, nawet jak na wrzesień. Pomimo oślepiającego słońca temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni, a wiatr wiejący z północnego wschodu przyniósł igielki chłodu. Spieścił grzebień bryzgów błękitnej wody i zadał w żagle, a Maarten Harpertszoon Tromp, holenderski admirał, wciągnął tę świeżość głęboko w płuca, stojąc na pokładzie rufowym okrętu flagowego i patrząc na pozostałe statki swej floty.

- Piękny widok - odezwał się mężczyzna, który stał obok. Tromp zerknął na niego.

Trzydziestoczteroletni wiceadmirał Witte Corneliszoon de With był dwa lata starszy od Trompa, obydwaj więc byli bardzo młodzi jak na piastowane funkcje. Ostatnio jednak często tak się dzieje, pomyślał Tromp z przebiegłym uśmiechem.

~A owszem - przytaknął i z powrotem spojrzał na sterane wiatrem i szczyem płótna statków podążających w ślad za „Amelią”. Ich ustawienie sztyku było co najmniej nieuporządkowane. To jednak nie dziwiło w Przypadku floty holenderskiej, a nawet dało się w tym wyczuć pewność siebie - zrodzoną z czterdziestu lat morskich zwycięstw - która przepełniała załogę. - Bardziej by mi się jednak podobało, gdyby więcej z nich było się.

w prawdziwymi okrętami marynarki - dodał po chwili, a de With zaśmiał

dob

To chyba każdemu z nas, prawda? - odparł. - Ale Stany Generalne rze sobie poczynają, utrzymując czterdzieści statków w gotowości

bojowej. Niewiele przecież zostaje, nawet po francuskim subsydu jak już zapłacą za siły lądowe i utrzymanie fortów przygranicznych, A . jest przecież nieustannie!

- Zgadza się. Tak jest nieustannie. - Tromp pokręcił głową i p0Qj ślał o wykradzionych stronicach, które pokazał mu Constantjin Hu gens, sekretarz księcia Fryderyka Henryka. Były co prawda koszrna nie niejasne, nie mówiąc już o tym, że oderwane od kontekst i niekompletne, ale równocześnie były fascynujące - zwłaszcza frag menty wspominające o tym, jak to kraje z przyszłości będą utrzymv wać floty. Nie był jednak przekonany, czy popiera ideę utrzymywania setek okrętów ze skarbcza państwa. Przecież koszta muszą być oszała-miające. Poza tym wieloletnia praktyka wynajmowania i wcielania stat-ków kupieckich do armii na czas wojny sprzyjała takim państw om jak Zjednoczone Prowincje. W Holandii rodzili się najwspanialsii żegla-rze na świecie i dzięki temu ich gigantyczna flota handlowa stanowiła jedną wielką rezerwę marynarki wojennej. Obecnie pod jego komenda pływało tylko dwadzieścia siedem prawdziwych okrętów wojennych, lecz wspierało je jedenaście statków holenderskiej Kompanii Indii Wschodnich i kolejnych trzydzieści sześć dobrze uzbrojonych statków kupieckich.

Większość z nich była mniejsza niż jego pięćdziesięciosześciodziało-wa „Amelia” i wszystkie przeznaczone były na płytkie wody Morza Pół-nocnego i Bałtyku. Inne kraje - na przykład Hiszpania - mogły budować większe i ciężiej uzbrojone okręty. Krążyły pogłoski, że Karol I Stuart nie-dawno postanowił zbudować statek, który pomieści ponad sto armat, cho-ć-iaz zniecierpliwienie panujące obecnie w Anglii mogło pokrzyżować jego plany. Nikt jednak nie budował bardziej zwrotnych okrętów niż Holen-drzy. I na żadnym pokładzie nie było lepszej załogi. Ponadto holenderska marynarka wojenna posiadała pierwszy w historii Europy korpus ofice-rów z prawdziwego zdarzenia.

Siedemdziesiąt cztery statki. Witte miał rację - był to piękny widok a podziwianie go stanowiło chwilę czystej przyjemności. Moment ten szybko jednak minął. Tromp odwrócił się do de Witha ze zmarszczo-nym czołem.

- Powiedz mi szczerze, Witte - odezwał się, a jego głos w poło*1* zaginał w szumie fal i wiatru. - Co o tym myślisz?

- O czym? - Wyższy de With spojrzał na niego z wyrazem udawać niewinności. Tromp skrzywił się.

Doskonale wiesz o czym - warknął i wskazał machnięciem ręki na krety pty11^00 w ^aa- za ^Amelią”, włączając w to flagowiec de Witha, re(jerode”. - O tym. O tym wszystkim. O tobie, o mnie, o Richelieu 00quendo- 1 0 tych^Apykanach”!

' Myśl?’ ze żyjerity w cudownych czasach - odparł po chwili de With. poza tym nie zacząłem jeszcze tego rozumieć... a Bóg na razie nie po-ieszył do mnie z wyjaśnieniami. Tromp zarechotał i klepnął de Witha w ramię.

-Może Pan uznał, że wyjaśnienia na nic się nie zdadzą, patrząc, jak wszyscy się sprzecząmy o to, co nam dokładnie przekazał w Piśmie Świę-- zasugerował. - Może uważa, że przestaniemy się zabijać, jeśli da nam coś dostatecznie niejasnego, żebyśmy cały czas musieli poświęcić na -ozmyślania zamiast na walki o doktrynę!

De With zastanowił się nad tym stwierdzeniem, a następnie potrząsnął głową.

- Może i masz rację. Jeśli tak właśnie myśli nasz Pan, to chyba nie mamy innego wyjścia i musimy to zaakceptować. Ja jednak wolałbym, żeby był nieco mniej tajemniczy. Lub chociaż bardziej zrozumiały.

- Muszę się z tobą zgodzić - mruknął Tromp i podrapał się po czubku spiczastego nosa, cały czas marszcząc w zadumie czoło. - Wciąż jednak myślę, że Pan oczekuje, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Powiedz mi więc, co sądzisz o tych „Amerykanach”.

- Myślę, że są niebezpieczni - odparł cicho de With, a z jego głosu zniknęło już rozbawienie. - Sądzę, że odkąd Jan Hus pierwszy raz zagrał papieżowi na nosie, nie było na

tym świecie nikogo bardziej niebezpiecznego. Pytanie tylko, dla kogo są najbardziej niebezpieczni.

-Nie uważasz, że sam fakt, że są republiką, czyni z nich naszych naturalnych sprzymierzeńców? - zapytał Tromp, a de With parsknął w odpowiedzi.

~ Nie wierzę w „naturalnych sprzymierzeńców”. Gdyby istniało coś ta-k'ego, katolicka Francja nie musiałaby przekupywać protestanckiej An-żeby wspólnie z nami stawić czoła katolickiej Hiszpanii!

" A protestancka Holandia nie musiałaby się obawiać groźby, jaką stanowi jej „naturalny sprzymierzeniec”, protestancka Szwecja - przytaknął

°mp. _ Mimo to czy nie uważasz, że te dwie republiki łączy pewna... Wspólnota interesów? Zwłaszcza że obydwie otoczone są monarchiami? ^ - Nie wtedy, gdy ta druga wydaje się być prawdziwą republiką - wypa-

bez ogródek de With. Tromp szybko rozejrzał się wokół, lecz nikogo

ich

Oby.

wateli. Nie mówiąc już o tej przedziwnej koncepcji „powszechnego prawa wyborczego” i takiej dozwolonej tolerancji religijnej, że remonstranci zakreśliłyby się w głowie! - Pokręcił głową. - Czuję, że nasz rząd uznałby takie idee za znacznie bardziej niebezpieczne niż jakakolwiek monarchia.

- Tak śmiało słowa mogą być ryzykowne - ostrzegł go Tromp.

- Naturalnie, że mogą. Czy to jednak znaczy, że się mylę? - De With zaśmiał się ochryple. - A może to z innego powodu miałeś zamiar porzucić służbę, zanim powierzyli ci dowództwo?

Tromp skrzywił się, lecz nie protestował. Nie mógł. Zbyt długo znali się z de Withem, a on doskonale wiedział o jego długoletniej waśni z Filipem van Dorpem.

Dorp był półgłówkiem. Był też bardziej przekupny niż większość ludzi, a ponadto kompletnie nieudolny. Dał tego wystarczająco dobry dowód, żeby zostać odwołanym z funkcji admirała Zelandii, lecz równocześnie był synem arystokraty, jonkheera Frederika van Dorpa, jednego z geźów morskich, który dorobił się własnej baronii w służbie Wilhelma Milczącego. A to znaczyło tyle, że chociaż Zelandia pozbyła się Filipa, Stany Prowincjonalne Holandii uznały za stosowne mianować go admirałem Holandii. Z tego powodu zażarty konflikt między nim a Trompem był nieunikniony. Marynarka miała zbyt istotne znaczenie, by pozwolić idiotcie doprowadzić ją do ruiny na skutek złego zarządzania, a to, że kompieńnie nie umiał sobie poradzić z kaprami z Dunkierki, tylko potwierdzało jego elementarną niekompetencję. Niestety Stany wspólnie z księciem Fryderykiem Henrykiem wyszły z założenia, że arystokrata lepiej będzie sprawować władzę niż człowiek skromniejszego urodzenia... tak jak Maarten Tromp.

Szczerze mówiąc, zawsze to tak wyglądało. Tromp przypuszczał, że osobiste sojusze i kumoterstwo rządzą całym światem. Nawet w republice holenderskiej szlachetne rody, zwane wspólnie ridderschap, zagarnęły wszystkie najwyższe stanowiska wojskowe. A sytuacja jeszcze się pogorszyła przez ostatnich piętnaście lat, odkąd książę Maurycy zadbał o upokorzenie Johana van Oldenbarnevelta, aby przełamać prymat Stanów Prowincjonalnych Holandii i umocnić kontrolę domu orańskiego nad republiką**

jsie podjąłem jeszcze ostatecznej decyzji o rezygnacji - oznajmił po chwili, a de With parsknął z ewidentną drwiną. - Dobrze, już dobrze! - w końcu, znał mu rację Tromp. - Zamierzałem. Proszę bardzo. Zadowolony?

i Że nie zrobiłeś tego? Naturalnie, że tak. Tylko widzisz, to przez tych amerykańskich zmieniłeś zdanie. A może raczej to stadhouderzy zmienili danie w sprawie Dorpa.

_Jsie chodziło tylko o Amerykanów - powiedział nieco posepnie Tromp- _ Richelieu też się odrobinę przysłużył.

_ Wiem. W takich chwilach człowiek zaczyna się zastanawiać, na czym tak naprawdę zyskał, pozbywając się Dorpa, nieprawdaż?

Tromp chrząknięciem przyznał mu rację i splótł dłonie za plecami. Za-kołysał się na piętach i spojrzał ponownie - tym razem niewiążącym wzro-kiem - na żagle swej floty. Tak bardzo bezpośrednia interwencja Riche-lieu każdego mogła napełnić lękiem, co właśnie zasugerował Witte. Oslawiona błyskotliwość kardynała ustępowała miejsca tylko jego prze-biegłości. Czymkolwiek się zajmował, zawsze przyświecały mu przynaj-mniej trzy różne cele i Trompowi daleko było do szczęścia, gdy się do-wiedział, że to on dostarczył stronice ukradzione z jednej z amerykańskich ksiązek do historii, które sprawiły, że Fryderyk Henryk niezwłocznie za-żądał odwołania Dorpa i mianowania na jego miejsce Trompa.

Sam fakt, że stronice te opisywały „historię”, która jeszcze się nie wy-darzyła - i która już się nigdy nie wydarzy - wystarczył, by zaniepokoić każdego prawdziwego kalwinistę. W swych własnych poglądach Tromp był znacznie bliższy amerykańskiej tolerancji dla wolności sumienia, niż to po sobie pokazywał. Dla niego przekonujące było twierdzenie Szymo-na Episcopiusa²¹, według którego różne spojrzenia na Pismo Święte mogą tylko dopełnić i wzbogacić człowiecze rozumienie czynów Najwyższe-go- Tak samo prywatnie uważał, że bezwzględny nacisk na doktrynę pre-^stynacji, którą wyznawali zagorzali kalwiniści, zdawał się negować i umniejszać wartość wolnej woli człowieka. Niezależnie jednak od wszel-^eJ liberalności religijnej, jaką w skrytości ducha przejawiał, takie maj-strowanie przy życiu, które było mu „przeznaczone”, zanim jeszcze przy-°>H Amerykanie i wyrócili cały świat do góry nogami, zakrawało na c°s nadprzyrodzonego... albo jeszcze gorzej.

^ tym momencie jednak bardziej niż rozważaniami teologicznymi
bi«

^jrnował się tym, że amerykańscy posłannicy w Amsterdamie i ten od Michel

•eu przynosili tak różne ostrzeżenia. Gdyby był zdany tylko na sie-^j mstynkt nakazały by mu wysłuchać uważnie każdego, kto nie zgadza się z kardynałem. Niestety miał wystarczająco wiele informacji o sy^ tych tak zwanych „Stanów Zjednoczonych”, żeby zrozumieć ich desp^cję. Może i chroniła ich potęga Gustawa Adolfa, lecz tę nową republjL zewsząd otaczali nieprzejednani, zaciekli wrogowie. Stali w obliczu ^ najmniej równie wielkiego zagrożenia, jak Zjednoczone Prowincje w tra^ eie długiej wojny z Hiszpanią, lecz oni nie mieli naturalnych granic, któ dla Holandii okazały się wybawieniem. Mimo oslawionego kunsztu swyC|, rzemieślników, morderczej broni i innych cudownych wynalazków, szanse na przetrwanie były niewielkie, nawet z ochroną, jaką oferował Gustaw.

W tych okolicznościach należało do wszystkiego, co mówili, podcho-dzić z rezerwą, jak by to powiedział sam Richelieu. Tromp osobiście ni-gdy nie spotkał żadnego z Amerykanów, lecz rozmawiał z tymi, którzy mieli taką okazję i nawet ci najbardziej zblazowani wychwalali urodę i in. telekt Żydówki, która była ich przedstawicielką. Jej osoba zaimponowała nawet najmniej tolerancyjnym antyremonstrantom, aczkolwiek jej żydow-skie pochodzenie kazało traktować każde jej słowo z nieufnością.

Sam Tromp nie przejmował się jej narodowością ani wyznaniem, ale świadomość, że ogrom niebezpieczeństw czyhających na jej kraj musi mieć wpływ na jej misję, to już co innego. A mimo to...

Potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. Gdyby tylko mieli więcej in-formacji! Strony, które Richelieu posłał przez swego ambasadora, ukazy-wały frustrująco niepełny obraz przyszłości, która mogłaby mieć miejsce. Papier, na którym zostały wydrukowane, a także jakość samego druku -nie wspominając już o ilustracjach zapierających dech w piersiach swym realizmem - były wystarczającym dowodem ich autentyczności. W tych czasach żaden drukarz nie mógłby wytworzyć czegoś takiego; nikt też nie posługiwał się tak dziwnym

angielskim. Bez wątpienia to właśnie dlatego Richelieu wysłał im oryginały, zamiast kazać przepisać ich treść. Jednak przesyłka zawierała niespełna sześć kartek, a to była zbyt krucha podstawa do decydowania o polityce zagranicznej kraju - nawet jeśli te kartki pochodziły z czasów odległych o trzy i pół wieku.

- Chodziło nie tylko o „historię” Amerykanów - mruknął i podniósł wzrok na swego wyższego kompana. - To była przyczyna tego, że Smith i Stany Generalne zwolnili Dorpa i powierzyli dowództwo mnie. I tak między nami, nie jestem zbyt szczęśliwy, wiedząc, że otrzymałem tę funkcję dlatego, że dobrze poradziłem sobie w bitwach, których teraz już nigdy nie dojdzie! Jednak decyzja o zaakceptowaniu

wego dowódcy, którego zaproponował Richelieu innym.

Oczywiście, że tak - zgodził się de With. - wie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że stronic, które postanowił nam wysłać, cholernie dobrze służyły jego celom.

- Daj spokój, Witte! - Tromp zachichotał. - Trudno oczekiwać od kogoś - a już tym bardziej od Richelieu - że wyśle nam coś, co nie służyło jego celom!

„Wiem, wiem. Po prostu... odczuwam niepokój. Zwłaszcza że Richelieu wysłał nam tylko kilka stron, a Amerykanie, którzy nas przed nim ostrzegają, mieli przecież całą książkę.

- Nas nie trzeba przed nim ostrzegać - powiedział oschle Tromp. - Według Fryderyka Henryka w książkach, które pokazali jego przedstawicielom, nie było niczego, co kłóciłoby się z tym, co przysłał nam kardynał.

- Książkę widział całą tę historię? - De With uniósł ze zdziwienia swe krzaczaste brwi.

- Nie całą. Wszyscy twierdzą, że mogliby bez najmniejszego trudu wypełnić swymi książkami kilka galeonów. Pozwolili nam jednak przejrzeć krótką historię naszej republiki. - De With wpatrywał się w niego; porzyty Tromp wzruszył ramionami. - Nie wiem, co w niej było. Nikt mi nie powiedział. I, szczerze mówiąc, wolałbym nie wiedzieć. Najbardziej istotne jednak jest to, że nie było w niej nic, co przeczyłoby słowom Richelieu.

- Ciekawe, czy oni wiedzieli, że mamy coś, z czym możemy porównać ich wersję? - mruknął de With, a Tromp ponownie wzruszył ramionami.

- Mogę cię zapewnić, że my im tego nie powiedzieliśmy - oznajmił Ksycze oschle. - Z drugiej strony zdziwiłbym się niezmiernie, gdyby nie zakładali takiej ewentualności - musieliby być strasznymi głupcami.

- Tak więc obydwie strony pokazują nam wizje przyszłości - przy najmniej teoretycznej - starając się przekonać nas o swoich racjach. - De With zaśmiał się bardzo niewesołym śmiechem. - O ileż prostsze byłoby życie, gdyby nikt nie chciał tak za wszelką cenę wyświadczyć nam przysługi!

- Wiem, co masz na myśli. - Tromp jeszcze kilka razy zakłósał się, następnie pokręcił głową. - Tylko bałwan mógłby uwierzyć w to, że Richelieu pomaga komuś z czystej dobroci serca. W pewnym sensie chyba kogoś, kto myśli w ten sposób. Przynajmniej wiadomo, że cokolwiek

robi, czyni, robi to w swym własnym interesie. A był wystarczająco bystry nam to właśnie uświadomić.

- Tak?

- Naturalnie! - Tromp roześmiał się. - I zwrócił uwagę, że Amerykanie nie postąpią tak samo - że muszą postąpić tak samo, jeśli chcą przetrwać i to jeszcze bardziej niż nasza republika.

- A zależy ci na ich przetrwaniu? - zapytał cicho de With.

- Nie wiem - przyznał Tromp i zacisnął usta w zadumie. - Tak wie] rzeczy u nich wydaje mi się godnych podziwu, nawet przy tych skąpych informacjach, jakich mi udzielono.

Richelieu ma jednak słuszość. Wojna w Niemczech to potworność, podobnie jak boje, które toczyliśmy z Hiszpanami, lecz konflikt, który wywołają te nowe Stany Zjednoczone przyćmi je wszystkie. Chyba że uda się ich niezwłocznie zniszczyć - ale nie wydaje mi się, żeby to miało być tak proste, jak sądzą ich wrogowie.

- Naprawdę tak sądzą? Czy może po prostu muszą tak sądzić? - Na twarzy de Witha malowała się troska. - Jeśli prawdziwe są doniesienia o tym, czego Amerykanie dokonali pod Wartburgiem i Alte Feste, to w połączeniu ze Szwedami Gustawa... Umilkł, a Tromp zmarszczył czoło.

- Ze wszystkich raportów wynika, że Habsburgowie - obydwie gałęzie - są przerażeni taką właśnie kombinacją. Myślę jednak, że Richelieu ocenił to nieco bardziej precyzyjnie.

- Richelieu?

- Rzecz jasna, nie oznajmił nam tego tak dobitnie. Gdyby jednak nie był przekonany, że można się z tymi Amerykanami uporać, to z całą pewnością szukałby sposobu, żeby wplątać ich w swoją sieć, a nie starał się nam uświadomić, jaką groźbę dla nas stanowią. On widzi w nich zagrożenie. I to poważne zagrożenie. Gdyby jednak myślał, że nie da się ich zwyciężyć, starałby się jakoś z nimi dogadać, zamiast próbować sprzymierzać się przeciwko nim.

-A więc jednak szykuje się do starcia? I oczywiście nakłania nas, byśmy poszli w jego ślady?

- Zgadza się. I wierz mi, chciałbym wiedzieć, czy powinniśmy go posłuchać, czy też nie. Ale jedno jest dla mnie pewne: Szwedzi i Amerykanie nie łatwo nie ulegną. To, co już się stało w Niemczech, to nic w porównaniu z kosztami, jakie będzie musiał ponieść cesarz, żeby oddalić tę groźbę. A wojna ma taki paskudny zwyczaj wlewania się na terytoria innych państw i narodów. To jest chyba prawdziwe niebezpieczeństwo dla nas. Nie jestem) je tak daleko od Turynii i Frankonii, Witte, a w końcu przecież nie \o Habsburgowie będą próbowali rozgromić Amerykanów. Dania, Hiszpania, Cesarstwo, nawet Francja. Nie zdziwiłbym się, *łyby włączyli także Polacy i Rosjanie! Żaden z nich „sasiadów nie zdzierzyłby 'leja w'60-2)" wszystkich cudownych machin w służbie nowego imperium szwedzkiego. A jeśli oni naprawdę tak poważnie myślą o stworzeniu republiki na swoją modłę, to dla Europy będą jeszcze większym zagrożeniem niż Szwecja, która całkowicie zdominowała Bałtyk i północną Europę.

- Mogę nie ufać Richelieu, ale dostrzegam logikę w tym, co mówi. Lepiej wyruszyć i uporać się z hiszpańskimi Habsburgami, póki jeszcze możemy - Usuniemy przynajmniej jedno zagrożenie i ochronimy swoje plecy, gdy przyjdzie nam stawić czoła nowym zagrożeniom, które ci Amerykanie i ich Ognisty Krąg" na nas sprowadzą. Poza tym... - zaśmiał się i wzruszył ramionami - według ksiąg historycznych ty i ja, już" zdruzgotaliśmy flotę Oquendo pod Downs w 1639 roku. Wydaje się nawet, że Richelieu jest dość porzytywany na Filipa IV, że tak prędko ruszył w tę stronę. Nie wiem, czy szpiegi Olivaresa spisali się równie dobrze jak ci Richelieu, ale bez wątpienia coś sprawiło, że Filip wyruszył szybciej, niż zrobił to w tej przyśrodości, z której przybyli Amerykanie. Z tego, co powiedział mi Huygens, wynika, że Richelieu zwrócił się do Hiszpanów z propozycją sojuszu przeciw Amerykanom, lecz odkrył, że Filip woli szukać zwycięstwa w boju i chce narzucić warunki zarówno nam, jak i Francuzom, co da mu wolne ręce, by bezpośrednio zająć się Amerykanami.

-Więc w tym momencie tak naprawdę przesuwamy Downs o jakieś pięć czy sześć lat do przodu. Ale z tego, co mówisz, tym razem Richelieu zdołał przekupić Anglików, by nas wsparli, zamiast stać sobie z boku i wpatywać na cześć papistów!

- Których papistów? Naszych czcigodnych francuskich sprzymierzeńców - Czy naszych śmiertelnych wrogów, hiszpańskich sług szatana? Myślę, że najlepiej będzie skupić się na jednym nieprzyjacielu - odparł Tromp. - A...

^e With nigdy się nie dowiedział, co Tromp chciał powiedzieć, ponieważ okrzyk oka przerwał admirałowi. Obaj unieśli wzrok, wysłuchali ra-j^Ortu, a następnie jak jeden mąż podeszli do relingu i spojrzeli na zachód.

sP«ziH

zy szczerów lądowych mogłyby wziąć skrawki bieli na horyzoncie za śnioną falę Kanału Angielskiego, lecz Tromp i de With zbyt wiele lat na morzu, żeby popełnić taki błąd.

224

David Weber, Eric Flint

- A więc zaczyna się - powiedział tak cicho de With, że Tromp wydawało się, że mówi do siebie.

- Owszem, zaczyna się - mimo to odparł. - I muszę powiedzieć • cieszę się na ich widok.

- Ja także - przytaknął de With.

Połączone eskadry angielsko-francuskie liczyły nieco ponad połowę tego, co sama flota holenderska, lecz jeśli wierzyć doniesieniom ich szpajgów, Oąuendo zmierzał ku nim z ponad setką hiszpańskich i portugalskich okrętów. Była to mniejsza flota niż ta, którą pół wieku wcześniej Medina Sidonia poprowadził przeciwko Anglii, lecz niewiele mniejsza a Oąuendo to nie Medina Sidonia. Dowiódł tego w 1621 roku, pod koniec dwunastoletniego rozejmu z Holandią, kiedy to przełamał holenderską blokadę portów na Kanale Angielskim. Nawet przy wsparciu wszystkich swoich sojuszników połączone siły Trompa tylko nieznacznie przeważały, a wiele hiszpańskich statków było potężniejszych i lepiej uzbrojonych niż jakikolwiek okręt w jego własnej flocie.

- Mam tylko nadzieję, że udźwigną ciężar, gdy przyjdzie do walki - burknął de With, wciąż obserwując marsie sprzymierzeńców.

- Przypuszczam, że już niebawem się dowiemy - odparł Tromp. - Tak czy inaczej.

^azbzml 19

Oficerowie zebrani w głównej kajucie „Santiago” byli pod wieloma względami typowymi przedstawicielami swojej klasy. Co do jednego hi-dalgowie, z dziko przyszyżonymi wąsami

i brodą, wydatnymi hiszpańskimi nosami i bogatym odzieniem mieniącym się od haftów i klejnotów. Stali z absolutną pewnością siebie, z pychą odziedziczoną po konkwistadorach, którzy podbili imperia, a złoto Meksyku i Andów wycisnęli do hiszpańskich kufrów niczym inkaskie łyżki. Nieśli w sobie spuściznę Don Juana de Austrii, zwycięzcy spod Lepanto, Gonzalo de Cordoby, ojca niezwyciężonych tercios, i Cortesa, pogromcy Montezumy i Cuauhtemoca. Wszelkie błahе porażki, które mogli ponieść po drodze - jak to drobne niepowodzenie Medyny Sidonii i jego Armady - nie były w stanie przebić Pancerza tej pewności siebie.

Don Antonio de Oajendo miał tego świadomość. W końcu ich pochódzenie było również jego pochodzeniem. Jednak miał też świadomość tego, że Hiszpania nie może sobie pozwolić na ślepą arogancję. Już nie.

Oczekujący żołnierze przerwali rozmowy w chwili, gdy wkroczył do

Juty wraz z infantem; więcej niż tylko cień nieufności odmalował się na ^Cści twarzy, które obróciły się w jego stronę. Nie było w tym niczego

lwnego. Fragmentaryczne obrazy przyszłości Oajendo w książkach zdo-przez szpiegów księcia Olivaresa pozbawiły go wszelkich złudzeń.

°ze i obrazy były niekompletne, jednak miały wystarczająco czytelne usłanie. To przede wszystkim buta hidalgów, którzy postanowili żyć

chwałą przeszłości, zamiast przyznać się do klęsk teraźniejszości, ska^ Hiszpanię na upadek i niemoc w tamtej drugiej przyszłości. Bezwzgi^ przywołanie własnych oficerów do porządku traktował jako punkt h0 noru.

W tej kwestii na pewno całkowicie zgadzali się ze stojącym obok księciem. Oajendo wciąż nie wiedział, co myśleć o charakterze Don Fernats do. Jednak nawet w tak krótkim czasie, jaki minął, odkąd on i kardynał, infant zaczęli wspólnie pracować nad kształtem kampanii, którą właśnie mieli rozpocząć, Don Antonio przekonał się o nastawieniu młodego księcia. Pomimo swej młodości - a może właśnie dzięki swej młodości - młod-szy brat króla zdawał się rozumieć, że Hiszpania nie zawdzięcza swej wielkości bezmyślnej arogancji. Niezależnie od tego, jak zuchwali byli królowie z bardzo długiej linii władców kastylijskich, którzy na przestrzeni wieków przeprowadzili rekonkwistę oraz zjednoczyli Hiszpanię, nie byli oni ani głupi, ani skłonni do lekceważenia swych wrogów.

Gdy Oajendo przyjrzał się zgromadzonym oficerom, od razu wiedział, że sława zwycięzcy pomogła mu przełamać także ich głupotę. Może i byli arogancy i pogardliwi wobec nieprzyjaciół, lecz nawet jego podwładni mieli świadomość tego, że przez czterdzieści lat ci przekłęci Holendrzy i Anglicy poniżali i upokarzali dumną Hiszpanię na wodach całego świata. Królewskie tercios święciły triumfy na lądzie, lecz zwycięstwa na morzu - zwłaszcza poza Morzem Śródziemnym - zdarzały się tylko od święta, a to znaczyło, że jego własne dokonania otaczają go specjalną aurą. nawet wtedy, gdy ich ganił.

Jego surowe oblicze niemal złagodniało, gdy przypominał sobie nara-dy wojenne, w trakcie których to ganienie się odbywało. Zduślił jednak uśmiech i podszedł do szczytu stołu w towarzystwie Don Fernando.

- Widzę, że zebraliśmy się już wszyscy - zauważył sucho, gdy razem z infantem zasiedli na przygotowanych krzesłach. Gestem dłoni kazał pozostałym, by również usiedli. Pomimo względnie okazałych rozmiarów kajuty miejsce było na wagę złota. Znajdowało się tam stanowczo zbyt mało krzesel stanowczo zbyt mało krzesel, a walka na spojrzenia szaleje ca do chwili, gdy w końcu rozdysponowano wszystkie miejsca siedzą^przywodziła mu na myśl pomieszczenie pełne kocurów.

„Dziwne - pomyślał. - Taki obraz nigdy nie przyszedłby mi do gł^* gdybym nie przeczytał tych stron z amerykańskich książek”.

Odsunął tę myśl od siebie i wyprostował się na krześle. Oficerowi i ci siedzący, i ci stojący - ponownie zebrał się wokół stołu.

„Nie zajmę wam wiele czasu, panowie - zapewnię ich, po czym jego spojrzenie omiotło krąg twarzy. - Wszyscy znacie nasz cel i nasze plany. Przed rano Don Mateo - uprzejmym gestem wskazał na Don Mateo de Fontal - kapitana „Princessy” - rozmawiał z kapitanem angielskiego statku kupieckiego. Potwierdza on, że Tromp i de With rzeczywiście wznowili blokadę Dunkierki i Ostendy.

„Wydaje się, że nie są zainteresowani szukaniem nas. Najwyraźniej są przekonani, że niezwłocznie wyruszę, by jeszcze raz przełamać blokadę. a wtedy oni i ich sprzymierzeńcy opadną nas niczym wataha wilków. W tych okolicznościach... - uśmiechnął się blade, a w kajucie rzeczywiście rozległo się jakby ciche warczenie sfory drapieżników - ...nie widzę powodu, dla którego miałibyśmy ich zawieść.

- Proszę wybaczyć, Don Antonio - odezwał się z szacunkiem jeden z kapitanów - lecz czy z twych słów mamy wnioskować, że wszystko ma nadal przebiegać tak, jak zaplanowano?

- Dokładnie tak - odparł Oquendo. Złośliwie zastanawiał się, jak można by inaczej zinterpretować to, co przed chwilą powiedział. Nie pozwolił jednak, by zdradził go choćby ślad tej myśli. W końcu przecież zawsze się starał, by mieć pewność, że jego podwładni narażą nawet swą godność, zadając takie właśnie pytania, jeśli tylko w ich umysłach pojawi się jakakolwiek wątpliwość.

- Rzecz jasna, nie można być absolutnie pewnym, że wszystko potoczy się zgodnie z naszymi planami - kontynuował. - W tej chwili wydaje się jednak, że Bóg nam sprzyja. Naszym zadaniem jest nie dopuścić do zmarnowania sposobności, jaką dał nam Pan.

* * *

- Przynajmniej Don Antonio jest punktualny - rzucił drwiąco Maarten Tromp do kapitana Mastenbroeka.

Stał na rufowce swego okrętu flagowego obok kapitana „Amelii” i spojrzawszy przez lunetę na nadpływającą flotę hiszpańską. Mosiężny przyrząd był ciężki i nieporęczny. Lata praktyki pozwalały sprawnie nim operować, lecz nawet teraz jakąś częścią umysłu przywołał z zazdrością obraz „metki”, którą Amerykanie zaprezentowali Fryderykowi Henrykowi. Jacek próbował zaprezentować. Książę pomny tego, że musi utrzymać pewien dystans wobec Amerykanów, przyjął ich tylko przez pośred-

nia - Huygens pozwolił mu obejrzeć ów przyrząd optyczny w tym samym czasie, kiedy pokazywał mu stronice przysłane przez Richelieu.

Wzrostająca przejrzystość obrazu, lekkość piórka, a także kunsztowne wykonanie lornetki stanowiły wystarczające dowody cudów, do których zdolni byli amerykańscy rzemieślnicy.

Trompa rozboleło już oko od wpatrywania się w szkło, lecz nie rwał obserwacji, dopóki nie poczuł się całkowicie usatysfakcjonowany. Hiszpańskie eskadry odważnie nadciągały w szeregach. Umiejętnościami żeglarskimi nie dorównywali Holendrom, jednak zachowywali bardziej zwarty szyk niż jego własne statki. Robiło to wrażenie, lecz po Oquendo nie spodziewał się przecież niczego innego. A poza tym idealna formacja to nie wszystko. Prawdę mówiąc, to tyle co nic.

- Wyglądają na dość pewnych siebie - zauważył Mastenbroek; Tromp prychnął. Kapitan emanował zadowoleniem, gdy tak mierzył wzrokiem zbliżające się okręty nieprzyjaciela, niczym lew rozważający, którą antylopę pożre na obiad. Miał do tego pełne prawo. To równiutkie ustawienie nie na wiele zda się Hiszpanom, gdy wilki morskie Trompa dobiorą się do nich!

Nie czuł potrzeby wydawania jakichkolwiek dodatkowych rozkazów. Wysyłanie posłańców w łodziach trwałoby zbyt długo, a czas był najcenniejszą rzeczą, jaką mógł mieć dowódca marynarki. Poza tym wszyscy jego kapitanowie, poczynając od de Witha, i członkowie

wszystkich załóg doskonale wiedzieli, jakie mają obowiązki - tak więc tylko skinął Mastenbroekowi głową.

- W rzeczy samej - powiedział. - Wyglądają na pewnych siebie. Najwyższy czas, żebyśmy coś na to poradzili, kapitanie. Bądźcie tak dobrzy i cała naprzód.

Mastenbroek kiwnął głową i zaczął wykrzykiwać rozkazy. W większości flot zajmowałyby się tym oficer nawigacyjny, a nie kapitan okrętu. Ale tylko dlatego, że większość „flot” powierzała dowodzenie ludziom, których jedynym rzemiosłem była wojna - zawodowym żołnierzom, a nie zawodowym żeglarzom. Tacy ludzie niebywale umiejętnie toczyli bitwy, nigdy jednak nie opanowali sztuki kierowania statkiem pod żaglami. Było to zresztą zadanie tak skomplikowane, że należało się go uczyć przez całe życie.

Holenderska marynarka wojenna była jednak inna. To właśnie ona bardziej nawet niż wojska lądowe - sprawiła, że Holandia potrafiła odzyskać wolność z rąk hiszpańskich i utrzymać ją, a z biegiem czasu wyrzuciła nowy gatunek oficerów marynarki. Ludzi, którzy byli zarówno

wodowymi żołnierzami, jak i zawodowymi żeglarzami. Ludzi takich kapitan Jan

Mastenbroek bądź też Maarten Tromp we własnej osobie jsja rozkaz Mastenbroeka załoga zaczęła wdrapywać się po wantach. Rozbiegł się po rejach, stawiając kolejne żagle i „Amelia” pochyliła się [elck^o Pot* naPorem dodatkowych żagli, ruszając postem na wroga.

Reszta holenderskich statków natychmiast podążyła za nią. Kilka z nich rozpoczęło zacieklą walkę o pierwsze miejsce, chcąc prześcignąć flagowiec i najszybciej dotrzeć do Hiszpanów.

- Nie możemy na to pozwolić, kapitanie! - powiedział Tromp i wskazał palcem na sześćdziesięciodziałowy „Dordrecht”, gdy ten zaczął wyprzedzać „Amelię”. Mastenbroek spojrzał gniewnie na „Dordrechta” i rzucił swym ludziom parę komend, a potem rozkwitły nowe żagle, gdy załoga postawiła bramsle i „Amelia” znów wysunęła się do przodu.

Tromp kiwnął głową z zadowoleniem. Kapitan „Dordrechta” równie chętnie dobrałby się do nieprzyjaciela. Jego pewność siebie dobrze wróżyła i Trompa uszczęśliwił ten widok, lecz to nie znaczyło, że pozwoli „Dordrechtowi” zwyciężyć w tym wyścigu. Admirał nie był ślepy na ironię sytuacji, w której dwóch normalnie rozsądnych mężczyzn ściga się, kto pierwszy będzie mógł wystawić się na ogień z nieprzyjacielskich armat; jednak to właśnie ten zapal, ten gwałtowny pęd, aby rzucić się własnym ciałem na wroga, czyniły Holendrów tak niebezpiecznymi na morzu. Tromp dostrzegał i podziwiał dyscyplinę, z jaką statki Oquendo utrzymywały formację, nawet gdy sprzymierzone siły płynęły wprost na nich, lecz raz po raz mieszkańcy Republiki Zjednoczonych Prowincji udowadniali, że sama dyscyplina to jeszcze za mało.

Żadnej formacji, nieważne jak bardzo zdyscyplinowanej, nie udało się utrzymać wobec okrutnej i bezlitosnej napaści, która była holenderską specjalnością. Bezgranicznie ufny w zdolności i doświadczenie swych kapitanów i załóg, Tromp postanowił doprowadzić do bezpośredniego starcia najszybciej, jak to tylko możliwe. W takiej walce Holendrzy byli najlepsi - padną dwójkami i trójkami bardziej masywnych Hiszpanów i zamkną ich w okrutnej wzmianie druzgocących ciosów z bliskiej odległości. Lecz nie na tyle bliskiej, żeby pozwolić wrogowi na abordaż i wykorzystanie bWej tradycyjnej przewagi liczebnej w walce wręcz. Tromp i jego kapitanowie wezmą przykład z barona Effinghama. Zbombardują Hiszpanów ogniem artyleryjskim, tak jak on to zrobił - tyle że ich działa są znacznie lepsze niż te, która flota królowej Elżbiety była w stanie wytoczyć przeciwko Medinie Sidonii. I dlatego Effingham zmuszony był uderzyć i uciec - Holendrzy zaś uderzą i zostaną w miejscu, siejąc zniszczenie, aż

do końca i ta armada rozpadnie się w pył.

Tromp omówił swe plany nie tylko z de Withem i własnymi kapitanami, lecz także z dowódcami francuskimi i angielskimi sprzymierzeńców Hrabia de Martignac, francuski admirał, patrzył z powątpiewaniem, że tego właśnie Tromp się spodziewał. I, szczerze

mówiąc, właśnie dlatego zorganizował flotę w ten sposób. Holendrzy poprowadzą atak, szarżuje wprost na Hiszpanów, którzy są na tyle uprzejmi, że staną po zawietrznej a Francuzi i Anglicy ruszą w ślad za nimi. Oficjalnie miało to umożliwić jego sprzymierzeńcom gwałtowne przechylenie szali zwycięstwa, gdy zobaczą już, jak rozwija się sytuacja. Prawda była jednak taka, że nie był do końca przekonany, czy sprostają takiej bestialskiej walce, do jakiej zamierzał doprowadzić. Jeśli mieliby się zawahać przed doprowadzeniem do starcia, wolał mieć ich za plecami niż przed sobą.

Prawdopodobnie był niesprawiedliwy, powątpiewając w ich determinację. Sir John Tobias, dowódca Anglików, na pewno wolałby być gdzie indziej. W trakcie obydwu spotkań z Trompem był przygaszony, niemal chłodny. Jednak admirał podejrzewał, że niechęć ze strony Tobiasa odzwierciedla raczej uprzedzenia, jakie jego monarcha żywił wobec Holendrów niż brak odwagi.

Dystans malał stopniowo, lecz bardzo powoli. Nawet w optymalnych warunkach dobrze było, jeśli statek potrafił rozwinać prędkość ośmiu węzłów. Przy obecnym stanie morza i wiatru sprzymierzona flota zbliżała się do Hiszpanów z prędkością trzech lub czterech węzłów i zdawało się to trwać wieki. „Amelia” na czele rozpychających się, torujących sobie drogę łokciami Holendrów, którzy na wyścigi starali się dotrzeć do nieprzyjaciela, wpłynęła już w teoretycznie maksymalny zasięg hiszpańskich dział. Możliwości tych armat prezentowane na lądzie nie miały jednak znaczenia - żaden kanonier (a już na pewno żaden hiszpański kanonier) nie byłby w stanie trafić w cel z pokładu płynącego okrętu z odległości blisko dwóch kilometrów. Poza tym druzgocący wpływ na morale pierwszej, dokładnie wymierzonej salwy burtowej był zbyt cenny, żeby go roztrwonić na cokolwiek powyżej odległości skutecznego ognia... a ona stanowiła najwyżej jedną dziesiątą maksimum.

„Amelia” zbliżająca się z prędkością może dziesięćdziesięciu metrów na minutę potrzebowałaby około kwadransa, żeby znaleźć się w takiej odległości od najbliższego wrogiego okrętu. To wolne, stopniowe zbliżanie się do rzezi zawsze było dla Maartena Trompa najtrudniejszą rzeczą. Doświadczał już tego zbyt wiele razy, a jego pamięć i pobudzona i

obrażnia odgrywały przeciw nim każdą z poprzednich bitew, wszystkie razy, wszystkie okropieństwa, gdy jego okręt znowu niósł go i bliźnięcie w sam środek kolejnej jatki. Jednak wszystkie te wspomnienia i wyobrażenia - podobnie jak doświadczenia, które je zrodziły - były czynnikiem, z czym Tromp już dawno temu nauczył się sobie radzić, więc starczyło odsunąć od siebie te myśli.

Zamiast tego spojrzał wstecz i kiwnął głową z zadowoleniem. Między okrętami sprzymierzeńców i jego własnymi powstała pokaźna luka, lecz tego właśnie należało się spodziewać. Eskadry Francuzów i Anglików nie potrafiły równie instynktownie jak jego własne przewidzieć sposobu rozumowania Trompa i zostały nieco w tyle, gdy on ruszył na Oquendo. Dołożywszy do tego ich początkową pozycję najdalej na nawietrznej, okazało się, że byli co najmniej czterdzieści do pięćdziesięciu minut za „Amelią”. Bardzo się jednak starali ich dogonić, a Tobias już właściwie wyprzedzał Francuzów. Anglik najwyraźniej zamierzał znaleźć się w wirze walki, niezależnie od tego, czy lubił Holendrów, czy też nie! Tromp uśmiechnął się na tę myśl, lecz głuchy odgłos wystrzału z armaty sprawił, że znowu skupił się na swym zadaniu. Ponownie spojrzał przed siebie i na jego twarzy odmalowała się mieszanina uśmiechu i grymasu - w jakiś sposób „Dordrecht” jednak prześcignął „Amelię” i dopadł do pierwszego z hiszpańskich statków. Załoga już refowała żagle, spowalniając okręt, lecz równocześnie zmniejszając powierzchnię ostrzału. Słyszał, jak żeglarze wiwatują w przerwach między miazdzącymi wystrzałami.

Kapitan Mastenbroek wyryczał własne komendy i jak za sprawą czarowiczki zniknęły grot i fok podwiązane do reju - „Amelia”, tak samo jak „Dordrecht”, została ogołocona do samych

marsli. Okręt zwolnił, a pokład zaczął wibrować i dygotać pod stopami Trompa niczym żywa istota, gdy ^iała wyjechały ze straszliwym piskiem drewnianych lawet.

- Tam! - krzyknął na całe gardło, by przedrzeć się przez zgiełk. Ma-stenbroek spojrział na niego. - Tam! - krzyknął ponownie admirał i wska-^ na galeon w środku drugiej eskadry Hiszpanów. - To jest wasz cel, kaPitanie!

tan

^zrok Mastenbroeka podążył we wskazanym kierunku, po czym kapi-p^^Jechnął się okrutnie, rozpoznawszy sztandar króla Hiszpanii, trze-ci} ^ na szczycie grotmasztu. Kiwnął głową ze zrozumieniem i odwró-ćę do swego sternika, gestykulując i wskazując palcem. Tromp przypatrywał mu się przez chwilę, a następnie mruknął z zadowoleniem gdy, Amelia" lekko zmieniła kurs, aby ruszyć wprost na flagowiec C^J^

Rozległ się grzmot i dudnienie kolejnych dział. „Breda" podążyć ° „Dordrechtem" w paszczę hiszpańskich eskadr, a potem - wreszcie deszła kolej na „Amelię".

Okręt flagowy zbliżył się na niespełna dwieście metrów do „Santia go". Drewniane deski pokładu zdawały się podskakiwać i uderzać w po^ deszwy butów Trompa za każdym razem, gdy ryk dział targał p0Wje trzem. „Amelia" miała dwadzieścia dwie dwudziestoczerofunto\Ve armaty na dolnym pokładzie i dwadzieścia cztery dwunastofuntowe ar maty na górnym; sterburta zniknęła w chmurze bluzgających płomieni i gryzącego dymu prochowego. Zanim wznoszący się dym przesłoni} mu widok, Tromp dostrzegł ciężki pocisk wgrzyzający się w burzę „San-tiago". Z tak małej odległości dwudziestoczerofuntówka z łatwością przebiła się nawet przez grube drewno hiszpańskiego okrętu. Poszarpane otwory w zewnętrznym poszyciu „Santiago" wyglądały niegroźnie, lecz doświadczony Tromp wyobraził sobie straszną rzeź na zatłoczonym pokładzie działowym, gdy pięcioipółcalowe kule wybuchły wśród gradu śmiercionośnych drzazg... jeżeli tylko fragmenty kadłuba, które mogły osiągać blisko dwa metry długości i grubość ludzkiego nadgarstka, dało się określić tak niewinnym terminem jak „drzazgi". Później oślepiający kłęb żrącego dymu przysłonił widok i popłynął z wiatrem w stronę obiektu gniewu „Amelii". Nieprzenikniona chmura nagle jakby się uniosła i bluznęła morderczą wściekłością, gdy burta „Santiago" gruchnęła w odpowiedzi. „Amelia" zadrżała i zakołysała się, gdy wbił się w nią pocisk Hiszpanów, jednak kanonierzy „Santiago" byli mniej doświadczeni od swych holenderskich przeciwników i ich salwa nie była tak precyzyjna. Z trzydziestu lub czter-dziestu wystrzelonych kul raptem około sześciu trafiło „Amelię", nawet z tak bliskiej odległości. Większość kul poszybowała za wysoko. jęcząc i skowycząc niczym dusze potępione, przerażone i zagubione w dym'e Jedna z nich z głuchym trzaskiem przebiła łańciski bezan nad głową Trompa, inne przeszły przez liny z łatwością topora tnącego pajęczynę, a jedna wyryła bruzdę w nadbudówce od sterburty zaledwie kilka metrów od nie-go. Chmura odłamków pofrunęła przez górny pokład i któryś z kanonu rów przy obrotowych serpentynach wrzasnął i zatoczył się, skrywając tw^ w dłoniach. Spomiędzy palców wystawał mu koniec drzazgi grubszejnU jego własny kciuk. Mężczyzna osunął się na pokład. Gdy uderzył z łomotam

. ■ dłonie ześlizgnęły mu się z twarzy, odsłaniając zębaty kawałek l a sterczący ze zmasakrowanego oczodołu.

^0[ejne wrzaski dobiegły spod pokładu, gdy hiszpański pocisk odna-

. Arcoe do burty „Amelii". Krzyki wzmagały się niczym chór samego iizl UJ E uia lecz Tromp miał wyrobiony słuch. Choć odgłosy były potworne, »dnak mogły być znacznie potworniejsze, a wiedział, że „Santiago"zo-' it uszkodzony o wiele poważniej niż „Amelia".

Mastenbroek też to wiedział. Kapitan okrętu flagowego maszero-

,1 tam i z powrotem po pokładzie, machając kapeluszem, by wlać ituchę w serca załogi, równocześnie wykrzykując polecenia, które prze-trwały „Amelię" jeszcze bliżej celu.

Holenderski statek wykreślił i po chwili obydwie flagowce zrównały się w odległości niespełna stu metrów. Bakburta „Amelii” plunęła świeżą furia, a „Santiago” odpowiedział, ledwie widoczny nawet z tak bliska, niczym zjawia rozmyta w obłoku dymu. Tromp również zaczął wymachiwać kapeluszem, zagrzewając ludzi do boju, podczas gdy artylerzyści uwijali się przy działach, jak potępięcy harujący w płomieniach i smrodzie samych otchłani piekielnych.

Ostrzał z obydwu stron stawał się coraz bardziej chaotyczny. Precyzyjnie skoordynowane i skoncentrowane salwy burtowe ustąpiły miejsca szaleńczej wymianie ognia; załogi strzelały niezależnie od siebie, tak szybko, jak tylko były w stanie ładować działa. Wstrząsy setek armat, gdy coraz to nowe okręty z floty Trompa włączały się do starcia, waliły po uszach z siłą młota, a w krótkich przerwach między nimi admirał słyszał wiwaty oraz wrzaski z innych statków.

Kolejne dwa holenderskie okręty, „Joshua” i „Halve Maan”, zaatakowały, by wesprzeć „Amelię” w boju z „Santiago”. Hiszpański „Argonauta” przechwycił „Joshuę” i obydwie rozpoczęły okrutny bitewny taniec, lecz „Halve Maan” zajął pozycję tuż za rufą „Amelii” i rozpoczął bombardowanie prawej burty „Santiago”. Obydwu wrogom Hiszpanie odpowiedzieli ogniem z odwagą i determinacją, jakiej można było oczekiwać od flagowca Oquendo, lecz nawet ów niezłomny okręt znajdował się w coraz poważniejszych tarapatach, gdy dwie holenderskie bestie wbijały w niego pięści.

Siłą woli Tromp oderwał wzrok od „Santiago” i zmusił się do spojrzenia na słońce.

Wydawało się to niemożliwe, lecz beznadziejnie przemierzone jednostki obydwu flot zmagaly się nieugięcie już prawie godzinę.

Ja dosłownie stykała się z reją. „Santiago” dzieliło od burty „Amelii”

raptem kilkanaście metrów, a jego pokład wciąż dygotał, plując raz nienawiścią.

Otrząsnął się niczym pijany i spojrzał na nawietrzną, szukając w kącie sojuszników. Płynąca po lewej chmura dymu wciąż była nieprzegniona, lecz patrząc na sterburtę, widział francuskie i angielskie eskadry, które jeszcze nie brały udziału w bitwie, lecz szybko nadciągały. Francuzi zostali nieco zbyt daleko za Anglikami, lecz teraz to nadrabiali, tłoczy się u żagli z niemal holenderskim zapalem. W rzeczy samej ogarnęło go zdumienie i czuł znacznie większy podziw, niż byłby skłonny przyznać na widok tych dwóch nadciągających eskadr. Jeszcze nie brali udziału w boju, lecz to się wkrótce zmieni, a gdy już uderzą, będzie to jak cięta gigantycznej pięści, która wbija się w sam środek hiszpańskiej formacji niemal wprost za „Amelią”.

Skinął głową z zadowoleniem i ponownie spojrzał na bitwę. Mrużył oczy, starając się przebić wzrokiem dym, aby dostrzec jakieś szczegóły, choć jako admirał z takim doświadczeniem musiał wiedzieć, że jego starania były daremne. Jak zawsze podczas bitwy morskiej, świat każdego z walczących ograniczał się do jego własnego statku, ewentualnie do dwóch czy trzech statków po bokach. To było dosłownie niemożliwe, żeby zobaczyć cokolwiek więcej w tak zwartej i dzikiej potyczce, lecz jakimś cudem był w stanie dostrzec „Brederode” de Witha w okrutnej wymianie ognia z „San Nicolasem”. Hiszpanie zdawali się ugiąć pod ostrzałem „Brederode”, lecz Holendrzy przypłacili to utratą grotmasztu. Inne statki po obydwu stronach również ucierpiały. Trompowi wydawało się - w tych okolicznościach nie mógł mieć pewności - że więcej niż zazwyczaj hiszpańskich pocisków poszybowało za wysoko.

Drzewca „Amelii” praktycznie nie odniosły zniszczeń, aczkolwiek włókna przeciętego olinowania powiewały na wietrze, a w jej marszlach więcej było dziur niż płótna „Brederode” jednak nie był jedynym okrętem, który utracił maszt.

Ale niezależnie od tego, jak bardzo ucierpiały statki Trompa, Hiszpanie byli w znacznie gorszym stanie. Podczas gdy ich kule przelatowały nad pokładami Holendrów, dziurawiąc żagle i tnąc liny, holenderskie działa rozszarpały kadłuby i masakrowały załogi. Okręty niderlandzkie stawały się coraz mniej sterowalne, lecz to już nie mogło ocalić floty Oqaen'

do. Gdziekolwiek pojedyncze okręty holenderskie - zwłaszcza statki ku' piekie - znalazły się w opałach, lecz szala zwycięstwa stanowiącZ° przechylała się na stronę Trompa. Wyczuwał puls i rytm walki, czułJ^ hiszpański ogień słabnie, a jego kanonierzy biorą górę. Szczerze mówiec'

ujewalo go, jak dzielnie Hiszpanie stawiali opór; w podobnych oko-^jościach w innych bitwach flota Oquendo w tym momencie już rato- ałaby S'C ucieczką. Lecz nie dziś. Dziś zostali przy działach, bluzgając jgogiem z determinacją, która w pełni dorównywała holenderskiej.

A to tylko sprawi, że ich ostateczna klęska będzie jeszcze bardziej ja,zeocąca, z czego Tromp zdawał sobie sprawę. Może i jego flotę bru- talnie poraniono, jednak Hiszpanie odnieśli większe obrażenia, a ci, któ- rvm nawet uda się zbiec przed jego okaleczonymi statkami, nie będą już w stanie uciec przed Francuzami i Anglikami, którzy właśnie rzucali się w wir walki. Ostrzał z „Santiago” wreszcie zaczął słabnąć. Popatrzył w tamtym kie- runku. Pokład „Amelii” zasłany był ciałami zabitych, wydzierającymi się rannymi, uciętymi członkami, porwanym olinowaniem, a także poznaczony olbrzymimi plamami krwi. Wszędzie tam, gdzie pociski nieprzyjaciela wgrzyły się w nadburcia, sterczały drewniane kolce; w ulotnych chwilach przedzielających salwy do jego uszu dobiegał smętny brzęk pomp. Gdy dym się przerzedził, zauważył, że jednak hiszpański flagowiec jest w o wie- le gorszym stanie. Jego sterburta wyglądała jak zmiażdżona młotami ko- walskimi - na górnym pokładzie zamiast trzech furt armatnich ziała ol- brzymia rana, a ze szpigatów sączyły się grube i lśniące włókna krwi, jak gdyby ze statku wyciekało życie. Sterty ciał leżały u stóp masztów, prze- ciągnięte tam przez ocalałych członków załogi, aby utworować drogę do dział pokładowych, z których co najmniej sześć zostało unieszkodliwi- nych pociskami „Amelii”. Tromp widział oficerów uwijających się wśród tej rzezi i paniki, uporczywie starających zaprowadzić jakiś porządek, a tak- że jednego oficera - wydawało mu się, że to sam Oquendo - który trzy- ma- ł się kurczowo roztrzaskanego relingu nadbudówki rufowej, podczas gdy krew powoli ściekała mu po nodze.

Nawet tak mężnie walczący okręt nie miał innego wyjścia, jak tylko się P°ddać. Mogło to jeszcze chwilę potrwać, kosztować życie jeszcze kilku ^szpanów, lecz „Santiago” był zbyt uszkodzony, by uciec, a jego załoga 2byt okaleczona, by kontynuować walkę.

Tromp odwrócił się raz jeszcze, wsłuchał w wyjący harmider bitwy, następnie ponownie spojrzął na „Brederode”, ponieważ „Revenge”, okręt gowy Tobiasa, delikatnie zmienił kurs, żeby przejść za burtą De Witha. las bez wątpienia zamierzał ostrzelać „San Nicolasa”, mijając jego a następnie uderzyć w nieosłoniętą burtę Hiszpanów i zmusić i tak strzaskany okręt do posłuszeństwa.

Bukszpryt Anglika był już tylko dwadzieścia metrów od wysokiej ^ bionej rufówki „Brederode”...

I wtedy twarz Maartena Harpertszoona Trompa stała się trupio bl^ pod pokrywającą ją warstwą sadzy i brudu; angielski flagowiec z morderczą siłą wystrzelił pociski wprost w rufę „Brederode”.

Może przez dwa uderzenia serca Tromp tłumaczył sobie, że to wypa dek. Kolosalna pomyłka. Jednak ostrzał był zbyt precyzyjny - działa An glików strzelały dwójkami, górny i dolny pokład. Straszliwa potęga prze mieniła rufę „Brederode” w rozdziawioną paszczę ubojni. Okręt flagowy de Witha był oddalony od „Amelii” o jakieś czterysta metrów, lecz nawet z tej odległości Tromp słyszał angielskie kule dyszą, ce żądzą mordu, rozrywające poszycie, roztrzaskujące kadłub w dzikiej i niepohamowanej furii. Dwudziestoczerofuntowe działo runęło do przodu i roztrzaskało furtę, gdy świszczący pocisk pogruchotał jego lawetę w drob- ny mak. I właśnie wtedy, gdy Tromp z przerażeniem zrozumiał, że ten atak był celowy, fokmaszt „Brederode” runął niczym znużone drzewo. Wypadł za burtę, podczas gdy okręt kołysał się w agonii; do uszu Trompa dobiegło triumfalne wycie Anglików.

Amerykanie mieli rację, odpowiedziała mu jakaś cząstka umysłu. Pró-pozycja Richelieu była zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa.

Obrócił się błyskawicznie, gdy gruchnęły kolejne zmasowane salwy, i żołądek mu się ścisnął na widok następnych „sprzymierzeńców” strze-lających w jego własne okręty. Francuski okręt flagowy przemknął obok „Dordrechta” i plunął ogniem, a tamten cały aż zadygotał. Wcześniej uszkodzony bezanmaszt runął w chmurze dymu, z niebronionej burty po-fruwały drzazgi, a „Dordrecht” zaczął gwałtownie odpadać od wiatru, gdy francuski pocisk uśmiercił sternika i roztrzaskał koło sterowe.

Od triumfu do rozpacz. Przemiana nie zajęła więcej niż minutę - może dwie. Tyle właśnie czasu minęło, zanim Maarten Tromp zrozumiał, że holenderska marynarka wojenna właśnie została zniszczona. Wszędzie, gdzie tylko spojrzął - o ile mógł przebić wzrokiem obłoki dymu i fontall' ny drzazg - francuskie i angielskie okręty wojenne rzygały płomień wściekłością; salwy burtowe wbijały się w potrzaskane i unieruchom^ holenderskie okręty. Teraz już wiedział, dlaczego ostrzał Hiszpanów b> tak „niecelny”. Z takielunkiem zdruzgotanym przez kanonierów Oq^en do jego statki nie będą w stanie umknąć „sojusznikom”.

Rozległy się nowe wiwaty, tym razem ze skapanych we krwi hiszjjj skich pokładów, gdy ujrzeni, że pułapka, którą tak potwornie okup

„m i zdrowiem, opłaciła się. Tromp wzdrygnął się z niedowierza-iyCie”

m gdy pocisk „Revenge” odnalazł drogę do prochowni „Brederode” •flagowiec de Witha zniknął w pojedynczej, straszliwej eksplozji. ' fa eksplozja oraz nagłe uświadomienie sobie, że jego przyjaciel i cała

I i>>a „Brederode” właśnie zginęli, wyrwały Trompa z paraliżu. Otrzą-sał się ' odwrócił wzrok od połamanych fragmentów kadłuba „Bredero-,,• które nadal wznosiły się nad płonącym miejscem jego kaźni. Ma-■ „cnbroek stał mniej niż pięć metrów od niego, lecz kapitan „Amelii” był astygoty w bezruchu, zahipnotyzowany tą symfonią zniszczenia. Najwy-i/niej nie słyszał, że admirał coś do niego krzyczy; nie mrugnął nawet, ady Tromp schwycił go i brutalnie nim potrząsnął.

- Cała naprzód! - warknął Tromp.

Mastenbroek pokręcił głową, starając się otrząsnąć z zamętu, jaki pa-nował w jego głowie.

- Stawiać żagle, już! - rozkazał szorstko Tromp i zatoczył ręką łuk, wskazując na obraz nędzy i rozpacz, na to, co jeszcze do niedawna było ich flotą. - Możemy już tylko uciekać - zachrypiał. - Stawiać żagle, kapi-tanie! Natychmiast stawiać żagle!

1633

239

- Na ostateczne raporty musimy jeszcze poczekać, lecz nie mam wąp-pliwości, co nam powiedzą. - Armand Demerville, hrabia de Martignac. uśmiechnął się niewyraźnie do Don Antonio Oquendo. - Do tej pory na-liczono już ponad sześćdziesiąt okrętów nieprzyjaciela.

- Rozumiem. - Znajdujący się w nadbudówce rufowej „Santiago” Oquendo spoczął na jedynym krześle, które w całości przetrwało bitwę. Cóż, nie tak zupełnie w całości, przypomniał sobie z twarzą zastygła, w bólu. Obite skórą oparcie rozdarło się w trzech miejscach, a jedna po-ręcz została oderwana. To sprawiało, że było to dlań stosowne miejsce: ponieważ chirurdzy zdawali się chętni amputować mu lewą nogę w kolanie.

Decyzja, rzecz jasna, należeć będzie do niego.

Nawet teraz trudno było uwierzyć, że naprawdę im się udało. Warunkiem skuteczności pułapki było to, że Holendrzy nie będą się absolutnie niczego spodziewali aż do momentu, kiedy się w niej znajdą, a to na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe. Zakładając nawet, że żaden z francuskich czy angielskich oficerów nie był na żołdzie Holendrów - tudzież Szwedów - trzeba było liczyć się z załogami. Nawet najkrwawsze groźby nie mogłyby wymóc na nich tego, by trzymali język za zębami. Żadna flota nie jest w stanie powstrzymać swych ludzi przed pijaństwem, tylko ci znajdują się na lądzie, a wystarczyłby jeden jedyny zamroczony trunkiem żeglarz - albo trzeźwy, chełpiący się przed dziwką - żeby ostrzelić Holendrów.

gjheliCLl i na to miał jednak radę. Nazywał to „zapieczętowanymi kazami” - jeszcze jedna koncepcja zaczerpnięta z przyszłości. Nikt z francusko-angielskich sił, poza samymi dowódcami i jednym,

* że dwoma najbardziej zaufanymi kapitanami, nie miał pojęcia o faktycznym planie. Cała reszta dowiedziała się, co ich czeka, dopiero, gdy

• ltki Oquendo pojawiły się w zasięgu wzroku i otworzyli swe zapieczętowane rozkazy - mieli to bowiem uczynić właśnie wówczas.

I poskutkowało - pomyślał posepnie - tylko jakim kosztem”.

„A wasze straty?” - zapytał po chwili Martignaca.

„Żadne” - oznajmił Francuz, po czym machnął niedbale ręką. - No cóż, straciliśmy kilkudziesięciu ludzi, lecz to nic takiego.

- Jakże chciałbym móc rzec to samo - powiedział beznamyślnie Oquendo i nawet Martignac miał tyle przyzwoitości, by odwrócić się ze zmieszaniem.

Wszystkie statki Oquendo przetrwały bitwę, lecz pięć z nich było tak potwornie uszkodzonych, że kazał je porzucić i spalić, a zdumiałby się wielce, gdyby się okazało, że choćby kilkanaście nadaje się do dalszych działań, (idy Holendrzy zorientowali się, co się dzieje, wiele statków było tak zniszczonych - a ich załogi tak rozwścieżone - że nawet nie próbowali się wycofać. Zamiast tego niczym ranne wilki zatopili kły w gardłach swych wrogów i walczyli zaciekle, dopóki nie zostali dosłownie zmiażdżeni. Ich straty w ludziach były potworne... a u Oquendo niewiele mniejsze.

„Holendrzy i my słono zapłaciliśmy za plany twego pana, przyjacielu” - dałdo zrozumienia Martignacowi zza swej kamiennej maski. Okręt Francuza został raptem kilkakrotnie trafiony, gdyż wraz z angielskimi sojusznikami bombardowali Holendrów od tyłu, a on sam, w swoim czystym stroju, wyglądał na tle szczątków i ciał walających się po roztrzaskanych oskach „Santiago” niczym istota z innego świata.

„Oby to było tego warte”.

* * *

Maarten Tromp opadł na krzesło u szczytu stołu. Ciemność wciskała nieugięcie przez potłuczone szyby w oknach kajuty, lecz lampa dawała wystarczająco dużo światła, by ukazać osmalone prochem deski sufitu.

••1 rozległa zaschnięta plama krwi pod jego krzesłem.

^raz z nim siedziało tam pięciu innych mężczyzn o poszarzałych i pełnych niedowierzania twarzach, przytłoczonych katastrofą. Wedle jego wieści byli to kapitanowie wszystkich statków, którym - przynajmniej na

razie - udało się wyrwać z pułapki Richelieu. Mastenbroeka nie było wśród nich; osiemnastofuntowy pocisk przemienił kapitana „Amelii” w krwawą miazgę, gdy flagowiec Trompa wyrwał się z kleszczy unieruchomionych Hiszpanów i Tromp niemal z wdzięcznością przejął po nim dowództwo. Chociaż „Amelia” znalazła się w rozpaczliwym położeniu, walka o to bstatek uszedł wrogom, prawie oderwała jego myśli od klęski, która obróciła jego flotę w perzynę.

Teraz już nie mógł uciec od tych myśli i zacisnął zęby, gdy parnie znów odtworzyła apokaliptyczny koniec „Brederode”.

Uniósł głowę, by spojrzeć na pozostałych pięciu mężczyzn przy stole Pięć okrętów - sześć razem z „Amelią” - z siedemdziesięciu czterech. Możliwe, a nawet prawdopodobne, że jeszcze kilku udało się zbiec, jednak nie mogło ich być wiele. Przypuszczał, że nazwą to „bitwą pod Dun-kierką”, jeśli to w ogóle miało jakiegokolwiek znaczenie. Niezależnie jednak od nazwy, była to najbardziej druzgocąca klęska, jaką Holandia kiedykolwiek poniosła na morzu - a po zniszczeniu floty wybrzeża Zjednoczonych Prowincji stały przed Hiszpanami otworem. Pierścień fortów strzegących południowej granicy w dowolnej chwili mógł zostać oskrzydłony przez Hiszpanów. A...

Po zdradzie Anglii i Francji - szczególnie Francji - nic już nie stanie na drodze Filipowi IV. Od dziesiątek lat zawsze, gdy armia hiszpańska zbyt mocno naciskała Holendrów, interwencja sił francuskich przycupniętych na granicy z Niderlandami Hiszpańskimi usuwała to zagrożenie. Nawet gdy Francuzi nie interweniowali, sama groźba interwencji wystarczała, żeby unieruchomić znaczną część wojsk hiszpańskich.

- Czemu? - dobiegł go ochryply głos jednego z oficerów. - Czemu to uczynili? To jakiś obłąd. Tromp nie odpowiedział, ponieważ sam wciąż w gryzał się w ten problem.

Z perspektywy czasu motywy Anglików wydawały się jasne. Król Karol tak rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, by utrzymać kontrolę nad Anglią za pomocą oddziałów zaciężnych, że to już wydawało się dosłownie jedynym powodem. Pieniądzy, które - Tromp nie miał najmniejszej wątpliwości - po cichu wydobyto z francuskich i hiszpańskich skarbców. Teraz jednak, gdy się nad tym zastanawiał, czuł, że coś jeszcze mu za tym stać. Prawdę mówiąc, ta zdrada angielskiego władcy mogła przysporzyć popularności w oczach jego poddanych, a z całą pewnością w oczach angielskich żeglarzy i kupców! Holendrzy należeli do najgroźniejszych rywali handlowych. Tromp doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Anglicy, zwłaszcza żeglarze i kupcy, wciąż czuli ogromną wściekłość na myśl o masakrze na Ambonie w 1623 roku, kiedy to holenderska Kompania Indii Wschodnich torturowała i zamordowała trzynastu angielskich kupców na Wyspach Korzennych.

Zagadką jednak była rola, jaką odegrali w tej zdradzie Francuzi. Niech szlag hłota przynależność religijną. Przez całe dekady katolicka Francja przeciwstawiała się ambicjom katolickich Hiszpanii i Austrii - najczęściej wspierając wrogich im protestantów - gdyż dynastia Burbonów, panująca we Francji od 1589 roku, znacznie bardziej przejmowała się groźbą, jaką stanowili Habsburgowie niż problemami doktryny chrześcijańskiej. Podobnie było z wcześniejszą dynastią Walezjuszków.

A teraz...

- Co Richelieu sobie myślał? - mruknął ten sam oficer. - On oszalał!

Pozornie miał rację. Gdyby Hiszpanie zdołali ponownie podbić Zjednoczone Prowincje... Wtedy Francja - nad którą już wisiała groźba Habsburgów z Hiszpanii, nie wspominając już o zagrożeniu, jakim były dla interesów francuskich hiszpańskie posiadłości we Włoszech - musiałaby też stawić czoła znacznie potężniejszym Niderlandom Hiszpańskim na północnym wschodzie. Ludność i zasoby całych Niderlandów, zjednoczone pod panowaniem Hiszpanii, byłyby czymś, czego Francja mogła się obawiać.

Tromp przypomniał sobie zasłyszane z drugiej ręki ostrzeżenia, które poselstwo Amerykanów starało się przekazać w Hadze holenderskim władzom. Teraz już wiedział, że raporty, które do niego dotarły, z całą pewnością zostały zniekształcone przez uprzedzenia i odgórne osady oficjeli, którzy bezpośrednio przyjęli Amerykanów. Przeszył go ból na myśl, że Fryderyk Henryk nie chciał osobiście wysłuchać tych przestroż. Sam książę - mimo swej przenikliwości, musiał ulec uprzedzeniom.

"Niech piekło pochłonie tłustych mieszczan! I niech po dwakroć pochłonie wszystkich fanatyków religijnych. I gdzie teraz wasza predestynacja, o sekciarze?"

pomimo zniekształceń i fragmentaryczności tego, co usłyszał, Tromp - Już niemal pewien, że zrozumiał strategię francuskiego kardynała.

drodZe

To nie my byliśmy prawdziwym celem Richelieu - powiedział zasę-y do oficerów zgroma ^e - to ofiara złożona] R°2eśmiał się w duchu.

„Nie myliłeś się, Witte. Amerykanie są niebezpieczni. Po prostu nje zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo. A powinniśmy byli. To właśnie ^ powinniśmy pamiętać, jak podstępny jest umysł Richelieu”.

Ten sam oficer, który przebąkiwał o zdrowiu psychicznym Richelieu wpatrywał się teraz w niego wyczekująco. Tromp usiłował sobie pr2y, pomnieć jego nazwisko, lecz nie mógł. Był to jeden z młodszych ofiCe. rów w jego flocie, niedawno awansowany i po raz pierwszy dowodzący statkiem.

Tromp widział stan jego okrętu. Z zadowoleniem dostrzegł, że wszelkie braki w przenikliwości strategicznej nadrabiał męstwem. Powstrzymując się od odwarknięcia, z trudem udzielił mu spokojnego wyjaśnienia.

- To przez te cholerne amerykańskie książki historyczne, które wszy. scy sobie wryrywają, kapitanie... hm...

- Cuyp, panie admirale. Emanuel Cuyp.

- Kapitanie Cuyp. - Tromp wciągnął głęboko powietrze, co przy wyde-chu zamieniło się w swoisty śmiech. - Historia! Teraz każdemu się wydaje, że może wpłynąć na przyszłość - tyle że od razu stara się zmienić historię wedle własnych upodobań. I w ten właśnie sposób przekształca przyczynę w skutek, a skutek w przyczynę. To „obłąd”, jak raczyliście to ująć, jednak na znacznie wyższym szczeblu niż błaha umiejętność rządzenia krajem.

Sądząc po pustym wyrazie twarzy, Cuyp najwyraźniej wciąż nie poj-mował. Tromp spróbował jeszcze raz.

- Jestem przekonany, że swym myśleniem Richelieu wyprzedza wszyst-kich o dwa kroki, kapitanie. Tutaj w Europie podburzy wszystkich do woj-ny, przyjmując wszelkie konieczne tymczasowe porażki, po to tylko, żeby swobodnie zagarnąć całą resztę świata. A na pewno tyle, ile jest w stanie. Bez wątpienia Amerykę Północną.

Jeden z pozostałych kapitanów skrzywił się. Hans Gerritsz był starszy i bardziej doświadczony niż Cuyp.

- To dosyć ryzykowne, panie admirale. Nie na wiele zdadzą się FraD' cuzom zamorskie posiadłości, jeżeli stracą połowę Francji. Albo nawe* całą.

Tromp pokręcił głową.

- Nie ma takiej możliwości, Hansie. Na pewno nie przez wiele lat £ stanów się. Czy świeżo nakarmiony lew atakuje dozorcę menażerii? A o* że raczej udaje się w kąat klatki, żeby przetrwać posiłek? Zwłaszcza Je to był obfity posiłek.

Przez chwilę Gerritsz rozważał te słowa. W końcu skinął głową-

„Rozumiem, co pan ma na myśli. Richelieu liczy na to, że Hiszpanie slcUpią się na Niderlandach. - Zmarszczył czoło i burknął: -1 pewnie się nie myl!»! w koncu §dy zaczynaliśmy bunt przeciw Hiszpanii, nie mieli-by jeszcze floty. Kto powiedział, że nie możemy jej odbudować?”

Wokół stołu rozległ się cichy pomruk. Mimo zalegającej ciemności Tromp poczuł, że ten dźwięk podnosi go na duchu.

-To prawda. Anglicy, rzecz jasna, przez kilka następnych lat będą po-chłonięci własnymi sprawami. A dając Habsburgom takie zwycięstwo -nie mówiąc już o usunięciu z szachownicy jedynej floty, która mogła przyjść Gustawowi z pomocą na Bałtyku - Richelieu praktycznie zagwa-rantował wybuch kolejnej wielkiej wojny między Habsburgami a Gusta-wem Adolfem. Wojny, która, zwróćcie uwagę, rozegra się na ziemiach habsburskich bądź szwedzkich - nie francuskich.

Chyba że ten plugawy duchowny nie docenił Gustawa Adolfa. Lub też -co byłoby dla niego jeszcze gorsze - amerykańskich sojuszników Szweda. Tromp zachował to jednak dla siebie. W głębi serca miał nadzieję, że ci sami Amerykanie, których przestrogi puszczono mimo uszu, będą w stanie upuścić kardynałowi trochę krwi. W tym momencie była to jednak tylko nie poparta niczym konkretnym nadzieja.

Wziął głęboki oddech i zmusił się do rozważenia ponurych konsekwencji swej obecnej sytuacji. Nie było najmniejszego sensu zastanawiać się nad powrotem do Holandii - zwłaszcza gdy między nim a Amsterdamem czekali Oquendo, Tobias i Martignac. Mógłby się koło nich prześlizgnąć, lecz- w najlepszym razie było to mało prawdopodobne. Wszystkie statki miał uszkodzone, z czego trzy bardzo poważnie. Gdyby go zauważono i chwymano, straciłby na pewno te trzy, a być może nawet wszystkie okręty.

Nie. Powrót do domu nie wchodził w grę. Mógł tylko mieć nadzieję, że oczywiście komuś jeszcze udało się uciec i że przynajmniej jeden statek dotarł do Hagi lub Amsterdamu na tyle wcześnie, żeby chociaż ostrzec Fryderyka Henryka i Stany Generalne, zanim uderzy w nich hisz-panska nawałnica. On zaś...

~ PoPłyniemy do Recife - powiedział. Jeden z kapitanów wzdrygnął się i tylko spojrzała na niego.

nianf0płyn*emy d° Recife ~ Powtórzył- ~ To najbliższa baza, do której **rn SZ3nSę dotrzeć' a Kompania Zachodnioindyjska będzie w stanie °%z°Cnić naS PrzynaJmnieJ kilkoma statkami. Poza tym musimy ich c> zanim Hiszpanie na nich też przypuszczą atak. ^ co z Batawią? - zapytał Hjalmar van Hoist.

To właśnie on się wzdrygnął, a Tromp mruknął cicho ze zrozumieniem Rodzina Holsta wyemigrowała do Zelandii z Danii trzy pokolenia temu Było to po nim widać - wysoki, szeroki w barach, potężnie zbudowany kudłaty, jasnowłose niedźwiedź. Wraz z ojcem i trzema braćmi miał spore udziały w Kompanii Indii Wschodnich.

Jednak fakt, że kapitan „Wappen van Rotterdam” związał swą przyszłość z Holenderskim Imperium Kolonialnym, nie pozbawił go pytania zasadności.

- Batawia? W tym stanie, w jakim są nasze okręty? - Wszyscy zgr0. madzeni skrzywili się, van Hoist nie mniej niż reszta. Tromp pokręcił stanowczo głową. - Musimy gdzieś dokonać napraw. Nie widzę wielkich szans na to, by przy tych zniszczeniach nasze okręty były w stanie opł.nać pół kuli ziemskiej. Wystarczająco ciężko będzie nam przepłynąć przez Atlantyk - szczególnie że nadciąga pora huraganów.

Wyraziwszy swe zdanie, Tromp postanowił nieco odpuścić.

- Musimy jednak zadbać o to, by ostrzeżono gubernatora generalnego Brouwera - rzekł. - Z drugiej strony jestem prawie pewien, że chociaż kilku naszych kupców przekaże mu te wieści. A w tym czasie będzie mi potrzebny twój statek, Hjalmarze. I tak czeka nas wiele trudności, jeśli chcemy wytrwać w Brazylii i na Karaibach.

Przez chwilę Holst wyglądał tak, jakby chciał zaoponować. W końcu jednak opadł na krzesło i nawet jeśli w jego skinieniu głową dało się wy-czuć złość i wyczerpanie, to była w nim też prawdziwa zgoda.

- Wyślemy kogoś z Recife, tak dla pewności - uspokoił go Tromp. -Będę z tobą jednak zupełnie szczery, Hjalmarze: przypuszczam, że w naj-bliższym czasie będą zbyt zajęci własnymi sprawami, żeby przejmować się Batawią, tudzież Indiami.

Nowa fala przygnębienia przelała się przez kajutę, jako że słowa admirała przypomniały wszystkim o nagiej Holandii stojącej w obliczu hisz-pańskiej plagi.

- Tymczasem - kontynuował spokojnie Tromp, spoglądając im nie-ugięcie w oczy - naszą powinnością jest zebranie wszelkich sił. Może być tego wiele, lecz przynajmniej musimy utrzymać imperium. D°P° ki będziemy w stanie, dopóty ani Filip, ani ten łajdak Richelieu nie be^ mogli nas zignorować.

- Być może nie. - Klaus Oversteegen, kapitan „Utrechtu”, zgodził się z jego wisielczym humorem. - Przypuszczam jednak, że prędzej nas niż kilka bezsennych nocy z ich powodu anizeli na odwrót!

| Może i masz rację - przytaknął Tromp i uśmiechnął się blado. - Jeśli jednak nas zignorują, zamierzam dopilnować, żeby tego pożałowali. Rozesłaliśmy wici, żeby każdy statek, który tylko jest w stanie, płynął do Recife. Po powinno wystarczyć, żeby utrzymać Hiszpanów na dystans w czasie, ody my będziemy zbierać siły.

' - Hiszpanów, niewykluczone - zgodził się Holst. - Co jednak z Anglikami i Francuzami? _ O ile się nie mylę, Karol I zbyt będzie zaprzęgnięty aresztowaniami i egzekucjami ludzi, którzy jeszcze niczego nie zrobili, żeby tracić na nas czas. Jeśli chodzi o Richelieu... Uśmiechnął się niewyraźnie.

-Cała ta jego pajęcza sieć opiera się na jednym założeniu: że jego hiszpańscy i angielscy sojusznicy - duńscy też, nie mam co do tego wątpliwości - będą w stanie odpierać dla niego Gustawa Adolfa. Szwedzi i jego mechaniczni czarodziejowie z Ameryki. Ale jeśli nie będą w stanie?

Tromp wzruszył ramionami.

- Zrobimy to, co konieczne. Co do reszty, podejrzewam, że wszyscy ludzie na świecie niedługo przekonają się, że predestynacja to dziedzina, która należy tylko i wyłącznie do Boga Jedyne. Być może w historii zapisze się, że nie tylko my nie posłuchaliśmy ostrzeżenia.

1633

247

^azbzlnl 21

Gdy Melissa wkroczyła do komnat w Wieży Świętego Tomasza, prowadząc za sobą Ritę i Toma Simpsonów, ujrzała, że Gayle Mason i Darryl McCarthy pochylają się nad pokrywą kufra, w którym chowano sprzęt radiowy wtedy, gdy go nie używano. Zapadła już noc, a świece dostarczały zbyt mało światła, żeby można było zobaczyć, czym zajmują się Gayle i Darryl, była jednak przekonana, że właśnie wyciągali radiostację. Na pewno usłyszeli odgłosy eskorty, która towarzyszyła jej i Simpsonom w drodze powrotnej do londyńskiej

Tower - tym bardziej że eskorta była znacznie większa niż za zwyczaj. Sądziła, że Melissa zechce nadać przez radiostację wiadomość, w której zrelacjonuje przebieg dzisiejszego spotkania z hrabią Stratfordem.

- Nie ma potrzeby - oznajmiła. - Dziś w nocy trzeba będzie czekać do oporu. Możliwe, że w ogóle nie będziemy w stanie nic nadać.

Czując brzemień swego wieku, Melissa podeszła do okna wychodzącego na fosę i dalej na Tamizę. Tego właśnie okna używali do zamontowania anteny. Spoglądając w dół, ujrzała angielskich żołnierzy patrolujących nabrzeże. W świetle księżyca była w stanie dostrzec sześciu, a dowodu nimi przynajmniej jeden oficer na koniu.

Nie byli to gwardziści królewscy. Melissa nie miała pewności, lecz zdawało jej się, że to oddział z nowych kompanii najemników, których widziała w drodze do Pałacu Whitehall i z powrotem. Zazwyczaj w nocy Anglicy nie kłopotali się patrolowaniem nabrzeży. Nie sądziła też, żeby Stratford żywił jakieś konkretne podejrzenia w

relacji dyplomatycznego Stanów Zjednoczonych. Jak dotąd hrabia nie jał po sobie poznać, że ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, czego Amerykanie nie mogą dokonać dzięki radiostacji. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy w tym jest „radiostacja”.

— Czemu Richelieu ich nie ostrzegł? - mruknęła sama do siebie. - On zapewne o radiostacji.

Tom Simpson stanął obok niej - uprzejmy jak zazwyczaj, trzymał się od Melissy w dostatecznej odległości, żeby nie spychać jej na bok. Przy jego rozmiarach stanąć w oknie ramię w ramię z Tomem przypominałoby dzielenie okna z niedźwiedziem. Był jednak wystarczająco blisko, żeby złowić wymruczane przez nią słowa.

— I tak, i nie, Melisso. Richelieu na pewno „wie” o radiu. Ale wiedzieć o czymś tylko teoretycznie a naprawdę pojmować... to dwie zupełnie różne rzeczy. On jest w końcu kardynałem, a nie technokratą. Poza tym myślałem, że plan Mike'a z wielkimi masztami radiowymi w Grantville i Magdeburgu przynosi efekty.

Melissa zacisnęła usta. Kwestia wybudowania tych masztów była tematem sporu między nią a Mike'em Stearnsem. Przyczyną wielu drobnych scysji, do jakich dochodziło między nią, członkinią gabinetu, a prezydentem, który ją mianował. Posiedzenia gabinetu pod przewodnictwem Stearnsa nierzadko zamieniały się w koncert wrzasków. Mike należał do rzadkiego typu osób, które pomimo wrodzonej nieugiętości bez problemów wysłuchiwały głosów ludzi, którzy się z nimi nie zgadzają. Mimo dzielących ich różnic tę właśnie cechę Melissa niezwykle u niego ceniła.

Dla Melissy poświęcanie głównych zasobów na budowanie olbrzymich kamiennych wież („na litość boską, wyższych niż niejedna katedra!”), kiedy w Stanach Zjednoczonych wciąż masa osób mieszkała w budach, było kompletnym absurdem. Tym bardziej że owe wieże miały mieć głównie znaczenie prestiżowe. Zaprojektowano je, aby umożliwić Stanom oraz krajom nadawanie na terenie całej środkowej Europy wiadomości dla może Sarstki obywateli wsłuchujących się w swe odbiorniki kryształkowe. Wy-myślny i kosztowny „Głos Ameryki”, którego... nie miał kto słuchać.

Jej usta wykrzywiły się lekko w uśmiechu na to wspomnienie. Podczas tamtej kłótni Melissa była tradycyjnie zgryźliwa. Wspaniale! Zostaniemy Jedną z tych cholernych republik bananowych, które wznoszą pałace, pod gdy mieszkańcy rozpaczliwie szukają pożywienia! Przemawiała też, że Mike uśmiechnął się do niej szeroko, absolutnie nie ujawniając jej zarzutami.

„Pewnego dnia będziemy mieć odbiorniki kryształkowe, Melisso. Pódejdź niż ci się wydaje, o ile się nie mylę. A do tego czasu to będzie coś co Rusczy wołają maskirovka - kamuflaż, podstęp. Gdy nasi wrogowie ujrzą, że stawiamy wysokie na setki metrów wieże, zbudowane niczym katedry - przecież setkom robotników zajmie to całe miesiące - może nje zorientują się, że do wojskowej radiostacji nic takiego nie jest konieczne. A przynajmniej wprowadzi to

zamęt. Nie na zawsze, ale może na \wystar czajaco dlugo. A czy to nie właśnie tym się zajmujemy? Graniem na czas?"

- Cóż, może i nie miałam racji - mruknęła. Kątem oka dostrzegła, że Tom lekko się uśmiecha. Podobnie jak wszyscy znani jej oficerowie z małej armii Stanów Zjednoczonych, Tom również był „lojalistą Stearnsa” Heinrich Schmidt miał na tym punkcie niemal obsesję. Melissa doskonale wiedziała, że gdyby Mike nosił się z takim zamiarem, bez najmniejszego problemu skłoniłby swą armię do zamachu stanu.

Jednak... Mike Stearns nie nosił się z takim zamiarem. Mimo wszelkich różnic między nimi ta konkretna kwestia nie spędzała jej snu z po-wiek. Uparty przywódca - owszem; początkujący dyktator - w żadnym wypadku.

- Może i nie miałam racji - powtórzyła, a następnie odwróciła się od okna i spojrzała na Gayle i Darryla.

- Dziś w nocy chcę wysłać wiadomość, jeżeli będzie to możliwe. Ale może nie być. - Kciuk ponad ramieniem wskazywał na chodzących po nabrzeżu żołnierzy. - Będą nas bacznie obserwować przez jakiś czas, a nie możemy dopuścić do tego, żeby zauważyli antenę.

- Koniec z białymi rękawiczkami, drodzy państwo - wtrąciła się do roz-mowy Rita. - To dlatego Strafford zaprosił nas dziś do pałacu. Król obwie-ścił wprowadzenie w Anglii stanu wyjątkowego. Do Londynu sprowadzo-no nowe „Królewskie Regimenty” - z tego, co wiemy, są też w pozostałych większych miastach. Dokładnie mówiąc, mamy wojnę. To już oficjalne Nazwali się „Ligą Ostendzką”. Anglia, Francja, Hiszpania i Dania. Skrzywiła się.

- Rozumiecie, „zmuszeni do jedności”, aby odeprzeć szwedzką napaś Wyraz twarzy jej męża był równie sarkastyczny.

- Wciąż pozostaje tajemnicą, dlaczego „odpieranie szwedzkiej napa ści” należy rozpocząć od ataku na Holendrów. Wywód Strafforda stał ^ nieco mętny, kiedy hrabia zaczął to wyjaśniać.

- „Mętny!” - parsknęła Melissa. - Ten człowiek mógłby udzielać \& cji greckim sofistom.

ijsiadła ze znużeniem na najbliższej kanapie.

„Ale to chyba nie ma znaczenia, prawda? Mamy wojnę, czy nam się to doba, czy nie. I mimo że Strafford przez cały czas był uosobieniem uprzejmości, jasno dał nam do zrozumienia, że my... - Zatoczyła głową koło, wskazując na wszystkich obecnych w pomieszczeniu, czyli już na •ale poselstwo, ponieważ Friedrich i Nelly Bruch chwilę wcześniej przy-laczyli się do nich. - Jak to ujęła Rita, koniec z białymi rękawiczkami. IUŻ nikt nie udaje, że trzymają nas tutaj, aby ochronić nas przed chorobą, lesteśmy więźniami. Zakładnikami, jeśli nazwać sprawę po imieniu, acz-kolwiek hrabia jest zbyt dobrze ułożony, by wprost użyć tego terminu.

Darryl wyglądał na nieco zaniepokojonego; zerknął na kufer, w któ-rym trzymali radiostację. Gayle zdążyła już opuścić wieko i teraz siedzia-ła na nim opiekuńczo.

- Spokojnie, Darryl - zachichotał Tom. - Szczerze wątpię, żeby czekały nas jakieś niezapowiedziane inspekcje. „Dobrze ułożony” Strafford, jak to ujęła Melissa, bardzo się stara, żeby to wszystko wyglądało możliwie kultu-ralnie. Zapewnił nas, że będziemy przebywać w równie komfortowych wa-runkach, jak dotychczas. Zapewne będą nas uważniej obserwować, lecz jestem przekonany - podobnie jak Melissa i Rita, bo omówiliśmy to w dro-dze powrotnej - że Stratford nadal będzie szanował naszą prywatność.

Darryl burknął coś pod nosem. Melissa nie miała pewności, lecz wyda-wało jej się, że było to „No jasne, Czarny Tom Tyran!”.

Złość wywołana całą sytuacją przez chwilę wzięła nad nią górę.

-Na litość boską! Darryl, czy ty choć raz mógłbyś nie myśleć banała-roi? Thomas Wentworth, hrabia Strafford, to nie jest jakiś łotr z komiksu. Tak naprawdę uważam, że to raczej porządy

człowiek. Po prostu traktuje swe obowiązki serio, kierując się własnymi zasadami. Zrobi to, co uzna za stosowne, w interesie króla i całego państwa - tak jak on to pojmuje - ale nie będzie obrywał muchom skrzydełek.

Twarz Darryla zastygła w oślim uporze. Melissa dobrze pamiętała ten wyraz z czasów, gdy go uczyła.

"Co wiem, to wiem - nie mylić mnie tu faktami".

O dziwo, to wspomnienie poprawiło jej humor. Następne słowa wypowiedziała już ze śmiechem.

"Nieważne zresztą. Beznadziejny przypadek! Czasem się jednak załamam, jak sobie i Harry'emu Leffertowskiemu udało się naprawić tyle samochodów. Jestem przekonana, że to, co z góry zakładaliście, nie zawsze żałuję się z podręcznikiem.

Z lekkim zawstydzeniem Melissa przypomniała sobie, że jeden z tych samochodów należał do niej. Przy pensji nauczyciela nie było jej stać na nowe auto, a szacunkowy rachunek za naprawę, który otrzymała w tacie, przyprawił ją o błąd. Ku jej zaskoczeniu nie minął nawet dzień. B dwóch najbardziej wrzaskliwych i nieznośnych uczniów z jej klasy oferowało swoją pomoc. Za darmo, o ile tylko zapłaci za części.

A później... gruchot chodził jak marzenie.

- To nie to samo - zaprotestował Darryl. - Silniki to nie ludzie. Nie mają pechowych dni ani nigdy nie dostają cioty. - Gayle trzasnęła głową. - Eee, przepraszam za to ostatnie. Nie miało być obraźliwe.

Gayle uśmiechała się, Melissa również. „Nie miało być obraźliwe” - i mówił to szczerze. Oduczyć Darryla prostackiego języka byłoby równie łatwo, jak zabronić kotu polować na myszy. I gdy się teraz nad tym zastanawiała, była właściwie zadowolona. Kiedyś może nadejść taki dzień, że jej własne życie będzie zależało od tego, czy ordynarny młody kot upora się z gładkimi w obejściu arystokratycznymi lwami. Patrząc na niego, Melissa uznała, że wybrała do tego boju właściwego czempiona.

„Owszem, to był gruchot - ale potem, jak Darryl i Harry skończyli robotę, chodził jak marzenie”.

- Będziemy czekać - oznajmiła, wracając do bieżących spraw. - Przede wszystkim nie mogą zobaczyć anteny. To jest jedyna rzecz, która mogłaby zmienić poglądy Strafforda w kwestii przeszukiwania naszych kwater.

- Czekać... jak długo? - zapytała Gayle.

- Tak długo, jak będzie trzeba. Utknęliśmy tu na dłużej, więc absolutnie nie możemy wzbudzać niczych podejrzeń. - Melissa wyjrzała przez okno. - Wciąż za dużo światła, chyba że się zachmurzy, ale na to raczej się dziś nie zanosi.

Oparła dłonie na kolanach i wstała ze zdecydowaniem.

- Może jutro w nocy albo pojutrze, nieważne. Lepiej przyjmijmy do wiadomości, że tegoroczną zimę spędzimy w Tower. A to znaczy, że nie możemy ignorować ryzyka choroby.

- Zerknęła na inny kufer, który skrywał ich zapasy medyczne i profilaktyczne. - Całe szczęście, że zabrał śmiechy to wszystko.

Usłyszała, że Tom się śmieje, i sama również nie mogła się powstrzymać od smętnego uśmiechu. „To wszystko” odnosiło się do kilku kilogramów DDT, które zaczął produkować raczkujący amerykański przemysł chemiczny. Mike Stearns uparł się, żeby poselstwa zabrały wszystko, się da - nie trzeba dodawać, że przy sprzeciwie Melissy.

Wahania zdławiła jednak wszelkie wątpliwości. Potrzebny jej był dobrze naostrzony Autorytet Belferki, żeby wyegzekwować kolejne poleje-

^ Rozpoczynamy operację „Ironsides” - obwieściła.

Darryl natychmiast się skrzywił.

- Ten koleś to potwór! Niech gnije w piekle na wieki!

- Macie wypełniać rozkazy, żołnierzu - warknął Tom. Darryl trwał w swym oślim uporze.

_ To nie ma nic wspólnego z „rozkazami”. Nie powiedziałem, że tego nie zrobię. Po prostu myślę, że to jest popieprzone. Naprawdę popieprzone.

Spojrzał na Melisę i złożył ręce w błagalnym geście.

_ Niech pani da spokój. Błagam! Proszę tylko pomyśleć - chociaż przez chwilę! - czy na pewno nie popełnia pani wielkiego błędu.

Melissa wybuchnęła śmiechem. Podobnie Tom, który tak jak ona spędził miesiące poprzedzające ich wyjazd na misję dyplomatyczną na czytaniu wszystkiego, co tylko wpadło mu w ręce, a było związane z historią siedemnastowiecznej Anglii. A Tom jeszcze dodatkowo - jako że sam był żołnierzem - koncentrował się głównie na sławnych dowódcach tamtych czasów.

- Co was tak śmieszy, do cholery? - burknął ze złością Darryl.

- Ty - odparł natychmiast Tom. - Oczywiście nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale właśnie zacytowałeś samego potwora.

-Że co?

- „Zaklinam was na miłość Jezusa Chrystusa - czyście pewni, że nie błędzicie?”. -

Melissa uśmiechnęła się szeroko. - To jest dość znane powiedzenie. Takimi słowami Oliver Cromwell zwrócił się do Kościoła Szkocji.

* * *

Tej samej nocy w Paryżu młody francuski generał o nazwisku Turenne uważnie przyjrzał się ośmiu oficerom zebranych w salonie domu, który udościępniał mu Richelieu. Większość z nich była równie młoda jak sam Turenne i wszystkich znał osobiście. Własnoręcznie wybrał ich do sztabu nowej armii, którą kardynał polecił mu stworzyć. Armii, której na swe własne Potrzeby Turenne nadał wymyślne miano „Armii Nowego Wzoru”.

Generał wskazał na długi stół ustawiony pod ścianą. Na blacie leżało „Słom niewielkich manuskryptów.

- Po jednym dla każdego. Kardynał polecił jakimś mnichom, żeby skopiowali książki, które zdobył. Przystudiowałem je wszystkie i streściłem

Co uznałem za kluczowe. - Na blacie stolika w rogu był jeszcze inny, go

większy manuskrypt, ale o nim Turenne nie wspomniał. Zostawił później i tylko dla jednego z nich.

- Oczekuję, że w ciągu tygodnia uważnie zapoznacie się z ich treścią ponieważ wtedy zwołamy kolejne zebranie sztabu. W tym momencie

ma-

cie to tylko przeczytać. Nie wątpię, że nadchodzące miesiące upłyną nani na sporach o szczegóły. - Uśmiech, który im posłał, był zarówno przyjazny, jak i... pewny siebie. W swoim rozumieniu Turenne już zaczął na wiązować dobre stosunki z bezpośrednimi podwładnymi. Nie zależało mu na niewolniczym posłuszeństwie. Równocześnie jednak oczekiwał szacunku dla dowódcy. Z tego, co do tej pory udało mu się ustalić, potrafił zachować konieczną równowagę.

Jeden z oficerów, Henri Laporte, przekrzywił głowę.

- Czy jest coś takiego, co wydaje się panu kluczowe? Turenne wzruszył ramionami.

- Trudno to stwierdzić bez odpowiedniego doświadczenia. Ale przy. puszczam, że najbardziej użyteczny - przynajmniej teraz - będzie mój rys amerykańskiej wojny secesyjnej. Zwróćcie szczególną uwagę na opis taktyki kawaleryjskiej stosowanej przez takich oficerów jak... - język zaczął mu się plątać przy wymawianiu nazwisk; Turenne nie mówił płynnie po angielsku - ...Forrest, Morgan, Sheridan... i kilku innych. - Ponownie wzruszył ramionami. - Sami rozumiecie, że znaczna część to moja własna interpretacja. W książkach

historycznych, które zdobył Richelieu, dokładne kwestie taktyczne najczęściej były niejasne... o ile w ogóle o nich wspomiano. Mimo to jedna rzecz wydaje się oczywista.

Większość zgromadzonych oficerów była kawalerzystami. Turenne omiół ich długim i bardzo chłodnym spojrzeniem.

- Niezależnie od tego, jakie romantyczne, średniowieczne wyobrażenia o wojnie kawaleryjskiej nosicie w sobie, dobrze wam radzę czym prędzej je porzucić. Albo wnet każe was zdymisjonować. Wojna, do której teraz przystępujemy, będzie inna od wszystkich. Kardynał...

Zawahał się. Swoją niespodziewany awans i wpływy zawdzięczał całkowiście łasce Richelieu. Daleko mu było do tego, by otwarcie go krytykować. Mimo to był przekonany, że sukces zależeć będzie w olbrzymym stopniu od tego, w jakim stopniu jego nowo utworzony sztab przyswoi sobie lekcje z przeszłości.

Odchrząknął.

- Kardynał Richelieu, jak wszyscy wiecie, jest niebywale przenikliwym i mądrym przywódcą. Nie jest jednak żołnierzem...

ponownie urwał. To nie było do końca sprawiedliwe. Kardynał nadzorował kilka kampanii wojskowych, i to z bardzo bliska.

„A nawet gdyby był - dodał pospiesznie - mógłby źle ocenić sytuację.

Znowu wskazał ręką na manuskrypty. - Gdzieś na tych stronicach znajdziecie bardzo trafne powiedzenie, które tak przypadło mi do gustu, że rzuciłem je za własne motto: „Generałowie planują każdą wojnę jako lślaną” - Kilku oficerów zaśmiało się cicho.

- Tak czy inaczej, podejrzewam, że kardynał nie docenia wpływu, jaki wywrze nowa technologia Amerykanów na taktykę Gustawa Adolfa. - I dodał ostro: - Za to jestem święcie przekonany, wnioskując po jednym przelotnym spotkaniu, że taki właśnie błąd popełni Bernard Weimarski.

Większość oficerów albo się skrzywiła, albo zmarszczyła brwi, albo jedno i drugie. Bernard Sasko-Weimarski dowodził kontrolującym Alzację wojskiem zaciężnym na żołdzie Francji. Pośród oficerów armii francuskiej (zwłaszcza tych młodych lub pośledniego urodzenia) cieszył się złą sławą człowieka aroganckiego i grubiańskiego.

- Pełen pychy Bernard ruszy prosto na Szwedów - wnioskował Turenne. - I możecie być spokojni, że Szwedzi go zgniotą. Nas też by zgniotli, gdybyśmy popełnili ten sam błąd. - Kolejny gest w stronę manuskryptów. - Słabością Szwedów będzie ich logistyka. I w nią właśnie uderzymy, panowie. Zapomnijcie więc o wszelkich porywających szarżach kawalerii. Drogoni - to jest sedno. Będziemy robić wypady, a nie wdawać się w wielkie bitwy; a gdy już do nich dojdzie, wtedy skupimy się na obronie, na ile to możliwe. Jeżeli któryś z was uzna, że to uwłacza jego godności, lepiej niech od razu mnie powiadomi. W naszej taktyce nie zagości wspaniały karakoł, a miejsca na dzikie szarże znajdzie się niezmiernie mało, jeśli w ogóle.

Umilkł wyczekująco. Nie zdziwił się, widząc, że żaden z oficerów nie okazał zakłopotania. Turenne pieczołowicie ich dobrał.

~ Świetnie - powiedział i skinął głową. - Robercie, byłbyś tak łaskaw pozostać jeszcze przez chwilę?

Był to czytelny rozkaz odmaszerowania. Oficerowie podeszli do stołu, każdy wziął dla siebie egzemplarz manuskryptu, a następnie opuścili pomieszczenie. Gdy już wyszli, pozostał tylko manuskrypt dla Roberta duBarry'ego.

Turenne zerknął na niego.

^Ty naturalnie też powinienś to przeczytać. Lecz dla ciebie akurat 1119111 c°ś istotniejszego. - Poprowadził go do stolika w rogu, na którym spoczywał większy manuskrypt.

- Ten jest bardziej technicznej natury, Robercie. Złożyłem go we {jj mych najlepszych starań z dostępnych mi materiałów. - Turenne szybu, naszkicował plan, który miał na myśli. Gdy skończył, zwykle rumian twarz du Barry'ego przybrała ceglastoczerwoną barwę od tłumionej 2j0 SCI.

- Nie dałem ci najmniejszego powodu - ani tobie, ani królowi, ani k^ dynałowi - żeby powątpiewać w moją lojalność. Ponadto...

- Och, zamilcz już! - uciął Turenne. - Robercie, nigdy nie interesowałem się twymi przekonaniami religijnymi. Kardynał też nie. To, że pochodzisz - podobnie jak ja - ze starego hugenockiego rodu, nie ma znaczenia. - „Starego i niesławnego rodu”, mógł dodać. Przodek Robert du Barry'ego, Jean de la Vacquerie, był główną postacią w tak zwanym „sprzysiężeniu z Amboise” w minionym stuleciu.

- „Nie ma znaczenia”, powiedziałem, lecz z jednym wyjątkiem. Absolutnie jednak nie rzuca on na ciebie złego światła. - Turenne położył dłoń na manuskryptach. - Wszystko jest tutaj, Robercie - powiedział cicho. - Wszystko, czego potrzebujemy - a na pewno większość - żeby dotrzymać pola szwedzkiemu władcy i jego amerykańskim czarodziejom. Naturalnie nie od razu. Mam jednak nadzieję, że wkrótce. Książki te zawierają jednak bardzo niewiele szczegółów. Niemal w każdym przypadku mówią nam tylko o tym, do czego była zdolna ich broń, a nie jak ją wykonano. Prawdopodobnie dlatego, że dla ich czytelników było to oczywiste, lecz dla nas nie jest. Mam jednak pewność, że sama wiedza o tym, czego można dokonać, pomoże nam zrozumieć, jak tego dokonać. Tylko że to będzie wymagać znacznej liczby najlepszych mechaników i rusznikarzy z całego świata - a i oni sobie z tym nie poradzą, jeśli nie zostaną odpowiednio zorganizowani i pokierowani. Przez człowieka, który ich rozumie i który będzie w stanie ich poprowadzić.

Du Barry wciąż miał poczerwieniałą twarz, jednak barwa ta powoli zaczynała odpływać.

- Bez protestantów nie da rady - burknął. - Czy kardynał ma tego świadomość? Turenne uśmiechnął się nieco okrutnie.

- Myślę, że więcej niż tylko „moja świadomość”, Robercie. On na10 liczy. - Ruchem głowy wskazał na północ. - Dokąd niby mają się wszyscy ci holenderscy mistrzowie rzemieślniczy, gdy już hiszpańska obcasy przygniotą ich karki do ziemi? Hm?

Turenne przewrócił leniwie kilka pierwszych stron manuskryptu.

Część na pewno do Niemiec. Będą szukali pracy u Szwedów. Nasi zpieczy donoszą nam jednak, że Holendrzy już żywią urazę do Amerykance 23 t0, ^e Ponoc-" uważa się ich za najlepszych rzemieślników na świecie. Tak więc...

* \a obliczu du Barry'ego powoli wykwitł uśmiech. _ Tak więc kardynał proponuje im azyl, czyż nie?

- Azyl- i pracę. I to za godziwą zapłatę. - Turenne również się uśmiechnął. - Gdy się nad tym zastanowić, Holendrom przecież bliżej do portów i miast przemysłowych w północnej Francji niż do środkowych Niemiec. \u nas żaden arogancki i wyniosły Amerykanin nie będzie mówił holerderskim mistrzom rusznikarstwa i obróbki metalu, że w tym fachu sąjesz-cZe nowicjuszami. Będzie tylko stanowczy francuski oficer, który rozumie protestantów i będzie w stanie łagodnie przemówić im do rozumu.

-Ha! - W tym momencie twarz du Barry'ego miała już normalny rumiany kolor.

Zaprotestował tylko dla przyzwoitości. - Nie chciałbym, żeby ktoś myślał, że wymiguję się od walki.

- Robercie, błagam! Przy twojej reputacji? - Oprócz du Barry'ego raptem jeszcze jeden z ośmiu zwołanych oficerów zbliżał się do czterdziestki. Miał na swym koncie dość imponujące osiągnięcia z rozlicznych kampanii francuskich od momentu wybuchu wojny.

-Apoza tym - dodał bez zająknięcia Turenne - wytłumaczę wszystkim, że zdołałem nakłonić cię do podjęcia się tego zadania jedynie dzięki usilnym prośbom i błaganiom.

Obaj mężczyźni roześmiali się. Z uwagi na serdeczność tej chwili Turenne nie widział potrzeby dodawania tego, co mógł dodać.

>A gdybym musiał, wykorzystałbym tajne informacje, których udzielił mi kardynał, żeby cię zaszantażować. Owszem, twojej lojalności nie można zakwestionować. Jednak twój brat już nazajutrz mógłby położyć głowę".

Przemilczał to jednak. Dla Turenne'a wypowiedzenie takich słów było-ky> po pierwsze, czymś skrajnie odrażającym. Po drugie, tak jak i sam karła Richelieu, również niespecjalnie przejmował się sumieniem danego człowieka - jeśli tylko swymi czynami służył wiernie Koronie i ojczyźnie.

"* Ha! - powtórzył du Barry. Turenne wybrał go do tego zadania, po-j^vważ Robertowi, w przeciwieństwie do większości oficerów, nieobcy świat przemysłu. Zgodnie z oczekiwaniami Turenne'a uznał to za in-iereshJące wyzwanie.

u Barry wziął plik kartek i zaczął je wertować. ^asz jakieś sugestie, od czego powinienem zacząć?

Tak się złożyło, że Turenne - ku swemu zaskoczeniu - sam zafase^wał się tym zadaniem.

- Mogę ci powiedzieć, od czego nie powinieneś zaczynać - mruknął Będziesz blisko współpracował z Yvesem Thibaultem - znacie się mniemam?

Robert przytaknął.

- No więc nie pozwól, by staruszek cię przekonał, żeby poświęcić wjele uwagi tej... - po raz kolejny Turenne miał kłopoty z wymową - ^ni odtylcowej", na której punkcie zupełnie oszalał. Rzecz jasna, to on jest mistrzem rusznikarstwa - pozwól mu więc pobawić się kilkoma egzem, plarzami. Kto wie? Może się okazać, że uda mu się je wykonać tak do-brze, że na coś się zdadzą. Ale ma tyrać jak wół, Robercie. Prostota. Ucz się od samych Amerykanów - w tej stercie znajdziesz też wystarczająco wiele raportów naszych szpiegów. Mówią na to „redukcja". Zrób to, co teraz jesteś w stanie, w tak wielkich ilościach, żeby móc to wykorzystać.

Du Barry kiwnął głową; Turenne już widział, że lektura zaczyna go pochłaniać.

„Świetnie. Tego mi właśnie trzeba".

- Kapiszony, Robercie. Z tych materiałów nie dowiedziałem się, jak je wyrabiają, lecz może będziemy w stanie wywnioskować. I gwintowa-ne muszkiety - nie różnią się tak bardzo od dzisiejszej broni do polowa-nia. Tylko że mają przemyślne amerykańskie rozwiązanie, które umożli-wia szybkie przeładowanie w trakcie bitwy. Znowu nie wiem dokładnie, jak to działa. Książki Richelieu były zbyt mało precyzyjne. Musisz się tego dowiedzieć - próbuj, eksperymentuj. Można tego dokonać, Robercie. Gigantyczne armie, większe niż jakiegokolwiek z obecnych, prowadzi-ły walkę pozycyjną przy użyciu gwintowanych muszkietów - broni od-przodowej, nie odtylcowej - które jakimś sposobem pozwalały utrzymywać fenomenalną szybkość strzału. Trzy pociski na minutę - a precyzyjne na odległość kilkuset metrów.

Du Barry wybałuszył oczy. Turenne uśmiechnął się szeroko.

- Najlepsze w tym wszystkim jest jednak to, że... nazwali je „pociskami Minié". Które to - ha! - wymyślił Francuz.

Du Barry jeszcze bardziej wybałuszył oczy. Turenne ponownie sięza śmiał.

- Ależ tak! Witaj w nowym świecie, Robercie - kto powiedział, że & może on należeć do Francuzów?

czòzmi ZZ

- Ulice ogarnął chaos - oznajmiła Rebeka, wchodząc frontowymi drzwiami domu amerykańskiego poselstwa w Hadze. - Nie udało mi się nawet dotrzeć na audiencję u księcia. Heinrich Schmidt wszedł za nią i zamknął drzwi.

- To zresztą chyba i tak bez znaczenia. Wieść głosi, że Fryderyk Henryk wyjechał wczoraj z Hagi. Część twierdzi, że ruszył na północ, żeby dowiedzieć się, co się stało. Inni uważają, że na południe lub na wschód, żeby podnieść morale wojsk holenderskich strzegących linii fortów.

Rebeka westchnęła i potarła twarz.

-Wszędzie tylko plotki. Na każdym rogu stoją gromadki ludzi spierających się i rozpuszczających pogłoski. Kto wie, co się naprawdę dzieje?

Gretchen skrzywiła się. Siedzący obok niej na kanapie Jeff zaczerpnął głęboko powietrza.

~Hm... Jeśli Fryderyk Henryk wyjechał... to razem z nim przepadła 'ansa' żeby porozmawiać z kimś, kto nas wysłucha.

Rebeka podeszła do najbliższego krzesła.

- Zgadza się. - Usiadła i ze złością uderzyła dłońmi w oparcie. -Odkłóćcie się od Holenderów i przestańcie obsesję na punkcie sekciarstwa! niim przykryjemy, mieszczanie i regenci postrzegają nas jako „ar-

lan". Zupełnie jakbyśmy się przejmowali ich głupimi sporami doktryny!

Heinrich oparł się o drzwi i wyszczerzył szyderczo zęby.

- Kalwiniści, czego się spodziewałaś? Jeżeli tak samo jak my poświęć rąz wolność sumienia, to jesteś dla nich czarcim pomiotem, Rebeko, A. minianie, wilki diabła odziane w owczą skórę.

Rebeka kiwnęła ze znużeniem głową. W ówczesnym języku zagórza kalwiniści nazywali arminianizmem umiarkowane tendencje w obrębie samego kalwinizmu. Termin ten był niejasny i każdy rozumiał go inaczej jako że do jednego worka wrzucano tak różnych ludzi i szkoły myślenia jak Holender Grocjusz (teraz na wygnaniu) czy stronnictwo biskupa Laudę w Anglii.

Jednak to właśnie ta niejasność działała na korzyść zagorzałych kalwinistów z Republiki Zjednoczonych Prowincji. Pod oficjalną warstwą teologiczną kryły się korzyści materialne; tak naprawdę w grę wchodziło tyle samo religii, co polityki i ekonomii. W Holandii bastiony radykalnych kalwinistów - zwano ich antyremonstrantami - miały swe siedziby w takich miastach, jak Haarlem, Lejda czy Utrecht: głównie w miastach przemysłowych, których dobrobyt zależał w dużej mierze od handlu tekstyliami. Wrogie stosunki z Hiszpanią były po ich myśli, ponieważ holenderska blokada wybrzeża flandryjskiego i panowanie nad ujściem Renu chroniły ich przed flamandzkimi i brabanckimi konkurentami z Niderlandów Hiszpańskich. Dlatego też byli wrogo nastawieni do jakichkolwiek tendencji wewnątrz Zjednoczonych Prowincji, które sugerowały możliwość ugody z Hiszpanią ze względów teologicznych.

Warowniami holenderskiego arminianizmu były główne miasta portowe, czyli Rotterdam i Amsterdam, a także mniejsze miasta - Dordrecht, Alkmaar i Delft. Te miasta z kolei

uzależniały swój dobrobyt od handlu i rybołówstwa, i dla nich działania wojenne ciągnące się od zakończenia dwunastoletniego rozejmu w 1621 roku były olbrzymim ciężarem. Dla właścicielei manufaktur tekstylnych - bądź też zelandzkich kupców, którzy żyli z handlu wewnętrznego - był to powód, by elokwentnie i żarliwie* rozprawiać na temat antychrysta i kłamliwości papizmu. To w końcu o»e ich statki przechwytywali nieopodal Dunkierki kaprowie opłacani Przez Hiszpanów; to nie ich handel z Iberią i Lewantem legł w gruzach; to ro* nie» nie ich łowiska śledziowe cierpiały.

Całą tę sytuację komplikowała jeszcze zadawniona rywalizacja między różnymi frakcjami holenderskiego rządu, który był złożoną Jednością, między Holandią i pozostałymi sześcioma prowincjami, między miastami miejskimi, Stanami Prowincjonalnymi i Stanami Generalnym' konflikt między kupieckimi oligarchami, którzy dominowali w miastach Holandii, i arystokracją, wciąż przeważającą w bardziej rolniczych regionach. L. Nadrzedna w tym wszystkim była chyba jednak rola domu orańskiego, najważniejszego arystokratycznego rodu w Zjednoczonych Prowincjach. Latem roku 1618 Maurycy Orański, hrabia Nassau i stadhouder prowincji Holandii i Zelandii, mając poparcie radykalnych kalwinistów, przeprowadził na dobrą sprawę zamach stanu. Istniejący armiański reżim Oldenbarnevelta i Grocjusza został obalony. Oldenbarnevelta stracono, a Grocjusza wtrącono do więzienia.

Przez kolejnych siedem lat, aż do swej śmierci w 1625 roku, Maurycy sprawował największą władzę w Zjednoczonych Prowincjach od czasu zamordowania jego ojca, Wilhelma Milczącego, w 1584 roku. Wykorzystał swe wpływy do umocnienia sił radykalnego kalwinizmu w całym kraju. Zanim jednak umarł, fanatyzm antyremonstrantów wywołał znaczne niepokoje i za panowania jego następcy, Fryderyka Henryka, szala zaczęła przechylać się w drugą stronę. O ile przyrodniemu bratu Maurycyego brakowało nieco geniuszu wojennego innych członków znamienitego domu orańskiego, o tyle w pełni dorównywał ich wybitnemu ojcu sprytem i zręcznością na arenie politycznej. Tak więc stopniowo, lecz zdecydowanie starał się zapewnić równowagę między poszczególnymi warstwami holenderskiego społeczeństwa.

A także, również stopniowo, dążył do zawarcia trwałego porozumienia z Hiszpanią. Fryderyk Henryk wykorzystał prestiż swego zwycięskiego oblężenia 's-Hertogenbosch w 1629 roku (co było prawdziwą sensacją, jako że wojska hiszpańskie na dobrą sprawę doznały pierwszej większej porażki w Europie od czasu Wielkiej Armady z 1588 roku), aby koniec końców osiągnąć sensowne porozumienie z hiszpańskimi Habsburgami.

Przypominając sobie tę historię, Rebeka musiała opanować gniew. Do»szła do wniosku, że niekiedy dzieje Europy za jej czasów można by sprawdzić do zwrotu z tak uwielbianego przez jej ojca Szekspira: „wrzask Wściekłość nie znaczące nic”.

»Tę oprócz śmierci i zniszczenia, rzecz jasna, które rozszarpały kon-- ent» pozostawiając za sobą miliony wymordowanych istnień. I to bez sta powodu' Poza błahymi i egoistycznymi interesami rozmaitych horyzontów Społecznych w Europie, które władaly tymi krainami - równie błahymi Ze strony holenderskich kupców jak i niemieckich książąt, /zez wiele ostatnich miesięcy od grudnia 1632 roku holenderscy i Szpańscy przedstawiciele negocjowali w sprawie nowego rozejmu.

Zanim nadeszła wiosna 1633 roku, okazało się, że powstaje ugoda - ;,

to

bardzo korzystna, biorąc pod uwagę wszystko, nawet długoterminowe interesy Niderlandów, zarówno tych niepodległych, jak i tych pod panowaniem hiszpańskim. Jeśli już komuś sprzyjała, to bardziej Zjednoczonym Prowincjom niż habsburskim włościom na południu. Jednak antyremonstranci zaparli się i zanim Rebeka wraz z amerykańskim poselstwem dotarli do Holandii, rozmowy zakończyły się fiaskiem. Radykalni kalwiniści byli przekonani, że przy wsparciu Francuzów Holendrzy nie muszą zawierać żadnej ugody z Hiszpanami i

dlatego Hiszpania wycofała się z rozmów i zwróciła się ku swej flocie oraz Don Antonio de Oquendo. Lecz pewność radykałów była niezłomna, gdyż Francja Richelieu - jak zawsze - była gotowa wesprzeć ich przeciwko swym tradycyjnym habsburskim nieprzyjaciołom. Teraz zaś wyglądało na to, że ich mały świat wywrócono do góry nogami. Wojna o sukcesję mantuańską między Francją a Hiszpanią skończyła się dwa lata temu, pozwalając wciąż olbrzymiej potędze hiszpańskiego imperium ponownie uderzyć na Niderlandy. A jeśli wieści rozpuszczone po Hadze były prawdą i Francuzi odsunęli na bok długoletnią waśń z Hiszpanią i zwrócili się przeciwko swym holenderskim sojusznikom...

Jeff wyjął jej to z ust:

- Nieszczęścia chodzą parami, hm?

- Tak - rzuciła niemal ze złością. - Utrapienie! I to właśnie wtedy, gdy zdołałam wreszcie pokonać wszystkie przeszkody, żeby po raz pierwszy spotkać się osobiście z księciem orańskim!

Narastająca irytacja sprawiła, że zerwała się na równe nogi.

- Dosyć. Co się stało, to się nie odstanie. Dopóki sytuacja się nie uspokoi, nie mamy szansy na rozmowę z Fryderykiem Henrykiem. Nie widzę też żadnego sensu w dalszych „dyskusjach” - ostatnie słowo wypowiedziała z niemal szyderczą pogardą - z bigoteryjnymi władzami, których piękne teologiczne frazesy stanowią zwyczajną przykrywkę dla ich chciwości. Tak więc... co teraz robimy?

Na chwilę zapanowała cisza. W końcu Heinrich odepchnął się od drzwi i powiedział ze zdecydowaniem:

- Wyjeżdżamy z Hagi, to na początek. Ja, Rebeko, nie podzielam W* pewności co do tego, że sytuacja w ogóle się uspokoi. Jeżeli Francuzi rzeczywiście zmienili sojuszników i Anglicy też są w to zamieszani akurat miałoby sens, patrząc na wiadomość, którą Melissa wysłała z nocy - to Holendrów czeka klęska.

„Wytrzymali ponad pięćdziesiąt lat - zaproponował Jeff. Był to jednak nieprzekonujący protest. Nawet własna żona nie zgodziła się z nim.

- Nie wygłupiaj się, Jeff - powiedziała Gretchen. - Jeżeli nie mają wsparcia Francji, ich przetrwanie zależy w całości od floty. _ Najlepszej floty na...

_ Nie tak wiele lepszej od innych - przerwała mu ze zniecierpliwieniem. - A jeśli ta flota polegnie, wtedy Hiszpanie będą w stanie przedostać się za linię przygranicznych fortów.

- I niech ci się nie wydaje - dodał Heinrich - że armia hiszpańska nie jest wciąż najlepsza w Europie. A przynajmniej ich piechota. Przez pięćdziesiąt lat wszystko sprzyjało Holendrom - warunki polityczne nawet bardziej niż geograficzne. Wystarczy jednak zmienić w tym równaniu francuski składnik...

Wyrażenie to na moment rozproszyło uwagę Rebeki. Dobrze pamiętała czasy - wcale nie tak odległe - kiedy Heinrich Schmidt absolutnie nie użyłby w swych metaforach języka matematyki. To również był jeden z rzeczy pozornie nieznaczących sposobów przekształcania środkowej Europy przez kilka tysięcy Amerykanów.

Ta myśl dodała jej odwagi; przypomniała sobie słowa, które jej mąż powtarzał niczym mantrę: „Gramy na czas, Becky, właśnie to robimy. Gramy na czas, aż te wszystkie drobne zmiany stopią się w rzekę, której już żadna siła nie powstrzyma”.

- Zgadzam się z Heinrichem - oznajmiła stanowczo. - A więc owszem, nie mamy po co tu zostawać. Jeżeli wojna potoczy się niekorzystnie dla Holendrów, Haga będzie zbyt narażona. Wycofają się do Amsterdamu. Udajmy się tam jak najszybciej, zanim fala uciekinierów zaleje drogi. Ale Wpierw przekazcie Julie i Alexowi do Szkocji wiadomość od Melissy. °by do nich dotarła. Powinni już być w Edynburgu.

Heinrich skinął głową, zerknął na dwóch żołnierzy stojących na drutach koncu pomieszczenia i jeszcze raz skinął głową. Natychmiast zrozumieli ten gest i ruszyli w stronę drzwi. Byli to dwaj członkowie poselskiej delegacji, którzy mówili płynnym holenderskim i zarazem

ci, na których Polegano we wszelkich praktycznych kwestiach. Oni zajmą się wynajęciem Powozów koniecznych do odbycia podróży do Amsterdamu.

Powinniśmy kogoś zostawić - powiedziała Gretchen. - Dwie osoby Radiostacją - nie Jimmy'ego, bo on będzie musiał ustawić od nowa sprzęt

^^sterdamie - żeby przekazywały nam informacje o tym, co się dzieje.

- Ja - zareagował natychmiast Jeff. - I albo Franz, albo Jakob. Gretchen zamarła na chwilę, spoglądając na męża. Jej twarz chyba nje co pobladła.

Jeff wzruszył ramionami.

- Któryś z nich, bo przynajmniej jedna osoba musi wystarczająco d0 brze znać język. A Jimmy, tak jak powiedziałaś, musi pojechać z wami do Amsterdamu, czyli zostaje ja.

Jedyny... - Zamilkł na chwilę. Następnie dodał szorstko: - Czyli zostaje ja.

Rebeka pojęła znaczenie tego urwanego zdania. Jeff omijał problem czyhający głęboko pod powierzchnią nowego społeczeństwa, które rodziło się w miejscu zwanym Stanami Zjednoczonymi. Czy „starzy Ame-rykanie” - prawdziwi Amerykanie według niektórych - zgodzą się narażić na niebezpieczeństwa związane z tym procesem? Czy też może raczej pokierują innymi? „Pierdolone gryzipiórki” (jak sami to ordynarnie nazywali), których wiedza i umiejętności były zbyt cenne, żeby ryzykować ich utratę na liniach frontu.

To był stary, od dawna prowadzony spór i Rebeka pojmowała racje obydwu stron. Prawda była taka, że prawie wszyscy ludzie przeniesieni z Wirginii Zachodniej w przyszłości - a przynajmniej ci, którzy nie ukończyli jeszcze dwudziestu lat - przy swym poziomie wiedzy i umiejętności byli niemal bezcenni. Nawet ktoś taki jak Jeff Higgins, raptem ze średnim wykształceniem, bardziej znał się na nauce i technice niż którykolwiek z ówczesnych Europejczyków. Mógł polemizować z Galileuszem na temat astronomii - i wygrać; z Harveyem na temat medycyny - i wygrać. Narazanie takiej wiedzy na zniszczenie zbłąkaną kulą lub chorobami ob-szaru wojny byłoby czystym absurdem.

Mimo to...

Czy zwyciężyć, być może tracąc wszystko? Ujarzmić tworzący się świat arystokracji szaty, która w ostatecznym rozrachunku nie będzie lepsza od arystokracji miecza? Stworzyć świat, w którym amerykańska krew nie-zauważalnie stanie się tak drogocenna, jak limpieza wyniosłych hiszpań-skich hidalgów?

Zawahała się, rozdarła. Głównie dlatego, że głęboko pokochała mł' dego Amerykanina, który niegdyś ocalił jej życie - podobnie jak Jeff oca' lił życie swej niemieckiej żonie i jej rodzinie.

To właśnie żona rozstrzygnęła ten problem.

- Zgadza się, musisz - szepnęła Gretchen. Wsunęła swą dłoń wjęo i mocno ścisnęła. Jej oczy zwilgotniały. - Musisz.

poselstwo amerykańskie wyruszyło do Amsterdamu bardzo wcześnie nastęPneS° ranka.

Gretchen wsiadła do powozu na końcu, gdyż do ostat-niej chwili mocno ścisnęła Jeffa.

Wreszcie pocałowała go czule i zniknę-ły pojeździe.

liinniy wychylił się przez okno.

„ Na pewno nie chcesz zapalających?

jeff wzruszył ramionami.

_ po co? One są przeciw statkom. - Machnął lekko głową, wskazując na otoczenie. - Haga leży w głębi ładu, jakbyś nie zauważył. Poza tym...

Posłał Jimmy'emu uśmiech, z którego miała bić zuchwałość zamiast strachu, który skręcał mu wnętrzności.

- Poza tym kto powiedział, że to nie wy wpadniecie w tarapaty? Cho-lera. Jimmy, lada moment może się okazać, że znajdziecie się w amster-damskim porcie i będziecie

wystrzeliwać te granaty zapalające w stronę hiszpańskich okrętów. Wtedy będziecie się cieszyć, że je macie.

Przyjaciół odwzajemnił uśmiech. Na jego twarzy również malowała się czysta zuchwałość. Jeff podejrzewał, że Jimmy jest równie zdenerwowany jak on sam, ale za wszelką cenę chce trzymać fason.

- Trzymaj się, stary - powiedział cicho, gdy powóz wyruszył w drogę. -Do zobaczenia wkrótce. Mam nadzieję.

Patrzył, jak pojazd skręca za róg, a następnie znika z pola widzenia. Wzruszył lekko ramionami i odwrócił się do drugiego żołnierza, który zgodził się zostać.

- Chyba równie dobrze możemy przez resztę dnia powłóczyć się po mieście, Jakob. Kto wie? Może wśród tych plotek wyłowimy jakieś prawdziwe wiadomości.

- Nie sądzę - burknął Jakob. - Ale nie mamy nic innego do roboty, WIQC czemu nie? I tak musimy dla nas kupić jakieś jedzenie. Wkrótce możemy mieć ograniczone racje.

* * *

Julie wpadła do pokoju, w którym ojciec Alexa leżał w łóżku, wracał do zdrowia. Twarz miała całą czerwoną ze złości. "No co za gó...

Urwała momentalnie, przypomniawszy sobie, że poznała teścia raptem kilka dni wcześniej.

Podróż do Szkocji trwała długo i chociaż rodzina ją powitała z wielką radością, nie była jednak z nimi w takiej kołtunowatej, żeby móc sobie poprzeklinać.

ych

A przynajmniej jeszcze nie. W tej kwestii teść rokował nadzieje, w pr?

ciwieństwie do poważnej kobiety, którą wziął za żonę po jednej ze sw młodzińskich eskapad (owocem jednej z nich był oczywiście sam Alex) Robert Mackay, nawet dręczony przez nieustający ból, sprawiał dość raźne wrażenie. Jednak...

- Pewnie Anglicy, he? - odezwał się i zerknął na Alexa. Skrzywił się gdy syn pomógł mu ułożyć się wygodniej. - Z doświadczenia wiem, że nic innego nie doprowadza tak człowieka do furii. Jeżeli nie jestem w błędnym, dzie, to z ust twojej uroczej małżonki o mało co nie padło wielce niedelikatne słowo.

Julie oblała się rumieńcem. Teść zachichotał i rzucił okiem na kąt, w którym w małej szafce schowany był jego nóż.

- A już zwłaszcza niedelikatne dla człowieka w moim położeniu, który musi przechodzić koszmarną mękę, chcąc zrobić najzwyczajniejsze gówno.

Julie starała się powstrzymać od śmiechu. I... nie mogła. Teść uśmiechnął się dobrodusznie, słysząc jej hałaśliwą radość. Było to coś niebywałego jak na człowieka, który leżał sparaliżowany od pasa w dół i miał marne szanse na przeżycie więcej niż kilku miesięcy. W ciągu ostatnich dwóch lat Julie nauczyła się, że upadek z konia potrafi być równie tragiczny w skutkach, jak wypadek samochodowy - a tutaj brakowało opieki medycznej dwudziestego pierwszego wieku, by leczyć tych, którzy go przeżyli.

Alex uśmiechał się szeroko. Nie tyle z powodu tej krótkiej wymiany słów między Julie i jego ojcem, ile na widok serdeczności rodzącej się między dwójką z trzech najważniejszych dla niego osób. Żona wiedziała, że bardzo się tym przejmował, chociaż nigdy jej o tym nie powiedział.

Siedemnastowieczny szkocki kalwiński arystokrata i szacowny ojciec, poznaj moją... eee... niekalwińską, niearystokratyczną... eee... niezupd' nie szacowną... eee... czasem wręcz bezczelną... eee... nową małżonkę Czy wspominałem już o tym, że pochodzi z przyszłości i że według "C mamy podejście do spraw toalety jak zwierzęta z puszczy? I że uważa Edyburg za największe zadupie na świecie?

Nie przestawała się śmiać. Teraz, gdy już trochę poznała swego tesci* podejrzewała, że Robert Mackay mógłby jej nawet przyznać rację. Przynajmniej w tej ostatniej kwestii.

Edyburg rzeczywiście uważany był za najbardziej obrzydliwe i zanieczyszczone z miast

europjskich. I niezależ111 od głośzonych przez niego arystokratycznych koncepcji (a było ich wie'e' rzecz jasna), Robert wydawał się być w stanie spojrzeć prawdzie w oczy- prawdopodobnie zbudzona beztruską panującą w sąsiednim pomieszcze-•, trzecia z najbardziej umiłowanych przez Alexa osób zaczęła dawać giał o swej obecności. Głośno i uporczywie, jak to miała w zwyczajn. Julie zaczęła się odwracać.

-Daj spokój, dziewucho! - wykrzyknął Robert. - Nic się małej nie staiie, jeśli przekona się, że świat to miejsce zimne i nieczułe. Przysię-, lin. że rozpieścisz Alexi.

Julie miotła się, rozdarta między odruchem młodej matki a pragnie-aniem uniknięcia kłótni z teściem.

- Jakie wieści, Julie? - zapytał Alex.

- A, tak. - Julie skrzywiła się. - Właśnie dostałam wiadomość od Becky. Uwierzylibyście, że...?

Gdy skończyła streszczać mężowi i teściowi rozwój wypadków, twarz Roberta wykrzywił równie wielki grymas jak jej własną.

- A więc zaczyna się - warknął. - Wiedziałem. Wiedziałem, że te na-dobne słówka nowego namiestnika króla są jedynie przykrywką dla tyra-nii.

Wrzaski Alexi stały się głośniejsze. Julie, wrażliwa jak każda kobieta, która po raz pierwszy została matką, nie mogła już dłużej się opierać. Wymamrotała przeprosiny i uciekła z pomieszczenia.

Po jej wyjściu Alex odwrócił się do ojca.

-Wyjaśnij. Proszę.

Robert wzruszył ramionami. Ten drobny ruch sprawił, że aż się skrzywił.

-Nigdy nie łam sobie kręgosłupa, synu - mruknął. - Dreszcz emocji podczas polowania nie jest tego wart, zapewniam cię.

Umilkł i zaczął, aż ustąpi najgorszy ból. Następnie zaczął mówić krótkimi, urywanymi zdaniami.

- Wentworth. Może go pamiętasz. Był lordem-rządca Północy, gdy ty wyruszyłeś, by przybrać szwedzkie barwy. Teraz to już Strafford. Król mianował go hrabią. Dał prezbiterianom to, czego chcieli. Żadnej inge-rencji w liturgię. Żadnych angielskich modlitewników. Róbcie, co chcecie- Ale nie mieszajcie się do spraw Anglii.

A'ex zmarszczył czoło.

- A. co cię w tym martwi? Wydawało mi się...

Ojciec w widoczny sposób powstrzymał się przed raptownym gestem, P° którym jego potrzaskane ciało mogłaby zalać kolejna fala bólu. ~" Nie bądź równie głupi jak prezbiterianie. Żałośni, przekłęci duchowni. aturalnie, że Wentworth da nam spokój. Na razie. Czemu nie? Zostawić

Szkotów samym sobie - czy muszę to tłumaczyć akurat tobie, którego gdy nie mogłem uznać za prawowitego potomka właśnie z tego względu a nim minie rok, znów będą sobie skakać do gardeł. Niech szlag trafi wszw kie klany, sekty i frakcje. Spojrzał posepnie na syna.

- Zawsze byliśmy pionkami w ich rękach, Aleksie. Tylko Irlandczycy są gorsi. Ci przynajmniej jako żałośni, zabobonni, sklerykalizowani p3pj ści mają wymówkę. - Kolejna pauza i tłumienie bólu. - Za pięć lat, góra dziesięć, gdy już Wentworth wprowadzi rządy na modłę francuską p0. prowadzi swe oddziały na północ. Do diabła z obietnicami. Obietnice Anglików są równie bezwartościowe jak szkoccy przywódcy.

* * *

Wczesnym popołudniem Jeff i Jakob wrócili do swych kwater, nie do-wiedziawszy się niczego specjalnego. Wciąż krążyły plotki, lecz niestety jedna przeczyła drugiej. Następnie Jakob zniknął, mówiąc, że musi cze-goś dopilnować. Gdy wrócił, a było niedługo po zachodzie słońca, wszyst-ko to stało się nieistotne. Jeff otrzymał wiadomość radiową od Rebeki. Podróż powozem po dobrej drodze do Amsterdamu trwała tylko dzień.

Wiadomość była krótka i na temat:

DOTARLIŚMY DO AMSTERDAMU. POGŁOSKI POTWIERDZONE. WYJEŹDŻAJCIE BEZ ZWŁOKI. JEŚLI TO MOŻLIWE, DZIŚ W NOCY. NAJPÓŹNIEJ JUTRO O ŚWICIE. ZNAJDZIECIE NAS ...

Dalej były zawile wskazówki, jak trafić do pewnej tawerny w Amsterdamie, gdzie ktoś będzie na nich czekał. Jeff nawet nie próbował tego zapamiętać.

- Na litość boską - wymamrotał, rzucając bezradne spojrzenie na Ja'koba. - Dziś w nocy? Przecież ja nawet w dzień nie umiem sobie poradzic na koniu! A skąd my w ogóle tak szybko weźmiemy konie?

Jakob uśmiechnął się.

- Uspokój się. O wszystkim pomyślałem. Kiedy ty się wałkonieś? Ja kupiłem dla nas konie za pieniądze od Becky. W przeciwieństwie do was-niepoprawnych optymistów, ja wiem, że świat cuchnie, a wieści są *wsze złe. - Wskazał kciukiem na drzwi. - Pakuj się. Konie są w stajni nieopodal. Za godzinę możemy już być poza miastem. Pogoda nie mógł* być lepsza, a księżyc świeci wystarczająco jasno. Będziemy jechać c noc i dotrzemy do Amsterdamu jakoś jutro po południu, nawet przy W°

^jgjętnościach. Jasne, będziemy wyczerpani - szczególnie ty. Ale na wy-ggrpanie można jeszcze coś zaradzić. Martwym jest się już na zawsze.

„Spadnę - jęknął Jeff. - Konie mnie nie lubią.

„powinienem być rzec, że kupiłem „wierzchowce”. Mówiłem ci, że

0 wszystkim pomyślałem. Tobie kupiłem muła. Wygląda na bardzo miłe

1 zgodne zwierzę. - Jakob wypiął pierś. - Ja mam, rzecz jasna, prawdziwego rumaka!

Tak jakby.

* * *

Muł rzeczywiście wydawał się rozsądnym stworzeniem - do takich wniosków doszedł Jeff po chwili jazdy. Na całe szczęście Jakob nie zmu-szał zwierząt do czegoś szybszego od stępa, widoczność nie była najgor-sza, a holenderska droga była w dobrym stanie.

W końcu Jeff uznał, że wyjdzie z tego cało i może zająć się drugim zmartwieniem.

Ze złością podniósł wzrok na Jakoba. Jeff był wielkim mężczyzną jadącym na niewielkim mule. Jakob zaś był drobnym mężczyzną jadącym na koniu normalnej wielkości. Niemiecki żołnierz zdawał się wisieć nad nim.

- To jakiś absurd - narzekał Jeff. - Jakim cudem to ty bawisz się w Don Kichota, a ja zostałem Sancho Pansą? - Po chwili dodał: - Hm, może to zresztą nie jest takie złe.

Przynajmniej to ty musisz walczyć z wiatrakami.

W świetle księżycy ledwie był w stanie dostrzec konsternację na twarzy Jakoba.

- Nigdy o nich nie słyszałem. A po co w ogóle ktoś miałby walczyć z wiatrakami?

-To są bohaterowie książki.

-A, tak. - Pogodny uśmiech wrócił na oblicze Jakoba. - Kolejny problem z nadczasowcami.

Napisaliście zbyt wiele książek. Wszystkie z tym biotycznym szczęśliwym zakończeniem.

~ Ona powstała jakieś trzydzieści lat temu - burknął Jeff. - Coś w tym stV'u. Napisał ją Hiszpan o nazwisku Cervantes.

~ Ha! Po cóż więc ją czytać? Napisał ją Hiszpan? W tych czasach? ^Powieść zakończy się śmiercią, niedolą i zniszczeniem. Hiszpanie nie ^ Stopi, poza tym, który zmarnował czas na pisanie. Komu potrzebna Słłka, żeby to zrozumieć?

Jesse przypatrywał się uważnie, jak Hans kończy swe trzecie lądowanie i samolot, zgodnie z poleceniem, toczy się aż do zatrzymania. Potem bez słowa nakazał Hansowi kołować z powrotem na pozycję startu i zapisał ostatnią uwagę w notatniku. Choć to lądowanie mieściło się w normie, odbyło się najmniej łagodnie ze wszystkich trzech, a żadne z nich nie odzwierciedlało prawdziwych umiejętności Hansa.

„No cóż, nie można wiecznie czekać” - pomyślał Jesse.

- Dobra, zatrzymaj tutaj i zostaw na chodzie - powiedział, kiedy ponownie ustawili się pod wiatr. Widział, że oczy Hansa zrobiły się wielkie jak spodki, gdy rozpiął pasy i zabrał notatnik.

- Skoczę pogadać chwilę z Kathy - powiedział Jesse. - Może zabierzesz „Belle” do góry i zrobisz kilka lądowań i startów bez zatrzymania, hm?

Otworzył drzwi i wysiadł.

- Aha, Hans! - zwrócił się do zaskoczonego ucznia, przekrzykując hałas śmigła. - Nie spierdziel tego, dobra?

Zatrzasnął drzwi, zostawiając za nimi przerażonego Hansa, i obszedł samolot. Pomachał do gapiów wylegujących się jak zwykle na obrzeża lądowiska. Kilku z nich, sądząc po tym, że nieco szerzej otworzyli nagle zdało sobie sprawę, że są dziś świadkami czegoś nowego. C2[^] wiek, na którego Niemcy wołali der Adler - Orzeł - prędko oddalał się. wciąż pracującego samolotu, zostawiwszy Hansa samego.

fen przydomek nieco zawstydział Jesse'ego, lecz już nie starał się spr-

]C żeby ludzie przestali go używać. To było całkiem naturalne dla Niem-,v, czujących respekt przed człowiekiem, który naprawdę latał.

\ teraz... po raz pierwszy to Niemiec będzie leciał. Sam - i żaden orzeł i przyszłości nie będzie nad nim czuwał.

Idąc miarowym krokiem, Jesse celowo odwrócił wzrok od samolotu, bo wiedział, że Hansowi potrzeba trochę czasu, by się pozbierać. Gdy zbliżył się do wieży kontrolnej, usłyszał odgłos zwiększania obrotów silnika. Kathy i Sharon wyszły mu na spotkanie. Za nimi pojawiła się pozostała ósemka (sześciu młodzieńców i dwie dziewczyny), która wraz z Hansem stanowiła pierwszą grupę szkoleniową raczkujących sił powietrznych. Jesse objął Kathy w tali i odwrócił się, by być świadkiem narodzin pilota.

-Naprawdę sądzisz, że jest gotowy? - zapytała nerwowo Sharon.

- Nie wiem - odparł ze wzrokiem przyklejonym do samolotu. - Za-raz się dowiemy.

Au! - Ostry łokieć Kathy uderzył go w zębra. - Nie martw się, Sharon, nie oddałbym mu samolotu, gdybym nie uważał, że jest gotowy.

Jesse posłał Sharon uśmiech, który ona słabo odwzajemniła.

- Obserwuj uważnie. Mogę ci zagwarantować, że później będzie chciał

0 tym pogadać.

Popatrzyła w jego spokojne zielone oczy i kiwnęła głową.

Jesse patrzył na start ze świadomością, że gra idzie o coś więcej niż tylko o jego drogi samolot. Pojął, że na swój sposób dołożą kolejną cegiełkę do tworzenia narodu - prawdziwego narodu, a nie szalonej mołiki plemion i zwyczajów. Gdy tylko chłopiec - młodzieniec - urodzony

1 wychowany w siedemnastowiecznych Niemczech pokaże wszystkim, że Otlteż potrafi dokonać niemożliwego...

Wziął głęboki oddech i postarał się uspokoić skołatane nerwy. Nie było to takie trudne.

Szczerze mówiąc, Jesse nie martwił się zbyt o lot. Hans M dobrym pilotem, a on specjalnie opóźniał nadejście tej chwili, chcąc mieć pewność, że posiadał wszelkie niezbędne umiejętności. Mimo to ka-kstrofa byłaby prawdziwym nieszczęściem - zarówno dla Hansa, jak i dla Je8° kraju.

Samolot przetoczył się obok nich, gładko uniósł się ponad trawę i stop-owo zaczął się wznosić. Jesse spojrział w rozumiejące oczy małżonki, Roztargnieniem pocałował ją w czoło, a następnie podniósł wzrok, by 2,c lot swego ucznia. Kathy nie odezwała się ani słowem i był jej za to

wdzięczny. Wiedziała, że wciąż jeszcze działa w trybie instruktora i ^ pozostanie w nim aż do powrotu Hansa.

Cała trójka wspólnie czekała, a tymczasem Hans przemierzał cud-oły nie błękitne niebo.

Ostatnio aura im dopisywała i Jesse w pełni to wyk0 rzystywał. „Belle” z całą pewnością nie była samolotem na każdą p0gQ dę. Przy ograniczonej widoczności Jesse w ogóle nie latał.

Sam zaufałby sobie w kiepskich warunkach, nawet w tak prymitywnym samolocie -oczywiście w granicach rozsądku - lecz z całą pewnością nie zamierzał narażać na niebezpieczeństwo żółtodziobów za sterami.

Gdy samolot wreszcie wszedł w końcowy zakręt, Jesse poczuł, że Ka-thy obejmuje go w pasie i uspokajająco ściska. Kątem oka dostrzegł, że Sharon chce coś powiedzieć, bez wątplenia szukając wsparcia, lecz Ka-thy spojrziała na nią wymownie i delikatnie pokręciła głową. Ponownie był jej wdzięczny za zrozumienie, jakie okazała. Uwaga Jesse'ego w ca-łości pochłonięta była Hansem i samolotem.

„Jesteś na podejściu do lądowania”. - Jesse powtarzał w myślach stan-dardową uspokajającą komendę kontrolera do lądowania niczym mantrę. Jego wprawne oko nie wykryło żadnej anomalii, żadnych szaleńczych ruchów sterami.

„Jesteś na podejściu do lądowania”.

Samolot prześlizgnął się nad granicą lądowiska i osiadł na trawie bez najlżejszego odbicia, tak ślicznie, że Jesse musiał opanować chęć wrza-śnięcia triumfalnego „tak!”. Zamiast tego powoli wypuścił powietrze i uśmiechnął się do Sharon, a tymczasem Hans dodał mocy i ponownie wzbił się w powietrze.

- A nie mówiłem? - zapytał. - Bułka z masłem.

Drugie okążenie również odbyło się bez przygód. Co prawda w pew-nym momencie Hans pozwolił samolotowi zejść nieco poniżej właściwej ścieżki schodzenia, lecz szybko skorygował błąd i pewnie wylądował. Prz^ cały ten czas Jesse ani na chwilę nie spuszczał oczu z samolotu, przekazu jąc w myślach wskazówki swemu uczniowi - chcąc, by mu się powiodło.

Trzecie i ostatnie podejście było równie precyzyjne jak pierwsze i zg0^ nie ze starym powiedzeniem, że dobre podejście to dobre lądowanie, molot znów perfekcyjnie osiadł na powierzchni lądowiska. Gdy HanS kołował w ich stronę, Jesse nie mógł już dłużej się powstrzymać.

- Cholera, dzieciak jest dobry! Przypomina mi... mnie!

- Jezus Maria, piloci i ich ego - mruknęła Kathy i spojrzała wyрно nie na Sharon. - Nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Jesse zachnął się.

„Cicho tam, kobieto! Przygotuj się na przywitanie bohatera. _ Wciąż uważam, że powinien tu być ktoś z miasta - zaprotestowała Kathy.

_ Ico niby: wysłuchiwać kolejnej przemowy Stearnsa albo kogoś in-nee? - Jesse uśmiechnął się. - Raczej nie. Poza tym to jest sprawa sił powietrznych. - Pobiegnął po komplet podstawek. Gdy kliny zostały już umieszczone we właściwym miejscu i silnik zgasł, cała trójka czekała, aż pojawi się Hans. Za ich plecami reszta grupy szkoleniowej stanęła w szeregu na baczność. Gdy otworzyły się drzwi i Hans wysiadł z samolotu, grupa gapiów zaczęła wiwatować i najwyraźniej nie zamierzała przestać. Szczerze mówiąc, z upływem czasu wiwaty zdawały się nabierać rozmachu. Dwóch młodzieńców pogalopowało na koniach w stronę miasteczka.

Hans wyglądał na lekko oszołomionego, jakby dopiero teraz zorientował się, czego dokonał. Otrząsnąwszy się, posłał Sharon uśmiech, lecz w tym momencie jego uwaga była przede wszystkim skoncentrowana na instruktora, na człowieku, który nauczył go latać. Podszedł do niego i stał na baczność. Nic zsalutował jednak, chociaż Jesse widział, że pragnienie wykonania tego gestu prawie wykręca chłopakowi rękę. Zawsze jednak uważał, że salutowanie - podobnie jak noszenie nakryć głowy - w pobliżu samolotów to szczyt głupoty. A ponieważ w tym świecie to on był oficerem dowodzącym sił powietrznych, dobrze zadbał o to, żeby jego własne luźne podejście przerodziło się w nową tradycję. Salutowanie było, rzecz jasna, niezwykle teatralne, lecz rozpraszało ludzi, którzy powinni przede wszystkim zwracać uwagę na otaczające ich samoloty. Czapki zaś prędzej czy później zwiewało z głów, a uganianie się za nimi było w naj-lepszym razie stratą czasu.

Za to stawanie na baczność było już rozsądnym zwyczajem wojsko-Wyrn. Jesse zrobił to samo i popatrzył srogo na Hansa.

- Kadecie Richter. - Starszy mężczyzna uniósł otwartą dłoń, na której le-srebrne insygnia. W zeszłym tygodniu w tajemnicy kazał wykonać je (także kilka innych) największemu salonowi jubilerskiemu w Grantville: 1^, ' ^asi & Rueckert. - A może raczej powinienem powiedzieć „porucznik-a Richter, ponieważ już za chwilę te oto insygnia będą należeć do was, Z n'm' otrz>'muJec'e awans. Ponieważ udało wam się z powodzeniem ^ nczyć szkolenie na pilota, jako szef sztabu mam przyjemność oznajmić,

^ tej chwili jesteście pilotem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych.

Jesse popatrzył na Sharon.

- Zechce pani uczynić ten zaszczyt?

Hans stał sztywno na baczność, gdy Sharon wzięła od Jesse'ego insygnia, przypięła je ostrożnie nad kieszonką na jego lewej piersi, a następnie szybko go pocałowała. Gdy się cofnęła, Jesse zauważył, że lzy zakn* ciły się w jej roześmianych oczach. Spojrzał na insygnia na piersi Hansa - błyszczące srebrne skrzydła z kratką w środku - i nagle poczuł, że coś chwytą go za gardło.

Zrobił krok do przodu i uroczyście wyciągnął ku niemu dłoń.

- Gratulacje, synu. Świetna robota. Jestem z ciebie dumny.

- Dziękuję, panie pułkowniku - wykrztusił Hans. Jesse uśmiechnął się do niego.

- Aha, Hans, postaraj się o jednej rzeczy nie zapomnieć, dobrze? W odpowiedzi Hans wyszczerzył zęby.

-Tak jest. Przyrzekam, że nie zapomnę. „Nie spierdzielić”.

* * *

Wszystko, czego Jesse mógł sobie życzyć, wkrótce przestało mieć zna-czenie. Nie minęła godzina, a Mike Stearns był już na lotnisku, tym ra-żem prawdopodobnie wraz z całym gabinetem - wyłączając tych człon-ków, którzy wyjechali z miasta. Wszyscy próbowali

wcisnąć się na parter budynku pełniącego równocześnie funkcję wieży kontrolnej i kwatery głównej sił powietrznych. Sztuka ta udała się tylko Mike'owi i Frankowi Jacksonowi, gdyż pokój już był zapchany ludźmi, których Jesse uznał za stałych bywalców - on sam, Hans, reszta młodzieży, którą szkolił na pilotów, a także ich sympatie i miłości obojga płci.

- Nie jestem politykiem - warknął Jesse, gdy tylko Mike pojawił się w środku. - Więc oszczędź mi kazania. Mówiłem ci...

- No już dobrze, już dobrze - roześmiał się Mike. - Nie przyszedłem tu po to, żeby cię ochrzaniać, stara zrzędo. Po prostu chciałem cię zaprosić na paradę.

- Jaką znów paradę?

Mike i Frank uśmiechali się od ucha do ucha.

-Tę, którą właśnie kazałem Henry'emu Dreesonowi zorganizować odparł Mike. - Ty może nie jesteś politykiem, aleja tak. - Wzruszył ramionami. - No jasne, że to brudna robota, ale ktoś się tym musi zająć-

- Będzie cholernie wielka - dorzucił Frank. Jesse zmarszczył Nieco zaskoczyła go wyraźna satysfakcja, którą słysząc było w głos Franka. Zazwyczaj dowódca armii Stanów Zjednoczonych podzi

sceptyk'2111 Jesse'ego w kwestii przepychanek politycznych w ich nowym kraju. Frank pokręcił głową.

_ Nie wygłupiaj się. Dziś rano dostaliśmy przez radiostację kolejną wiadomość. Od Becky. Jest teraz w Amsterdamie, Jesse. Pogłoski o zniszczeniu holenderskiej floty wydają się całkiem prawdziwe. A z tego, co udało jej się stwierdzić, Holendrzy zaczynają się załamywać. Najwyraźniej - wciąż jeszcze nie wiemy, jak im się to udało - Hiszpanie zajęli Haarlem. To znaczy, że przecięli Holandię na pół i teraz mają oddziały za linią holenderskich fortów. Wiesz, co to w tych czasach oznacza.

Jesse wciągnął z sykiem powietrze. Sztuka wojenna w siedemnastym wieku opierała się nie na manewrach polowych, lecz na oblężeniach. Przez dziesięciolecia Holendrom udawało się powstrzymać Hiszpanów dzięki obwarowanym miastom i fortecom przy ujściu Renu. Jeśli Hiszpanie przedostali się poza te linie...

-Jest chyba jeszcze gorzej - wtrącił Mike. - Becky na razie nie ma pewności, ale z tego, co udało im się poskładać z innych raportów - a wieści z Anglii tylko to potwierdzają - wygląda na to, że sojusz Richelieu wkracza na Bałtyk. Jeśli zniszczono holenderską flotę, to znaczy, że Szwedzi muszą samotnie stawić czoła Francuzom, Duńczykom i Anglikom.

-Aco z Hiszpanami? - zapytał Hans. - Eee, panie generale. - Mimo powagi chwili Jesse musiał powstrzymać cisnący mu się na usta uśmiech. Sam fakt, że młody Hans w ogóle zadał pytanie w tak doborowym towarzystwie, był subtelną, lecz zarazem wyraźną oznaką tego, że insygnia na jego piersi dodały mu pewności siebie. Już wkrótce przyda mu się ta pewność siebie. Niech to wszyscy diabli. - O ile nam wiadomo, Hiszpanie chyba odsunęli się na bok - odparł Frank. - Jak się nad tym zastanowić, to nawet ma sens. Ten cały sojusz Richelieu - nazywają go „Ligą Ostendzką” - to jeden wielki pakt z diabeł*. Każda ze stron ma swoje własne cele i własne środki, żeby je osiągnąć. Ostatecznie pakt nie ma szansy przetrwać, ale póki co...

andy, a król Karol dostaje francuskie i hiszpańskie pieniądze, których

Mike podchwycił wątek, k... Póki co, jak mówi Frank, to wszystko ma sens. Duńczycy dostają kontrolę nad Bałtykiem, o czym zawsze marzyli, Hiszpanie dostają Niderl

at i,6 Żeby Północ-Jać zdecydowane kroki w Anglii i zachować tron - głowę. Melissa doniosła nam, że ulice Londynu załapała nowa fala uników.

-Ale co z tego wszystkiego mają Francuzi? - zapytała Kathy. znaczy tak zupełnie dla siebie. Bo z zewnątrz to wygląda tak, że walczą - nie mówiąc już o tym, że wywalają pieniądze - i nie na wieść się to zdaje.

Mike wzruszył ramionami.

- Chociażby zadanie ciosu Gustawowi Adolfowi. Kontrolując Bałtyk odcinają Szwecję od reszty Konfederacji Księstw Europejskich. I oczy wiście mogą się mylić, ale uważam... - Zawahał się na chwilę. - Nie chcę się wdawać w szczegóły, skąd to wiemy, ale dotarli do nas wieści z fran! cuskich portów.

Jesse jako głównodowodzący skromnych sił powietrznych był wtajemniczony w sekrety wywiadowcze rządu Stanów Zjednoczonych.

„Na pewno siatka żydowskich marynarzy Uriela i Baltazara”.

Znaczna liczba „portugalskich” żeglarzy była w tamtych czasach tak naprawdę marranami - Żydami skrywającymi swą tożsamość przed hiszpańską inkwizycją.

- Kilka tygodni temu wyruszyła jakaś ekspedycja - całkiem spora, sześć okrętów, ponad tysiąc żołnierzy - w stronę Ameryki Północnej.

Kathy zmarszczyła brwi.

-Ale... jeśli Francuzi spróbują podbić angielskie ziemie...

- „Podbić” to nie jest właściwe słowo - przerwał jej ostro Mike. - Według naszych informacji oni tylko zamierzają zająć „należne” im ziemie, które otrzymali od Karola w ramach układu. Zakładam oczywiście, że żołnierze przydadzą się do opanowania garstki holenderskich posiadłości w Nowym Świecie.

Twarz Franka Jacksona wykrzywiła się w grymasie. -Nieży zwrot akcji, co nie? Plymouth stanie się kolonią francuską-czy to się podoba purytanom, czy nie. Tak samo Jamestown. Jesse zamknął oczy i wyobraził sobie mapę świata.

wie* nosa-

- Jezus Maria - wymamrotał - naprawdę sądzisz, że Richelieu wybitf ga tak daleko w przyszłość?

- Właśnie tak. - Ton Mike'a stał się jeszcze ostrzejszy. - MyślS> * cały czas go nie docenialiśmy. On nie jest taki jak reszta, Jesse. Kai"0, nawet Wentworth, Olivares w Hiszpanii, duński król Chrystian, że już n'e wspomnę o ograniczonym bigocie cesarzu Ferdynandzie i chciwym

przu Maksymilianie Bawarskim - oni widzą tylko czubek własnego Mozesz o nim mówić, co chcesz, ale Richelieu to mąż stanu. Ma na uvV^ dze długofalowe dobro Francji. Przy takim umyśle i po przeczytaniu v"

vSzyStkich książek historycznych, na których udało mu się położyć łap-ska, najprawdopodobniej przewidział ogólną zasadę rządzącą kolejnymi cieciami: ten, kto kontroluje Amerykę Północną, ten ma przewagę. Moim zdaniem Richelieu przeprowadził radykalną zmianę francuskiej polityki ^granicznej. Uznał, że wyklócanie się o niewielkie terytoria w Europie to ehip^ta i krótkowzrocność. Jaki sens ma osłabianie Francji przez dwa-dzieścia pięć lat wojny z Hiszpanią, tylko po to, by zdobyć kilka dodatkowych miast? Można przecież pozwolić Hiszpanom, Duńczykom i Angli-kom - i wszystkim innym, których uda się wrobić - bombardować KKE, a on w tym czasie zagarnie cały kontynent. Praktycznie za bezcen.

Nagle Hans zerwał się na równe nogi i stanął na baczność.

-Jestem na pańskie rozkazy, panie prezydencie!

Pozostali kadeci od razu poszli w ślad za nim.

Mike uśmiechnął się do nich.

- W porządku. Pierwsze zadanie, jakie was czeka - i to już zaraz - to pełnienie roli gwiazd w trakcie parady.

Jesse znów się zachmurzył. Mike przeniósł na niego uśmiech.

-Zrzęda, tak jak mówiłem. Ty też nie możesz być krótkowzrocny, Jesse. Ja osobiście uważam, że Richelieu spaprał robotę. I mam zamiar tego dowieść, podkradając co nieco z historii Francji.

- O czym ty mówisz? - burknął Jesse. - Z tego, co wiem o historii Francji... Frank prychnął.

-A takie coś jak „rewolucja francuska” obilo ci się o uszy? -No jasne. Ale co to...

-Rozpętała ją inwazja, której dokonały na Francję okoliczne mocarstwa. Taki zwykły, szary Francuz strasznie się wkurzył. I zanim się zorientowali, formowały się już ochotnicze oddziały armii rewolucyjnej, a po-tem... świat już nigdy nie był taki sam. Wojna przestała być czymś, co toczyli książęta i najemnicy na stertach zwłok bezradnych cywilów. Bo ^tdzisz, cywile stali się obywatelami. I mieli swoją własną armię.

Frank ponownie szczyrzył zęby.

"Cholera, Jesse, nawet się nauczyłem tej melodii. Allons enfants de la tte, lejour de gloire... Wszyscy w pomieszczeniu skrzywili się. Jesse podskoczył jak oparzony.

Dość już! Dość! Wolę już tę cholerną paradę niż wysłuchiwanie two-h śpiewów!

Gdy późnym popołudniem parada dobiegła końca, Jesse skłonny ^ przyznać Mike'owi rację. Prawdę mówiąc, zaczynał podejrzewać, że Stearns ma zadatki na wielkiego polityka - a przynajmniej wielkiego lityka jak na te czasy. Może nawet „męża stanu”, choć sam ten wy^ sprawiał, że czuł się nieswojo.

Wiedział, że Mike również wybiega myślami w przód. Wojna to w0j na, i nic więcej. W dziejach ludzkości były ich tysiące, a raptem gar^ z nich przetrwała, i to tylko w pamięci uczonych. Co pewien czas jednak wojna stawała się czym innym.

Próba ogniwą dla narodów. Kuźnią, w której powstawały nowe spo-łeczeństwa.

Przysłuchując się skandowanym hasłom, które tego dnia rozbrzmie-wały na ulicach Grantville, Jesse rozumiał, że słyszy dobiegające z tej kuźni dźwięki młota. Z okolicznych terenów napływali do miasta ludzie, z każdą minutą coraz bardziej je zapełniając. W przynajmniej czterech punktach widział budki werbunkowe ustawione na oczekaniu przez ko-mitety korespondencyjne, w których to budkach odbywał się nabór do ochotniczych regimentów. Przed każdą z nich stała cierpliwie długa ko-lejka młodzieńców. Prawie wszyscy byli Niemcami, w większości plebe-juszami. Synowie rolników i rzemieślników, a także nędzarzy zgłaszali się, by wziąć udział w przedsięwzięciu, które - w ich dawnym społeczeń-ństwie - było domeną królów, arystokratów i najemników.

Owieczki stwierdzające, że są lwami. Wybierające rolę lwów.

Nie zwyczajni cywile. Nawet nie zwyczajni cywile, którym dano pra-wo głosu.

Obywatele.

* * *

Tego dnia skandowano wiele haseł. Ale ilekroć Jesse i jego mała grup" ka nieopierzonych pilotów mijali tłum zarekwirowanymi na tę okazję P1" kapami, jeden okrzyk wzbijał się ponad resztę.

Der Adler! Und seine Falken! Orzeł i jego Jastrzębie.

- Och, Jesse - szepnęła mu do ucha Kathy i przytuliła go bardzo no. - Jestem z ciebie taka dumna. Oni teraz myślą, że nie ma dla ^ rzeczy niemożliwych. Bo ty im pokazałeś, że mogą nawet latać.

Matula nic życzyła sobie, żeby przyjeżdżała.

Krystyna nic bardzo wiedziała dlaczego, ale wiele było takich rzeczy, których nie rozumiała u Matuli. Nie żeby Krystyna nie kochała swej matki. Czasem jednak Matula wydawała się nieco... dziwna. Często zmieniała zdanie. I bardzo istotne dla niej było, żeby ludzie ją doceniali - i mówili jej o tym.

Krystyna miała dopiero siedem lat - no, prawie osiem - ale miała wrażenie, że część tych ludzi, którzy wciąż powtarzają Matuli, jak bardzo ją doceniają, czegoś od niej chce. Zazwyczaj czegoś takiego, czego ani Tatko, ani kanclerz Oxenstierna by im nie dali... ani też nie pozwolimy Matuli im tego dać. I przez to wszystko w pałacu nie było zbyt przyjemnie. A teraz było już szczególnie nieprzyjemnie. Wszyscy chyba bardzo się rriartwili Duńczykami i Francuzami. Krystyna, rzecz jasna, wiedziała, gdzie 'lancja. Uwielbiała mapy. I wiedziała wszystko o tym paskudnym staruchu Richelieu, który rządził Francją zamiast francuskiego króla. Ale Przed rokiem Richelieu był przyjacielem Tatka. Teraz jest jego wrogiem.

Tb wszystko było strasznie zagmatwane. Wiedziała, dlaczego król Chryślan jest wrogiem. Duńczycy byli niedobrzy. Chcieli zamknąć Szwedów patoce Fińskiej, a cały Bałtyk wziąć dla siebie. A to było wstrętne i bar-

o chciwe. Tym bardziej że przecież Bałtyk należał do Tatka, a któregoś Dzień należał do Krystyny. Dlatego właśnie król Chrystian chciał za wszelką cenę zrobić Tatkowi krzywdę. Czemu jednak Richelieu miemu pomagać, tego jeszcze Krystynie nie udało się ustalić. Najlepiej by było, gdyby ktoś jej to wytłumaczył. Powinno się jej tłumaczyć różne rzeczy. Była przecież królowną Szwecji. Kiedyś zostaj królową. Lecz poza Tatkiem i czasem jej opiekunami (którzy zazwyczaj byli przy tym tak potwornie nudni) ludzie bardzo rzadko jej cokolwiek tłumaczyli. Nie obchodziło ich to, że jest królową; traktowali ją jak dziecko, które niczego nie rozumie. A to było przecież bardzo, ale to bardzo niesprawiedliwe, bo niby jak miała cokolwiek zrozumieć, skoro nikomu nie chciało się jej niczego wytłumaczyć?

To między innymi dlatego tak strasznie cieszyła się z wyjazdu do Magdeburga, niezależnie od tego, co sądziła o tym Matula. Tatko uczynił z Magdeburga swą nową stolicę, a to znaczyło, że wreszcie będzie go mogła widywać. Tatko był najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Wszyscy w Sztokholmie tak mówili, a nawet jeśli nie, to Krystyna i tak uważała, że jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Ciągłe jednak był taki zajęty, ciągle walczył ze złymi ludźmi. Z Polakami, Rosjanami, Duńczykami, Hiszpanami, Niemcami (przynajmniej z częścią, bo ci dobrzy Niemcy byli po stronie Tatka), a teraz znów z Duńczykami i jeszcze z Francuzami. Wszystkich ich oczywiście pokonał. Lecz musiał poświęcić na to tak wiele czasu, że Krystyna właściwie nigdy nie miała go zbyt długo dla siebie. Dlatego też nie mogła się doczekać, żeby to zmienić.

A poza tym był wrzesień. Już niedługo spadnie śnieg, a w Sztokholmie zawsze padało strasznie dużo śniegu. To nie to, że Krystyna nie lubiła śniegu. Chodziło o to, że gdy już spadnie, to zostaje na bardzo długo. Z tego, co dowiedziała się od opiekunów, Magdeburga nie zasypie tak bardzo jak Sztokholmu.

Tym jednak, co najbardziej ekscytowało Krystynę, był fakt, że w Magdeburgu znajdowali się Amerykanie. Prawdziwi Amerykanie. Amerykanie z przyszłości, a nie po prostu z Niemiec. Krystyna słyszała już rozmaite cudowne opowieści o Amerykanach i ich machinach.

Część z nich. przypuszczała, to były bajeczki, które opowiada się małym dziewczynkom, sądząc, że małe dziewczynki uwierzą we wszystko. Ale jeśli choć połowa z tego jest prawdą... Stała na pokładzie czterdziestodziałowego okrętu wojennego "Margaret", który gładko wpłynął w głąb Zatoki Wismarskiej. Żeglarze uwijali się na pokładzie i rejach, zwijając żagle. Statek zwolnił jeszcze trochę, ledwie poruszał się do przodu, a następnie kotwica z chlupotem wpała w wodę » zniknęła. Lina kotwiczna wystrzeliła w ślad za nią i po chwili "Margaret" lekko drgnęła, gdy lina naprężyła się i okręt wytracił resztki prędkości.

Krystyna chciała popędzić do relingu i z ciekawością wpatrywać się w wybrzeże. Była jednak królewną, a królowe (co Matula wyjaśniła jej bardzo dobitnie) nie biegają, żeby się na coś pogapić niczym niewychowany kміeć. Tak więc Krystyna z konieczności stała nieruchomo na rufowce obok Lady Ulrike, swej guwernantki. Lady Ulrike miała męża, który z wyjątkiem zgadzania się z Matulą w takich kwestiach, jak bieganie gdzieś, aby zobaczyć, co się dzieje. Tak naprawdę Krystyna nie miała wątpliwości, że to właśnie z tego powodu Matula wybrała Lady Ulrike na jej guwernantkę i zastanawiała się, czy nie dałoby się jakoś przekonać Tatka, żeby wyszukał kogoś innego. Matuli to by się nie spodobało, rzecz jasna, lecz Tatko był jedyną znaną Krystynie osobą, która nie bała się wydawać Matuli poleceń. Tatko oczywiście był bardzo dzielny. Wszyscy tak mówili.

Krystyna uśmiechnęła się na tę myśl, sztywnym i wyuczonym gestem wsunęła dłonie do mufki. Na morzu panował wystarczający chłód, żeby odczuwać prawdziwą wdzięczność za ciepło mufki, lecz zrobiła to głównie po to, by zadowolić Lady Ulrike i uniknąć takich słów jak „chłopczyca”.

Żeglarze biegali wokół, wykonując przeróżne tajemnicze żeglarskie czynności. Niektórzy sprawnie zwijali liny, inni podwiązywali złożone żagle do rej. Część z nich wносиła bagaż Krystyny i Lady Ulrike na pokład. Krystyna ujrzała dużą łódź wiosłową, która zbliża się do „Margaret” od strony przystani.

Dotarcie do „Margaret” nie zajęło łodzi wiele czasu. Mężczyzna w skórzym kaftanie i butach kawaleryjskich, z mieczem przypasanym u boku, Wspiął się po trapie spuszczonej wzdłuż burty statku. Skinął głową kapitanowi „Margaret” i powędrował prosto do Krystyny.

Wasza Wysokość - powiedział i uklonił się uroczyście. - Witaj w Wismarze. Jestem pułkownik Ekstrom. Pani ojciec, król, życzył sobie, bym eskortował cię do Magdeburga, gdzie cię oczekuje. Pułkownik Ekstrom miał wydatny nos, niemal tak mocno zarysowany jak u Krystyny (albo Krystyna), oraz gęstą, krótko przystrzyżoną brązową brodę. Krystyna uznała, że ma miłe spojrzenie. W tym momencie patrzył bardzo poważnym wzrokiem, lecz edzie tam w tych szarych głębiach kryły się ekierki.

- Dziękuję, pułkowniku - odparła uprzejmie.

- Podziękowania są zbędne, Wasza Wysokość - zapewnił ją pułkownik Ekstrom. - To będzie dla mnie przyjemność. Niestety - przeniósł na Lady Ulrike i iskierek, które Krystyna zdawała się wcześniej dostrzec, całkowicie zniknęły - musimy bezzwłocznie rozpocząć naszą podróż.

Twarz Lady Ulrike stężała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy Krystyna coś przeszkrobała. Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Wzrostem zamknęła i tylko kiwnęła głową. Krystyna rozpoznała to kiwnięcie. Tak kiwiają głową dorośli, kiedy nie chcą o czymś rozmawiać przy dzieciach. Zwykle o czymś ciekawym.

- Kapitanie - kontynuował pułkownik Ekstrom, odwróciwszy się do kapitana „Margaret”, który podążył za nim przez pokład - bądźcie tak mili i dopilnujcie, by bagaż królowej znalazł się w mojej łodzi i natychmiast możemy ruszać.

* * *

Krystyna uznała, że podoba jej się to coś, co najwyraźniej martwiło dorosłych ze względu na jej osobę. Cóż, może niezupełnie jej się to „podobalo”, ale doskonale wiedziała, że pułkownik Ekstrom i Lady Ulrike strasznie się martwili tym czymś, czego absolutnie nie

chcieli przy niej omawiać. Cokolwiek to jednak było, nie mogło to być nic złego z punktu widzenia Krystyny, ponieważ nikt nie zmuszał jej do jazdy powozem. Krystyna nienawidziła powozów. Były duszne i niewygodne. Nawet na dobrej drodze podskakiwały w przerwach między huśtaniem się na boki i przyprawiały Krystynę o mdłości. A dobrych dróg było, rzecz jasna, niewiele. Ta, po której właśnie jechali, z całą pewnością była koszmarna. Nie miała wątpliwości, że gdyby kazali jej jechać powozem, to już dawno by zwymiotowała - ale nie kazali. Zamiast tego dostarczyli jej konia. Cudownego konia, którego Tatko zabrał Austriakom specjalnie dla niej!

Krystyna uwielbiała konie, a one uwielbiały ją. Równie szczęśliwa byk wiedząc, że Matula nie może jej teraz zobaczyć. Matula się martwiła. Matula nie chciała, żeby Krystyna przestała jeździć na kucykach i dostała ataku na widok swej córki dosiadającej prawdziwego konia. Lady Ulrike również nie wyglądała na zadowoloną z tego powodu, lecz Krystyna musiała przyznać swej guwernantce - Lady Ulrike należała do najlepszych amazońek w całej Szwecji. Krystyna wręcz usłyszała, jak z dworek mówiła, że Tatko pozwolił Matuli zatrudnić Lady Ulrike jako guwernantkę Krystyny tylko dlatego, że widział ją kiedyś galopującą w 1793 roku. Niezależnie od tego, ile w tym było prawdy, Lady Ulrike nie narzekała na to, że Krystyna lubi konie... chociaż poprawiała jej postawę w siodle równie szybko, jak każde inne uchybienie w jej zachowaniu.

Jazda na nowej kasztance sprawiła Krystynie tak wielką radość, że porzuciła pewne plany, zdała sobie sprawę, że zmierzają niemal prosto na ułudnie. Coś tu nie pasowało. Jak tylko usłyszała, że zamierzają ją wyjechać do Magdeburga, wkradła się do pałacowej pracowni Tatki i spędziła dwie radosne godziny w towarzystwie olbrzymich map. Profesor Belzoni, jej ulubiony opiekun, w zeszłym roku zaczął ją uczyć geografii; teraz zrobiła dobry użytek z jego nauk, ślęcząc nad mapami północnych Niemiec. Stąd wiedziała, że Magdeburg leży nad Łabą. A Łaba była na zachód od Wismaru. Czemu więc zmierzali na południe błotnistym traktem, obok wielkiego rowu pełnego wody?

* * *

Pułkownik Sigvard Ekstrom jechał tuż za królową i jej towarzyszką. Chociaż Ekstrom został członkiem osobistego sztabu Gustawa Adolfa tuż po bitwie pod Alte Feste, nigdy wcześniej nie spotkał królowy Krystyny. Sam jednak był ojcem trzech synów i dwóch córek, przypuszczał więc, że opowieści króla na temat inteligencji jego córki należy potraktować jako zrozumiały wyraz czułości i dumy ojca ze swego jedyne dziecko. Teraz jednak, gdy obserwował Krystynę jadącą tak naturalnie, jak gdyby ona i kasztanowa andaluzyjska klacz stanowiły jedność, rozumiał, że król wręcz niewystarczająco wychwalał umysł jasnowłosej królowy. Zdążył już zauważyć, że Lady Ulrike z wielkim trudem nadała za dziewczynką. Tu nie chodziło o to, co Krystyna powiedziała. Szczerze mówiąc, ona właściwie prawie nic nie powiedziała. Bardzo dobrze wychowane dziecko, Pomyślał z aprobatą Ekstrom, zwłaszcza jeśli porównać ją z niektórymi Wysoko urodzonymi bachorami, które napotykał w szeregach niemieckiej arystokracji!

Oczy królowy były zupełnie takie jak jej ojca - okna na bystry i przenikliwy umysł, który analizował wszystko dokoła. Może się grubo mylił - wydawało mu się, że kryła się też w niej spora doza szelmstwa i śliwkości... w czym również przypominała swego ojca. Gdyby nie wiedział, ile ma lat, zgadywałby raczej, że bliżej jej do dwunastu niż do siedmiu - a wcale nie była specjalnie wyrosnięta jak na swój wiek. Doszedł do wniosku, że gdy już skończy dwanaście lat, wtedy dopiero zrobi się sformowana.

- Przepraszam, pułkowniku - odezwała się, spoglądając na niego jakby usłyszała jego myśli - czy na pewno zmierzamy we właściwy kierunek?
- Słucham, Wasza Wysokość? - zapytał z pewnym zdumieniem.
- Jedziemy na południe - objaśniła, wskazując palcem błotnistą drogę.

o ile nazywanie takiego traktu „drogą” nie stanowi potwornej obrazy ^ tego znamienitego pradawnego rzeczownika.

- Zgadza się, Wasza Wysokość - przytaknął.

- A przecież mieliśmy zmierzać do Magdeburga - odparła roztropnie Przez chwilę spoglądała na słońce, jak gdyby próbowała ustalić własne położenie, a następnie wyciągnęła dłoń na zachód. - Czy nie powinniśmy kierować się w stronę Łaby? - zapytała.

Ekstrom poczuł, że unoszą mu się brwi, chociaż starał się jak mógł, by stłumić zdumienie. Sam znał takich oficerów kawalerii, i to niektórych starszych stopniem, którzy nie zorientowaliby się, że w tym momencie oddalają się od Łaby.

- W pewnym sensie, Wasza Wysokość - zaczął tłumaczyć, podjeżdżając nieco bliżej jej konia - kierujemy się w stronę Łaby. Ale nie bezpośrednio. To - wskazał na zamulony rów biegnący przy drodze - niegdyś był kanał, który łączył jezioro Schwerin z Wismarern. Do jeziora Schwe-rin wpływa rzeka Eide, która znajduje się przed nami - wskazał na południe - a kolejny kanał łączy Eide z Łabą niedaleko miasta zwanego Dömitz Dömitz zaś jest o wiele bliżej Magdeburga niż Lauenburg, w którym to mieście kanał z Lubeki łączy się z Łabą. Z zaskoczeniem przysłuchiwał się własnemu głosowi, który objaśniał dziecku wszystko tak szczegółowo. Królewna Krystyna słuchała jednak uważnie, gładząc dłonią gęstą, falistą grzywę swego konia. Następnie skinęła głową, lecz na jej twarzy wciąż malowała się zaduma.

- Czyli tak naprawdę - powiedziała - tędy jest szybciej?

- Właśnie, Wasza Wysokość.

- Lecz skoro tędy jest szybciej, to czemu ten kanał - wskazała na wy pełniony wodą rów - jest tak zaniedbany? Czy nie byłoby wygodniej uży* wać go zamiast koni? Naturalnie - dodała pospiesznie - ja bardzo lu^ konie. Ale łodzie mogą więcej udźwignąć.

- W rzeczy samej, Wasza Wysokość - przyznał jej rację Ekstrom, ^ kładając wszelkich starań, by nie pokazać po sobie kolejnej fali zaskocz nia jej przenikliwością. - Co więcej, król, twój ojciec, pani, też tak uvVa za. Dlatego kazał naprawić i odbudować ten kanał. Gdy roboty dobieg

nca będzie można przesyłać towary wodą z Wismaru prosto do Mag-deburs-kie czemu ten, kto go wykopał, pozwolił w ogóle na to, żeby się tak zapchał?

_ Cóż, Wasza Wysokość, to nieco trudno wytłumaczyć. Głównym po-wodem, jak mniemam, jest to, że utrzymanie takiego kanału w należytym stanie wymaga bardzo dużo pieniędzy. Ludziom, którzy go wykopali, tych pieniędzy zabrakło, więc nie mogli już o niego zadbać i dlatego się zamu-li}. To znaczy wypełnił się błotem.

-Ale teraz Tatko znowu go wykopie - oznajmiła Krystyna z wyraźną dumą, a Ekstrom przytaknął skinieniem głowy.

-Właśnie to król planuje uczynić - powiedział.

„Zakładając, rzecz jasna, że Richelieu i Chrystian nie położą go wcześnie-j trupem” - dodał w myślach. Tym jednak nie zamierzał się dzielić z dzieckiem. Nawet tak przerażająco wcześnie dojrzałym.

- Strasznie dużo tych zawijasów - zauważyła po chwili Krystyna. -Czy nie byłoby lepiej, gdyby był prostszy?

- Owszem, byłoby, Wasza Wysokość. - Ekstrom wbrew sobie spojrzał przez ramię na Lady Ulrike. Towarzyszka królewny posłała mu ironiczny uśmiech, jak gdyby witając go w świecie nieustającej gonitwy za niestru-dzeniem pędzącym umysłem jej podopiecznej. Przez moment pułkownik odczuwał serdeczne współczucie dla guwernantki. Tak jak reszta sztabu Gustawa Adolfa, niejednokrotnie czuł się wyczerpany, starając się nada-żyć za swym władcą. Nie widział więc żadnego konkretnego powodu, dla którego dotrzymanie kroku córce króla nie miałyby być równie mę-czące.

~ Tak się składa, Wasza Wysokość - powiedział po chwili - że twój ojciec też opowiada się za prostszym kanałem. Jego inżynierowie już pracują wspólnie z amerykańskimi doradcami i mają w planach prostszy odcinek trochę na zachód stąd. Jednakże wykopanie tego kanału będzie dużym i trudnym zadaniem, więc do tego czasu zamierza naprawić i ulepszyć ten tutaj.

-Dlaczego? To znaczy dlaczego trudniej jest wykopać prosty rów niż ten który wciąż tylko się wiję i zakręca? Czy taki ładny, prosty nie byłby lepszy - przecież byłby znacznie krótszy?

"~ Cały problem, Wasza Wysokość, polega na tym, że nowa trasa wykopana znacznie więcej kopania z powodu ukształtowania terenu, przez który obiega. Prawda jest taka, że gdy kopali ten pierwszy kanał, wybrali

prostszy. Da

najłatwiejszą drogę. Sama widzisz, pani, że okrąży wzgórza, zamiast chodzić wprost przez nie lub nad nimi, a poza tym cały czas przebiega najniższym poziomem. Może i całkowicie prosty kanał będzie krótszy za to czeka nas zdecydowanie więcej kopania niż ich wtedy. A dzięki temu że utrzymali niski poziom, łatwiej im było wpuścić doń wodę, choć i nie mogli uciec od zbudowania śluz. Takich jak tamta.

Tak się składało, że właśnie mijali jedną ze starych śluz. Podobnie większość kanału, ona również była w opłakanym stanie, lecz jeśli ktos wiedział, na co patrzy, łatwo mógł się domyślić, do czego miała służyć! Nie sądził, żeby królowna kiedykolwiek widziała coś takiego i bacznie aczkolwiek dyskretnie - ją obserwował, ciekaw, czy zrozumie jej funkcjonowanie. Krystyna zmarszczyła czoło, wyraźnie zamyślona, następnie przekrzywiła głowę i spojrzała na pułkownika.

- To jest takie małe jezioro między dwiema tamami, czyż nie? - zapytała, a on kiwnął głową.

-Wasza Wysokość ma absolutną rację - przytaknął. - Wpuszcza się albo wypuszcza wodę przez wrota na jednym końcu, jeśli oczywiście są sprawne, aż poziom wody w śluzie wyniesie tyle, ile potrzeba, aby łódź mogła dalej płynąć.

- To strasznie sprytne! - stwierdziła zachwycona, a Ekstrom poczuł, że się do niej uśmiecha. Odwzajemniła ten uśmiech, miała dziewczynka w każdym calu, po czym natychmiast z miną winowajczyni spojrzała na Lady Ulrike. - Dziękuję, że raczył pan to wszystko mi objaśnić, pułkownik Ekstrom - powiedziała z godnością, a on z wdziękiem pokłonił się z wysokości siodła.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość - odparł i zwinął nieco, zrównując się z Lady Ulrike. Zerknął na guwernantkę, po czym stłumił wielce niestosowną chęć zachichotania na widok jej cierpkiego uśmiechu.

Odwrócił wzrok i pragnienie roześmiania się odpłynęło, gdy jego spojrzenie ponownie padło na drobne dziecko jadące z ogromnym wdziękiem na koniu, który przy niej wydawał się olbrzymi. Była to taka sama dziewczynka jak wszystkie, które dotąd spotykał, lecz mimo to jej inteligentny niemal budziła w nim zgrozę.

ziew

Może dlatego, że była dziewczynką. Od czasu, gdy został członkiem sztabu króla, miał wystarczająco wiele kontaktów z nadczasowymi Amerykanami, żeby zdać sobie sprawę z przerażających możliwości w

kanek. Osobiście znał niejednego mężczyznę, który czuł się nie-

w towarzystwie takich kobiet. U niektórych budziło to znacznie odczucia i do uszu Ekstroma kilka razy dotarły mruknięcia na

•inaczej

t sprzeczności z naturą. Rzecz jasna, uważali, by nie wypowiadać ych myśli, gdy ktoś z Amerykanów znajdował się w pobliżu. Tym ICj w pobliżu króla, który nader jasno obwieścił im, że nie zamie-tolerować jakiegokolwiek obrażania jego niesamowitych sprzymie-rzeńców- A już tylko skończony idiota - i to w dodatku o skłonnościach uiiojących - mógłby tylko pomyśleć o takiej uwadze w zasięgu słu-chu Julie Mackay! Chodziło głównie o to, że Amerykanki, i to nie tylko nadczasowe - aż 5jc wzdrygnął, gdy pomyślał o Gretchen Richter - uważały, że mogą ro-
1|C to samo, co każdy mężczyzna, i tak też postępowały. Co może nawet wyjdzie im na dobre. Szczerze mówiąc, pułkownik gotów był przyznać, j chociaż idea ta wywoływała u niego niepokój, to jednak Amerykanie zapewne zmięrzali do konkretnego celu. Z całą pewnością niewielki sens miało oznajmianie komuś strzelającemu tak jak Julie Mackay, że jej miej-sce jest w kuchni i przy dzieciach! Mogło się to zresztą niezbyt wesoło skończyć.

Królowna Krystyna nie była jednak Amerykanką, podobnie jak Gu-staw Adolf nie był Amerykaninem - nawet jako „kapitan Gars”. Ta mała dziewczynka wyrośnie kiedyś na królową Szwecji. A jeśli jej ojciec zre-alizuje swoje plany - a miał taki zwyczaj, co Ekstrom uświadomił sobie z pewnym zadowoleniem - to zostanie także cesarzową Konfederacji Księstw Europejskich. Z całą pewnością ta błyskotliwość wielce się jej przysłuży, lecz czy jej poddani - a szczególnie arystokraci - będą skłonni zaakceptować błyskotliwą królową i cesarzową... skazoną amerykańskim sposobem myślenia'?

Na to pytanie nic znał odpowiedzi. Lecz nawet po tak krótkiej znajo-mości z królowną wiedział już jedno: przenikliwy umysł skryty za oczyma kiecka nie należał do tych, które zgadzają się na kompromisy skrywające -lego prawdziwą naturę.

A to może mieć... wielce intrygujące konsekwencje dla przyszłości europy.

^zbzml 25

Gdy Melissa skończyła zawiązywać maskę z gazy, wzięła pistolet na-tryskowy wręczony jej przez Darryla. Schwyciła przyrząd tak, jak żarliwy katolik mógłby złapać pogański fetysz: z jednej strony z obrzydzeniem i niechęcią, z drugiej zaś - bardzo mocno, żeby paskudztwo nie uciekło i nie wyrządziło jakiejś potwornej krzywdy zgromadzonym wokół nie-winnym dzieciom.

Cały pokój zaczął rechotać. Po chwili Melissa również nie mogła po-wstrzymać się od uśmiechu.

- Boże, czuję się jak idiotka. Darryl wyszczerzył zęby.

- Ej, pani Melisso, przecież mówiłem. Z chęcią sam to zrobię. Ja się tym nie przejmuję. Melissa prychnęła.

- I właśnie dlatego się tym nie zajmiesz! Powinieneś się przejmować Inaczej byłbyś nieostrożny.

Darryl wyrócił oczami.

- Jezus Maria - mruknął. - Przecież to tylko DDT. Zachowuje się ^ tak, jakby to był gaz paralizujący albo musztardowy, albo jeszcze coś innego ■

Melissa obrzuciła pistolet natryskowy pełnym obrzydzenia wzrokiem, \ Poza tym ja tu jestem zdecydowanie najstarsza. Więc cokolwiek10 świństwo mi zrobi, i tak raczej to przeżyję. A ponieważ już przeszła menopauzę, nie muszę się obawiać powikłań u swego potomstwa.

•teraz0 Rita wyróciła oczami. Dwa lata, które minęły od Ognistego u, siostra Mike'a Stearnsa poświęciła całkowicie na przygotowanie

gdyczne. Chociaż nie była lekarką - ani nawet pielęgniarką według ry- jystycznych standardów amerykańskich z czasów poprzedzających ;sty Krag - spośród całego poselstwa w Anglii to ona miała zdecydo-viiiic największą wiedzę w tej dziedzinie.

_, Melissa - westchnęła - ile jeszcze razy mam ci to powtarzać? Wszel- kie zagrożenia dla zdrowia na skutek używania DDT występują dopiero na dłuższą metę i są związane z tym, jak często człowiek jest wystawiony na jego działanie. Jeżeli użyć tego raz na jakiś czas, to nie sądzę, żeby komukolwiek z nas coś groziło, zwłaszcza jeśli zadbamy o najprostsze irodki ostrożności, czyli założenie osłony na usta - wskazała głową na maskę na twarzy Melissy - wypranie użytych ubrań, otwarcie okien na czas spryskiwania, żeby szybko wywietrzało. Cholera, niektórzy ludzie nawet to jedli i nie umierali. - Pospiesznie dodała: - Nie żeby to był naj- lepszy pomysł. To zdecydowanie jest toksyczne, co do tego nie ma wąt- pliwości. A takie bogate państwo jak nasze dawne Stany dobrze zrobiło, że z tego zrezygnowało. Ale... Melissa machnęła ręką ze zniecierpliwieniem - i zaraz potem znów kurczowo zaciskała palce na pogańskim narzędziu.

- Oszczędź mi tego wykładu - burknęła. - Przyznaję, że może nieco wydziwiam w tej kwestii - trudno wykorzenieć stare nawyki - ale na pew- no nie zwariowałam. Doskonale wiem, że przy umieralności na tyfus albo dżumę dymieniczną toksyczne efekty uboczne DDT wydają się śmieszne. Lecz mimo to nie musi mi się to podobać.

Zaczęła wymachiwać pistoletem, jakby chciała ich zastraszyć.

- Już was tu nie ma. Pozwolę sobie zacytować Barda ze Stratfordu - kimkolwiek był, a to kolejna rzecz, której mam zamiar się dowiedzieć, bo opowieściom Baltazara o hrabim Oksfordu wierzę tak samo, jak wierzy-łam tym wygadanyim rzecznikom prasowym, którzy zaklinali się, że ben-Zen jest nieszkodliwy, aż w końcu biedacy w fabrykach zaczęli padać jak ^uchy na raka wątroby. A poza tym mnie się cholernie spodobało to, że naJWspanialszy anglojęzyczny poeta i dramatopisarz był prostym człowie-kiem...

Wszyscy strasznie się wysilali, starając się nadażyć za jej zawilými Geesami myślowymi.

Melissa skończyła paplać, odchrząknęła głośno Poszła do rzeczy:

- -Gdyby to mogło stać się, niechby się stało jak najprędzej". Sio!

rryi

jako ostatni zamykał drzwi, słyszał jeszcze warknięcia Melissy przepij psiknięciami ręcznie obsługiwanego rozpylacza. Uśmiechnął się szeroko i przycisnął ucho do drzwi.

- Dobrze im powiedziałaś! - Zaczął mówić falsetem, przedrzeźniając Melissę. - „Giń, robaku, giń! Precz, cholerne wszy!". I jeszcze coś... ^ brzmi jak jakaś łacina. Chyba „sik samper rykec perwaki".

Rita też się uśmiechała.

- Założę się, że sic semper Rickettsia provazekii. Czyli w wolnym tłumacze- niu: „Niech tak kończą przekłete robale, które sprowadzają tyfus". Rickettsia provazekii to zarazek, który roznosi tę chorobę. Taka jakby bakteria.

- Dobry robak to martwy robak - oznajmił Darryl, kiwając głową z aprobatą. Tom Simpson zachichotał.

- Tylko nie pozwól, żeby Melissa cię usłyszała - chyba że masz ochotę na kazanie o tym, że większość robaków to nasi przyjaciele i że nie wolno rozdeptywać pajaków. Darryl skrzywił się. Tom już miał coś dodać, lecz poczuł, że ktoś chwyta go za łokieć. Odwrócił się i zobaczył, że stoi za nim jeden z gwardzistów, którzy zawsze pełnili straż w przejściu, uniemożliwiając Amerykanom samodzielne wkroczenie do wewnętrznej części Tower. Mężczyzna grzeczenie odsunął na bok partyzanę. Odsunął, zgadza się, lecz potężne ostrze wciąż lśniło złowieszczo w świetle poranka.

- Tak, Andrew? - zapytał go. Wszyscy postawili sobie za cel zapamiętanie imion gwardzistów, których przydzielono do pilnowania amerykańskiego poselstwa.

- Racz wybaczyć, że pytam, milordzie... eee, Sir... cóż wy tam wypt2" wiacie? W słowach tych nie czaiła się żadna groźba. To nie było dociekani strażnika, który bada podejrzanę zachowanie, lecz pytanie człowieka za intrygowanego (nie po raz pierwszy) osobliwym postępowaniem tych ek> centrycznych Amerykanów.

- Rozpylamy w naszych pokojach substancję chemiczną, którą P1^ wieźliśmy. W skrócie nazywa się „DDT”. - Tom kiwnął głową w str^n^ Rity. - Musiałbyś zapytać mojej żony, co tak dokładnie oznaczają te w ry. Ja zapomniałem. To jakaś zbitka nazw chemicznych.

Andrew zmarszczył brwi.

. po co

_ go to zabija większość zarazków - takich małych stworzeń, których nie widać gołym okiem, a które roznoszą choroby. No, przynajmniej część dorób. Wiem, że to na pewno zadziała na zarazki, które roznoszą tyfus -Av na to chyba mówicie „gorączka więzienna” - i dżumę dymieniczą.

Tom nic do końca dobrze to wytłumaczył - włączyła się do rozmowy Rita. - DDT nic zabija samych bakterii, tylko wszy, które je przenoszą.

W tej chwili koło Andrew stali już dwaj jego kompani. Cała trójka była tropiona, ewidentnie zagubiona w tych „wyjaśnieniach”. Jedno słowo jed-nak do nich dotarło.

- To... eee... „DDT” - powiedział Andrew. - Ono zabija wszy. - Jak na komendę wszyscy trzech gwardziści zaczęli się drapać.

- Tak jest - potwierdził Tom. - Zabite na śmierć. Oczywiście żeby osią-gnąć pełny efekt, trzeba spryskiwać teren co jakiś czas. Ale przywieźli-śmy tego sporo ze sobą, a wcale dużo nie potrzeba. Sądzę, że mamy wy-starczająco wiele, żeby spryskać wszystkie te miejsca w Tower, gdzie ktoś mieszka. Rita!'

Skinęła zdecydowanie głową.

-Nie za często - uściśliła. - Niektóre miejsca, poza pomieszczeniami sypialnymi - być może tylko raz. Ale DDT bardzo powoli się rozkłada. To wytrzyma przez całe lata - między innymi dlatego właśnie u nas w Sta-nach Zjednoczonych to znaczy w starych Stanach Zjednoczonych - uzna-liśmy wreszcie, że...

Urwała, najwyraźniej po dojściu do wniosku, że to nie czas ani miejsce na zagłębianie się w temat długofalowych minusów korzystania z DDT. fcy mąż wszedł jej w słowo.

-l dużo pomaga, naprawdę dużo - oznajmił Tom z pewnością w gło-

^jc—jeśli także regularnie pierze się ubrania i pościel. Tylko że to musi

y° za pomocą pary, żeby zabić wszy. Zwykle pranie nic tu nie da.

Trzech wartowników popatrzyło po sobie. A następnie spojrzeli na 'oma.

- A co to znaczy... hm... „za pomocą pary”? - zapytał Andrew. ^Orn już miał odpowiedzieć, lecz Rita nie dopuściła go do słowa.

" Możemy wam pokazać, ale będziecie musieli trochę nam pomóc.

yraz twarzy gwardzistów momentalnie zmienił się z zaskoczonego a Podejrzliwy.

"Nie może... - zaczął Andrew.

Rita pokręciła głową.

- Nie chodzi nam o żadną sekretną „pomoc”. Musielibyście dostać dę waszego dowódcy albo tego, kto tam zarządza tym wszystkim. N ^° tego nie rozgryzłam. Jak dla mnie jest to sam hrabia Strafford.

Na ich oblicza wróciło zaskoczenie. Rita uśmiechnęła się uroczo

- Żeby móc to wyczyścić parą, trzeba będzie zbudować coś, co na*, warty „pralnię”. Słyszając to słowo, zapewne myślicie o czymś nieco innym niż my. Zbudujemy takie pomieszczenie z centralnym ogrzewaniem wpuścimy tam wodę, żeby powstała para, a następnie...

Nie bardzo wiedziała, jak to wytłumaczyć, posłała więc błagalne spoj rzenie Friedrichowi Bruchowi. Wiecznie milczący Friedrich tradycyjnie stał gdzieś z tyłu gromadki rozmawiających ludzi. Widząc, że Rita spo-gląda na niego, przywlekl się kilka kroków do przodu.

- Jakiś czas pracowałem w dużej pralni publicznej w Grantville - oznaj-mił cicho. Cicho, lecz bez wahania. - Jestem w stanie zaprojektować dla Tower system prania parowego, jeżeli otrzymam konieczne zasoby i siłę roboczą. W gruncie rzeczy to jest bardzo proste. Wartownicy zapatrzyli się na niego. Później na Toma i Ritę. A następ-nie na drzwi prowadzące do Wieży Świętego Tomasza, które właśnie się otwierały. Ze środka wypadła Melissa.

- Fuj! - krzyknęła, zrywając maskę z twarzy. Władczym gestem prze-kazała pistolet natryskowy Darrylowi. - Zabierz to, dobrze? Ja już mam dosyć. Widząc, że trzech wartowników niemal przewierca ją wzrokiem, Me-lissa posłała im dość okrutny uśmiech.

-Ale jedno powiem: ja nie będę się drapać co noc przed snem. Do diabła z tyfusem i dżumą! Samo to jest na wagę złota.

Trzej gwardziści jak jeden mąż zaczęli się odruchowo drapać.

* * *

Gdy hrabia Strafford przedstawił całą sytuację człowiekowi uchodzą-cemu za czołowego medyka tych czasów, Sir William Harvey zmarszcz^ brwi.

- Jeśli dobrze pojmuję, panie, obawiasz się, że to może być subtelny podstęp ze strony Amerykanów? Być może usiłowanie otrucia wsz)'s' kich mieszkańców Tower?

Strafford zacisnął wargi.

- Niezupełnie. - Nagle ciężko westchnął. - Jeśli mam być szczery. \$ Williamie, to nie wiem, czego się obawiam - lub też czego mógłbym ^

-inieniem się obawiać. Z tego, co wiem, ich propozycja - ich oferta -alkiem szczera. Ja po prostu...

i milkł- Harvey wykrzywił kąciki ust w coś na kształt uśmiechu zro-bienia połączonego z grymasem irytacji.

Lordzie Strafford. Proszę mi wierzyć! W tym krótkim czasie, jaki spęd-em w Grantville, niejednokrotnie... hm... doprowadzali mnie do frustra-. Nigdy do końca nic wiedziałem, czemu ufać, a czemu nie. To ogromny dyskomfort - ogromny dyskomfort - gdy wszystko, w co wierzyliśmy, zosta-je pogruchothane przez nowe i - jak dla mnie - cudaczne teorie. Mimo to...

Medyk przekręcił głowę i wyjrzał przez pałacowe okno. Jego oczy zda-wały się nic nie widzieć.

-Nie uważam... - Zaczerpnął głęboko powietrza, po czym rzucił gwałtownie: - Czytałeś, jak mniemam, długi raport z mego pobytu w Grantville, który sporządziłem dla Jego Królewskiej Mości? Strafford przytaknął.

- Czy przypominasz sobie mą relację z posiedzenia tego, co nazywają „Kongresem”, w którym to posiedzeniu uczestniczyłem? To nieco przypomina nasz własny parlament. Po raz kolejny Stratford przytaknął i pełnym zadumy gestem przejechał dłonią po włosach.

- Domyślam się, że nawiądujesz do sporu, który wywiązał się w kwestii... Jak oni to nazwali? „Wojny chemicznej”?

- Tak. A dokładniej „wojny chemiczno-biologicznej”. Byłem świadkiem całej tej debaty, panie. Mają tam specjalne miejsce, z którego goście mogą obserwować obrady. Fascynujące przeżycie - i to bardziej ze względu na walkę polityczną, która miała tam miejsce niż naukowe aspekty tego zagadnienia.

Stratford chrząknął.

~ Nie sądzisz więc, że to wszystko było zainscenizowane? - Zawahał a następnie dodał: - Jego Wysokość zdaje się tak uważać, podobnie jak większość jego dworzan. Laud też jest tego zdania. Harvey zaśmiał się krótko.

„»Zainscenizowane”? Niby z mojego powodu? Żebym mógł czmychać i przestrzec wszystkich, że Amerykanie są zdolni do mordowania całych narodów?

Stratford kiwnął głową. Harvey ponownie się zaśmiał. Szczerze mówiąc, panie, wątpię, czy większość ich oficjeli w ogóle jest świadoma mej obecności. A poza tym prezydent uparł się, że zwróci swoją mowę wprost do Kongresu. Ten raport również czytałeś?

Teraz Stratford się uśmiechnął.

- Owszem. Było to dość zajmujące pomimo okropnego języka, którego używał ten człowiek. Wydaje się osobą dość szczerą i bezpośrednią. Hrabia zamknął na chwilę oczy, wywołując pamięć - jak zawsze - i zaczął recytować:

- „Jeśli przegłosujecie ten śmierdzący projekt, ja go zawetuję. Odeprzecie moje weto, to jako zwierzchnik sił zbrojnych odmówię wam wsparcia. Dam wam też taki budżet, że nawet liszka za to nie kupi. Jeśli spróbujecie postawić mnie za to w stan oskarżenia, to gwarantuję wam najgorszą burdę, jaką w życiu widzieliście. W świecie, z którego przybyliśmy, zakazaliśmy tego gówna - i słusznie, na litość boską! Czemu więc, do kurwy nędzy, robicie z siebie idiotów, twierdząc, że w nowym świecie to już będzie świetny pomysł? Wyrażam się jasno? No dalej, spróbujcie”.

Harvey uśmiechnął się.

- Zważ, milordzie, że nie sądzę, żeby ta propozycja miała szansę zostać przyjęta. Po tej krótkiej przemowie - najwyraźniej złamał obyczaj, w ogóle ją wygłaszając - natychmiast porzucono ten temat.

Stratford bacznie obserwował medyka.

- A ty co uważasz? Czy Amerykanie naprawdę mogliby stworzyć taką broń?

Harvey wzruszył ramionami.

- Wedle mojej wiedzy, którą opieram na rozmowach przeprowadzonych z różnymi ludźmi... odpowiedź brzmi „i tak, i nie”. Tak, mogliby ją stworzyć. Lecz z olbrzymim trudem i nie w takich ilościach, by wytruć całe narody.

- Lecz niewykluczone, że w ilościach pozwalających na zatrucie o wiele mniejszej przestrzeni - odparł bezzwłocznie Stratford. - Na przykład londyńskiej Tower.

Harvey zawahał się, po czym skinął głową. Już miał coś dodać, lecz Stratford nie dał mu dojść do słowa.

- Nie, to też nie ma sensu. Z całą pewnością nie zatruewaliby sami siebie. Skąd jednak wiemy, czy nie mają przy sobie jakiegoś antidotum? Widzisz, nie przeszukaliśmy ich komnat ani bagażu. I chcąc przynajmniej zachować pozory dyplomacji, niczego takiego nie zamierzam zarządzać. Już i tak wystarczająco pogwałciłem przyjęte zwyczaje, trzymając w zamknięciu.

Medyk nie odzywał się. Stratford wciąż go obserwował.

uprzeć

_ Ale pragnę ci przypomnieć, że według raportów, które otrzymaliśmy s0mie z trzech niezależnych źródeł, Amerykanie nie zawahali się użyć akcjęs diabelskiej broni ogniowej przeciwko oddziałom hiszpańskim, które zamkneji w zamku Wartburg, po raz kolejny Harvey chciał się odezwać i po raz kolejny Strafford go jdził-

'k Nie, nie tędy droga. Mam też świadomość, że Amerykanie najwyraż-niej zadbali o to, by jak najmniej Hiszpanów zginęło. Nie sugeruję, że mamy do czynienia z nowym plemieniem Tatarów. Wciąż jednak nie za bardzo możemy przewidzieć, do czego są zdolni, a do czego nie. Dziwi mnie trochę, że wszczynają tak wielką awanturę w sprawie tego, co zwą „wojnę chemiczną”, lecz równocześnie nie wahają się spalić człowieka żywcem przy użyciu innej broni. To jest jedna wielka sprzeczność wedle wszelkich znanych mi stanowisk filozoficznych, teologicznych czy etycz-nych. Przynajmniej dla mnie.

Harvey trwał w milczeniu. W końcu Strafford pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Śmiało, proszę powiedzieć, doktorze. Nie staram się was zastraszyć. Ja tylko, powiedzmy, bawię się w sofistę, próbując przedstawić argumen-ty przeciwnej strony.

Harvey odwzajemnił uśmiech.

-Właściwie nie powinienes, panie, traktować mnie jako ich zwolenni-ka. Wiele rzeczy typowych dla Amerykanów, mówię to szczerze, budziło we mnie niesmak. Pozostaje jednak faktem, że...

Wyprostował nieco ramiona.

- Pozostaje faktem, że to, co dane mi było zauważyć w trakcie mego P°bytu tam - a trzeba by być ślepcem, by tego nie zauważyć - to olbrzy-ma troska, jaką otaczają swe dzieci. Prawdę mówiąc, znacznie większa 0,2 ta, jaką można spotkać w naszym królestwie.

Strafford zacisnął usta, lecz nie oponował. Od czasów swej młodości ^jednokrotnie z przerażeniem obserwował warunki, w jakich żyło wie-'e angielskich dzieci. Zwłaszcza dzieci nędzarzy.

"~ Tower jest pełna dzieci, do tego zmierzasz? Zgadza się, panie. Pragnę też przypomnieć, że ta kobieta... - Na krót-" chwilę usta Harveya wykrzywił grymas. - Ta, która zdaje się uważać *a jakąs „Lady”. Hm... Zmierzam do tego, że według wszelkich źródeł

Nauczycielką dzieci. I to przez większą część życia.

Harvey przytaknął. Stafford odwrócił się lekko od doktora i splótl dło • za plecami.

- Proszę nie dać się zwieść własnym przyzwyczajeniom - odezw się cicho. - Tak się składa, że ja spędziłem dobrych kilka godzin w t0 warzystwie Lady Mailey. - Nieznacznie zaakcentował ten tytuł W przeciwieństwie do ciebie, jak mniemam. Tego, że ona jest „Lady” w fundamentalnym znaczeniu tego słowa, nie należy podawać w wątpliwość.

Harvey bez sprzeciwu przyjął tę łagodną nagane. Stafford ponownie spojrzal w jego stronę.

- Jak mówisz, nauczala dzieci. I w tej kwestii skłonny jestem przyznać ci rację, doktorze. Do czegokolwiek ta kobieta mogłaby się posunąć, nie wyobrażam sobie, żeby celowo otruła dziesiątki niewinnych istot. Chv. szem, to grzeszny świat. Lecz przynajmniej niektóre zbrodnie już nie uj-rzą światła dziennego.

Uśmiechnął się krzywo.

- Im bardziej się nad tym zastanawiam, tym wyraźniej widzę, że do-kładnie to samo oznajmił Kongresowi ich prezydent. Choć, przyznaję, nie ubrał tego tak ładnie w słowa. Przez chwilę on i William Harvey śmiali się cicho. Gdy skończyli, Stafford wydał polecenia.

- Zgadząmy się więc. Dajcie Amerykanom to, czego potrzebują - oczy-wicie w granicach rozsądku. To może się okazać interesującym i cennym sprawdzianem. Nawet bardziej dotyczącym ich moralności niż możliwości technicznych, które, jak przypuszczam, w ostatecznym rozrachunku okażą się dla nas najistotniejsze. Prosiłbym cię jednak, byś sprawował nad tym nadzór w imieniu króla.

-Tak, panie. A...

- Myślę, że nie ma potrzeby niepokoić króla Karola czymś tak błahym-jak budowa maszyny do czyszczenia ubrań i wybicie insektów. Nie oczekuję bynajmniej, że zaniebasz swe medyczne obowiązki wobec króla i jego małżonki.

-Właśnie, panie. Rozumiesz, że...

- Tak, tak. Jestem świadom tego, że królowa jest wątłego zdrowia i *J maga bardzo troskliwej opieki. Chciałbym tylko, żebyś poświęcił trochę Amerykanów możliwie jak najwięcej uwagi.

- Tak, panie.

* * *

y/ trzecim dniu spryskiwania londyńskiej Tower to Darryl McCarthy ^ługiwał pistolet. Pod koniec dnia uparł się, by zdezynfekować lochy, jctórych trzymano najgroźniejszych zbrodniarzy.

„To nic nie da - stwierdził z mocą - jeśli się nie zabije wszystkich vsZy co do jednej - a ty, Andrew, wiesz równie dobrze jak ja, że tego .|,0lerstwa jest tam więcej niż gdziekolwiek indziej!

Oficjalny Pryskacz już zdążył stać się tytułem budzącym powszechny szacunek. Gwardzista spojrział nieco bezradnie na doktora. Po chwili wa-hania Harvey kiwnął przyzwalająco głową.

- Lecz więźniom nie wolno opuszczać cel - oznajmił stanowczo. -ieśli ucierpią, to trudno. Większość i tak już wkrótce będzie martwa.

Darryl nie protestował. Prawda była taka, że zgadzał się z dobrym pa-nem doktorem.

* * *

Darryl wkroczył do czwartej celi, a towarzyszący mu gwardzista szorstko nakazał więźniowi usunąć się w kąt. Gdy ten już się tam znalazł, Andrew zakuł go w kajdany i pospiesznie wycofał się z pomieszczenia, zamykając za sobą masywne drzwi.

Gdy tylko Darryl usłyszał dźwięk opuszczania sztaby, rozpoczął od spryskiwania samego więźnia. Niezwykle energicznie.

-A masz, ty cholerny draniu. Jeśli Brytole cię nie zetną, to może cho-ciaż dostaniesz od tego raka. Pieprzony rzeźnika z Irlandii. - Psik, psik, psik. - Gdybym nie miał rozkazów, to bym ci to wepchnął do gardła i ka-zał wszystko zeżreć.

Więzień osłaniał twarz rękoma. Danyl odwrócił się i wciąż bluzgając Pod nosem, dokończył dzieła w pozostałej części pomieszczenia. Następnie zaczął gmerać pod swym ciężkim ubraniem ochronnym. Rita i Nelly zaprojektowały je, a następnie uszyły. Wyglądało jak połączenie poncho z kombinezonem robotniczym. Było strasznie szerokie - na pewno wy-starczająco, żeby ukryć tak mały przedmiot jak walkie-talkie.

~ Rozkazy - mruknął Darryl. - Wciąż uważam, że to zły pomysł. Masz, Jebusie, bierz.

Schowaj to. - Trzasnął więźnia w głowę pistoletem natry-

0w7m. - Cholera jasna, słuchaj, co mówię! Widzisz ten przycisk?

Więzień podniósł na niego zapuchnięte oczy. Następnie spojrzął na przy-Clsk na dziwnym przedmiocie. Darryl ponownie go trzasnął. Więzień kiw-n*ł głową.

któ" w^cza ^ wy^cza- ~ Upewnił się, że w celi jest okienko, przez re więzień mógłby rozpoznać, czy jest dzień, czy noc. - Normalnie ma usły.

być wyłączone. Dopiero po zachodzie słońca włączasz i czekasz, aż szysz głos. A potem robisz to, co ci pani każe. Widzisz ten przycisk* f kie jakby czarne kółko wystające z boku. Trzask. Więzień kiwnął głową.

- To jest regulator głosu. To znaczy, że pani będzie mówiła gł0^ • . albo ciszej. Ma być tak cicho, jak tylko się da, ale żebyś był w stanj słyszeć. Ale strażnicy już nie. Ustawione jest na VOX, więc po pro^ do tego mówisz. Ale pamiętaj, że nie można równocześnie mówić i sfo

chać. Więc jak skończysz, zamknij się na chwilę, żeby pani mogła coś powiedzieć. I tyle. Nawet taki zaszary morderca jak ty powinien sobie poradzić. Darryl dorzucił jeszcze kilka ostatnich psiknięć DDT i ruszył do wyjścia. Gdy Andrew otworzył drzwi w odpowiedzi na jego łomotanie, już nucił melodię The Men Behind the Wire.

Tuż po zachodzie słońca więzień zrobił tak, jak mu kazano. Usłyszał kobiecy głos dobiegający z dziwnego pudełeczka. Pospiesznie wykonał rozkaz i dotąd przekręcał małe kółko, aż w końcu głos stał się ledwie słyszalny.

- ...mwell. Oliverze Cromwell. Zgłoś się. Jesteś tam? Odezwał się z lekkim wahaniem.
- Tak. To ja.

Na moment zapadła cisza. Później usłyszał, że kobieta coś mamrocze. Brzmiało to jak: „cholerny Darryl... czy on nie...” - Reszty nie wyłowił. Za chwilę kobieta powiedziała:

- Ledwo pana słyszę. Musi pan trzymać... tę rzecz... blisko ust. Proszę mówić do... yyy... do tych krat... no, jak to nazwać...

Uśmiechnął się.

- Pojmuję. Czy teraz lepiej?

-Tak, świetnie! Proszę słuchać. Ta rzecz nazywa się „walkie-talkie”. Dzięki niej możemy z panem rozmawiać z miejsca, w którym jesteśmy czyli z tej części Tower, która nazywa się Wieżą Świętego Tomasza. Me nie ma pan zbyt wiele mocy...

Nie zrozumiał kolejnych dwóch zdań. Była w nich mowa o „bateriach” a on nie bardzo wiedział, co armaty mogą tu mieć do rzeczy.

- ...tylko zaraz po zachodzie słońca, rozumie pan? Jak pan zostawi czone, to się wyczerpie.

To wydawało się dość jasne.

pojmuję. Tylko po zachodzie słońca i wyłączam wtedy, gdy mi ka-
żecie-

„Właśnie. Świetnie. - Znowu zapadła cisza. - To chyba wszystko na dzisiaj. Jakies pytania? Więzień zastanawiał się przez chwilę, a później odezwał się łagodnym głosem:

„Tak, mam jedno pytanie. Czemu ów człowiek, który dostarczył mi to urządzenie, dostał mi po głowie, i to kilkakrotnie, przysnął mi chyba jakąś cizną prosto w twarz i jeszcze obrzucił mnie kolosalnym stekiem wyćisk? Nie przypominam sobie, żebym go kiedykolwiek spotkał. po jego uszu dotarły kolejne wymamrotane słowa.

- ...zabiję tego matola, przysięgam... Urwała gwałtownie.

-To dlatego, że jest Irlandczykiem, a pan - hm... człowiek, którym pan by się stał podbił kiedyś Irlandię i najwyraźniej - w zależności od tego, z czyich ust to się słyszy - albo wybił połowę Irlandczyków, albo... Cholera, nieważne. Żywi do pana uraz za coś, co zrobił pan za piętnaście lat. W innym świecie.

-Ach tak. - Więzień kiwnął głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej. -To wydaje się pasować. Król rozzłościł się na mnie z podobnego powodu. Czemu więc moi... hm... sprzymierzeńcy nie mieliby zareagować w ten sam sposób?

-Cóż... - Znowu cisza. - To wszystko jest bardzo skomplikowane. Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co mam o tym sądzić. Nie chodzi tylko o pana, chodzi mi o wszystko. Widzi pan, jesteśmy z przyszłości. Amerykanie. Może słyszał pan o nas.

- Bez wątpienia. Hrabia Strafford rozwodził się na ten temat raz czy dwa. Przyznaję, że byłem dość sceptyczny. Najwidoczniej niesłusznie.

Cisza.

~ Dobra. Chyba już się rozłączę. Proszę nie zapomnieć o wyłączeniu walkie-talkie.

- Jeszcze chwilę. Jak cię zwa, Lady Walkie-Talkie? I co sądzisz o pre-[^]stynacji? Przez ostatnie tygodnie sporo rozmyślałem nad tym zagadnieniem. Nie mam tu zbyt wielu zajęć, rzecz jasna.

[^] - Nazywam się Gayle Mason. Apredestynacja... Cholera wie, panie Otnwell. Ja nie mam zielonego pojęcia. Zawsze uważałam, że człowiek winien robić to, co słuszne, a Bóg już zajmie się resztą. Wybornie. Takich purytanów lubię.

Zdawało mu się, że usłyszał prychnięcie.

- Ha! „Purytanką”? Mój były mąż z całą pewnością był innego zdania

- To głupiec z niego. - Uśmiech na twarzy więźnia stał się dość sm[^]ny. - Wystarczy.

Już pani nie zatrzymuję, Lady Gayle. Po prostu nie s^fy szałem głosu kobiety, odkąd... umarła moja żona. Bardzo mi tego d^z\vje ku brakuje.

Ponownie zapadła cisza. Więzień już miał nacisnąć przycisk, lecz za wahał się.

- Czy powinienem dać jakiś sygnał, zanim wyłączę tę drobną maszynę? -No, niby tak. „Siedemdziesiąt trzy”. Ale...

-Tak?

-A zresztą nic. Przykro mi z powodu pana żony i syna. Gwardziści powiedzieli nam, co się stało. No nic. Odezwę się do pana jutro wieczorem, Oliverze Cromwellu.

- A w kolejne wieczory?

- Jasne. Co wieczór. I... yyy...

- Siedemdziesiąt trzy. Lady Gayle. Niech Bóg ma cię w swej opiece.

(Uześć czftrarta

Łachmanem zwisfym z żerdzi

- Mike. do jasnej cholery, musimy z tym skończyć! Mówię ci, że jeste[~]śmy ostatnie fujary. Równie dobrze możemy wyjść na ulice i zacząć rozpowszechniać sekrety naszej technologii. Mike odchylił się na fotelu i przez chwilę obserwował Quentina Underwooda. Starał się oszacować, jak wiele będzie zmuszony mu powiedzieć, żeby zażegnać kolejny z jego napadów furii. Po części Mike nawet życzył sobie, żeby Underwood wreszcie odciął się od Partii Czwartego Lipca i zaczął działać samodzielnie. Na początku byłaby to dotkliwa strata, lecz na dłuższą metę...

„Przynajmniej nie musiałbym się z nim wiecznie użerać - pomyślał

kwaśno. - Może i Quentin jest jednym z najlepszych kierowników na

svwiecie, ale cała jego wiedza społeczna mogłaby zostać zapisana na łepku od...”.

Na chwilę Mike puścił wodze fantazji i wyobraził sobie, że wszyscy naukowcy tego świata próbują stworzyć szpilkę tak małą, żeby dopasować do jej łąpka „świadomość społeczną” Quentina.

Uznał, że to niemożliwe. Mikroskopy elektronowe zostały w tamtym świecie.

Udoszedł do wniosku, że nie może już dłużej przeciągać. Poczerwieniał. Doktor Underwooda zapowiadała nadejście kolejnego wybuchu.

Uspokój się wreszcie - warknął. A co tam, ten ostatni raz można spróbować. - Quentin, już ci to tłumaczyłem, ale ty jakoś nigdy nie chciałeś

śluchać. Wszelkie krótkoterminowe szkody, jakie może nam przynieść polityka „otwartej księgi”, są niczym w porównaniu z tym, co nas czeka, jeśli wprowadzimy blokadę. Nie mam nic przeciwko zamknięciu kity książek - już to zresztą zrobiłem. Ale to się tyczy wyłącznie materia-zdradzających takie szczegóły produkcji broni, które rzeczywiście jakiś czas można utrzymać w sekrecie. Przykładowo ta książka Greenera

0 broni palnej z 1910 roku, nad którą tak męczyli się wszyscy rusznicy. Albo książki Chapelle'a z projektami dziewiętnastowiecznych fregat

1 liniowców.

Wnosząc po uporze malującym się na twarzy Underwooda, nie trafiło do niego ani jedno słowo. Mike postanowił więc, że będzie ostry. Trzasnął dłonią w biurko, a że był potężnym mężczyzną, wydawało się, że w pokoju rozległ się grzmot burzy.

- Cholerny świat! Czy ty kiedykolwiek wysłuchałeś raportów, które doktor Nichols składa gabinetowi?

To nieco wstrząsnęło Quentinem. Nieco. Underwood cofnął się na fotelu, oparł dłonie na poręczach i zaczął się bronić:

- Ej, no co ty! Ostatnio cały czas siedzę w Wietnie na polu naftowym. Dopiero co wróciłem kilka dni temu.

- James od roku mówi nam to samo - wygarnął mu w odpowiedzi Mike. Nie zamierzał tak łatwo Quentinowi odpuścić. - Nawet dłużej niż od roku. ale ty nigdy nie raczyłeś posłuchać.

Dźwignął się z fotela i zbliżył do okna. Wycelował palec wskazujący w kipiące życiem miasteczko widoczne za szybą.

- Trzydzieści procent, Quentin. Takiego wskaźnika umieralności możemy się spodziewać w najlepszym razie, jeśli i w nas uderzy fala dżumy. Albo tyfus. Albo ospa wietrzna. Albo cholera wie, co jeszcze. - Zmarszczył się groźnie. - A jak to będzie dżuma, to na trzydziestu procentach raczej się nie skończy. W niektórych włoskich miastach wskaźnik umieralności przekraczał sześćdziesiąt procent. W tych czasach każde miasto w Europie to jedna wielka trupiarnia. Ludzie szybciej umierają, niż się rodzą. Jedyne powody, dla którego obszary miejskie w ogóle istnieją - 10 ubogie chłopstwo i nędzarze, którzy ściągają zewsząd w nadziei na lepsze życie. A większość jest młoda, więc możesz sobie wyobrazić, jak szkody wywołuje epidemia w miastach.

Usłyszał, że Underwood wierci się na siedzeniu.

- Myślałem... Cholera, wciąż nie podoba mi się to, że mamy pol na jakimś dilerze-hipisie, ale on chyba wie, co robi. Myślałem, że jacie tfien, że dostaniemy to... Jak to się nazywa? Chloramcośtam. Że już

już gotowe. Ponoć miał to być jakiś cudowny lek, nawet jeśli - w jego os wkradło się wątpliwość - nigdy w życiu o nim nie słyszałem. r \like uśmiechnął się nieznacznie.

„Chloramfenikol. Znany także jako Chloromycetyna. I to jest cudowny lek, Quentin. Bardzo skuteczny przeciw durowi brzuszemu i syfilisowi, ! Ułkże dżumie oraz tyfusowi plamistemu.

Odwrócił się od okna.

- James twierdzi, że był bardzo popularny w latach pięćdziesiątych. Czyli, rzecz jasna, nie w naszych czasach. Dlatego o nim nie słyszeliśmy, bo potem zrezygnowano z niego na korzyść innych produktów. Chodziło chyba o to, że u jednej osoby na dwadzieścia pięć tysięcy wywoływał bar-azo groźne skutki uboczne. Czytaj: śmiertelne. Niektóre dzieciaki umierały przy leczeniu zwykłego zaoalenia ucha. No a ponieważ była penicylina i inne lekarstwa, szybko wylądował na półkach. Dla nas jednak to jedyny porządny antybiotyk, jaki możemy szybko wyprodukować. A w świecie, w którym grasuje epidemia dżumy dymienicznej, można ja-koś przełknąć jeden zgon na dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

Wrócił do biurka i niemal całym ciężarem zwałił się na fotel. Był wykończony, lecz bardziej zdającym się nie mieć końca stresem niż fizycznie. Szczególnie doskwierała mu nieobecność Becky.

-Tak więc możemy to wyprodukować. W gruncie rzeczy Haju już to zrobił. Ponadto razem z Sally z apteki i twoim zięciem z zakładów chemicznych wytworzyli trochę sulfonamidów i DDT. Ale to nie wystarczy. W tym problem. Z DDT idzie nieco lepiej, ale jeśli chodzi o lekarstwa... Obecnie mamy zapasy tylko dla kilku tysięcy ludzi. A zapasów przybywa w bardzo wolnym tempie. Kropla w morzu - przecież w samych Stanach mamy gdzieś koło miliona ludzi. A w KKE pewnie z dziesięć, a może nawet więcej.

Posłał Underwoodowi niewzruszone spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

" Stal nierdzewna, Quentin. Tego nam potrzeba, żeby skończyć z tą ^omowaprodukcją i rozpocząć produkcję przemysłową. Tego nam po-trzeba, żeby antybiotyki przestały być polityczno-społeczną zmorą i sta-y S,Ç atutem. Żeby przestały być przywilejem. Kto dostanie? I kto o tym ^decyduje? Żeby każdy miał do nich prawo. - Machnął ręką w stronę Q na- - Jasne, że trochę stali uciuliśmy z tego, co przeszło przez śnistry Krąg. Zapasy z warsztatów, które starczyły na zawory i tego

304

David Weber, Eric Flint

typu rzeczy. Kilka małych zbiorników mleczarskich, prawdziwy fu^ że akurat wtedy w mieście była cysterna. Jeszcze kilka rzeczy ^ nam potrzeba mnóstwo, i to grubych płyt, a nie tylko arkuszy blACL Część tych procesów chemicznych wymaga dużego ciśnienia i WySQ' kich temperatur.

Jak zawsze, gdy pojawiało się zagadnienie techniczne, uruchamiała się ta część umysłu Quentina Underwooda, którą nie zawładnęły uprzedźnia i tendencyjność.

-A może...

Mike roześmiał się.

- Wyluzuj, Quentin! Masz wystarczająco dużo roboty z naszym prze. myśłem naftowym. Tak w ogóle to bez niego też możemy o wszystkim zapomnieć. A poza tym nie rozumiesz, co próbuję powiedzieć.

Nachylił się nad biurkiem i zabębnił palcami w blat.

- Przede wszystkim to nie my się tym zajmujemy. Europę zamieszkują teraz dziesiątki milionów ludzi. Są równie bystrzy jak my, niektórzy na-wet bardziej, a większość dorównuje nam energią, zapałem i inicjatywą. I najczęściej to oni są w lepszej sytuacji. Weźmy

przykładowo stal nierdzewną - potrzebny jest chrom. A w Szwecji już go mają. Gustaw nawet wysłał ekspedycję, żeby zbadała jakieś miasto Kemi, chyba gdzieś w Finlandii.

- Więc niech oni się tym zajmą. Równie dobrze mogą to być i Francuzi, jeśli efekt będzie taki sam. Jak już ktoś zacznie produkować stal nierdzewną to reszta raz dwa dołączy. Chyba że...

Posłał Quentinowi swe najgroźniejsze spojrzenie.

- Chyba że wszystko zablokujemy, chowając wszystkie książki, w których można by się doszukać jakichś „sekretów technologicznych”.

Quentin starał się wytrzymać wzrok Mike'a, lecz po kilku chwilach zrezygnował.

- No, może i tak - burknął. - Ale wciąż mi się nie podoba, że mamy & durnowato uśmiechać, podczas gdy te sukinsyny okradają nas w biały dzień.

Mike'a kusiło, by odpowiedzieć: „Nie powiedziałem, że absolutnie 100% nie będziemy robić”.

Westchnął jednak tylko w myślach i nie odezwał się ani słowem. ^ żył się już nauczyć, że najgorsze w tajemnicach państwowych jest to, 1 nie można sobie o nich pogadać w knajpie po robocie.

305

1633

niedługo po wyjściu Underwooda Mike otrzymał wiadomość radiot 7 Lubeki, od samego Gustawa Adolfa. Gdy doczytał do końca, po-

... .."

..zał nieprzeczParta^ ch^c na coś znacznie mocniejszego niż piwo.

* * *

Bardzo dobrze - mruknął Francisco Nasi, przeglądając trzymane stro-je posłał Freddiemu Congdenowi lekki uśmiech aprobaty.

Zgarbiony na kanapie Freddie odpowiedział ponurym grymasem. Nie sarknął jednak ani też w żaden inny sposób nie wyraził swej wrogości wobec sefardyjskiego Żyda, który - praktycznie rzecz biorąc - był jego panem i władcą. Od czasu „umowy” Freddie Congden zachowywał się jak człowiek cywilizowany. Czasem nawet był uprzejmy. Niewątpliwie strach przed Harrym nie pozwalał mu na nic innego.

Francisco doskonale go rozumiał. Harry Lefferts, pomimo swej swobodnej amerykańskości, przywodził mu na myśl osmańskich spahisów -a dokładniej tych, którzy pełnili rolę osobistej straży sułtana. Ich grózb nie lekcewał żaden człowiek przy zdrowych zmysłach.

-Bardzo dobrze - powtórzył. Po części było to kłamstwem. Freddie Congden miał tak koszmarly charakter pisma, że czasem Francisco z tru-dem odszyfrowywał słowa, które Freddie przepisywał z jednej z książek swego syna. W tych okolicznościach jednak te bazgroły tylko dodawały autentyczności całemu tekstowi.

-Ateraz chcę, żebyś coś dopisał. - Francisco położył kartki na brzegu stołu. Freddie dźwignął się z kanapy z jak zawsze posepną miną i sięgnął po kartki, po czym opadł na krzesło.

-Możesz kontynuować od miejsca, w którym przerwałeś, od historii kalifornijskiej gorączki złota. Będę ci dyktował.

Bez śladu entuzjazmu Freddie wziął pióro do ręki. Francisco odchrząknął. Kolejne słowa brzmiały nieco sztywno.

~ Pomimo bogactwa, które kryły w sobie złoża w Kalifornii, trudno było się do nich dostać, a wydobyć kruszcu także sprawiało znaczne kłopoty. Tak więc niebawem gorączkę złota w Kalifornii przyćmiło odkrycie zasobów złota w tej części Florydy...

^Florydy? - wykrztusił Freddie i na chwilę przestał bazgrać. - Ej, ja ■ em na Florydzie, co nie? Tam nie ma żadnego złota...

Palec Francisco stanowczo wskazał na kartkę papieru. Freddie wrócił 0 igrania.

"* -która znana jest jako Everglades22.

Gdy już skończył dyktować, Freddie posłał mu zniesmaczone sta-
rzenie.

- A co ty w ogóle masz do Florydy, co?

- Absolutnie nic - odparł z uśmiechem Francisco. - Przekonuje x^t zwłaszcza wszechobecna malaria. A także oczywiście to, że gdy France-i Hiszpanie zaczną się o nią bić, odkrywają, że wpadli w niezłe bagno ry[^] słownie i w przenośni.

* * *

Francisco Nasi wszedł do budynku w centrum Grantville, który nje. gdyś pełnił rolę biurowca, a obecnie został przekształcony w siedzibę or-
ganów wykonawczych rządu Stanów Zjednoczonych. Żołnierz pełniący straż przed gabinetem Mike'a zaczął otwierać drzwi, gdy tylko Francisco pojawił się na półpiętrze. Nasi z równą łatwością rozpoznał tego mężczy-
żnę. Sierżant Gerd Fuhrmann był jednym z grupki żołnierzy, których ka-
pitan Harry Lefferts zaczął werbować do czegoś w rodzaju półoficjalnej jednostki do zadań specjalnych. Nasiego kusilo, by określić ich mianem straży pretoriańskiej, lecz wie-
dział, że trochę minąłby się z prawdą. Owszem, „chłopaki Harry'ego" miały za zadanie ochraniać prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz Fran-
cisco podejrzewał, że ich prawdziwą funkcję znacznie lepiej opisywałby angielski termin „komandosi".

- Señor Nasi - powitał go uprzejmie Gerd. Nasi w odpowiedzi skinął głową, doceniając ten drobiazg. Wśród Sefardyjczyków Francisco ucho-
dził za hidalga. Żydzi sefardyjscy, nawet tacy jak Nasi, którzy wycho-
wali się w Imperium Osmańskim, wciąż zachowywali całą kulturową otoczkę swej iberyjskiej ojczyzny. Większości Amerykanów i Niemców takie sprawy były jednak zupełnie obce i zwróciliby się do niego „panic lub „Herr".

Gdy przeszedł przez drzwi, zdał sobie sprawę, że wciąż rozmyśla nad tym zaskakującym drobiazgiem. Był pewien, że Gerd sam tego nie wy-
myślił. Był to jeden z najemników Tilly'ego pojmany pod Badenbuf' giem, którzy wstąpili w szeregi armii amerykańskiej. Zwykły człow'[^] z gminu.

Z dłońmi splecionymi za plecami Mike spoglądał przez okno na m⁸ steczko.

- Sądzę, że Harry Lefferts kryje w sobie niejednen talent - odezwał⁵¹ radośnie Francisco. Mike odwrócił głowę od okna i nieznacznie się uśmiechnął.

„Można tak powiedzieć. Raptem dwa dni temu widziałem, jak czyta

Obydwaj roześmiali się. Mike przyciągnął krzesło do biurka i usiadł, jpiiiechnął się szerzej. „I to nie byle jaką książkę, ale taką prawdziwą, porządną książkę do iii. Ponoć też zaczął się uczyć francuskiego. Z włoskim już sobie [^]iem niezłe radzi. „To pewnie wpływ Mazzariniego. Mike przytaknął. Harry miał pełnić rolę kogoś na kształt ochroniarza utvkańskiego dyplomaty Giulio Mazzariniego, który po ubiegłorocznej cie w Granr\ ille powrócił do Włoch. Młody Amerykanin spędził wiele miesięcy w towarzystwie człowieka, który mimo niewielu wiosen na kar-
ku już uznawany był za jednego z czołowych dyplomatów w Europie. I któ-
innym świecie za jakiś czas zostałby następcą kardynała Richelieu iako Jules Mazarin.

-Większości tak. Ale Harry[^]mu też należą się słowa pochwały. Chyba wreszcie zrozumiał, że trzeba dorosnąć. Pod wszelkimi wzglę-
dami.

Francisco zaczął składać raport ze swej ostatniej sesji z Freddie Cong-
leoem, lecz Mike przerwał mu gestem dłoni, zanim zdążył skończyć dru-
gie zdanie.

- Wystarczy, Francisco. Ufam, że świetnie sobie z tym radzisz. Szcze-
rze mówiąc, teraz i tak już po ptakach. Mogę się założyć, że Freddie nie był jedyną wtyczką, więc w najlepszym razie możemy liczyć na to, że nieco ich zdezorientujemy. Urwał na chwilę. - Właściwie to chciał-
v"i. żebyś jak najszybciej przekazał sprawę Freddiego komu innemu, [^]le się nie mylę. wkrótce będziemy mieć większe zmartwienia na głowie.

ko

Francisco niespiesznie usadowił się na krześle. ~ Zgadza się. Zapomniałem. Dzisiaj miało się odbyć specjalne posiedzenie Izby Książąt, które Gustaw zwołał w Magdeburgu. Jak poszło? "* iszczę nie wiem. Simpson obiecał, że wyśle mi wiadomość, jak ty-olrzyma wieści. Francisco sceptycznie uniósł brew. Mike wzruszył ramionami. "Nie sądzę, żeby próbował wywinąć jakiś numer. Chociaż na pewno Cdzie gQ kusjj0 a|c pamiętaj, że jest z nim Eddie Cantrell, a także Nat a -1 obaj mniej więcej mają na niego oko. ^rn, ten Simpson... bardzo dba o dyscyplinę w wojsku.

Ilu to

- No i co? W wojskowych sprawach Eddie absolutnie nie będzie się sprzeciwiał. Ale gdyby zaczął wtykać kij w polityczne mrowisko

na pewno raz dwa się o tym dowiem. Z lekkim poirytowaniem potarł szczękę.

- A, cholera. Ciężko mi to przechodzi przez gardło, ale prawda j^ taka, że John Simpson odwała tam kawał świetnej roboty. I nawet jeśli gdzieś na boku próbuje się mieszać w politykę cesarstwa, to świetnie się z tym kryje. Ja go nigdy nie uważałem za świętoszka. Ale dopóki w biały dzień nie zajada z diabłem steków na tarasie, mogę z grubsza przymykać oczy.

Na twarzy sefardyjskiego bankiera pojawił się chytry uśmiech.

- Jak na „władcę”, wykazujesz zadziwiająco wiele tolerancji. Czasem zastanawiam się, czy jesteś zdrowy na umyśle. A jeszcze częściej, czynnie prosisz się o śmierć.

Mike odpowiedział równie chytrym uśmiechem.

- W tym szaleństwie jest metoda, uwierz mi. Jeszcze nie wiem jaka, ale wiem, że jest. - Oparł dłoń o blat i nachylił się nad biurkiem. - Myślę, że prawdziwy powód, dla którego jeszcze nie mamy żadnych informacji, jest znacznie prostszy niż podstępne machinacje Johna Chandlera Simpsona. Najpewniej posiedzenie jeszcze się nie skończyło i tyle. I przypuszczam, że przez dłuższy czas się nie skończy. Na pewno przez kilka dni, a może nawet kilka tygodni.

Francisco wciągnął powietrze głęboko w nozdrza.

- Ach tak. Innymi słowy, uważasz, że książęta pragną wykorzystać ten kryzys, by wymusić na cesarzu ustępstwa. Będą przeciągać, spierać się, wybrzydzać - w tym są przecież niezrównani - a tymczasem Richelieu i jego sojusznicy nas nacisną.

Skrzywił się. Wymuszanie czegokolwiek na Gustawie Adolffie Amerykanie określali mianem „ryzykownego przedsięwzięcia”. Niemieccy książęta słynęli jednak z ostrożności, graniczącej wręcz z tchórzostwem ■ w sprawach ważnych i lekkomyślności w sprawach nieistotnych. PrzyP0 minali człowieka, który pozwala, by pożar strawił cały jego dom, P°nie waż nie chce narażać ukochanego obuwia przy zadeptywaniu tłącego ognia.

- „Książęta”. Cóż to za pretensjonalny tytuł? Może dla garstki z n to słowo coś znaczy. Jan Jerzy z Saksonii, Jerzy Wilhelm z Brandenbu i... do pewnego stopnia Wilhelm z Hesji-Kassel. A reszta? Tak zv

Mike prychnął.

iburg11

Wciąż jednak - zauważył Francisco - przy obecnej strukturze politycznej i prawnej mają olbrzymie wpływy. A, co zapewne nawet istotniejsze, mają mnóstwo sposobów na stawianie przeszkód i rzucanie kłód pod nogi-

_ Co ty powiesz? - sarknął Mike. - Wciąż nie udało nam się wynegocjować czegoś tak prostego i oczywistego, jak darmowa żegluga w dół Laby Nie mówię nawet o wspólnej walucie w cesarstwie, której tak bardzo potrzebujemy. A spójny system podatkowy to już w ogóle marzenie ściętej głowy.

Przez chwilę wpatrywał się z wściekłością w obraz na ścianie. Bogu ducha winny pejzaż nie wydawał się zasługiwać na taką niechęć.

Mike najwidoczniej doszedł do podobnych wniosków i już po chwili śmiał się pod nosem. Nasi poczuł nagły przypływ sympatii do tego człowieka. Mike Stearns był jednym z tych rzadko spotykanych przywódców, którzy łączyli w sobie inteligencję, przebiegłość, stanowczość - oraz poczucie humoru. Lekko zaszokowany Francisco zdał sobie sprawę, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy on również przeistoczył się w kogoś na kształt zwolennika Stearnsa. Było to zaiste nieco dziwne jak na człowieka wychowanego w skrytobójczej atmosferze sultanańskiego dworu. W Stambule Machiavelli uznany by został za neofitę. Amatora i dyletanta.

Kasi także się roześmiał. Jednym z większych talentów Mike'a Stearnsa była umiejętność zauważania i wykorzystywania zdolności innych osób.

- Rozumiem. Życzysz sobie, abym pojechał do Magdeburga. Ostrzegam cię jednak, Michaelu, że większość tych „książąt” nie zgodzi się na rozmowę z Żydem.

Mike skrzywił się, lecz nie do końca było to szyderstwo. W wyrazie jego twarzy kryło się zbyt wiele pogardy - zupełnie jakby nie warto było nawet szydzić z tego, o czym myślał.

Oni mnie nie obchodzą - burknął. - Z tego, co mi się wydaje, właśnie ta hołota wkrótce przekona się, że chwywanie Gustawa Adolfa za ogon wtedy, gdy toczy bój, jest równie opłacalne, jak chwywanie za ogon niedźwiedzia, który właśnie obnażył pazury.

Odsunął się od stołu i rozłożył ręce.

gracjuszku, Jak zachowują się pozostali. A szczególnie landfca heski. Nasz własny Wilhelm - Sasko-Weimarski znaczy się - też uczestniczy w posiedzeniu. Zawsze ci sprzyjał, a z Hesją-Kassel łączę dobre relacje. Postaraj się wmieszać w ten tłum, Francisco. Sądzę...
Urwał na chwilę.

- Oczywiście to tylko domysły. Ale zdziwiłbym się, gdyby nie zwałj się na nas lawina propozycji. Po cichu, rzecz jasna.

Nasi skinął głową.

-Wyruszę jutro z samego rana. Kiedy mam się stawić z powrotem? Mike ponownie się zaśmiał.

- Nie zdziwię się, jeśli sam wkrótce będę musiał się pojawić w Magdeburgu. Wiesz, cesarz Gustaw jest w Lubece. Jak się zacznie jatka, a nato przecież się zanosi, czeka mnie pewnie niejedna pospieszna wyprawa do Magdeburga. I z tego, co wiem, zjawiłbym się tam szybciej od ciebie.

Gdy znaczenie tych słów dotarło do Nasiego, otworzył szeroko oczy.

- Przecież chyba nie...!

- Nie wygłupiaj się. Może i jestem z prowincji, ale nie jestem zwykłym kmiotem. - Wyprostował się i wypiął z dumą pierś jak zuchwały dzieciak. - Tysiące razy latałem samolotami.

Światło z osamotnionej siedemdziesięciopięciowatowej żarówki nie do-cierało w kąty pokoju. W okna bębnił deszcz. Na stole walały się papiery. Harmonogramy, listy, proste schematy i nabazgrane w pośpiechu notatki walczyły o miejsce z resztkami obiadu i cennym słoikiem, od którego na-krętka leżała obok.

-Jeszcze kropelkę, Hal? Jim? Kathy? - spytał Jesse, sięgając po słoik.

-Na razie dziękuję, Jesse - odparł inżynier lotnictwa, unosząc głowę znad notatek. - Może jak skończymy.

-Nie, dziękuję, panie pułkowniku. - Młody oficer ledwo uniósł wzrok znad własnych list i grafików dyżurów.

Kathy, która zaczęła sprzątać ze stołu, szybko potrząsnęła głową i spoj-rza*a znacząco na szklanke Jesse'ego. Zawahał się i ostrożnie odstawił «oik na miejsce. Małżeństwo ma jednak złe strony. Kathy pochodziła z ro-

InY z problemami alkoholowymi i niezbyt ją cieszyły pijackie nawyki ^za. Czasem drażniło go jej podejście do tej kwestii, ale...

"Co tam. Nic mi się nie stanie". Odepchnął słoik trochę dalej i skupił Wa8C na młodym kapitanie.

~~ W porządku, Jim. Zaczynaj, się ^ ~'est' PaTMe pn^owniku. Eskadra wsparcia operacyjnego składa ^ trzydziestu siedmiu osób, włączając w to sierżanta Tiptona i trzech •erzy znajdujących się w Magdeburgu. Mam czterech Amerykanów i trzydziestu trzech Niemców, ale tylko piętnastu z nich mówi w ^ dobrze po angielsku.

Jesse zmarszczył czoło. Stany Zjednoczone jako twór polityczny p02Q stawiały kwestię języka własnemu losowi. Administracja Stearnsa Wykju czyła wszystko, co choć odrobinę mogło przypominać Język urzędowy którego wprowadzenia Simpson domagał się w trakcie przedwyborcza kampanii, a który Mike równie stanowczo odrzucał. Nie zmienił stano-ska nawet po tym, jak został prezydentem.

Jeśli brać pod uwagę samą politykę, Jesse zgadzał się z Mike'iem który pozbawił tę kwestię politycznego napięcia, pozostawiając społe-czeństwu prawo wyboru. Niektórzy używali angielskiego, niektórzy nie. mieckiego, a jeszcze inni (coraz więcej osób) byli w gruncie rzeczy dwu-języczni. Jesse był zdania, że w żargonie, który zaczynał się wszędzie pojawiać, można było już dostrzec pierwsze oznaki powstawania nowe-go języka. Wystarczająco dużo wiedział o historii, żeby zdawać sobie sprawę, że sam „angielski" powstał właśnie w ten sposób - jeśli chodzi o budowę i codzienne słownictwo, był to język germański, z wpływem czasu zmieniony pod wpływem francuskiego, który zyskał znaczenie dzięki Normanom. Był to, jak to ujął jakiś dowcipniś, język stworzony przez normańskich żołnierzy, którzy usiłowali uwieść saskie dziewczki karczemne.

Jednak Jesse dowodził siłami powietrznymi, a nie państwem. Latanie - nawet w czasie pokoju, nie mówiąc już o wojnie - nie pozwalało na żadne językowe nieporozumienia. Tak więc skoro wszystkie terminy tech-niczne i większość pojęć istniały tylko w języku angielskim, Jesse obsta-wał przy tym, żeby wszyscy lotnicy przynajmniej zaczęli się uczyć an-gielskiego. Wiedział, że taką samą zasadę stosuje Simpson w marynarce wojennej. Natomiast Frank Jackson, który dowodził armią mniej nastą-wioną na technikę, wydawał się nie przywiązywać do tej kwestii żadnej

Wagi' • Hzfl

Oczywiście jak zwykle teoria różniła się od praktyki, co potwierdź

Jim.

- Hm... Dzisiaj straciliśmy czterech, panie pułkowniku - stwierdził - Po prostu oddalili się i nie zgłosili na obiad. Prawdopodobnie to, co T&r kle. Żaden nie miał rodziny. Praca im nie przeszkadzała, ale nudziła i musztra.

Jesse stłumił westchnienie.

- Mów dalej.

fak jest, panie pułkowniku. Hm... Koszary są już prawie ukoń-,zone, łącznie z dwoma kominkami. Następne w kolejności są kwatery dla rodzin, ale na razie kobiety i dzieci żołnierzy mieszkają w koszarach- Powinniśmy skończyć, zanim pojawi się śnieg, żeby nikt nie za-niarzh

^ Bardzo dobrze - powiedział Jesse. - A co już jest gotowe?

- Skończyliśmy wycinkę drzew i przenieśliśmy płot, żeby stworzyć więcej miejsca. Zasypaliśmy ten rów niedaleko lotniska. Obawiam się, że nasz sąsiad, pan Sterling, ma do nas żal. Uważa, że ukradliśmy pięć akrów jego najlepszej ziemi.

_ Bo tak właśnie było, Jim. Ale rząd ma do czegoś takiego prawo. Nie martw się tym, porozmawiam z prezydentem Stearnsem - jakoś to Sterlingowi wynagrodzi. Mów dalej. Co z przechowywaniem paliwa?

Kapitan uśmiechnął się.

-Tu mam najlepsze wiadomości. Możliwa pojemność to ponad siedem tysięcy pięćset litrów, a dostępnych mamy trzy tysiące dwieście pięćdziesiąt pięć litrów paliwa metanolowego. Skończyliśmy budować nasy-py wokół ocalałych domowych zbiorników na olej napędowy. Załatwione są również prace instalacyjne przy ręcznych pompach w miejscu tanko-wania. Myślę, że już koniec z wybuchami oparów.

Jesse uśmiechnął się.

-To rzeczywiście świetne nowiny. Dobra robota, synu. Przypomnij mi jutro, żebyś wysłał wyrazy uznania Kerry'emu z zakładu produkcji me-tanolu.

- Yyy... tak jest, panie pułkowniku. Kerry prosił, żebyś przekazał, że Pan pułkownik jest mu winien pięć dolarów.

Jesse otworzył szeroko oczy. ~ Za co?

Stojąca za nim Kathy parsknęła.

~ Nie pamiętasz? W sumie to się nie dziwię - byłeś zalany w trupa. Około trzech tygodni temu w „Ogrodach Turyńskich” założyłeś się z nim o PIŚć dolarów, że nie uda mu się wprowadzić w życie produkcji metano-U* ^óbowałam cię powstrzymać, ale...

Jesse skrzywił się.

"* Coś jeszcze?

^apitan Horton odwołał się do swych notatek.

„W tym momencie nie, panie pułkowniku. Przykro mi z powodu ucie-kl*erów.

Pojmij

Chyba nie da się nic na to poradzić - odrzekł Jesse. - Ale

moją radę. Ci nowi jeszcze nas nie rozumieją. Złagodź musztrę. Uniósł dłonie.

- Tak, wiem, że w ten sposób wpaja im się dyscyplinę i zasady Dr zespołowej. Ale weź pod uwagę, że nie będziemy ich ustawiać w bojowej. Ich zadaniem jest obsługa samolotów i lotniska. W tym morrien' cie większość z nich jest tu jedynie ze względu na jedzenie i schronienie Tak więc zajmij ich i zmęcz tak, żeby nie mieli siły uciekać. Jeśli tył^ będziemy latać, większość z nich zostanie. Załatwię dla nich mundury, \^ cizie również kilka awansów. Dobrze, że postanowiłeś przyznać Danny'emu Tiptonowi stopień sierżanta sztabowego. Jest solidny i świetnie sobie radzi z organizacją lotniska w Magdeburgu. Jednak w czasie jego nieobecności potrzebujesz innego podoficera. Tamten Niemiec, co wygląda na zło-śliwego... Jak on się nazywa? Krueger? Mianuj go sierżantem. Jeśli już kiedyś nie miał takiego stopnia, to ja jestem miss piękności. On pomoże utrzymać Niemców w ryzach. A

poza tym popracuj nad swoim niemieckim. To, że wymagamy od nich nauki angielskiego, nie znaczy, że sami mamy nie mówić po niemiecku.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- W porządku. A teraz wyciągnij listę, bo chcę przydzielić twojej eskadrze trochę więcej pracy.

Młody oficer posłusznie pochylił się nad kartką. Jesse zaczął wyliczać na palcach.

- Po pierwsze, oświetlenie lądowiska. Przy tak częstych podróżach do Magdeburga i z powrotem ktoś w końcu będzie musiał pokonać tę trasę w nocy. Światła nie muszą być jakiegś wymyślnie. Sądzę, że po każdej stronie „pasa startowego” wystarczy ustawić rząd puszek wypełnionych me-tanolem. Niech żołnierze kilka razy poćwiczą ich zapalanie.

- Po drugie, chcę, żeby przed zimą gotowe były trzy hangary dla samolotów. Tu też nie chcę niczego wymyślnego, wystarczą osłonięte z trzech stron budynki wychodzące na południe. Sam wykombinuj, gdzie najłatwiej je umieścić. Aha, znajdź też trochę prezentu do każdego samolotu trzeba będzie przecież czymś przykryć silniki, jak będą daleko stąd. Zrozumiałeś?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Świetnie. Po trzecie, odkomenderuj żołnierzy do pomocy oficerowi w wieży. Trzeba ich nauczyć podstaw obsługi radiostacji i kontroli lotów. Mamy już dwa samoloty i nie chcę, żeby przytrafił się nam jakiś wypadek.

- Dlaczego, że ktoś wyszedł na zewnątrz się odlać. Docelowo chcemy wszystkie operacje w wieży kontrolnej przekazać twoim żołnierzom.

„Wreszcie chcę, żebyś sprawdził, czy istnieje możliwość wybrukowania całego pasa startowego, łącznie z drogami do kołowania i miejscem

lądowania -

Jim zaprotestował:

-Ale, panie pułkowniku, to niemożliwe! Jesse uśmiechnął się szeroko.

„Oczywiście, że nie. Na razie. Ale powiedziałem „sprawdź”, prawda? Następnym razem, jak będziesz w Magdeburgu, porozmawiaj z admirałem Simpsonem. Z tego, co wiem, ma w planie produkcję jakiegoś materiału nawierzchniowego. Dowiedz się, co to będzie - beton, makadam czy coś innego - i czego potrzeba, żeby to tutaj sprowadzić. Pewnie, że wybiegamy w przyszłość. Jednak w razie gdybyś nie zauważył, tamto pole strasznie podmaka w czasie deszczu, a potem całe wieki wysycha. Dasz radę?”

- Tak, panie pułkowniku.

-To świetnie. Jesse oparł się na krzesło. - Aha, pamiętaj, żeby zasłutować admirałowi Simpsonowi, kiedy będziesz się z nim widział. On bardzo lubi takie rzeczy.

- Zrozumiałem, panie pułkowniku.

Jesse przerwał, kiedy Kathy postawiła przed nim filiżankę herbaty. Przytulił na chwilę głowę do jej biodra. -Dzięki, kochanie.

- Jess, chyba już się położę. Nie siedź za długo i pamiętaj, żeby przygasić piecyk - powiedziała wysoka blondynka. - Dobranoc, panowie.

-Dobranoc, Katherine.

- Dobranoc, pani Wood.

Jesse podziwiał przez chwilę wychodzącą żonę, a następnie zwrócił się do mężczyzn siedzących przy stole. Zauważył szeroki uśmiech Hala nad cybuchem fajki. Ten emerytowany inżynier lotnictwa ciągle był przykazany do swej fajki, mimo że zapasy tytoniu w Grantville skończyły się dawno temu.

-No co?

Jesse wyjął fajkę z ust, nieświadomie postukał nią w dłoń i uśmiechnął się szerzej.

-Nic, Jesse, nic. Bardzo miło widzieć taką scenkę domowej błogości. Jestem trochę tęskniący za moją Dorothy.

-Tak... - Jesse odwzajemnił uśmiech. - Zobaczysz drugą stronę (j mowej błogości, jeśli szybko nie skończymy. Tak więc do pracy. Materja ły, problemy, stan budowy.

- Racja. - Hal natychmiast sprawdził listę.

- Silniki. Jak wiecie, komisja do spraw zasobów strategicznych pr[^] znała nam prawo pierwokupu lub wykorzystania lekkich silników z DjQ kiem cylindrów. W mieście zidentyfikowałem przynajmniej z dziesięć ty pów silników, które prawdopodobnie się nadadzą, ale wolałbym użyć takich, które występują w większej liczbie. Z jedynym w swoim rodzaju silnikiem byłby ewidentny problem, jeśli chodzi o części zamienne. Naj. lepsza nowina jest taka, że większość nowszych silników jest raczej mniej, sza i lżejsza, z turbodoładowaniem, wyższym stopniem sprężania i z więk[~]szą liczbą koni mechanicznych niż starsze modele. Jeśli sieje odpowiednio rozbierze na części i usunie takie rzeczy, jak urządzenia do klimatyzacji, wspomagania kierownicy i ograniczania zanieczyszczeń, możemy nawet użyć silników chłodzonych za pomocą wody. Mechanicy w mieście byli bardzo podekscytowani, kiedy wyjaśniłem im, czego potrzebujemy.

Hal zrobił przerwę.

-Atak przy okazji, wynająłem Harveya Matowskiego na stanowisko głównego mechanika. Dla firmy oczywiście. Jeśli chcesz go mieć w si[~]łach powietrznych, będziesz musiał z nim porozmawiać.

- W porządku. Porozmawiam - stwierdził Jesse. - No więc jakie ro[~]dzaje silników znaleźliście?

- Znaleźliśmy dobre silniki dla „X-2”.

- „X-2”? - przerwał mu Jesse.

-Ach tak, przepraszam. Męczy mnie mówienie na niego „on”. Zakła[~]dam, że kiedyś będziesz chciał mu nadać odpowiednio wojowniczą nazwę Jesse uśmiechnął się.

- Hal, „X-2” jest dobre dla samolotów oblatywaczy. Jak już go ukoń[~]czysz, wymyślimy coś innego. Głosowałbym za „Wiedźmą”, gdyby [^] to, że nawet bez dodatkowego podsycania płomieni i tak często oskarż³ się nas o czary.

- „Piorun” - zastanawiał się na głos. - Albo „Wyzwoliciel”. A co tani' może nawet i „Gustaw”. Z boku jest podobny do Messerschmitta Bf [^] a nasz szwedzki sojusznik może sądzić, że nazwaliśmy go na jego cze Szybko powstrzymał swą wyobraźnię.

- Co tam mówiłeś o silnikach? Hal uśmiechał się promiennie.

„ pwa wspaniałe silniki 13B z mazdy. Dzięki ci, Boże, za młodych judzi i ich samochody sportowe. Wyobraź sobie dwa takie silniki w mie[~]ście takim jak to! Z łatwością powinny dać sto sześćdziesiąt koni mecha[~]fliczrrych- Bardzo solidne, ze znakomitym wałem korbowym. Dobry sys[~]tem chłodniczy, nawet jeśli usuniemy zawór upustowy. Na to po prostu szkoda miejsca i...

_ Hal. Hal, proszę - przerwał mu Jesse. - Nie teraz.

- Że co? Eee... przepraszam - odparł sennie Hal. - O czym to ja mówi[~]łem? Aha, simiki.

- W mieście są cztery Saturny z 2,2-litrowymi silnikami, które się nada[~]dą. Dwie hondy Prelude. Około dziesięciu Chevy S-10, których silnik może być napędzany metanolem. Przyglądamy się również kilku V-6 i dwudziestoczterozaworowymi silnikami i z mocą od stu osiemdziesię[~]ciu do stu dziewięćdziesięciu koni mechanicznych. Jest sporo marek i sil[~]ników do wyboru, ale oczywiście wszystko będzie zależało od przekładni redukcyjnej. Po modyfikacji wszystkie powinny mieć stosunek mocy do masy 0,35:1, a niektóre znacznie więcej. Tu jest lista. Sądzę, że będziemy chcieli wszystkie wypróbować.

- Dzięki. Co jeszcze?

- Drewno. A raczej jego przechowywanie. Rudi powiedział, że może mieć z Weimaru tyle drewna, ile trzeba, ale nie jest w stanie zabezpieczyć go przed wilgocią. Trzeba wymienić dach w stodole.

Jesse skrzywił się - już kilka razy popadł w konflikt z tym wybuchowym Niemcem.

- Rudi chyba dostaje wszystko, do czego dąży. Jim, to kolejna rzecz, którą trzeba załatwić.

-Tak jest, panie pułkowniku.

-A jak już jesteśmy przy temacie drewna - kontynuował Hal - to nie chodzi mi za bardzo projekt śmigła z trzema łopatomami. Dużo trudniej trzymać równowagę niż przy dwułopatowych. Obawiam się, że w nowym modelu przynajmniej początkowo będziemy musieli zadowolić się Snigłem dwułopatowym. To oczywiście będzie znaczyć, że nie osiągniemy najwyższych wyników. Może około 1,2 węzła przy krążeniu i szyb-
Sc maksymalną nie większą niż 1,5 węzła. - To wystarczy, Hal - powiedział Jesse. - Pamiętaj, że przede wszyst-

^ zależy nam na niezawodności.

ko^ °t0 cno^z"t0 'eP^eJ wzi^ć łopaty z obu „Belle” i pokryć czymś ncówki. Zauważyłem również ślady zużycia i pęknięć wzdłuż głównych krawędzi. Hm... Myślę, że nada się cienki mosiądz. Wywiercę niewiele otwory i przełożę przez nie długie mosiężne nity. Powinno się udać ^ będzie problemów z różnymi rodzajami metalu.

- To ty jesteś inżynierem, Hal - uśmiechnął się Jesse. Hal parsknął.

- Teraz to chyba bardziej domorosłym mechanikiem. Spójrz tylko ja kie mam problemy z wymyśleniem sensownego wskaźnika położenia. Gdy bym tylko mógł znaleźć niewielki, niezawodny żyroskop...

- Nie przejmuj się tak. Poza tym gdybyśmy mieli dobre wskaźniki p0. łożenia, kusiłoby nas latanie przy złej pogodzie. Co bez żadnych pomocy nawigacyjnych prędzej czy później skończyłoby się dla kogoś źle. No więc jak tam stoimy z modyfikacjami i budową?

- Teraz, kiedy „Belle II” jest już w pełni sprawna, skupiamy się na pro-dukcji „X-2”. Oczywiście nauczyliśmy się już czegoś o budowaniu samo-łotu po stworzeniu „Belle”. Jeśli sprawdzi się projekt urządzeń napędo-wych i dopisze pogoda, w środku zimy powinniśmy być gotowi do testów. Zdajecie sobie oczywiście sprawę, że to dużo bardziej skomplikowany sa-molot. Klapki wyważające, niezamarzająca przednia szyba, zdublowane sie-dzenia i sterowanie, skrzydła wykonane częściowo z drewna, z pokryciem płóciennym jedynie od środka cięciwy do tyłu, reflektory lądowania w przykadłubowej części skrzydeł. Będą nawet hamulce. Nie mówiąc już

0 tym, że to dolnopłat ze skrzydłem bez zastrzału i z dużo większą mocą niż „Belle”. I oczywiście będzie dużo cięższy. Nadający się do akrobacji i zdolny wytrzymać około 5 g. Poza tym zdecydowałem, że zbiornik na paliwo trzeba umieścić gdzieś pod tylnym siedzeniem, żeby utrzymać odpowiedni ciężar

1 równowagę. Nawet nie wiesz, jakie trudności udało nam się już pokonać...

Jesse uniósł dłoni.

- Chwila, Hal. Zwolnij. Wszystko w swoim czasie. Potrzebujesz jesz-cze jakiegoś specjalisty, którego nie mamy?

Hal zastanawiał się przez chwilę.

- Przydałby mi się szklarz. Jesse wytrzeszczył na niego oczy. -Kto?

- No wiesz... Ktoś, kto wstawia szyby. ^

- Hal, ja wiem, czym zajmuje się szklarz. Pytanie brzmi: po co ci on-

- No bo upierałeś się, żeby „X-2” miał zamkniętą kabinę pilota.

- Jasne, że tak! - obruszył się Jesse. - Zdajesz sobie sprawę, jak zimn° jest tam na górze?

„Oczywiście, że tak. To dlatego zgodziłem się na taki projekt. Ale jak wiesz, kabina pilota ma dwie części na zawiasach, po to, żeby można było jostać się do obydwu siedzeń. A to

oznacza, że trzeba użyć przynajmniej p^astu części z samochodowego szkła

nierozpryskowego, szkieletu, ram . -umocnienia. Pamiętaj, w ilu miejscach przeciekała

„Belle” w czasie deszczu? Kto wtedy zajmował się przednią szybą? Tym razem chyba chciałbyś, żeby zrobił to specjalista.

- Hm, zgadza się. - Jesse bez wahania przyznał mu rację, gdyż to właśnie on zamontował przednią szybę „Belle”. - Załatwimy kogoś z warsztatu samochodowego. Zmienił temat.

- Wróćmy na chwilę do „Belle”. Po locie, który odbyłem „Belle II”, nie mogę się już doczekać wprowadzenia poprawek do starej „Belle”. Na przykład to wymyślone przez ciebie urządzenie ostrzegające przed przeciągnięciem. To może kiedyś uratować pilotowi życie. Dobra rzecz.

Hal promieniał.

- Eee tam, to nic takiego. Tylko kawałek wygiętego żelaza przyczepiony do spodu lewego skrzydła. Przy odpowiednio dużym kącie natarcia i odpowiednio niskiej prędkości powietrza strumień zaśmigłowy powoduje lekkie wstrząsy. Zajęło mi to dziesięć minut. Mogłem wcześniej o tym pomyśleć. Jak chcesz, mogę ci nawet pokazać równania.

- Nie trzeba, jestem prostym pilotem. Dla mnie ważne, żeby działało. Chciałbym również mieć tę twoją podwójną kontrolę przepustnicy. Da się to zrobić?

Hal przytaknął.

Jesse odhaczył to na swojej liście.

~ Okej. A co z okablowaniem rakiet i osłoną przed wybuchem gazów? Mężczyzna przez chwilę ssał fajkę.

- Nie powinno być problemu. Jak już znajdziemy arkusze blachy i izo-’acJe, nic powinno to zająć więcej niż pół dnia. Ale przez większy opór zmniejszy się prędkość. Możesz przekazać rządowej komisji do spraw zbrojenia, że w przyszłym tygodniu będziemy gotowi do testów. Sam idziesz w stanie unieść osiem rakiet, a z drugą osobą na pokładzie może *e cztery. Każda rakietka będzie miała osobny przełącznik - wszystkie siebie na wprost lewego siedzenia. Ale ostrzegam, jeśli jedna nich wybuchnie pod skrzydłem, będziesz musiał wracać do domu na ochotę. Jesse skrzywił się.

- Tak, pewnie. Prezydent uważa, że wkrótce czeka nas wojna i n piloci będą musieli ryzykować jak wojownicy. A co z podwieszaniem i mechanizmem spustowym? Hal machnął lekceważąco ręką.

- Nic prostszego. Cztery uchwyty pod kadłubem, przed wlotem no. wietrzą. Nie powinny zbyt mocno zaburzać przepływu powietrza. Spusty ^ mechaniczne - trzeba będzie jedynie odciągnąć uchwyty. Oczywiście będzie musiał przewiercić się przez podłogę. A w przypadku „Belle” trzeba si^ zdecydować albo na rakiety, albo na bomby.

Jesse ponownie skinął głową.

- To nam daje większe możliwości, bo nikt nie powiedział, że zanim wkroczymy do akcji, przetestujemy bombardowanie z lotu nurkowego. Ale przecież, do cholery, pół roku temu nikt nie wierzył, że w ogóle będziemy latać. A w przyszłym tygodniu będziemy mieć siły powietrzne.

Z zadowoloną miną sięgnął po słoik.

„Jak to się ma do sprawności wojskowej, admirale Simpson?”. Szef sztabu sił powietrznych uniósł pełen kubek.

- Panowie, proponuję toast za pierwszą eskadrę powietrzną, najlepszą jednostkę latającą po tej stronie Ognistego Kręgu!

Słońce jasno świeciło na wyblakłym wrześnieowym niebie nad Lu-beką, gdy Larry Wild szedł szybkim krokiem w kierunku stoczni. Od czasu, kiedy wraz z niewielką grupą personelu marynarki wojennej przybył do obozu armii szwedzkiej, znajdującego się poza obrębem miasta, pokonywał tę trasę dosyć często - mimo to oglądano się za nim. Działo się tak częściowo ze względu na jego oczywisty pośpiech, ale przecież wąskimi uliczkami poruszało się sporo innych osób, nie-które równie szybko jak on, a nikt się nie odwracał i nie gapił na nie. Z drugiej jednak strony nikt z tamtych nie miał na sobie nieoficjalnego „munduru” nadczasowców: niebieskich dżinsów, dżinsowej koszulki i tenisówek.

Pomimo że wiadomość, którą miał w kieszeni koszuli, była bardzo P"na, kusilo go, żeby pośmiać się z pewnej myśli. Admirał Simpson bardzo chciał odpowiednio umundurować całą marynarkę wojenną, ale In|ało mu to zająć jeszcze sporo czasu.

Problem nie tkwił w samej produkcji. Z technicznego punktu widzenia przemysł tekstylny siedemnastowiecznej Europy jak najbardziej nadawał się do tego zadania. Jednak ze względu na to, że w tych cza-^ europejskie armie rzadko używały jednolitych mundurów, a na-^ Jeśli, to i tak były różne dla poszczególnych jednostek, nie było ^nego producenta mundurów z prawdziwego zdarzenia. W związku z tym z precyzowanymi wymaganiami Simpsona uszycie znacznej liczby identycznych ubrań pociągało za sobą dodatkową opłatą (utrzymanie takiej samej tonacji kolorów nie należało do standardowa* zakresu obowiązków).

A to oznaczało zwiększenie budżetu marynarki tylko po to, żeby 2a pewnie „prawdziwe” mundury zamiast nadających się do użytku ubrań Kiedy Simpson próbował namówić do tego Mike'a Stearnsa, dostał król ką i raczej dosadną odpowiedź. Budżet rządu Stanów Zjednoczonych był napięty do granic możliwości. Lany dowiedział się z „dobrze poinformowanych źródeł”, że Simpson pechowo przedstawił swą prośbę dzień po tym, jak Mike z wielkimi oporami skreślił z listy wydatków pieniądze dla Williego Raya Hudsona - miały one pomóc rozpowszechnić wśród turyń. skich chłopów nowoczesne techniki produkcji kiszonki. „Do cholery jasnej, nie mogę pomóc w wyżywieniu ludzi, a ten dupek chce, żebym płacił za jego świecące guziki?” - podobno tak wybuchowo zareagował Mike na prośbę Simpsona. W pisemnej odpowiedzi nie było tak mocnych słów, natomiast sam ton się nie zmienił.

Lany absolutnie nie wątpił, że uparty i wytrwały Simpson w końcu wykombinuje jakiś sposób, żeby przeforsować pomysł mundurów. Jednak do tego czasu rolę swoistych mundurów (zupełnie nie przypomina-jących tego, o czym myślał Simpson) musiały pełnić ubrania, które od-^były podróż z czasów, w których urodził się Lany. W związku z tym Lany korzystał z okazji noszenia niebieskich dżinsów, dopóki jeszcze mógł.

Admirałowi udało się natomiast ustalić oficjalną listę stopni wojskowych i insygniów. Simpson chciał stworzyć imperium, a oficjalne stopnie wojskowe tylko to potwierdzały. Lany musiał przyznać, że bez względu na swe wady Simpson był świetnym organizatorem. Zdaży}

zaplanować strukturę organizacyjną wojsk i przedstawić ją prezydentowi, podczas gdy Frank Jackson ciągle jeszcze był na etapie unikania tego problemu.

Sugestie admirała zostały przyjęte. Lany podejrzewał, że łatwość, z jaką Mike Stearns je zaakceptował, wynikała przynajmniej częściowo z cW „dogodzenia” Simpsonowi. Bez wątplenia uważał, że to kolejny bzdurny pomysł admirała, ale mógł się zgodzić, żeby bez strat własnych polecił jego próżność.

Lany podzielał tę opinię do momentu, gdy razem z Eddiem Cantrel zostali pierwszymi kapitanami marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Simpson ogromnie go zaskoczył, wręczając mu srebrne belki, K
ściach.

za tv nie, liczno

tfawet teraz Lany me przyznałby się przed nikim innym poza Eddiem, ■e uroczystość, na którą nalegał Simpson, wywarła na nim ogromne i trwałe wrażenie. Larry i Eddie bardzo się starali wyśmiać ją później na oSobności, stwierdzając, że było w niej coś bardziej niż odrobinę niedorzeczności. Oto dwóch dziewiętnastoletnich prostych chłopaków z Wirginii Zachodniej stało w sposób, który w ich mniemaniu był staniem na baczność, podczas gdy dystygowany mieszczuch o włosach przyprószonych siwizną przypinał błyszczące srebrne belki do kołnierzyków ich jak najbardziej cywilnych koszul. A wszystko to po to, żeby oficjalnie nadać im stopnie oficerów marynarki wojennej, która jeszcze nawet nie istniała! A jednak...

Teraz było już więcej młodszych oficerów, a wkrótce mieli pojawić się kolejni, gdyż oddawano do użytku nowe statki, dlatego właśnie po niecałych sześciu miesiącach Eddie i Lany awansowali na kapitanów marynarki. Jeśli tak miałyby być dalej, prawdopodobnie mogli liczyć, że wkrótce zostaną komandorami podporucznikami, co stawiało ich w bardzo dziwnej sytuacji.

Mimo że opierali się na wszelkie możliwe sposoby, Larry Wild i Eddie Cantrell stali się oficerami marynarki wojennej. Co w praktyce oznaczało... że byli ludźmi Johna Chandlera Simpsona. Nie dało się tego uniknąć, roimó że Simpson często strasznie ich drażnił. Bez względu na wszystko tworzył niewielką, ale piekielnie dobrą marynarkę wojenną. A Larry, tak jak i jego przyjaciel - kapitan marynarki Eddie Cantrell - był coraz bardziej dumny z tego, że stanowi jej część.

Larry zbliżał się truchtem do portu, rozmyślając nad zdaniem, które Ustyszał od Eddiego, kiedy ostatni raz się widzieli. „Tak, pewnie - Simp-s^on to sukinsyn. Ale, Larry, to nasz sukinsyn”.

* * *

^edy dotarł do portu, skierował się ku krzątaniu wokół czegoś, co
°tce miało się stać pancernikiem Gustawa Adolfa. Według standardów dwudziestego pierwszego wieku statek nie był im-^ Hiących rozmiarów... ale to był siedemnasty wiek i częściowo obudo-
y kadłub wznosił się nad nadbrzeżem niczym tytan.

Podstawowy plan budowy pochodził z książki autorstwa Howarda Chapelle'a, który niegdyś był kustoszem Oddziału Historii Morskiej Smithsonian Institute. Eddie znalazł ją w antykwariacie razem z kilkoma j mi książkami Chapelle'a w trakcie zbierania materiałów do jednej z wojennych „Czterech muszkietierów”. Gdy tylko zaproponował Mike[^] Stearnsowi zbudowanie pancerników i przypadkiem wspomniął o swej tej jenniczej kolekcji wydawnictw encyklopedycznych o tematyce yqjen nej, Mike, Frank Jackson i John Simpson siłą najechali

jego biblioteczk Duża część książek, które tam się znajdowały, nie mogła się przydać bez odpowiedniej infrastruktury. Jednak szwedzcy budowniczowie statków rzucili się na dzieła Chappelle'ego tak, jak gdyby Eddie był Galahadem który wraca do króla Artura ze Świętym Graalem w ręku. Szkielet czegoś, co miało się stać okrętem flagowym szwedzkiej marynarki wojennej był tylko jednym z rezultatów.

Dosyć sporym, jak przyznawał Larry. Gładkopokładowy słupek amerykańskiej marynarki wojennej, na którym bazował projekt, miał kadłub długości czternastu i pół metra z bukszprytem, a szerokość całkowitą niecałe dwanaście metrów. To oznaczało, że kadłub był o mniej więcej dziewięć metrów krótszy niż w pancernikach, które Simpson budował w Magdeburgu, ale w związku z tym, że statek miał mieć ponad osiemnastometrowy bukszpryt, Eddie podejrzewał, że nikt tego nie zauważy. I podczas gdy statki Simpsona będą brzydkimi, kanciastymi tworami o niedopracowanym kształcie, statek Gustawa zachowa wdzięczny kształt stworzone przez jego oryginalnego dziewiętnastowiecznego twórcę. Jediną rzeczywistą zmianą, którą cesarscy budowniczowie wprowadzili w szkicu sporządzonym dla nich na podstawie projektu Chappelle'a, było zwiększenie wysokości nadburcia z niespełna półtora metra do około dwóch. Kiedy po zewnętrznej stronie kadłuba przytwierdzi się blacha pancerna wytworzona w miejscowej walcowni, powinno to zapewnić wystarczającą osłonę dla załóg obsługujących działa. Oczywiście tyle blachy pancernej zwiększy wagę statku o mniej więcej dwieście ton, więc nawet przy redukcji uzbrojenia na burcie będzie się zanurzać na jakieś siedem metrów. Było to sporo, ale na Bałtyku do zaakceptowania.

Według Larry'ego, prawdziwym powodem, dla którego Gustaw obserwował przy budowie statku właśnie w Lubecie, był jego imponujący wygląd. Robił niezapomniane wrażenie na każdym, kto odwiedził miejski port włączając w to mieszczan i władze miasta.

W porcie roilo się od różnego rodzaju statków. Według profesora Mailey, udało się przetrwać wojnę trzydziestoletnią w tamtej historii właśnie bez szwanku - głównie dzięki zachowaniu neutralności za pomocą rytnej dyplomacji. Jednak tym razem nie wyglądało na to, żeby miasto lało mieć tyle samo szczęścia. W tym siedemnastym wieku Gustaw Adolf Die zginął w bitwie - a przynajmniej jeszcze nie. Żył w pełnym znaczeniu [ego słowa, i mimo że wolał używać aksamitnej rękawiczki zamiast żelaznej ręki] nie zamierzał tolerować uchylania się od przedstawianych przez niego wymagań.

Gustaw Adolf potrzebował trwałej bazy logistycznej, a Lubeka była jednym z niewielu portów w północnych Niemczech, które nadawały się do pełnienia tej roli. Wismar, Rostock i Stralsund były już w rękach Szwedów - zostały włączone do Konfederacji i wydawało się oczywiste, że i Lubeka w końcu do nich dołączy. Jedinie prawdziwe pytanie dotyczyło tylko tego, ile niezależności miało dla siebie zatrzymać to stare miasto należące do Ligi Hanzeatyckiej. Jedinie o to chodziło w odbywających się ciągle dyplomatycznych manewrach między Gustawem i władzami miasta.

W przeciwieństwie do Hamburga, który górował nad ujściem Łaby, Lubeka znajdowała się po bałtyckiej stronie Półwyspu Jutlandzkiego. Było to ważne, gdyż dopóki Dania miała możliwość zamknięcia cieśniny Kattegat dla żeglugi i w ten sposób odcięcia Szwedom drogi do Morza Północnego, Hamburg zupełnie nie nadawał się na port dostawczy łączący Szwecję z kontynentalną częścią Konfederacji Gustawa.

Lubeka również, tak jak Hamburg, nie była odpowiednia. Kanał Łaba-Lubeka, który łączył miasto z rzeką w Lauenburgu, w górę rzeki od Hamburga, został stworzony tylko dla potrzeb barek przewożących sól. Barki wystarczały do transportowania ładunku, który mógł być podzielony na niewielkie części, ale zupełnie nie nadawały się do ciężkich ładunków, o jakich myślały Stany Zjednoczone i Konfederacja. Można to było jednak zmienić - inżynierowie Gustawa z pomocą amerykańskich załóg mierzających już zajmowali się projektowaniem nowego, ulepszanego kanału, który miałby spełnić te wymagania.

Jeszcze większym minusem był fakt, że wszystkie porty na północy [^]lenńec znajdowały się wystarczająco blisko rządzonej przez Chrystiana IV an,i> żeby jej marynarka wojenna mogła zagrozić szlakom komunika-j^Jflym ze Szwecją. Jeśli chodzi o ścisłość, Lubeka była na to narażona bardziej niż większość pozostałych miast. Jednak właśnie tutaj zaczynała się rola szwedzkiej marynarki wojennej. Duńczycy już nieraz dobita przekonali się o tym, że nie można igrać ze Szwedami, a eskadra admj^ la Karla Karlssona Gyllenhjelma została rozmieszczona w Lubece wja śnie po to, aby Chrystianowi o tym przypominać.

Sama Lubeka nie bardzo wiedziała, co sądzić o obecności Gyllenhje[ma. Mieszczanie nie mogli nie zauważyć ogromnych korzyści ekonomicznych, jakie przynosiłby kanał, który chciał zbudować Gustaw. Król i jego szwedzko-amerykańska ekipa inżynierów planowali, że służy przepust cząłoby barki długości trzydziestu metrów i dwunastu metrów szerokości całkowitej - większej niż jakikolwiek morski statek kupiecki. W połączeniu z udoskonaleniami Łaby, które już były w toku, nowy, powiększony kanał sprawiłby, że Lubeka stałaby się centralnym punktem handlu bałtyckiego z północnymi i środkowymi Niemcami - dokładnie tak samo jak Hamburg, który zdominował handel na Morzu Północnym. A biorąc pod uwagę, że Lubeka już była największym i najważniejszym z niemieckich portów nadbałtyckich, jej perspektywy ekonomiczne rzeczywiście wyglądały obiecująco.

Niestety, ci sami mieszczanie byli również świadomi złych stron tej sytuacji. Pomijając już sprawę umiłowanej niezależności - Lubeka przez stulecia była głównym miastem Ligi Hanzeatyckiej - chodziło o to, że im ważniejsi staliby się dla Gustawa i Konfederacji, tym więcej wrogowie Gustawa zyskaliby na ich zniszczeniu, a to sprawiało, że sprawa kanału stawała się bronią obosieczną. Było to o tyle istotne, że Lubeka nie miała pewności, czy Gustaw przeżyje, nawet dzięki pomocy swych amerykańskich sojuszników i ich cudów technicznych.

Mimo tego wszyscy doskonale wiedzieli, że prędzej czy później miasto nie będzie miało żadnego wyboru i będzie musiało zgodzić się na warunki Gustawa. Nawet taki polityczny nowicjusz jak Lany Wild zdał sobie sprawę, jak ogromne były naciski na władze Lubeki. Oczywiście Gustaw zrobił, co mógł, aby osłodzić im podjęcie tej decyzji, ale nie miał również skrupułów wobec stosowania ostrzejszych sposobów perswazji. Nawet jeśli - przynajmniej według Harry'ego - był jedynym z siedemnastowiecznych królów, który był czegoś wart, to określenia „siedem nastowieczny monarcha” i „serce na dłoni” wyglądały razem absurdalnie. Jeśli Lany dobrze pamiętał lekcje angielskiego ze szkoły średniej, nazwał się to chyba „oksymoron”.

Gustaw między innymi obstawał - oczywiście uprzejmie, ale mocno przy sobie - Gyllenhjelma - przy tym, żeby jego nowy pancernik ^{zc*} budowany w stoczni w Lubece. Utrzymywał również, że około tysiąca pierzy (cały regiment) musi tam stacjonować jako ochrona pancerni-, a prawdą jest, że zgodził się, żeby jego ludzie obozowali poza obrębem miasta - Prawdą również jest, że nie pozwolił im wchodzić do miasta w grupach większych niż trzydziestu-czterdziestu żołnierzy na raz. Jednak ich obóz był dokładnie widoczny z południowego bastionu miasta. I mimo że echowanie stacjonujących tam oddziałów było należyte - a według standardów tych czasów wprost doskonale - ich obecność stanowiła ciągle dyskretne przypomnienie, że cierpliwość króla Szwecji może się kiedyś wyczerpać.

Powiewające nad obozem sztandary również ostrzegały mieszkańców miasta. Gustaw Adolf przydzielił zadanie strzeżenia pancernika dobrze znanemu regimentowi Totta, jednostce weteranów, którzy przyczynili się do wspaniałego zwycięstwa Szwedów pod Breitenfeld. Ten regiment kawalerii, którego znaczącą część stanowili Finowie, został nazwany na cześć swego pierwszego dowódcy.

A Åke Tott najczęściej był określany mianem „dzikiego człowieka”. Sztandary, które wybrał dla swojego regimentu, bez wątpienia pasowały do tego określenia. Były całe czarne, a pośrodku na zielonym tle widniała biała czaszka. Na niektórych sztandarach z oczodołów czaszki wylaniały się płomienie, na innych - różne złowieszczo wyglądające rośliny i kwiaty, a na ulubionym sztandarze Larry'ego - głowa węża.

Na razie jednak Gustaw pozwalał Lubece jako niezależnemu miastu należącemu do Ligi Hanzeatyckiej na zachowanie oficjalnej neutralności. Przynajmniej przez jakiś czas.

Pomimo pewnych wątpiwości Lany uważał, że król postępuje bardzo sprytnie. Przecież praktycznie rzecz biorąc, Gustaw już kontrolował miasto, choć niezmiennie unikał słów typu „okupacja” czy „garnizon”. Mieszkańcy Lubeki nie mieli wyboru - musieli przystać na jego uprzejmą prośbę i udostępnić mu stocznice... a gdyby jeszcze udało im się zbić fortunę na zaspokajaniu potrzeb jego armii - przecież pracownik zasługuje na zapłatę. Tak więc ludzie nieustannie napływali do Lubeki pod osłoną dział szwedzkich statków chroniących Zatokę Meklemburską. Tam wsiadali na pokład statków handlowych, które tłoczyły się w porcie, a następnie ruszyli dalej na południe, do armii Gustawa.

Działania szwedzkiego króla nie były ani widowiskowe, ani owiane woskową chwałą. Nie było ani trąbek, ani sztandarów bitewnych, ale

z czasem zrozumiał, że bez tego zasadniczego logistycznego ogniwa, jakie stanowiła Lubeka (razem z Wismarem i Rostockiem), armia Gustawa marniałaby i przymierała głodem. Lub też, co byłoby jeszcze gorzej, byłaby zmuszona do grabienia ludzi, których miała chronić. Znaj.

Wszystko to sprawiało, że złożona kartka z wiadomością, która do wała się w kieszeni Larry'ego, była tak przerażająca.

Jeden z oficerów regimentu Totta patrzył, jak Lany rusza zdecydowanym krokiem w kierunku budowy. Kilkunastu kawalerzystów na koniach ustawiło się między na wpół ukończonym kadłubem okrętu wojennego a pozostałą częścią portu.

Larry'emu rzuciło się w oczy ich uzbrojenie. Nowe spółki warsztatów mechanicznych z Grantville i niemieckich wytwórców broni osiągnęły tempo produkcji ponad stu pięćdziesięciu sztuk tygodniowo. Do tej pory dostarczyli Gustawowi już ponad pięć tysięcy nowych karabinów, a regiment Totta był jednym z pierwszych, które na tym skorzystały. Sam Tott już nie był dowódcą. Jednak formacja ta pozostała jednym z ulubionych regimentów Gustawa Adolfa - teraz pod nowym dowództwem pułkownika Karberga. Tak więc wszyscy kawalerzyści mieli przy siodłach karabiny skałkowe. Ciągłe też posiadali dwa lub trzy ogromne pistolety z zamkiem kołowym, ale Lany podejrzewał, że to się wkrótce zmieni. Szwedzi ciągle jeszcze badali grunt, jeśli chodzi o nowe siedemnastowieczne rzemiosło wojenne w amerykańskim stylu. Lany pomyślał, że kiedy już się w pełni przystosują, pistoletowe ataki kawalerii staną się częścią zamierzczłej przeszłości.

W myśli tej nie było pełni zadowolenia. Nie dlatego, że Lany nie pochwalał zachodzących zmian, ale dlatego, że zachodziły one dużo wolniej niż by chciał.

Karabiny szwedzkich kawalerzystów były dobrym tego przykładem. Były dużo krótsze i poręczniejsze niż którykolwiek z wcześniejszych rodzajów broni, a jeśli dodać do tego nową, stworzoną przez Amerykanom amunicję z wgłębieniem u podstawy, ich obecna broń była dużo bardziej śmiertelna. Jej rzeczywisty zasięg, pomimo krótszych luf, kilkakrotnie przewyższał zasięg broni używanej zazwyczaj przez piechotę. Natomiast broń produkowana dla piechoty Gustawa miała jeszcze większy zasięg niż wersja dla kawalerii. Kawalerzystów wyposażono równia w pierwsze w historii Europy bagnetki tulejowe, co pewnego pięknego dnia miało kogoś bardzo niemile zaskoczyć.

f^jmo to kawalerzyści mieli karabiny skałkowe, a to raniło uczucia ^^'ego. Można było z nich strzelić trzy lub cztery razy szybciej niż •glciejś nieporęcznej rusznicy, ale mimo to nie tak szybko, jak z porząd-i broni odtylcovej. A poza tym, jak każdemu karabinowi skałkowemu,

llvJ m darzało im się nie wypalić dużo częściej niż broni kapiszonowej.

Larry i Eddie byli zagorzałymi poplecznikami grupy, która pragnęła stworzyć broń odtylcową na naboje. Gdy im się to nie udało, zapropono-wali przynajmniej porządną broń kapiszonową. Początkowo popierał ich sam Gustaw Adolf. Jednak ich stanowisko - i stanowisko Gustawa - za-kwestionował prezydent.

>Ja spotkaniu, na którym podjęto decyzję, stremowany Larry towarzy-szył admirałowi Simpsonowi. Mike Stearns, generał Jackson oraz kilku amerykańskich i niemieckich wytwórców broni przybyło do Magdeburga specjalnie w celu naradzenia się z Gustawem Adolfem i jego doradcami oraz sztabem wojskowym.

- Zgadza r,ię, udało nam się rozpocząć produkcję nabojów - przyznał Mike - jednak to ledwo wystarczy na zapewnienie dostaw dla broni z na-szych czasów. Nawet nie próbujemy zachowywać amunicji mniej popu-larnych kalibrów. Nie ma szans, żebyśmy mogli zapewnić więcej niż zni-komą ilość dostaw nabojów dla nowej linii karabinów odtylcowych, nawet gdyby udało się masowo produkować taką broń, co w ciągu najbliższych kilku lat wydaje się raczej mało prawdopodobne.

Gustaw rozejrzał się po pomieszczeniu i zauważył potwierdzenie tych słów na twarzach Amerykanów - a teraz i kilku Niemców - którzy byli w tej dziedzinie ekspertami.

- Dobrze, z tym jestem w stanie się zgodzić. Ale dlaczego sprzeciwia-cie się również wprowadzeniu muszkietu kapiszonowego? Przecież to byłaby prosta broń odprzodowa. Mike odwrócił się do Grega Fenary. Ten był nauczyciel przedmiotów ścisłych (teraz okazał się jednym z pierwszorzędných wynalazców-prze-toysłowców) odchrząknął.

~Nie sprzeciwiamy się, kapitanie generale. Uważamy, że można, a na-Wet trzeba rozpocząć produkcję kapiszonów. Ale... hm... - Fenara od-tasznął. - Chciałem powiedzieć „Wasza Wysokość”. Przepraszam, za-^mniałem, co chciałem powiedzieć.

Gustaw szeroko się uśmiechnął. Przez salę przebiegł cichy śmiech -

°drobiną zakłopotania u Amerykanów i rozbawienia u Niemców oraz s^edzkich oficerów Gustawa.

Sam Lany również się dołączył, jak tylko zrozumiał znaczenie szyb^, przeprosin Ferrary. Kiedy Gustaw odwiedzał Stany Zjednoczone, to zg0(j nie z porozumieniem mówiącym o stowarzyszeniu Stanów z Konfederat Księstw Europejskich robił to jako „kapitan generał Gars”. W ten spo^J formalnie potwierdzał, że Stany Zjednoczone są republiką, a nie monarchia konstytucyjną. W pewnych aspektach pozycja Gustawa wobec Stanów Zjednoczonych była podobna do pozycji Dynastii Orańskiej wobec Zjcdnocz0 nych Prowincji, które oficjalnie były republiką. W praktyce jednak „niec-fi. cjalni członkowie rodziny królewskiej” mieli ogromną władzę.

Jednakże w samej Konfederacji Księstw Europejskich, a szczególnie na tych obszarach, które bezpośrednio podlegały cesarzowi, te zagma. twane formalności nie obowiązywały. W swej własnej cesarskiej stolicy Gustaw II Adolf był „Waszą Wysokością” i nie było co do tego wątpliwo-ści. Król Szwecji, cesarz Konfederacji Księstw Europejskich, nie mówiąc już o całych zastępach innych tytułów.

Na szczęście król-cesarz-itd.-itp. zazwyczaj dosyć pogodnie patrzył na to wszystko. Kiedy śmiech ucichł, Gustaw pochylił głowę, uprzejmie po-naglając Ferrarę, żeby kontynuował.

- Wygląda to tak, Wasza Wysokość. Pewnie, że ostatecznie będziemy chcieli przerzucić się na muszkiety kapiszonowe, ale uważamy, że próbo-wanie tego już teraz byłoby dużym błędem. Problemem są kapiszony -jest po prostu za dużo wątpliwości i niewiadomych.

Ferrara przygładził włosy.

- Pomimo tego, co można by nazwać moją rosnącą reputacją, jestem po prostu licealnym nauczycielem przedmiotów ścisłych ze specjalizacją z chemii. I choć mamy tu w Grantville biblioteki i inne źródła informacji, nie mogą one równać się ze źródłami dostępnymi w uniwersyteckiej bibliotece naukowej.

Przez chwilę na jego twarzy zagościło spojrzenie pełne tęsknoty.

- Gdyby Ognisty Krąg sięgnął troszkę dalej - gdyby objął całe Mor-gantown i Uniwersytet Wirginii Zachodniej... nie mówiąc już o Fairmont i tamtejszym przemyśle... Frank Jackson zaśmiał się ostro.

- Do cholery, Greg, gdybyśmy mieli Fairmont i uniwersytet... Również on przerwał, kaszłąc. Lany nie mógł powstrzymać szeroko go uśmiechu - sam był w stanie dokończyć tę myśl:
„Za żadną cholerę nie musielibyśmy się bawić w ten głupi taniec z k*0 lami, cesarzami, książętami i hrabiami. Załóżcie się! Dajcie mi tylko s broni Gwardii Narodowej z Fairmont, trzydzieści tysięcy profesorów i stu-jel)tów z nowoczesnego uniwersytetu stanowego oraz wszystkie warsz-t.lty mechaniczne, fabryki - nie mówiąc o jakiejś połowie członków ASG Z'

■ okręg"31- •

Wirginia Zachodnia iiber alles, ot co... ".

ferrara pospiesznie przerwał tę niezręczną ciszę.

_ Wasza Wysokość, chodzi o to, że w wielu przypadkach poruszamy się po omacku. Nie wiem dokładnie, jak zrobić kapiszony. Ale proszę ^uważyć, że mam na to całkiem dobry pomysł, szczególnie po konsulta-cji z kolekcjonerami broni z Grantville. Tak więc gdy przeprowadzimy doświadczenia, będziemy w stanie zacząć produkcję. Ale niewystarczają-jąca na nasze potrzeby - przynajmniej w najbliższym czasie.

Skrzywił się.

-Jestem całkowicie pewien, że nie chcę się bawić piorunianem rtęci. Powtarzam: nie chcę. No... a przynajmniej nie w ramach jakiegoś pospiesz-nie skleconego programu produkcyjnego. Problem znów jest taki, że na-sze potrzeby są większe niż nasze zasoby - z których najważniejszym jest wykwalifikowana siła robocza. - Spojrzał na cesarza prosząco, zmęczo-nym wzrokiem. - Wasza Wysokość, nie mam wystarczająco wielu chemi-ków. Mamy częściowo wyszkolone dzieciaki, które próbują czegoś na-uczyć, jednocześnie robiąc...

- Rozumiem - przerwał mu Gustaw Adolf. - Obawiasz się, że z po-śpiechu może wyniknąć katastrofa - jak sądzę, mówimy o jakiejś niebez-bezpiecznej substancji?

Ferrara przytaknął zmęczonym ruchem głowy.

-Już nie jest bezpiecznie, Wasza Wysokość. Skracaliśmy sobie drogę ia wiele sposobów, a w chemii - w niektórych jej dziedzinach - nie moż-na tego robić wiecznie. Prędzej czy później...

- Wzdrygnął się. - Niektóre z tych substancji mogą zabić człowieka w mgnieniu oka. A inne mogą frobić to samo z całym miastem, jeśli coś naprawdę pójdzie nie tak.

Wyprostował się i potrząsnął głową, jak gdyby chciał oczyścić swój umysł.

~ Proszę o trochę czasu, żeby odpowiednio przeszkolić ludzi i spokoj-zacząć działać, a dostarczę kapiszonów. Inne rzeczy też będą. Na przy-j- bawelna strzelnicza, która - jeśli ją odpowiednio przygotować, plu-

- ~ Ponownie pokręcił głową. Cesarz nie pragnął ani nie potrzebował ^ególowego technicznego wykładu. - Poza tym potrzebuję czasu, i to

tylko ze względu na brak wykwalifikowanych ludzi. Bez pewnych

podstawowych produktów mamy związane ręce. Weźmy na przykła(j bawelnę strzelniczą. Jej wytworzenie nie jest żadnym problemem, ale n ^ pierw konieczna jest spora ilość kwasu azotowego. A jak Wasza tyys^ kość zapewne pamięta z wczorajszej rozmowy na temat

postępów w twórczeniu przemysłu chemicznego i antybiotykowego, brak kwasu azotowego powoduje prawdopodobnie największy...

- Tak, tak - przerwał mu Gustaw, machając dłonią. - Wyjaśnił pan Użył pan słowa „zastój”. Problemem są niewystarczające zasoby tego, Co nazywacie stalą nierdzewną. Ferrara przytaknął.

- Właśnie. Tak jak w przypadku wielu innych artykułów chemicznych, stanęlibyśmy przed wizją produkcji odbywającej się w warunkach domowych. Podsumowując: tak, moglibyśmy stworzyć muszkiety kapiszonowe i kapiszony; nie, nie bylibyśmy w stanie w krótkim czasie stworzyć ich w takiej ilości, żeby odpowiednio wyposażyc siły zbrojne króla Szwecji i cesarza Konfederacji. Yyy... oczywiście według mnie, Wasza Wysokość. Gustaw lekko się uśmiechnął. Następnie pogładził wąsy i spojrzał na Axela Oxenstierne.

- Po takim wyjaśnieniu według mnie również. Kanclerzu?

- Doskonale wiesz, że przeważnie jestem we wszystkim bardziej konserwatywny niż ty. Trudno więc byłoby się tu nie zgodzić. - Oxenstierna zmarszczył brwi. - Tyle wiem na pewno: zdarzyło mi się w trakcie kampanii - tobie również, Gustawie - że byłem zmuszony do użycia prochu przechwyconego od wroga, bo nasze własne zapasy wyczerpały się lub były nieodpowiednie. Przy karabinach skałkowych możemy tak zrobić, natomiast przy tych nowych kapiszonowych...

Król również zmarszczył brwi.

- Moglibyśmy znaleźć się na polu bitwy bez kapiszonów. Mając ogromne ilości prochu, którego nie możemy użyć, a moglibyśmy użyć, gdybyśmy pozostali przy mniej zaawansowanej broni. Która, nie zapominajmy i tak jest dużo lepsza od tego wszystkiego, co posiadają obecnie nasi Wrogowie.

- Może Ciarke miał rację. „Przewaga” - mruknął Lany pod nosem - Albo przynajmniej tak mu się wydawało. Król odwrócił głowę i ^
ruchomił go spojrzeniem swych niebieskich oczu.

- Tak, kapitanie? Chciał pan coś dodać?

Larry'ego sparaliżowało. Absolutnie nie zamierzał wypowiadać się ^ tej naradzie. Prawdę mówiąc, admirał rozkazał mu odzywać się je ^

^etty gdy zostanie bezpośrednio o coś zapytany, co oczywiście teraz miało ^jejsce tylko dlatego, że Lany przeszkodził w spotkaniu. Jedynym jego gżeniem było natychmiast zapaść się pod ziemię. Simpson odchrząknął.

_ Mój adiutant odnosi się do opowiadania napisanego przez autora zna-nego w naszych czasach. W „nadczasie”, jak zaczęto je określać. Chodzi o pisarza science fiction - proszę go sobie wyobrazić jako fantastę - o nazwisku Arthur C. Ciarke. W opowiadaniu „Przewaga” Ciarke wyobraża sobie sytuację, gdy jedna ze stron przegrywa wojnę przez obsesję na punkcie posiadania jak najbardziej zaawansowanej broni, która nie działa tak, jak powinna, ani też nie może zostać wyprodukowana we wcześniej planowanej ilości. W związku z tym wygrywa przeciwnik, który używa bardziej prymitywnej i prostszej broni, ale takiej, która działa i której ma wystarczająco wicie.

-Och! Wspaniała opowieść ku przestrodze! - przytaknął z aprobatą król. - Czy ta książka jest dostępna? Wydrukowanie i rozpowszechnienie jej wśród naszych oficerów byłoby świetnym pomysłem.

Simpson swobodnie odwrócił głowę i spojrzał na Larry'ego, który stał zaniem.

-Obawiam się, że moja została w Pittsburghu, Wasza Wysokość. Kapitanie?

Lany zdołał jakoś otrząsnąć się z szoku.

-Eee... tak, panie admirał. Mam ją w jednej z antologii. Hm... jest w domu - znaczy się u Dreesonów... w Grantville. Eee... panie admirał. Eee... Wasza Wysokość.

-Nie ma więc żadnego problemu. Proszę się tym zająć, kapitanie. Zgadnam się z Jego Wysokością, że to bardzo dobry pomysł. Niech miejscowy drukarz odbije... hm... wydrukuj na początek dwieście egzemplarzy, opłacimy za nie z budżetu marynarki wojennej. Powrócił do poprzedniej pozycji i spotkanie potoczyło się dalej. Jednak Lany nic nie pamiętał z tego, co działo się później. Jego szok pogłębił się, kiedy zdał sobie sprawę, że admirał nie tylko uratował jego skórę, ale M również...

John Chandler Simpson? Szalony fan science fiction?

* * *

W drodze powrotnej do stoczni Lany usiłował jednocześnie przebić Wa.

- Kapitanie, są dwie rzeczy, które powinien pan z tego wynieść. Admirał zatrzymał się i spojrzał na niego gniewnie z góry. Simpson był rosnącym mężczyzną, choć daleko mu było do postury olbrzyma, jak miał jego syn. - Po pierwsze, kiedy mówię panu, że ma się pan odzywać, to dokładnie to mam na myśli. Czy to jest jasne?

- Tak jest.

- Dobrze. Teraz druga rzecz.

Na twarzy Simpsona pojawił się lodowaty uśmiech.

- Podejrzewam, że pan i kapitan Cantrell nazywacie mnie „sukinsynem”. Oczywiście na osobności. Jeśli kiedykolwiek złapię was mówiących tak publicznie, nogi wam z dupy powyrywam. Ale możecie równie dobrze dostrzec drugą stronę - marynarka wojenna trzyma się razem, synu Zawsze. Więc jeśli jestem sukinsynem, to przynajmniej możesz liczyć na to, że będę waszym sukinsynem.

* * *

Larry wyrwał się ze wspomnień. Właśnie zauważył, że kiedy szybko podążał w kierunku kawalerzystów z regimentu Totta, cztery spośród nowych karabinów opuściły swe miejsca przy siodłach. Zwierzchnik kawalerzystów zaczął coś mówić do swych podwładnych, ale wtedy ktoś inny ostro się odezwał. Kawalerzyści szybko obejrzel się i dostrzegli ogromną jasnowłosą postać Andersa Jönssona. Natychmiast schowali karabiny w geście „ja nic nie robiłem” - jak małe dzieci nakryte przez rozsierdzonego nauczyciela. Jönsson przez chwilę patrzył na nich spode łba, a następnie powiedział coś jeszcze, pokazując na pochodzące z dwudziestego pierwszego wieku ubranie Larry'ego i pokręcił głową.

W innych okolicznościach Larry'ego pewnie rozbawiłyby miny winowajców. W przeciwieństwie do kawalerzystów, Jönsson nie był uzbrojony w karabin skalkowy.

Właściwie w ogóle nie miał karabinu, pozbył się również swoich pistoletów. Zamiast tego wszystkiego miał pod pachą kaburę z pistoletem samopowtarzalnym Heckler & Koch kaliber 10 mm. Był to jeden z sześciu najdroższych pistoletów, które przybyły z dwudziestego pierwszego wieku, jednak nikt w Grantville nie żałował czterech magazynków o dużej pojemności ani samego czarnego pistola z polimerowym szkieletem, który Mike Stearns ofiarował Jönssonowi. Biorąc pod uwagę, że zamach był uznanym, choć oficjalnie nieakceptowanym sposobem radzenia sobie w tych czasach z problemami, wszystko, co utrudniało komuś ominięcie osobistego strażnika Gustawa Adolfa, wydawało się Amerykanom wspaniałym pomysłem.

Larry dotarł w pobliże budynku w samą porę, aby usłyszeć końcówkę -siwego kazania Jönssona. Było po szwedzku, który to język ciągle

Tir' _ , , ^ . u ~ , / ... I , , A J , T M ~ T M : : » _ \ i ■

był dla Larry'ego obcy (w każdym znaczeniu tego słowa), ale nie trzeba było rozumieć słów, żeby uchwycić ich znaczenie. Bardzo się starał nie mieszać z załogą Potanycen, kawalerzystów. Właściwie jakby się nad tym zastanowił, to popierał ich paranoję dotyczącą bezpieczeństwa monarchii. Przynajmniej dopóki nie wyrażała się ona celowaniem z karabinów w jego skromną osobę.

, W czym mogę pomóc, kapitanie? - spytał Jónsson mocno akcentowanym, ale najzupełniej zrozumiałym angielskim, i uklonił się uprzejmie, gdy Larry dotruchtał do niego. Osobisty strażnik króla nie miał oficjalnych oznaczeń rangi, ale Larry stwierdził w duchu, że musi mieć co najmniej stopień pułkownika, stanął więc na baczność i zaszalutował w sposób wymagany przez Simpsona. Ciągle uważał, że to bardziej niż trochę nienaturalne, ale już nie sądził, że głupie - a osobisty strażnik Gustawa odwzajemnił wojskową uprzejmość z godnością i bez uśmiechu.

- Mam pilną wiadomość dla króla - rzekł Larry, nie mogąc złapać oddechu po szybkim marszu.

Jónsson obserwował go przez chwilę, a następnie skinął głową. Powiedział coś po szwedzku do oficera z regimentu Totta, a następnie uprzejmie nakazał Larry'emu gestem, aby podążył za nim po drabinie na pokład nieukończony jeszcze statku. Kilku robotników popatrzyło na nich spod łba, gdy torowali sobie drogę po częściowo pokrytym deskami pokładzie, zmierzając w stronę potężnej postaci króla.

Monarcha był od stóp do głów pokryty trocinami - patrzył na plan budoWy rozłożony na dwóch kozłach do piłowania drewna i energicznie wymachiwał rękami. Mężczyzna, który stał naprzeciwko niego, po drugiej stronie kozłów, miał na sobie jeszcze więcej trocin i wcale nie wydawał się onieśmielony animuszem króla. Stał ze złożonymi ramionami, surowo marszując czoło, a po chwili stanowczo pokręcił głową. Zrobił krok do przodu, potukał palcem wskazującym w plan i zaczął wyraziście coś wyjaśniać. Gustaw jeszcze surowiej zmarszczył czoło, a następnie sam wskazał na plan, jakby na jego rozmówcy nic zrobiło to najmniejszego wrażenia - znowu potukał głowę. Gustaw spiorunował go wzrokiem, wyrzucił ramiona w górę, wrócił się i zaczął oddalać się od niego ciężkim krokiem. Jónsson ruszył ku królowi najkrótszą drogą, a Larry poszedł w jego ślad - Gustaw uniósł wzrok, kiedy Jónsson przemówił do niego po szwedzku i miał zmarszczone czoło. Po chwili wyraz twarzy króla zmienił się.

- Ma pan wiadomość, kapitanie? - spytał. Miał dużo silniejszy akcent niż Jónsson. Prawdę mówiąc, Larry czasem miał problemy z jego wymową, ale wiedział, że Gustaw czyta po angielsku z równą łatwością jak w kilku innych językach.

- Tak jest, Wasza Wysokość - odparł. Rozpiął kieszeń i wyciągnął jedyną kartkę papieru, na której Adam Jeffreys - teraz oficjalnie starszy bosman Jeffreys - przepisał wiadomość z Grantville.

Król sięgnął po nią z uprzejmym skinieniem, rozłożył i zaczął czytać. Niebieskie oczy w pośpiechu przebiegły równe rzędy liter, a następnie znieruchomiały. Król powrócił na początek tekstu, potem ruszył w dół czytając powoli i dokładnie. Zaciśnął usta. To była jedyna reakcja, na którą sobie pozwolił, ale wystarczyła, żeby - jak Larry zauważył - całe ciało Jónssona natychmiast się napружиło.

Gustaw dotarł do końca krótkiej wiadomości, złożył powoli i pedantycznie kartkę, a następnie odwrócił się ku Larry'emu.

- Dziękuję, że dostarczył ją pan tak szybko - powiedział. - Teraz zabierze mnie pan do waszej... „sali radiowej”, tak?

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparł Larry.

- Świetnie. Mam kilka pytań do waszego prezydenta.

Jesse i Hans siedzieli na tapicerowanych krzesłach niedaleko wieży, kontrolując czwarty z kolei lot szkoleniowy dla instruktorów. Jesse zdecydował, że Hans musi również umieć szkolić innych pilotów, a nie tylko latać. W przeciwnym razie rozbudowa sił powietrznych będzie spoczywała tylko na jego barkach.

„A teraz, kiedy robi się coraz chłodniej, plecy zaczynają dokuczać”.

Tym razem Jesse odgrywał rolę wyjątkowo mało pojętego ucznia, który nie jest w stanie poprawnie korzystać ze steru i lotek. Hans cierpliwie tłumaczył teorię i wrażenia towarzyszące skoordynowanemu lotowi, kiedy Woody, oficer dyżurny na wieży, wychylił się poza balustradę i wrzasnął:

-Pułkowniku Wood! Telefon!

Kiedy Jesse wbiegał po chwiejących się schodkach wieży, przyszło mu do głowy, że przydałby się dodatkowy aparat na parterze. Wkroczył do środka i zobaczył stojącego na baczność Woody'ego. Spocznij. Kto to?

Operator z siedziby rządu, panie pułkowniku - odparł młody oficer. Powiedział, że to wiadomość od prezydenta, pułkownik podniósł słuchawkę. - Pułkownik Wood przy telefonie. ~" Pułkowniku Wood, tu Kapitol - nadeszła odpowiedź. - Informuję, że prezydent Stearns potrzebuje natychmiastowego transportu do Magdeburga. "Zrozumiałem. Transport do Magdeburga. Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. Już jest w drodze.

Jesse kiwnął głową do oficera dyżurnego i wybiegł z pomieszczenia. Hans stał na dole, patrząc na wieżę.

- Poruczniku Richter! - ryknął. - Trzeba zatankować „Belle II” na. Proszę zrobić przegląd przedlotowy. Prezydent leci na wycieczkę.

Piętnaście minut później Jesse zdążył już powiedzieć Kathy, dokąd się wybiera, chwycić swoją domową robotę mapę lotniczą i dotrzeć do „Belle II”. Zauważył z wdzięcznością, że Hans już uruchomił silnik - obydwaj obawiali się, że nierozgrzany silnik mógłby się zaciąć w obecności prezydenta. Na uniesione kciuki Hansa Jesse odpowiedział takim samym gestem. Chwilę później zobaczył, jak nieopodal zatrzymuje się pikaż prezydenta.

Mike Stearns wyraźnie się spieszył. Podbiegł do samolotu.

- Cześć, Jesse - powiedział, ściskając dłoń pilota. - Jesteśmy gotowi do odlotu? Simpson się zaklina, że pas startowy jest tip-top i tylko czeka na nas.

Jesse skinął głową. Zarówno on, jak i Hans dwa razy odbyli podróż do Magdeburga i z powrotem (raz we dwóch, po jednym razie osobno). Nie wątpił, że Simpson przygotował pas startowy na tip-top. Z tego, co Jesse był w stanie ocenić, Simpson miał dosłownie manię robienia wszystkiego na tip-top, i to przez cały czas.

„On prawdopodobnie ma nawet ustaloną procedurę składania papieru toaletowego”. Jednak Jesse porzucił tę myśl prawie tak szybko, jak pojawiła się w jego głowie. Częściowo dlatego, że znacząca część jego osoby - a już na pewno ta część, która niedługo miała lądować w Magdeburgu - w rzeczywistości aprobowała precyzję Simpsona. Głównie jednak dlatego, że Jesse nie lubił myśleć o papierze toaletowym, a tym bardziej o jego braku.

- Daj mi wsiąść, a potem usiądź po prawej - nakazał Mike'owi. - Uważaj na głowę, dobrze?

Chwilę później Jesse zaczął kołować, a prezydent walczył z pasami Radiostacja była już ustawiona na częstotliwość wieży.

Wiaff

- Wieża w Grantville, tu „Belle II”. Potwierdź, wieża, tu Air Force 0⁰ kołujemy przed odlotem.

- Odebrałem, yyy... Air Force One. Pas wolny, można startować, na trzy-cztery-zero, prędkość dwunastu węzłów.

Po starcie Jesse skręcił w prawo i zaczął się wznosić. „Deklinacja magnetyczna dwadzieścia pięć minut” - pomyślał.

Wyrównawszy lot ponad rozproszonymi chmurami na wysokości sześciu tysięcy stóp, sprawdził mapę.

„jak, 028 stopni na Halle przy braku wiatru. Ale to nie dziś”. Przyjrzał się płynnym 711 chmurom i zauważył, że sznurek od osłony silnika jest znośzony na prawo.

„Co najmniej siedem-osiem stopni odchylenia w prawo”.

Ustawił kurs samolotu na mniej więcej dwadzieścia stopni według bułoli magnetycznej i siedemdziesiąt pięć procent mocy dla dużej prędkości przelotowej. Prędkość lotu ustabilizowała się na dziewięćdziesięciu pięciu węzłach. Zauważył, że na trawersie mają Weimar i nastawił zegar. Dopiero wtedy spojrział na swego pasażera - zdziwił się, gdyż Mike chciał.

- Cholera, to prawdziwy samolot, prawda? - powiedział Mike.

- No tak. A ja jestem prawdziwym pilotem i w ogóle. - Jesse nagle się zdenerwował. - A co sobie myślałeś?

- Nie obrażaj się, Jesse. Ja po prostu nie zastanawiałem się za bardzo nad tym, czego rzeczywiście z Halem dokonaliście. Pewnie - dostaję raporty, ale to nie to samo. A Simpson nie ma zbyt dobrego zdania o siłach powietrznych - teraz widzę, że jest w błędzie.

Jesse nie mógł się powstrzymać.

- Z całym szacunkiem dla admirała, panie prezydencie, ale on jest pieprzoną kałamarnicą. Jego mózg nie dotrzymuje kroku niczemu, co przełamuje się z prędkością większą niż dziesięć węzłów.

Teraz Stearns śmiał się w głos.

- Może to i dobrze, że nie było cię na tych kilku spotkaniach Połączono-Komitetu Szefów Sztabów, które mieliśmy. Admirał Simpson prawdopodobnie wyzwałby cię już na pojedynek.

Odrobinę rozgoryczony Jesse próbował się uspokoić. ~ Simpson chyba wie, co robi.

Przepraszam za te spotkania, ale mam tylko jednego - powtarzam: jednego - pilota-instruktora. Siebie samego. O si? wkrótce zmieni, ale do tej pory uważałem za swój podstawowy oświadczenie siłom powietrznym wykwalifikowanych pilotów. . Orłlc pod uwagę, że Simpson obstaje przy nieopuszczaniu Magdeburga Ze dotarcie tam w tradycyjny sposób zajmuje za dużo czasu - a naprawdę Rajeni ważniejsze zadania dla naszego jedyne samolotu, bo „Belle II” I °nc2yliśmy dopiero w zeszłym tygodniu... - Wzruszył ramionami. -tak dostaję pisemne skróty, ^nieniając temat, podał Stearnsowi mapę.

- Niech pan to przez chwilę potrzyma, panie prezydencie. Wydobywając suwak nawigacyjny, który miał jeszcze od czasu szkol

nia na pilota, Jesse uważnie obserwował przemykające obok chmury ^a znaczył kierunek i prędkość wiatru, przesunął zewnętrzny pierścień i 2a cisnął usta.

- Dobrze, że od razu wylecieliśmy - wyjaśnił swemu pasażerowi Z północy nadchodzi front atmosferyczny. Wydaje mi się, że to wiatr ciwny o prędkości piętnastu węzłów, wiejący

w kierunku Halle. Później prawdopodobnie trzydzieści węzłów w kierunku Magdeburga. Nie zostało nam dużo dziennego światła.

Sprawdził godzinę i szybko coś obliczył.

- Siedemdziesiąt pięć mil morskich do Halle. Potem około osiemdziesięciu pięciu mil do Magdeburga. Dotrzemy tam około 16:15. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że niekoniecznie uda nam się wrócić jutro, jeśli ten front nadciągnie. A tak właściwie skąd ten pośpiech?

- Muszę się spotkać z admirałem w sprawie pomocy dla Gustawa -odparł Mike. - Mogę też mieć jakieś zadanie dla ciebie, więc chcę, żebyś ty również tam był, nie tylko Simpson. - Wziął głęboki oddech i rozejrzał się. - Trochę rzuca, nie?

Jesse wzruszył ramionami.

- Może troszkę.

Usadowił się wygodnie i skoncentrował na kursie, choć stawało się to coraz bardziej utrudnione. Lecieli przez wirujące masy powietrza, a busola magnetyczna cały czas podskakiwała.

Jesse przegapił lunch, ale Kathy coś mu przygotowała. Wyciągnął z kieszeni kurtki lotniczej kiełbasę i ugryzł kawałek. Potem przypomniał sobie o manierach, więc odwrócił się do Stearnsa. I zdał sobie sprawę, że nie będzie musiał dzielić się posiłkiem.

* * *

Mike wysiadł z samolotu zachwycony tym, że jego żołądek przestaje szaleć, odwrócił się i zamarł, gdy usłyszał rozkaz wygłoszony tubalnym głosem. Ponad dwudziestu żołnierzy, z których większość była uzbrojona w nadszarpki, a sześciu w nowe odprzodowe karabiny Pf0' dukowane przez rusznikarnię Struve & Reardon, stanęło na baczność i zaprezentowało broń. Ich ubrania trudno było nazwać „mundurami” ale każdy z nich miał na sobie naramiennik z opłatą kotwicą i skwżowanymi muszkietami, które Simpson przyjął za insygnia marynarki wojennej.

pył wśród nich Eddie Cantrell, najwyraźniej rozdarty między zawstydzeniem a radością. Stał na baczność i salutował energiczniej, niż mógłby oczekiwać ktoś, kto go znał przed Ognistym Kręgiem.

Jyjkę ciągle przyglądał się temu młodemu człowiekowi, zastanawiając się, skąd w nim taka zmiana, kiedy John Simpson wystąpił do przodu i salutował jeszcze bardziej energicznie niż Eddie.

Jakimś cudem ktoś wykonał dla niego nakrycie głowy ładujące podobne do czapki oficerskiej z dwudziestego pierwszego wieku. Sama czapka była nieskazitelnie biała, a do jej lśniącego czarnego brzegu przyłmocowany był prawdziwy złoty liść, który intensywnie błyszczał w promieniach popołudniowego słońca. Po obu stronach kołnierzyka równie jasno lśniły pojedyncze złote gwiazdy, a do idealnie wypolerowanego pasa wojskowego (wykonanego prawdopodobnie przez tę samą osobę, która zrobiła czapkę) przymocowana była kabura z pistoletem kaliber 9 milimetrów.

Znacznie później Mike doszedł do wniosku, że Simpson wyglądał zupełnie absurdalnie. Natomiast w tym momencie Mike Stearns, były przewodniczący związku zawodowego miejscowych górników, a obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, poczuł, że jego ramiona automatycznie się prostują w reakcji na tę oficjalną uprzejmość.

Simpson salutował przez parę chwil. Potem żołnierz o donośnym głosem wykrzyknął kolejny rozkaz i dłoń Simpsona oderwała się od brzegu czapki dokładnie w tym samym momencie, kiedy strażnik honorowy zmienił pozycję z „prezentuj broń” na „spocznij”.

- Witamy w Magdeburgu, panie prezydencie - powiedział oficjalnie Simpson.

Xoś takiego musi dobrze oddziaływać na żołnierzy - pomyślał Mike. ~ Nawet jeśli się czuję tak, jakbym właśnie przeszedł na drugą stronę lustra”.

- Dziękuję, admirale - odpowiedział, celowo podnosząc głos, żeby wszyscy słyszeli. Po chwili zreflektował się. - Musimy porozmawiać - siedział dużo ciszej, a Simpson nieznacznie skinął głową.

~Moje biuro jest pięć minut stąd - dodał równie cicho.

* * *

^uro Simpsona okazało się kolejnym zaskoczeniem. Mike był w Mag-ljeburgu pQ raz pjerwsZy Od spotkania z Gustawem i jego sztabem, kie-- ,0 dyskutowali na temat broni dla wojska. Za bardzo się wtedy spie-kl* żeby przyjąć zaproszenie Simpsona do zwiedzenia „bazy marynarki

,0wa} sciwic

e.

przez miejscowych majstrów, jego biuro było zaskakująco plebejski i funkcjonalne. Zupełnie nie przypominało kwatery głównej pe^ „orientalnego przepychu à la Douglas MacArthur"23 - takiej, jaką ^ dyś opisywał Mike'owi jego stryjeczny dziadek, który walczył na PaCy,, fiku, i jaką według Mike'a Simpson chciałby skopiować.

Albo, jeśli już o tym mowa, urządzonego z przepychem apartamentu prezesa zarządu, który Simpson miał przed Ognistym Kręgiem i który kie. dyś opisywał Mike'owi Tom, syn admirała. Z tego, co mówił Tom, jeg0 matka Mary była koneserką sztuki i pociągała za sznurki w kręgach to-warzyskich wyższych sfer Pittsburga. Apartamenty dyrektorów w kor-poracji naftowej męża urządziła ze smakiem i za ogromne pieniądze. Na-tomiast tutaj na ścianach wisiał jedynie kalendarz, coś, co wyglądało na serię wykresów produkcyjnych, struktura organizacyjna wojsk oraz...

Mike próbował powstrzymać szeroki uśmiech, ale nie dał rady. Na jed-nej ze ścian jednak wisiały „dzieła sztuki", ale raczej nie nadawałyby się do przyozdobienia apartamentu Simpsona jako prezesa zarządu. W sumie były tam trzy obrazy.

Pierwszy - bardziej profesjonalny szkic niż obraz - przedstawiał po prostu jeden z pancerników. Rysunek był dokładny, wykonany ołówkiem i wyglądał prawie jak schemat albo projekt. Mike nie był pewien, ale po-myślał, że jego autorem jest Nat Davis, który miał rękę do takich rzeczy.

Obok wisiała ilustracja, która wywołała uśmiech Mike'a: duże, oprawione w tanią ramę płótno przedstawiające ciągle jeszcze budowane pan-erniki już po ich ukończeniu. Działa w chwale miotające ogniem. Są-dząc po atmosferze obrazu kojarzącej się lekko z science fiction, Mike podejrzewał, że namalował go nie kto inny jak sam Eddie Cantrell. wie-dział, że Eddie jest kimś w rodzaju ilustratora i że przed Ognistym Krę-giem miał ambicje w tym kierunku.

Simpson stanął obok niego. Kiedy Mike na niego spojrział, zauważy » że ten jeden raz zazwyczaj poważny admirał ma na twarzy coś na kształt uśmiechu.

- Eddiego, prawda? Simpson skinął głową.

- Uważam, że naprawdę ma do tego talent. Moja żona też tak sądzi.

-Jestem zdziwiony, że pozwolił mu pan go tutaj powiesić.

^ początkowo nie chciałem. Ale przystałem na to, kiedy kapitan Can-

eH zgodził się zrezygnować z obrazu, który on sobie upodobał - wspa-niałej młodej kobiety w skąpej zbroi, stojącej na dziobie statku z mie-cZem w re-ku- °n utrzymywał, że taka jest „tradycja". Ja zaś stwierdziłem, że nie wyobrażam sobie niczego głupszego w bitwie morskiej, gdyż w ciągu paru sekund nic by z niej nie zostało. " Ciągłe się uśmiechając, Mike podszedł do trzeciego obrazu.

_ Kto to namalował? Nie jestem koneserem sztuki, ale...

- Nazywa się Franz Knopf. Mary natknęła się na niego, jak malował to na nabrzeżu i wzięła go pod swoje skrzydła. - Powaga wróciła na jego twarz. - Moja żona z ko\e\ jest koneserem sztuki i uważa, że ten człowiek ma prawdziwy talent. Mike przyjrzał się obrazowi. Nie było wątpliwości, że technika tego malarza znacznie przewyższa to, co zademonstrował na swoim obrazie Eddie. Jednak ten trzeci obraz również był na swój sposób futurystyczny. Przedstawiał jeden z nieukończonych jeszcze pancerników w pełnej krasie i kawalerzystę, który przygląda mu się z dołu. Jednak pancernik w wyobrażeniu siedemnastowiecznego artysty niewiele miał wspólnego z mającym powstać okrętem wojennym. Mike'owi kojarzył się nieco z oglądanymi kiedyś zdjęciami pancerników sprzed pierwszej wojny światowej.
- Cholera, robi wrażenie - mruknął. Simpson uśmiechnął się lekko.
- Prawda? Naprawdę chciałbym mieć coś takiego, kiedy skończymy budować. Kusi mnie, żeby to skopiować i wykorzystać jako plakat przy werbunku. - Przez chwilę przyglądał się obrazowi. Następnie dodał po cichu: - Powiesiłem go częściowo dlatego, że Mary byłaby zła, gdybym tego nie zrobił. Ale bardziej po to, żeby mi przypominał, jak ludzie z tych czasów niekiedy nas postrzegają. Czasem jak herosów, czasem wręcz jak Półbogów. Przenikliwość tej ostatniej uwagi zaintrygowała Mike'a. Jednak zanim nie kontynuować tę myśl, do pokoju wszedł Eddie Cantrell i stanął pod SCLaną. Simpson natychmiast przeszedł do spraw oficjalnych. Zapropo- a Mike'owi krzesło, a następnie sam usiadł za biurkiem. s ^ sPojrzeniu, którym Simpson obdarzył Mike'a po tym, jak usiedli, ab- umie nie było serdeczności. Jednak Mike zdał sobie sprawę, że nie było n,m również przechwalania się czy pozowania, którego się spodziewał. Czuł się przez to wytracony z równowagi - jak ktoś, kto oczekuje we-ktora nie następuje. Właściwie czuł się niepewnie, co jak na niego było ^ dzo rzadkie. Zastanawiał się, czy właśnie dlatego Simpson tak się zachowa Następnie przywołał siebie w myślach do porządku i wziął głęboki oddech.
- Mamy problem - powiedział bez ogródek. Simpson skinął głową.
- Tak wywnioskowałem z wiadomości radiowej. Mike wyciągnął z kieszeni złożony kawałek papieru.
- Proszę - powiedział. - Pewnie zaoszczędzimy czas, jeśli po prostu sam pan przeczyta wiadomość od Gustawa, a w tym czasie Jesse skończv zabezpieczać samolot. Proszę zwrócić szczególną uwagę na dwa ostatnie zdania. Simpson rozłożył kartkę na biurku. Wiadomość nie była długa.

DOSTAŁEM ODPOWIEDŹ DOT. ZNISZCZENIA HOLENDERSKIEJ FLOTY. BAŁTYK - JEDYNY LOGICZNY CEL DLA RICHELIEU. OCZEKUJECIE DUŃSKO-FRANCUSKIEGO ATAKU. MOŻLIWE CELE: SZTOKHOLM, LUBEKA, WISMAR, ROSTOCK, STRALSUND, GÓTEBORG, OLAND1A. SZTOKHOLM, LUBEKA, WISMAR KLUCZOWE NA CZAS WOJNY. ADMIRAŁ GYLLENHJELM BĘDZIE BRONIĆ SZTOKHOLMU, A JA LUBEKI. JEDNAK ŻOŁNIERZE DLA LUBEKI MOGĄ PRZYBYĆ TYLKO Z WISMARU, ROSTOCKA I STRALSUND. MOGĘ STRACIĆ ROSTOCK I STRALSUND. NIE WISMAR. PILNIE POTRZEBUJĘ WSZELKIEGO MOŻLIWEGO WSPARCIA. NAJPIERW POWIADOMCIE O EWENTUALNYM WSPARCIU DLA WISMARU. POINFORMUJCIE, CZY PANCERNIKI MOGĄ WYJŚĆ NA BAŁTYK, ABY ZNEUTRALIZOWAĆ TAM SUA DUŃSKO-FRANCUSKIE.

Mimo to przeczytał ją dokładnie dwa razy. Zanim skończył, do p°" mieszkania wszedł Jesse Wood i usiadł na drugim krześle. Simpson w mi' czeniu podał wiadomość Eddiemu i spojrzął na Mike'a.

- Tak - powiedział po prostu. - Ale nie od razu.
- Mówi pan serio? - spytał Mike. - Naprawdę uważa pan, że jest w nie przeprowić te potwory do Lubeki? - Spojrzał przez okno i wskazał ^ bok mającego tam pancernika, który w rzeczywistości był większy, niż Mike wcześniej sądził na podstawie planów.

^ powiedziałem, że tak - odparł Simpson z lekką irytacją w głosie, następn'e niecierpliwie machnął głową. - Hm, na pewno nie będzie to łatwe - I nic ma takiego sposobu, żeby któryś z tych statków - nawet tych odeskowanych - przeprowić przez Kanał Łaba-Lubeka, nie mówiąc już o Przepływie jeziora Schwerin i dotarciu do Wismaru! Jeżeli serio pan myśli o zneutralizowaniu Duńczyków, będziemy musieli przepłynąć przez Hamburg na Morze Północne, do Zatoki Helgolandzkiej a następnie przez cieśniny Skaggerak i Kattegat. Aby dostać się na Bałtyk^ trzeba będzie się przebić przez Wielki Bełt - ale to nie powinno stanowić problemu. Prawdę powiedziawszy, bardziej martwię się samą podróżą niż tym, z czym możemy walczyć u jej celu. Zmieniliśmy oryginalny projekt pancerników tak, żeby były bardziej podatne do żeglugi morskiej niż większość statków obrony rzecznej, jednak nigdy nie zamierzaliśmy pływać nimi po otwartym morzu - nawet na przybrzeżnych wodach. Na szczęście Bałtyk jest w miarę osłonięty. Powinniśmy sobie poradzić z wszelkimi warunkami.

Mike zdał sobie sprawę, że pewność siebie admirała nie jest udawana. On naprawdę tak uważał i prezydent poczuł, że jego przygnębienie lekciutko ustępuje.

„Mój Boże - stwierdził w myślach. - Kto by pomyślał, że Simpson może poprawić mi humor?”

Rzucił okiem na Jesse'ego. Zwierzchnik sił powietrznych chmurzył się, ale jego mina nie wyrażała wrogości, a jedynie pokazywała, że się nad tym wszystkim zastanawia.

-Aco z pańskim planem? - spytał wreszcie Jesse. - W zeszłym roku słyszałem, jak mówiłeś, że nie skończysz statków do następnej wiosny.

siłku

- Możemy się wyrobić nieco wcześniej - odparł Simpson. - Ale nie też ustalenia pewnych priorytetów. Moje* wcześniejsze szacunki dotyczyły ukończenia wszystkich czterech statków, ale jestem w stanie uruchomić dwa z nich - „Konstytucję” i „Stany Zjednoczone” - w ciągu sześciu do ośmiu tygodni. Mamy wrzesień... Powiedzmy, w połowie listopada powinni już być na wodzie. To się jednak uda tylko pod warunkiem, że P^ogą nam pracownicy z pozostałych dwóch statków; będę tu potrzebować nie tylko Natę Davisa, ale również Ollie'ego Reardona i Grega Errary. Ukończenie tych statków będzie wymagało maksymalnego wy-

naszej strony - potrzebni mi więc będą najlepsi mechanicy i toka-

»jakich mamy, żeby poradzić sobie z nieprzewidzianymi problemami. "Jakimi konkretnie problemami? - spytał Mike.

- Gdybym był w stanie je określić, wtedy nie byłyby „nieprzewidywalne”, prawda? - odparł Simpson z przekąsem, który w tych okolicznościach był dla Mike'a dziwnie pokrzepiający. Następnie admirał złągodniał, przynajmniej odrobinę.

- Testujemy maszyny przez cały czas, ale tak naprawdę przed wodą. Waniem nie możemy przewidzieć wszystkich możliwych problemów. I myślę, że pan Ferrara i ja bardzo dokładnie sprawdzaliśmy nasze wyliczenia, nie możemy z całą pewnością stwierdzić, jak pancerniki sobie poradzą albo jaka będzie ich maksymalna prędkość. Może się na przykład okazać, że trzeba będzie w ostatniej chwili wprowadzić jakieś zmiany w rozmieszczeniu urządzeń sterowniczych. W takim wypadku będę potrzebował najlepszych specjalistów od techniki, żeby niezwłocznie się tym zajęli. I będę ich potrzebował tutaj, nie w Grantville.

- W porządku, rozumiem - przyznał Mike. - Ale nawet jeśli tak szybko je uruchomicie i jeśli w ogóle nie będzie problemów technicznych, to ciągle jeszcze musicie je przeprowadzić w dół rzeki na Morze Północne. Jest pan pewny, że to się da zrobić?

- Przeprowadzę je - odpowiedział Simpson stanowczo.

- A co z tymi wehrleucken! Ciągłe nie mamy na wszystkie zgody.

- Pieprzyć zgodę. - Ten zwrot wypowiedziany ostrym tonem zaskoczył Mike'a, a Simpson zaśmiał się z wyrazu jego twarzy. - Powiedziałem, że przeprowadzę je w dół rzeki - kontynuował. - Nie mówiłem, że zrobię to ładnie. Jest czas na dyplomację i negocjacje, panie prezydencie, jest również czas na bezpośrednie działanie. Aż do ostatniej chwili będę wyrażał chęć pokojowego porozumienia, ale jeśli do tego nie dojdzie, to, na Boga, przebiję się siłą przez wszystkie pieprzone wehrleucken na naszej drodze!

Mike zmrużył oczy i rzucił spojrzenie na Eddiego. Wyraz twarzy młodego człowieka zaskoczył go bardziej niż trochę. Wyglądał na równie zdeterminowanego jak Simpson. A jeszcze bardziej zaskakujące - i ważniejsze - było to, że całą swoją postawą wyrażał zgodę. I pewność siebie! Bez względu na to, czy Simpson rzeczywiście był w stanie tego dokonać. Eddie uważał, że da radę. Kątem oka Mike zauważył, że Jesse uśmiech się chłodno. Najwyraźniej on też tak sądził.

Mike poczuł chwilowe rozbawienie. Podejrzewał, że jego główni oficerowie czasami byli sfrustrowani jego dyplomatycznymi i politycznymi subtelnymi. Bez względu jednak na różnice między Johnem SiiAP"sonem i Jesse'em Woodem czy też Frankiem Jacksonem - każdy z nich był kiedyś żołnierzem w najpotężniejszej armii na świecie. Perspektywa*8
^przynajmniejten jeden raz, do cholery - rozpieprzenia tego syfu musiało do nich przemawiać.

A jeśli już o tym mowa, to kiedy Mike się nad tym zastanowił, musiał przyznać, że taka perspektywa miała niezaprzeczalny urok. Wiedział wszystko o baronie von Bleckede i utrudnieniach dotyczących jego drogocennej wehrleucke. Bleckede był doskonałym przykładem drobnej niemieckiej arystokracji w najgorszej postaci. Śniąc na jawie, Mike wyobraził sobie wyraz twarzy barona po tym, jak pancerniki...

Powrócił do rzeczywistości.

-Ciągle pozostaje nam Hamburg - zauważył. - Od początku wahali się, czy przyłączyć się do nas ze względu na bliskość Danii. Nie pałają szczególną miłością do Chrystiana IV. Prawdę mówiąc, przez ostatnie dwa-trzy lata byli z nim niemalże w stanie wojny. Jednak wszyscy w tym rejonie zdają sobie sprawę, że prędzej czy później Chrystian i Gustaw rozmówią się z sobą co do tego, kto jest szefem na Bałtyku - nie chcą więc znaleźć się w krzyżowym ogniu.

Teraz Francja, Anglia i Hiszpania najwyraźniej sprzymierzą się z Danią, a Holendrzy zupełnie wypadli z gry. Władze Hamburga będą jeszcze bardziej niechętne, żeby w jakikolwiek sposób otwarcie popierać Szwecję. Szczególnie że armia Bernarda Saško-Weimarskiego znajduje się w Alzacji, oddziały francuskie są jeszcze bliżej, a Hiszpanie - z tego, co Becky jest w stanie stwierdzić - wkraczają właśnie do wschodnich Niderlandów.

- Z całym szacunkiem, to pański problem, panie prezydencie - powiedział Simpson z nieznacznym uśmiechem. Skrzyżował spojrzenie ze spojrzeniem Mike'a. - Z tego, co wiem, takie sprawy pojawiają się po wygranych wyborach - dodał.

Mike zauważył, że sam lekko się uśmiecha.

~ Chyba ma pan rację - zgodził się. - I obiecuję, że postaramy się to jak najlepiej załatwić.

Mimo to wątpię, czy ktokolwiek ich namówi, aby P° prostu pozwolili wam przepłynąć przez swój port.

~Cóż, jeśli Porterowi udało się przepłynąć kanonierkami obok Vicksburga24, ja przeplnę przez Hamburg, jeśli będę musiał. - W głosie Simpsona była niezaprzeczalna buta, ale ku swemu zdziwieniu Mike stwierdził, że tak stanowcza pewność siebie admirała dodaje mu

otuchy. Spojrzał na Jesse'ego - zimny uśmiech na jego twarzy ciągle tam był. To również §0 Podbudowało.

. ~~ Jednak według pańskich obliczeń będzie pan gotowy wyruszyć do-Pler° za sześć tygodni - zwrócił uwagę Mike.

- Nie - poprawił go Simpson. - Powiedziałem, że sześć do ośmiu ty godni zajmie ich uruchomienie. Będę potrzebował dodatkowego tyg(K dnia, a raczej dwóch, aby poradzić sobie z ewentualnymi problemami i ^ statecznie zaznajomić z nimi załogi. Szczególnie jeśli mam ich zabrać na Morze Północne!

- W porządku. A więc dwa i pół miesiąca. Ile czasu zajmie panu dotar-eie do Lubeki albo Wismaru, jak już będzie pan gotowy?

- Hm... - Simpson oparł się na krzesło i zamyślił. - Stąd do Hamburga jest mniej więcej dwieście czterdzieści kilometrów w dół rzeki i dodatko-wych osiemdziesiąt stamtąd do morza. Później wokół przylądka Grenen... - Potarł podbródek i wzruszył ramionami. - To w sumie niecałe tysiąc sto kilometrów z Hamburga do Lubeki.

Usiadł wygodniej i skupił wzrok na Mike'u.

- Według mojej oceny samo dotarcie w dół rzeki powinno nam zająć od trzech do dziesięciu dni. Wszystko zależy od wielu czynników, łącznie z tym, jak dużo deszczu spadnie w najbliższych miesiącach - trzeba brać pod uwagę pływaczny na rzece aż do Hamburga. Jak już dotrzemy do mo-rza, maksymalnie trzy dni później powinniśmy być w Lubece. Tak więc według najgorszego scenariusza cała podróż może zająć dwa tygodnie.

- Czyli w sumie trzy miesiące - powiedział Mike. - W najlepszym ra-zie koniec grudnia.

- W najlepszym razie - zgodził się Simpson. - A skoro mówimy o pla-nach, nie zapominajmy, że grudzień to już zima, a na Bałtyku w zimie jest całkiem sporo lodu. Nie jestem pewny, jakiego oblodzenia możemy ocze-kiwać, jednak sądząc po zeszłej zimie, nie podejrzewam, żeby było łatwo.

Przerwał, a Mike skinął głową. Średnie temperatury w siedemnastym wieku były niższe niż w dwudziestym pierwszym - zeszłoroczna zima była zimniejsza, niż Amerykanie się spodziewali.

- Nie mamy powodu przypuszczać, że ta zima będzie choć odrobin? cieplejsza - kontynuował Simpson - a to właśnie lód jest przyczyną tego. że pływanie po Bałtyku w tym stuleciu tak bardzo zależy od pory roku-Jest najzupełniej możliwe, że zanim będziemy w stanie wyruszyć na m° rze, powstanie tam zbyt dużo lodu, żebyśmy mogli działać. Jeśli jedna my nie będziemy w stanie tego zrobić, to z tych samych względów n będzie również mogła żadna napędzana siłą żagli marynarka wojeml* Tak więc jeśli zima nas unieruchomi, to samo stanie się z drugą stf0|* A zanim rozpocznie się wiosenna odwilż, wiem, że będziemy gotowi ścigać.

_ Rozumiem. - Mike zmarszczył czoło. - Tak czy siak, do grudnia jgszcze za dużo czasu, żebyśmy mogli oczekiwać, że Gustaw bez proble-mu utrzyma Lubekę. Szczególnie jeśli Duńczycy i ta Liga Ostendzka będą ^jeć w ciągu najbliższych kilku miesięcy pełną kontrolę nad Zatoką Me-klemburską, a może nawet nad całym Bałtykiem - na pewno nad jego zachodnią częścią. A z tej wiadomości można wnioskować, że jedynym wystarczająco szybkim sposobem na sprowadzenie do Lubeki dodatko-wych oddziałów jest zabranie ich z Wismaru i Stralsund.

- Oczywiście, że tak będzie. - Simpson powiedział to tak, jakby był zdzi-wiony, że Mike potrzebuje komentować coś tak oczywistego. Musi skądś wytrzasnąć oddziały dla Lubeki, a gdzie indziej ma ich szukać? Admirał pokręcił głową. - Z najświeższych informacji, które mam na temat rozmiesz-zenia oddziałów Gustawa, wnioskuję, że powinien być w stanie pozierać wystarczająco dużo dodatkowych oddziałów, żeby utrzymać jeszcze przy-najmniej Wismar. Prawdopodobnie jednak będzie musiał spisać na straty Stralsund i

Rostock - przynajmniej na razie. Zawsze może je później odzyskać - zakładając, że przeżyjemy - natomiast jeśli zatrzyma Lubekę i Wismar, Duńczycy będą zmuszeni podzielić swoją uwagę. Jeśli Gustaw uważa, że jest w stanie to zrobić, na pewno warto spróbować. Ale jeśli zwiększy garnizon w Lubecie kosztem Wismaru, trzeba będzie coś zrobić, żeby powstrzymać wroga przed wejściem do środka i zajęciem miasta, zanim Gustawowi uda się tam posłać świeże oddziały. Właściwie to musi utrzymać Wismar. Jeśli rozpocznie się oblężenie Lubeki, a Rostock i Stralsund znajdą się w rękach wroga, Wismar będzie jedynym dobrym wyjściem na Bałtyk.

-Trzeba będzie coś zrobić. Na przykład co? - spytał Mike. Simpson rzucił okiem na Jesse'ego.

- Pułkownik Wood będzie musiał wypowiedzieć się w imieniu sił powietrznych. Natomiast jeśli chodzi o marynarkę wojenną, myślałem nad tym od momentu, kiedy przesłał mi pan wiadomość, że przybywa. I poprosiłem kapitana Cantrella, żeby przeanalizował nasze zasoby. Dowiedziałem się od niego, że w Grantville znajduje się kilka łodzi motorowych, w tym parę całkiem sporych, i przynajmniej jedna łódź motorowa * babiną. Kapitan poinformował mnie również, że przynajmniej dwie lub trzy osoby hobbystycznie nurkują z akwalungiem. Przypomniał mi również, że pan Ferrara i jego kółko rakietowe pracują dla nas nad wystrzeleniem z pokładu statku pociskiem woda-woda. Admirał długo i bystro patrzył na młodego kapitana, a następnie odwrócił się do Mike'a.

- Jeśli przeznaczmy te zapasy dla Wismaru i rozkażemy strzelać i cofnąć się, aby uniemożliwić Francuzom i Duńczykom spokojne grupowanie - powinniśmy być w stanie, przynajmniej do pewnego stopnia, zakłócić operacje morskie przeciwnika. Wystarczająco długo, żeby Gustaw mógł sprowadzić tam nowe oddziały. Zakładam też, że generał Jackson będzie w stanie przygotować dla nich przynajmniej kilka niespodzianek na lądzie.

Po raz pierwszy odezwał się Jesse.

- Możemy również w to włączyć nasze dwie „Belle”, jeśli da się stworzyć niedaleko Wismaru jakieś lądowisko. Niestety „X-2” nie będą gotowe na czas, bez względu na to, jak bardzo będziemy się starali wszystko przyspieszyć.

- To by oznaczało opóźnienie lotów treningowych dla nowej partii pilotów, ale... W zależności od okoliczności jeden lub dwóch z pierwszej grupy powinno polecieć z Hansem i ze mną. Nie ma sensu, żebym zostawał w Grantville, kiedy drugi działający samolot będzie na wybrzeżu Bałtyku. A prawda jest taka, że mojej pierwszej grupie pilotów -szczególnie najlepszym z nich, Hansowi i Woody'emu - przydałoby się trochę doświadczenia. Oczywiście zakładając, że w ogóle to doświadczenie przeżyją.

Twarz pułkownika sił powietrznych była ponura.

- Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że to będzie morderstwo - szczególnie o tej porze roku. Tak się składa, że sporo latałem w Niemczech i trochę w okolicach Bałtyku. Ale nie na tak prostych maszynach, jakie mamy. Będziemy w stanie latać w dni pomiędzy przejściami kolejnych frontów burzowych, których wraz ze zbliżaniem się zimy będzie coraz więcej. Trzeba również odliczyć niektóre spokojne dni ze względu na często panującą na wybrzeżu mgłę.

Spojrzał surowo na Simpsona, a ten po chwili odwdzieczył się tym samym. Mike zdał sobie sprawę, że jest świadkiem niewielkiej... nawet nie „rywalizacji”. Bardziej chodziło o wzajemne żądanie szacunku.

Jesse najwyraźniej był zadowolony z reakcji Simpsona. Kontynuowa •

51« nifi

- Wygląda to tak. Można wystartować przy czystym niebie i nie nocą powrócić dwie godziny później. Może się też zdarzyć, że całymi dniami będzie ładna pogoda. Logicznie oceniając, powiedziałbym, że przynajmniej przez jedną trzecią czasu będziemy mieć dobrą widoczność ziemską. W pozostałe dni startowanie na tych maszynach byłoby proszeniem

o nieszczęście. Nie dlatego, że nie można na nich latać, ale dlatego, że fliarny żadnych pomocy nawigacyjnych, które poprowadziłyby nas przy lądowaniu. Poza tym te maszyny nie są odpowiednio wyposażone do latania według wskazań przyrządów. Na wpół wykwalifikowany pilot - a ta-£Ch właśnie mamy - prawdopodobnie wpadłby w klasyczną spiralę śmierci po wejściu w gęste chmury. Starszy pilot, taki jak ja, mógłby zaryzykować, bo ma wycucie pogody, którego nie mają świeżo wyszkoleni. I dodatkowo doświadczony pilot nie będzie panikował, a to często doprowadza do śmierci przy złych warunkach pogodowych. Wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.

- Panie prezydencie, admirale Simpson - nie zamierzam oszukiwać żadnego z was. Latanie nad Bałtykiem jakoś mnie nie pociąga - szczególnie że zbliża się zima. Można stawiać na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu procent dni nadających się do latania we wrześniu. Może ze czterdzieści procent w październiku i listopadzie. Od grudnia do lutego nie ma co liczyć na więcej niż dwadzieścia pięć procent. Na wybrzeżu bardzo często dni będą mgliste. Simpson odchrząknął.

- Panie prezydencie, pamiętam taki rok, kiedy dwa samoloty F-111 po prostu zniknęły w trakcie ćwiczeń myśliwców NATO odbywających się nad Bałtykiem. Byłem w to zaangażowany od strony morskiej. Nigdy ich nie znaleziono. Jeden zniknął we wrześniu, drugi w marcu.

-Tak... - powiedział Jesse. - Prawdopodobnie wlecieli do morza na autopilocie. Z pogodą różnie bywa.

Twarz Mike'a stężała, gdy usłyszał o potencjalnym ryzyku. Oczywiście podejrzewał, że tak będzie. Mimo że słowa te padły najpierw z ust Simpsona, Mike też widział w tym logikę. Chodziło o to, że nadczasowców było niewielu, a dodatkowo już i tak znajdowali się w kilku odległych miejscach. Myśl o wysyłaniu swych ludzi do Wismaru i w sam środek okropieństw siedemnastowiecznego oblężenia nie była dla Mike'a jakoś szczególnie miła. Powiedział sobie jednak, że przemawia przez niego tchórzostwo. Strach Powieka, który jak już przyszło co do czego, nie chce zapłacić ceny, której wymagają jego przekonania. Albo nawet gorzej - strach człowieka, który chce, żeby ktoś inny za nie zapłacił.

. Przez chwilę patrzył na swoje dłonie, potem wziął głęboki oddech uniósł wzrok.

. ~* Jeśli Gustaw osobiście przejmie dowodzenie Lubeką, a my zobowiązujemy się do osłaniania Wismaru, dopóki nie będzie mógł go wzmocnić, wygląda na to, że wszystko, w co się zaangażujemy, będzie musiało odbywać się na wodzie. W związku z tym uważam, że to jeden z pańskie ludzi powinien dowodzić, a wojska lotnicze powinny stanowić wsparcie - Kątem oka zauważył, że Jesse przytakuje, i poczuł chwilową ulgę bez względu na to, co jeszcze ich czeka, nie będzie musiał bawić się w sędzię w mało znaczących waśniach między dwiema służbami. - Kogo więc pan rekomenduje, admirale?

Simpson zacisnął szczęki i odwrócił się, aby spojrzeć na widoczną za oknem stocznia. Wyglądało na to, że on również chętnie zrzuciłby tę decyzję na barki kogoś innego. Parę chwil patrzył przez okno, następnie odwrócił się do Mike'a.

- Kapitan Wild już jest w Lubece w celu założenia stacji komunikacyjnej przy tamtejszym szwedzkim obozie. Jak się uda, ma zrobić to samo w Wismarze. Jest z nim kilku pomniejszych oficerów, ale jego główny obowiązek to koordynowanie komunikacji, która będzie równie ważna, jak wszystko inne. Niezawodna komunikacja z każdym, kogo wyślemy do Wismaru, jest konieczna, więc nie chcę go od tego odciągać. A poza tym, szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby był odpowiednią osobą do misji wojskowej. - Jego nozdrza rozszerzyły się, odwrócił głowę i wreszcie spojrzał bezpośrednio na Eddiego. - Myślę, że kapitan Cantrell jest najlepszym możliwym kandydatem.

- Eddie? Znaczy się... - Mike poprawił się natychmiast, gdy zauważył rumieniec na twarzy Eddiego - kapitan Cantrell?

- Jest tu, w Magdeburgu, bliżej Wismaru niż ktokolwiek z Grantville, więc można go tam dużo szybciej przetransportować. A poza tym będziemy musieli już teraz zadbać o odpowiednią infrastrukturę w Wismarze, zanim miasto zostanie zaatakowane.

- O jakiej infrastrukturze pan myśli? - spytał ostrożnie Mike.

- Pułkownik Wood będzie musiał przeznaczyć część personelu sił powietrznych do swoich celów. Oczywiście marynarka wojenna będzie z nimi w peta współpracowała. Jeśli chodzi o samą marynarkę... - Przerwał na chwilę i zamyślił się. - Będziemy potrzebowali w mieście przynajmniej zaplecze do tankowania. Jesteśmy w stanie zmieścić dodatkową amunicję na pokładzie pancerników, a prawdopodobnie nawet holować za sobą barki z zapasami. Jednak nie zamierzam wysłać połowy swoich pancernych sił bojowych do punktu dostawczego, w którym zapasy mogą, ale wcale nie muszą się znajdować. Zanim dotrzemy do Lubeki albo Wismaru, chcę w jednym z tych miejsc mieć personel techniczny i części zamienne, a paliwo i tu, i tam większość trzeba będzie przetransportować stąd, z Magdeburga, w dół Łaby przez któryś z kanałów. Na szczęście ostrzeżenie, które otrzymaliśmy od pańskiej żony, daje nam kilka dni zapasu. Wróg nie będzie się tego spodziewał. Jeśli użyjemy dwóch holowników, możemy dostarczyć cokolwiek z Magdeburga do Lauenburga, a później przez Kanał Łaba-Lubeka do Lubeki w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dotarcie do Wismaru zajmie trochę dłużej, bo Szwedzi ciągle jeszcze nie skończyli przebudowy odcinka od jeziora Schwerin do wybrzeża. To wszystko oznacza, że będziemy musieli szybko działać, żeby przetransportować w odpowiednie miejsca to, czego potrzebujemy. A kapitan Cantrell jest bardzo dobrze zorientowany, co tutaj posiadamy i jak się to wszystko całościowo przedstawia.

- Poza tym to właśnie on dowiadywał się na moją prośbę, jakie mamy zapasy. A to oznacza, że jest również dokładnie poinformowany o tym, co mamy w Grantville, i prawdopodobnie będzie umiał to najlepiej wykorzystać.

Mike przez chwilę przyglądał się admirałowi, a w jego umyśle pojawiły się bezlitosne wspomnienia. Wspomnienia kłótni z Melissą Mailey i Edem Piazzą pierwszego wieczora, kiedy odparł argument Simpsona, że trzeba zamienić Grantville w jakąś Festung Amerika i odmówić udzielenia azylu głodującym, przerażonym ludziom uciekającym przed szaleństwem wojny, żeby nie dać się samemu w to wciągnąć. I wtedy, i teraz nie zgadzał się z logiką Simpsona. Tego samego wieczora Melissa nazwała go „podżegaczem wojennym” za to, że proponował wcielić najstarszych uczniów do służby wojskowej w celu obrony Grantville.

„Teraz więc moja kolej. Moja kolej, żeby powiedzieć: »Przecież to jeszcze dzieciak!«. I to prawda... według norm dwudziestego pierwszego wieku. Mimo to nawet w naszym świecie mnóstwo nastolatków zginęło w czasie wojen. Eddie, Lany i Hans nie są z pewnością »dzieciakami«. Simpson ma rację tu i teraz - tak samo jak miał ją wtedy”.

- W porządku. - Odwrócił się od Simpsona i spojrzał na Eddiego. - Szaleś, co powiedział admirał Simpson, prawda? Rozumiesz, jaka to ważna sprawa?

- Oczywiście, że tak - odpowiedział Eddie. - I nie martw się, Mike. - panie prezydencie.

Razem z Larrym skopimy im tyłki! Ataki z motorówek i ataki rakietowe - może nawet podrzucimy im kilka min magnetycznych. - Uśmiechnął się szeroko z entuzjazmem typowym dla bardzo młodych ludzi. - Może nie damy rady zupełnie sami nie dopuścić do ob-
enia, ale na pewno nie zrobią zbyt wiele.

- Zrobi pan, co będzie w pana mocy, kapitanie - powiedział chłodno Simpson. Eddie spojrzał na niego, najwyraźniej zaskoczony jego tonem a admirał pokazał w uśmiechu zęby. - Wiem, że uważa mnie pan za wje kowego i zniechęconego wojskowego biurokrata - rzekł. - Może pana zaskoczę, jak powiem, że nie zawsze tak było. Spędziłem trochę czasu na kanonierkach na innej rzece. Mówię o tej samej, przez którą brnął generał Jackson. Widziałem śmierć wielu ludzi - najczęściej dlatego, że uważają technologię i „zaawansowaną

broń" za gwarancję niezniszczalności. A nie było. W pana przypadku też tak nie będzie. Oczekuję, że będzie się pan kierował zdrowym rozsądkiem. Że będzie pan myślał, do cholery!

Mike usłyszał, jak Jesse chrząka z aprobatą. Oczy Eddiego rozszerzyły się na chwilę, a potem energicznie pokiwał głową. Widać było, że zastanawia się, czy nie stanąć na baczność, ale nie zrobił tego. Mike pomyślał, że pewnie jest zbyt oszołomiony, żeby zrobić coś wymagającego aż takiego wysiłku. Prezydent sam był nieco oszołomiony. Przypuszczał, że kwatery główna Simpsona będzie przypominała słynne kwatery MacArthura. a sam Simpson będzie skłonny do podobnego pozerstwa.

Nie było jednak na to czasu. Przyłączył się do admirała i również spiorunował wzrokiem młodego człowieka.

- Całkowicie się zgadzam - powiedział z mocą - i oczekuję, że zrobi pan dokładnie to, co przed momentem przykazał panu admirał Simpson. Czy to jasne?

-Tak jest, panie prezydencie! - powiedział szybko Eddie. Tym razem stanął na baczność.

- Dobrze! - warknął Mike. Odwrócił się i przyjrzał Johnowi Chandle-rowskiemu Simpsonowi, który ciągle kierował w stronę Eddiego swe najlepsze admirałskie spojrzenie. I po raz pierwszy, od kiedy poznał tego człowieka, zdał sobie sprawę, że czuje wobec niego coś zaskakująco przypominającego szacunek - a nie że tylko docenia jego talent.

- Dobrze - powtórzył cicho.

* * *

Tego wieczora Mike i Jesse udali się do swych pokoi w oficjalnej ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Magdeburgu - nowym budynku nie daleko stoczni. Mike rzucił swą niewielką torbę podróżną na łóżko i zła pał się na tym, że mimowolnie się uśmiecha. Sama nazwa budynku ambasada - była dosyć zabawna. Jeśli spojrzeć na zawilść struktury politycznej Konfederacji Księstw Europejskich, która przypominała ja 1 mityczne stworzenie powstałe z połączenia różnych zwierząt - mantyk jfinksa czy pegaza - Stany Zjednoczone były jednocześnie i częścią Kon-federacji, i niezależnym księstwem. jednakże cała sytuacja nie była zbyt zabawna. Zaletą takiego układu było to, że każde księstwo - włączając w to jego własne Stany Zjednoczone - cieszyło się sporą dozą autonomii, jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne. Wadą - to, że kiedy pojawiało się prawdziwe zagrożenie z zewnątrz, powstała w ten sposób bestia miała tak niewielkie szanse na skuteczną walkę, jak...

Mike uśmiechnął się szerzej.

Do pokoju wszedł Jesse.

- Co cię tak śmieszy?

- Oto człowiek, którego chciałem zobaczyć. Mam do ciebie pytanie techniczne, wspaniałe, doświadczony pilocie. Co według ciebie naprawdę by się stało, gdyby pegaz rozpedził się i skoczył z klifu?

Jesse parsknął.

-Żartujesz sobie? Konina na obiad - ot co. Trzeba by uważać, żeby sobie nie połamać zębów na kamykach i potrzaskanych kościach. -Hm... Tak właśnie sądziłem.

- Masz ochotę coś zjeść? Strażnik mi powiedział, że na tej ulicy dopiero co otwarto bardzo fajną nową restaurację. Hm... oczywiście w luźnym znaczeniu słowa „ulica”.

Mike westchnął z zalem.

-Nie, nie, idź sam, Jesse. Ja tutaj skombinuję, co się da. Atak przy okazji - podejrzewam, że zostaniemy tu przynajmniej jeszcze z dzień. Jesse uniósł brew. Na twarz Mike'a powrócił zagadkowy uśmiech.

- Będę się spotykał z ludźmi, którzy przybyli na posiedzenie Izby Książek ale większość czasu spędzę chyba w sali radiowej.

~ Po co?

-Zeby nie dać się zrobić w konia - zanim wszyscy skończymy jako Pokiereszowana konina.

Książę orański wyglądał staro jak na człowieka, który jeszcze nie skończył pięćdziesiątki. Kiedy wskazał Rebecę krzesło w swych prywatnych komnatach, uderzyła ją wymizerowana twarz, ostro kontrastująca z jego normalnym wyglądem. Fryderyk Henryk miał prawie archetypową „holenderską” twarz: raczej przystojną, mimo że zaokrągloną, brązowe włosy zrównoważone rudawą bródką i ogniste wąsy. Jedyne jego oczy wyglądały egzotycznie - zamiast typowo niebieskich, zielonych lub brązowych, stanowiły ryzykowną mieszankę ciemnoszarego i piwnego.

Rebeka podejrzewała, że książę jest zazwyczaj rumiany i radosny, ale teraz było inaczej. Oczywiście nie było to dla niej zaskoczeniem. Podwójne zwycięstwo Hiszpanów - najpierw w bitwie morskiej pod Dunkierką, a potem błyskawiczne przejście Haarlemu - rzuciło jego kraj na kolana w mniej niż dwa tygodnie. Wszędzie szalała panika, a do Amsterdamu wciąż napływali nowi uchodźcy. Według raportów graniczne fortece i miasta jedni po drugim poddawały się nadchodzącym oddziałom hiszpańskim - dotyczyło to również miast antyremonstranckich, kiedy tylko upewniły się, że Hiszpanie zostawią w spokoju ich kościoły i nie będą prześladować mieszkańców.

Tak więc Zjednoczone Prowincje rozpadały się. Sama Holandia została przecięta na pół, gdy Hiszpanie zajęli Haarlem. Następnie kardynał-infant - czy to dzięki własnej przenikliwości, czy też dlatego, że słuch Borgia nie popełnił błędów Hiszpanów, którzy w 1572 roku zajęli Haarlem po długim oblężeniu. Wtedy hiszpański dowódca Don Fadrique de Toledo syn księcia Alby duchem i ciałem - zmarnował siły na atakowanie północnej Holandii. Kardynał-infant postanowił zająć się północną Holandią przy innej okazji. Zostawiwszy w Haarlemie wystarczająco wielu żołnierzy, żeby utrzymać miasto, ruszył na południe na Lejdę - wszyscy, z którymi Rebeka rozmawiała, uważali, że dla miasta nie ma ratunku.

Wyglądało na to, że większość Zelandii i Utrechtu już upadła, to samo dotyczyło południowej połowy Geldrii. A w północnych prowincjach: Fryzji, Groningen i Drenthe, które ciągle były w większości katolickie i od dawna chciały się uwolnić od kontroli antyremonstrantów, wybuchł bunt. Zjednoczone Prowincje, które narodziły się sześćdziesiąt lat wcześniej jako wyraz sprzeciwu wobec Hiszpanii, teraz znalazły się w sytuacji, kiedy trzy prowincje zbuntowały się, popierając rządy Hiszpanii.

W związku z tym książę Oranii pozostał faktycznym władcą półtorej prowincji tego, co zostało z Geldrii, Overijssel oraz miasta Amsterdam. Jednak Amsterdam - co do tego nikt nie miał najmniejszych wątpliwości - wkrótce miał zostać obleżony.

Fryderyk Henryk usiadł na krześle niedaleko Rebeki i uśmiechnął się do niej blado.

- A więc, Madame Stearns, w końcu się spotykamy. - Mówił płynnym, nienagannym francuskim. - Nie potrafię wyrazić, ile razy przeklinałem sam siebie w myślach za to, że słuchałem doradców, którzy sugerowali, bym się trzymał od ciebie z daleka, pani.

Rebeka powiedziała sobie stanowczo, że to nie czas na pełne satysfakcji: <A nie mówiłam?".

- Bardzo możliwe, że i tak nie zrobiłoby to różnicy, książę. Zanim udałoby się zbadać zasadność moich ostrzeżeń - przyznaję, że opartych na Mglistych dowodach - plan Richelieu już byłby w trakcie realizacji. Czy dałbyś radę, książę, wycofać na czas flotę Trompa?

Fryderyk Henryk wzruszył ramionami.

- Bardzo możliwe, że nie. Jednak mimo to lepiej bym się przygotował. ^° nie była jedynie morska porażka. - Przez chwilę patrzył gniewnie w Przestrzeń. - Cóż, na Boga, ci idioci w Haarlemie sobie myśleli? Flo-Ma holenderskich statków - i to poważnie sponiewierana - przybywa do analu prowadzącego do Harlemermeer, a oni nic nie robią, tylko się j=aPią? Imbecyle! Dlaczego holenderskie statki uszkodzone w bitwie mia-yby nie zacamować wcześniej w Amsterdamie?

że

Rebeka zawahała się. Oczywiście nie chciała zwiększać przygnębieni księcia. Z drugiej jednak strony pomyślała, że Mike i Gustaw doceni)^ informacje odrobinę bardziej szczegółowe niż te, których do tej pory mógł^ im dostarczyć, a które oparte były na fragmentarycznych i zabarwiony^ plotkami raportach.

- Książę, co dokładnie stało się w Haarlemie? - spytała. - Wiem.

Hiszpanie zajęli miasto, ale nie bardzo się orientuję, jak im się to udało Fryderyk Henryk wykrzywił usta.

- Udało im się dzięki połączeniu porywczosci ich młodego księcia -nazywają go „kardynałem-infantem" - z holenderską głupotą. Admirał Oquendo, jak pewnie pani wie, podobno został ranny w bitwie morskiej. Niestety nie śmiertelnie, gdyż pozostał dowódcą głównej części hiszpańskiej floty. Natomiast hiszpański książę Don Fernando objął dowodzenie flotyllą kilku przejętych holenderskich statków. Załadował je hiszpańskimi żołnierzami i popłynął do Zuiderzee, minął Amsterdam - w biały dzień, nie inaczej! - i przyplął do Haarlemu od wschodu. W tym czasie Oquendo rozkazał wysadzić większość hiszpańskich oddziałów na wybrzeżach Morza Północnego.

Książę wykonał dłonią ruch, jakby coś ścisnął.

- Innymi słowy, wzięli ich w kleszcze. Otoczyli miasto jednocześnie ze wschodu i zachodu, unikając bardzo mocnych fortyfikacji na południu - Zaniósł się śmiechem i jednocześnie kaszlem. - Olśniewający i pełen dramatyzmu manewr uwielbiany przez księżętą i gawędziarzy! I który w prawdziwym świecie się nie udaje.

Potem dodał ponuro:

- Ale tym razem się udało. Z tego, co zdołałem ustalić, ci idioci z Haarlemu stwierdzili, że flotylla Don Fernanda to posiłki. Tak więc zamiast popędzić oddziały z miasta na spotkanie wychodzącym na ląd żołnierzom hiszpańskim - których z łatwością by wtedy zmiażdżyli - wysłali ich jako wsparcie dla wojsk starających się odeprzeć główne uderzenie hiszpańskie w zachodniej części miasta. W ten sposób wschodnia droga do Haarlemu została właściwie bez ochrony. Ksi3_ze-poprowadził swych ludzi na brzeg i wziął miasto szturmem. To z kole' wywołało panikę wśród holenderskich oddziałów w fortach nad M° rzem Północnym. W krótkim czasie wszędzie zapanował chaos, ° działy Oquendo ruszyły do przodu, a nasi żołnierze uciekli albo SA poddali.

Wyrzucił ręce w górę.

stf

Łcałe życie starałem się opanować prawdziwą sztukę wojenną! Ate-02 młody hiszpański książę drwi sobie z tego, robiąc coś, co nie powinno jarzyć nigdzie poza opowieściami trubadurów!

Rebeka przełknęła ślinę. „Czy... czy później doszło do masakry?

pryderyk Henryk wziął głęboki oddech, a następnie gwałtownie pokręcił głową.

-Nie było rzezi. Ani tam, ani - na tyle, na ile mogłem stwierdzić -nigdzie, gdzie Hiszpanie nas najechali. Prawdę mówiąc...

Rzucił jej uśmiech, który po raz pierwszy nie był sardoniczny.

-Zajęli też Rotterdam i Hagę. Jakieś trzy dni temu.

Rebeka poczuła rosnące napięcie. Bezwzględnie największa społeczność żydowska w Zjednoczonych Prowincjach żyła w Amsterdamie. Ale od dziesięcioleci była też niewielka żydowska populacja w Hadze. I mimo że Rebeka nie uważała się za „Żydówkę” w najpowszechniejszym we współczesnej jej Europie religijnym znaczeniu tego słowa, to jednak coraz popularniejsze stawało się znaczenie etniczne. Proces ten został zapoczątkowany przez hiszpańską inkwizycję, która miała obsesję na punkcie „ukrytych Żydów” i zachowania „czystej krwi” w chrześcijańskiej Kastylii - limpieza, jak to nazywali Hiszpanie.

- Wygląda na to, że jak tylko Hiszpanie zajęli miasto - kontynuował książę - kilku inkwizytorów podjęło się zadania zebrania wszystkich Żydów. Według raportów, które otrzymałem, kardynał-infant na tychmiast rozkazał im uwolnić więźniów. Oraz... - Jego uśmiech się poszerzył. - Kiedy inkwizytorzy sprzeciwili się, niezwłocznie kazał ich stracić. Rebeka otworzyła szeroko oczy. Hiszpańska inkwizycja, w przeciwieństwie do inkwizycji papieskiej, oficjalnie podlegała władcy Hiszpanii. Jednak w ciągu półtora wieku, które minęło od czasu jej utworzenia, inkwizycja wypracowała sobie sporą dozę autonomii. Wyglądało na to, że teraz hiszpański książę zdecydował się im przypomnieć - w najsurowszy sposób - że jednak podlegają członkom rodziny królewskiej. Rebeka wątpiła, żeby kardynał-infant był choć odrobinę mniejszym antysemitą niż jakkolwiek inny hiszpański hidalgo. Jednak uprzedzenia to jedno, a kwestionowanie jego władzy to zupełnie inna sprawa. Może nawet jest starczająco sprytny, żeby zdawać sobie sprawę, że kiedy protestanci zobaczą hiszpańskiego księcia chroniącego Żydów, z większą łatwością bierzają w jego obietnice tolerancji.

Uśmiech Fryderyka Henryka znikł, a na jego miejsce pojawiło się mizerowane spojrzenie, które Rebeka zauważyła po wejściu do komnat

- To oczywiście dobrze świadczy o ludzkich uczuciach księcia. przynajmniej o jego sprycie. Nie będę jednak kłamał, Rebeko Abrabane!

- prawie chciałbym, żeby był kolejnym księciem Albą.

Uniósł gwałtownie rękę.

- Mówię „prawie”... Ale teraz sam muszę myśleć jak książę. I jeśli mam zebrać to, co zostało z republiki holenderskiej, moje zadanie byłoby dużo trudniejsze, gdybym stawiał czoła kolejnemu księciu Albie.

Rebeka rozumiała, do czego zmierza, tak samo jak rozumiała subtelność użycia przez księcia jej panińskiego nazwiska. Może i nie uważała się za „Żydówkę”, ale to nie oznaczało, że inni również mieli tak uważać

- szczególnie jeśli chodzi o jej wrogów. Amsterdam - a zatem i trzy tysiące mieszkających w nim Żydów - już niedługo miał być obleżony. Gdyby obleżeniem dowodził książę Alba... każdy z tych Żydów mógłby oczekiwać tortur i śmierci, gdyby Hiszpanie przejęli miasto. Innymi słowami - byłby to jak najbardziej wystarczający bodziec, żeby rzucić się w wir walki.

Nie dotyczyło to jedynie Żydów, ale każdego „heretyka”. Kiedy Filip II wyznaczył księciu Albie zadanie stłumienia holenderskiej rewolty, ten zaabrał się do tego najbardziej krwawo, jak się dało. Nawet Mongołowie oszczędzali ludzi, którzy wystarczająco szybko się poddawali...

Ale nie Don Fernandez Alvarez de Toledo, trzeci książę Alba. Od momentu, kiedy przybył do Niderlandów w 1567 roku, książę zachowywał się jak bestia. Był starym człowiekiem, który przez sześćdziesiąt lat rozwijał w sobie dewocję, kastylijską surowość i arogancję hidalgo. Podagra oraz inne choroby, które nękały go na starość, sprawiały, że stał się jeszcze bardziej bezwzględny niż kiedykolwiek wcześniej.

Jego brutalność prawie natychmiast wywołała sprzeciw miejscowych hiszpańskich władz. Arcyksiężna Margaret, hiszpańska namiestniczka Niderlandów, ustąpiła ze stanowiska, oburzona tym, że Alba stracił dwóch czołowych magnatów, którzy pozostali lojalni wobec Kościoła i sami pomagali Margaret w próbach pokojowego porozumienia.

Jednak Alba nie chciał pokojowego porozumienia. On zamierzał po prostu sterroryzować Holandię i zmusić ją do posłuszeństwa wobec korony hiszpańskiej - do tego zapamiętałe dążył. Pod jego kierownictwem ustanowiono Conseil des Troubles ze stu siedemdziesięcioma oskarżycielami; rada ta wkrótce rozpoczęła działalność, dzięki której zyskała zjawę. Prowadzono sprawy tysięcy ludzi i skazywano ich za zdradę i herezję. „Ponaczących 13-0 z nich stracono od razu.

W południowych prowincjach Niderlandów brutalność Alby pomogła zdławić rewoltę. Natomiast na północy, gdzie protestantyzm był głębiej ukorzeniony, odniosła wręcz przeciwny skutek. W 1568 roku Holendrzy zebrali się pod dowództwem Wilhelma I Milczącego - ojca mężczyzny, który siedział teraz naprzeciwko Rebeki - i rozpoczęła się długa wojna.

Była to wojna, która w początkowych latach wyróżniała się czystym bestialstwem. Alba ustanowił schemat działania i nie odchodził od niego. Kiedy Mechelen otworzyło bramy, widząc zbliżającą się armię hiszpańską, Alba zezwolił żołnierzom splądrować miasto i zmasakrować jego mieszkańców. Rzeź nastąpiła również w Zutphen. A w Naarden Alba przypieczętował swoją reputację. Rozkazał wyrzucić w pień całą populację miasta - mężczyzn, kobiety i dzieci.

W świecie, w którym powstały książki przeczytane przez Rebeke, moralna ocena cesarstwa hiszpańskiego była jednoznaczna. Inkwizycja, konkwistadorzy i Alba doprowadzili do tego, że pamięć o Hiszpanii w czasach jej świetności - a przynajmniej ta spisana w języku angielskim - była pamięcią o okrucieństwie, brutalności i nietolerancji.

Prawdę mówiąc, nie było to w pełni uzasadnione. Hiszpania wydała także na świat księcia Parme i Spinole, tak jak i wiele bystrych, tolerancyjnych arcyksiężnych, które zostały regentkami w hiszpańskich Niderlandach - począwszy od Margaret, a skończywszy na Izabeli, która teraz podobno leżała na łożu śmierci. W narodzie, z którego wywodził się Torquemada i Pizarro, wyrósł również biskup de las Casas i Miguel Cervantes. Jako sefardyjska Żydówka Rebeka doskonale rozumiała te sprzeczności. Jej własny lud został wypędzony z Półwyspu Iberyjskiego przez kastylijski mrok, a mimo to zachował słoneczną część kultury tej ziemi. Aż po dziś dzień, gdy Rebeka rozmawiała z ojcem na osobności, zwracali się do siebie po hiszpańsku. Czemuż by nie? To również był ich język.

Jednak to nie miało znaczenia. Rany zadane przez Albę były za głębokie.

A w efekcie nie odniosły zamierzonego skutku. Polityka Alby miała godzić go rykoszetem - i to mocno. Mieszkańcy północnych prowincji

Czy tego chcieli, czy też nie - musieli stawiać gwałtowny opór. W ten sposób okrutny i bezwzględny starzec wywołał rebelię, która nie tylko ją pokonała, ale trwała już tak długo, jak długo on sam żył. Już sześćdziesiąt lat.

Rebeka i księżę przyglądali się sobie nawzajem. Tak, sześćdziesiąt - do teraz. Ale co będzie dalej?

- Mimo to cieszę się z tego - powiedziała cicho. - Świat nie potrzebuje kolejnego Alby, księżę. Bez względu na to, jak bardzo to utrudni \M zadanie.

Fryderyk Henryk wyprostował plecy.

- Summa summarum ja też się z tego cieszę. Nie w każdej sytuacji czuję się księciem. Choć może lepiej byłoby powiedzieć, że w pewnych sprawach muszę się zastanawiać, co właściwie oznacza słowo „księżę”.

Odchylił głowę na bok, patrząc przebiegle na Rebekę.

- Ale przejdźmy teraz do pilniejszych spraw. Czego pani ode mnie chce Madame Stearns? I co pani proponuje?

Odpowiedź Rebeki padła od razu.

- Proponuję natychmiastowy sojusz ze Stanami Zjednoczonymi. I choć nie mogę mówić w imieniu króla Szwecji, jestem pewna, że również z nim.

Księżę przez chwilę nic nie mówił. Następnie wyprostował głowę i zamknął usta.

- Czuję, że ogarnia mnie - co jest zaskakujące jak na księcia - prędko chęć powiedzenia szczerzej prawdy. Madame Stearns, z radością przyjmę twą propozycję. Jednak muszę z góry uprzedzić, że prawie na pewno was zdradzę.

Rebeka skinęła głową.

- Oczywiście. Będziesz, księżę, szukać porozumienia, a nie zwycięstwa. Moim zdaniem właśnie to powinieneś zrobić.

Fryderyk Henryk syknął i otworzył ze zdumienia oczy.

- Dobry Boże, czy aż tak łatwo mnie rozgryźć? - Wydawał się szczerze rozżalony. Rebecę ledwo udało się powstrzymać od nerwowego chichotu.

- Hm... Sądę, że większości ludzi - nie.

- Słyszałem, że jesteś sprytna, pani - mruknął księżę. - Uważam jednak, że ta opinia nie oddaje ci sprawiedliwości.

- Hm... Sądę, że tak naprawdę dlatego, że ludzie nie doceniają mojego męża. Widzą mnie i moją inteligencję Żydówki-kosmopolitki, SP*o" dzionej i wychowanej przez filozofa Baltazara Abrabanela. I przez to me zauważają wpływu mężczyzny, za którego wyszłam.

by*

stto

Księżę poprosił ją gestem dłoni, aby kontynuowała.

- O ile arystokracja Europy wie coś o moim mężu - a powinnam ci powiedzieć „o ile raczy się czegoś dowiedzieć” - to jedynie tyle, że je jpwiek. który kiedyś podobno był przywódcą niesfornych robotników. * Rebeka ponownie zdławiła śmiech.

Prawdę mówiąc, górnicy Mike'a

gezywiście byli niesforną bandą. - Ale to tylko część prawdy, księżę, amerykańskie związki zawodowe to nie był tłum uczniów, którzy zebrali ówW pośpiechu, wyszli na ulice i wymachiwali pochodniami. To był zor-2afjZowany ruch - i to taki, który zanim nawet się narodził, miał za sobą ponad stulecie historii. W związku z tym mój mąż umie negocjować ; walczyć, wycofywać się i ruszać naprzód, ustępować i żądać. A co najważniejsze, rozumie, kiedy warto zawrzeć ugodę, a kiedy nie. Albo, jak on to ujmuje, kiedy ugoda pozwala na późniejsze zwycięstwo, bez względu na to, ile w danym momencie kosztuje.

Zamilkła. Fryderyk Henryk odwrócił wzrok i zaczął przyglądać się lednemu z obrazów na ścianie swej komnaty. Rebeka pomyślała, że to Brueghel młodszy, choć nie była pewna - obraz przedstawiał spokojną scenę z codziennego życia flamandzkiego miasta.

- Tak powiedział cicho księżę. - Ja też dostałem w swoje ręce kilka tych waszych słynnych już księzek historycznych. A raczej ich kopii. -Skierował wzrok z powrotem na nią.

- Zastanawiam się, pani, czy kiedy je czytałaś, pomyślałaś może, jak wygląda przyszła historia... z perspektywy Holendra?

Rebeka była odrobinę zaskoczona jego pytaniem. -Hm... Nie. książę. Prawdę mówiąc, nie. Ciężko skinął głową.

- Oczywiście, że nie. A to dlatego, że Holandia to mały kraj w świecie, który stworzył te książki. Kraj, który cieszył się - cieszyłby się - słonecznym stuleciem. Tak się składa, że miał to być wiek siedemnasty. Zwali go "ZłotąEram". Potem byłby to... po prostu niewielki kraj. Jak wszyscy sąsiedzi - a raczej krewni - na południe stąd. Dwa niewielkie kraje: Holandia i to, co zostałyby nazwane Belgią - otoczone przez potężne mocarstwa. Oczywiście te niewielkie kraje byłyby zamożne. - Zacisnął usta. - I z tego co mogę stwierdzić, skazane na najazdy i grabieże średnio co dwa-dzieścia pięć lat.

W tym momencie jego spojrzenie wyrażało już targające nim emocje.

~" Niezbyt mnie pociąga taka perspektywa. I zastanawiam się, jak wyświadczyłby świat - z punktu widzenia Holendra - gdyby bestialstwo Alby niePodzieliło na zawsze hiszpańskich Niderlandów na dwie połowy. Gdyby chociaż tego jedno państwo miało możliwość powoli dojrzeć. Oczywiście ciągle byłyby to państwo raczej niewielkie. Ale już nie tak małe. I nawet podzielone tak jak teraz - mające ludność i bogactwo, które " wzbudzają zazdrość w Europie.

- Hiszpanie... Machnął ręką.

- Nie bądź niemądra, Rebeko! - rzucił. Następnie, kiedy zdał sobie sprawę, że nieświadome użycie jej imienia wprowadziło w ich relacje odrobinę autentycznego ciepła, książę rzucił jej przyjacielski uśmiech. - Wiesz równie dobrze jak ja, że - praktycznie w każdym świecie, który jestem w stanie sobie wyobrazić - to ogromne, skrzypiące cesarstwo stworzone przez Karola V musi się prędzej czy później rozpaść. Filip II mógł jedynie starać się utrzymać jego większą część - a był dosyć utalentowanym królem. Teraz..

- Pokręcił głową. - Hiszpania zagarnęła zbyt dużo - na pewno więcej, niż jest w stanie utrzymać. Taka była prawda, nawet zanim twoi Amerykanie wetknęli bardzo duży kij w szprychy koła historii.

Rebeka oparła się wygodnie na krześle, a jej myśli ruszyły śladem myśli księcia.

„Boże drogi, on ma rację. Mike i ja nigdy nie braliśmy pod uwagę tej możliwości...”.

- Ciekawa uwaga, Fryderyku Henryku. - Nieoficjalność była zamierzona. „Równie dobrze mogę sprawdzić, na ile chce być przyjacielski”. -Bardzo ciekawa uwaga. To naturalna kolej rzeczy, że hiszpański wicekról mieszkający w Brukseli - szczególnie taki, który nadzoruje całą populację i bogactwo Niderlandów - wkrótce odkryje, że jego interesy i interesy Kastylii znacznie się różnią.

- Wiesz, pani - wymamrotał książę - to nie przypadek, że prawie każda arcyksiężna regentka popadała w konflikt z królem Hiszpanii. To były jednak dystygowane damy, i to często starsze. Tak więc teraz zastanawiam się, jak nietaktowny młody książę - szczególnie taki, który jest okryty chwałą po jednym z największych hiszpańskich wyczynów wojennych od prawie wieku - zareaguje na upomnienia swego starszego brata. Starszy brat siedzi w Madrycie, w tej kupie kamieni, którą nazywają „Palacio Real”, otoczony Kastylią i ograniczonymi prowincjonalnymi hidalgami. Młodszy brat -w Brukseli albo nawet w Amsterdamie. - Jego wzrok powrócił do obrazu

- Otoczony czymś, co jest dzisiaj - przyznając, przechwalam się - prawdopodobnie najwspanialszym zgromadzeniem artystów...

-To żadne przechwałki! - zaśmiała się Rebeka. - Rubens, Van Dyck nie wspominając już o Rembrandcie, który ma teraz... Ile? Na pewno więcej niż trzydzieści lat.

„ Sądzę* że dwadzieścia siedem. I zakładając, że wszystko pójdzie do-^e. całe życie przed nim. ponownie wymienili ciepłe uśmiechy.

_ Tak, zgadza się - przyznała Rebeka. - To rzeczywiście ciekawa myśl. Otoczony artystami, filozofami, uczonymi, wielonarodowościowymi kupcami i finansistami, nie wspominając już o tym, że całe społeczeństwo jest najlepiej wykształcone w Europie, co trudno byłoby powiedzieć o Hiszpanii- Rzemieślnicy, rękodzielnicy, wytwórcy, żeglarze. Jeśli już o tym mowa, to macie tu również najbardziej postępowych na świecie rolników.

Książę prawie się uśmiechnął, ale po chwili zacząłki uśmiechu gwałtownie ustąpiły miejsca ponurości.

-To wszystko prawda, Rebeko. Ale to jedynie bezcelowe spekulacje, które trzeba by wprowadzić w życie. - Wziął głęboki oddech. - A do tego potrzebowałbym i czasu, i przestrzeni do życia. Po Dunkierce i Haarlemie książę Hiszpanii będzie zbyt zadufany, żeby kogokolwiek słuchać. Ktoś będzie musiał go trochę wykrwawić. Prawdę mówiąc, bardziej niż trochę. A potem... kto wie?

Rzucił jej spokojne spojrzenie.

-Tak właśnie przedstawiają się sprawy. Ciągłe jesteście gotowi zawrzeć ze mną przymierze? Z góry wiedząc, że pewnego dnia najprawdopodobniej je zerwę? I ugnę kolana przed waszym wrogiem, księciem Hiszpanii? - I dodał cicho: - Nie będę miał wyboru, pani. Katastrofa jest za duża. Teraz mogę jedynie starać się wymusić najlepszą możliwą ugodę, która będzie ugodą na warunkach Hiszpanów.

-Tak, jesteśmy gotowi. - Słowa te były natychmiastowe i stanowcze. Rebeka przez chwilę się zawahała. Następnie zdecydowała, że warto zaryzykować i szczerze rozmawiać z jedynym władcą europejskim, którego do tej pory spotkała - nawet włączając w to Gustawa Adolfa - hory autentycznie wydawał się być w stanie pomyśleć o rzeczach nie pomyślenia.

- Mój mąż nazywa to „zyskiwaniem na czasie”, Fryderyku Henryku, zdobądź, co możesz, oddaj, co musisz, pójdź na kompromis, gdzie się da, nie idź tam, gdzie się nie da. A co najważniejsze - nigdy nie trać z oczu teśo, o co tak naprawdę walczysz. - Jej głos spoważniał. - A nie jest to Przydawanie wielkości książętom, bez względu na to, czy są z urodzenia arystokratami. czy też nie. To nawet nie jest „zwycięstwo” - chyba że w takim sensie, w jakim położna może mówić o zwycięstwie, gdy uda jej MS Sprowadzić na świat nowe życie. Wskazała palcem na obraz przedstawiający flamandzkich mieszcz zajmujących się codziennymi sprawami.

- To tam jest zwycięstwo, książę orański. Nic innego nie zasługuję tę nazwę. Książę przytaknął.

- Sądzę, że mojemu ojcu spodobałoby się spotkanie z twym mężem pani. Czy wiesz, dlaczego nazywano go Wilhelmem Milczącym?

Rebeka pokręciła przecząco głową.

- To trochę tajemnicza nazwa. Memu ojcu było bardzo daleko do małomówności. Prawdę mówiąc, był człowiekiem elokwentnym i mówią, cym ze swadą. Tak przynajmniej twierdzą wszyscy, którzy go znali. Sam go nie pamiętam, gdyż został zamordowany tuż po tym, jak przyszedłem na świat. Fryderyk Henryk zaśmiał się.

- Myślę, że to miano nadali mu jego wrogowie. Nazwali go „Milczącym”, gdyż oskarżali go, że nigdy nie mówił tego, co naprawdę myślał. Jednak ja osobiście uważam, że przemawiała przez nich po prostu gorzyc porażki. Mój ojciec tak naprawdę był najzręczniejszym mężem stanu w Europie. Człowiekiem, którzy wykorzystywał zwycięstwa odniesione na polu bitwy do ukrycia ostrza, które dzierzył w lewej dłoni i którego używał przy stole negocjacyjnym.

Wstał.

- A więc załatwione, Madame Stearns. Może pani powiedzieć mężowi, że książę orański przesyła robotnikowi najszczerze wyrazy szacunku. I że będzie co wieczór modlił

się, aby nadszedł taki dzień, gdy kardynał Francji, stojąc okrakiem na świecie, zorientuje się, że w tym czasie wypruto mu wnętrzności. I że ręka, która tego dokonała, zrobiła to z takim kunsztem, że nawet tego nie zauważył.

^ozòzini 31

Tego wieczora Mike dostał wiadomość od Becky i wyszedł z sali radiowej, nie odpowiadając. Operator zapewnił go, że ma jeszcze przynajmniej dwie godziny na wysłanie odpowiedzi, zanim transmisja stanie się niemożliwa - ale Mike potrzebował czasu do namysłu. Decyzja, którą miał podjąć, była z paru względów najtrudniejszą w jego życiu. Opuścił budynek ambasady i nogi poniosły go nad Łabę. Widok płynącej wody zawsze działał na niego kojąco i pomagał mu się skoncentrować. W tej kwestii musiał coś postanowić, stojąc na nabrzeżu i patrząc na nurt rzeki, a nie gapiąc się na cztery ściany pokoju. Dzięki grubej kurtce, którą Mike zabrał na podróż, chłodne jesienne powietrze działało na niego orzeźwiająco.

O oświetleniu ulicznym nie mogło tu być mowy - może poza sporym zdarzającą się lampą w otwartym oknie albo taką, która wskazywała wejście do gospody. Na szczęście na przejrzystym niebie widać było ciężyc. Tak więc Mike nie miał większego problemu z omijaniem błotnistych kałuż i znajdowaniem od czasu do czasu na wpół ukończonej ścieżki z bruku. Był pewien, że jak tylko uda mu się coś postanowić, będzie w stanie wrócić do sali radiowej w ciągu dwóch minut.

Jednak kiedy dotarł na nabrzeże, od razu tego pożałował. Tak się pechowo złożyło, że stał tam już Simpson. Miał założone za plecami ręce i widać było, że obserwowanie wody jest dla niego równie odprężające jak dla Mike'a.

Stojąc tak w świetle księżyca i patrząc na wodę, sprawiał wrażenie bardzo samotnego. Niechęć Mike'a do niego była od dawna czymś tak oczywistym, że nigdy się nie zastanawiał, jak wyglądało życie admirała w czasie Ognistego Kręgu. Simpson był po prostu politycznym przeciwnikiem, którego trzeba było pokonać.

Teraz Mike po raz pierwszy o tym pomyślał. Nie zajęło mu dużo czasu dojście do wniosku, że ta samotnie wyglądająca postać to rzeczywiście jest samotny człowiek. Ani Simpson, ani jego żona nie mogli łatwo znieść tej zmiany - tym bardziej że przez własną wyniosłość i butę zupełnie zrazili do siebie swego własnego syna.

„A co tam, jak spać, to z wysokiego konia - pomyślał Mike. - Martwić się będę później”. Zaczął zawracać. Gapienie się na ściany pokoju na pewno nie było ciekawą perspektywą, ale było na tyle towarzyską rozmowę z Simpsonem.

Jednak po chwili się zawahał. Ponownie odwrócił się i przyjrzał Simpsonowi. Admirał jeszcze go nie dostrzegł, gdyż Mike stał w cieniu, w miejscu, gdzie ulica przechodziła w nabrzeże.

„A zresztą - może jestem mu to winny. Albo inaczej - może jestem sam sobie winny pamięć o tym, o co tak naprawdę toczyliśmy z Simpsonem boje”.

Mike był z natury zdecydowany. Chwilę później kroczył już w kierunku nabrzeża. Simpson odwrócił głowę, słysząc, że ktoś się zbliża. Kiedy go rozpoznał, wyraz jego twarzy sprawił, że Mike o mało co nie wybuchnął śmiechem. Widać było, że Simpson ma taką samą ochotę na towarzystwo jak Mike.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, admirale.

- Nie przeszkadza pan, panie prezydencie. W czym mogę pomóc?

- Po pierwsze - przynajmniej na dzisiejszy wieczór - chciałbym dać sobie spokój z zabawą w „pana admirała” i „pana prezydenta”. Oczywiście jeśli się na to zgodzisz, John. Simpson zawahał się.

- Zgodzę się. - Zmienił ułożenie ramion, tak jak człowiek zmieniając swe postanowienia, gdy czuje się nieswojo. - Tak naprawdę nie jesteś takim formalistą, jak myślisz. Możesz mi wierzyć lub nie, ale dawno temu w Pittsburgu nie wymagałem, żeby którykolwiek z moich podwładnych zwracał się do mnie per „panie dyrektorze”.

Rozplótł dłonie i machnął w kierunku rzeki.

_ Jeśli chodzi o ścisłość, kiedy spotykałem się z przewodniczącym lokalnego związku pracowników produkcji w mojej korporacji naftowej, on zwracał się do mnie per „John”, a ja do niego per „Henry”.

ponownie splótł dłonie i stężał. Następne słowa wypowiedział szorstko.

_ Skoro zdecydowałeś się na luz, chciałbym coś zrzucić z serca.

Mike skinął głową.

_ Wal śmiało.

_ W trakcie kampanii politycznej jedyną rzeczą, o którą mnie oskarżyłeś, o którą miałem i mam żal, było to, że jestem rasistą. A ja nie jestem rasistą i nigdy nim nie byłem. Ten przewodniczący lokalnego związku, o którym mówiłem. Henry, był czarny. I choć nie mam wątpliwości, że mógłby powiedzieć o mnie kilka ostrych słów, nie sądzę żeby postawił mi taki zarzut. -Simpson zacisnął dłonie. Widać to było nawet przy słabym oświetleniu.

- Tak, walczyliśmy z Henrym o wiele rzeczy. Doskonale potrafisz to sobie wyobrazić jako były przewodniczący związku zawodowego. Ale nie o to. Moja firma miała program równych szans zatrudnienia, który traktowałem śmiertelnie poważnie i pilnowałem, żeby go wprowadzano na całej linii. Prawie nigdy nie zdarzały się skargi w sprawie dyskryminacji. - W jego głosie dało się słyszeć złość. - Oczywiście kilka takich było, ale wiesz równie dobrze jak ja, że...

- Jasne, John, wiem. - Mike machnął ręką w kierunku rzeki. - W każdej fabryce czy kopalni znajdzie się kilku głupków, którzy wniosą byle jaką skargę, szczególnie jeśli wpakują się w kłopoty. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Oczywiście pełniąc funkcję przewodniczącego związku, nigdy tego nie przyznałem przy szefie.

Simpson parsknął.

-Henry też tego nie robił. Ha! A jakie to czasem było śmieszne. Pałam jednego takiego - sporo czasu upłynęło, zanim się tego pasożyta pozbyliśmy - który składał skargi chyba co tydzień. I zawsze po tym, jak został za coś ukarany. Henry'emu udawało się nawet nie roześmiać, gdy Cata sprawa trafiała do mnie przy kolejnych rozprawach. Przedstawiał swoje argumenty, jak gdyby nie wiedział równie dobrze jak ja, że lepiej ty było, gdyby ten palant poszukał pracy gdzie indziej.

"Zarządzanie musi być uczciwe - powiedział Mike. - A to oznacza, że czasem trzeba stawać w obronie gościa, którego osobiście chemie by SIS Przejechał o samochodem. Jak jesteś zbyt miły dla szefa... - Wzruszył Mionami. Tak to jest.

Splótł ręce za plecami - w tej sytuacji wydawało się to odpowiednie--gestem.

- John, nigdy nie powiedziałem, że jesteś fanatykiem. Powiedz natomias - i nie odwołam tego - że twój program opierał się na dysl^, minacji. - Simpson chciał już coś powiedzieć, ale Mike go powstrzy^^

- Wysłuchaj mnie, do cholery. Chociaż raz posłuchaj. - Simpson wzięj głęboki oddech, a potem nagle skinął głową.

- Cokolwiek zamierzałeś w ten sposób osiągnąć, nie ma dla mnie znaczenia. Nie miało i, do diabła, nie będzie miało. Z chęcią założę, że chciałeś jak najlepiej - że po prostu usiłowałeś znaleźć najlepsze wyjście z trudnej sytuacji. Ale to, co było dla mnie wtedy jasne i ciągle jest, to fakt, że byliśmy jak człowiek, który się potknął i któremu groził poważny upadek. A gdyby upadł, to na potłuczone szkło. Ty chciałeś, żebyśmy upadli na ręce, żeby złagodzić wstrząs, ale wtedy - w najlepszym razie poharatałibyśmy sobie dłonie. Natomiast ja uważałem, że powinniśmy spróbować uniknąć upadku, przyspieszając biegu.

Simpson zaciskał szczęki, ale się nie odzywał. Mike kiwnął głową w kierunku mających w oddali pancerników, a następnie wskazał na miasto, które powstawało z gruzów po najokrutniejszej masakrze wojny trzydziestoletniej.

- Spójrz tylko, John. Czy możesz szczerze powiedzieć, że nie miałem racji?

Simpson ciągle milczał. Mike zdecydował, że nie będzie naciskać. Bez względu na to, jakie zalety miał John Chandler Simpson, umiejętność przyznania się do błędu do nich nie należała.

„No cóż, koń jaki jest, każdy widzi”.

- Wiem... - Mike przerwał, jakby się czuł zawstydzony. A prawdę mówiąc, tak się właśnie czuł... troszeczkę. - Wiem, że w politycznej walce potrafię być obcesowy, więc jeśli obraziłem ciebie osobiście, przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

Po chwili Simpson skinął głową. Ledwo zauważalnie, ale jednak.

- Poza tym zrobię wszystko, co mogę, aby to naprawić. Wydaje się... Simpson uśmiechnął się chłodno.

- Tak, oczywiście. Polubiłem swego sekretarza, Dietricha Sch**an haussera, między innymi dlatego, że jako jeden z niewielu Niemców* w okolicy nie jest zdania, że jadąc na śniadanie niemieckie niemo* ta. Dzięki tobie i twojej kampanii moja reputacja mnie wyprzedzić

p^zucił gorzko: A mojej żonie jest jeszcze ciężiej - większość czasu edza w' domu jak trędowata. Gdyby nie praca nad tym projektem We-Ifilci Drecson dotyczącym rozwoju szkolnictwa, podejrzewam, że komornie D> zwariowała. W Grantville miała przynajmniej jakichś amerykańskich znajomych, a tutaj...

Teraz wreszcie do jego głosu przeniknęło trochę złości. „Na miłość boską, Stearns, połowa moich przodków ze strony matki ^ła Niemcami. Jej panięńskie nazwisko to Schreiber. Jak niby... „John!

To na wpół wykrzywane słowo przerwało słowotok Simpsona. -Jeśli nie chcesz przyjąć czyichś przeprosin, to tego nie rób. Ale nie (nożna przyjmować, a po chwili rzucać ich komus z powrotem w twarz. Simpson zamarł. Następnie ponownie przytaknął. -Słusznie.

- Poza tym powinienś być mi wcześniej powiedzieć. Nie zdawałem sobie sprawy, że... Mike wypuścił powietrze z płuc. - Przepraszam. To moja wina. Tak naprawdę nawet o tym nie pomyślałem. A właściwie kiedy myślałem... Na chwilę się zaplątał. - Prawdę mówiąc, sądziłem, że razem z żoną zadajecie się tu. w Magdeburgu, z wyższymi sferami. I że informujecie ich oczywiście prywatnie - że rzeczywiście jestem bezmyślny i niebezpieczny, dokładnie tak, jak myślą.

Postawa Simpsona była jak zawsze sztywna.

-Nie zapraszano nas do żadnego... „zadawania się”, jak to ująłeś. Ani z wyższym i sferami, ani z nikim innym. A nawet gdyby tak było, zapewnię cię. że... - Ponownie zaczął unosić głos.

-John. Simpson przerwał. - Przestań, dobrze? O nic cię nie oskarżam.

Mike wskazał na pancerniki.

- W związku z tym, że jesteś oficerem marynarki wojennej w służbie Stanów Zjednoczonych, oczekuję, że wstrzymasz się od wszelkich ulicznych ataków na swego głównodowodzącego. A jeśli zależy ci na biedzeniu czegoś tak bardzo, że się nie powstrzymasz, będę oczekiwał rezygnacji. Natomiast to, co mówisz o mnie prywatnie - oczywiście ^P°ki jesteś w miarę dyskretny... Nie powiem, żebym się tym nie przej-Q°wał. ale po prostu odwrócę wzrok. Zgoda? chanie Simpsona było bardzo krótkie. " * Tak - rzekł bez ceregieli. - Zgoda, ^ike skinął głową.

- No to załatwione. - Jego uśmiech stał się ciepły. - Pamiętaj oczw ście, że nie będę miał nic przeciw temu, żebyś - od czasu do czasu* powiedział o mnie również coś dobrego. Simpson zaśmiał się. W jego śmiechu również było coś ciepłego.

- Właściwie - oczywiście tylko tak między nami - jest kilka rzeczy które mi się w tobie podobają. Niewiele, to prawda. Ale... - Wziął głęb0 ki oddech. - Mike, oddam ci sprawiedliwość. Przynajmniej nie jesteś taki jak ci prezydenci, których mieliśmy w przeszłości i którzy nigdy nie mo-gli podjąć decyzji, kiedy robiło się naprawdę gorąco. Ten komentarz wstrząsnął Mike'iem.

- O, cholera - mruknął. Spojrzał na zegarek, usiłując mimo przythj-mionego światła odczytać coś ze staroświeckiej tarczy. Nie bardzo się dało, co oczywiście stanowiło wadę tego mechanicznego zegarka. Zaletą było to, że ciągle działał, podczas gdy prawie wszystkie skomplikowane zegarki cyfrowe stały się bezużyteczne, bo wyczerpały się baterie, a w Grantville praktycznie nie było zapasowych.

- Musisz wysłać wiadomość, dopóki jest taka możliwość, prawda? Mike przytaknął.

- Tak... Ciągle mam trochę czasu, ale powinienem...

Zaczynał się już odwracać, ale nagle przyszło mu coś do głowy i spoj-rzał na Simpsona.

- A co tam... John, tak się składa, że muszę podjąć decyzję. I w pew-nym sensie jest to decyzja podobna do tej, o którą kiedyś walczyliśmy. Kiedy człowiek się potyka, to radzi sobie biegnąc dalej czy upadając? Jestem ciekaw, co o tym sądzisz.

* * *

Szybko przedstawił mu treść wiadomości, którą otrzymał od Becky, i wy-bór, którego musiał dokonać. Kiedy skończył, Simpson pokręcił głową

- Jezu. Ale cholera! Nawet pomijając samą decyzję, twoi politycz-ni wrogowie mogą chcieć to wykorzystać.

- Tym się nie martwię. Simpson lekko się uśmiechnął.

- Pewnie, że nie. Chyba dlatego, że przy twoich awanturnicznych um^ jętnościach politycznych zostawiłbyś ich zakrwawionych na ulicy.

- Tak bym zrobił. Zakrwawionych, posiniaczonych i sponiewierany^ I nie przeproszałbym za to. - Dodał ostro: - I nie pozwoliłbym, żeb) miało na mnie jakiś wpływ. Może ci się nie podobać mój charakter, ale & popełniaj błędu, sądząc, że nie mam charakteru. ■pewnie, że nie popełnię tego błędu. Wierzę w to, co powiedziałem. Ljoge. wskazać byłych prezydentów Stanów Zjednoczonych, których nie piałbym teraz widzieć na twoim miejscu, kiedy trzeba podjąć tę decyzję, tfe ufałbym im szczególnie temu bezwartościowemu sukinsynowi...

pokręcił głową.

_ Nieważne. Można robić mnóstwo głupich rzeczy, ale kontynuowanie jlgfych utarczek politycznych z innego świata jest jedną z najgłupszych. Spojrzał bystro na Mike'a.

_ Skłaniasz się ku temu, prawda? Ku użyciu noża w walce na noże, nawet jeśli ostrzem jest twoja własna żona. Mike przytaknął.

-Tak, skłaniam się. Właściwie Becky również ma o tym... wyrobione zdanie. Simpson skinął głową.

-Nie można jej odmówić odwagi. - Zastanawiał się chwilę. Potem rzekł:

-Zrób to, Mike. Rzucił okiem na pancerniki. - A jeśli to ma jakieś znaczenie, marynarka wojenna będzie cię wspierać najlepiej, jak umie.

-To ma znaczenie. Prawdę mówiąc, może się okazać, że niebagatelne. A teraz lepiej już pójść. Mam dziś do wysłania więcej niż tylko jedną wiadomość...

Po kilku krokach Mike ponownie zawrócił. -Jeszcze jedno, zanim zapomnę. -Tak?

-Spodziewam się, że jako admirał marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych będziesz otrzymywał sporo zaproszeń towarzyskich. Właściwe to będziecie razem z żoną. I to wkrótce. - Odkaslnął. - Mówiąc Wprost, zajmę się tym. I uważam, że gdybyś je odrzucił, źle by to świadczyło o całych Stanach Zjednoczonych. Arystokracja mogłaby pomyśleć, /e nie mamy manier czy co. Że boimy się wychodzić z domu, bo nie wie-■ty, którego widelca użyć w dobrym towarzystwie...

Przez chwilę wydawało się, że twarz Simpsona zrobi się sina. Mary?! Przecież ona...

■'ego ramiona lekko zadrżały - powstrzymał śmiech. Następnie do-iał z uśmiechem:

"Dziękuję, Mike. Doceniam to. ^•ke skinął głową i zaczął się odwracać. *" Panie prezydencie.

- Tak... admirał?

- Z zasady wolałbym pozostać przy bardziej formalnych stosunkach To nie jest kwestia charakteru. No... nie do końca. Ale tworzę tu siły ^ skowe - marynarkę wojenną. I mimo że... Przerwał na moment.

-Nie będę się mieszał do spraw generała Jacksona czy pułkownik Wooda. Oni mogą wprowadzać swoje zasady i zwyczaje w wojskach lądowych i siłach powietrznych. Ale będę nalegał, żeby wobec mnie zachowywali odpowiednią postawę. I wobec pana również.

- W porządku, admirał.

Simpson sztywno przytaknął. A po chwili, po raz pierwszy od momentu, kiedy Mike pojawił się na nabrzeżu, admirał się rozluźnił.

- Panie prezydencie, czy ktoś już panu mówił, że można z panem ko- nie kraść? Jestem po prostu ciekaw.

Mike uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, ale to u mnie dziedziczne. Mieliśmy w rodzinie przynajmniej jednego koniokrada. Opowiadało się, że nigdy go nie złapali i nie powie-sili. - I dodał poważnie: - Choć oczywiście wszyscy zgadzali się co do tego, że to ogromny wstyd i hańba dla rodziny.

Rebeka pojawiła się u księcia wczesnym rankiem następnego dnia.

- Mój mąż zgadza się na sojusz - powiedziała, podchodząc do zaofiarowanego jej krzesła.

Fryderyk Henryk uśmiechnął się.

-Ach tak. W ciągu jednej nocy. Jak to miło wiedzieć, że moi doradcy mylili się co do jeszcze jednej rzeczy. Ta wasza tajemnicza „radiostacja” chyba jednak nie wymaga gigantycznych konstrukcji.

Rebekę tak zaskoczyły jego słowa, że aż plasnęła na krzesło, zamiast osunąć się na nie z gracją. Zdała sobie sprawę - zbyt późno - że w ten sposób zdradza swój niepokój.

Książę, który wyczuł jej zdenerwowanie, machnął ręką.

- Proszę się nie bać. Ta tajemnica jest u mnie bezpieczna. - Jego twarz miała dziwny wyraz, kiedy przysuwał sobie krzesło. Wyglądało to jak połączenie grymasu niezadowolenia z szerokim, radosnym uśmiechem. Ruda wyrost i pulchne policzki przez chwilę nadawały mu wygląd zamożnego Płata, który zastanawia się nad zdobyciem kolejnego wartościowego łupu.

- Miejmy nadzieję, że Richelieu nie dowie się o niej do czasu, aż będzie za późno.

Jedyną dobrą stroną tej sytuacji jest to, że ten zadufany sukinsyn Jważa, że sam Bóg podszeptuje mu pomysły taktyczne wprost do ucha.

Fryderyk Henryk usiadł i złożył dłonie na kolanach. "Potrzebuję, i to natychmiast, wszelkiej waszej pomocy w utrzymaniu Amsterdamu - choć nic wiem, jaki mógłby to być rodzaj pomocy.

Ho

Prawdopodobnie przed upływem tygodnia czeka nas tu oblężenie, potężne. Na pewno już pani wie, że hiszpańskie okręty wojenne ostrzeją łą wczoraj miasto.

Rebeka przytaknęła. Słyszała dźwięki kanonady z domu, który delegacja amerykańska obrała za swą siedzibę. Właściciele domu wynajęli go na krótko przed tym, nim sami opuścili Amsterdam, szukając schronienia w którymś z miast położonych bardziej na wschód. Dwa miesiące z góry monety do ręki i już ich nie było.

- W ciągu tygodnia, najpóźniej dwóch, wszystkie drogi dojazdowe do miasta będą zablokowane - prognozował książę. - A biorąc pod uwagę, że Hiszpanie już kontrolują zatokę Zuiderzee, stamtąd również nie otrzymamy posiłków. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby przemycić do miasta zapasy, ale nie będzie ich dużo. - Dorzucił pospiesznie: - Na pewno więcej, niż można by się spodziewać. Żadna hiszpańska flota nie powstrzyma holenderskich przewoźników przed dostarczeniem do Amsterdamu przynajmniej niewielkiej ilości zapasów. A już na pewno nie wtedy, gdy nastanie zima.

Rebeka skinęła głową. Z tego, co wyczytała, wiedziała, że marynarki wojenne w przyszłości utrzymywały blokady przez cały rok. Jednak floty z siedemnastego wieku nie były do czegoś takiego zdolne.

- Mimo to - dodał ponuro książę - będzie to bardzo trudne oblężenie. Bardzo trudne. Głód i choroby są pewne, a epidemia bardzo prawdopodobna. Nawet jeśli uda nam się powstrzymać Hiszpanów, na pewno spora część mieszkańców miasta umrze.

-A jesteś w stanie, książę, utrzymać miasto? - spytała.

- Och tak.

Jego szybka i spokojna odpowiedź odrobinę ją zaskoczyła i Fryderyk Henryk to zauważył. Uśmiechnął się.

- Zaufaj mi, Rebeko. Jeśli jest coś, na czym się zna dynastia orańska, to jest to właśnie sztuka oblężnicza. Amsterdam to duże i dobrze umocnione miasto. Jeśli jego mieszkańcy i żołnierze będą chcieli, możemy je utrzymać. Przynajmniej przez rok, a prawdopodobnie i dłużej. - Zmais -czył czoło. - To, co do tej pory utraciliśmy, należy przypisać zdradzie Francuzów, śmiałości Hiszpanów, pechowi i - głównie - naszemu sam^ zadowoleniu. Jednakże kardynał-infant już wykorzystał swój skarbiec każdą monetę. Teraz to on pozna smutną rzeczywistość.

- Pierwszą rzeczą, co do której się przekona - a jeśli dobrze zgaduję się przekonał - jest to, że jego zwycięstwa wyprzedziły tabor z za^Pat^t niem. A to oznacza, że ma dwa wyjścia: albo złupić okolice, co natychm

jeżyłoby wszystko, co do tej pory osiągnął dzięki tolerancyjnej polityce, albo zaprzestać wszystkiego poza okrażeniem Amsterdamu, co z kolei ja mi czas na zorganizowanie oporu na terenach, które pozostały ze Zjednoczonych Prowincji. Będzie więc siedział pod Amsterdamem z założonymi rękami w oczekiwaniu na zapasy, pieniądze, wsparcie-wszystko. A kiedy łajzie już mógł ruszyć... Wydawało się, że pierś księcia wezbrała.

_ Wtedy ja mogę mieć i będę miał sporą armię na polu walki. A właściwie za umocnieniami w północnej Geldrii i Overijssel. Hiszpanie wrócą do niekończącej się wojny pozycyjnej - i to po tym, jak wydali sporo pieniędzy i przelali mnóstwo krwi, aby osiągnąć to, co mają.

Kardynał Richelieu wykorzystał i ich, i nas. Według wszelkich raportów to właśnie Hiszpanie-nie Francuzi czy Anglicy - zapłacili pod Dunkierką własną krwią.

-Aczy nie sądzisz, panie, że kardynał-infant będzie chciał negocjować porozumienie?

- Nie od razu. Niby dlaczego? Dotarł aż tak daleko dzięki odwadze i śmiałości, dlaczego miałby się zatrzymywać? Gdyby był Spinolą, człowiekiem rozważnym, który przez dziesięciolecia prowadził wojny, to tak. Ale on ciągle jeszcze jest młodym księciem, Rebeko - i ciągle jest niepokonany. Bez wątpienia zdecyduje się na ostateczne i najbardziej radykalne posunięcie, mając nadzieję zakończyć całą sprawę jedynie na warunkach hiszpańskich.

-Zająć Amsterdam.

-Właśnie. A ja wykorzystam tę jego śmiałość dla własnych celów. Wplączę go w oblężenie Amsterdamu, co go unieruchomi i da mi czas konieczny do umocnienia tego, co pozostało ze wschodnich prowincji.

- Jak długo da się utrzymać taką sytuację? - spytała, marszcząc czoło. ~ Oczywiście sama nie jestem żołnierzem, ale skoro... pozostały tylko Overijssel i część Geldrii... Hiszpanie sana południu, Duńczycy na pół-nocy, a Francuzi wszędzie, wydaje się więc, że...

~ Nie wszędzie, Rebeko. - Fryderyk Henryk odkaslnął. - Jeśli dobrze sobie przypominam, środkowe Niemcy ciągle są w rękach króla Szwecji, którego Francuzi - i Duńczycy-postanowili również zaatakować. A Hiszpanie i Anglicy okazali się na tyle głupi, że podpisali się pod tym przed-SI^zięciem.

"Ale...

Książę delikatnie się uśmiechał.

- Tak, tak. Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie sytuacja nie przednia się najlepiej również dla Gustawa. Jednak - w przeciwieństwie do mnie - on nie stracił jeszcze większości swego królestwa. A poza ty^ również w przeciwieństwie do mnie - miał tyle szczęścia lub rozumu że nie pozwolił, aby jego lud został sparaliżowany niekończącymi się dysputami na temat doktryny religijnej. Prawdę mówiąc, z tego co widzę, ^ gląda na to, że Gustaw coraz bardziej skłania się w kierunku... Jak to nazwać? „Arminianizm Excelsior” w amerykańskim stylu? Rebeka zaśmiała się.

- Nie bardzo, książę! Arminianizm sam w sobie jest doktryną religijną. Zasady, jakie Amerykanie głoszą i według których żyją, są znacznie prostsze. Nazywają to „oddzieleniem kościoła od państwa”. Czcij kogo chcesz, jak chcesz i rób to w pokoju. Państwo się do tego nie miesza, a z kolei kościoły nie mieszają się do spraw państwa.

Książę chrząknął.

- Miesiąc temu, a nawet tydzień temu powiedziałbym, że jesteś szalona. A mnie się uważa - a właściwie oskarża o to, że jestem arminianinem. Teraz...

Przez moment przyglądał się temu samemu obrazowi, co dzień wcześniej.

- Dziwne, nieprawdaż? Sposób, w jaki twój mąż wydaje się zmuszać ludzi, żeby przyjęli jego zwyczaje. Ciągłe otrzymuję nowe raporty. Holenderska marynarka wojenna może być zniszczona, ale holenderscy kupcy ciągle robią swoje. Wygląda na to, że Richelieu zakłada coś, co nazywa „azylami religijnymi”, w portach i miastach na północy Francji. Bez wątpienia ma nadzieję przyciągnąć tam protestanckich robotników, aby stworzyć własny przemysł zbrojeniowy. A teraz słyszę również, że hrabia Strafford zaprzestał prób narzucenia w Anglii jednej religii. W Szkocji również - a nawet w Irlandii, jeśli raporty się nie mylą. Odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Oczywiście, cóż innego możemy zrobić? On, tak jak już chyba każdy mąż stanu w Europie, pewnie nawet car Rosji, wie, co przyniesie historia. Tak więc próby powstrzymania tego... Ha!

Uderzył dłońmi w kolana.

- Taki jest mój plan. Oczywiście na dłuższą metę liczę na to, że Gusta* Adolf nauczy moich wrogów pokory. Natomiast na krótszą metę mogC P° prostu spróbować utrzymać to, co mam - przede wszystkim Amsterdam Szczerze mówiąc, nie wiem, co ty, pani, i Stany Zjednoczone mogliby^ dla mnie w tej chwili zrobić. Wesprzyjcie Szwedów - jestem pewny, że zrobicie. Sądzę, że rozsądnie byłoby opuścić teraz Amsterdam. W c\\$\\$* kilku następnych dni jestem w stanie przetransportować was bezpiecznie

^ Niemiec. Je(mak gdy zacznie się oblężenie, ugrzęźnicie tu na długie miesiące-

Rebeka wzięła głęboki oddech.

„ Tak naprawdę właśnie przyszedł ci to oznajmić. Omówiłam to w no-cy z mężem - zgadza się, nie potrzebujemy imponujących budowli, żeby ^diostacja działała - i doszliśmy do porozumienia. - Znów odetchnęła „łęboko. - Razem z całą delegacją zostaniemy tu, w Amsterdamie. Choć-by pot0' że°y rown'eż zgadzamy się z Michaelem) wykonać teatralny gest pokazujący, że Stany Zjednoczone zdecydowanie stoją u boku Zjednoczonych Prowincji i wierzą w wasze przetrwanie.

- Tak bardzo teatralny, jak tylko się da - mruknął książę. - Żona samego prezydenta. Ale... - Skrzywił się. - Rebeko, ryzyko... Jeśli nie wyraziłem się wczoraj wystarczająco jasno - oblężenie będzie straszne. Same choroby...

- To właśnie - rzekła stanowczo Rebeka - jest główny powód, dla którego tu zostaję. Najwyraźniej nie możemy wiele zrobić, żeby pomóc wam walczyć z Hiszpanami. A przynajmniej bezpośrednio. Ale jesteśmy w sta-nie zrobić coś z całą resztą.

* * *

Kiedy skończyła wyjaśniać, co proponują Amerykanie, Fryderyk Hen-ryk wstał i podszedł do obrazu. Przez chwilę przyglądał mu się z założonymi do tyłu rękoma, a potem ruszył w kierunku kolejnego dzieła.

- Te obrazy właśnie tego nie pokazują. Znajdziesz tu wszystko inne. Portrety, sceny z codziennego życia, nawet masakry wojenne. Od czasu do czasu - niezbyt często - ktoś jest na tyle odważny, że pozwala małarzowi na pokazanie blizn po ospie. Ale nie całej reszty. Nigdy nie widać nieskończonej rzeszy niemowląt oddawanych ziemi przed pierwszymi urodzinami. Nigdy nie widać cichego bólu rodziców, którzy widzieli, jak urniera połowa ich pociech. Nigdy nie widać matki siedzącej przy łóżku trzyletniego dziecka. I patrzącej - bo nic innego nie może uczynić - jak śmierć nieubłaganie zbiera żniwo.

Głos zaczął mu drżeć.

- Od zarania dziejów to jest właśnie cichy postrach świata. - Kiedy °dwrócił się ku Rebecce, policzki miał zapadnięte, ale oczy przejrzyste. - ^obry Boże w niebiesiech - wyszeptał - Ty to potrafisz sprawić?

Rebeka uniosła głowę i zaczęła mówić w najbardziej wyniosły sposób, w jaki potrafiła.

"Tak, książę orański. Świat stworzony przez lud potrafi to, czego °owie, książęta, hrabiowie, kardynałowie i arcybiskupi nigdy nie umieli. Potrafi dawać życie dzieciom wtedy, gdy wy moglibyście ty^ przyglądać się, jak umierają. - I dodała zimno: - Wasze własne twarzyc są często ospowate i pobliźnione pod kostiumami, płaszczami i k0ro nami.

Nawet nie drgnął mimo jej ganiącego tonu. Nawet nie spuścił wzroł^

- Daj mi ratunek, Rebeko, a nawet mnie przekonasz. - Nagle się uśmiechnął. - Kto wie? Może bym abdykował?

Rebeka zaśmiała się. Może i był księciem, ale go lubiła.

-Naprawdę nie sądzę, żeby to była najszcześniejsza taktyka. A jużDa pewno nie teraz! Jeśli chcesz, książę, utrzymać Amsterdam, będziesz potrzebował poparcia swego ludu. Sądzę, że zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja.

- Jakbym miał jakiś wybór! Większość prawdziwych możnow ładców dawno się spakowała i wyjechała. W mieście pozostało jedynie kilku re-gentów. Ci mieszcianie, którzy pozostali - a jest ich wielu - to nie są znaczące osoby. Ich bogactwo zależy od niewielkich sklepów i przedsię-biorstw, które prowadzą dzięki własnemu rozumowi i pracy własnych rąk. Oni nie mogą pójść na wygodne wygnanie - a już na pewno nie mogą tego zrobić miejscy rzemieślnicy, praktykanci i prości marynarze.

Rebeka skinęła głową.

- Zgadza się, to miasto ludu, ale pod władzą księcia orańskiego - a to doda im sił. Wydaje mi się, że taką mieszankę trudno pokonać oblężeniem.

Fryderyk ponownie stał się księciem w pełnym tego słowa znaczeniu. Następne zdanie wypowiedział z donośną pewnością siebie.

- Taka sama mieszanka złamała rzeźnika Albę oblegającego Middel-burg - i później pod Lejdą. - I dodał z dumą: - Dokonał tego mój ojciec.

- To prawda. A mieszkańcy Amsterdamu już cię lubią. Dużo bar-dziej - wybacz mi szczerść - niż twego nietolerancyjnego przyrod-niego brata Maurycego. A to z kolei prowadzi do kolejnej kwestii. Na pewno wiesz, panie, lepiej niż ja, że obecna struktura władz miasta jest... hm...

- Postrzępiona jak płaszcz biedaka. Połowa rady miasta już uciekła."° łowa z tych, którzy zostali, zrobi to samo w ciągu najbliższych trzech dn>-Tak więc praktycznie rzecz biorąc, miasto przechodzi pod kontrolę straży obywatelskiej. Która - uniósł odrobinę głowę - jest nastawiona do dynastii orańskiej jak najbardziej pozytywnie. Nie mogę więc powiedzieć, że ^ przykro, że szczury stąd czmychają. Szczerze mówiąc, wiele mi to ułat* Rebeka odkaslnęła.

ILMyślę, że będzie jeszcze łatwiej, jeśli narastający w mieście bojowy „astrój zostanie zorganizowany i wezwie się ludzi do czynu, pokazując jtlł symbol buntu. - Ponownie odkaslnęła. - To... eee... dosyć delikatna...

* * *

Kiedy Rebeka skończyła, książę wybuchł śmiechem.

, Richter? Przywiozłaś ze sobą, pani, tę fanatyczkę?

_ Ona nie jest żadną fanatyczką. Prawdę mówiąc, to moja droga przy-jaciółka. - Rebeka poruszyła się na krześle. - Przyznaję, że ma określoną reputację. Przyznaję również, że nie do końca niezasłużenie.

_ Ha! I dlatego oczywiście, pani, nie wspomniałaś o niej po przyjeź-dzie. „Jedna z moich służących" - tak chyba powiedziałaś, jeśli dobrze sobie przypominam raport szpiegów.

Zaprzeczanie nie miało sensu, więc Rebeka nawet nie starała się tego robić. Poza tym książę nie wyglądał na rozszluszczonego, a raczej na rozbawionego.

- Ona jest świetną organizatorką. A dodatkowo niezła z niej mówczyńni. Będziesz potrzebował takiej organizacji, książę. Substancje chemiczne, które wwieziemy do miasta - jakoś je przemycimy, mój mąż mówi, że się tym zajmie - to żadne cuda. Muszą być wydzielane w rozsądny i zorganizowany sposób i w połączeniu z ostrymi środkami sanitarnymi. Żadna straż obywatelska nie jest w stanie tego nadzorować. Natomiast komitety korespondencyjne mogą i będą.

Przesunęła dłońmi po udach, wygładzając bogatą tkaninę.

- Oczywiście nie sugeruję, żebyś udzielał jej publicznie poparcia albo oficjalnie uznawał komitety. To by było absolutnie niewłaściwe, biorąc pod uwagę, że musisz utrzymać lojalność arystokracji w Overijssel. Ale w Amsterdamie...

Książę oparł się wygodnie na krześle, a jego spojrzenie stało się niewiązające.

~Tak... Ludzie strzegący murów będą w większości prostymi robotnikami albo praktykantami. Nie obędziemy się bez podtrzymywania ich na ^chu, zgadzam się. Co więcej, zgodzę się również, że straż obywatelska nie powinna być zorganizowana w czysto wojskowy sposób. - Zmarszczył czoło. - To zawsze sprawia tym więcej problemów, im dłużej trwa gżenie. Żołnierze zaczynają wykorzystywać... Jednak... uśmieł się.

- Pakt z diabłem! Jedną ręką proponujesz, pani, uwolnić mnie od zara-a drugą podajesz mi inny rodzaj epidemii.

Gretchen wiele razy drażniła Rebeke, jednak za każdym razem uśv damiała sobie, że drażni ją jedynie jej nieugięta postawa. Mimo że bar^ polubiła tego arystokratę, nie miała wątpliwości, że stoi po przeci\yn stronie przepaści biegnącej przez całą europejską politykę.

- Nazywaj to, jak chcesz - powiedziała tak sucho, jak jeszcze nig(jv w życiu. - Ale ta „epidemia” jest właśnie tym, co wyleczy tamtą. Wybjer^ więc, książę orański.

Nie wahał się dłużej niż kilka chwil.

- Spróbuję z Richter. Jeden wróg na raz. Rebeka uśmiechnęła się.

- Właśnie tak mówi mój mąż.

* * *

Kiedy wróciła do domu, w którym zatrzymała się amerykańska delegacja, padła na kanapę obok Gretchen.

- Do dzieła - rzekła.

Gretchen prychnęła, Rebeka uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że poczekaś na pozwolenie. - Jej wzrok powędrował ku drzwiom prowadzącym do kuchni. Wydawało się, że dochodzi stamtąd więcej głosów niż zwykle.

- Mamy gości?

- Trzech praktykantów. I dwóch czeladników. Wszyscy pracują w zakładach kotlarskich tutaj, w Amsterdamie. Spotkaliśmy ich wczoraj z Heinrichem. Jest jeszcze córka majstra, dla którego pracuje jeden z czeladników - są zaręczeni.

To była normalna sytuacja. Oczywiście nienormalny był fakt, że ta grupa zebrała się w kuchni, w miejscu, które praktycznie rzecz biorąc, było siedzibą zagranicznego poselstwa. Rebeka nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

Zaśmiała się. Nie mogła tego nie zrobić, skoro przyjęła zakład Fryde-ryka Henryka.

-Atak przy okazji - dodała swobodnie, poprawiając włosy - ksiąze. orański powiedział, że chciałby cię poznać. Jest zaciekawiony. Oczy*1' ście byłoby to nieoficjalne spotkanie, więc musiałybyś skorzystać z wejścia dla służby.

- Księżę orański może pocałować mą słodką niemiecką dupcię. Nieoficjalnie-w porządku. Może się przebrać. Wejście dla służby nie wchodzi w grę
- Mówiłam mu, że właśnie to stwierdzisz - powiedziała wesoło Re^ka. - Hm... Na co mam wydać wygrane pieniądze?
- Zbliży się obłędnie - kup solonego śledzia.

Część ptaka

W centrum złocistej mozaiki

3Rnzh«aŁ 33

-Och. na miłość boską, mężu! - wykrzyknęła Amalie Elizabeth. Żona landgraфа Hesji-Kassel powstała z krzesła i podeszła sztywno do pobliskiego biurka. Wysunęła ze złością szufladę, wyciągnęła gruby plik listów i machnęła nimi w jego kierunku.

-Jak długo jeszcze będziesz snuł te swoje nierealne marzenia? Czy naprawdę sądzisz, że ci... - Potrząsnęła wściekle listami. - Ci pozerzy! Ci kretyni! Ci nic nie znaczący...

Przerwała, cisnęła listy na stół i zaczęła głęboko oddychać. Na jej ładnej twarzy pojawił się rumieniec gniewu.

Wilhelm V, księżę Hesji-Kassel, skrzywił się. Siedzący obok niego na luksusowej sofie Wilhelm Sasko-Weimarski próbował powstrzymać uśmiech.

-To są... hm...

Amalie spojrzała na niego z kwaśną miną.

- Doskonale wiesz, kim są, Wilhelmie, nawet jeśli nigdy ich nie widziałeś. Mój mąż - ponownie chwyciła listy i potrząsnęła nimi w kierunku landgraфа - już od roku próbuje skłonić arystokrację Konfederacji Państw Europejskich do utworzenia wspólnego bloku politycznego. Oczywiście mówię o pomniejszych księżętach i arystokratkach. Jesteśmy ścisłymi przyjaciółmi między królem Szwecji, księżętami Saksonii i Brandenburgii, a także jeszcze Amerykanami...

Przerwała, wzdychając.

aio*.

- Od początku mi mówiłam, że to nie ma sensu. Równie dobrze na by próbować zagonić w jedno miejsce koty. I to w dodatku takii jątkowo próżne, leniwe i głupie.

Landgraf unikał jej lodowatego spojrzenia.

- I co z tego wynikło? - spytała. - Chciałbyś wiedzieć, Wilhelmie? p,^ szę, przeczytam ci kilka tych listów. Jesteś starym i bliskim przyjaciela rodziny, więc czemu nie? Księżę Hesji-Kassel zmarszczył brwi, ale nie śmiał się sprzeciwić. Land grafowa chwyciła list leżący na wierzchu i zaczęła czytać.

- Ten jest od - właściwie nieważne - ale to relacja z rozmowy p,^, obiedzie, która odbyła się niedługo po tym, jak pierwszy okólnik mego męża ujrzał światło dzienne. Sophia von Markenfild podobno powiedziała do swego męża: „Albrechcie, absolutnie bym w to nie wierzyła. Hrabia Sommersburg na pewno jest sprzymierzony z księciem Hesji-Kassel. A pa-miętasz, jak Sommersburg pozbawił mnie podstępem tego naszyjnika z gra-natów i perel babki ciotecznej Leopoldyny? Zawsze mówiła, że ja go po-winnam dostać, a on zażądał potwierdzenia autentyczności testamentu i koniec końców dostała go jego córka Louisa”.

- Nie trzeba chyba dodawać, że potem do rozmowy włączył się Georg von Gluecksburg - ach, oczywiście, Wilhelmie, że tam był.

Tym razem to księżę Sasko-Weimarski się skrzywił. Von Gluecksburg niesamowicie przypominał prosiaka. Podobieństwo to absolutnie nie było jedynie powierzchowne. Amalie mówiła dalej:

-I powiedział do swego brata: „Ernst, na twoim miejscu nie zga-dzałbym się na to. Sommersburgowie są również niezbyt pomocni w kwestii granicy między Kraichsbach i Altfelden. Jak pojawi się nowa administracja, będziemy mogli ponownie wnieść pozew i zażądać roz-prawy”.

Księżę Hesji-Kassel westchnął i Wilhelm usłyszał, jak mamrocze cos

0 kazirodztwie. Było to w sumie słuszne - a przynajmniej w kwestiach politycznych. Arystokracja Turyngii, Saksonii, północnej Frankon”

1 wschodniej Hesji składała się z rodzin, które zawierały między sotó małżeństwa tyle razy, że wynikające z tego właśnie były niekończące i pełne nienawiści, chociaż błahe. Amalie wzięła inny list.

- Ten jest za długi, żeby go cytować, ale jego sens jest taki, że w ^er ford odbyło się spotkanie, na którym rozmawiano o okólniku mego mS28 j^była jednak tylko połowa zaproszonych. Kilku Heinrichów z linii geiiss- J3^ /rcs/ta. wiesz, posiada ziemie na wschód od Jeny, więc bar-^ej się przejmowali tym, co się dzieje w Saksonii Albertyńskiej. Dwie inje Schwarzburgów najwyraźniej zdecydowały się na razie zachować ilność. natomiast linia ernestyńska Wettinów - oczywiście prowa-dzona przez ciebie. Wilhelmie - przesłała wiadomość, że zastanawia się nad przyłączeniem się do króla Gustawa Adolfa i tych Stanów Zjedno-pnych. Tak więc żaden z nich nie kłopotał się tym, żeby się tam zjawić. [dobrze dla ciebie. Przejrzała dalszą część listu.

_ Z tych osób, które przybyły, żona hrabiego von Morsburg i jej szwagier-vl które są również kuzynkami, powróciły - który to już raz? czterdziesty? -do spornej kwestii dotyczącej tego, która z nich wniosła do swego małżeństwa bardziej wartościowy posag. - Parsknęła sarkastycznym śmiechem. Natomiast (tylko tego brakowało!) Johann von Rechberg i margrabia Christoph von Thuen nie ukrócili napięcia, które psuje stosunki między nimi od niefortunnego zdarzenia z prostytutką w 1614 roku, kiedy obaj robili Wielki Objazd Europy. Pozwoliła, żeby list wysunął jej się z palców.

-Podsumowując, jedyną decyzją samozwańczej „Konferencji w Her-OTjest to, żeby spotkać się ponownie za rok. Przez chwilę głęboko oddychała.

-Sama czytałam kilka pamfletów napisanych przez tego „Sparta-kusa”. Nawet (Boże uchowaj!) pamflet autorstwa Gretchen Richter. Skłamałabym, nie przyznając się wam do tego, że zgadzam się z poło-*atego, co mówią. I szybko dodała: - Choć na pewno nie z drugą częścią.

Wysunęła spod biurka krzesło i usiadła na nim. Potem ułożyła dłonie "astosiku listów i spojrzała spokojnie na landgrafa Hesji-Kassel i byłego ks'Ccia Sasko-Weimarskiego.

~ Jednak prawdą jest - o, moźni! - że z pewnymi wyjątkami niemiec-ka arystokracja stała się plagą pustoszącą tę ziemię. Pasożytami, niczym %ej. I choć nie włączam w to naszej rodziny - ani twojej, Wilhelmie, ^o za tą świnią Bernardem, ani paru innych - to jeśli będziemy upierać się 5rz>' trzymaniu się razem, razem zatoniemy. Nie wątpcie w to ani przez :hWilę. Wydawało się, że słowa te skierowane są do obu mężczyzn siedzą-'Mi na sofie. Jednak tak naprawdę miały dotrzeć do jej męża. Sam sie. Po.

fakt, że były ksiązę Sasko-Weimarski pojawił się tego wieczora w dzibie rodziny Hesji-Kassel w Magdeburgu jako człowiek z ludu kazywał, po której stronie stoi. Nawet jeśli do tej pory niewiele o mówił.

Wilhelm Sasko-Weimarski zdecydował się stanąć w obronie księCja Hesji-Kassel.

- Amalie, gwoli sprawiedliwości, dla twojego męża jest to odrobą trudniejsza decyzja niż dla mnie. - Dodał, śmiejąc się smutno: - Przecie? praktycznie rzecz biorąc, moje „księstwo” i tak zostało mi wcześniej ode-brane.

Jednak Amalie nie dała się tak łatwo udobruchać.

- Bzdura! Nikt przecieź nie sugeruje, że landgraf ma abdykować. On nie potrzebuje podejmować aż tak śmiałych działań jak ty. Jedyne, z cze-go musi zrezygnować mój mąż, to beznadziejne ganiecie za pomniejszych arystokratami, z których większość nie jest nawet warta tego, aby zo-stać jego kamerdynerem. - Przerwała, zmrużywszy oczy. - Jak się nad tym zastanowić, to nie chciałabym, żeby którykolwiek z nich został ka-merdynerem, bardzo lubię Dietera.

Ksiązę Hesji-Kassel rozłożył dłonie i uderzył nimi w uda.

- Co mam więc zrobić, żono? - mruknął. Rzucił niechętne spojrzenie na siedzącego obok mężczyznę i dodał: - Wilhelmowi łatwo być w do-brych stosunkach z Amerykanami. Gdybym ja zrobił to samo...

Tym razem Wilhelm zdecydował, że już czas być szczerym.

- Nie musisz być, jak to ujałeś, „w dobrych stosunkach” z Amery-kanami. Natomiast musisz zjednoczyć się z cesarzem. Zjednoczyć się, landgrafie! Gustaw Adolf musi teraz stawić czoła prawdopodobnie naj-większemu kryzysowi w życiu. Znasz go. Sądzisz, że nazywają go „Lwem Północy” - a we Włoszech nawet „Złotym Królem” - bez po-wodu? Cała sytuacja budziła w Wilhelmie Sasko-Weimarskim zbyt silne emo-cje, żeby mógł spokojnie usiedzieć. Wstał i zaczął przechadzać się ^ i z powrotem, gwałtownie gestykulując.

- On się nie ugnie, landgrafie. Nawet tak nie myśl. Zrobi, co będz,e musiał, aby pokonać wrogów. A jeśli to będzie się równało - a pe*nl będzie, patrząc na ciągle zwlekanie arystokratów - zjednoczeniu się z Afll^ rykanami, robi to. Oczywiście będzie się wahał. Ale niezbyt długo-wtedy, kiedy wróg u bram. A potem...

Zatrzymał się i odwrócił, stając twarzą w twarz z księciem Hesji-^asS' zastanawiał się, co się stanie potem?

Wskazał sztywnym palcem na wschodnią ścianę salonu. Gdzieś tam . oddali znajdował się jeszcze nieukończony pałac cesarski, w którym ^tcpnego dnia Izba Księżąt miała wznović posiedzenie. Na ścianie sa-|00u wisiał arras zasłaniający ścianę budynku, który ksiązę Hesji-Kassel vvynaja.ł na swą siedzibę na czas pobytu w Magdeburgu. Surowego, szorst-ko, nieskończonego - jak wszystko w Magdeburgu. Jednak tylko głu-piec - albo zatracony w marzeniach arystokrata - mógłby nie wyczuć nowej siły, kt^ra wfaśnie się rodziła.

„Te pawie! Wszyscy, a głównie Jan Jerzy Saksoński, zakładają, że Ri-chelieu i jego Ostendczycy zgniotą Szwedów na miazgę. I że zostawią ^Konfederacji Księstw” tyle, aby Saksonia i Brandenburgia oraz ich stado padlinożerców mogło przebierać w resztkach i odbudować wszystko we-dle swego gustu.

Zrobił dramatyczną przerwę.

- A jeśli im się nie uda, landgrafie? Jeśli - nie po raz pierwszy w życiu! - król szwedzki wykrwawi i rozbije wrogów na polu bitwy? Co wtedy? Jeśli odniesie zwycięstwo dzięki swojej własnej sile, lojalności jego sojuszników, Amerykanów - i komitetem korespondencyjnym, które zaczęły się pojawiać już w całych Niemczech? Ufam, że zauważyłeś, że placówki rekrutacji do tak zwanych „brygad ochotników” zaczęły działać również tu, w Magdeburgu, a nie tylko w Stanach Zjednoczonych.

-W Lipsku też jest przynajmniej jedna - dodała Amalie. - Słyszałam o tym wczoraj. Mówi się, że również w Norymberdze i we Frankfurcie.

-Atymczasem - kontynuował niemiłosiernie Wilhelm - Gustaw Adolf zauważy, że tylną część ciała ma posiniaczoną od razów zadawanych przez „książęta”, którzy również ślubowali mu wierność, ale go -radzili - czynami, nawet jeśli nie nominalnie - w momencie próby. !co wtedy, landgrafie?

Ten odwrócił wzrok, przyglądając się innemu z arrasów. Tak się złożyło, że przedstawiał on lwa pożerającego jelenia. Landgraf skrzywił się.

- Właśnie tak! - zaśmiała się jego żona. - Właśnie tak!

- Co proponujesz, Wilhelmie? - spytał cicho landgraf. - Proszę o konety - Uśmiechnął się niewyraźnie. - Wspaniała retoryka. Ale retoryka nie to samo co polityka.

Wilhelm Sasko-Weimarski był na tę chwilę przygotowany. Zaczął ówci szybko i z łatwością.

- Musisz ogłosić, że tworzysz nową ligę polityczną. Poza Saks0rij i Brandenburgią, Hesja-Kassel jest największym i najpotężniejszym ^ * stwem w Konfederacji Gustawa. Wielu (nie wszyscy, nawet nie większo-pomniejszych książąt pójdzie za twoim przykładem. - Skinął głową ^ Amalie. - Sommersburg na pewno. Gwarantuję, że zrobią to również wszyscy z ernestyńskiej linii Wettinów. Sporo wolnych miast RzeS2y Reichsstaedte, z pewnością zrobi to samo. Norymberga i Frankfurt na - mam kontakt z ich notablami.

- To samo z Ratzboną - wtrąciła szybko Amalie. - Wszystkie raporty zgodnie wskazują, że kiedy generał z armii Gustawa, Banér, w Ze. szłym miesiącu wypędził wojska Maksymiliana z miasta, ludzie oszaleli z radości. Ratzboną znajduje się na samej granicy z Bawarią i Austrią, więc na pewno będzie chciała przyłączyć się do Szwedów. - Poprawiła włosy. - Mówi się również, że Gustaw Adolf mianuje brata Wilhelma. Ernsta, administratorem całego Palatynatu Górnego. Pomyśl, co to może oznaczać.

Książę Hesji-Kassel zerknął na Wilhelma, szukając potwierdzenia. Ten skinął głową.

- Tak przynajmniej mówi Ernst. Niedawno otrzymałem od niego list— był z Banćrem, kiedy wkroczyli do Ratzbony. Teraz, po śmierci Fryderyka V i w sytuacji, kiedy wdowa po nim, Elżbieta, wraz z dziećmi niemal na pewno jest w hiszpańskiej niewoli, znów powróciła sprawa Palatynatu Górnego.

- Jeszcze tego mi było trzeba - mruknął książę Hesji-Kassel, wzdychając. Cała wojna trzydziestoletnia zaczęła się w momencie, gdy elektor Fryderyk V, palatyn reński, zdecydował się przyjąć propozycję Czechów i zostać ich nowym królem. Zaburzyło to równowagę władzy w Świętym Cesarstwie Rzymskim, więc Ferdynand II Habsburg i Maksymilian Ba-warski najechali Czechy. W bitwie pod Białą Górą w 1618 roku katolicka armia Tilly 'ego zmiażdżyła siły protestanckie. A potem na dokładkę woj-ska cesarskie i Bawarczycy najechali Palatynat i zabrali Fryderykowi również te ziemie. Został później nazwany „Królem Zimowym” ze względu na jedyną0* roku, podczas której korona należała do niego. Jego żona Elżbieta -stra angielskiego króla Karola - była zmuszona w ciągu najbliższych ^ uciekać z jednego miejsca wygnania do drugiego. W końcu Fryderyk zm w 1632 roku, jednakże pozycja Palatynatu nie przestała być jedną z ^e stii, o którą toczyły się najgorętsze walki w europejskiej polityce.

feraz oczywiście większość tego obszaru była w rękach protestanckich, a dokładniej w szwedzkich. Jednak...

Oficjalny następca tronu, Karol Ludwik, miał jedynie piętnaście lat, przynajmniej według plotek - został schwytany przez Hiszpanów, gdy najechali Holandię, gdzie Elżbieta przebywała na wygnaniu. Pytanie brzmiało więc: co Gustaw Adolf zdecyduje się zrobić w tej sytuacji?

Landgraf ponownie spojrzął na siedzącego obok mężczyznę. Wilhelm Sasko-Weimarski. Książę pozbawiony księstwa. Ktoś, kto zdecydował się abdykować, żeby walczyć o władzę jako człowiek z ludu w nowej republice. Mimo to człowiek, który jest bardzo blisko cesarza i którego młodszy brat ma spore szanse na zostanie administratorem najważniejszych rejonów w Konfederacji Księstw Europejskich. A jeśli nie wszystkich, to przynajmniej Palatynatu Górnego, który - prawdopodobnie nie w wyniku zbiegu okoliczności - jest jednym z głównych niemieckich ośrodków górniczych i produkcyjnych. Człowiek z ludu - tak. Bez władzy? Bez wpływów? Absolutnie nie.

- Bez wątpienia do czasu, gdy wróci prawowity następca - mruknął książę Hesji-Kassel.
- Ale co można by w tym czasie zmienić? I to na stałe?

Wilhelm wzruszył ramionami.

- Tak to jest. Czy nam się to podoba, czy nie, żyjemy w nowym świecie. Landgraf chrząknął.

- Ajaka miałyby być polityka tej nowej ligi?

- Zrobić wszystko, o co prosi cesarz. Co do jednej rzeczy. I nie mówię tylko o nadzwyczajnych krokach, które wczoraj przedstawił, ale o wszystkim, co razem z Oxenstierną proponowali od momentu powstania Konfederacji zeszłej jesieni. Swobodna żegluga po wszystkich wodach, drastyczna redukcja myta, likwidacja średniowiecznych pozostałości Pymusowej pracy - wszelkich śladów pańszczyzny - komisja upoważniona do radzenia sobie z tymi wszystkimi idiotycznymi lokalnymi praktykami, które utrudniają handel... - Zawahał się.

Reforma walutowa też, prawda? - zapytał ponuro książę Hesji-Kassel.

- Wilhelmie, doskonale wiesz, czym to się skończy za parę lat. Waluta "Cesarska", która, praktycznie rzecz biorąc, jest walutą amerykańską.

Ich szlag trafi razem z tymi żydowskimi bankierami.

Wilhelm wzruszył ramionami.

- Tu nie chodzi o Żydów i doskonale o tym wiesz. Co prawda Abrabanelowie i ich sojusznicy natychmiast dostarczyli płynnej waluty. Ale prawdziwym powodem, dla którego dolar amerykański jest „najtwardszą” walutą - mimo że to tylko papier i wszyscy o tym wiedzą - jest to, że stoi za nią bogactwo produkowane w księstwie, które ją emituje.

Ponownie wzruszył ramionami.

- Nie ma powodu, żeby ta produkcja nie została szybko przeniesiona również do Hesji-Kassel. - Usłyszał, że Amalie mruknęła parę słów zgodny. - Dodatkowo... jestem pewny, że dam radę załatwić to z Abrabanelami. Jeśli się nad tym zastanowić, to nie ma powodu, żeby oddział ich banku nie miał być otwarty również w twoim księstwie.

Landgraf uniósł sceptycznie brew. Wilhelm pokręcił głową.

- Przecież to są finansjści, nie ideologowie, bez względu na to, jak wielu z nich jest związanych politycznie i osobiście z Amerykanami. Nie zapominaj również, że Abrabanelowie to nie tyle rodzina, co wielopokoleniowy klan. Znajdzie się wielu, którym niezbyt będzie zależało na Amerykanach i ich bardziej skrajnych poglądach politycznych. - Do rzucił surowo: - Oczywiście musiałbyś im zagwarantować bezpieczeństwo od pogromów i prawo do wyznawania ich wiary, przynajmniej prywatnie.

Książę Hesji-Kassel odparł:

- To nie problem. Jeśli o mnie chodzi, mogą nawet zbudować synagogę. Większość moich poddanych ma tak samo dość fanatyków jak ja. A jeśli chodzi o tych, którzy nie mają... Wyprostował się na sofie.

- Przecież po to mam żołnierzy.

- Dobrze powiedziane! - wykrzyknęła jego żona. - Poza tym spójrz na pozytywy. Pamiętasz, co się stało, kiedy hrabia Schaumburg zezwolił na wolność wyznania w swej wsi Altonie.

Jej mąż w końcu się rozchmurzył. Ta historia - w tamtych czasach skandaliczna - była powszechnie znana. Altonę szybko zalali wyznawcy bardzo mało popularnych grup religijnych: mennonitów, anabaptystów, Żydów. Uważano, że hrabia oszalał - do czasu, aż jego skarbiec zaczął się napełniać po brzegi. Bez względu na inne cechy, członkowie tych odrzuconych grup religijnych okazali się oszczędni i przedsiębiorczy.

- I w końcu... - zaczął Wilhelm.

Książę Hesji-Kassel wyrzucił w górę ręce.

Tak! Tak! Ta wspaniała reforma podatkowa. Symbol tego wszystkiego - skończyć raz na zawsze ze zwolnieniem arystokracji od płacenia podatków jego żona przemówiła cicho, lecz stanowczo.

- To jest najważniejsze, mężu. Bez względu na to, czym różnią się politycy przedstawiciele ludu w Niemczech, nie ma wśród nich ani jednego "luteranina, kalwinisty czy katolika - który by uważał, że ten przywilej jest słuszny i sprawiedliwy. Zwolnienie od płacenia podatków to kula u nogi rozwijającego się cesarstwa Gustawa, a naszym zadaniem jest odpiąć łańcuch. Lepiej stracić część dochodów niż całość. Nie zapominaj, że kiedy nastanie pokój, podatki z tych ziem staną się częścią dochodu tych władców, którzy przetrwają nadchodzącą nawałnicę i nie dadzą się zatopić.

W salonie zapanowała cisza. Wreszcie landgraf skinął głową. - W porządku. Masz też propozycję nazwy dla tej nowej ligi politycznej? Wilhelm uśmiechnął się.

- Myślę, że dobre byłoby coś prostego i na temat. „Lojaliści Korony” powinno się nadać.

* * *

Później, przy obiedzie, Amalie zwróciła się do Wilhelma Sasko-Weimarskiego:

- A co będzie z tobą? Zamierzasz stworzyć ligę Lojalistów Korony w Stanach Zjednoczonych? Wilhelm zaśmiał się.

- Nie do końca.

I zaczął wyliczać.

- Po pierwsze, nie ma takiej potrzeby. Mamy wojnę i mogę cię zapewnić, że bez względu na to, jakie pretensje polityczne mają Amerykanie wobec Gustawa Adolfa, pod względem militarnym będą go w pełni wspierać. W przeciwieństwie do mnie, mogą swe wsparcie umocnić prawdziwą stalą i ogniem. A ja mógłbym wyglądać jak mały chłopiec, który maszeruje z mężczyznami i utrzymuje, że jest ich kapitanem.

Amalie zaśmiała się. Landgraf się uśmiechnął. Wilhelm kontynuował zliczanie.

- Po drugie, to raczej nie zjednałoby mi przyjaciół w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie - i coraz więcej ich nowych niemieckich obywateli - stają się niespokojni, gdy słyszą słowo „monarchia”. Wszyscy oni to zatwardziali republikanie - bez względu na wewnętrzne nieporozumienia.

- Jednak głównym powodem, dla którego mówię „nie”, jest to, że te Zjednoczone nie potrzebują ligi arystokratów - która przynajmniej na razie wystarczy Konfederacji - ale prawdziwej partii politycznej w amerykańskim rozumieniu tego słowa. Coś z głębokimi korzeniami i silnym poparciem.

Landgraf wraz z żoną wpatrywali się w niego. Wilhelm, były książę Sasko-Weimarski, uśmiechnął się pogodnie.

-Tak, tak. Mój program będzie się opierał na najlepszych poglądach niemieckich kameralistów i zostanie ubarwiony tradycją polityczną Amerykanów. Natomiast jeśli chodzi o taktykę, zamierzam sporo podpatrzeć u Michaela Stearnsa. Przez ten miniony rok bardzo dokładnie mu się przyglądałem.

-Co tak naprawdę o nim myślisz? - spytała Amalie. W jej głosie brzmiała jedynie ciekawość.

- Prywatnie bardzo go podziwiam. Posunąłbym się dalej. Bez względu na różnice polityczne - a są spore - tak naprawdę nie uważam go za swojego wroga. Na pewno jest moim „przeciwnikiem”. Ale nie „wrogiem”. Sądzę, że to kluczowa różnica, i Amerykanie też tak sądzą. Prawdę mówiąc, mają nawet na to nazwę: „lojalna opozycja”.

W spojrzeniu landgrafa i landgrafowej pojawił się teraz sceptycyzm.

- Wygląda na to, że ma wszelkie zadatki na tyrana - burknął książę.

- Jak starzy greccy tyrani? - Wilhelm wzruszył ramionami. - Zadatki ma, to prawda. I to na przerażającego tyrana. Poza tym uważam, że gdyby poczuł, że nie ma wyboru, poszedłby tą drogą. Jednak na pewno nie z chęcią.

Przerwał, żeby pomyśleć.

- Kiedyś za młodu był zawodowym pięściarzem.

Landgraf z żoną skrzywili się. Pięściarstwo za pieniądze znano już w ich czasach, ale było ono dzikie i krwawe. Stało na równi z walkami kogutów i szczuciem psami uwiązane niedźwiedzia. Ludzie, którzy w tym uczestniczyli, uważani byli za bezwzględnych brutalni. Wilhelm uśmiechnął się.

- Chyba źle mnie zrozumieliście. W jego świecie to był sport. Dostawczy brutalny, to prawda. Tak... Nie popełnijcie błędu i nie sądźcie, że Michael Stearns powstrzyma się od rozlewu krwi. Ten sport był świetnie zorganizowany. Nazywano go „boksem” i obowiązywały w nim swoje zasady.

Oraz przepisy. Wielu rzeczy zabraniano - między innymi tak zwanych ciosów poniżej pasa". Gdy ktoś złamał te zasady, mógł przegrać mecz. położył otwartą dłoń na stole.

„Ciągnąc mą myśl, uważam, że Michael Stearns chce nauczyć świat boksu na użytek politycznej. Tak więc myśląc perspektywicznie, moim obowiązkiem - być może najważniejszym - jest dopilnować, żeby nigdy nie stanął przed koniecznością zostania tyranem. Gdyż ufa, że jego przeciwnik będzie boksował, a nie walczył jak zwierzę. Tak więc jeśli przegra mecz, to będzie to po prostu mecz, a nie życie. I przecież będzie mógł wygrać następny. Boja i... - jego spojrzenie przebiegało między nimi tam i z powrotem inni damy mu w sytuacji trudnego wyboru między tyranią a zniszczeniem alternatywę do zaakceptowania. Przy stole zapadła cisza. Po pewnym czasie Amalie wstała.

-To chyba wystarczy jak na jeden wieczór. Już późno, jestem zmęczona. - Uśmiechnęła się do nich. Nie do końca pogodnie, ale zaskakująco ciepło. - Choć nie mam wątpliwości, że w ciągu najbliższych lat czeka nas jeszcze wiele takich spotkań.

-To nie jest takie złe jak wojna - stwierdził Wilhelm. - Szczególnie wojna domowa.

- Rzeczywiście - zgodził się landgraf, dopijając wino. - Widziałem prawdziwą wojnę. Prawdę mówiąc, od piętnastu lat przyglądam się wojnie domowej. Jest plugawa.

* * *

Wilhelm spędził noc w pokoju gościnnym księcia Hesji-Kassel. Późnym porankiem następnego dnia wyruszyli na posiedzenie Izby Książąt, zaplanowane na wczesne popołudnie. Gdy wychodzili, odźwierny podał Wilhelmowi list pozostawiony przez kuriera zaraz po świcie. Książę złapał pieczęć, otworzył list i dokładnie go przeczytał. Potem go złożył i głębokoschował.

Ze względu na to, że dzień był bardzo przyjemny i mieli mnóstwo czasu - żadne posiedzenie książąt niemieckich nie zaczynało się punktualnie - postanowili, że się przejdą. Do cesarskiego pałacu w żadnym razie nie było daleko.

Kiedy zbliżali się do pałacu, usłyszeli dochodzący z wysoka dziwny °dgłos. Tak jak wszyscy znajdujący się na ulicy, zatrzymali się i spojrzeli W šóre. Tam, przepływając bezpośrednio ponad pałacem, pojawiła się najdziwaczniejsza machina, jaką kiedykolwiek widzieli. Wszyscy poza Wilhelmem. Były książę już ją widział, i to wiele razy.

- Czy to...? - spytał książę Hesji-Kassel.

- Tak, landgrafie. To właśnie nazywają „samolotem”. W liście, k[^] dostałem, gdy wychodziliśmy, prezydent Stearns poinformował mnie, że dziś rano wraca do Grantville. Książę wyciągał szyję, patrząc, jak „Belle” przelatuje nad nimi. WŚ2y. scy inni również to robili, jedynie Wilhelm w tym czasie wyjął Hst \ nownie go przeczytał.

Książę Hesji-Kassel opuścił głowę dopiero wtedy, gdy samolot zniknął za horyzontem. Zmarszczył czoło i wskazał na południe.

- Aleja czegoś nie rozumiem. Turyngia jest w tamtym kierunku. Więc czemu leci...? Wilhelm westchnął. Jeszcze dużo wody upłynie, zanim Niemiec książęta - używając nowoczesnego wyrażenia - załapia, o co chodzi.

- Dlaczego leci na północ? Gdybyś go spytał - albo gdybyś spytał do wódcę jego niewielkich sił powietrznych, który prawdopodobnie siedzi za sterami tej maszyny - powiedziałyby, że ze względu na kierunek wiatru czy coś takiego. Takie techniczne wyjaśnienie, którego nie byłbyś w stanie za dobrze zrozumieć.

Ten sam specyficzny buczący odgłos zaczął ponownie wypełniać przestrzeń - tym razem dochodził z północy. Brzmiał jak gigantyczna osa.

- Natomiast prawdziwym powodem... - Wilhelm zamilkł, czekając, aż odgłos ucichnie. Tym razem samolot Mike'a Stearnsa leciał bardzo nisko. Kiedy przelatował bezpośrednio nad pałacem cesarskim, a następnie ponad główną drogą, na której znajdowali się rozmówcy, Wilhelm zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy stoi dokładnie pod latającą maszyną.

- Nazywają to chyba „buczeniem”! - krzyknął. I odgłos, i samolot znikły w oddali.

- Jak już mówiłem, prawdziwym powodem, dla którego to zrobił, było niezbyt subtelne przypomnienie wszystkim, którzy będą dziś na posiedzeniu... - Wilhelm wskazał palcem na pałac cesarski - że mogą albo dojść do porozumienia z Gustawem Adolfem, albo... - tu gwałtownym ruchem kciuka wskazał za siebie, tam, gdzie niedawno zniknął samolot ~ pewnego dnia będą musieli spróbować dojść do porozumienia z nim.

Książę Hesji-Kassel chrząknął.

- Rzeczywiście. Król Szwecji z każdą chwilą wydaje się coraz bardzo interesujący.

- Prawda?

Przeszli kilka kroków, gdy Wilhelm podał swemu rozmówcy Ust

IL Sądę, że tak naprawdę jest do Ciebie, choć list jest adresowany do pinie- Napisany bardzo uprzejmie, ale sedno brzmi następująco: prezy-de0t Stanów Zjednoczonych czuje, że byłoby bardzo uprzejmym ge-stem, gdyby admirał rezydujący w Magdeburgu został zaproszony wraz z żoną na kilka z wielu uroczystości, które towarzyszą zgromadzeniu jylu niemieckich książąt (trzeba pokazać naszym wrogom, że jesteśmy jednoczeni). A skoro ty jesteś najważniejszym z nich - pomińmy Sak-sonię i Brandenburgię, oni tego nie zrobią - uważam, że powinieneś wyjść z inicjatywą. Poza tym Amalie i tak zawsze urządza najlepsze przyjęcia. Książę Hesji-Kassel miał bardzo skwaszoną minę. Kiedy jednak do-szedł do końca listu, wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać.

- Hm... chrząknął. - Sądziłem, że ten Simpson to jakiś półbarbarzyń-ca. Mówiłeś mi...

Wilhelm wyglądał na odrobinę zawstydzonego. Osobiście nie mógł powiedzieć nic dobrego o kampanii, którą Simpson prowadził przeciw-ko Mike'owi Stearnsowi rok wcześniej. Sam Simpson mógł utrzymy-wać-jak to raz uczynił, gdy był z Wilhelmem na osobności i ten wyra-ził swe zdanie że prywatnie nie jest uprzedzony do Niemców. Wilhelm był nawet skłonny mu wierzyć. Jednak zwolennicy Simpsona nie do-strzegali takich drobnych różnic.

Ciągle pamiętał napis, który „zdobił” przynajmniej jedną z gospód w Grantville: „Psom i Niemcom wstęp wzbroniony”.

-To wobec niego niesprawiedliwe - powiedział stanowczo. - Teraz jestem co do tego przekonany. Tak, rzeczywiście popełnił kilka błędów. I to według mnie poważnych. Ale... - Spojrzał na księcia. - Kto z nas ich nie popełnia, hm?

Dotarli do schodów pałacowych. Książę Hesji-Kassel opuścił na chwi-'Clist, aby ustalić plan działań. Ponownie chrząknął, spojrzawszy na cią-nieukończony ogromny gmach. - Na pewno nie księżęta niemieccy, 'o pewne.

Postukał kciukiem w list.

- Muszę powiedzieć, że ta ostatnia część wygląda obiecująco. Nawet r°bi wrażenie, choć oczywiście nie rozpoznaję żadnego z nazwisk.

Wilhelm nic musiał ponownie zerkać do listu, żeby wiedzieć, o czym ^°wi książę. Mike Stearns zakończył wiadomość listą różnych organiza-% do których kiedyś należała Mary Simpson - a w niektórych przypad-a°h nawet była ich przywódczynią.

- Zgadza się. To chyba szczególnie interesujące dla Amalie, bi0r pod uwagę jej patronat nad przedmiotami humanistycznymi i naukami ścisłymi.

Książę ponownie wyraził mruknięciem zgodę, wchodząc po schodach i jednocześnie czytając list.

- Jak sądzisz, co to znaczy? „Rada nadzorcza”. Robi wrażenie, cokoU wiek to jest.

* * *

Wysoko na niebie, wiele kilometrów od Magdeburga, Jesse rzucił Mike'owi sarkastyczny uśmiech.

-1 co? Czujesz się lepiej, prezydencie? Po tym jak zmarnowałeś tyle drogiego paliwa? Uśmiech, którym odpowiedział mu Mike, był pogodny.

- Wolę marnować paliwo i atrament niż ludzką krew, Jesse.

- Hm... Okej. Zgadzam się.

Posiedzenie gabinetu, które zaczęło się tego wieczora niedługo po po-wrocie Mike'a do Grantville, było najburzliwszym od wielu miesięcy -a pod pewnymi względami najburzliwszym, jakie kiedykolwiek miało miejsce.

Zaczęło się od nawałnicy, a później było już tylko gorzej. Przez cały czas - nie żeby to Mike'a dziwiło - Quentin Underwood znajdował się w samym centrum. Jak w oku cyklonu - tylko że w tym oku absolutnie nie było spokojnie.

- Posłuchaj, ja wiem, że to będzie jak wrzód na dupie! Ale to niestety nie oznacza, że nie musimy tego zrobić. Przestań mi więc powtarzać, że me możemy, i wymyśl sposób, żebyśmy mogli!

Mike Stearns piorunował wzrokiem obecnych na miejscu członków swego gabinetu. W tym konkretnym momencie strasznie mu brakowało Rebeki - i to nie tylko dlatego, że była jego żoną. Za Melissa Mailey 'Csknił prawie tak samo. Z tym kryzysem Melissie też byłoby trudno so-^e poradzić, ale jej spokój przemieszany z uszczypliwością byłyby bar-^eJ na miejscu niż rozdrażnienie, któremu teraz musiał stawić czoła.

- Łatwo ci tak siedzieć, wymachiwać rękami i mówić nam, że musimy e^s zrobić - warknął Quentin Underwood. - A zastanowiłeś się dokład-leJ> jak mamy dokonać tego cudu? "Eddie zajmował się ładunkiem z pierwszej barki, zanim Jesse przy-^óźł mnie do domu - powiedział bezbarwnym głosem Mike. - Wezwali

„Meteora" i „Metacometa", żeby holowały barkę w dół rzeki, a Eddje i Simpson obiecali mi, że „Meteor" wyruszy w drogę z pierwszą partją towaru, zanim się ściemni. Jeśli im się to uda, nie będę słuchał żadnych bredni, że niby nie możemy zrobić tego, co do nas należy.

Mike był już autentycznie rozdrażniony. „Meteor" i „Metacometa" byjy pierwszymi z kilku zaplanowanych holowników rzecznych, napędzanych stworzonymi w Grantville silnikami parowymi. Nie były szybkie, ale i \A przewyższały w tym względzie konie pociagowe, a ich zanurzenie na sześć-dziesiąt centymetrów było na tyle niewielkie, że mogły się poruszać prak-tycznie po każdym zbiorniku wodnym wystarczająco głębokim dla barki Quentin doskonale zdawał sobie z tego sprawę, gdyż liczył na to, że wy. korzysta je do przewozu sporej części ropy naftowej, którą zaczynał wy.

dobywać w Wietze.

- Ale oni już są na tej cholernej rzece! - warknął Underwood. - A gdy-byś nie zauważył, nas tam nie ma!

- O kurde, naprawdę? - Mike spiorunował go wzrokiem i przez chwi-lę znowu byli jak skaczący sobie do gardeł przedstawiciele związku za-wodowego i zarządu. Jednak niemal jednocześnie obaj wzięli głęboki oddech i wrócili do normalnej pozycji siedzącej.

- Posłuchaj, Quentin - powiedział Mike najspokojniej jak umiał wiem. że to będzie poważna operacja. Cholera, niby dlaczego tak bardzo upiera-łem się przy stworzeniu połączenia kolejowego z Halle?

- Które - stwierdził Underwood - pewnie udałoby się nam do dzisiaj ukoń-czyć, gdybyśmy nie oddali wszystkich szyn cholernej flocie Simpsona.

Mike rzucił mu gniewne spojrzenie i tym razem kilku innych człon-ków gabinetu - między innymi Frank Jackson i Ed Piazza - przyłączyło się do niego.

- Quentin, nie bądź pierdołą - rzekł bez ogródek Jackson. Twarz byk-go kierownika kopalni przybrała interesujący odcień czerwieni, ale Jack-son mówił dalej, zanim tamten zdołał wybuchnąć. - Doskonale wiesz, # byłem równie wkurzony jak ty, kiedy Simpson (a właściwie Eddie i Simp" son, jeśli już chcemy się czepiać) zabrali te szyny. Jednak pewnie z tych samych powodów - mnie po prostu było żal, że znika tyle wysoW jakości stali. Ale zastanów się, gdzie byśmy teraz byli, gdyby Simp50" nie siedział w Magdeburgu i nie budował swego małego imperium -1 dzi, które pomogą dokopać Duńczykom!

- W porządku - rzekł po chwili Underwood. - Jestem w stanie to PrZ^ znać, oczywiście pod warunkiem, że rzeczywiście je ukończy i ^ pa morzu! Ale - ciągnął głosem, który był spokojniejszy, ale wcale nie jpfłlej uparty - to nie zmienia faktu, że nie mamy połączenia kolejowego stąd do I lallc. I nie będziemy mieć. Przynajmniej w najbliższym czasie.

-Wykrzywił odrobinę usta. - Nie będzie nawet tych tandetnych drewnia-nych szyn pokrytych żelazem, które nazywamy „linią kolejową", a po któ-jyCh przewozi się żalosne ładunki najczęściej za pomocą „lokomotyw" stworzonych z pikapów - albo nawet zaprzęgu konnego.

Mike zacisnął zęby. Jedną z wielu rzeczy, których nie lubił u Under-wooda. było jego uparte drażnienie tematu, który najlepiej byłoby zostawić w spokoju. Według Mike'a nie mieli wyboru - decyzja rozpoczęcia prac z „lekkimi” szynami została podjęta wiele miesięcy wcześniej. Quentin sprzeciwiał się temu z tych samych względów co zawsze, gdy w grę wchodziło rozdysponowanie ograniczonej ilości zapasów i związane z tym kompromisy. Miał dostać to, czego chciał, do cholery jasnej, i już - a później bez przerwy próbował wszystkim pokazać, co o tym myśli. „Płakać nad rozlanym mlekiem” i „Co się stało, to się nie odstanie” nie znajdowały się na liście utartych zwrotów Underwooda. Natomiast „strzepić sobie język” zajmowało na niej jedną z czołowych pozycji.

„Gdyby był obecny przy stworzeniu świata - pomyślał kwaśno Mike - ciągle by nadawał na Boga, że stworzył morze nie w tej kolejności, co trzeba”.

- Ale mamy połączenie drogowe - zwrócił mu uwagę przez zaciśnięte zęby. - I ciągle mamy kilka ciężarówek do przewozu węgla oraz trzy ciągniki siodłowe. Trzymamy je tu w razie awaryjnej sytuacji. I co, Quentin, czy to jest taka sytuacja?

- Jezu, Mike - powiedział Underwood. - Zdajesz sobie sprawę, jak to bardzo uszczupli nasze zapasy paliwa?

- „Uszczupli”, akurat - odrzekł spokojnie Mike. - To pochłonie większość naszych zapasów. Ale alternatywa jest gorsza. Ty z twoimi polami naftowymi będziesz po prostu musiał wziąć sprawy w swoje ręce - to samo dożył fabryki metanolu. Poza tym od kiedy unowocześniliśmy szyby naftowe w Grantville. otrzymujemy z nich sporo ropy. O tym też nie zapominaj. - niósł w górę rękę, zapobiegając kolejnemu wybuchowi. - Pewnie, pewnie, Quentin, nazywaj to strużką, jeśli chcesz. Ale nam ta „strużka” wystarczy. Na szczęście boską, my nie próbujemy tu odegrać inwazji na Normandię.

"Nawet jeśli użyjemy ciężarówek - zwrócił uwagę James Nichols - nie ustanowimy żadnych rekordów prędkości. Wyrównaliśmy większość & do Halle, ale to i tak będzie długa, powolna podróż.

- Wiem - zgodził się Mike. - Ale dwie łodzie, o które prosi Edd mają własne naczepy. Jeśli podciągniemy łódź George'a Watsona na jej ciężarówkę i wykorzystamy jedną węglarkę, będziemy w stanie wieść całą „flotyllę” Eddiego za jednym zamachem.

- George'a? - Jackson zaśmiał się, kiedy Mike przytaknął. - A to dopiero! - rzekł generał ze złośliwym uśmiechem. - Chcesz powiedzieć że ta luksusowa zabawka tego idioty do czegoś się jednak przyda?

- Na to wygląda. Zakładając, że uda się ją dostarczyć do Wismaru.

- Chcesz tylko dwie ciężarówki? - spytał Ed Piazza.

- Oczywiście, że tylko dwie - warknął Underwood. - Jeśli w ogóle mamy to zrobić, to sens ma jedynie wysłanie reszty rzeczy z listy zakupów Simpsona lądem do Magdeburga. Motorówki nie dadzą rady zabrać tego badziewia w dół rzeki. Będziemy musieli wysłać to Simpsonowi a wtedy on to dalej przetransportuje barkami. Powinniśmy to zmieścić do jednej ciężarówki. Chyba. - Wzruszył ramionami. - Ajak się nie uda. zawsze możemy dołączyć jeszcze jedną naczepę. Mamy ich kilka. Wysłanie tego do Simpsona drogą lądową będzie szybsze niż spławienie Soława z Halle do Magdeburga. Prawdopodobnie zdąży nawet przeładować to wszystko na własne barki, zanim motorówki zdołają tam dotrzeć w dół rzeki. Ja na pewno byłbym tam szybciej niż barka z Halle!

- Właśnie - potwierdził Mike. Underwood ciągle był ponury.

- Najgorszym problemem będzie zużywanie się opon do ciężarówek. Na szczęście łodzie są dużo lżejszym ładunkiem niż ten, do którego przewożenia te opony zostały zaprojektowane. Ale mimo to... mamy mnóstwo opon samochodowych, bo samochody po prostu stoją nieużywane, a praktycznie nie mamy zapasowych opon do ciężarówek. Jak się zużyją...

-To się zużyją i tyle - dokończył z mocą Mike, usiłując uspokoić Quentina, zanim wdadzą się w kolejną bezsensowną sprzeczkę. Kilka miesięcy wcześniej Underwood zamienił posiedzenie gabinetu w awanturę, gdyż upierał się, że produkcja gumy powinna stać się ich priorytetem. Nie przejmował się tym, jak tego dokonać - a przecież nie było zapasów gumy naturalne złoża były na drugim końcu świata, i to pod polityczną kontrolą 3. innych narodów, nie mówiąc już o tym, że Konfederacja Księstw Eutopiejskich i Stany Zjednoczone praktycznie nie miały dostępu do motylów, nie wiedział, czego chce. Kropka.

-Tym zajmiemy się kiedy indziej, Quentin. Atut mamy problem teraz.

I Ale jeszcze nie jesteśmy gotowi wysłać broni - powiedział z niepokojem Ferrara. - Ciągłe jeszcze brakuje nam około miesiąca do rozpoczęcia produkcji ciężkich rakiet, których chce Simpson. - Skrzywił się. - To ja moja wina. Ostatnim razem, jak rozmawiałem z Eddiem, sądziłem, plan będzie wyglądał lepiej niż teraz. A potem odciągnął mnie projekt ładunków chemicznych czego bym nie oddał za choć jeden ciężki zbiornik ciśnieniowy ze stali nierdzewnej... pokręcił głową. Nie można było bez końca rozpamiętywać faktu, że choć w Grantville było sporo niewykorzystanej stali nierdzewnej, większość stanowiła blacha. A im dalej daleko było do rozpoczęcia produkcji stali nierdzewnej od podstaw.

To nie ma teraz znaczenia - ciągnął dalej. - Teraz ważne jest to, że nie mogę ci dać tego, czego nie mam. A nie mam dalekosiężnych pocisków raketowych.

-A co jest nie tak z tymi, które mamy? - spytał Underwood. - Wcześniej się sprawdzały. - Pewnie, że tak - zgodził się sarkastycznie Frank. - Oczywiście używaliśmy ich raczej na krótką odległość i wystrzeliwaliśmy z ładnych, stabilnych lądowych wyrzutni. I to przeciwko celom o wielkości i prędkości hiszpańskich tercios. Ach, przypomniało mi się jeszcze, że wystrzeliwaliśmy wiele na raz, więc nawet jeśli połowa z nich chybiła, reszta i tak załatwiała sprawę. - Pokręcił głową. - Wiem, o jakiej rakiecie mówią Simpson i Eddie. Jest o wiele cięższa niż to, czego używaliśmy na polu walki. Quentin. I ma dwa albo i trzy razy większy zasięg.

-I jest dokładniejsza, i ma cięższą głowicę bojową - dodał Ferrara.

-Ale jeśli jest o tyle cięższa, to i tak mieliby problem z umieszczeniem jej na motorówce, prawda? - spytał Nichols.

-Umieszczenie ich na motorówce tak czy siak będzie strasznym problemem, jakkolwiek byś na to nie patrzył - odparł ponuro Ferrara. - Trzeba będzie skłecić jakąś tarczę, żeby osłonić się przed odrzutem gazów przy odpalaniu rakiety. A celowanie będzie beznadziejne. Jeśli chcemy rażać, trzeba się z tym obchodzić jak ze śrutówką, a wróg musi znajdować się naprawdę blisko. Jak blisko? - zapytał Mike.

"Trudno powiedzieć. Nie wiem wystarczająco wiele o panujących tam inkach, żeby mieć o tym choćby mgliste pojęcie. Będą to musieli wybinować, jak już wyruszą, ale, szczerze mówiąc, byłbym zaskoczony,

gdyby byli w stanie trafić „Titanika” z odległości dużo większej niż czterdzieści metrów.

-Tak blisko? - Mike'owi trudno było ukryć konsternację... a właściwie to zbyt nie starał. „Nie brać jeńców! Wypuścić psy Wojny” Młodzieńcy - których to on wystawił na niebezpieczeństwo - wkrótce mieli zacząć umierać.

- A co z miną magnetyczną pomysłu Eddiego? - spytał sceptycy Underwood.

- Właściwie uważam, że to całkiem niezły pomysł - odparł Jackson - Znam Sama i Ala, a Al zawsze się przydawał, jeśli trzeba było wysadzić jakieś pieńki czy głązy. Nigdy nie rozumiałem, co oni widzą w pływaniu po starych, zalanych kamieniołomach i kopalniach - w Appalachach nie ma głębszego sportu niż nurkowanie z akwalungiem - no ale przynajmniej mają hobby, nie? - Uśmiechnął się szeroko. - Chodzi o to, że są przyzwyczajeni do pływania w ciemnościach, a Al może również przykleić dynamit do dna czyjejs łodzi. A tak się

składa, że ciągle mamy w magazynie z bronią ze sześć skrzynek dynamitu. Szczerze mówiąc, oszczędzałem je do czegoś takiego.

- Naprawdę? - ożywił się Ferrara. - Zostało aż tyle dynamitu? -No... tak. - Tym razem Jackson odpowiedział nieco mniej pewnie.-

Nie chciałem robić zbyt wiele szumu wokół faktu, że go mamy, bo gdyby wszyscy o tym wiedzieli, codziennie by ktoś przychodził prosić o laskę dynamitu, którą koniecznie musi dostać do jakiegoś tam wyjątkowo ważnego projektu. Wydawało mi się, że znacznie lepiej będzie po prostu nie przyznawać się, że go mamy.

- Co tam jeszcze przed nami ukrywasz? - spytał Underwood.

- Później możemy się zająć szczegółowym spisem inwentarza - prze-rwał Mike ku widocznej uldze Jacksona. - Frank próbuje nam pokazać że mamy możliwość umieszczenia środków wybuchowych na statkach przeciwnika poniżej poziomu wody.

- Może nawet uda nam się zrobić coś więcej - dodał Ferrara. - Położenie nawet ćwiartka laski dynamitu sprawiłaby, że nasze główne rakiety o-
we wyrządzałyby o wiele więcej szkód.

- Ale jeśli policzyć, ile musielibyśmy odpalić, żeby trafić do nasze zapasy dynamitu skończyłyby się cholernie szybko - zauważył

Jackson. . Q1A

-Nie mówiłem o pociskach, które już mamy. Chodziło mi o rakiety dalekosiężne, nad którymi pracujemy w warsztacie. Będą

ładniejsze. Frank. To dlatego chciałbym dla nich najlepszych głolakió będziemy mogli stworzyć. Szkoda by było je zmarnować. _ Hm, możemy o tym później porozmawiać - odrzekł Jackson. - Teraz najważniejsze jest to. że razem z Eddiem mogę wysłać kilka skrzynek dynamitu.

-A co / resztą jego „listy życzeń”? - spytał Piazza.

_ Wysyłamy wszystko, co na niej jest-powiedział zdecydowanie Mike.

Wszystko, że Gustaw właśnie ten tydzień wybrał na inspekcję . mcernika. Jeśli jest ktoś, kto jest w stanie zorganizować skuteczną obronę Lubeki, to właśnie on. Z kolei sam fakt. że to on będzie dowodził obroną miasta, znacznie podnosi stawkę. Jak tylko Richelieu i Duńczycy zorientują się, że znajduje się w mieście, będą jeszcze bardziej zdeterminowani, jbyje zająć... i przy okazji wypchnąć Gustawa za burtę.

-To samo przyszło mi do głowy - rzucił cicho Nichols. - Jesteś pewny, że chcemy go narażać?

- Narażać? - zaśmiał się Mike. - James, ten człowiek zarabia na życie, tając natarciami kawalerii! A przy tym nawet nie mógł nosić zbroi, fopóki mu nie wyjąłeś kuli z szyi! Przecież on nawet nie mrugnie przy s tak bląhym, jak odparcie całej duńskiej armii z niespełna czterema tysiącami żołnierzy u boku. Temu wariatowi pewnie nawet sprawi to przyjemność!

- Ująłeś to nieco za ostro - powiedział Jackson. - Spędziłem z nim w terenie trochę więcej czasu niż ty, Mike. Przyznaję, że ma ciągoty do poryw-

I. ale u luściwie to chyba dobrze. Zastanów się, gdzie teraz byłby Jeff Higgins. gdyby „kapitan Gars" nie włączył się w tę walkę w szkole. Z kolei •ydaje mi się, że wziął sobie do serca wszystkie kazania, które prawiliście "iuz Melissą. Nie będzie już narażał swego życia tak, jak to robił w naszej Przeszłości. A przynajmniej nie wtedy, kiedy będzie miał wybór.

- Problem polega na tym, że on będzie twierdził, że nie ma wyboru, ocznie częściej, niż bym sobie tego życzył - mruknął Mike.

~To właśnie sprawia, że jest tak cholernie skuteczny - odparł Jackson, /ruszając ramionami. - Osobiście nie bardzo mi się to podoba, ale nie

^ogę kwestionować efektów-. Przynajmniej do tej pory. -Może. Mike zmarszczył czoło i westchnął. - Chodzi jednak o to, ille ma takiej możliwości, żebym mu nakazał wycofanie się z Lubeki. Prawdę mówiąc, sam fakt, że żołnierze - i również mieszkańcy miasta

^ją świadomość, że Gustaw tam przebywa, będzie wart przynajmniej e, co tysiąc lub dwa tysiące ludzi.

- Nie wspominając już o tym, że szwedzka armia poruszy niebo i Zje mię, żeby wyrwać go z tej pułapki - dodał pewnie Jackson.

* * *

W tym samym momencie osoba, o której rozmawiali, zwoływała w^, sne zebranie w Lubece. Było ono nieco mniejsze niż to w Grantville i nje którzy ze zgromadzonych okazywali niepokój.

-Wasza Wysokość nie mówi poważnie! - sprzeciwił się Axel Oxen, stierna. Główny minister Gustawa Adolfa dopiero co wrócił ze Szwecji Przybył wczesnym popołudniem na pokładzie jednego z wielu statków, które tłoczyły się w porcie Lubeki i był więcej niż przerażony planami króla.

- Oczywiście, że mówię, Axelu - odparł spokojnie Gustaw.

- Więc na pewno nie powinno tak być! - powiedział ostro Oxenstier-na. - To miasto może i jest ważne, ale nie tak jak ty sam!

- To nic nie da - rzekł ponuro Lennart Torstensson. - Cały ranek się z nim kłóciłem. - Spojrzał na swego monarchę spode łba. - Nic do niego nie dociera. Znowu zawładnął nim kapitan Gars!

- Nonsens! - odparł wesoło Gustaw. - Ten lekkomyślny oficer nie mógłby się mieszać w tak poważną sprawę. Co to, to nie! Jemu nigdy bym nie powierzył dowodzenia.

- To świetnie, że żartujesz, Gustawie. - Oxenstierna mówił teraz dużo poważniejszym tonem. - Ale to ty mi opowiedziałeś, jakie konsekwencje miała twoja śmierć w świecie, z którego przybyli Amerykanie. A teraz -jeśli można w ogóle o czymś takim mówić - jesteś dla przyszłości jeszcze ważniejszy, niż byłeś wtedy. Po prostu nie możemy sobie pozwolić na utratę ciebie i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

- Axel, przyjacielu - rzekł cicho Gustaw - ostrożność jest bardzo do-bra, ale nie mogę jej pozwolić kierować mym życiem. I nie pozwolę. Słu-żę własnemu Królowi i jeśli tak się złoży, że będę musiał narażać życie w Jego służbie, zrobię to. A jeśli On zadecyduje, że mam zginąć - zginfc ufając, że zajmie się moim ludem.

- Upraszam, byś sobie przypomniał, że w tamtej wersji historii tego nie uczynił - rzekł bardzo cicho Oxenstierna, a przez twarz Gustawa prze' mknął grymas niezadowolenia.

Kanclerz nie ugiął się jednak przed szcze-rym gniewem widniejącym w niebieskich oczach swego króla. Po pr°stu stał, spoglądając w nie, a po chwili Gustaw wziął głęboki oddech i P0^ cił głową.

- Może to dlatego (albo po części dlatego) wysłał Amerykanów i Otr sty Krąg do tej wersji historii - rzekł. - Niektórych konsekwencji teg

„icsamowitego wydarzenia nie potrafię w żaden sposób zinterpretować.

wiem jedno, A.\elu: nie mogę pozwolić, żeby wydarzenia ze świata, którego nigdy nie poznam, kierowały moimi decyzjami w tym świecie. MogQ Jc taktować jako ostrzeżenie, to prawda. Jednakże nie zgodzę się, żeby strach przed tym. by się nie powtórzyły, oderwał mnie od mego pcywistego obowiązku. A w tym momencie jest nim dopilnowanie, żeby t0 miasto nic wpadło w ręce Chrystiana IV i jego francuskiego mocodawcy!

- Nie powiem, żebym się nie zgadzał - odparł Oxenstierna z uporem, na który mógł sobie pozwolić dzięki niezrównanej lojalności wobec Gu-stawa. - Chodzi mi tylko o to, że masz przecież generałów na rozkazy. Chociażby Lennart - machnął ręką w kierunku

Torstenssona - mógłby bez trudu dowodzić obroną Lubeki, podczas gdy ty zająłbyś się gromadzeniem posiłków.

-Nie - rzekł kategorycznie Gustaw. - Nie umniejszam wartości Lenarta. Ale miną długie miesiące, zanim będzie można zgromadzić jakiekolwiek posiłki dla Lubeki, Axelu. Dobrze o tym wiesz. A nawet wtedy, jeśli będzie to możliwe, wolałbym ich użyć do kontrataku. -

Zacisnął potężną pięść i wysyczał następane słowa: - Zamierzam pokonać Richelieu i jego sojuszników, a nie po prostu odeprzeć ich atak.

Na twarzy Torstenssona, najbardziej wojowniczego i najmłodszego z generałów Gustawa, pojawił się szeroki uśmiech. Nawet kąciki ust Oxenstierny uniosły się.

Król ciągnął dalej:

- Wszelkie oddziały, jakie możemy zebrać, muszą najpierw wyruszyć do Wismaru, żeby zastąpić siły, które stamtąd wycofam do pomocy Lubece, a zdobycie kilku tysięcy ludzi zajmie dużo czasu. Horn jest unieruchomiony w Palatynacie - musi pilnować Bernarda i Francuzów na Renie. Banér ze swym korpusem musi oczywiście zostać na południu. Ani Maksymilian Bawarski, ani cesarz Ferdynand nie poddadzą się teraz tylko dlatego, że zajęliśmy Ratyzbone. - Zacerpnął głęboko powietrza i zacisnął szczęki. - A dodatkowo - niech ich wszystkich szlag trafi! - Otto von Wróblewski musi pozostać ze swymi oddziałami w Magdeburgu i okolicy, żeby oni tak zwani sprzymierzeni książęta w Saksonii i Brandenburgii byli trzydni za łeb. Nie wspominając już o tym... - spojrzał bystro na Oxenstiernę - że trzeba mieć oko na Wallensteina w Czechach.

Kanclerz skinął głową, niechętnie - i w ciszy - zgadzając się z ostatnim zdaniem.

- Wiesz, w co jesteśmy zaangażowani, Axelu - kontynuował Gustaw

- Zdajesz więc sobie sprawę, że minie wiele tygodni, a nawet miesiące zanim zgromadzimy wystarczające siły, żeby mieć nadzieję na złamanie oblężenia, które się tu niedługo rozpocznie. To do tego zadania - zorganizowania obrony Wismaru i w końcu dostarczenia posiłków Lubece - wykorzystam Lenarta. A w czasie, kiedy on się tym zajmie, ja będę się tutaj bronił.

Oxenstierna chciał kontynuować kłótnię, ale za dobrze znał swego władcę, żeby nie wiedzieć, że nie ma mowy o wyperswadowaniu Gustawowi decyzji, którą właśnie podjął.

- Tak lepiej - rzekł z uśmiechem król. Potem odwrócił się do drugiego oficera, który siedział przy stole. Po Karlu Gyllenhjelmie, doświadczonym dowódcy marynarki wojennej, widać było, że nie jest zbyt uradowany tym, co właśnie usłyszał.

- I w ten sposób doszliśmy do ciebie, Karl - powiedział.

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość - rzekł sztywno Gyllenhjelm

- ani Wismar, ani Lubeka nie są jeszcze obleżone. I nie będą, dopóki moja eskadra nie zostanie pokonana!

- Gdybyś miał walczyć tylko z Duńczykami, poparłbym cię bez obaw

- odparł Gustaw. - Jednakże oni nie przybędą sami, będą z nimi jeszcze Francuzi, a jeśli się nie mylę, to również Anglicy. Możesz się równać ze statkami Chrystiana. Natomiast Duńczycy i Francuzi sprzymierzeni, żeby pokonać Holendrów, przewyższaliby liczebnie twoje siły w stosunku dwa do jednego. - Pokręcił głową. - Nie powierzę ci takiego zadania. A nawet gdybym to zrobił - przyznał szczerze - wynikiem tego byłaby jedynie twoja bohaterska śmierć.

- Ale mógłbym chociaż rzucić kotwicę w pobliżu portu w Wismarze - zaprotestował Gyllenhjelm. - Nawet jeśli jedyną naszą rolą byłaby rola pływających baterii artyleryjskich, to i tak odciążilibyśmy Lubekę. Tutaj, tak wysoko w górze rzeki... - Pokręcił głową. - Ugrzęźlibyśmy w Lubece niczym szczury, ale ciągle byłaby możliwość zrobienia stamtąd wypadu - Nie mogliby przewidzieć, kiedy zaatakujemy ich linie dostawcze!

- Mógłbyś tak zrobić - zgodził się Gustaw. - Ale oni nie zaatakują tylko w tym punkcie, Karl. Zastanów się nad tym. Po raz pierwszy Dunajscy mają wsparcie z prawdziwego zdarzenia - i to nie ze strony cesarstwa, ale przynajmniej dwóch albo trzech, jeśli

Richelieu uda się wplątać w swe sieci również Ferdynanda. Chrystian ma więc wsp^ eie, a nasze główne siły są uwiązane w Niemczech. I rozrzucone od Re prezna, jakby tego jeszcze było mało! Czy naprawdę uważasz, że mając \p\ przewagę, Chrystian ograniczy się do zaatakowania jedynie Lubeki .^jsrnaru? Twarz Gyllenhjelma zeszywniała. Wyraźnie widział, dokąd zmierza Gustaw i nic miał ochoty tam podążyć.

_ Zaatakują nas również w domu - powiedział król. - Jeśli nie są głup-ki, a nie możemy zakładać, że nimi są - ich celami muszą się stać nie-■ icckie porty i Sztokholm. Te pierwsze, żeby zagłodzić naszą armię, a ten jrugi, żeby zmiażdżyć naszą flotę i zniszczyć jej bazę. Nie mamy takich

I żeby wszędzie bronić się na wodzie, Karl. A prawdę mówiąc, lepiej Ha nas jest stracić i Lubekę, i Wismar niż Sztokholm. Tak więc nie będę ||LZ o tym z tobą dyskutował. Najpóźniej z porannym odpływem zabie-rzesz statki na morze i popłyniesz do Sztokholmu. A ty, Axelu - zwrócił <ję ponownie do Oxenstierny - popłyniesz z nim.

Oxenstierna uniósł głowę i zeszywniał, żeby zaprotestować, ale Gu-staw kontynuował, nie dopuszczając go do wyrażenia sprzeciwu.

-Wrócisz do mej stolicy, kanclerzu Szwecji - rozkazał - i utrzymasz ądla mnie. Powierzam ci ten obowiązek jako twój suweren.

Oxenstierna zamknął usta i pochylił głowę w geście posłuszeństwa. Po-trafił uparcie polemizować ze swym królem, ale kiedy trzeba było, uzna-wał racje człowieka, któremu służył. Jedyne go monarchy w Europie god-nego tytułu króla. Kiedy on rozkazywał, Axel Oxenstierna słuchał.

- Dziękuję - rzekł Gustaw, klepiąc go w ramię. - I nie bądź taki ponu-7, Axelu! Nie mam zamiaru zostawiać swych kości w Lubece! A jeśli już i tym mówimy, wątpię, żeby Amerykanie mieli zamiar mi na to pozwolić.

^Rozhzał 35

Pochodnie i reflektory rzucały oślepiające światło na niewielki kon-wój. Frank Jackson przeciągnął się i ziewnął ze znużenia. To był długi dzień, a głównodowodzący wojsk lądowych nie musiał się parać robotą dla zwykłych żołnierzy. Niestety Frankowi ciągle łatwiej było uznać poję-cie „delegacja", niż brać w czymś takim udział. Lub też, jeśli miał się wyrazić precyzyjniej, mógł bez problemu delegować... o ile nie miał w tej kwestii wyboru.

- Rób, co chcesz, George. - Frank wzruszył ramionami. - Rząd ci to zrekomensuje. A teraz spływaj. Nie ma już o czym mówić. Mamy inne zmartwienia.

Watson odszedł sztywnym krokiem. Frank odwrócił się do drugiego, starszego mężczyzny, którego włosy lśniły w tym świetle jak świeży śnieg.

- Jesteś pewny, Jack? - spytał ciszej.

- Pewnie, że jestem - odparł wesoło Clements. - Psiakrew! Sądysz, że pozwoliłbym komuś innemu sterować moją łodzią?!

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że będziemy cię raczej potrzebowali do „Outlaw” Watsona. - Frank wskazał kciukiem na maszyną łódź spoczywającą na platformie. Zanim Clements przybył w góry Wirginii Zachodniej, służył kiedyś w Straży Przybrzeżnej. - Ze wszystkich osób, które nam pomagają, masz najwięcej doświadczenia w obchodzeniu się z łodziami, a to naprawdę przyda się komuś, kto siądzie za tym sterem.

- Może. - Clements nie wyglądał na przekonanego, a Frank się zaśmiał.

- Cholera, jest pan teraz w marynarce wojennej, panie poruczniku Clements! - Machnął ręką tak, że przy odpowiednio bogatej wyobraźni można było się domyślić, że zasalutował. - Admirał Simpson sam zdecyduje, jak najlepiej wykorzystać twoje umiejętności. I choć ciężko mi to przyznać, ten jełop wydaje się wiedzieć, co robi, więc masz go słuchać, jasne.

- Skoro tak mówisz, Frank - zgodził się z powątpiewaniem Clements. a Frank ponownie się zaśmiał. Następnie powrócił do inspekcji.

Eddie w szczególności prosił o łodzie Clementsa, Watsona i Tillman* Poza tym wybór łodzi w Grantville ograniczał się do mniejszych motorówek i prostych płaskodennych łodzi wiosłowych, ale Frank wybrał doda* kowo jeszcze jedną poza tymi, o które prosił Eddie. Była to pięciometrowa łódź ratunkowa, która należała do Harry'ego Rousseau, zanim raz z rodziną pojechał w odwiedziny do matki w Duluth dzień przed uderzeniem Ognistego Kręgu. Była raczej mała jak na ich potrzeby, ale największa z tych, które pozostały w Grantville. Patrząc na te cztery łodzie, Frank marzył, [Vm, żeby móc posłać Eddiemu całą flotę.

_ Cholera, jak już tak sobie marzę, to równie dobrze mógłbym marzyć o pieprzonym niszczycielu albo nawet o lotniskowcu! - powiedział do siebie kwaśno.

Zaczął dociągać pasy mocujące i sprawdzać kliny utrzymujące kadłub. Je przestał, kiedy dostrzegł, że Jerry Yost piorunuje go wzrokiem. Najwyraźniej kierowca ciężarówki nie życzył sobie ingerencji amatora, nieważne, czy był to generał, czy też nie. Frank uśmiechnął się do niego przepaszająco i ruszył wzdłuż linii ciężarówek. Stwierdził, że lepiej się sprawdzi jako nadzorca przy ciężarówkach, które przecież oficjalnie stanowiły własność armii Stanów Zjednoczonych.

Rzucił okiem na tył pierwszej ciężarówki. W tej chwili była załadowana zapasowymi beczkami i kanistrami na paliwo oraz dwoma wypompowanymi pontonami należącymi do Sama i Ala Mortonów; była tam również pojedyncza skrzynka dynamitu. Druga ciężarówka z łodzią Rousseau na naczepie miała wyruszyć z Grantville do Halle wcześniej rano z własnym ładunkiem, który był zbyt ciężki, żeby mogły go przetransportować same motorówki - znajdowało się tam między innymi kilkaset pocisków raketowych i zmodyfikowane szkielety wyrzutni, nad których ukończeniem pracowano gorączkowo w warsztatach nawet teraz, kiedy Frank stał w ciemnościach i się zamartwiał.

Ciągle miał wątpliwości co do całego przedsięwzięcia, czy był gotów przyznać się komuś (oczywiście poza Mike'iem) do tego, czy też nie. Jednak jeśli obrona Wismaru miałaby się nie powieść, to nie dlatego, że Frank Jackson zaniedbał swoje obowiązki. Inspekcja dobiegła końca. Frank chrząknął z satysfakcją, a potem spojrzął na swój własny wkład w całą operację.

James Nichols i siostrzenica Franka, Julie, osobiście nadzorowali szkolenie Turyńskich Karabinów, pierwszej w historii kompanii prawdziwych Pelców wyborowych. Przed Ognistym Kręgiem większość z nich - Amerykanów, i Niemców - była doświadczonymi myśliwymi. Ze strony niemieckiej w skład oddziału wchodził głównie skorzy do nauki młodzi udzie, którzy nie mieli złych nawyków strzeleckich dzięki temu, że nie użyli w jednostkach najemników posługujących się arkebuzami. Nato-J^iast znajdujący się wśród nich rodowici Amerykanie - stanowiący oko-

Jednej czwartej jednostki - już wcześniej sądzili, że znają się na niuan-Sach strzelectwa. Julie i doktor Nichols pokazali im, że wcale tak nie jest.

Ale po zakończonym szkoleniu czterdziestu dwóch mężczyzn i trzy ^ biety z niewielkiej kompanii można było bez wątpienia nazwać najbaN dziej niebezpiecznymi strzelcami na świecie. Oczywiście poza ich Ofi. cjalnym dowódcą, czyli Julie Mackay. Prawdę mówiąc, byli zbyt niebezpieczni, żeby Frank mógł uzasadnić wysłanie ich wszystkich do Wismaru, zdecydował jednak wcześniej, że wzmocni to miasto przynaj. mniej ich pierwszym oddziałem. Drugi oddział miał wyruszyć do Lubeki razem z drugą ciężarówką.

Tak czy inaczej, nie sądził, żeby musiał ich więcej wysłać. Niedaleko Turyńskich Karabinów zebrała się przy osiodłanych koniach większa grupka mężczyzn. Było ich trzydziestu czterech - wszyscy mieli długie brody specjalne niebieskie mundury i charakterystyczne nakrycia głowy zwane „montero”. Kiedy robiło się zimno, można było opuścić ich górną część - pełniły wtedy taką samą funkcję jak kominiarka.

Wszyscy byli Szwedami, myśliwymi zaznajomionymi z dziczą, a do-wodził nimi Nils Krak. Gustaw Adolf rozkazał stworzyć tę jednostkę na początku 1632 roku. W przeciwieństwie do większości ówczesnych żołnierzy, używali do polowania małokalibrowych gwintowanych muszkie-tów, a cała jednostka przeszkolona była do strzelania z ukrycia i udziału w potyczkach, a nie do oddawania salw z linii. Po zawarciu sojuszu z Ame-rykanami Gustaw wysłał strzelców Kraka do Turyngii. Krak i jego ludzie dostali nowiutkie karabiny skalkowe z dłuższymi lufami i większą liczbą bruzd gwintu, i już od wielu miesięcy trenowali razem z Turyńskimi Ka-rabinami. Obydwie jednostki dobrze się ze sobą dogadywały i były przy-zwyczajone do wspólnie przeprowadzanych akcji. Co prawda szwedzcy strzelcy wyborowi nie mieli takiego zasięgu jak amerykańscy, ale ich broń wyposażono w celowniki ze szczerbiną, które sprawiały, że na krótszy dystans strzelali prawie tak samo celnie. W porównaniu z jakąkolwiek grupą siedemnastowiecznych żołnierzy byli jednostką strzelców elitarnych Najlepsi strzelcy otrzymali nawet celowniki optyczne - część zapasów, które przybyły wraz z Amerykanami z dwudziestego pierwszego wieku-Miały one wynagrodzić Szwedom gorszą jakość ich sprzętu - większość z nich i tak miała dużo więcej doświadczenia bojowego niż żołnierze ar-mii Stanów Zjednoczonych.

Byli również wyszkolonymi dragonami, mogli więc odbyć tę podróż konno. Nie powinni mieć żadnych problemów z utrzymaniem tempa na prowizorycznych drogach, którymi mieli podążać - tym bardziej że temp0 miały narzucać niezbyt szybkie ciężarówki. Dziesięciu członków pierwszeg0

OjdzianJ wsiadało właśnie na dwa pikapy na końcu konwoju razem z do-padnie opakowaną bronią i amunicją z dwudziestego pierwszego wieku. re konkretne ciężarówki, w przeciwieństwie do pozostałych, ciągle na-pędzane były benzyną, a nie gazem ziemnym. Jedyną poważną wadą sil-ników na gaz używanych w celach wojskowych - poza niebezpieczeń-stwem nieodłącznie związanym z łatwopalnym paliwem - było to, że silniki na benzynę miały dalszy zasięg dla tej samej wagi i objętości paliwa. Frank kiwnął głową do Stana Wilsona, swego sierżanta.

- Gotowy, Stan? - spytał, starając się przekrzywić warkot rozgrzewa-nych silników.
- Chyba bardziej gotowi nie będziemy - odparł Stan, przeciągając sa-mogłoski.

-To świetnie. - Frank wsadził rękę przez okno do szoferki i poklepał go po ramieniu. - Uważaj na siebie! Wszyscy uważajcie! Wyświadczyć mi przysługę i nie przywoź mi tu żadnych martwych bohaterów.

- Hm, postaramy się nie zapomnieć - zapewnił go Stan.

-Oby! Frank ponownie klepnął go w ramię. Potem odszedł kilka kroków i zakręcił ręką nad głową w geście oznaczającym „startujemy”. Stan w odpowiedzi nacisnął klakson i prowadząca ciężarówka ruszyła do przodu z warkotem silnika diesla. Dźwięk ten zabrzmiał odrobinę szyderczo, jak gdyby Frank Yost był ciągle poirytowany tym, że Frank - pieprzony górnik, co on wie? - miał czelność i tupet sprawdzać jego idealne umocowanie. Jackson stał i patrzył, jak odjeżdżają drogami gruntowymi południowej Turyngii, aż tylne światła znikły w ciemności.

Kiedy wrócił do siedziby organów wykonawczych w centrum Grant-ville, zastał Mike'a siedzącego w swym gabinecie. Spodziewał się go tam znaleźć, gdyż wiedział, że Mike zechce wysłuchać jego raportu. Nato-m,ast nie spodziewał się, że zostanie powitany radosnym uśmiechem.

~ A ty z czego tak się cieszysz?

~ Z tego ■- powiedział Mike, wskazując palcem na kawałek papieru le-na biurku. - Quentin Underwood złożył to na moje ręce godzinę ter^u. To jego dymisja z funkcji w gabinecie, frank usiadł powoli na krześle.

*" Zrezygnował, tak? - Pomyślał nad tym chwilę i wzruszył ramionami.

^tti, oczywiście dotknie nas to politycznie. Ale przynajmniej powstrzy-^a Jamesa Nicholasa przed zabiciem Quentina na następnym posiedzeniu ^•netu. Dzisiaj przez chwilę myślałem, że to zrobi.

or-

Mike skrzywił się. Spotkanie gabinetu skończyło się tego dnia naj szą burdą, jaka kiedykolwiek miała miejsce - a przy tylu upartych os0bj stościach nigdy nie było spokojnie. Zaczęło się źle. Quentin - jak zwyj^ - upierał się, żeby ponownie rozpatrzyć jego sprzeciw dotyczący Spraw które zostały dokładnie omówione i ustalone dzień wcześniej.

Mike szybko zdusił tę inicjatywę - „To już załatwione, ustalone, skońC2 z tym” - gdyż potrzebował możliwie jak najwięcej czasu na rozpatrzenie przez gabinet jego kolejnej propozycji. Oczywiście chodziło o decyzję pozostawienia Becky i całej delegacji Stanów Zjednoczonych w Arnster-damie - przy zbliżającym się hiszpańskim oblężeniu.

Underwood milczał jak zaklęty, gdy Mike wyjaśniał polityczne i dy. plomatyczne niuanse tej kwestii. Prawdę mówiąc, Mike podejrzewał, że tak naprawdę zupełnie go nie słuchał, gdyż pewnie roztrząsał swą poraż-kę z poprzedniego dnia. Kiedy jednak Mike w końcu dotarł do sedna sprawy, Quentin wybuchł.

-Czy ty postradałeś rozum?! - ryknął, wstając z krzesła i układając dłonie na stole. - Chcesz, żebyśmy wysłali całe zapasy antybiotyków -każdą kroplę chloracze-go-stam - i większość sulfonamidów, które z takim mozołem zebraliśmy? Wysłanie części z nich Gustawowi do Lubeki to jedno, ale pieprzonym HolendromV.

Trzasnął pięścią w stół.

-Nie, do cholery! Niech Holendrzy sami sobie z tym wszystkim ra-dzą! Z tobą jest taki problem, Stearns, że zapomniałeś, że wybrano cię na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a nie na prezydenta Europy. Powin-nićmy to wszystko trzymać tutaj na...

Po raz pierwszy, od kiedy mieszkańcy Granville poznali Jamesa Ki-cholsa, doktor stracił panowanie nad sobą.

Zerwał się na równe nogi, wywracając krzesło. Huknął pięścią w stół, aż zagrzmiało.

-Ty nic nie kapujący idioto! Durny, ciemny, zapatrzony w siebie kretynie!

Nichols obszedł sztywnym krokiem stół i stanął obok Quentina. Miał 10 lat że był niższy od Underwooda - miał metr siedemdziesiąt wzrostu i nie był zbyt potężnie zbudowany - gdy się do niego zbliżał, emanował silną Mający koło pięćdziesiątki, świetnie wykształcony i pełen oglądy doktor zniknął na parę chwil, a zamiast niego wszyscy ujrzeli młodocianego chuligana z getta, któremu sędzia dał wybór: służba w marynarce wojennej albo pobyt w więzieniu. Mike zaczął się podnosić, gdyż bał się, że chciał się powstrzymać Jamesa od zgniecia Quentina na miążgę. A co z tego - że James mógłby go zgnieść na miążgę, nie miał żadnych wątpliwości!

Sądząc po nienaturalnej bladości na twarzy Underwooda, on również w to wątpił - a trudno byłoby nazwać Quentina nieśmiałym i tchórzliwym człowiekiem. Na szczęście Nichols zdążył się opanować. Mniej więcej.

- Siadaj - rozkazał, wskazując na krzesło. - Natychmiast! podczas gdy Quentin próbował to zrobić, James wysyczał:

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Underwood. Może tym razem w końcu to zrozumiesz. Nie istnieje coś takiego jak „choroba holenderska”. Nie istnieje coś takiego jak „system immunologiczny Stanów Zjednoczonych”. Bakterie i wirusy, które przenoszą epidemie, mają w dupie twoje kochane granice i piękne podziały polityczne. Nie mogłyby ich to mniej obchodzić, tępaku. Sądziłeś, że zarazek zatrzyma się, gdy zbliży się do twojego nosa i powie: „Nie! Nie powinienem zarażać tego człowieka. To dobry i szanowany Amerykanin. Będę musiał znaleźć niechlujnego, bezwartościowego Holendra albo szkopa, albo żabojada, albo makaroniarza”. He? Naprawdę tak sądzisz?

Underwood gapił się na niego, oczy miał jak spodki.

- Naprawdę tak sądzisz? spytał James. Wyciągnął rękę, jakby kusiło go, żeby chwycić Underwooda za poły marynarki i nim potrząsnąć. Zaraz ją jednak zabrał. Mike poczuł ulgę, widząc, że Nichols zapanował nad sobą, mimo że ciągle w nim wrzało.

- Underwood, pozwól, że ci wyjaśnię - powiedział zgrzytliwym głosem James - co stanie się tobie, twojej żonie, twoim synom, jeśli zarazicie się pałeczkami dżumy. To właśnie ten zarazek przenosi dżumę dymieniową. Zaczę od mniej śmiertelnej odmiany, a później opowiem, co się dzieje, jak jest zimno. Zamknij się wreszcie, do jasnej cholery, Underwood! Robi mi się niedobrze, jak cię słyszę!

Quentin usiłował przerwać Jamesowi, ale przeszkodził mu w tym jego głośny okrzyk. Doktor nieustępliwie kontynuował.

- Wysłuchasz mnie. Raz w życiu w końcu mnie wysłuchasz, Nichols zaczął dokładnie i powoli wyjaśniać - z tak obrazowymi i mądrymi szczegółami, jak tylko lekarz potrafi - co się dokładnie dzieje z twoim ciałem zarażonym dżumą. Nawet Mike, który wiedział na ten temat dużo więcej, niż próbował kiedykolwiek się dowiedzieć, zorientował się, że chyba mu niedobrze. Większość osób siedzących w bezruchu wokół stołu wydawała się czuć identycznie.

Kiedy James kończył, w jego głosie było więcej tępego gniewu - dzięki furii.

- ...a jak robi się zimno - a przecież obleżenie Lubeki i Amsterdamu na pewno potrwa również w zimie - postać choroby często się zmienia. Infekcja przenosi się z węzłów chłonnych do płuc. Wtedy staje się czymś co nazywamy „dżuma płucną”, która jest złośliwą postacią choroby. To samo dotyczy dżumy posocznicowej, przy której dochodzi do zatrucia krwi. Otarł twarz.

- Od Ognistego Kręgu miewam koszmary dotyczące dżumy płucnej - powiedział prawie szeptem. - Przenosi się przez powietrze, więc błyskawicznie się rozprzestrzenia. Poza egzotycznymi szczepami wirusa ebola wywołującego gorączkę krwotoczną - o którą, dzięki Bogu, nie musimy się martwić - nie znam żadnej choroby, która byłaby bardziej śmiertelna. A przynajmniej choroby atakującej taką liczbę ludzi. Dżuma i tak jest straszna - zabija połowę

ludzi, którzy się jej nabawią. Ale dżuma płucna... Przy tej postaci choroby śmiertelność wynosi co najmniej dziewięćdziesiąt procent.

Piorunował wzrokiem Underwooda, a jego ciemne oczy błyszczały jak obsydian.

- Czarna śmierć w czternastym wieku to właśnie dżuma. Zaczęła się w Chinach. Ale przecież - zaczął drwić - kogo obchodzą Chiny, prawda? Jeśli mamy się nie martwić jakimiś Holendrami, czemu mielibyśmy nie spać z powodu żółtków? Prawda? Dobra, powiem ci, jak to naprawdę wyglądało, miłośniku zamkniętych granic. Po zabiciu około dwudziestu pięciu milionów Chińczyków epidemia dotarła do Europy - prawdopodobnie przez Indie i Środkowy Wschód. Być może przez Sтамбул. Kto wie? Ludzkie oko nie jest w stanie dostrzec bakterii, Underwood, maro nadzieję, że przynajmniej tyle wiesz. Żadna sprawdzająca papiery straż graniczna ich nie zauważy, wierz mi.

Odsunął się od Underwooda i zaczął iść z powrotem w kierunku swego miejsca przy stole konferencyjnym.

- Pierwsze wzmianki pochodziły z włoskich miast portowych. Latem 1348 roku dżuma była już w Paryżu, a pod koniec tego samego roku w Londynie. Do 1350 roku, czyli w ciągu jedynie dwóch lat, rozprzestrzeniła się w całej Europie. Wszędzie od Skandynawii po Hiszpanię i Rosję. Przez cały ten czas czarna śmierć zabiła w sumie jedną trzecią populacji kontynentu. Historycy szacują, że było to kolejnych dwadzieścia pięć bilionów ludzi. Jeśli to dodać do liczby ofiar w Chinach, mamy takie nie liczyby jak po drugiej wojnie światowej i holokaucie - i to na świecie, gdzie było dużo mniej ludzi niż w dwudziestym wieku. Sięgnął w dół, podniósł krzesło, które wcześniej wywrócił, i usiadł. Potem złożył dłonie przed sobą i omiotł pomieszczenie kamiennym wzrokiem.

- Już od ponad dwóch lat próbuję wam wszystkim powiedzieć, że jesteśmy przy życiu. Nie ma sposobu na to - nieważne, czy ogrodzicie granice drutem kolczastym, czy też zrobicie co innego - żeby odplować nasze małe Stany Zjednoczone od reszty świata. Na miłość boską, ludzie, nawet w „starych” Stanach Zjednoczonych co roku miliony nielegalnych imigrantów przekraczały nasze granice. Zewsząd - od Chin po Amerykę Południową - gdzie tylko byli biedni ludzie, którzy szukali lepszego życia albo uciekali przed prześladowaniami i uciskiem. A jeśli jeszcze nie zauważyliście, to w siedemnastowiecznej Europie w środku wojny trzydziestoletniej jest więcej biedy, prześladowań, ucisku i desperacji niż było u nas - a Bóg mi świadkiem, że mieliśmy tego sporo.

Przerwał, aby to do wszystkich dotarło.

- Stajemy teraz praktycznie przed takim samym problemem, jakiemu musieliśmy stawiać czoła od pierwszego dnia. Chodzi o ten sam spór, który Mike prowadził z Simpsonem na pierwszym publicznym zebraniu. Ten sam, który prowadził w trakcie kampanii. Mike lubi stawiać pytanie, czy człowiek, który się potyka, powinien upaść na potłuczone szkło, czy leższy szybciej bieć. Ja z kolei widzę analogię z człowiekiem na desce surfingowej, który widzi zbliżającą się falę. Ma wybór: albo próbować dołnąć się na ląd, choć wie, że nie zdąży, albo wypłynąć fali na spotkanie - spróbować na niej popłynąć. Tak czy siak, szanse są gówniane. Ale to, co się wydaje najbezpieczniejsze na krótką metę, na dłuższą metę okazuje się najbardziej niebezpieczne.

Quentin marszczył czoło. Najwyraźniej to, że James porównał obecną sprawę ze starą bitwą między Mike'iem i Simpsonem, przerastało jego Poziom umysłowy. James westchnął.

- Ujmę to inaczej. Jedynym sposobem na obronę przed epidemią - a już - a Pewno na dłuższą metę - jest rozpowszechnianie naszej wiedzy i najlepszych technik sanitarnych i medycznych w całej Europie. A w końcu może i 113 całym świecie. Zawsze to wiedziałem.

Prawdziwy problem jednak -

w porównaniu z którym decyzja, co zrobić z tymi marnymi zapasami antybiotyków, jest nieistotna, cholernie nieistotna, ludzie! - polega na tym, że w większą część Europy nam nie wierzy. Nie wierzą nam nawet nasi

przyjaciele i sojusznicy. Na każdego Baltazara Abrabanela, który wier* przypada przynajmniej dziesięć osób, które sądzą, że nasze poglądy to albo bezmyślny bełkot, albo herezje, albo... Bóg jeden wie, co oni sobie myślą. Jednym z powodów - i to wcale nie najmniej ważnym - dla kt_o! rych popierałem Mike'a w kwestii nieużywania broni chemicznej. Dy}0 to, że gdybyśmy uwolnili tego potwora, nikt by nam nie zaufał, jeśli cho_odzi o medycynę. Nikt, kto ma równo pod sufitem, nie poszedłby p0 antj dotum do truciciela.

Uniósł złożone dłonie i grzmotnął nimi w stół.

- Jakie to ma, do jasnej cholery, znaczenie, ile antybiotyków oddamy na leczenie kilku tysięcy osób? Jeśli epidemia dotknie Stany Zjedno_oczone, wszystkie te antybiotyki skończą się w ciągu tygodnia. A potem co? - Pokręcił głową. - To jest pozorna oszczędność. Ciągłe oczywiście będziemy je produkować i uzupełniać zapasy. Ale teraz dużo lepiej dla nas byłoby wysłać to, co już mamy, do Lubeki i Amsterdamu. Dlaczego_o? Bo - słuchasz, Underwood? - pomyślcie, co tam się będzie działo tej zimy. W trakcie oblężenia nie da się uniknąć chorób. Tak się po pro_ostu dzieje. Każdy w tych czasach doskonale zdaje sobie z tego sprawę Prawda?

Kilka osób skinęło głowami. James uśmiechnął się chłodno.

- Dobrze więc. Pomyślcie, co się stanie - co pomyślą sobie mieszkań_ocy Europy - gdy zobaczą, że oblegający miasto Hiszpanie padają jak muchy... a Holendrom w Amsterdamie nic się nie dzieje. Kiedy zobaczą, że żołnierze duńscy i francuscy są wrzucani do masowych grobów pod Lubeką, a oddziały szwedzkie i niemieckie mają się całkiem dobrze. Dzięki temu, co my im wysłaliśmy.

Zaciśnięte wcześniej dłonie rozłożył szeroko na stole.

- Pewnie, że książąt europejskich - a przynajmniej większości z nich - zupełnie nie obchodzi los ich ludu. Natomiast obchodzi ich los ich wo_ojen. Pokażmy im jak najbardziej obrazowo się da, że można wpłynąć na losy wojny poprzez nowoczesne praktyki sanitarne, profilaktykę i pomoc lekarską.

Miko obserwował Underwooda. On ciągle nic nie rozumiał. Do Mike8 dotarło, że nigdy nie zrozumie. To naprawdę bardzo dziwne, że tak inte'l* gentny człowiek może być tak ślepy i widzieć „zwycięstwo” jedynie j⁰ punkty zdobywane w grze. Tak jakby polityka była grą, którą prz^o wszystkim trzeba wygrać, a nie tym, czym powinna być - zbiorem met00, dzięki którym dana cywilizacja kieruje wszelkimi „grami”.

/decydował, że spróbuje po raz ostami. ■LQuentin powiedział cicho - nie obchodzi mnie, kto zażegna nie-kgzpieczeństwo epidemii. Nie obchodzi mnie, czy zrobimy to my, jakiś ^icuski kardynał chcący nas pokonać, któryś z sojuszników próbują_ocych nas naśladować, czy po prostu jakaś włoska rada miejska usiłująca ^chować niezmienną podstawę opodatkowania. O ile to się stanie. -babrał w płuca powietrza i wypuścił. - Tak samo nie obchodzi mnie, jak wolność wyznania zostanie ustanowiona w Europie. Jeśli Wentworth i Ri-chelieu złączą ją wprowadzać, żeby walczyć z nami, to - jeśli o mnie chodzi - cała gra potoczy się w odpowiadającym mi kierunku. Tu nie chodzi o zdobywanie punktów, na miłość boską! Punkty zdobywa się pił_o-jtą, a nie ludzkim życiem.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Po kilku chwilach Mike dodał: -Oczywiście ostateczna decyzja należy do mnie. Chciałbym jednak, żeby gabinet przeprowadził formalne głosowanie. Proszę o podniesienie rąk wszystkich, którzy są za wysłaniem do Lubeki i Amsterdamu całych naszych zapasów chloramfenikolu, większości sulfonamidów i ile się da DDT.

Ręka Nicholasa była w górze, zanim Mike skończył mówić. Ręce Eda Piazzzy i Williego Raya Hudsona znalazły się tam chwilę później. Wciągu pięciu sekund ręce wszystkich członków gabinetu powędrowały w górę.

Wszystkich poza Ouentinem Underwoodem. Ten rozejrzał się po sali, pokręcił głową i powiedział cicho:

-Przykro mi, moi drodzy. Ja tego tak nie widzę. To należy do nas. Myśmy to wyprodukowali. Powinniśmy to zachować tu, dla naszych ludzi- Po prostu nie rozumiem, jak można inaczej myśleć.

Po czym wstał i opuścił salę.

* * *

~ To kiedy zrezygnował? - spytał Frank.

-Niedługo potem. Posiedzenie skończyło się w ciągu pół godziny. On uszedł z pół godziny po tym i... - Mike kiwnął głową w kierunku listu. Frank przez chwilę nad tym myślał.

~Hm... Osobiście gotów jestem skakać ze szczęścia. Od wielu miesięcy był jak wrzód na dupie i wydaje się, że z każdym dniem stawał się ^raz gorszy. To naprawdę dziwne.

Sądziłem, że już zapomniał o daw-W kłótniach.

Mike pokręcił głową.

- To nie są „dawne kłótnie”, Frank. To nie ma nic wspólnego z faktem ^ że on był kiedyś kierownikiem naszej kopalni, a my staliśmy na Czele' związku. Quentin jest ograniczony, zgadza się, ale nie aż tak. - Wzruszy} ramionami. - Tak się po prostu dzieje. Przynajmniej w polityce. W oko-licznościach XYZ niektóre osoby opowiedzą się za jedną opcją, inne ^ drugą. Natomiast w okolicznościach WXY poglądy są inne. Przynajmniej niektóre.

Zaśmiał się, zrezygnowany.

- Uwierzyłybyś, że w tych okolicznościach zaczynam nabierać sympa-tii do Johna Chandlera Simpsona?

Frank wykrzywił się. Mike zareagował na to śmiechem.

- Przestań! Simpson to nie szatan. Żaden z nas tak nie uważał, nawet wtedy, kiedy pokazywał się od najgorszej strony. Wtedy był aroganckim, pragnącym wszystko kontrolować facetem, który w obliczu kryzysu pró-bował przeforsować to, co uważał za „bezpieczną” alternatywę. Zbyt pew-nym siebie - za bardzo opętanym swą pozycją - by rozważać długofalo-we ryzyko.

- No i? W jaki sposób to się zmieniło? Przynajmniej według Jamesa-a wygląda na to, że jesteś tego samego zdania - teraz również stoimy przed takim samym wyborem. Cały czas stoimy.

- Za bardzo to upraszczasz. Ogólnie mówiąc: tak. Natomiast szczegó-ły są zupełnie inne. - Mike usiadł prosto. - W obecnej sytuacji John Chan-dler Simpson ma dwie zalety, których nie ma Quentin Underwood. I wy-daje mi się - jeszcze nie jestem pewny - że właśnie mu dostarczyłem trzeciej.

Frank rzucił na niego okiem. Mike kontynuował z uśmiechem.

- Pierwszą jego zaletą jest to, że już zebrał ode mnie niezłe cięgi. Od-rzucając na bok fałszywą skromność, mogę powiedzieć, że na arenie po-lytycznej moje razy są bolesne. Quentin nie oberwał. Jeszcze.

Frank zatrzęsł się ze śmiechu.

- A dojdzie do tego?

- Całkiem niedługo. Nie od razu. Pierwszą rzeczą, jaką zrobi Quentin-będzie rozmowa z Wilhelmem Sasko-Weimarskim o stworzeniu zjedno-czonej opozycji. Nazwijmy to opozycją „konserwatywną”. Wilhelm ocZ> wieście się zgodzi - szczwana z niego sztuka - nie pozwalając Quintino*1 na zrozumienie prawdziwych problemów. Co nie będzie trudne, g°V Quentinowi nigdy nie przyjdzie do głowy, że termin „konserwatyw^ może być bardzo różnie rozumiany. Psy i koty też są „konserwatywne

Obaj trzymaliśmy je w domach i wiemy, że trudno zmienić ich nawyki -ale to wcale nie musi znaczyć, że dobrze ze sobą żyją albo że mają takie same charaktery. Widać było, że Frank niczego nie rozumie.

Zaraz do tego przejdę. Drugą rzeczą, która daje Simpsonowi przewagę nad Quentinem, jest to, że teraz, kiedy już odrobinę go złamaliśmy -odrobinę, ale wystarczająco - ma zasadniczo szersze horyzonty.

- „Zasadniczo” - mruknął Frank. - Cholera, od kiedy ożeniłeś się z Becky, zacząłeś gadać jak chłoptaş z miasta.

Mike uśmiechnął się szeroko.

- Szkoda, że nie słyszałeś, jak mówiłem przez te lata spędzone w Los Angeles. Chodzi o to, że kiedy wchodzisz między wrony, musisz dziobać jak i one.

Frank zachichotał.

- Dobra, dobra. A co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

-Co w tym takiego skomplikowanego? Quentin urodził się i dorastał w Wirginii Zachodniej. Całe życie tu spędził. A właściwie „tam”. Zaczął pracować w kopalniach zaraz po skończeniu szkoły średniej, później zaczął college, jak już pracował, i skończył jako kierownik kopalni. Nie nazwałbym go może „prostakiem”, ale na pewno „chłopa-kim z prowincji”.

- Ej! - zaprotestował Frank. - Przecież mnie to samo dotyczy. A właściwie ciebie również, jeśli nie brać pod uwagę tych trzech lat, które spędziłeś w Los Angeles.

- To nie to samo, Frank - odparł Mike, wzruszając ramionami. - Chodzi o to, że umysł Quentina nigdy nie opuścił tamtego miejsca. Pewnie -i ty, i ja byliśmy górnikami. Ale czy zabierałeś pracę do domu?

- No chyba cię... - parsknął Frank. - Zmywałem ją z siebie razem z py-fem węglowym tak szybko, jak się dało.

-No właśnie. Natomiast Quentin... - Mike pokręcił głową. - Spędził całe dorosłe życie na zastanawianiu się głównie nad swą pracą i posuwaniu się do przodu. Czasem się zastanawiałem, jak mu się udało namówić ^oslyn do ślubu i wychować dzieci. Rozłożył ręce.

- A to... ciągle jest jego świat, Frank. Podsuń Quentinowi problem -szczególnie techniczny albo dotyczący zarządzania - pod sam nos, a on ^obie poradzi. W większości przypadków poradzi sobie nawet świetnie.

O właśnie dlatego był taki dobry - a rzeczywiście był, nie ma co się oszukiwać - w pierwszym okresie po Ognistym Kręgu. Ale kiedy chcesz, żeby wziął pod uwagę świat, który istnieje poza znanymi mu pagóra' mi, wtedy wszystko zaczyna się robić skomplikowane i niejasne. -pokręcił głową.

- Nie da się. Bóg mi świadkiem, próbowałem przez ostatnie dwa lata Z kolei Simpson - wracając do tematu - to zupełnie inny typ człowieka Okaż mu trochę uznania, Frank. Prawda, w wielu sprawach jest ograni, czony. Ale to na pewno nie prostak. Bywał na całym świecie - i to nie tylko jako turysta - zarządzał potężną korporacją petrochemiczną, by, oficerem marynarki wojennej, przyjaźnił się z generałami, admirałami i p^ litykami w Waszyngtonie i...

Uśmiech Mike'a poszerzył się.

- ...jego żona jest kobietą z bogatej rodziny ze wschodu kraju. Prawdziwą koneserką sztuki, która miała wpływy w wysokich sferach towarzyskich, a na dodatek mówi płynnie po francusku. Wiem od Toma, że całkiem nieźle radzi sobie także z włoskim.

-Ja nie...

- Pomyśl nad tym, Frank. Wilhelm Sasko-Weimarski założył partię po-lityczną w swoim stylu. Partię, która będzie odpowiadała nie tylko jemu, ale również różnego rodzaju ludziom w Stanach Zjednoczonych - ludziom, z których wielu uważa, że jestem straszny. Wielu, Frank. Chyba nie myślisz, że w „Klubie 250” spędzają czas jedynie wymuskani

arystokraci i nietolerancyjne głupki. Znajdziesz tam stare wdowy martwiące się oto, że zabiorę im dochód z czynszu, bo wywodzi się z jakiegoś średniowiecznego prawa własności; fanatyków religijnych; ludzi, którzy naprawdę wierzą w czary - można by tak wymieniać i wymieniać. Jednak większość z nich stanowią Niemcy, którzy myślą we właściwy im sposób. Wilhelm o tym wie. Tak więc stworzy partię, która opierać się będzie na deklaracjach, które zdołają te skrajności zbliżyć. Zyska masowe poparcie Niemców, ale będzie również do zaakceptowania - przynajmniej w pewnym stopniu - dla wielu Amerykanów.

Mike wzruszył ramionami.

- Będzie konserwatywna, to pewne, ale według jego definicji tego słowa, a nie Quentina. Jeszcze nie jestem pewny, ale wydaje mi się, że Wujhelm oprze większą część swego programu na teoriach kameralistów, którzy już od jakiegoś czasu tworzą nowy ruch reformatorski tu, w Niemczech. Prawdę mówiąc, to ciekawe rzeczy. Wuj Becky, Uriel, jest w wielu W6" stach fanem kameralistów - w ciągu ostatnich miesięcy sporo z nim o ty11 ^nawiałem. Wilhelm prawdopodobnie przeschcypi do tego również po-(ęzną dawkę poglądów z angielsko-amerykańskiej tradycji politycznej ^icinnastego i dziewiętnastego w ieku. Na pewno będzie tam Edmund Burke -byłbyś zdziwiony, jak bardzo konserwatywni byli niektórzy ojcowie założyciele- Nie dzielili poglądów Thomasa Paine'a25 i Samuela Adamsa:h. Frank ponownie zaczął marszczyć czoło.

_ Becky cię niszczy. Straciłem dokładną rachubę, ale wiem, że w zdaaniach, które właśnie odklepałeś, było kilka słów, które miały ponad trzy sylaby. Rób tak dalej, kolego, a zabiorę ci czapeczkę Caterpillar. Nawet nie myśl o składaniu prośby do Prastarego Zakonu Prostaków o nalepki z Harleyem-Davidsonem.

Roześmiali się. Potem Mike pokręcił głową i rzekł wesoło:

- Nie martwię się zbyt politycznym ciosem, który zada mi rezygnacja Quentina, gdyż wiem, co się stanie. Założę się o co tylko chcesz, że Wilhelm zgodzi się na sojusz z Quentinem, gdyż zdaje sobie sprawę, że dla partii opozycyjnej tu, w Stanach Zjednoczonych, konieczny jest udział znanych i szanowanych amerykańskich zwolenników i przywódców. Partia oparta jedynie na Niemcach nie będzie dawała gwarancji, że utrzyma bazę techniczną w dobrym stanie - a każdy, kto tu mieszka, nie ma wątpliwości, że to konieczne. Już nic. Przyjęcie Quentina Underwooda do partii przyniesie wymierne korzyści.

- To ma sens. Ale ciągle nie rozumiem, czemu się tak uśmiechasz.

- Uśmiecham się na myśl, co stanie się później. Kiedy Wilhelm wyko-rzysta już Quentina do granic możliwości, będzie musiał mu wyjaśnić, że kameral i styczna definicja konserwatyizmu nie brzmi: „Co jest dobre dla General Motors, jest dobre dla Ameryki”27. - Mike oparł się na krześle, splatając palce na brzuchu. - Kameraliści (na swój sposób tak jak ojcowie założyciele konserwatyizmu w naszej własnej tradycji politycznej) generalnie byli grupką patrzących w przyszłość i świadomych społecznie arystokratów i ziemian, którzy czuli, że rząd powinien między innymi zajmować MS potrzebami ludu. Tak naprawdę nie byli fanami niepohamowanego ka-Pttalizmu, o którym Quentin sądzi, że rozwiąże wszelkie problemy. Wręcz Przeciwnie.

Zacisnął usta.

- Uriel kiedyś mi powiedział, że według niego najlepszym tłumacze-niem znaczenia „kameralizm” na nowoczesne pojęcia polityczne byłoby c°ś w stylu „arystokratyczny socjalizm miejski”. Albo przynajmniej „de-^kracja społeczna”, używając bardziej odpowiedniego europejskiego terminu. Możesz o tym myśleć jako o mieszance noblesse oblige, p0st powości Theodore'a Roosevelta i „rynsztokowym socjalizmie” \V s^ z Milwaukee. Dla ludzi takich jak Wilhelm pojęcie „liberalizacji” zaj^ je miejsce niedaleko cudzołóstwa i oddawania czci rzeźbionym bożko^ Oczy Franka prawie wyszły z orbit.

- Socjalizm? - zakrztusił się. - Quentin Underwood?!

Nie zdążył nic dodać, gdy drzwi otworzyły się i James Nichols prze, kroczył próg, mówiąc:

- Okej, Mike, wszystko ustalone. Stone zaczyna już wszystko pakować, a Anne Jefferson zgłosiła się na ochotnika do pokierowania medyczną częścią misji do Amsterdamu. Sharon pojedzie do Wismaru i...

Przerwał i spojrzał na Franka.

- Co cię tak śmieszy, do cholery? Frank wskazał oskarżycielsko na Mike'a.

-James, ten sukinsyn to chytry, spiskujący, podstępny...

- Dopiero teraz do tego doszedłeś? - Nichols ze smutkiem pokręcił głową. - Człowieku! Ja to wykombinowałem już w ciągu pierwszego tygodnia po Ognistym Kręgu.

Opadł na wolne krzesło.

- Oczywiście ja miałem przewagę ulicznego chicagowskiego przeszkolenia. To polityk, Frank. Moim zdaniem najlepszy w Europie. A przynajmniej mam taką nadzieję, bo inaczej rzucą nas psom na pożarcie.

^azòzmi 3B

- Monsieur L 'Admiral et Madame Simpson! - wykrzyknął majordomus tubalnym głosem. John Simpson prowadził żonę pod rękę, sztywno i majestatycznie kierując się do ogromnej, zatłoczonej sali balowej. Kiedy mijał tego mężczyznę, poczuł nagłą i niemal nieodpartą potrzebę wcielenia go siłą do marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Przyczyną tego było odkrycie, którego dokonał, a które dotyczyło siedemnasto-wiecznej służby morskiej: w marynarce wojennej, która nie posiada radiostacji, podoficer o dobrych płucach i donośnym głosie jest na wagę złota.

Pomysł ten, jak zdał sobie sprawę, wynikał z jego zdenerwowania. Simpson nienawidził być zdenerwowany i radził sobie z tym w ten sposób, że na zewnątrz zachowywał się sztywno, a w jego umyśle pojawiały się szalone wytwory jego wyobraźni. Pamiętał, jak kiedyś wchodził na spotkane akcjonariuszy, za nim podążali główni członkowie zarządu, a on miał przedstawić bardzo pesymistyczne sprawozdanie. Kiedy zobaczył złe i ponure twarze udziałowców, musiał zduścić w sobie impuls, żeby się odwrócić, wyciągnąć pozłacane pióro i nakazać wiceprezesowi do spraw marketingu, żeby natychmiast popełnił nim seppuku. Jednak... nie zrobił tego. Przedstawił raport i przetrwał najgorsze, zachowując swój zwykły beznamiętny wyraz twarzy. Następnego dnia z tym Sarnym wyrazem twarzy wylał tego nieudolnego dupka.

Lekkie szarpnięcie za ramię wyrwało go ze wspomnień.

*ie-

- Dlaczego nas anonsują po francusku? - wyszeptwała Mary. - Nje J działał, że francuski stał się językiem dworu przed objęciem władzy przez Ludwika XIV.

Simpson wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Wsłuchał się w gwar rozmów wypełniający pomieszczenie. - Większość osób mówi po niemiecku. A przynajmniej tak mi się wydaje. Trudno stwierdzić, przecież jest tyle dialektów...

- Monsieur L'Admirał! Et Madame Simpson! Enchante!

Bardzo przystojna kobieta koło trzydziestki zbliżała się do nich z wyciągniętymi dłońmi. Promienny uśmiech idealnie pasował do haftowanej tkaniny, z której uszyty był jej strój. Od pięknie uczesanych włosów aż po podeszwy pantofli emanowała przepychem i bogactwem. Jej uśmiech był elastyczny i szeroki - jakby spotkała ją ogromna nieoczekiwana przyjemność - i wyrażał: „Zdaję sobie sprawę, że nie macie pojęcia, kim jestem”, połączone z: „Nie przejmujcie się tym, szybko zakończę ten niezręczny wstęp”.

Simpson pozostał sztywny, a jego twarz bez emocji. Natomiast jego żona - profesjonalistka od razu rozpoznała koleżankę po fachu - już miała przyklejony do twarzy równie szeroki i elastyczny uśmiech. „Bóg raczy wiedzieć, kto to jest”, zespawane z: „ale bez problemu się dogadamy”, przylutowane do: „Nie ma problemu, kochana, spróbuj mnie przelobować, to ci pokażę smecz”.

Chwilę później nieznamo i pani Simpson trajkotały już jak przekupki. Po francusku, w języku, którym Simpson nie władał i którego nie miał ochoty się uczyć. Dla jego żony francuski był językiem znamionującym klasę i kulturę, uosobieniem dobrego smaku. Dla Simpsona był to język narodu, który - co mógł poświadczyć każdy pracownik Pentagonu - sam w sobie stanowił definicję słów „okropny” i „wrzaskliwy”. On nauczył się mówić całkiem znośnie po niemiecku i holendersku w ciągu swych lat pracy w NATO. Pożyteczne języki używane przez pożytecznych ludzi.

Poczuł na ramieniu czyjąś rękę i odwrócił głowę. Uśmiechał się do niego Wilhelm Sasko-Weimarski.

- Jestem zachwycony, że mógł pan tutaj się pojawić, admirał - powiedział Wilhelm płynną angielszczyzną. - Gdybym tylko mógł pana na chwilkę oderwać od żony... Jest tu kilku dżentelmenów, których chciałbym przedstawić. - Wskazał ręką w kierunku zwińczonego łukiem przejścia w odległym kącie pokoju. - Podobnie jak ja, uważają, że panując

Łzawa jest odrobinę nużąca, więc zaszyliśmy się w mniejszej sali i prowadzimy tam spokojniejszą rozmowę.

Zanim Simpson zdążył nawet zastanowić się nad odpowiedzią, Mary już mówiła:

„Oczywiście. John. Na pewno będzie wam tam lepiej się rozmawiało. „Widniejący na jej twarzy uśmiech był bardzo szeroki. Simpson wiedział, że pozostanie taki przez cały wieczór. Oczywiście zawsze był elastyczny - jego odmiany mogły się zmieniać tak szybko, jak przepływają na niebie chmury. Teraz uśmiech Mary przekazywał wiadomość: „Dzięki Bogu, że jestem w cywilizowanych rękach”, stojąc na baczność obok: „Mie będziesz się plątał pod nogami” i energicznie salutując: „Uciekaj, ale nie odchodź daleko”.

Już chwilę później Wilhelm kierował go we wskazane miejsce. Simpson ponownie musiał walczyć z trudną do powstrzymania potrzebą. Tym razem - by się gromko roześmiać. Nie pierwszy raz był świadkiem tego manewru przeprowadzanego na polu towarzyskiej bitwy. Jednak nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ktoś go wykonał równie pewnie i bez wysiłku. Zanim minął łukowato sklepione przejście, odwrócił się i ujrzał w przełocie Mary. Teraz w grupie, która ją otaczała, znajdowało się może ze kobiet. Wszystkie emanowały bogactwem i pozycją, mimo że znacznie różniły się od siebie wyglądem i wiekiem. Jak zwykle trudno go było określić. Nawet dla arystokratek siedemnasty wiek stanowił ogromne brzemię.

Simpson wcale nie byłby zdziwiony, gdyby okazały się młodsze od jego żony o jakieś dziesięć lat.

Jednak prawdę mówiąc, nie zwracał na nie zbytnej uwagi. Czuł po prostu ogromną ulgę, widząc, że po raz pierwszy od czasu, kiedy Ognisty Krąg roztrzaskał ich poukładany świat. Mary Simpson wydawała się naprawdę dobrze bawić.

* * *

Po godzinie Simpson nie był już tak radosny. Z własnego doświadczenia mógł stwierdzić, że niewielka grupka mężczyzn zgromadzonych w salonie tworzyła jakąś frakcję. A w związku z tym, że jego niemiecki w ciągu tych dwóch lat stał się całkiem dobry, jeśli nie płynny, był w stanie bez większych problemów przysłuchiwać się rozmowie. Stało się to jeszcze łatwiejsze po tym, jak został zaakceptowany i uznany za „swo-(kilku z nich najwyraźniej zdziwiło się, że w ogóle mówi po niemiecku) i rozmówcy zaczęli się rozluźniać i szczerzej rozmawiać w jego obecności.

W ich rosnącej swobodzie było coś zabawnego. Podejrzewał, że UVV żali dialekt, którym się posługiwali, za raczej trudno zrozumiały dla bywającego wśród nich nieznanego. Tak się jednak składało, że lata pracy dla NATO zostawiły w umyśle Simpsona szczególną mieszankę holenderskiego i niemieckiego, a dialekt używany przez tych arystokratów był dla niego naszpikowany wyrażeniami i sformułowaniami brzmiący „holendersko”.

To wystarczyło, żeby rozmowa nabrała ostrości - przynajmniej do pewnego stopnia.

Simpson stanowczo sobie obiecał, że zacznie zwracać większą uwagę na to, co jego sekretarz Dietrich Schwanhauser mówi o polityce wewnętrznej Niemiec. Nie słuchał go wcześniej częściowo dlatego, że zajmował się projektem pancernika, ale w głównej mierze dlatego, że temat ten był dla niego irytująco złożony i zawiły. Był przyzwyczajony do logiki komparatywnej i racjonalności administracji rządowej przełomu wieków dwudziestego i dwudziestego pierwszego, więc pozostałości feudalizmu były dla niego dziwaczne. W grzeczny sposób określiłby je jako „osobliwe”, natomiast jeśli miałby być szczerzy, najlepszym określeniem byłoby „idiotyczne”.

Święte Cesarstwo Rzymskie od początku było polityczną iluzją, a od Gustawa Adolfa odebrał Ferdynandowi II sporą jego część i utworzył Konfederację Księstw Europejskich, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wyglądało to tak, jak miska spaghetti pokryta grubą warstwą stopionego szwedzkiego sera.

Simpson wiedział tyle:

Możni Świętego Cesarstwa Rzymskiego, zwani Adel, dzielili się na dwie główne klasy. U szczytu znajdowali się Hochadel, zwani również „księżętami ziemskimi”, gdyż mieli miejsca w Reichstagu i teoretycznie prowadzili rozmowy bezpośrednio z cesarzem. Sprawowali również władzę sądowniczą nad swymi poddanymi. To wśród tej klasy arystokratów można było znaleźć elektorów, księżęta-biskupów, księżęta-opatów, hrabiów, margrabiów, landgrafów itp. Byli równi wobec prawa, jednakże zasięg ich rzeczywistej władzy znacznie się różnił - począwszy od możnych pokroju Jana Jerzego z Saksonii, który miał milion poddanych, Półrycerzy z jedną wsią.

Kiedy Gustaw Adolf utworzył Konfederację, przeniósł po prostu ich status do nowo powstałej Izby Księżąt. Przeniósł również ich długi u tego Cesarstwa Rzymskiego - a były one znaczne, gdyż to właśnie oni zostali zmuszeni do zapłacenia za wojny Ferdynanda II.

pozostała część niemieckiej arystokracji zwana była Niederadel, a między nimi i cesarzem była przynajmniej jeszcze jedna warstwa możnych, jednak mimo częstokroć niewielkiej władzy i bogactwa wszyscy należeli do jednego z Adel. Dietrich powiedział Simpsonowi, że stanowi

ona oko-jojednej setnej populacji Niemiec - dużo więcej niż na przykład niezbyt liczna arystokracja angielska.

jeśli sędzić po dochodach państwa, najbardziej zasługującym na krytykę był fakt, że arystokraci nie musieli płacić podatków. A mimo że było ich tak niewielu, to jednak należała do nich jedna trzecia niemieckich ziem. To skreślało ze spisu podatkowego nieproporcjonalnie dużą część dochodu państwa i dodatkowo obciążało lud oraz samych książąt, gdyż w razie potrzeby to właśnie z nich cesarz wyciskał pieniądze.

Rzeczywistość była jednak jeszcze bardziej skomplikowana, gdyż zwolnienie od podatku dotyczyło własności, a nie konkretnego właściciela ziemskiego, więc w ciągu wieków było przekazywane z rąk do rąk, aż Niemcy stał się jedną szaloną mozaiką zwolnień od podatków. Z tego, co Simpson mógł ocenić, podobna sytuacja byłaby w Stanach Zjednoczonych, gdyby to na gubernatorów stanów spadała odpowiedzialność za zbieranie podatków dla rządu federalnego. Jedna trzecia hrabstw byłaby zwolniona z podatków: gubernatorowie musieliby się poruszać w gąszczu luk prawnych, przy których paragraf 22 byłby niczym. Dodatkowo mieliby do czynienia z cesarskim systemem sądownictwa, a ten utrzymywał tradycyjne rozbieżności i miejscowe osobliwości (takie jak posiadanie przez arystokratę pozwolenia na prowadzenie gospody w swym zamku).

Hesja-Kassel była, poza Saksonią i Brandenburgią, największym i najważniejszym z na wpół autonomicznych księstw, a jej głównymi sojusznikami wśród pomniejszych książąt ziemskich byli tak zwani hrabiowie Wetterau. Od wieków byli oni blisko związani z Hesją-Kassel i arystokracją Zjednoczonych Prowincji, a żona Fryderyka Henryka, księcia oranżego, pochodziła z rodziny Solms-Braunfels.

Nic dziwnego więc, że rozmowa, której przysłuchiwał się Simpson, Prowadzona była w dialekcie, który momentami przypominał holender-*.j. Nic dziwnego również - a to właśnie spowodowało zmianę jego naboju - że rozmowy prowadzono w ostrym tonie.

Święte Cesarstwo Rzymskie stworzono z przedziwnej mieszanki różnych rodzajów lojalności politycznej oraz nagromadzonych przez wieki praw sołnych i ekonomicznych oraz obowiązków i przywilejów. Gustaw Adolf odziedziczył to wszystko po Habsburgach, jednak w przeciwieństwie do nich, był zdecydowany wprowadzić tam ład i porządek. Bez tego nie mógł na było skorzystać z ogromnego potencjału niemieckiej produkcji i handlu

„Ład i porządek” był oczywiście definicją szwedzkiego króla. Jedną z z punktu widzenia tych niemieckich Adel, którzy znaleźli się w Konfederacji, Gustaw w ogromnym stopniu przypominał tępego prostaka, który proponował, że podepcze im każdy z setki wrażliwych na ból odcisków

Simpson wiedział o sytuacji wystarczająco wiele, żeby się dziwić. Po raz pierwszy, odkąd zaproszono go do tej sali, odkaslnął i zaczął mówić.

-Nie rozumiem. Myślę... Myślałem... - Zaciął się przez gramatyka klnąc w duchu. John Chandler Simpson nienawidził się zacinać. - Myślałem, że przyjmiecie reformę podatkową z otwartymi ramionami.

Ośmiu obecnych mężczyzn zaczęło mu się przyglądać. Wilhelm Sasko-Weimarski uważnie, a pozostała siódemka ze zdziwieniem, jak gdyby przemawiał do nich niedźwiedź grizzly, a oni próbowali zdecydować, czy mu odpowiedzieć, czy też szukać wyjścia ewakuacyjnego. Książę Hesji-Kassel pierwszy otrząsnął się z szoku.

- Ha! - mruknął. Przesunął w powietrzu dłonią, wskazując wszystkich zgromadzonych.

- Admirale, zapewniam pana, że my, tak jak i każdy z Hochadel w Niemczech, łącznie z Janem Jerzym Saksońskim, przyjmujemy ją z otwartymi ramionami. Zwiększyłyby to znacznie nasze dochody, nie wspominając już o tym, że ułatwiłoby nam życie. Jednak... to jest powiązane z innymi rzeczami. Gustaw Adolf dał nam wprost do zrozumienia, że reforma podatkowa to tylko część reformy systemu. Może pan to sobie wyobrazić jako...

- Amerykanie mają już na to nazwę, landgrafie - wszedł mu gładko w zdanie Wilhelm. - Nazywają to „transakcją związaną”.

Książę Hesji-Kassel uniósł brew.

- Doprawdy?

- Jak najbardziej. Prawdę mówiąc, mają spory zasób słownictwa z zakresu niuansów polityki. - Uśmiechnął się mile. Simpson podejrzewał, że Wilhelm korzysta z okazji, żeby przeforsować własny punkt widzenia. -Przypomnijcie mi kiedyś, żebyście mi wyjaśnili takie terminy, jak „sto' sunki koteryjne”, „zjednywanie sobie wyborców” i „weto selektywne”. I oczywiście wyjątkowo urocze pojęcie „obstrukcji parlamentarnej”.

Simpson odkaszlnął.

- Innymi słowy, król Szwecji... hm... a raczej cesarz KKE... Przerwał, skonsternowany. Arystokraci znów patrzyli na niego, ja był mówiącym niedźwiedziem.

- Nie wspominałem, że Amerykanie lubują się w skrótowcach? - wyraził głośno swe myśli Wilhelm. - Początkowo uważałem to za dziwny wyczaj, ale kiedy zauważyłem, z jakim entuzjazmem Amerykanie mnożą różnego rodzaju instytucje, pojąłem logikę, która tym kieruje. To bardzo sprawnie działający lud, oddany ustalonemu porządkowi. Mają nawet na to nazwę: „biurokracja”.

Teraz arystokraci popatrzyli równie dziwnie na niego. Na twarzy Wilhelma ciągle widniał uśmiech, ale z miłego zmienił się w ponury.

- Panowie, oni rządzą całym kontynentem. U nich prowincje były większe od któregośkolwiek z królestw europejskich. Czy naprawdę uważacie, że osiągnęli to wszystko dzięki anarchii?

Simpson siedział sztywno, z twarzą bez wyrazu. Było parę momentów w jego życiu, kiedy przeklinał tę niemożność „rozluźnienia się”, która okazywała się przydatna w pewnych sytuacjach, jednak wiele go kosztowała przy innych okazjach. Kiedy szczerze zastanawiał się nad swoim życiem, przyznawał, że cecha ta odegrała znaczącą rolę w pogorszeniu się stosunków z własnym synem. Jednak tego wieczora, tu i teraz, była bezcenna. Potwierdzał to wyraz twarzy landgrafa i popierających go hrabiów.

„Do diabła z wami, zarozumiałcy - pomyślał admirał. - Zdążyłem zapomnieć więcej o sprawnym zarządzaniu niż wy, amatorzy, kiedykolwiek się nauczycie”. Jego kamienna twarz nie rzucała wyzwania, a jedynie wyrażała, co myślał.

-Ach - rzekł jeden z hrabiów. - Mówiąc o KKE, ma pan na myśli...

Książę Hesji-Kassel zaśmiał się.

-Przyznaję, że to wygodne.

Simpson powrócił do przerwanej wątku.

-Podsumowując, Gustaw Adolf żąda przyjęcia wszystkich jego pomysłów. Nie pozwoli na kręcenie nosem. Jeden z hrabiów przytaknął i dodał ponuro:

-Ale niektóre z tych posunięć są... wysoce niewygodne. Na przykład jeśli mam mówić w swoim imieniu, utrata myta będzie mnie kosztowała...

- Dostyc! - wykrzyknął któryś z pozostałych arystokratów. - Dostyc, pogadam! Już ustaliliśmy, że poprzemy cesarza, i utworzyliśmy w tym celu

Po co więc marnować resztę wieczora na roztrząsanie tej sprawy? Obdarzył Simpsona uśmiechem, który - oczywiście nie licząc uśmiechu Wilhelma - po raz pierwszy był po prostu uprzejmym wyrazem twarzy, a nie oficjalnym grymasem kierowanym w stronę potencjalnie niebezpiecznego zwierzęcia.

- Nazywam się Ludwig Guenther, admirał. Hrabia Schwarzburg. D dolstadt. I jeśli kogoś interesuje moje zdanie, uważam, że na dłuższą drogę dzięki polityce cesarza więcej zyskamy niż stracimy. - Wydał nozdrza. - Zniesienie zwolnienia od podatku będzie

przynajmniej oznaczało, że moi leniwi kuzyni przestaną już mieć pretekst do opróżniania mojej spiz[^]j

- Nie odmówisz chyba księciu orańskiemu?! - wykrzyknął książę He sji-Kassel, na wpół się śmiejąc, na wpół krzywiąc.

Ludwig Guenther uśmiechnął się nieznacznie.

- Jeśli u mych drzwi pojawi się, szukając schronienia, mój kuzyn Fryderyk Henryk, z radością mu go udzielę. Jednak mój kuzyn Ernst - żeby podać choć jeden przykład - nie ma takich potrzeb. Ani talentu. Jeśli Ernst jest w stanie robić coś poza jeżdżeniem konno i upijaniem się do nieprzytomności, muszę najpierw otrzymać na to dowód.

Twarz hrabiego Schwarzburg-Rudolstadt spoważniała.

- Połowa niemieckich arystokratów to po prostu pasożyty. Ja to wiem i wy to wiecie. A teraz koniec z tym! Po wprowadzeniu reform - koniec. Od tej pory nie będą już mieli wymówek. Będą mogli podjąć jakąkolwiek pracę - na przykład w handlu - bez groźby utraty statusu arystokraty. Zapewniam was, że jak tylko wrócę do domu, moi kuzyni wylecą za drzwi. Prostaki! Dam im wystarczająco dużo na początek, ale to wszystko.

Dwóch innych arystokratów się zaśmiało.

- Sądziś, że twoi kuzyni są źli? - spytał jeden z nich. - Mój szwagier... Książę Hesji-Kassel przerwał mu.

- A co pan sądzi, admirale?

Simpson zamarł na chwilę, na szczęście jednak jego pokerowa twarz pozwoliła mu to ukryć. Przypomniało mu się, jak kiedyś na zebraniu akcjonariuszy zadano mu pytanie, na które nie był przygotowany. Jakoś odpowiedział, zacinając się - nienawidził się zacinać - a następnego dnia obdarł swych asystentów ze skóry. I posypał rany solą.

„Nie mogę obwiniać za to Dietricha. Przecież się starał. Johnie Chandlerze, objąłeś się z odrabianiem domowego zadania. Admirale - głupka ile czasu spędziłeś w Pentagonie? - musi być również zwierzęciem po'1" tycznym".

Odkaszlnął.

- Przepraszam bardzo, ale byłem tak zaprzątnięty sprawami marynarskiej wojennej, że nie przykładałem do tego takiej wagi, jak powinienem. Przepraszając pro forma, Simpson gładko kontynuował. Przecież graniach akcjonariuszy udało mu się przebrnąć przez niejednego trudnego fljoment.

„Wydaje mi się jednak, że musicie, panowie, zdystansować się i rozważyć długofalowe... - Szukał słowa, zaciskając usta. Siedzący obok nie-p Wilhelm pochylił się i szepnął:

- Szuka pan chyba słowa „konsekwencje”. Admirale rzucił mu pełne wdzięczności spojrzenie.

-Tak, konsekwencje. - Odwrócił głowę i spojrzał na arystokratę, który wcześniej narzekał na utratę wpływów z myta. - Pozwólcie, panowie, że podam wam przykład, z którym jestem bardzo dobrze zaznajomiony. Chodzi o myto. Zgadza się, utracony zostanie bezpośredni dochód. Choć chyba powinienem podkreślić, że cesarz nie ma nic przeciwko nakładaniu opłat na przykład za prace przy utrzymaniu służ. On chce po prostu skończyć z nieustannym wyciąganiem pieniędzy od kupców. Przecież wszyscy wiemy, że to dodatkowe opłaty za nic. Po dodaniu tego wszystkiego przekonacie się, że to myto podnosi o jedną trzecią ceny towarów transportowanych przez pół terytorium Niemiec.

Arystokrata, do którego zwracał się Simpson, nachmurzył się, ale nie próbował się sprzeciwiać. „Lepiej nie próbuj, koleś. W tym przypadku cholernie dobrze zapamiętałem wszystkie fakty i liczby”.

-Jednak na dłuższą metę - i to szybciej, niż się spodziewacie - spowoduje to gwałtowny wzrost obrotów w handlu wewnętrznym. Prawdę mówiąc, w handlu zagranicznym również. A to z kolei spowoduje nagromadzenie pieniędzy w rękach ludu w Niemczech - a przynajmniej w rękach niektórych jego przedstawicieli. A co oni z nimi zrobią? Ponownie

zainwestują. A gdzie to zrobią? Wielu z nich oczywiście zrobi to w tym samym miejscu, w którym już mieszka. Jednak wielu poszuka swojej szansy gdzie indziej. Szczególnie...

Obrócił głowę, obdarowując zgromadzonych arystokratów pewnym sięspojrzeniem prezesa zarządu i zatrzymując się chwilę dłużej na Hra-Schwarzburg-Rudolstadt.

- Szczególnie na ziemiach tych książąt, którzy okażą tyle zdrowego rozsądku, żeby ich zachęcić do przybycia. A można to zrobić na wiele sposobów. Na przykład...

Simpson mówił przez pół godziny właściwie bez przerwy, od czasu do czasu upewniając się co do użycia właściwego słowa lub wyjaśniając arystokracjom jakiś termin. Dla niektórych szczególnie wyzwaniem stanowiła efektywność przedsiębiorstwa wolnej od podatków. Choć Simpson nie znał wszystkich szczegółów, był ekspertem, jeśli chodzi o ogólne zrozumienie tematu.

Kiedy skończył, w pomieszczeniu zapanowała cisza. Następnie książę Hesji-Kassel zaczął się cicho śmiać.

- No tak. Wygląda więc na to, że mimo wszystko nie jesteśmy skazani na niepowodzenie. Wilhelm, książę Sasko-Weimarski, już chciał coś powiedzieć, ale jednak zacisnął usta i się nie odezwał. Simpson rzucił na niego okiem, a gdy tamten odwzajemnił spojrzenie, nawiązała się między nimi nić porozumienia.

„Boże, ależ on jest bystry. Wilhelm zna prawdę. Nie, książę Hesji-Kassel, jako klasa jesteście skazani. Prędzej czy później. Ale jako ludzie, rodziny... Jeśli okażecie się wystarczająco bystry - a to warunek trudny do spełnienia - może wam się powodzić o wiele lepiej niż kiedykolwiek. A więc co wam zależy?”

Nagle jakaś niewyraźna myśl przeniknęła do umysłu Simpsona. Niewyraźna i... nieprzyjemna. Natychmiast więc ją odepchnął. Przez chwilę jednak rozważał możliwość, że ten górnik-prostak może jednak wie, co robi. Może nawet lepiej niż prezes zarządu. „Ech, po prostu ma szczęście”.

^Rozdział 37

W drodze do domu Mary Simpson wesoło trąkotała, nie zwracając zupełnie uwagi na gwałtowne podskoki pojazdu, którym przemierzali załosne, na wpół wybrukowane ulice. Jechali czymś, co od biedy można by nazwać palankinem przymocowanym z przodu i z tyłu do koni i prowadzonym przez jeźdźcę. W Magdeburgu ulice ciągle były tak wyboiste, że taki środek transportu wydawał się praktyczniejszy niż powóz. Mimo to trudno byłoby nazwać podróż płynną.

Simpsonowi miło było słyszeć nuty szczęścia w głosie żony, ale właściwie nie zwracał uwagi na słowa, które wypowiadała. Jej monolog i tak w większości był dla niego

niezrozumiała, gdyż główną jego część stanowiła szczegółowa - a momentami wręcz wyczerpująca - analiza Poszczególnych osób, które Mary spotkała na wieczorku zorganizowa- niu przez księcia Hesji-Kassel. To, co mówiła, było dla niego tak niejako-SRe, jak dla niej byłyby niezrozumiałe jego opowieści o sprawach za- wodowych.

Ignorował ją w wyćwiczony i uprzejmy sposób. Miał w tym sporo oświadczenia, gdyż przed Ognistym Kręgiem towarzyszył Mary na ^lclu takich spotkaniach. Poza okresem pracy w Pentagonie starał się naJczęściej jak się dało wywinąć, ale Mary miała wszystko na oku i nie- byt często mu na to pozwalała. Zmuszała go nawet do chodzenia do °Pery tak często, że już stracił rachubę - to było najtrudniejsze do Jesienia.

Jednakże... nigdy nie narzekał. Szczerze przyznawał, że dyscyplina j ^ lenty Mary znacznie mu pomogły w zrobieniu imponującej kariery w Wq-sku. Była idealną żoną dla oficera marynarki wojennej, a w późniejszy3. latach zwiększyła jego wpływy w znaczących kręgach towarzyskich. Be2 Mary John Chandler Simpson, szef znacznej firmy, byłby oczywiście wpfy, wowym i szanowanym człowiekiem, jednak żadna gazeta nie ochrzciłaby go mianem Pana Pittsburga. Fakt, zrobiła to z pewną nieufnością -Simpson ciągle miał w sobie za dużo z bezwzględnego rekina biznesu żeby nawet ludzie dorównujący mu majątkiem i wpływami czuli się w je. go towarzystwie swobodnie.

Takich zastrzeżeń nie było natomiast wobec tytułu, którym prasa ochrzc- ła Mary. Dama z Three Rivers codziennie widniała na stronach kolumn towarzyskich czasopism w zachodniej Pensylwanii. Była w zarządzie lub zajmowała inne wysokie stanowisko praktycznie we wszystkich organi- zacjach Carnegie w Pittsburgu - od muzeów po Uniwersytet Carnegie-Mellon; to samo dotyczyło również przynajmniej połowy bardziej zna- czących fundacji muzycznych i artystycznych. Za każdym razem, kiedy ktoś chciał skorzystać z dobroci kręgów filantropijnych, w końcu lądo- wał u Mary Simpson - a ci, którzy byli zaznajomieni z tematem, od razu od niej zaczynali. Szybki telefon, a potem lunch w jednej z ulubionych restauracji Mary.

Jej pasje sporo kosztowały i od czasu do czasu Simpson na to na- rzezał, nie robił tego jednak za często i zbyt ostentacyjnie. Częściowo dlatego, że wbrew powszechnej opinii, dla Johna Simpsona pieniądze nie były wszystkim. Jednak głównie dlatego, że miał wystarczająco dużo obycia, żeby wiedzieć, że chytry dwa razy traci. Miał pewność że przynajmniej jeden duży kontrakt, który podpisał - a o który ubie- gało się więcej przedsiębiorców - przypadł właśnie jemu, gdyż pod- czas wizyty potencjalnego klienta okazało się, że tak samo jak Mar* uwielbia on operę Peter Grimes Benjamin Brittena. A żona klienta (o gustach się nie dyskutuje), tak jak i Mary, lubiła również muzykę, renesansową.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy tylko weszli do wynajętego prz) stoczni domu i Simpson zapalił światło, jego pływające swobodnie my5 przeciął trwający na dobre monolog Mary.

- ...ciągle żyje. Boże, John, pomyśl tylko! Sam Monteverdi! Oczy* ście jest już zaawansowany w latach - musi mieć teraz koło sześćdziesiąt ki - ale jeśli dobrze pamiętam, dożył sędziwego wieku. I to we Włoszec •

^Je zawsze panowały takie straszne epidemie. Alandgrafowa Hesji-gjssel, Amalie, powiedziała mi, że słyszała od swej kuzynki Luise, że „iirno «ż Monteverdi przyjął święcenia kapłańskie po tej strasznej grabie-Ylantui i przeniósł się do Wenecji...

Nazwisko „Monteverdi* w końcu mu się z czymś skojarzyło. Z czymś nieprzyjemnym. Mary zauważyła lekki grymas na jego twarzy i zaśmie- ła się-

„Oj. przestań! Nie mam zamiaru cię przeproszać za to, że zmusiłam cię - na litość boską, tylko raz! - do wysiedzenia na całych Nieszporach najświętszej Maryi Panny. - I dodała stanowczo: - Żadna wykształcona „oba nie powinna przejść przez życie, nie usłyszawszy ich. Przyznam jednak, że osobiście wolę jego opery.

Przerwała na chwilę, podeszła do stojącego z boku stolika i potrząsnęła dzwonkiem. Prawie natychmiast w drzwiach pojawiła się młoda niemiecka służąca - słyszała, jak weszli, i najwyraźniej czekała na wezwanie.

- Hildę, poprosimy o herbatę - rzekła Mary po angielsku, gdyż ciągle słabo władała niemieckim. Zatrudnili tę dziewczynę częściowo dlatego, że biegle władała angielskim. Służąca skinęła głową i wyszła do kuchni.

-To jedna z dobrych rzeczy w tych czasach - powiedziała Mary, siadając na sofie. Służba jest nie tylko tania, ale i dobra. Dotyczy to również...

Poklepała ręką sofę, na której siedziała.

- W naszych czasach za takie meble zapłacilibyśmy fortunę, a tu mamy je praktycznie za nic, trzeba je tylko spryskać DDT przed zabraniem do domu.

Spojrzała na męża z chytrym uśmiechem.

-Wracając do tego, co mówiłam, samego Monteverdiego pewnie o, e da S1S tu ściągnąć, ale landgrafowa powiedziała mi, że wie od swej

uzynki Luise, że uczeń Monteverdiego, Cavalli, jest bardzo sfrustrowany obecną sytuacją w Wenecji. I oczywiście wystraszony. Epidemia, torą wybuchła tam dwa lata temu, pochłonęła jedną trzecią populacji miasta.

Przypomniawszy sobie decyzję Mike'a Stearnsa, by wysłać cały zapas oramfenikolu do Lubeki i Amsterdamu, Simpson ponownie się skrzył - tym razem nie lekko, tary pokręciła głową.

- Straszne, nieprawdaż? Ale jest też dobra strona. Cavalli na pewno nie jest aż takim geniuszem jak Monteverdi - widziałam kiedyś jego Operę // Giasone i nie była zła, ale nie mogła się równać z Orfeo czy L'., Co ronazione di Poppea - ale jest drugim najwspanialszym współczesnym kompozytorem włoskim. A przynajmniej będzie nim całkiem niedługo - ciągle jest młody. Co więcej, najwyraźniej jest równie zmartwiony stanem spraw związanych z muzyką w Wenecji, jak niebezpieczeństwem za. razy. Chce zbudować teatr specjalnie dla oper - co zaskakujące, opery w naszym rozumieniu tego słowa jeszcze nie istnieją - a w związku z rozpaczliwą sytuacją miasta ma problemy z otrzymaniem finansowego wsparcia z ich strony... Co cię tak śmieszy?!

- Ty - odparł Simpson, kręcąc głową. - Mary, przykro mi to mówić, ale nie jesteś już Damą z Three Rivers. - Wzruszył ramionami. - Aja, mimo że według obecnych standardów jestem dosyć zamożny - mam przecież admiralską pensję - jednak nie jestem już Panem Forsiastym.

Usiadł obok niej na sofie.

- Przykro mi, Mary, ale trzeba się z tym pogodzić. Straciliśmy wszystko. Jej twarz była blada i jeszcze bardziej spięta niż jego.

- Nie, John. To nie do końca tak. Nie straciliśmy wszystkiego, jedynie pieniądze. Natomiast zmarnowaliśmy nasze życie, a co gorsza, utraciliśmy syna.

Na twarzy Simpsona znowu pojawiła się drewniana maska.

- Och, Boże, pomóż nam - wyszeptwała. - Znowu się zaczyna. John Chandler Simpson, człowiek, który zawsze ma rację. - Odwróciła od niego twarz, gdyż zwilgotniały jej oczy. - Nienawidzę tego człowieka. Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek.

-Mary...

- Zamknij się. Po prostu się zamknij. - Podniosła się z dłońmi przyciśniętymi do ud i zapatrzyła się na odległą ścianę. Nic na niej nie było. Ani obrazów, ani gobelinów - nic. Zarobki Simpsona wystarczyły na dom, meble i służącą, ale nic nie zostało na jej ukochane dzieła sztuki.

Wyglądało na to, że Mary czyta w jego myślach, co pewnie nie było zaskakujące po tylu latach małżeństwa.

- To nie twoja wina. Nie obwiniam cię o to, że nie mamy pieniędzy.07.' które kiedyś mieliśmy. Nie ty wywołałeś Ognisty Krąg. Nie wini? nawet za Toma - prawdę mówiąc, w tej kwestii to chyba ja uczyniłem więcej złego. Byłam wobec jego narzeczonej jeszcze bardziej nieprzyjaciółką. Simpson miał zaciśnięte szczęki. Przepełniała go złość człowieka, który zawsze będąc pewnym siebie, chciał i tym razem ten fakt podkreślić. ' -Chyba? Żartujesz sobie. Ja po prostu zachowywałam się wobec tej dziewczyny sztywno i chłodno. Okej, pewnie nawet niegrzecznie. Ale kiedy Tom przywiózł ją po raz pierwszy do Pittsburgha, to ty doprowadziłaś ją do łez' wyśmiewając jej gusta muzyczne. To ty nie dałaś jej się wywinąć z rozmowy o »wspaniałej światowej literaturze«. To właśnie ty, zarozumiała...". Na szczęście, choć z ledwością, zdołał się pohamować. Nawet mimo targającego nim gniewu zachował na tyle bystrości umysłu, żeby zdawać sobie sprawę, że nastąpił przełomowy moment dla jego małżeństwa. Dotarła do niego również fala świadomości, że nie chce, aby się skończyło. Jeśli spojrzeć na jego życie osobiste, żona była wszystkim, co mu pozostało. Pobrali się w dniu, w którym ukończył Akademię w Annapolis; nie był w stanie wyobrazić sobie życia bez niej.

-Mary, proszę...

- John, bądź cicho. Raz - ten jedyny raz - posłuchaj zamiast mówić. -Odwróciła się i stanęła naprzeciwko niego. Na jej twarzy wciąż widniał gniew, jednak Simpson z ulgą zauważył, że gdzieś za zasłoną łez kryła się czułość wypływająca ze spędzonego razem życia.

-Nie jesteś za dobry, delikatnie to ujmując, w przyznawaniu się do błędów. - Przełknęła ślinę. - Prawdę mówiąc, ja chyba też nie. Wiem, że często bywam dużo bardziej małostkowa niż ty. Ale nie mogę się z tobą równać, jeśli chodzi o uparte przekonanie o własnej nieomyślności. Nie •nam co się równać - i chyba nikt nie może.

Hildę weszła do pokoju z tacą, na której stał imbryczek i dwie filiżanki. Nie było tam ani mleka, ani cukru - z mlekiem było za dużo zachodu, Sdyż trzeba je było najpierw ugotować, a cukier był za drogi. Chcąc nie ctaąc, Mary Simpson nauczyła się pić herbatę bez dodatków. Parę miesięcy wcześniej nauczyła się nawet na to nie narzekać.

Po przejściu dwóch kroków służąca zamarła, tak jak to zazwyczaj robi służba, gdy zorientuje się, że weszła do pokoju w trakcie kłótni między tonią i panem domu.

^ Kiedy Mary Simpson chciała, potrafiła być uosobieniem uprzejmości.

Osć, ból i żal na chwilę zniknęły z jej twarzy, a zastąpił je miły uśmiech lamy.

- Dziękuję ci bardzo, Hildę. To wszystko na dziś.

Służąca nerwowo skinęła głową, postawiła tacę na stojącym z ^ stoliku i niemal wybiegła z pokoju.

Chwilowe złagodzenie napięcia sprawiło Simpsonowi ogromną ulgę tym bardziej że Mary zachowała „wizerunek damy" - jej twarz miała surowy wyraz, ale nie było już na niej śladu hysterii.

- Johnie Chandlerze Simpsonie, dziś wieczór w końcu powiem ci prawdę. Dwa lata temu, kiedy Ognisty Krąg przewrócił nasz świat do góry nogami, Mike Stearns miał rację, a ty - my - myliliśmy się. Dokładnie tak samo było później, w trakcie kampanii politycznej. Machnęła niecierpliwie ręką.

- Och, przestań. Wyglądasz jak dziecko zmuszane do połknięcia ta. bletki. Nie powiedziałam, że miał rację we wszystkim; ciągle uważam, że to prosty, nieokrzesany i bezwzględny mężczyzna, który w wielu kwestiach zachowuje się lekkomyślnie i krótkowzrocznie. Ale...

Słowo to zabrzmiało prawie jak wystrzał.

- On od początku rozumiał coś, czego myśmy nie rozumieli, choć jak teraz na to patrzę, wydaje mi się to jasne jak słońce. Tych kilka tysięcy Amerykanów, którzy przetrwali Ognisty Krąg, było zdrtwiałych z przerażenia. Ty też to widziałeś i - znam cię, John, nigdy nie

byłeś i nie jesteś złym człowiekiem - zareagowałeś na to próbą zorganizowania tego strachu, by ich uratować. A on widział i rozumiał, że strach - zorganizowany strach - zamieni się w bestialstwo, bez względu na to, jak dobrze by go zorganizować. Tak więc wyżył się na nas. Walił w nas pięściami, żeby rozwiać ich strach, oferując im...

Przerwała i otarła twarz.

- Cholera, jak chcesz, nazwij to inspiracją.

- Mary, to najbardziej stronnicza...

- Zamknij się! Czy ty mnie kiedykolwiek posłuchasz? - Wściekłość znów pojawiła się w jej głosie. - John, ja byłam obecna na tych wiecach w „Klubie 250”. Dziś wieczór - teraz, kiedy to wszystko już się skończyło - spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie staliśmy przed widnie¹ przyszłego Ku-Klux-Klanu.

Jej ramiona zadrżały.

- Zawsze po tym wszystkim miałam ochotę na prysznic, i pewnie by go brała, gdyby nie to, że racjonowano gorącą wodę. Boże, te zwier[^] „Psom i Niemcom wstęp wzbroniony”.

„Białe czarnuchy”. „Nie mam ni do szkopów - każdy Amerykanin powinien takiego mieć”.

To włas^{*1}

^ćrwi” w tłumie. John, i nie ma znaczenia, jak wspaniałe słowa padały, twoich ust na mównicy.

Simpson przelknął ślinę. Nienawidził tych wieców, ale Stearns rozpo-zał tak ostrą i bezlitosną kampanię, że nie miał wyboru.

Szukał... czegoś.

„Cholera, jego program i polityka były niesamowicie lekkomyślne. Bez naszej tradycji, zwyczajów, przyjmować dziesiątki tysięcy Niemców - nie ,nówię o tak zwanej „rasie”, bo dobrze wiesz, że to nie ma nic do rzeczy -przyznawać im prawo wyborcze, pozwalać, aby nas zalewali swymi średniowiecznymi postawami i przesądami - Bóg wie, co by z tym zrobili... Urwał, a Mary zaśmiała się sucho.

- Tak? A co potem z tym zrobili? - Rzuciła okiem na pustą ścianę i zdo-łała się uśmiechnąć. - Brak obrazów na ścianach to jeszcze nie koniec świata. To już dwa lata, John. I jeśli nawet Mike mylił się co do wielu rzeczy - a uważam, że tak było i ciągle jest - to w tej kwestii się nie mylił. Może schrzańił trochę mniej istotnych spraw, ale najważniejsze mu się udały, prawda? Czymkolwiek te nowe Stany Zjednoczone są lub mogą się stać, na pewno nie są czymś, czego my lub ktokolwiek inny powinien się wstydzić. A teraz powiedz mi szczerze, John, czy jesteś pewien, że mógłbyś rzec to samo, gdybyś to ty rządził?

Chciałby to powiedzieć, ale nie mógł... Nie do końca.

- Przerażenie to straszna rzecz, John - rzekła cicho. - Wypuszczone na wolność staje się potworem, i uważam, że bez względu na to, jak bar-dzo byś się starał, nie dałbyś rady go kontrolować. Nie po tym, jak zrobił-byś wszystko, żeby właśnie na fali przerażenia dotrzeć do władzy - a mó-wiąc bez ogródek, właśnie to zamierzałeś zrobić.

Ponownie otarła twarz.

-Tak, tak, ja też. Nie próbuję cię obwiniać, John. Po prostu... Eee, Pieprzyć to!

Zwrot, którego użyła, wstrząsnął nim. Mary zazwyczaj była bardzo sta-ranna, jeśli chodzi o dobór słownictwa. Prawdę mówiąc, to właśnie bez-myślne używanie przekleństw przez Ritę Stearns - oraz wpływ, jaki to ^ało na Toma - natychmiast przemieniło uprzedzenie wobec narzecz-o-eJ syna w nieustępliwy opór wobec ich planowanego małżeństwa.

Nagle i Simpson, i Mary wybuchnęli histerycznym śmiechem. Częścio-^o spowodowała to ulga, że ich małżeństwo jednak przetrwa. Ale w rów-neJ mierze zrobili tak dlatego - i rozumiał to nawet Simpson - że śmiech z nich wszelkie błędy. Nie trzeba już było stawiać im czoła i...

...przyznawać się do nich.

- W porządku, Mary - rzekł, gdy skończyli się śmiać. - Powiedz czego chcesz.

Usiadła obok niego i ujęła jego dłonie.

- Chcę, żeby wróciło nasze małżeństwo. Chcę, żeby wróciło nasze życie. Chcę, żeby wrócił nas syn, jeśli to jeszcze możliwe. Ty masz w marynarce wojennej, ona pomaga ci przetrwać. Aleja nie mam nic. Skinął głową, przyznając jej rację.

- Zrobię...

- Oj, zamknij się! - Tym razem jednak jej słowa nie brzmiały wrogo lecz przyjaźnie. - John, ty nic nie musisz robić. No... niezupełnie. Będę chciała, żebyś poprosił Mike'a Stearnsa o odwzajemnienie się za przy. służbę.

Zaśmiała się, widząc jego znieruchomiałą twarz.

- No przestań. Bez względu na inne cechy charakteru, Mike to diabelsko sprytny polityk. To powinno być jasne jak słońce dla każdego, kto ma choć namiastkę mózgu, a już szczególnie dla Johna Simpsona, który jest cały posiniaczony i ciągle nie wie, co go przejechało.

Ponowna fala śmiechu i ulgi. Nie dawali sobie z Mary tyle ciepła od czasu Ognistego Kręgu. Strasznie tęsknił za taką intymnością - tym bardziej że nie był w stanie jej o tym powiedzieć. Nie był w tym dobry. Małżeństwami nie da się efektywnie zarządzać.

- John, to, co się stało na nabrzeżu, powinieneś traktować jako osobiste przeprosiny Mike'a. To nie była tylko gałązka oliwna, ale również propozycja, więc z niej skorzystaj, matolku. Chyba że wolisz ciągle roztrząsać stare żale.

Wstała, podeszła do jedyne go okna i rozsunęła zasłony. W środku nocy nie było za bardzo na co patrzeć.

- Podkradnijmy pomysł Mike'a Stearnsa, John. Tam, w Grantville, on szuka po omacku sposobu, żeby sobie poradzić z polityką cesarską. Ale tu, w Magdeburgu... Ja to czuję, John. Czuję. Na przyjęciu to cały czas wisiało w powietrzu. Ci ludzie są na granicy między radością i przerażeniem. Niektórzy z nich - na przykład landgrafowa Hesji-Kassel - są wy*starczająco bystrzy, żeby sobie zdawać z tego sprawę. A jeśli sądzisz, # Amalie to bystra sztuka, powinieneś poznać przeoryszkę z Kwedlinburg3-Najdłużej z nią rozmawiałam. 0

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Podkraść pomysł Mike'a Stearnsa3-Wjaki sposób? „Dać im pewność. John. Dać im nadzieję. Gustaw Adolf też tego nie ^idzi- jak sądzę. „Chcę tego. chcę tamtego. Oddajcie to, oddajcie tamto”. \Y'szysey. którzy byli na przyjęciu, widzą, że ma rację. Część z nich -większość - jest nawet podekscytowana faktem, że zrobią to, co od wie-koW trzeba było zrobić, żeby Niemcy wyszły z opłakanego stanu, w ja-kim się znajdują. Ale boją się. - Zapatrzyła się w ciemność. - Jeśli jest .0Ś. co zrozumiałam w ciągu tych dwóch lat, to fakt, że strach potrafi zjeść człowieka żywcem. Przeważenie to straszna rzecz, John. Nie stawajmy tym razem po złej stronie.

Pokręcił głową.

- Mary, ja nie staram się z tobą sprzeczać. Po prostu nie rozumiem...

Odwróciła się ze wspaniałym uśmiechem i szeroko rozłożonymi ramionami. Przez chwilę zadrało mu serce, gdy przypomniał sobie młodą kobietę, którą poznał i poślubił tyle lat wcześniej.

- Daj im imperium, John. Nie tylko pieniądze i władzę. Cholera, a ty właśnie to starasz się im zabrać. Więc... Więc... - Szukała właściwych słów. Wreszcie powiedziała cicho: - Daj im gałązkę oliwną. Daj im ich własne miejsce. Daj im cesarskie miasto na stolicę - nie jakieś wielkie, brzydkie miasto przemysłowe. Daj uniwersytety, do których będą mogli posyłać swe dzieci. Daj im opery, biblioteki i muzea. Daj im miasto, w którym będą mieszkać i rzucać się z energią w wir życia towarzyskiego - to chyba nic takie straszne, że będą przebywać tu, pod osłoną dział Gustawa, a nie gnić w swych rezydencjach na wsi, prawda? Nie ma w tym żadnej szkody, a jest wiele dobrego. Wiem, że uważasz moje pasje za odrobioną niemądrą,

ale powiem ci jedno, Johnie Chandlerze Simpsonie: kultura tonie tylko pretensjonalne słowo dla bogatych wrednych babsztyli, które nie mają nic do roboty.

Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła minę, jaką zareagował na język, któ-ty m się posługiwała.

-Aaa tam, skoro i tak jestem splukana, to czemu nie? Pokręciła stanowczo głową.

- Kultura to co innego, John. Bez względu na to, jak to czasem wygląda-k> kultura zmienia czystą władzę w cywilizację. Tak więc jeśli chcemy to ?r°bić, to, do cholery, zrobmy to dobrze. Jeśli Gustaw chce mieć cesar-%o - w porządku. Ja tylko chcę, żeby świeciło. - Zaśmiała się perliście.

A przynajmniej błyszczało.

"Ale... - Zaczerpnął głęboko powietrza. - Mary, kto za to wszystko opłaci? Już zaciskamy pasa...

- Mężczyźni! - Przewróciła oczami. - Jesteś taki sam jak Mike Stej czy Gustaw Adolf! Spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem.

- Pan Pittsburgh. Ale zabawa. Czasowe zwolnienia podatkowe, ghjp0 lu. Gustaw Adolf odbierze niemieckim arystokratom zwolnienie od p0 datku - no... przynajmniej tym, którzy za tym zagłosują. I przyznam, 2e wielu z nich to zrobi, ale co potem? Czy łatwo będzie zebrać te podatki?

Skrzywił się.

Mary jeszcze bardziej się uśmiechnęła.

- Wiesz równie dobrze jak ja - a przynajmniej powinienes, skoro za-trudniałeś tylu księgowych - jak energicznie będą się starali unikać płace-ania. I będą mieć przewagę, której ty nie miałeś - na początek słabo wy. kształconych urzędników, nie tych oszustów ze skarbowki; obywateli, którzy nawet nie patrzą na to jak na korupcję, chyba że kradzież odbywa się w biały dzień...

Siedział ze zmarszczonym czołem. Rozumiał, o co jej chodzi - rozu- miał w stu procentach. Przecież w minionych latach rzeczywiście spędzał długie godziny z księgowymi i prawnikami, próbując na wszelkie sposo-by zaoszczędzić na podatkach...

Nawet w jego czasach, przy złożonych sztuczkach, które istniały dzie-ki wysoce uprzemysłowionemu i wykształconemu społeczeństwu, kluczem do efektywnego ściągania podatków była współpraca płatnika. Oczywiście wszyscy szukali luk prawnych, ale tak naprawdę niewielu ludzi pró-bowało łamać prawo. Szczególnie gdy...

- Jezu, masz rację - wyszeptał. - Pokazać im kruczki...

- Nareszcie. Oświeciło go - Uśmiechnęła się pogodnie. - Pozwól mi pokazać tym arystokratkom, jak ich mężowie mogą oszukać cesarza i do-stać swoje opery - oczywiście jako ofiarodawcy-założyciele będą mieli prawo do własnego miejsca w loży - a chętnie sięgną do portfela i Gu-staw będzie miał pieniądze na żołnierzy i pancerniki. Nie będą sobie zy* czyli, żeby jacyś obcokrajowcy płynący w górę rzeki przeszkadzali u» w przyjęciach. Co więcej, Gustaw Adolf właściwie nic na tym nie straci, gdyż, jak dobrze wiesz, i tak by tych pieniędzy nie otrzymał. Ukryliby przed nim, to pewne, czemu więc nie pozwolić, żeby je ukryli w bia dzień? A jak już przy tym jesteśmy, można też założyć tu uniwersytet instytuty sztuki i centra muzyczne - z których przecież wszyscy mogą^0 rzystać - i sprawić, żeby poczuli, że są ważni, że są częścią tego wszy kiego, a nie że po prostu wystrychnięto ich na dudka.

Spojrzał na nią i nagle zerwał się na równe nogi.

-Spróbujmy, co nam szkodzi! - Zdjął z wieszaka jej płaszcz. - No chodź.

- Dokąd idziemy?

-Wysłać wiadomość z bazy marynarki. Zadzwonię do prezydenta -jeśli ten pomysł wyjdzie od niego, Gustaw Adolf posłucha.

- Jest środek nocy!

-Co z tego? To niedaleko.

Ciągle się wahała, ale Simpson spojrział na nią zadziornie.

-No dalej. Mary. Powiedziałaś A, powiedz B. Jakbyś nie wiedziała, mieszkamy pośrodku tak zwanej dzielnicy radykałów. Pewnie, że tym młodym ludziom z komitetów korespondencyjnych niedaleko do bandziorów. Przeszkadza mi sam ich widok, ale trzeba przyznać, że to jedyna dzielnica miasta, w której praktycznie nie ma przestępstw.

Dorzucił ostro:

- Nazywają to „przestrzeliwaniem kolan”, z tym że robią to młotkiem, a nie z broni. Taka jest ustalona kara za kradzież lub rabunek. Lepiej, żebyś nie wiedziała, co się potem dzieje, może po prostu powiem, że kończy się to wszystko w Łabie i na tym poprzestanę. Mary miała oczy jak spodki.

- Żartujesz sobie. - Zwróciła wystraszoną twarz w kierunku drzwi, jakby się bała, że w każdej chwili mogą się do nich włamać szaleni anarchiści.

-Nie, nie żartuję. Ale... - zaśmiał się - zapewniam cię, że my nie musimy się nimi martwić. Możesz mówić, co chcesz, ale te prostaki z komitetów popierają Stany Zjednoczone, a szczególnie marynarkę wojenną - tak sędzę po tym, jak przychodzą na nabrzeże podziwiać pancerniki.

Pomógł jej założyć płaszcz.

- Oczywiście nie pochwalam ich zachowania, ale dzięki nim nie boję się wracać z bazy marynarki po zmroku. Przecież świat nie jest idealny, Prawda?

Kiedy wziął lampę i otworzył przed nią drzwi, ciągle miała oczy jak spodki.

~ »Przestrzeliwanie kolan” - mruknęła. - To się nie zdarzało w Pittsburgu. A przynajmniej nie w naszej dzielnicy.

~ To prawda. Choć pamiętam, że narzekałaś na sądy, które rozpieszczyły kryminalistów. Tutaj tak nie będzie.

sok

nie

sprawę, że jego żona nigdy wcześniej tędy nie szła - a już na pewno w nocy. W przeciwieństwie do niego, nie była więc zaznajomiona z bliwościami, które można było tutaj napotkać.

Grupki młodych ludzi - w większości mężczyzn - stojących na rogach ulic z rękoma w kieszeniach to nie był obrazek, na który osoby pokroju Johna i Mary Simpsonów patrzyłyby z aprobatą. Szczególnie w mieście bez latarni ulicznych. Kiedy jednak dwie pierwsze grupki skinęły uprzejmie w ich kierunku. Mary zaczęła się rozluźniać. A gdy zbliżali się do trzeciej, największej grupy, stojącej nieopodal wejścia na teren marynarki wojennej, Simpson zdecydował, że już najwyższy czas skończyć z wątpliwościami, które nękały również jego samego.

Tak więc kiedy dotarli do gromadki sześciu osób, Simpson zatrzymał się. Zanikł pomruk rozmowy i jeden z mężczyzn około dwudziestki wy. szedł do przodu krok czy dwa.

- Przepraszam, nazywam się John Simpson i jestem...

- Wiemy, kim pan jest, admirał - rzekł cicho młody mężczyzna. Skinął uprzejmie głową w kierunku Mary. - Frau Simpson. Nazywam się Gunther. Gunther Achterhof. Kieruję tą dzielnicą, czym mogę służyć?

„Kieruję? Dzielnicą?”. Simpson na chwilę oniemiał, potem odkaslnął i powiedział:

- Być może w przyszłości moja żona będzie chciała przychodzić do stoczni. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście... hm...

Achterhof uśmiechnął się i jego krzywe zęby zaświeciły w świetle lampy, mimo że próchnica pozostawiła na nich ciemne ślady.

- Jeśli pan admirał sobie życzy, możemy przydzielić pani admirałowej eskortę. Ale właściwie nie ma czego się obawiać. Wasz dom jest strzeżony cały czas - od kiedy Frau Simpson przybyła do Magdeburga, nawet wtedy, gdy pana tam nie ma.

Fer-

Simpson patrzył zdumiony, a Mary praktycznie wytrzeszczała oczy " jej znajomość niemieckiego wystarczyła do zrozumienia rozmowy

Wrogowie rewolucji, Richelieu wszędzie ma agentów. To samo z

dynandem i Maksymilianem. To bezzwzględni i zdesperowani ludzie, p1"2 niczym się nie zawahają.

Achterhof dodał jakieś niemieckie słowo, którego Simpson nie zrozumiał. Sądząc po jądzie, który krążył pod sylabami, podejrzewał - jyyła to ioli w hisna wersja nazw, które od wieków tworzyli uciskani. Angol, gialas- Szkop. Czasem odnosiły się do narodowości, czasem do rasy, czasem P° prostu do warstwy społecznej - proste nazwy wymyślone p^ez ludzi, którzy mieli dość i nie bali się tego powiedzieć.

„Oczywiście Stany Zjednoczone to ich najgroźniejszy i najbardziej nienawidzony w róg.

Wice... - Gunther wzruszył ramionami. Albo raczej stanął w pozycji bojowej. - Więc stoimy na straży.

Wyglądało na to, że nie ma co dodawać. Simpson zdał sobie nagle sprawę, że tak naprawdę nigdy nie będzie wiedział, jak z kimś takim rozmawiać. Więc...

„Niech Stearns się nimi zajmuje. On to potrafi, ja nie. Ja się zajmę marynarką wojenną na tym się znam".

Skinął głową, mruknął parę słów podziękowania i ruszył dalej.

-Wygląda na miłego młodego człowieka - rzekła z wahaniem jego żona.

-Mary. on absolutnie taki nie jest. Choć jest po naszej stronie. Po przebyciu kilku dalszych kroków odparła:

-Najlepiej teraz wykombinować, jak zrobić, żeby tak pozostało. Mó-wię ci, John. kultura.

* * *

Operator oczywiście był na służbie, ale widać było, że jest zaskoczony wizytą. W związku z tym, że odbiór był zawsze najlepszy po zachodzie słońca, jedy nic wtedy używano radiostacji. Jednak w Magdeburgu i Grant-ville dostępne były duże anteny o większej mocy, więc komunikacja radio-wa była możliwa o dowolnej porze.

- Eec... panie admirał rzekł operator, kiedy Simpson podał mu pierwsze słowa wiadomości - prezydent pewnie jeszcze śpi. Wyślę to jako „pilne" i wtedy...

-Umiem określić godzinę, marynarzu - odparł chrapliwie admirał. -'nie przypominam sobie, żebym pytał o wasze zdanie. Proszę to po pro-,tu wysłać. Jeśli prezydent zostanie wyrwany ze snu...

Urwał.

Dobrze tak sukinsynowi za te wszystkie nieprzespane noce". Zdał so-bie sprawę, choć jeszcze nie w pełni, że nigdy nie przestanie zwać Mike'a •fcarnsa „sukinsynem". Nawet półgłosem.

~ Róbcie jak mówię.

""Tak jest. Marynarz pospiesznie usłuchał.

Po dwóch godzinach spojrzenie marynarza nie było już zaspane. praxv dę mówiąc, było zdumione. Nie tyle zawartością wiadomości, które pływały tam i z powrotem - trzeba przyznać, że większość z nich z ^ dem rozumiał - ale samym faktem, że to się w ogóle dzieje.

„Nikt, cholera, w to nie uwierzy. Staruszek to jeszcze nic, ale Jaśnie Pani?"

* * *

O świcie było już po wszystkim. Operator, zbyt zmęczony, żeby się jeszcze dziwić, podał Simpsonowi ostatnią wiadomość od prezydenta.

WYŚLĘ CESARZOWI PROPOZYCJĘ. RACZEJ SIĘ ZGODZI. WPŁYWY STANÓW SĄ TERAZ DUŻE. PODEJRZEWAM, ŻE BARDZO DUŻE. PRZYJADĘ SAM, JAK PAN SUGERUJE. ZGADZAM SIĘ, ŻE PRZY GROźBIE KRYZYSU JEDNOŚĆ PRAWDZIWA I NA POKAZ SĄ RÓWNIIE WAŻNE. ZABIORĘ WERONIKĘ DREESON JAK SIĘ ZGODZI. PEWNIIE TAK. TO TWARDA STARUSZKA. BARDZO SZANUJE PANIĄ SIMPSON.

- To chyba wszystko, panie admirale.

Simpson podał wiadomość żonie, uśmiechając się w reakcji na dwa ostatnie zdania.

Podejrzał, że to prawda, choć trudno było w to uwierzyć. Co prawda Weronika wyszła za Henry'ego Dreesona, burmistrza Grantville. Jednak była również babką Gretchen Richter, której niechęć wobec Simpsonów była faktem powszechnie znanym.

Jednak tak się złożyło, że Weronika Dreeson podróżowała z Mary. kiedy ta wyprowadziła się w końcu z Grantville. Po założeniu szkoły w Grantville Weronika zdecydowała, że założy również jej filię w nowym cesarskim mieście. Choć może się to wydawać dziwne, w ciągu wspólnie odbytej podróży w górę rzeki te dwie kobiety odkryły, że sporo je łączy. Po pierwsze, były to zdecydowane poglądy dotyczące stosowania dyscypliny wobec dzieci. Po drugie - pasja zakładania szkół. Po trzecie - i prawdopodobnie najważniejsze - wzajemny szacunek twardej babek.

Mary, choć nowa w mieście i - dopiero teraz Simpson zdał sobie z tego sprawę - pogrążona w cichej, głębokiej depresji, zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby pomóc w realizacji planów Weroniki. Najwyraźniej temu miały o sobie nawzajem wysokie mniemanie, co dobrze wróżyło na przyszłość.

Mary również się uśmiechnęła po przeczytaniu wiadomości, jednak odwróciła głowę, kiedy jej mąż się podniósł.

Tak więc załatwione, Mary. Zrobiliśmy wszystko, co się dało. Już późno... a właściwie wcześniej. Potrzebujemy snu.

-Nic, John. Pokręciła zdecydowanie głową. - Została nam jeszcze jedna wiadomość do wysłania. I to nie taka, którą można wysłać do „pana prezydenta”, ale do Mike'a Stearnsa. Szwagra naszego syna.

Wzięła głęboki oddech, jej nozdrza zadrgały.

- Jeśli ty nie dasz rady, ja to zrobię. Simpson westchnął i zwrócił się do operatora.

-Ostatnia wiadomość. Zaczynaj od „Drogi Mike'u". - Simpson prawie zaczął się śmiać, widząc wysiłek, jaki tamten wkładał w zachowanie poważnej miny. W koszarach nigdy nie uwierzą. Co, marynarzu, sądzisz, że nie wiem, że będziesz plotkować o „starym sukinsynu" .!

- Drogi Mike'u zaczął dyktować. Jedno spojrzenie rzucone na Mary upewniło go, że nie ma co próbować upraszczać języka, żeby wiadomość była krótka Mary i ja bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyś zrobił, co możesz.. Szukał odpowiednich słów, potem rzekł cicho: - Chcielibyśmy, żeby nasz syn zaczął z nami rozmawiać. Tęsknimy za nim. Dzięki, John. Odpowiedź przyszła natychmiast. ZROBIĘ. CO SIĘ DA. SŁOWO.

- O tyle mogę prosić rzekł cicho Simpson, podając Mary wiadomość.

- Dotrzyma słowa odparła pewnie. -Tak. tak. Jest w tym całkiem dobry.

* * *

Wracając do domu w dużo szybszym tempie, gdyż było już jasno, Simpson odebrał się tylko dwukrotnie. -Ciągłe go nie lubię.

- Oczywiście, że nie odparła rzeczowo Mary. - Co w nim do lubię-To prawda, dotrzyma słowa, ale poza tym...

Poranne powietrze było zimne, z jej ust leciała para.

~Jest prosty i nieokrzesany... Trudno nawet uwierzyć, jak wulgarny jest J&K, którego używa... Nic znoszę, jak wszystkich prosi o jałmużnę, zmieni język, żeby dopasować się do

tlumu - tu „proszę pana”, tam „swój chłop” "bezwzględny jak wąż i tak samo brutalny, gdy pojawiają się wewnętrzne ^flikty. Przebiegły, intrygant i kombinator, który ma skrupuły jak natręt-akwizytor oskubający tłum - mogłabym tak ciągnąć i ciągnąć...

Odetchnęła powoli i głęboko, a w niemiecką jesień popłynęła para z jej ust.

- Ale nie zrobię tego, John. Już nie. A to dlatego, że to ja skończy-studia historyczne i słyszę w głowie taki dręczący głos, który mi przyp0 mina, jak bardzo porządne społeczeństwo nie znosiło innego prezydenta Stanów Zjednoczonych. I to dokładnie z tych samych powodów. Był nje okrzesanym prostakiem, miał niezbyt wyrafinowane poczucie humoru -a bez wątpienia był najzdolniejszym politykiem, jaki wyrósł w tym kraju Sądę, że tego właśnie najbardziej nie znosili, a przynajmniej nie mogli mu tego wybaczyć.

Wiedza historyczna Simpsona nie mogła się równać z wiedzą jego żonv jednak było parę wyjątków - szczególnie jeśli chodzi o historię Ameryki. Dzięki swym przeżyciom z Wietnamu sporo czytał o wojnie secesyjnej. Oczywiście głównie interesował się historią morską, szczególnie użyciem kanonierek na rzekach w głębi kraju. Jednak w swych lekturach ciągle napotykał nazwisko pewnego znanego polityka.

- Nie mówisz chyba serio - zaprotestował. - Jak możesz w ogóle po-równywać Mike'a Stearnsa do... do...

Spojrzała na niego z ukosa. Nie dokończył zdania.

Na jedną pieśń życia nie starcza

^Rozhzrał 38

Ostatnich parę kilometrów było najgorszych.

Eddie Cantrell miał całkowitą pewność, że nigdy wcześniej nie był tak wykończony. Stał w miejscu i obserwował, jak długa, wyczerpana kolumna w końcu dociera do mniej więcej równego terenu na południe od Wisma-ru. Przetarł zmęczone oczy.

Dzięki Bogu, że ludzie, których Gustaw wyznaczył do budowania ka-ńalów, zaczęli od wycięcia drogi wzdłuż kanału od jeziora Schwerin do Zatoki Wismarskiej! Gdyby nie to, cała podróż byłaby niemożliwa... albo przynajmniej na tyle trudna, że próby jej podjęcia nie miałyby sensu. Prze-był tę drogę już raz, odkąd ostrzeżenie Becky dotarło do Grantville, ale tym razem było inaczej. Zupełnie inaczej.

„Chris Craft” Louiego Tillmana, ułożony na prowizorycznym wozie, przejechał obok niego, skrzypiąc - kadłub z włókna szklanego gwałtownie chybotął, gdy drewniane koła natrafiały na nierówne miejsca na błotnistej, ledwo wyrównanej drodze. Przed wozem ciągnęła się długa kolumna koni ~ trzydziestu lub czterdziestu; był tak zmęczony, że już nie pamiętał - a ich uPrząż skrzypiała, gdy z wysiłkiem parły do przodu. Nie były jednak jedy-n^ siłą napędową - wraz ze zwierzętami oddychali ciężko ludzie; praktycz-ne wszyscy byli cywilami z Wismaru, powołanymi do tego zadania przez •^wielki szwedzki oddział, który Gustaw pozostawił w mieście.

Sama motorowa łódź ważyła ponad trzy tony. Eddie zdawał sobie sPfawę, że siedemnastowieczni Europejczycy byli przyzwyczajeni do

przenoszenia takich ciężarów siłą mięśni - przecież niektóre z cięższy^ armat ważyły co najmniej półtora raza tyle. Jednak wiedza ta była

sto teoretyczna i dotyczyła wydarzeń, które miały miejsce dawno tCni^ A teraz, nawet po spędzeniu tu już dwóch lat, ciągle nie był gotów żeby zobaczyć taki obrazek.

- Jak sądzisz, ile jeszcze? - usłyszał obok zmęczony głos i natychmiast się odwrócił.
- Myślę, że jeszcze od sześciu do dziesięciu godzin - odparł, a Ja^ Clements pokręcił głową.

- Przyznam, że uważałem cię za szalonego, gdy się tego podjąłeś - powiedział. - Szaleństwem było nawet myślenie o tym. Nie sądziłem, że dotrzemy aż do jeziora, nie wspominając nawet o przebyciu całego kraju - Jego gęsta siwa czupryna błyszczała w coraz jaśniejszym świetle poran-ka, a twarz przecinały bruzdy zmęczenia. Ponownie pokręcił głową.

- Nie sądziłeś, że dotrzecie do jeziora? - Eddie parsknął. - Ha! Wyście mieli łatwo! Przynajmniej użyłicie silników spalinowych, a ja miałem tylko parowe, i to nienajlepsze!

- Jeśli sądzisz, że przetransportowanie tych potworów w dół Soławy było łatwe, z silnikami spalinowymi czy też nie, to chyba padło ci na ten cholerny mózg, pętaku - zripostował Clements, śmiejąc się ze zmęczeniem.

W odpowiedzi Eddie uśmiechnął się szeroko. Przed Ognistym Krę-giem nie znał za dobrze Clementsa, ale wszyscy młodzi ludzie z Grantville go lubili. Pomimo wieku, który zbliżał go już do obowiązkowej emerytur)', Clements wypowiadał się w obronie ich interesów na kilku posiedzeniach rady miejskiej Grantville. Był również członkiem zarządu miejscowej szkół) i robił co mógł, żeby rada brała pod uwagę zdanie samych uczniów w spra-wach, którymi się zajmowała.

- Cholera - ciągnął dalej Clements, masując bolące mięśnie pleców. - Ta rzeka to płytkie cholerstwo. Ciężko zliczyć, ile razy osiadaliśmy na mie-liźnie. Mimo że poruszaliśmy się bardzo wolno, kilka razy myślałem, że „Outlaw” Watsona już nie wypłynie - dobrze, że Frank podesłał nam pon-tony. Mogłem przynajmniej wysłać je przodem z głębokościomierzem Ala- żeby szukały naprawdę płytkich miejsc. - Pokręcił głową. - A jednak.-

Jego głos zanikł, gdy „Outlaw” przybył, skrzypiąc i trzeszcząc, śladem poprzedniej łodzi. Ogromny, kanciasty kawał włókna szklanego wznosił się ponad ludźmi i końmi, które usiłowały go poruszyć.

- George Watson - stwierdził bez ogródek Clements - jest jeszcze gW" szy niż myślałem. - Wskazał na smukły kadłub. - Próba płynięcia ty10

Igorem na jakiegokolwiek rzece poza Missisipi albo Amazonką byłaby łąk użycie TIR-a jako wózka golfowego. To cholera to po prostu wy-^govva łódź motorowa - ktoś, kto ją projektował, pewnie nigdy nie po-dejrzewał, że jakiś prostak bez dostępu do morza wybuli za nią setki ty-dolarów ! - Parsknął pogardliwie. - Nawet jak człowiek wygrywa na loterii, to nie musi mu od razu tak odpieprzać. _ Może zgodził się Eddie i ponownie szeroko się uśmiechnął. - Tak iak, muszę przyznać, że zawsze chciałem ją podkraść i wypróbować. To było niesprawiedliwe, że ktoś taki jak George po prostu trzymał ją przez cały czas za domem. -A to dlatego, że twój biedny nastoletni mózg jest zbyt zalany testo-steronem, żebyś mógł racjonalnie myśleć. Prawdopodobnie od razu byś się zabił. Odkaslnął i splunął na ziemię, bezwiednie masując dłonią klatkę piersiową. Znam was, dzieciaki. Wypuściłbyś pewnie to wypa-sione cacko na rzekę i gaz do dechy, nie? -Hm...

- Do diabła, zrobiłbyś tak! A wtedy naprawdę byś się zabił. Wierz mi, Eddie, porównywanie tego cholera z jakąkolwiek niewielką motorówką to jak porów nyw anie Boeinga do parolotni. - Pokręcił głową. - Osiem lat spędziłem w Straży Przybrzeżnej, jak byłem w twoim wieku, synu. Po-święciłem dużo czasu, żeby nauczyć się obchodzić z małymi łodziami, a od tamtej pon. miałem jeszcze ze sześć sporych łodzi. Ale nic się nie. równa z tym cholera.

- No to chyba dobrze, że Frank i Mike przysłali tu również ciebie, prawda? zaśmiał się Eddie. - Gdyby cię tu nie było, Larry musiałby nią płynąć.

- Larry Wild? Clements wzdrygnął się. - Eddie, ja widziałem, jak on prowadzi małą motorówkę. Wierz mi, to tak jakby... jakby dać Hansowi Richterowi Corvette!

- Z tym nic by się nie mogło równać - odpowiedział stanowczo Eddie. -Osobiście uważam, że najlepszą rzeczą w tym, że Jesse uczy go latać, Jest to, że w powietrzu przynajmniej nie ma o co się rozbić!

- Chyba że o ziemię.

- No tak. Chociaż, Jack... Eddiemu ciągle było dziwnie zwracać się do Mementa inaczej niż per „pan”, jednakże oficjalnie był wyższy rangą. -^hyba dobrze by było, gdybyś sprawdził na „Outlaw” i Larry'ego, i mnie.

clements uniósł brwi, a Eddie wzruszył ramionami. - No, przynajmniej ^"y'ego. Io chyba oczywiste, że to właśnie będzie nasz „okręg flagowy”.

oza

- Wskazał na łódź. - Jest największa i najszybsza z tych, które marny {> tym pan Ferrara zdołał dla niej złożyć ośmioprowadnicową wyr^ a w kabinie można przewieźć jeszcze przynajmniej trzy czy cztery zapas^ we pociski. „Chris Craft” i twoja łódź są dużo wolniejsze, a poza tym m otwarty kokpit. - Pokręcił głową. - Przez te gazy prochowe składowanie dodatkowych pocisków będzie zbyt ryzykowne. Wydaje mi się wi^ ^ jedyną rzeczą, która ma sens, jest wyszkolenie dodatkowego kierowcy w ^ zie, gdyby...

Ponownie wzruszył ramionami, ale tym razem ten gest wyrażał coś zupełnie innego.

* * *

Stanowczo usiłując ignorować ból w klatce piersiowej, Jack Clements obserwował stojącego obok młodego mężczyznę w dzinsowej kurtce za-piętej pod szyję dla ochrony przed październikowym chłodem. Stwier-dził, że młodzieniec mógłby się ogolić i że mimo złotych belek przymo-cowanych do kołnierzyka kraciastej koszuli wygląda dokładnie na tego, kim jest - na dzieciaka, który ledwie kilka miesięcy wcześniej przestał być nastolatkiem. Nie było jednak nic dziecinnego w sposobie, w jaki oglą-dał ciągniętą obok nich łódź. To samo dotyczyło myśli przemyskających w tym momencie w jego głowie.

- Oczywiście - powiedział po chwili Clements celowo lekkim tonem-nazwą używaną w marynarce wojennej jest „sternik”, a nie „kierowca”, ty ignorancie.

- Sternik czy kierowca - obojętne - rzucił Eddie, machając lekcewa-żąc ręką.

- Jezu, i on został kapitanem marynarki! - Clements pokręcił głową. - Chyba lepiej wezmę cię w swoje ręce i nauczę, co jest czym u nas, zanim będzie to musiał zrobić admirał Simpson.

* * *

Pułkownik Holtzmuller usiłował nie kręcić się niespokojnie wokół Eddiego Cantrella i Jacka Clementsa, nadzorujących grupę robotnikom nabrzeżnych. W przypadku Clementsa widać było, że wie, co robi. Wiedza Cantrella była bardziej wątpliwa, natomiast znajomość niemieckiego dużo większa niż Clementsa. To dlatego tak się przydawał Simpsono*1 w Magdeburgu, a teraz również mógł to wykorzystać.

-Achtung! - krzyknął, gdy Clements gorączkowo machnął dłońmi. Zwolnić lewą linę! - rzucił, a Clements odetchnął z widoczną ulgą. 2' dziesięciometrowa łódź opadła na wody Zatoki Wismarskiej.

Pflotzmuller również odetchnął z ulgą - miał dużo wątpliwości co do tego piano- Królewskie rozkazy dramatycznie uszczupliły jego garnizon

vV tym momencie miał mniej niż trzystu żołnierzy z własnego regimenu - choć obsadzenie umocnień wzniesionych przez Szwedów wokół mu-Wismaru wymagało co najmniej czterech tysięcy. O rezerwie mógł w ogóle zapomnieć.

Włócił sobie radzić z niedoborem ludzi, wcielając do wojska cywilów z sąsiedniego miasta oraz załogi szwedzkich statków kupieckich uwięzionych w porcie przez zbliżających się nieubłagane Duńczyków. Jednak nawet w najlepszym razie nie mogło mu to dać tylu ludzi, ilu potrzebował. Co gorsza, cywile z Wismaru nie mieli motywacji mieszkańców protestanckich miast z innych części Niemiec. Przeciwnie Duńczycy również byli protestantami, a nawet braćmi luteranami. Nie tak dawno temu Chrystian IV był namaszczonego orędownikiem protestantyzmu. Co prawda nie sprawdzał się w tej roli, ale mało prawdopodobne było, żeby w razie zajęcia miasta miał zezwolić swym oddziałom na masakrę albo prześladowania religijne. To oznaczało, że miejscowi cywile martwiliby się raczej o zdrowie rodziny i swój majątek, a nie walczyli aż do śmierci, gdyby oblężenie miało się okazać długie i uciążliwe.

-W porządku - stwierdził kapitan Cantrell. - Opuśćmy „Century” do wody i zrobimy sobie przerwę.

Jego brygada posłusznie ruszyła w kierunku trzeciej z dużych łodzi. Jedna lub dwie osoby nie podchodziły do tego zbyt entuzjastycznie, ale było mało prawdopodobne, że zaprotestują, mając na karku sześciu uzbrojonych w karabiny dragonów Holtzmullera i obserwujących to wszystko czterech strzelców Kraka. Jednak większość robotników wydawała się -tak samo jak Holtzmuller - zafascynowana ogromną, lśniącą łodzią unoszącą się majestatycznie na wodach portowych.

Jak wiele amerykańskich cudów technicznych, tak i motorówki promieniały wytwornym wdziękiem formy. Było w nich coś niezaprzeczonego właściwego. Holtzmuller nie udawał, że rozumie zasady działania tych maszyn - jak większość poddanych Gustawa, po prostu gotów był uwić Amerykanom na słowo, że zadziałają tak, jak mówili. Jednak był w stanie uznać wdzięk i moc tych smukłych jednostek pływających, tak samo jak potrafił docenić te cechy u dobrego konia.

wielkość łodzi, którą Amerykanie zwali „Outlaw”, była równa połowie wielkości statków morskich zakotwiczonych w porcie. A wydawała się jeszcze większa - może dlatego, że ujrzał jej bumie ukształtowany a -łub, zanim jeszcze błyszczące śruby zniknęły pod wodą.

- Dobrze! - zachęcał robotników Cantrell, a porucznik Clements m0 wił mu coś na ucho. Robotnicy próbowali obrócić dziób „Chmury” i op^ ścić do wody najpierw rufę. - Gunther, pilnuj, żeby lina od rufy Dyła~ napięta! - przestrzegł go chwilę później Cantrell, po czym pobiegł ^ pomóc.

Wielka łódź poruszała się z niezgrabnym wdziękiem - na przemiari opuszczana i hamowana linami przez robotników. Wreszcie powoli i ostrożnie opuścili ją na wodę; gdy zabrano liny cumownicze, porucznik Clements skoczył na otwarty kokpit.

Pojawiła się inna brygada dowodzona przez trzech Amerykanów. Na kamiennym nabrzeżu zaskrzypiały drewniane koła wozu. Holtzmuller za-uważał, że Amerykanie schodzą na „Outlaw”.

- Znieśmy najpierw łożę - rzekł jeden z nich. - Potem będziemy po-trzebować tarczy. - Pozostali dwaj skinęli głowami i zaczęli podawać na dół pierwsze części składowe „wyrzutni rakiet”.

Holtzmuller otrząsnął się. Wiedział, że w końcu dojdzie do wyścigu między siłami, które zbierze generał Torstensson, żeby zastąpić jego żoł-nierzy, i Duń-czykami. Wiedział też, że to od Amerykanów i ich dziwacz-nych urządzeń będzie zależało, ile czasu dostanie Torstensson, żeby ten wyścig wygrać. Na pozór pomyśl, żeby tak niewielu ludzi - mniej niż sześćdziesięciu, nawet po dodaniu do nich Niemców wyznaczonych jako wsparcie - mogło choć na jakiś czas opóźnić tak ogromne siły, jakie Duń-czyki prawdopodobnie wyślą na Wismar, wydawał się niedorzeczny.

Jednakże Holtzmuller był w stanie rozpoznać pewność siebie, gdy ją widział, a poza tym wiedział, że „pewność siebie” to po prostu inna na-zwa „desperacji”. Ci dziwni Amerykanie szczerze wierzyli, że są w stanie opóźnić Duń-czyków na tyle, żeby miało to wpływ na całą sytuację. Gd) Holtzmuller ostatni raz spojrzął na port, kadłuby z „włókna szklanego i niezgrabny szkielec „wyrzutni rakiet” ustawianej na przednim pokładzie „Outlaw”, przyłapał się na myśli, że może - tylko może - mają rację.

Może.

* * *

- Zapewniam pana, hrabio, że wyruszymy jak tylko będzie to możlrWe - rzekł admirał Aage Overgaard do nieznośnego Francuza.

- Przyjmuję pańskie zapewnienia, admirałe - odparł niesamowici uprzejmie hrabia Martignac. - Niepokoi mnie jedynie upływ czasu. Ma**1* już drugi dzień października, więc niedługo statki admirała Tobiasa i m° je będą musiały powrócić do swych macierzystych portów.

Zdaję sobie sprawę, jak ostre mogą być nasze północne zimy — za-^wn'1 g° Overgaard. - I, szczerze mówiąc, jestem równie niecierpliwy jak hrabia. Niestety, czego oczywiście jest hrabia świadom, nikt nie mógł przewidzieć, że Hiszpanie i Holendrzy zetną się w walce. - Nie dodał „i w oraz wasz wspaniały angielski wspólnik zdradzicie Holendrów”, 3le był pewny, że Martignac i tak usłyszał tę niewyrażoną myśl. - To przez tę niepewność nie śmieliśmy czynić zbyt otwarcie przygotowań. Gustaw jten diabelski kanclerz Oxenstierna wszędzie mają szpiegów. Gdybyśmy dali im poznać, że szykujemy wyprawę, szybko domyśliliby się naszych zamiarów, a to równałoby się katastrofie. Ich marynarka wojenna prak-tycznie równa się naszej, a Fleming i Gyllenhjelm od razu staraliby się doprowadzić do decydującego starcia, zanim wy moglibyście nas wes-przeć. A nawet gdyby im się nie powiodło, Gustaw zostałby ostrzeżony i przegrupowałby swe siły, żeby się z nami zmierzyć.

-To wszystko jest zrozumiałe. Obawiam się jednak, że jeśli dalej bę-dziemy zwlekać, opóźnienie będzie miało taki sam skutek, jaki miałyby wcześniejsze ostrzeżenie. Wieści o Dunkierce na pewno już dotarły do Magdeburga i Gustaw już pewnie przegrupowuje siły.

-Oczywiście, że tak robi. I pod wieloma względami to zła wiadomość. Jednakże nawet Gustaw musiał odczuwać przynajmniej chwilową niepew-ność co do naszych zamiarów. Niewątpliwie przemieszcza siły, ale przy sporej liczbie żołnierzy zajmie mu to dużo czasu.

Poza tym raporty naszych szpiegów w skazują na to, że osobiście przejął dowodzenie Lubeką.

- Doprawdy? - Wzrok Martignaca nagle się wyostrzył, a Overgaard skinął głową.

-Tak. A jeśli naprawdę zamierza utrzymać miasto, będzie musiał wzmocnić jego oddziały, a to oznacza, że zabierze żołnierzy z innych miejsc, na przykład z Wismaru, Rostocka czy Stralsund.

- Rozumiem - rzucił od niechcienia Martignac.

-Jestem tego pewny. Jeśli Gustaw zdecyduje zamknąć się w Lubece, lepiej dla nas. To właśnie on i tylko on scala Konfederację Księstw [^]ropejskich. I tylko on broni Amerykanów. Jeśli uda się go wypchnąć z burty, to wszystko, co stworzył, w końcu się zawali. A wtedy oczywiście mój król zostanie raz na zawsze panem Bałtyku, a twój dostanie to, czego szuka gdzie indziej.

- Rzeczywiście kusząca perspektywa - przyznał Martignac. - A jeśli mu czas, żeby sprowadził do Lubeki żołnierzy z reszty północnych Portów, zostaną bez obrońców.

- Właśnie. Nie mamy zamiaru zwlekać dłużej niż trzeba, ale nie możemy też nie zauważać możliwych korzyści wynikających z nieprzewidywalnej zwłoki. Musiałby mieć do dyspozycji magię, żeby dowiedzieć się o Dunkierkę wystarczająco szybko, aby wydać rozkazy obsadzenia pozostałych portów na niemieckim wybrzeżu. W tym momencie większość oddziałów, które stacjonowały w Wismarze, jest niewątpliwie w drodze do Lubeki, co z pewnych względów jest niefortunne. Zmniejsza to drastycznie nasze możliwości przekonania miasta do poddania się bez walki i oznacza, że znajdujące się tam oddziały będą wystarczająco silne, żeby wykluczyć szansę przejścia miasta w wyniku nagłego szturm. Nie, hrabio. Teraz trzeba będzie oblegać Lubekę, a armia potrzebna do prowadzenia tego oblężenia w tym momencie kończy wsiadać na statki. To sarny dotyczy drugiej armii, która wzmocni Gotlandię i da nam bazę do przyszłego oblężenia Sztokholmu.

I dodał:

- Jednakże te posunięcia, które wzmocniły Lubekę, osłabiły inne portowe miasta. Będziemy mogli je zająć praktycznie bez walki i zapewnić sobie kontrolę nad wszystkimi portami na długo przed tym, nim on będzie w stanie zebrać swe siły i jakoś temu zapobiec. A gdy te porty będą już w naszych rękach, Konfederacja Gustawa zacznie głodować i uschnie jak drzewo pozbawione korzeni.

3jlo2u2tał 39

- Melissa uważa, że nie powinniśmy się stąd ruszać - powiedział cicho Alex, pochylając się nad ramieniem żony. - Właśnie odebrałem od niej wiadomość. I tak nie możemy nic zrobić.

Julie siedziała w ciszy na krześle obok łóżka w ich komnacie sypialnej. Alex nie miał nawet pewności, czy go słyszała. Twarz młodej Amerykanki, normalnie okrągła i rumiana, była teraz blada i wymizerowana. W jej oczach widać było napięcie kogoś, kto stara się nie płakać - wpatrywała się w malutką postać córeczki, która leżała opatulona na łóżku. Alexi już nie płakała - choroba posunęła się za daleko.

Położył dłoń na ramieniu Julie i ścisnął je, próbując dodać jej otuchy - miał przynajmniej nadzieję, że tak to zostanie odebrane. On sam nie oczekiwał zbyt wiele, choć nigdy się do tego nie przyznał żonie. Był jednym z dziewiątki dzieci, które spłodził - prawowicie lub nie - jego ojciec, i tylko troje jego rodzeństwa ciągle żyło. Czwórka z nich nie żyła dłużej niż pięć lat, troje zmarło, zanim skończyło rok. Ich ciała zostały Pogrzebane na pobliskim cmentarzu, w części należącej do rodziny Ackayów.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę, jeśli ona umrze - wyszeptala Julie. - Nigdy. - W jej słowach pobrzmiwała pustka. Taka jak w małej trumnie, którą ojciec Alexa nakazał już zrobić stolarzowi.

Julie nic o tym nie wiedziała - ani Alex, ani jego ojciec nie chcieli jej o tym mówić. W tym, jak i w wielu innych przypadkach, wychowanie Julie działało przeciwko niej. Dla niej trumna byłaby zapowiedzią nieszczęść i wyrazem braku wiary. Natomiast w rzeczywistości symbolizowała aceptację i głęboką wiarę w lepsze życie na tamtym świecie.

„Amerykanie - pomyślał Alex. - Ciągłe w głębi duszy sądzą, że nowy świat nie jest do końca prawdziwy”.

Nie była to sarkastyczna myśl - ten na wpół fantastyczny pogląd na świat był czymś, co u nich podziwiał, a nawet cenił. Najbardziej dotyczyło to młodej Amerykanki, którą poślubił. Jednakże często czyniło ich to zupełnie bezbronnymi.

Dziwny lud, ci Amerykanie. Odważni w tak wielu sprawach, nieśmiali w innych.

Ośmielający się iść tam, gdzie nie poszedłby żaden człowiek przy zdrowych zmysłach, ale wzdragający się na myśl o niebezpieczeństwach, które dla rozsądnych ludzi są czymś oczywistym Alex czasem myślał o nich jak o rzeźbach, które widział kilka lat wcześniej, gdy zwiedzał północne Włochy. Piękno nie do opisania i harmonia zakłete w marmurze. Pod niektórymi względami twarde jak skała. Jednak, jak to z marmurem bywa, również kruche i łatwe do uszkodzenia.

- Nigdy sobie tego nie wybaczę - powtórzyła i z jej oczu zaczęły płynąć łzy. - Powinnam była cię posłuchać i zostać albo przynajmniej ją zostawić.

Sam często tak myślał. Bardzo często, od kiedy zdał sobie sprawę, że Alexi zapadła na jedną z chorób. Którą? To tylko Bóg wie: jedną z tych, które co jakiś czas nawiedzały Edynburg. Taka sama kosa zbierała żniwo w każdej części świata.

Zdołał jednak potem pohamować złość i nic już z niej nie pozostało. Taki jest świat. Ojciec nie może dokładać swego gniewu do żalu matki.

Pochylił się, objął ją ramionami i mocno przytulił.

- Nie myśl tak, kochanie - wyszeptał jej do ucha. - W Grantville też mogła zachorować. Tak się po prostu dzieje i tyle. Jeśli umrze, będą inne dzieci. Oczywiście nigdy jej nie zapomnimy - jej ani radości, jaką wniosła w nasze życie. Jednak nie możemy pozwolić, żeby to położyło cień na nasze dalsze życie.

Julie zaczęła płakać. Szlochała cicho, a Alex całował jej łzy.

- Proszę, Julie. Przez ten rok pokazałaś mi tak dużo waszego świata teraz pozwól, że ja pokażę ci Szkocję. To po prostu wola boża, bez względu na to, co się stanie. Dusza dziecka nie jest zagrożona, a jedyna ziemską powłoka. To będzie nasza strata, nie jej. Jeśli Bóg zdecyduje

zabrać tak wcześnie, to tylko dlatego, że nie mógł się już doczekać jej arzystwa.

Oparła głowę na jego ramieniu. Łzy ciągle płynęły, ale przestała już szlochać.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała cicho.

- Oczywiście - odpowiedział. To nie był moment na fałszywe zapewnienia- Bez względu na to, jak bardzo Alex Mackay mógł się w pewnych sprawach zmienić, ciągle był synem Szkocji. - Pozwól, ukochana żono, £C pokażę ci teraz odrobinę mojego świata, bo świat, który tworzymy, Łyriież będzie tego potrzebował.

-Tak - szepnęła. - Będzie. A ja szczególnie.

* * *

Gdy Darryl McCarthy wszedł do więziennej celi z pistoletem natryskowym, więzień się nic cofnął. Nie patrzył nawet ze zdziwieniem - po prostu z zaciekawieniem.

Darryl zaczekał, aż usłyszy dźwięk zamykania za nim drzwi, a następnie szybko zaczął działać. Sięgnął do kieszeni swego poncho i wyciągnął baterie.

- Daj mi walkie-talkie - wymamrotał. - Szybko, nie ma czasu. Wmówiłem strażnikom, że trzeba regularnie spryskiwać cele, ale...

Wymienił baterie. Planowali naładować stare w ich apartamencie w Wieży Świętego Tomasza, przy użyciu tego samego generatora, który napędzał radiostację. Baterie prawdopodobnie ciągle działały, ale Darryl nie miał pojęcia, jak często Anglicy pozwolą mu na wizyty w tej celi.

- Powiedz mi, panie, jeśli to możliwe - rzekł cicho więzień - skąd twój żal.

Darryl zmarszczył brwi. Z początku nie odpowiadał, ale po chwili, kiedy spryskiwał celę, zaczął wymieniać przyczyny swego gniewu. Kiedy skończył, sam nie był pewien, na ile spójne było jego wyjaśnienie.

-Ach tak - odpowiedział więzień. - Zabiłem połowę Irlandczyków, tak? Przedziwne. Jest pan obeznany z tą wyspą? Oczywiście w obecnych -asach.

Darryl nic nie odpowiedział, tylko zmarszczki na jego czole pogłębiły. Więzień skinął głową.

- Tak sądziłem. Sam również nigdy tam nie byłem, ale to znane miejsce, bóstwo wzgórz, skał i małych dolin - i prawie w ogóle dróg. W związku z tym zastanawiam się, jak mi się udało dokonać tak przerażającej rzezi. Ile lat polowałem na Irlandczyków, że udało mi się zabić połowę z nich? I czego to robiłem? Uważałem, że z Irlandczyków nie ma zbyt wiele pożytku. Nie będę kłamał, że kocham ten skleryzowany lud, ale nie żywią te-do niego żadnej urazy. A wygląda na to, że dokonanie czegoś takiego bez konkretnego powodu wymaga ogromnego wysiłku.

Darryl skończył opryskiwać celę i kucnął obok więźnia.

- Nie wiem, ale się dowiem. A teraz unieś ramiona i rozsuń nogi. p0 winienem to też rozpylić pod twoimi ubraniami - szczególnie że są z włóknem. Zaniknij oczy, usta i wstrzymaj oddech.

Chciał zapewnić więźnia, że DDT nie jest trujące dla człowieka, ale tamten bez wahania zrobił to, o co go proszono. Dla Darryla spokój tego człowieka był odrobinę niepokojący.

Wytrącał go z równowagi.

* * *

Kiedy wrócił do apartamentu w Wieży Świętego Tomasza, odłożył sprzęt do spryskiwania i podał Gayle rozładowane baterie. Potem przez chwilę przyglądał się Melissie, która jak zwykle siedziała na sofie i czytała książkę. Jednym z niewielu plusów bycia utrzymanym w zamknięciu była możliwość przestudiowania tekstów, na których widok każdy historyk z jej czasów zzieleniałby z zazdrości. Hrabia Strafford był na tyle uprzejmy, że pozwolił jej korzystać ze swej własnej sporej biblioteki. Oczywiście nie bezpośrednio - podczas swych krótkich wizyt zawsze przynosił kilka książek.

Darryl nie doceniał jego uprzejmości. W najmniejszym stopniu. Choć lerny „Czarny Tom Tyran" nie powinien być uprzejmy.

Niewiele się zastanawiając, zdecydował, że nie zapyta Melissy, gdyż ta osłodzi podanie faktów kazaniem, a on już i tak miał zły humor.

Jego wzrok wędrował dalej po pokoju i wreszcie spoczął na Tomie Simpsonie. Potężny kapitan stał przy jednym z okien wychodzących na Tamizę. Był sam - Rita pewnie poszła się przespać, jak to często robiła wczesnym popołudniem.

Darryl podjął decyzję i podszedł do Toma.

- Przejaśnia się - burknął Tom.

Darryla nie interesowała pogoda, a przynajmniej nie pogoda na świecie. Bardziej go zajmowała nawałnica szalejąca w jego własnym sercu.

- Jak długo ten sukinsyn był w Irlandii? - spytał. - Wiem, że czytałeś o nim.

Tom odwrócił głowę i spojrzał na niego z góry. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech.

I - Co się stało, Darryl? Prawdziwy świat nie pasuje do twoich wydrążeń?

Darryl spojrzał ze złością na rzekę. Słońce już zaszło, więc Tamizie nie sprawiło trudności odwzajemnienie tego spojrzenia.

- Był w Irlandii przez dziewięć miesięcy - rzekł Tom. - Wylądował w pobliżu Dublina w sierpniu 1649 roku. W niecały miesiąc później zajął Droghedę i nakazał zgładzić większość żołnierzy, którzy odmówili poddania się. Właśnie to wydarzenie przyniosło mu złą sławę. Ale przestań pierdzielić głupoty, Darryl, już od dwóch lat żyjesz w siedemnastym wieku i wiesz, jak jest - według obecnych standardów to nie jest żadne przestępstwo.

W oczach Darryla ciągle widniał gniew, ale milczał. Teraz już - i to od jakiegoś czasu - rozumiał prawa rządzące walką w siedemnastym wieku. Ich tradycja sięgała aż do średniowiecza. Gdy wróg przedrze się przez mury, obrońcy powinni się poddać. Dalsza walka nie miałaby już sensu, gdyż oblegająca armia z pewnością byłaby również zdolna do zajęcia samego miasta. Broniący się żołnierze dowiedli już swej odwagi, a do dalszego rozlewu krwi mogłoby dojść tylko z ich własnej winy.

Jeśli garnizon kapitulował, okazywano litość. Jeśli nie...

Tom czytał mu kiedyś fragment z Henryka V Szekspira, gdzie szczegółowo przedstawiono konsekwencje odmowy złożenia broni po zdobyciu murów. Henryk V bardzo obrazowo przedstawił to obrońcom Harfleur. Darryl ciągle pamiętał zdanie: „Jak wbija włócznię w nagie niemowlęta”.

Harfleur poddało się.

- Darryl, prawda jest taka - rzekł cicho Tom - że według obecnych standardów Cromwell był postrzegany jako litościwy żołnierz. Co prawda wyszczynano wojskowych, ale oszczędzono cywilów, a dobrze wiesz, że w takich sytuacjach przeważnie dochodziło do masakry na całego. Prawdę mówiąc - i tu odrobina ironii - jedyni prawdziwi Irlandczycy w Droghedzie żyli w getcie, którego ludzie Cromwella nie tknęli. Garnizon, który masakrowali, składał się z angielskich katolików - w większości osadników, którzy kradli ziemię rdzennym Irlandczykom.

Twarz Darryla stężała. Kolejna pewna rzecz okazała się niepewna. Cholera.

Tom wzruszył potężnymi ramionami.

- Według naszych standardów Drogheda mimo wszystko była czymś pokornym, ale tak naprawdę trudno oceniać ten okres historyczny z naszego punktu widzenia. Poza tym okrucieństwa, które miały tam miejsce k niczym przy Magdeburgu. A za tamtejszą masakrą odpowiadają leatoli żołnierze.

- Co więcej - ciągnął bezlitośnie - możesz również wziąć pod uwagę że kiedy w roku 1641 rozpoczęło się powstanie irlandzkie, buntownicy zarżnęli tysiące protestantów.

- Trzeba zacząć od tego, że nie powinno ich tam być! - warknął Darryl.

Tom przez moment go obserwował.

- Zgadza się, może i nie. Ale mógłbyś również wziąć pod uwagę jeśli choć raz w życiu przestaniesz być tak strasznie zadufany - że każdy Indianin mógłby powiedzieć dokładnie to

samo o białych, których od czasu do czasu mordował w Ameryce. A raczej nie powstrzymało to twych przodków przed zagrabieniem im ziemi. Moich na pewno nie.

Darryl powrócił do wściekłego wpatrywania się w rzekę. Tamizie to nie przeszkadzało. Żałował, że w ogóle zadał Tomowi to pytanie. Uczucie to jeszcze nabrało mocy, gdy Tom nie przestał mówić.

- Boże, nie ma nic gorszego od zadufanego hipokryty. Pozwól, że o coś cię spytam, Darryl. Mam nadzieję, że choć tyle wiesz o historii. Jak ludzie nazywają Jerzego Waszyngtona? Hm?

- Ojciec narodu - wymamrotał Darryl. Odgrzebał w pamięci kolejny luźny fakt. - „Pierwszy w boju, pierwszy w pokoju, pierwszy w sercach narodu”.

- No, niezupełnie. Zgadza się, my go tak nazywamy. A wiesz, jak go nazywali Irokezi? Oczy Dany la były jak spodki. Nigdy, przenigdy nie przyszło mu do głowy, aby zastanawiać się, jak Irokezi mogli nazywać Jerzego Waszyngtona.

Tom zaśmiał się.

- Tak właśnie myślałem. A więc, Darryl, mój chłopcze, Irokezi mówili na niego „Ten Który Pali Miasta”. A to wszystko dlatego, że Irokezi byli sprzymierzeni z Brytyjczykami, za co w sumie trudno ich winić. Wiedzieli, że jeśli koloniści wygrają, jeszcze bardziej zaleją ziemię Indian. Tak więc stary, dobry Jerzy Waszyngton nakazał armii pod dowództwem generała Sullivana wmaszerować na terytorium Irokezów i ich zmiażdżyć - kazy Waszyngtona były jasne, Darryl. „Nasz najważniejszy cel to kowite zniszczenie ich osad”. Dokładnie pamiętam te słowa, bo uderzył mnie, kiedy czytałem o tym jako nastolatek. Podziwiałem Jerz

Waszyngtona. Prawdę mówiąc, ciągle go podziwiam. Ale nie cierpię ludzi, którzy próbują upiększać takie rzeczy w sytuacji, gdy robią je „ci dobrzy”. Różnica pomiędzy „dobrymi” i „złymi” nie zawsze jest jasna - szczególnie kiedy nie patrzysz na wszystko całościowo. Dużo zależy od punktu widzenia.

przerwał i patrzył przez chwilę na stojącego obok młodego człowieka o Zastygłej twarzy.

- Prawdę mówiąc, to bardzo dobra paralela historyczna. Waszyngton przewoził rewolucji przeciw angielskiej koronie i musiał zabezpieczyć. Więc zrobił to w sposób, w jaki radził sobie z wieloma rzeczami - zdecydowanie, efektywnie i bezwzględnie. I udało się. Sullivan w niedługim czasie zniszczył Irokezów jako naród i wyparł większość z nich z Nowego Jorku. Mniej więcej to samo zrobił Cromwell w Irlandii. Irlandczycy stanowili wtedy (i stanowią również teraz) rezerwę króla Karola. Jeśli lud angielski zrobi się zbyt przemądrzały, po prostu sprowadzi irlandzką armię, która go uciszy. To było zagrożenie dla angielskiej rewolucji i Cromwell się go pozbył.

- To nic to samo' - zaprotestował Darryl. - To byli Indianie! Dzikusy!

I pożałował tych słów już w momencie, gdy wypłynęły z jego ust. Między innymi ze względu na widoczne u Toma nagłe napięcie. Ulżyło mu, gdy zobaczył, że jego ręce pozostały za plecami - kiedyś widział, jak ' wyniki zakładu Tom zginał nimi podkowy.

- Nie wkurzaj mnie. Darryl - warknął Tom. Ciskał teraz spojrzeniem gromy w kierunku rzeki. Przynajmniej mogę przyznać memu staruszkowi i matce, że nigdy nie tolerowali rasistowskich pierdoł. Tej części Mojego wychowania nie żałuję.

- Nie o to mi chodziło - wymamrotał Darryl. - Cholera, Tom, wiesz, * nie jestem...

- Zamknij się. dobrze? Złość zaczęła odpływać z twarzy Toma. Wesoła. - Darryl, w iem, że nie jesteś rasistą. Choć przysięgam, że czasem letnie takiego naśladujesz. Ale skoro już zaszliśmy tak daleko, to ci tak o nie daruję. Machnął głową na zachód.

*~ Kim, do cholery, są według ciebie twoi kochani Irlandczycy w tych ^sach? Hm? Sądzisz, że Irlandia w roku 1633 to kraj poezji? Że James ^nnolly;s wygłasza socjalistyczne przemowy przed poprowadzeniem powstania wielkanocnego?

Darryl nie odpowiedział. Tom zaśmiał się sucho.

- Marne szanse. Jeszcze daleko do Williama Butlera Yeatsa i Jamesa Joyce'a. To samo dotyczy Jamesa Connolly'ego i jego Irlandzkiej Socjalistycznej Partii Robotniczej. Teraz Irlandczycy to dokładnie takie same „dzikusy” - używając twoich słów - jak Indianie.

I dodał bezlitośnie:

- Irlandia to wyspa zabobonnych analfabetów (wybacz, Darryl, ale rzeczywiście są skleryalizowani), których głównym towarem eksportowym są najemnicy. Tak przy okazji - cieszą się wyjątkowo złą opinią ze względu na swe okrucieństwo. A rządzą nimi - tam, gdzie Anglicy jeszcze nie zagarnęli ich ziem - najbardziej żałośni przywódcy klanów, jakich możesz sobie wyobrazić. Prawdę mówiąc, porównywanie ich do Irokezów to obraza dla tych drugich, którym przynajmniej udało się stworzyć prawdziwą konfederację. A to więcej niż dokonali twoi kochani Irlandczycy. Żaden z tak zwanych „królów” - a jest ich setki - nie jest nikim więcej niż kradnącym owce bandytą z przerostem ambicji. To dlatego Anglicy od wieków wodzą ich za nos - zawsze dało się znaleźć jakiegoś „króla”, który przy nadarzającej się okazji chętnie sprzedał innych.

Przerwał, dając Darrylowi szansę zaprzeczenia tym oskarżeniom. Ale Darryl nawet nie próbował. Myślał o Irlandii bardzo romantycznie, lecz...

Przecież to również była część nacjonalistycznej tradycji, w jakiej był wychowywany. „Taka garstka łajdaków w narodzie”²⁹ - na wół wymruczał, na wół zaśpiewał.

Tom uśmiechnął się.

- To właściwie jest ze szkockiego kawałka, ale pasuje. Dzisiejsi Szkoci nie są dużo lepsi od Irlandczyków. To dlatego Anglikom zazwyczaj udaje się ich zamęczyć.

Darryl westchnął i otarł twarz.

- Na litość boską! - zachnął się Tom. - Wyglądasz, jakbym cię prosił o pamiętki rodowe. Darryl, nie chcę, żebyś się wszystkiego wyrzekł. Nie ma takiej potrzeby. Nie popieram polityki, którą Anglia od lat prowadzi wobec Irlandii. A gdybyśmy się znaleźli w czasach powstańców z dziewięćdziesiątego ósmego, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej. Ale ta nie jest. Wolfe Tone³⁰ jeszcze ze sto lat nie przyjdzie na świat. Przynajmniej. No więc... jesteś chętny posłuchać - tak dla odmiany - mnie albo Melissy?

-Taaa, dawaj.

■ Tom przez chwilę milczał, zbierając myśli. Władcą przez tych dziewięć miesięcy w Irlandii Cromwell zdławił sprzymierzoną królowi Karolowi rebelię, która zagrażała prowadzonej przez niego samej rewolucji. Przeprowadził tę kampanię tak jak wszystko, za co się brał - mówiłem ci już, że był jednym z najwspanialszych generałów swych czasów. Nie miał czasu do stracenia, gdyż musiał jak najszybciej wrócić do Anglii - Uderzył więc w Irlandię jak grom z jasnego nieba. Trwały kolejne oblężenia. Żaden z irlandzkich buntowników - w rzeczywistości katolickich osadników z Anglii - nie chciał się z nim spotkać w otwartym polu. Nie ma co się dziwić. Po Marston Moor i Naseby zrobił to chyba tylko książę Rupert. -A jak już o nim mowa... Hm... Zastanawiam się, co się teraz z nim stanie. Niezły gość z tego księcia Ruperta. To siostrzeniec króla Karola. Jeśli dobrze pamiętam, powinien mieć teraz ze trzydzieści-czternaście lat.

- Wróć do Cromwella - burknął Darryl.

- No więc wszystko się skończyło w ciągu dziewięciu miesięcy. W październiku miała miejsce kolejna rzeź, w Wexford. Zginęło tam około dwóch tysięcy ludzi, z których część to cywile, między innymi uciekające z miasta na łodziach kobiety i dzieci, które się potopiły. Jednakże wygląda na to, że Cromwell nie rozkazał rozpocząć masakry, jak to było w Droghedzie. Z tego, co podejrzewają historycy, jego oddziały napotkały opór w mieście, które podobno już się poddało, i to sprowokowało rzeź. Nie ma jednak dowodów na to, że Cromwell próbował ją powstrzymać albo że to go w ogóle obeszło. Nie ma wątpliwości, że był twardym człowiekiem, nawet jeśli nie zachowywał się celowo okrutnie. A, szczerze

mówiąc, mógł się tak zachowywać, bo gdyby wygrali rojaliści, zachowaliby się jeszcze bardziej dziko niż on. Nie wierz w te pierdoły o angielskiej arystokracji, Darryl. Jeśli mi nie ufasz, sprawdź, co Anglicy zrobili Szkotom pod Culloden.

Darryl parsknął. Wcale nie myślał zbyt czule o angielskich królach i arystokratach! Tom uśmiechnął się szeroko.

- Mówienie tobie takich rzeczy to wożenie drzewa do lasu - możesz sobie wyobrazić, jaka byłaby zemsta rojalistów w tym wieku. A po restauracji głupi mieszczenie wykopali ciało Cromwella i obcięli mu głowę. Darryl skrzywił się. ~ Żartujesz!

- Nie. To spora część reputacji Cromwella. Angielski establishment przez następnych kilka stuleci żywił do niego urazę, trudno więc oczekiwać, że sprzeciwili się irlandzkim nacjonalistom, którzy oczerniali jego imię.

Tom przez chwilę się zastanawiał.

- Z drugiej strony wszystko wskazuje na to, że legendy o rzeziach urządzonych przez Cromwella są jedynie legendami. Darryl, prawda jest taka że Cromwell znany był z łaskawości - oczywiście łaskawości w obecnym rozumieniu tego słowa. Zazwyczaj proponował godziwe warunki poddania i dotrzymywał słowa. Jego oddziały - i w Anglii, i w Irlandii - miały najbardziej zdyscyplinowanych żołnierzy na tych wyspach, a może i w Europie - jeśli nie liczyć Szwedów Gustawa. I tak jak Gustaw, Cromwell wieszał żołnierzy za grabież, gwałt czy morderstwo.

Wzruszył potężnymi ramionami.

- Darryl, ja nie próbuję go wybielać. Jak już mówiłem, to twardy człowiek, a dobrze wiesz, że bycie litościwym w siedemnastym wieku wcale nie było aż tak litościwe. Nie raz rozkazał stracić oficerów garnizonu, który za długo walczył, jednak w żadnej z przeczytanych przeze mnie książek nie było wzmianki o tym, że robił to z wrodzonego okrucieństwa. Kierował rewolucją, która miała odnieść sukces, a on był zdeterminowany - jeśli powodzenie sprawy wymagało rozstrzelania albo powieszenia paru rojalistów, żeby następne miasta szybciej się poddały, nie wahał się. I tak jak w kampanii Sullivana nad rzeką Hudson, przynosiło to efekty. Dziewięć miesięcy i było po wszystkim. Popłynął do Anglii i do końca życia już nie wrócił do Irlandii.

- Na pewno Irlandczycy mieli do niego urazę - choćby dlatego, że jego kampania była tak zdecydowana i skuteczna. Myślę, że z upływem lat, a właściwie stuleci, dopisywali do wspomnień o tej przerażającej kampanii wojskowej wszystko, co wydarzyło się później. No, ale daj spokój, Darryl, trzeba być uczciwym. Obwinianie Cromwella za Wielki Głód w latach 1845-49, bezwzględne rozstrzelanie Jamesa Connolly'ego i Krwawą Niedzielę, za uwięzionych i za wszystko inne ma tyle samo sensu, co obwinianie Jerzego Waszyngtona za masakrę pod Wounded Knee.

Darryl nie miał zamiaru tak łatwo się poddać.

-Hm, no... jasne. Ale nie próbuj mi wmówić, że tu nie ma żadnego związku.

- Oczywiście, że jest. Gdyby Cromwell nie zdławił powstania w 1650 roku może nie doszłoby do Wielkiego Głodu. A może by doszło - trudno powiedzieć. Przecież zrozumienie przyczyn i skutków nie jest takie proste.

- Nic - Nic Pamił-tam teraz mądrych nazw - już trochę czasu minęło, od kiedy miałem w college'u kurs filozofii - ale jest różnica między bezpośrednią przyczyną a czymś, co tworzy dla niej dogodne warunki.

- A dlaczego mówię ci to wszystko? - Tom parsknął. - Darryl, przestań gadać pierdoły. Może i nie studiowałeś filozofii w college'u, ale tyłem, że naprawiłeś sporo silników, więc przestań udawać, że nie widzisz różnicy.

Darryl nie miał zamiaru się kłócić. Widział różnicę, tak jak każdy doświadczonego mechanik samochodowy. Twój gruchot nie działa, bo stało się to i to. \ twój samochód jest gruchotem, bo ty jesteś głupkiem, który nie zawracał sobie głowy zmianą oleju.

-Cholera - westchnął. - Nie wiem już, co o tym myśleć.

Tom uśmiechnął się.

-Nie tylko ty. Mam podobny problem przez większość czasu. Ale... -Przerwał i przez kilka chwil tylko głęboko oddychał. Potem po cichu i pozwolił dodać:

-Darryl. oto co ja o tym myślę: powinniśmy unikać popełniania tego samego błędu, co ci głupawi królowie i kardynałowie. Nie sądzę, żebyśmy mogli „odczytać historię” lepiej niż kto inny.

Rzucił spojrzenie na Darryla.

- Na razie się zgadzasz?

- Pewnie. Zgadzam się. - I to była prawda. Tyle mógł stanowczo powiedzieć.

-To może po prostu na początek zapomnijmy o człowieku, który nazywa się Oliver Cromwell? Człowieku, który żył w zupełnie innym świecie, zrobił to i to, gdy miał czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Skupmy natomiast uwagę na człowieku, którego znamy - przynajmniej odrobinię. - w świecie, który pracowicie jak mrówki staramy się zmienić. Na człowieka, który siedzi w kucki w celi całkiem niedaleko nas. Jak ci się - to podoba?

Darryl przez chwilę nad tym myślał.

~Okej, jestem na „tak”. ^ ~No to mu się przyjrzyjmy. Mężczyzna ledwo po trzydziestce, który otej pory nic nie zrobił, poza rozdrażnieniem króla w parlamencie jakiś "2as temu, poza założeniem rodziny - i to udanej, bo nawet jego wrogo-^Vle nie starali się nikomu wmówić, że jest złym ojcem rodziny, oraz poza

lodem grupą przeraźliwie biednych mieszkańców Bagien, którzy alczyli przeciwko grabiącym ich ziemię arystokratom. Człowiek, który teraz jest w więzieniu, gdyż wstrętny, zdradliwy i podły król Anglii. się czegoś, czego tamten mógłby dokonać w przyszłości.

Mężczyzna o pełniony żalem, bo jego żona i syn zostali zamordowani na jego oczach. Coś ci w nim nie pasuje?

Jasność przyszła razem z ulgą.

- Cholera, nie. Swój chłop.

- Hm, tak myślałem. Swój chłop. Pieprzyć predestynację, Darryl. Człowiek jest tym, co robi - tym, co sam robi. I koniec.

- Zgadzam się z tobą w zupełności.

Darryl wyciągnął dłoń, którą zaraz ucisnęła potężna dłoń Toma. Syn górników z Appalachów wyrażał szacunek dla potomka jednej z najbogatszych rodzin Pittsburgha. Jednak Darryl zupełnie nie zwrócił uwagi na zawartą w tym ironię. Tom Simpson też stał się „swoim chłopem”, a Darryl - bez względu na swe inne wady - był jednym z tych chłopaków ze wsi którzy nie patrzą wstecz.

- No to jak? Uwolnimy go?

- Taki jest plan. - Tom wzruszył ramionami. - Wtedy, kiedy sami zdecydujemy się uciec, a to jeszcze trochę potrwa, bo Mike powiedział, że byśmy nie ruszali się z miejsca, dopóki nie dostaniemy innych poleceń. Jesteśmy przynajmniej źródłem wartościowych informacji. A poza tym zbliża się zima i nie wiem jak ty, aleja...

Tom uśmiechnął się krzywo i wskazał głową na doskonale widoczny komin. Był duży, a właściwie królewskich rozmiarów. Trzysta pięćdziesiąt lat wcześniej król Edward I grzał się przy buchających z niego płomieniach.

Darryl uniósł do góry kciuki.

- Tu też się zgadzam. Pieprzyć zimą. To wiosną młodzi mężczyźni myślą o winie, kobietach i ucieczkach.

Tom uśmiechnął się i poklepał go w ramię. Na szczęście nie włożył w to zbyt wiele siły.

- Dobra. Jeszcze jakieś pytania? Darryl zmarszczył brwi.

- Hm, tak. Chodzi mi o to - nie żebym miał coś przeciwko, ale skoro mi[^] lochy-

o tym wspomniałeś - jak go zamierzamy uwolnić? To trochę ryzykowne • a skoro w tym świecie on jest nikim... Nie przejmuję się ryzykiem, leje 113 tych żalonych angielskich sukinsynów, ale... Tom uśmiechnął się wesoło.

Powiedziałem ci, że nie wierzę w predestynację. Wierzę natomiast w charakter człowieka. Melissa tak samo. - Wskazał kciukiem na

których więziono Cromwella. - A temu człowiekowi charakter wylewa się uszami.

Jego uśmiech znikł. I - Oto co wiem o Oliverze Cromwellu. Jego czyny to jedno, a człowiek, który mógł ich dokonać, to drugie. W tamtym świecie był nie tylko wspólnikiem generałem, był również oddanym mężem i ojcem. Człowiekiem jednakże na tamte czasy tolerancyjnym w sprawach religii. Pamiętaj, że Cromwell nieprzypadkowo był pierwszym od wieków władcą Anglii, który brał pod uwagę zlikwidowanie restrykcji wobec Żydów. Gdy już został dyktatorem - bardziej przez zbieg okoliczności niż z żądzy władzy - starał się w jak największym stopniu rządzić za zgodą innych. - Błysnął zębami w uśmiechu. No... niektórych innych - nie brał pod uwagę rojalistów. Nie był jednak władcą absolutnym. Kiedy czuł, że jest to konieczne, potrafił wykazać się bezwzględnością, ale nigdy nie miał skłonności do nieuzasadnionej tyranii.

Darryl spojrzał mu w oczy i nie po raz pierwszy uderzyła go ich niezwyczajność miała dziwny, jasny odcień szarości. Tom odziedziczył je po matce. U pani Simpson za tą szarością kryła się lodowata wyniosłość, natomiast u Toma pozostał sam kolor. Darryl ufał tym oczom.

- Wytrącił cię z równowagi, co? - spytał Tom. - Trochę tobą potrząsnął? Darryl przełknął ślinę.

- Taaa. On po prostu... Nie wiem. Trudno to wyjaśnić. On zawsze się wydawał taki... spokojny. Bez względu na to, co mówiłem lub robiłem. Tom skinął głową.

- To częściowo wynika z jego wiary. A głównie z charakteru. - Odwrócił głowę i zaczął przyglądać się płynącej powoli Tamizie. Błyszczała wsłoneczko, które ponownie się pojawiło. Było to jesienne słońce, ale jed-słońce.

- Myślę, że ten człowiek wstrząsnąłby każdym światem. Poluzowałby cię w jego klatce tak, jak to zrobił w tamtej wersji historii. Tak więc jak ujdzie co do czego, wolę, żeby był po mojej stronie, a nie po przeciwnej.

Rzucił na Darryla spojrzenie z ukosa.

~ Cholera, kto wie? Może jeszcze wylądujemy w Irlandii. Wolałbyś, znalazł się tam z tobą czy bez ciebie? Darryl myślał o tym samym.

Nie ma nad czym się zastanawiać - rzekł stanowczo. - Trzeba nad tym najpierw popracować.
* * *

Kiedy Darryl powiedział Gayle, że zakończy wasz z Cromwellern uśmiechnęła się..

- Super. To nam oszczędzi kłopotów. Chyba zaczynam go lubić.

- Gayle!

* * *

Kolejna decyzja została podjęta przy tym samym oknie. Kiedy Rita obudziła się i przyszła do Toma, ten uśmiechnął się do niej w taki sam pogodny sposób, w jaki wcześniej uśmiechał się do Darryla - teraz dziekował w myślach młodemu Amerykaninowi irlandzkiego pochodzenia za tę pogodę ducha. Przebrnięcie przez problem innego człowieka dało mu siłę do poradzenia sobie z własnym problemem.

- Masz rację, zrobimy tak, jak chciałaś. Rita odetchnęła z ulgą.

- Bogu dzięki. Przez chwilę się bałam, że staniesz się jakimś pieprzonym snobem.

Tom zaśmiał się.

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że będziesz musiała przy niej ładnie się wyrażać? Nie ujdzie żadne „spoko”, nie mówiąc już o słowach na „k”.
- Uśmiech Rity był tak szeroki i pełny słońca jak rzeka, że Tom znowu się w niej zakochał. Działo się tak około czterech razy dziennie i miał nadzieję, że tak pozostanie do końca życia.
- Jasne, kuźwa. Moje słownictwo mogłoby się zmienić. Nie mam nic przeciwko temu - wtedy też nie miałam - jeśli tylko twoja matka będzie dla mnie miła.

^iazbzhtl 40

-Jezu! Eddie Cantrell desperacko złapał się oparcia, żeby nie wypaść za burtę „Outlaw”, który przechylił się, gdy Lany wprowadzał go pod ostrym kątem do portu. Zabijesz nas! Larry nie zwracał na niego uwagi. W rzeczywistości szanse na to, żeby w ogóle słyszał Eddiego, były niewielkie. Wielka łódź motorowa pędziła po wodach Zatoki Wismarskiej z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Eddiemu jadącemu pikapem po dobrej drodze taka prędkość nigdy nic wydawała się znaczna. Jednak była ona zawrotna w chłodne, szare październikowe popołudnie na Bałtyku, gdy woda rozpryskiwana przez ostry dziób wyglądała jak ogromne złowieszcze skrzydła, zimne kropelki wody chłostały go po twarzy, a drgania wywoływane każdym kolejnym spotkaniem z falą odczuwał jak zderzenie z pociągami.

osiadł na jednym z siedzeń na tyle kokpitu i obserwował, jak Larry Sarbi się nad dużą chromowaną kierownicą, podczas gdy dwa ogromne zewnętrzne silniki ryczały w jego kręgosłup. W tym momencie jedyną rzeczą, o której marzył, było uduszenie przyjaciela. Jednak najpierw musiałby wstać z krzesła, a tego nie miał zamiaru robić.

Prawdopodobne, żeby na coś wpadli. Jack Clements usadowiony na siedzeniu po lewej stronie i obserwował Larry'ego jak jastrząb.

Larry zakręcił sterem i łódź z warkotem zmieniła kierunek - jedynym Peszeniem dla Eddiego było to, że wokół było mnóstwo wody, a więc

■^ało nra«J I~I • ' .

Gdybyż tylko ten jastrząb mógł przejąć ster od wariata, który dzierżył w tym momencie!

- Zwolnij, Larry! - wrzasnął Eddie. Oczywiście nic to nie dało. z3^ z dwóch maniaków prowadzących tę maszynę śmierci nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co mówił ich teoretyczny zwierzchnik. Eddie mógł jeay nie zgrzytać zębami, trzymać się z całych sił i wypominać sobie, że „sprawdzenie umiejętności” Larry'ego przy sterach „Outlaw” było jego własnym pomysłem. Usiłował również znaleźć pocieszenie w myśli, że Jack musi wiedzieć, co on robi, a nie wydaje się jakoś strasznie zmartwiony.

Jack pochylił się i ryknął coś Larry'emu do ucha. Ten skinął głową, bardzo powoli i ostrożnie przesunął obie dźwignie przepustnicy znajdujące się tuż przy jego prawej dłoni i „Outlaw”

jeszcze szybciej wyrwał do przodu. Eddie zagapił się na niezgrabny szkielet wyrzutni raket, która podskakiwała w górę i w dół, najwyraźniej próbując roztrzaskać się na kawałki. Szkielet był strasznie brzydki i Eddie aż bał się pomyśleć, jak George Watson zareaguje na to szkaradzieństwo przyklejone na stałe tuż przed włazami, na łodzi, która kiedyś była jego dumą. Pomyślał ponuro, że przynajmniej wyrzutnię przymocowano na tyle mocno, że przetrwała próbę, jakiej Jack i Larry poddawali łódź.

Jack usiadł z powrotem i patrzył spokojnie na Larry'ego przez mniej więcej dziesięć kolejnych minut, które dla Eddiego wydawały się wiekami. Potem klepnął go w ramię i gestem nakazał mu się zatrzymać. Larry spojrzął na niego, skinął posłusznie głową i zdławił ryczące silniki.

Łódź szybko traciła prędkość. Wstrząsy odczuwane po wbijaniu się w fale zelżały, ale ruch łodzi stał się bardziej odczuwalny, gdy zaczęła się wznosić i opadać. Jack poczekał, aż zwolnili poniżej dziesięciu kilometrów na godzinę, potem machnął do Larry'ego i przejął sterowanie. Odrobinię przyspieszył łódź i złagodził jej ruch, a następnie odwrócił wygodne krzesło i spojrzął na Larry'ego i Eddiego.

Trudno było uwierzyć, że ciągle znajdują się na tej samej łodzi. Miażdżący uszy ryk wiatru, fal i silnika zmienił się w delikatne szemranie dochodzące z rury wydechowej, a szaleńczy ruch w lekkie kołysanie. Wśród tych dźwięków słychać już było głos, co Jack od razu zademonstrował-- Dobra, chłopaki - rzekł, nie przejmując się ich oficjalnymi stopniami 1111' gdyż w pobliżu nie było żadnych postronnych osób. - Larry przyspieszyć* do około czterdziestu-czterdziestu pięciu węzłów. To mniej więcej pTM kość jednej ze starych łodzi torpedowych z czasów drugiej wojny światowej. To również trochę więcej niż połowa tego, do czego ta łódź jest zdolna³"

Ł. połowa? - Eddie czuł, że powiedział to zduszonym głosem, ale nic złego to nie mógł poradzić, a Jack zaczął się śmiać.

■y. Odrobinię więcej - przyznał. - Na spokojnej wodzie to cacko wyciągnę sześćdziesiąt pięć-sześćdziesiąt osiem węzłów. Coś koło stu dwudziestu kilometrów na godzinę. - Oczywiście Eddiego wyszły z orbit. - A przy jakich falach jak dziś albo przy odrobinę silniejszych dojdziemy na pełnym gazie do stu czterdziestu na godzinę.

- Szybciej płynie na falach niż na spokojnej wodzie? - spytał Larry.

- Pewnie. To właściwie łódź wyścigowa. Larry. Jak dostanie się pod „ią odrobinę powietrza, to jeszcze zmniejsza się opór. - Pokręcił głową. - George zawsze był idiotą. Pewnie, zgadzam się, że usiąść za sterami czegoś takiego może być czasem świetną zabawą. Przyznam, że przyjemnie ją nią sterowało nawet w takich okolicznościach. Ale powtórzę - świetna zabawa czy też nie, ta łódź to wyścigówka, a ja widziałem, jak on obchodzi się z malutką czteropółmetrową łodzią. Utopiłby to swoje żałobne dupsko natychmiast po odpaleniu silnika.

-To by mnie nic dziwiło rzekł Larry. - Myślałem, że motorówka wujka Evana jest szybka, ale ta łódź...

- Właśnie o tym powinienś pamiętać w każdej sytuacji - dodał trzeźwo Jack. Prawdę mówiąc, najchętniej w ogóle nie wpuszczałbym cię za jej stery. To nie osobistego, Larry, ale to dużo poważniejsza sprawa niż zwykle. Na swój sposób łatwiej ją sterować przy większej prędkości -do tego przecie/ /ostała stworzona. Jeśli będzie dużo otwartej przestrzeni zachowasz ostrożność, wszystko powinno być w porządku. Ale kiedy wyruszymy przeciwko Duńczykom, nie będzie tam dużo przestrzeni. Tak więc mimo że zgadzam się / Eddie, że wyszkolenie kogoś, kto ma mnie •Bpierać, ma sens, to jednak ufam, że się nie obrazisz, gdy wyrażę nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał jej prowadzić.

- -'a też mam taką nadzieję - odparł Larry z zapalem, który zaskoczył Eddiego. Larry /aw s/e był chętny do wykonywania najbardziej szalonych 'szykownych popisów na motocyklach terenowych albo deskorolkach, Me wymyślił on sam albo któryś z pozostałych

Czterech Muszkieterów, 'jeśli Eddie miał być szczerzy, wszyscy czterej prowadzili czasem samo-chód w sposób, który raczej nie miał szans spodobać się ich rodzicom, kdnak szczerego szacunku widocznego w jego oczach, gdy spojrział na "Outlaw", nie można było z niczym pomylić.

. * " Hm... Drugą r/eczą. o której musisz pamiętać, jest to, że przeciwnicy ^ do nas strzelać. Tak, wiem, wiem! - Jack uniósł rękę, gdy Eddie otworzył usta. - Będziemy trudnym celem, szczególnie dla tych ich strzyp gładkolufowych. Ale „trudne” to nie to samo, co „niemożliwe”, a pr^ kość - nawet taka, jaką wyciągnie to cudęńko - to nie to samo, co pelery^ niezniszczalności. Zapamiętajcie to sobie. I że równie dobrze możecie saj^j siebie zabić, a ci źli wcale nie muszą wam w tym pomagać.

* * *

- Gdzież oni są? - mruknął pułkownik Karberg.

Sądził, że mówi za cicho, żeby ktoś go mógł usłyszeć - stał na Bastio~nie Teuffelsorth i patrzył na Trave płynącą w kierunku Bałtyku - ale król Szwecji miał zaskakująco dobry słuch.

- Mniemam, że mówisz o Duńczykach - rzucił.

- Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość - bąknął szybko i się zaru~mienił. - To było jedynie bezcelowe pytanie, nie...

- Proszę, mój pułkowniku! - skarcił go Gustaw. - To pytanie absolut~nie nie było bezcelowe, raczej palące.

Rumieniec Karberga pogłębił się, a król parsknął śmiechem. Pułkow~nik spojrział w niebieskie oczy króla i natychmiast się uspokoił, gdyż zdał sobie sprawę, że Gustaw woli być rozbawiony niż rozzłoszczony.

- Tak, Wasza Wysokość - potwierdził. - Jeśli mam być szczerzy, muszę przyznać, że nie daje mi to spokoju.

- Mnie też, pułkowniku - zapewnił go Gustaw tonem, który już nie był tak rozbawiony.

- Choć z drugiej strony nie jestem skłonny kwestiono~wać dobroci Boga, który darował nam to opóźnienie. Miasto już nie może być lepiej przygotowane do oblężenia - bardzo szczęśliwie się złożyło, że przeznaczaliśmy je wcześniej na jeden z czterech magazynów, bo teraz jest świetnie zaopatrzone. A dzięki wczesnemu ostrzeżeniu, które ode~braliśmy od Amerykanów przez radiostację, oraz dzięki opieszałości Chry~stiana nasze oddziały są gotowe, a generał Aderkas znajduje się nie dalej jak tydzień drogi od Wismaru.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Stracili najlepszą okazję, pułkowniku. Ciągłe jeszcze mogą uderzyć na czas, żeby zająć Wismar, chyba że Amerykanie rzeczywiście są w sta nie zdziałać cuda, żeby ich powstrzymać. Ponadto obawiam się, że n'e jesteśmy w stanie zapobiec atakowi na Sztokholm, zanim zima ogar1 l'0 Bałtyk. Ale nie zdobędą Lubeki, a jeśli Axel Oxenstierna złapie oda J nic zajmą również Sztokholm. A gdy Amerykanie będą już gotowi i pancerniki wypłyną na Bałtyk za statkami Chrystiana...

Nieznaczny uśmiech króla stał się lodowaty.

1633 481

* * *

Rozważywszy całą sytuację, Jesse doszedł do wniosku, że istnieją spo~re szanse na to, że tego dnia zginie.

jsjic złał siebie w myślach - bardziej prawdopodobne jest, że zabi~jasz siebie, trzech innych ludzi i całą koncepcję sił powietrznych na raz".

Spojrzał na drugiego pilota, porucznika Eugene'a Woodsilla. Wygl~dało na to, że Woody świetnie się bawi. W tym momencie robił miny do Hansa i Sharon, którzy siedzieli w „Belle II”, około dziesięciu metrów od prawego skrzydła Jesseego. Robił to przez cały czas trwania lotu - na początku ukradkiem, ale gdy zauważył, że Jesse*emu to nie przeszkadza, joraz bardziej otwarcie.

„Pieprzona błoga nieświadomość pomyślał Jesse, ale nie próbował nawet sprawić, żeby młody człowiek przestał się wygłupiać. - Później l/ic miał jeszcze dużo czasu na strach". Oczywiście rozumiał jego uniesienie. Kiedy pojawiło się pierwsze zadanie bojowe. Jesse bez wahania wybrał do niego dwóch najlepszych pilotów - siebie i I lansa. Pozostali oficerowie byli niepokieszeni, szczególnie że misja wymagała zabrania obydwu „Belle". a im pozostało niewiele poza nauką i zwracaniem głowy Halowi Smithowi, I Wszystko uległo zmianie, gdy po raz pierwszy wylądowali z Hansem na polu niedaleko przybrzeżnego miasta Wismar. Lądowisko było bardzo dobre - znajdowało się na lekkim wzniesieniu niedaleko plaży, spokojnie mogło się równać z lądowiskiem w Grantville; było duże, równe i dzięki miejscowym owcom porośnięte krótką trawą.

Kiedy Jesse i I lans wylądowali, odbyła się hałaśliwa scena powitania -Eddie Cantrell i I.arry Wild byli dobrymi kumplami Hansa; mieszkali razem w tym samym zespole przyczep po tym, jak ich najlepszy przyjaciel fefl"poślubił siostrę Hansa. Gretchen. Wkrótce jednak sytuacja uspokoiła dwóch kapitanów oprowadziło Jesse'ego po obiektach przygotowanych dla sił powietrznych.

Był szczerze pod wrażeniem. Ci dwaj młodzi ludzie może i byli nie-sforni, ale świetnie sobie poradzi w tak krótkim czasie. Zbudowali na-Wet prowizoryczny rękaw lotniskowy - Jesse nie podejrzewał, że dwóch młodych kapitanów marynarki mogło w ogóle o tym pomyśleć. Udało im ^ również przetransportować na lotnisko sporą ilość paliwa i rakiet -^zyli to wszystko w jakiejś starej szopie. Jeszcze zanim skończyli go T*owadzać. Jesse podjął decyzję, że przy pierwszej okazji pochwali ich ^d admirałem Simpsonem, i powiedział im o tym. Szerokie chłopięce uśmiechy, jakimi go w zamian obdarowali, niemal pozwoliły mu zapo mnieć o wątpliwościach, jakie budziła ta akcja przeprowadzana praktyc2 nie bez przygotowania. Niemal.

- Nie bądź zbyt pewny siebie - ostrzegł Hansa. - Daleko zajdzie dzięki entuzjazmowi i ciężkiej pracy, ale pogody to nie obchodzi. I Dez względu na to, jak energicznie będziesz poklepywać rakiety i beczki z paliwem i mówić im, jakie są wspaniałe, ciągle pozostaną rakietami i beczkami z paliwem.

Uśmiechnął się do niego krzywo.

- Zaufaj mi, jeśli skończy ci się paliwo, silnik twojego samolotu nie będzie pod wrażeniem tylko dlatego, że mu powiesz, że masz świetny humor.

Po rozładowaniu samolotów zatankowali razem z Hansem „Belle II" i wy. ruszyli zaznajomić się z terenem. Jesse i tak by od tego zaczął, ale chciał, żeby do Hansa dotarło, że ich głównym zadaniem tutaj będzie rekonesans dla marynarki wojennej i Gustawa, a nie popisywanie się brawurą.

Zaczęli od okrążenia Zatoki Wismarskiej, potem zaryzykowali lot wzdłuż wybrzeża na zachód, co jakiś czas zaznaczając coś na mapach, później skęcili na północ i przed powrotem przelecieli jeszcze nad Rugią. W trakcie całego lotu nie widzieli niczego większego niż kuter rybacki.

Kiedy poranny lot następnego dnia przyniósł takie same rezultaty, Jesse zdecydował, że polecą po południu do Magdeburga i wrócą z sierżantem sztabowym Tiptonem i narzędziami. Nie można było przecież przewidzieć, jak długo będą musieli sobie radzić z dala od bazy, a poza tym kapitan Cantrell dowiedział się przez radiostację, że Mike Stearns i Weronika Dreeson przybyli do Magdeburga. Jesse chciał jeszcze raz naradzić się z prezydentem i admirałem Simpsonem, żeby się upewnić, że wszyscy wszystko dobrze rozumieją.

Dodatkowo...

Zapatrzył się na Hansa stojącego na lotnisku i obserwującego morze-Wyglądał na wspaniałego młodego człowieka i taki był. Emanował prawdziwą pewnością siebie. Jesse westchnął. To najczęściej również nie obchodzi świata. Wje2

bacze-

wieku Jesse nie miał złudzeń, chciał więc dać Hansowi szansę z nią babcini być może po raz ostatni. Twarda staruszka, jak mówiła, która razem z jego siostrą opiekowała się nim, gdy matka zmarła w kotle wojny trzydziestoletniej. Po południu wiał silny wiatr - śmiertelnie niebezpieczny dla zagrażającej im floty. W związku z tym, że bezpośrednia walka wydawała się mało prawdopodobna, Jesse zdecydował również przywieźć do Wismaru kolejnego pilota i powiadomił Woody'ego, żeby się przygotował - mieli skoczyć po niego do Grantville następnego dnia. A dla zwieńczenia tych doniosłych decyzji Jesse zgodził się sprowadzić nowoczesną pomoc medyczną po tym, jak syn wismarskiego burmistrza doznał poważnych obrażeń głowy podczas zabawy w pobliżu amerykańskich motorówek. W razie ewentualnych ofiar i tak trzeba było mieć opiekę medyczną na miejscu.

Z perspektywy czasu wspominał, że liczył wtedy na pomoc medyczną ze strony Sharon, zwłaszcza że przecież był tutaj Hans. Ale teraz Jesse nie martwił się tym zbyt, szczególnie kiedy widział szczęśliwą twarz młodego pilota. Cóż takiego może się zdarzyć w trakcie lotu do Wismaru?

* * *

„To się mogło zdarzyć” - pomyślał ponuro Jesse. Ciśnienie na barometrze zaczęło spadać, kiedy byli w Grantville; gdy byli w Magdeburgu, na wschodzie zaczęły się zbierać pierzaste chmury, a wiatr zmienił kierunek na zachodni. Nadchodziła burza. I to szybko.

- Cholera, powinienem był to przewidzieć - powiedział sam do siebie. - Wiatr wieje przeciwnie do ruchu wskazówek zegara na obszarach niskiego ciśnienia. A tu ciśnienie musi być niskie jak cholera.

Na razie jeszcze wszystko było w porządku - lecieli w szyku na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. a wokół nich było jasne promienne słoneczne gładkie powietrze. Podczas gdy troje młodych ludzi dobrze się bawiło, jedynie Jesse zauważył, że nadciągają chmury - najpierw za nimi, potem pod nimi, a następnie z przodu. Warstwa pod nimi wyglądała całkiem niewinnie - jak biały, delikatnie falujący koc, rozłożony na wysokości prawie sześciu tysięcy stóp. Zaczął się zastanawiać nad jej grubością, gdyż z wątpliwą nadzieją zaczął wzrastać. Jak co minutę od pół godziny, Jesse spojni na niebo na zachodzie; wiedział, że czeka tam śmierć - ciemne, masywne burzowe chmury z rozmytymi brzegami maszerowały ramie * ramie po zachodnim horyzoncie. Gdyby wlecieli w którąś z nich, skończyłoby się to tragicznie - i prawdopodobnie nie miałyby znaczenia, ja - samolotem. Musieli dotrzeć na ląd przed chmurami. Magdeburg nie Chodził w urę. Już dawno minęli punkt bez powrotu - nawet przy zmianie 5,6 wiatru. '

"Khem, khem" odkaslnął Jesse. - Poruczniku, jeśli skończył pan awiac porucznika Richtera, proszę na chwilę przejąć stery.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł lekko zarumieniony Wood. Przejmuję stery.

Jesse sięgnął po mikrofon, zastanawiając się, jak przekazać pozostałym wiadomość.

„Hans będzie potrzebował pewności siebie”.

- Drugi, tu dowódca. Hans szybko odpowiedział:

- Dowódca, tu drugi.

- Drugi, zwiększam moc. Przyspiesz i nie oddalaj się.

- Przyjąłem.

Jesse poruszył dźwignią.

- Przejmuję stery.

Poczuł, że Woody mu się przypatruje. Młody człowiek w końcu zaczął pojmować, że coś jest nie tak.

„Dzięki Bogu, że Hans leci dwójką - pomyślał Jesse, przesuując dźwignię. Ma wystarczająco dużo mocy, żeby nadać. To mu się przyda”.

Prawie na maksymalnym zakresie Jesse zauważył, że prędkość lotu utrzymuje się na około 110 węzłach.

„Gdzie, do cholery, jesteśmy? Przynajmniej Hans jest blisko”.

- Woody? - Jesse spojrzął na drugiego pilota.

- Słucham, panie pułkowniku?

- Przejmij na moment stery. Utrzymaj ten kurs i miej oczy szeroko otwarte. Musimy znaleźć jezioro Schwerin.

Jesse chwycił suwak nawigacyjny; z ogromnym wysiłkiem zdołał się skupić i nie patrzeć na zachód.

„Załóżmy, że wiatr zepchnął nas jakieś trzydzieści kilometrów na wschód. Przy 110 węzłach poruszamy się pewnie... Jezu, przecież to czy-sta zgadywanka!”.

Jesse sięgnął powoli do góry i nakręcił zegar na tablicy przyrządów, po czym spojrzął na znajdujące się w dole chmury. Dokonał za pomocą kom-putera jakichś obliczeń, sprawdził je i skinął głową.

- Woody, skręć dziesięć stopni w lewo na kurs trzy-cztery-pięć-

- Potwierdzam, trzy-cztery-pięć.

Nikt nic nie mówił; Jesse zorientował się, że Woody przygląda się sc,a nie chmur widniejącej po lewej stronie. Hans i Sharon pewnie robił samo. Spojrzął w lusterko - burza była bezpośrednio za nimi.

Nie było już odwrotu. Pędzili w kierunku wybrzeża, a czas P^j niemiłosiernie wolno. Pod nimi rozciągała się biała pokrywa. Jesse

(jziwny spokój, jak gdyby postawił jakąś sumę i teraz czekał tylko na ^ynik rozgrywki.

Zastanawiał się, jak wylądować.

Jak grube są te chmury? Może sięgają aż do ziemi, ale nawet jeśli tak j^st. kogo to obchodzi?

Okej, gdzieś tam jest pułap. Czy Hans da radę lecieć blisko mnie przy tak słabej widoczności? Jest dobry. Ale na ile? I na ile dobry jestem ja sam?”.

Jesse potarł podbródek i spojrzął na burzę, zbliżającego się coraz bar-dziej kolosa.

„Spróbuj nas złapać, sukinsynu!”.

Sprawdził godzinę i zerknął na swoje wyliczenia. Czas obniżyć lot. Chwycił mikrofon.

- Drugi, tu dowódca. Hans, przyspiesz odrobinę i nie znikaj mi z oczu. Obniżamy lot. Tysiąc stóp na minutę. Zrozumiałeś?

Hans odpowiedział krótko i zwięźle.

-Zrozumiałem. Drugi na pozycji. - Zbliżył się na niecałe dwa metry, odrobinę poniżej prawego skrzydła samolotu Jesse'ego. Jesse rzucił:

- Przejmuję stery.

Warstwa chmur pod nimi wyglądała gładko i nieszkodliwie, kiedy jed-nak zaczęli się do niej zbliżać, okazała się poszarpana i niespójna. Jesse zebrał siły i skoncentrował się na chyłomierzu z zakrętomierzem. Celowo rozluźnił uchwyt, trzymając teraz dźwignię jedynie końcówkami palców. Wlecieli w mgłę.

Ciemność. Jesse poczuł, jak samolot kołysze się i szarpie, przebijając się pizez kolejne warstwy chmur. Dotykał lekko drażka, nie walczył z prądem ictrza. w prowadził jedynie lekką korektę. Chciał przepłynąć na dół. • Tysiąc stóp na minutę. Kulka wyśrodkowana. Brak przechyłu. Prosto. Wskaźnik kursu, kulka, prędkość lotu, wysokość”.

Nie mógł odczytać swoich obliczeń ani skupić wzroku, jego umysł pra-^wał, ale nieświadomie. »Kulka. Prędkość lotu. Przechył”.

Nie wiedział, jak długo to już trwa. Nie sterował, on sam był samolo-!em> opadał coraz bardziej w dół. Delikatnie, końcówki skrzydeł drgały, ^ orczyka, odrobinę w dół, następnie do góry, ster wysokości w dół. ^likatnie opadał, opadał.

"Prędkość lotu. Wskaźnik kursu. Kulka”.

Jesse był zdziwiony, kiedy wydostał się z chmur. Był sześćset stóp nad Bornem wody.

„Boże, udało się!”.

Jego następną myślą było:

„Hans!”.

Siedzący obok Woody krzyczał:

- Jest! Jest! Boże, kilka razy straciłem go z oczu!

Jesse nie mógł jeszcze pozwolić sobie na ulgę - jeszcze nie wyjął wali. „Kurs”.

Był w szoku, gdy zorientował się, że ciągle lecą kursem trzy-cztery, pięć bez odchylenia.

Zobaczył przed sobą ład... „Jezu drogi!”.

To było północne wybrzeże Zatoki Wismarskiej. Tam. To działało brońniące wejście do zatoki.

Trafił idealnie!

Odbił lekko w lewo, kierując się na południe, w stronę lądowiska. Dzieńsię minut później wylądowali.

Jesse wyłączył silnik i wyrzwał na zewnątrz. Pierwsze wielkie krople deszczu zaczęły tłuc o szyby „Belle”. Spojrzał na Woody'ego.

- Poruczniku Woodsill, czy mógłby pan wyjąć podstawki pod koła? Ja przez chwilę popatrzę na deszcz.

* * *

- Pułkownik Wood i kapitan Richter wylądowali w Wismarze. Mike szybko podniósł wzrok. W wejściu do biura, które przywłaszczył

sobie w Magdeburgu, stał John Simpson, trzymając w ręku złożony kałwałek papieru.

- Kapitan Wild właśnie odezwał się przez radiostację - ciągnął dalej Simpson. -

Wygląda na to, że pogarszały się warunki pogodowe i zdołali wylądować w ostatniej chwili, ale są bezpieczni. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

-I bardzo dobrze pomyślałeś - odparł Mike i odetchnął głęboko ze szczerą ulgą. Ulewa, która przeszła nad Magdeburgiem tuż przed zachodem słońca, przysporzyła mu sporo zmartwień o Jesse'ego i Hansa Wismar znajdował się ponad sto sześćdziesiąt kilometrów od stolic)

Gustawa, a na takiej przestrzeni sytuacja pogodowa mogła się wielokrotnie zmieniać. Sądząc po trudnościach, jakie mieli z transmisją radiową d° Holandii, deszcz wydawał się częścią burzowego frontu, który rozciągał się nad sporą częścią północnej Europy.

- Wygląda na to, że w Wismarze nasze sprawy wyglądają coraz lepiej, eJ - rzekł po chwili.

_ Tak - zgodził się Simpson, ale na jego twarzy nie widać było takiej ulgi. jak na twarzy

Mike'a. - Jednak nie jest do końca bezpiecznie. Kapi-jgj! Cantrell i porucznik Clements

poradzili sobie z dostosowaniem moto-j^wek do naszych potrzeb dużo lepiej, niż śmiałem

przypuszczać, ale ge-^1 Aderkas ciągle znajduje się w odległości kilku dni od miasta. A

zanim urn dotrze, szanse na to, że Wismar poradzi sobie z odparciem poważnego ataku

Duńczyków, trudno określić jako znaczne.

Mike już miał uszczypliwie zripostować, że to właśnie Simpson pierw-52y zasugerował, żeby

Eddie i Larry zostali wysłani do Wismaru, ale po-wstrzymał się. zauważywszy jego

zmartwione spojrzenie. Zgadza się, to był pomysł Simpsona, ale Mike się pod nim podpisał, a

zrobił to, bo po-mysł naprawdę był dobry. A jeśli John Simpson martwił się o żołnierzy,

których naraził na niebezpieczeństwo, Mike Stearns nic miał zamiaru z tego się naśmiewać -

szczególnie że w pełni podzielał to zmartwienie i odpowiedzialność.

- Tak rzekł zamiast tego. W Wismarze sytuacja jest ciągle niepewna, ale nawet tam

jest coraz lepiej. Z kolei Lubeka wygląda wyjątkowo bezpiecznie, a to przyznał - głównie

dzięki pańskiemu wysiłkowi, żeby sprowadzić tam zapasy i w sparcie.

-To wydawało mi się najrozsądniejsze - odparł szorstko Simpson. Hj>> I słusznie.

- A bez w zględu na to. jak w ygląda sytuacja w Lubece - Simpson po-nownie zaczął

mówić mocniejszym głosem - faktem jest, że ciągle nie wiemy, co Duńczyki myślą o...

- Proszę mi wybaczyć, panie admirał, panie prezydencie. - Młodszy oficer - krępy

młody Niemiec - podbiegł do nich i stanął na baczność, ?dy Simpson i Mike odwrócili się w

jego stronę. - Ta depesza właśnie Przybyła z Lubeki - rzekł, wyciągając w kierunku Simpsona złożoną kartkę Papieru.

Admirał chwycił ją, energicznie skinął głową i szybko zaczął czytać. Przebiegł oczami równo zapisane linijki, następnie spojrział na Mike'a.

~ Panie prezydencie, właśnie przybiła do Lubeki łódź rybacka - po-dział oficjalnie. Według jej załogi Duńczycy znajdują się nie dalej ^godzinę drogi za nimi.

IKozhstał 41

Nie po raz pierwszy w życiu Jack Clements żałował, że nie jest lepszy w językach obcych. Naprawdę przydałby mu się Eddie albo Lany, albo którykolwiek z nadczasowców ze znajomością niemieckiego, żeby po-móc mu wyjaśnić, czego chce. Larry był tu jeszcze parę minut wcześniej, ale przysłano po niego z sali radiowej, gdzie pilnie go potrzebowano, żeby nadzorował zapisywanie wiadomości z Lubeki. W ten oto sposób Jack został zmuszony do samotnych zmagañ z wyrzutnią rakiet i składem po-cisków na „Outlaw” w słabym świetle nabrzeżnych pochodni. Jego dwaj niemieccy pomocnicy byli chętni do pomocy, problem polegał jednak na tym, że Jack nie był w stanie powiedzieć im, jakiej pomocy potrzebuje, a gestykulacja nie wystarczała.

Wyprostował bolące plecy i nakazał ruchem ręki jednemu z Niemców, żeby wspiął się na nabrzeże. Kolejne gesty - młodszy Niemiec przytaknął i zaczął wyciągać raketę z wozu stojącego przy pachółku cumowniczym-Prawdę mówiąc, podchodził do tego bardziej entuzjastycznie, niżby Jac* sobie życzył, biorąc pod uwagę rozmiary, wagę i wybuchowość pocisku. Pokręcił głową, próbując uspokoić młodzieńca, ale wiadomość najwyraź-niej do niego nie docierała, musiał więc szybko skoczyć i złapać ciężka raketę, zanim jego nadgorliwy pomocnik zrzuci ją wprost na pokład „Outlaw”.

Zatoczył się pod ciężarem pocisku, ale udało mu się utrzymać równo" wagę i położyć go w mniej więcej kontrolowany sposób.

Niemiec stojący na nabrzeżu dopiero teraz zorientował się, co Jack piłował mu przekazać. W tak słabym oświetleniu trudno było rozpoznać ^yraz jego twarzy, ale to, co Jack zdołał zauważyć, było - jak by to ujęła •ggo żona ..czystym poczuciem winy". Zaśmiał się i machnął uspokaja-jąco ręką. a potem kiwnął również do swego pełnego entuzjazmu pomoc-nika, żeby dał mu chwilę na złapanie oddechu.

„Nie jesteś już taki młody, Jack - pomyślał, opadając na jedno z luksusowych siedzeń „Outlaw”. - Nawet nie tak młody, jak byłeś, gdy wyniósł cię do Halle! Zamknął na chwilę oczy, pocierając klatkę piersiową, żeby zmniejszyć napięcie w płucach. - Pogoda też nie jest najlepsza - pomyślał / irytacją. - Zimno i wilgotno. Atakuje mięśnie i stawy, aż zaczynają cholernie boleć. - Zaczął mocniej masować pierś. - Ale przecież nie mogę tu siedzieć całą noc. Mamy za dużo do...”.

Ból uderzył niczym młot kowalski. Zdawał się wybuchać w jego klatce piersiowej jak bomba, a wydany przez Jacka odgłos cierpienia przypominał jęk człowieka kopniętego w brzuch przez muła. Otworzył oczy i zobaczył, że obaj jego niemieccy pomocnicy odwracają się ku niemu zaniepokojeni. Nagle ponownie uderzył go młot kowalski i poczuł, jak osuwa się bezsilnie z krzesła.

* * *

- Cholera jasna! Frank Jackson walnął lewą pięścią w stół kuchenny, a prawa dłoń zbielała mu od ściskania telefonu. Warknął jeszcze jedno przekleństwo, po czym zamilkł i wziął głęboki oddech.

- Jest bardzo źle, James? - spytał prawie normalnym głosem. Słuchał z zaciśniętymi ustami, potem zamknął oczy, a jego barczyste ramiona opały. - Okej - powiedział. - Dobra, rozumiem. Po prostu... daj mi znać, jak dowiesz się czegoś więcej, dobrze? - Przez chwilę znowu słuchał, potem skinął głową, jakby jego rozmówca mógł go widzieć. - Dzięki. Do usłyszenia.

Bardzo, bardzo ostrożnie odłożył słuchawkę i odwrócił się do żony.

~ Co się stało? - spytała Dianę Jackson. Kiedy zadzwonił telefon, gotowała wodę na herbatę. Teraz obserwowała wyraz twarzy męża tymi samymi oczyma, które widziały upadek jednej ojczyzny, utratę drugiej i bolesne narodziny trzeciej.

- Jack - rzekł bezbarwnym głosem Frank, a jego nozdrza zadrgały, gdy wziął głęboki oddech. - Uparty, stary sukinsyn. Dlaczego, do cholery, nie wiedział, że ma chore serce, kiedy poprosiłem go, żeby pojechał do smaru?

- Nie bądź głupi! - skarciła go i parsknęła, gdy spojrzał na nią ze złością. -

Mężczyźni! Wszyscy jesteście tacy sami! - Pokręciła głowę

- A ty byś powiedział, gdybyś poprosił sam siebie o wyjazd do Wismarip

- spytała.

Spojrzała na niego gniewnie, ale Frank wbrew sobie uśmiechnął się. Angielski Dianę czasem był... zagmatwany, nawet po tylu latach. Nie żeby jego język był modelowy. Pokręcił głowę.

- Trafiony - zgodził się. - Chyba jestem równie głupio uparty jak on. Ale, Jezus Maria! Mógł mnie chociaż ostrzec, że może się coś wydarzyć, zamiast obarczać tym tylko doktora Adamsa!

- Gdyby tak zrobił, nie wysłałbyś go tam - ciągnęła nieubłaganie Diane.

- A że go potrzebowałeś, to ci nie powiedział. - Wzruszyła ramionami.

- Chyba masz rację. - Westchnął.

- No więc? - spytała. - Jest bardzo źle?

- James nie był w stanie powiedzieć - odparł smutno Frank. - Dzięki Bogu, Sharon była tam na miejscu. Ale mimo że jest w tym dobra, nie dorównuje swemu ojcu. I nie ma potrzebnych leków ani sprzętu. - Ponownie westchnął i pokręcił głową. - Brzmiało to tak, jakby James usiłował mi powiedzieć, że nie sądzi, żeby Jack przeżył.

- Muszę iść do Alice.

- Pójdę z tobą. W sumie to moja wina, że tam pojechał.

- Nie pójdziesz ze mną - poinformowała go Dianę. - Po pierwsze, Alice nie potrzebuje, żebyś tam przychodził i biczował się na jej oczach. Po drugie, musisz powiedzieć o tym Mike'owi i admirałowi Simpsonowi. Powinni o tym wiedzieć.

- Tak - przytaknął Frank. - Masz rację. Nie żebyśmy mogli coś na to poradzić, ale ktoś chyba im powinien powiedzieć, że jedyny prawdziwy sternik, jakiego mieliśmy dla „Outlaw” Watsona, jest niedysponowany.

* * *

- Przychodzi ci do głowy, co moglibyśmy na to poradzić? - spył Mike.

- Nie. - Simpson miał wymizerowaną twarz. Pokręcił głową. - ^ mam żadnego pomysłu. My jesteśmy tutaj, oni tam, a nawet gdyby 3 nie było, wątpię, żeby w Magdeburgu czy Grantville był jeszcze ktos» kto poradziłby sobie z tą łodzią. Będziemy musieli liczyć na to, że kapł tan Wild nauczył się wystarczająco dużo, gdy Clements był jeszcze y ponowany.

- Nie podoba mi się to - mruknął Mike, a Simpson parsknął.

„Mnie też się nie podoba - przyznał. - Niestety to, co nam się podoba, „je za bardzo ma związek z całą sytuacją. Nigdy nie ma. Szczególnie jeśli fliedługo ma się zacząć jatka.

Mike oparł się na krześle i obrócił głowę w kierunku Simpsona. Przyglądał mu się przez parę chwil.

_Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz... John - powiedział. Używając jego imienia, podkreślał, że pytanie nie jest oficjalne. - Ale ciągle się zastanawiam. Jest dla mnie oczywiste (sądząc po tym, co mówiłeś, i po sposobie, w jaki zwracałeś się do Eddiego, zanim go odesłaliśmy), że miałeś do czynienia z walką, zanim tu wylądowaliśmy. I to sporo. A przy-najmniej tyle samo, co Frank Jackson. Jednak nigdy o tym nie wspomina-łeś, zanim nie poprosiliśmy cię o stworzenie marynarki wojennej. I prawdę mówiąc, mam nieodparte wrażenie, że nigdy o tym nie mówiłeś przy Tomic.

Simpson patrzył na niego spokojnie. Mike wzruszył lekko ramionami.

-John, ja naprawdę nie sędzę, żeby to miało jakieś znaczenie, że twój syn nie odpowiedział na wiadomość, którą do niego wysłałem. Ta burza zupełnie uniemożliwiła komunikację z Becky i Bóg jeden wie, co narobiła na odcinku między Amsterdamem i Londynem.

Simpson skinął głową, ale wciąż miał napięte rysy twarzy.

Mike westchnął.

- Kurde... Skoro już pytam o sekrety, to mogę zdradzić swój, mimo że przysiągłem Ricie, że nie puszcę pary z ust.

Na wzmiankę o synowej oczy Simpsona lekko się rozszerzyły.

- Po Ognistym Kręgu... Co zrobiliście z żoną? - spytał Mike. - Zaraz potem. Nie mieliście nic poza paroma walizkami i wypożyczonym samo-chodem, a my w ciągu tygodnia znacjonalizowaliśmy cały zapas benzy-ny. Jestem pewien, że wcześniej mieliście tysiąc kart kredytowych, port-fel pełen gotówki i najlepsze na świecie zegarki. Jakby to mogło się na coś przydać...

Simpson wpatrywał się w niego.

- Hm... Przyjęła nas jedna rodzina. Bardzo mili ludzie...

^ - Wiem, kto was przyjął, John. A wiem dlatego, że Rita to załatwiła. ^ syn Wendellów, jest starym znajomym Rity. Prawdę mówiąc, w szko-e średniej był jej chłopakiem, ale po rozstaniu ich stosunki pozostały bardzo dobre. "Twoja siostra...

^ike parsknął na wół ze złością, na wół ze znużeniem.

- John, to, że my, prostaki z Wirginii Zachodniej, lubimy się przechWa lać, że wygraliśmy waśń Hatfield-McCoy, nie znaczy, że naprawdę uwa zamy tego starego diabła Anse'a Hatfielda za wzór do naśladowania Tafc więc nie przejmuj się swoim synem, dobrze? Moja młodsza siostra ma wady, ale nie należy do nich mściwość.

Simpson odwrócił wzrok. Przez chwilę na jego twarzy widać było lek kie zażenowanie. I ulgę.

- No to wróćmy do mojego pytania: dlaczego? - powtórzył Mike. Przez parę chwil Simpson milczał, potem zaczerpnął głęboko powietrza

- Tak naprawdę nigdy nie chciałem wchodzić w interesy rodzinne - powiedział. - Pewnie nie to chciałeś usłyszeć, ale to prawda. W mojej rodzinie zawsze były dwie drogi kariery - interesy i marynarka wojenna. Od wojny brytyjsko-amerykańskiej w 1812 roku przedstawiciel każdego pokolenia Simpsonów służył w marynarce wojennej. Aż do Toma.

Odwrócił wzrok, a jego głos stał się tak odległy, jakby mówił do kogoś zupełnie innego.

- Kochałem marynarkę wojenną. Wcale nie zaczynałem w inżynierii. Pragnąłem pewnego dnia zostać dowódcą. Służba na morzu - oto czego chciałem, więc zaraz po Akademii zgłosiłem się do służby na rzekach w Wietnamie. Dostałem się. Przyjęli mnie mniej więcej wtedy, kiedy nasze siły rzeczne osiągały już maksymalne rozmiary, i dobrze się wpasowałem. Po sześciu miesiącach zostałem zastępcą dowódcy, a po kolejnych sześciu - dowódcą. We wspaiałym wieku dwudziestu czterech lat.

Pokręcił głową - oczy miał smutne.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale pod pewnymi względami były to najpiękniejsze miesiące mojego życia. Nie lubiłem walki. Wiesz - niektórzy lubią, ale ja taki nie byłem. Jednak bez względu na to byłem w niej dobry. Byłem... skuteczny. A moi żołnierze byli dla mnie prawie jak rodzina.

Jego wzrok, gdy spojrzał na Mike'a, był niemal wyzywający, jakby oczekiwał, że tamten zacznie się z niego śmiać. Ale Mike tylko siedział i czekał, więc Simpson ponownie odwrócił wzrok i zaczął się wpatrywać w dal, we wspomnienia z dawnych lat.

- I wtedy pewnego dnia dotarło do mnie, że nie zawsze liczy się to, czy jesteś dobry, czy też nie. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to przez burdel w komunikacji, czy przez błąd wywiadu, czy też przez czystą głupotę - rozkazano nam osłaniać punkt ewakuacji batalionu spadochroniarzy Armii Republiki Wietnamu, w którym znalazł się... batalion żołnierzy z Północnego Wietnamu.

| - Nieźle nam dowalili. Straciłem trzy łodzie, prawie jedną trzecią ludzi i prawą stopę.

Wbrew sobie Mike zeszytniał, a Simpson zaśmiał się ponuro. IL-Tak, tak. Świetnie sobie radzę z protezą, więc nikt tego nie zauważa, gło mniej więcej od tego miejsca mam nylon. - Pochylił się i stuknął w pra-urą łydkę zaraz ponad kostką. Odgłos był zaskakująco donośny i pusty.

- To był koniec mojej wycieczki po Wietnamie - podjął po chw iii wą-łek. - Prawdę mówiąc, prawie koniec mojej kariery. Chcieli mnie wysłać pa rentę. Wyglądali na zdziwionych, gdy odmówiłem. Jednak utrata sto-py, napięcia polityczne i redukcje sił wojskowych w Wietnamie pokrzy-żowały moje plany. Tak więc zająłem się inżynierią, a to zaprowadziło mnie do Pentagonu. I wiesz co? W tym też byłem dobry. Bardzo dobry. Miałem obiecującą, przyszłość.

-Ale wtedy, dokładnie wtedy, gdy zostałem nominowany, mój starszy brat zginął w wypadku samolotu. Thomas miał przejąć firmę po ojcu, dla-tego mogłem robić karierę w marynarce wojennej. Ale po jego śmierci to ja musiałem się zająć interesami rodzinnymi.

Zrezygnowałem więc, wró-ciłem do Pittsburgha, a ojciec przeszedł na emeryturę. ■Przez dwie-trzy niekończące sic minuty milczał. Potem wzruszył ra-mionami.

ft— Czasem - rzekł po cichu - wydaje mi się, że to właśnie od tego za-częły się moje problemy z Tomem. Byłem strasznie wkurzony, bo nie in-teresowała go ani marynarka wojenna, ani biznes. Od czasu, gdy był ma-łym chłopcem, zawsze chciał grać w futbol, a ja tego nie rozumiałem. Mary rozumiała albo przynajmniej była bliska zrozumienia. To prawdo-podobnie moja wina. Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie byłem dobry •wysławianiu się i tak naprawdę nigdy nie rozmawiałem z Tomem. Mó-wiłem do niego. Mó-wiłem, czego od niego oczekuję, ale jakoś nigdy nie Pomyślałem, żeby mu wyjaśnić dlaczego. Tak jak nigdy nie mówiłem o własnej karierze w marynarce wojennej ani o tym, jak właściwie straci-

stopę Chciałem... chciałem, żeby był taki jak ja. Żeby zdał sobie sprawę, że czasem trzeba zrezygnować z marzeń dla obowiązków. Żeby *°baczył, jak głupio jest skupiać się na durnej grze, zamiast przygotowy-**ć się do ..prawdziwego" zawodu. Tak bardzo koncentrowałem się na własnych pragnieniach, że nigdy nie zauważyłem zdecydowania, z jakim 0,1 podążał swoją drogą.

Ponownie zamilkł, patrząc w zamyśleniu w przeszłość. Wreszcie gwał-°wnie wciągnął powietrze i otrząsnął się energicznie.

- W każdym razie - rzucił szybko - taki jest głęboki, mroczny Sekr mojej przeszłości w marynarce wojennej.

Uśmiechnął się sztywno jak człowiek, który nie lubi zwierzeń i wraca do swego tradycyjnego pancerza. Simpson ujawnił sporo ze swej pr2e szłości i Mike zastanawiał się, w jakim stopniu stało się to dzięki porno cy, której mu udzielił w pogodzeniu się z synem. Podejrzewał, że miało to duży wpływ, może nawet przeważało.

„Nie - pomyślał Mike - prawdziwym powodem są dwaj młodzi kapita nowie marynarki znajdujący się w Wismarze. Młodszy niż on na błotnistej przesiąkniętej krwią rzece, trzydzieści pięć lat temu".

Kapitanowie na swój sposób zastępujący mu syna, którego tak bardzo do siebie zraził.

^azbzintl 42

- Hm, wtedy mi się wydawało, że to dobry pomysł - wymamrotał Jeff. wyteżając wzrok z dzioba łodzi i starając się dostrzec coś w ciemności przez pokryte wilgocią okulary. - Ten cholerny deszcz też nam nie pomaga.

- Bo to jest dobry pomysł - syknął Jimmy i ukucnął obok niego. -Zobaczysz. Sądząc po tonie jego głosu, sam nie był tego do końca pewien.

Mimo to jak każdy porządny chłopak z gór - zebrał się w sobie, ciągnął dalej, uparcie i zdecydowanie wierząc, że los będzie im sprzyjał.

- Poza tym deszcz jest dla nas korzystny. Jeśli my nie będziemy wi-dzieć Hiszpanów, oni nie będą widzieć nas. A założę się, że taki hiszpań-ski wartownik stojący na pokładzie przez długi czas będzie próbował ja-koś schronić się przed deszczem.

I dodał z uporem:

~ To jest dobry pomysł.

-To samo mówiłeś, jak wkradliśmy się do laboratorium pana Ferrary Ginęliśmy...

- To też był twój pomysł - zaprotestował Jimmy.

- Wiem - mruknął Jeff, czując jak kolejna strużka zimnego deszczu ^Ptywa mu po plecach. - Tak jak ten niedorzeczny plan. Ale po co są ^Yjaciele, jeśli cię nie powstrzymują? Jeśli o to chodzi, jesteś tak samo ^Znadziejny jak Eddie i Lany.

Jimmy przez chwilę mu się przyglądał. Potem rzucił, uśmiechając złośliwie:

-Hm, no tak... Ale spójrz na to optymistycznie - najbardziej niedo-rzecznym z twoich pomysłów było oświadczenie się Gretchen w dniu w którym ją poznałeś. Ha! Musiałeś użyć słownika! A my cię nie powstrzy mywaliśmy - prawdę mówiąc, na samym początku byliśmy jedynymi, którzy cię popierali.

To oczywiście była prawda, ale w tym momencie przypominanie mu

o Gretchen nie było najszcześniejszym pomysłem. O Gretchen i jej ciepłym pociągającym ciele. Ojej uśmiechu o poranku - a co dopiero w nocy Gretchen, kiedy...

Odepchnął od siebie te myśli. Gretchen była tam, stała na nabrzeżu

i wpatrywała się w ciemność. On natomiast był tu, na dziobie dziewięć-metrowej łodzi rybackiej. I nawet jeśli nie widział w ciemności żadnego hiszpańskiego statku, to widział pokrytą smołą beczkę prochu, przymocowaną poniżej dziobu.

„Mina wytykowa - pomyślał kwaśno. - Wydaje się superowa, jak się o niej czyta. Wydawała się superowa również wtedy, gdy przekonaliśmy grupkę szalonych ochotników z komitetów, żeby przyłączyli się do naszego planu. Ale teraz...”

- Przypomniał mi się żart, który kiedyś czytałem. Pamiętasz, Jimmy? Wtedy obaj uważaliśmy, że jest strasznie śmieszny.

Jimmy zmarszczył czoło - a przynajmniej Jeff tak sądził. Trudno było to stwierdzić, gdyż wokół panowała ciemność, padał deszcz, a Jimmy miał na głowie bezkształtny kapelusz. Znał jednak Jimmy'ego wystarczająco dobrze, żeby zgadnąć, że czoło tamtego jest zmarszczone w skupieniu. Jimmy był mądrym chłopakiem, ale... niezbyt bystrym. Zupełnie inaczej niż Eddie Cantrell, zawsze powoli dochodził do prawidłowego rozwiązania.

- O czym ty mówisz? Jeff skrzywił się.

- O tym cytacie, który ci kiedyś pokazałem. Przygoda jest wtedy, gdy ktoś inny męczy się gdzie indziej.

-A, ten. Tak. - Zaśmiał się. - Był kiedyś taki brytyjski aktor... Może Paul Newman, który powiedział coś podobnego. Jego definicją piety dy było noszenie kufla piwa z jednego zadymionego pomieszczenia drugiego.

Jeff przewrócił oczami.

- Paul Newman nie jest Anglikiem, ale Amerykaninem. Dlaczego ty faworsze uważasz, że starszy aktor z klasą musi być Anglikiem?

Kr- Bo większość z nich jest - padła pewna odpowiedź. - Weź na przykład takiego Cary'ego Granta albo Katherine Hepburn. Pomiń Humphreya Bogarta i Jimmy'ego Cagneya, i to tyle.

Hm, nie jestem pewien co do tego (Oliviera. Ma dziwny akcent, pewnie udawany.

Podejrzewam, że jest z jakiegoś miejsca w Kansas.

Jeff zacisnął mocno powieki. Częściowo by ochronić oczy przed deszczem, który zaczął teraz prawie poziomo, jednak w głównej mierze po to, żeby stłumić ból.

- W tym, co powiedziałaś, jest tyle błędów, że rozboleła mnie głowa. Poza tym to chyba Peter O'Toole jest autorem tego żartu o zadymionych pomieszczeniach. A jeśli dobrze pamiętam, mówił o „połowie kwarty”, a nie o „kuflu piwa”.

- Hm, tak, to by pasowało. To chyba dlatego tak długo wytrzymał z Elizabeth Taylor. Pewnie jest trochę zbyt zwalista, ale tak jak on jest Angielką. Albo może oboje są Walijczykami?

Jeff stłumił jęk. Zaczynał już coś odburkiwać, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i zobaczył jednego z rybaków, którzy zgodzili się im towarzyszyć w tej szaleńczej eskapadzie.

- Popchniemy już, ha? - spytał nerwowo mężczyzna i wskazał gestem na minę. Jeff nie dziwił się jego reakcji. Czterdzieści pięć kilogramów czarnego prochu w odległości metra od ciebie może sprawić, że staniesz się nerwowy. Duńczycy powinni jeszcze bardziej się stresować, gdyż mina była zdalnie odpalana.

„To dlatego, że on nie rozumie, jak to działa. Ja rozumiem, więc boję K dużo bardziej”. Poczuł, że strasznie go kusi, żeby rozkazać odsunąć minę na maksymalną odległość, ale powstrzymał się. Ten metr czy dwa więcej niewiele by pomogły w razie przypadkowego wybuchu - przynajmniej Jeffo-VI i Jimmy'emu, którzy stali na dziobie łodzi. A opuszczanie teraz miny

Wody, gdy nie wiedzieli, gdzie znajduje się ich cel, byłoby po prostu Słupie.

kręcił stanowczo głową.

"Musimy poczekać, aż... - Przez chwilę szukał słów, żeby określić >atak pozorowany". Nie trwało to długo - tak specjalistycznego zwrotu 1116 było w holendersko-niemieckiej mieszance, którą się posługiwał.

- Inni marynarze. - Wskazał w ciemności miejsce, gdzie powinien "znajdować port. - Musimy ich czekać.

Holenderski marynarz skrzywił się, ale nie naciskał i szybko odszedł do wioślarzy. Jeff podejrzewał, że wysłali go jako emisariusza - załoga łodzi składała się z ochotników: kilku rybaków kipiących gniewem, gdy niszczone ich źródło utrzymania, oraz najodważniejszych praktykantów którzy przyłączyli się do komitetu korespondencyjnego założonego przez Gretchen w Amsterdamie kilkanaście dni wcześniej.

- A teraz jeszcze to - mruknął Jeff, zdejmując okulary i starając się osuszyć (a przynajmniej rozmasować wodę w inne kształty), zanim założył je z powrotem na nos. - W książkach historycznych świrusy uczestniczące w tej akcji mówiły przynajmniej tym samym językiem.

Przez ciało Jimmy'ego przeszedł dreszcz; lejące się z nieba strugi były przeraźliwie zimne.

- Nikt inny nie chciał. Ci zgłosili się na ochotnika, czego nie można powiedzieć o tych dupkach ze straży obywatelskiej.

na

kroplach

Jeff nie odezwał się. Prawdę mówiąc, Jimmy niesprawiedliwie oceniał straż obywatelską, przynajmniej jeśli chodzi o samych jej członków. Problem polegał na tym, że oficerowie straży byli rekrutowani głównie z mieszczaństwa i majstrów, którzy nie rwali się do niedorzecznych planów. „Pewnie dlatego w ogóle udało im się wzbogacić. To nie są głupcy”. Jedynymi przedstawicielami władzy, których udało się Jeffowi przekonać do przyłączenia się do akcji, było dwóch kapitanów holenderskiej marynarki wojennej - a raczej tego, co z niej pozostało. Ci dwaj nie byli nawet prawdziwymi oficerami, gdyż służyli na statkach handlowych, jednym z niewielu, którym udało się uciec z pogromu pod Dunkierką. Prawdę mówiąc, Jeff nie lubił żadnego z nich; byli nieprzyjemnymi, wręcz wybuchowymi ludźmi, jednak w obecnych okolicznościach ich choleryczny temperament obrócił się przeciw całkiem przydatne.

Nagle zobaczył po lewej błyski światła odbijające się w

"b" * —J- r- J *

jego okularach. Chwilę potem rozległ się dudniący odgłos ognia armatniego, stłumiony częściowo przez deszcz, ale Jeff od razu rozpoznał, że armaty, z których strzelano, nie są większe niż dziewięcioletki. To mu wystarczyło.

Hiszpańska flota w Zuiderzee była zakotwiczona wystarczająco daleko od Amsterdamu, żeby być poza zasięgiem jego ciężkiej artylerii, j* wystarczająco blisko, żeby zablokować port. W takich okolicznościach

Usieli uważać na wypadki wroga. Sądząc po tym, co Jeff zaobserwował 0J momentu przybycia floty, Hiszpanie wysyłali na patrol cztery łodzie, które służyły jako straż.

, Za wabik miały posłużyć dwa małe holenderskie okręty wojenne, które z zadaniem było znaleźć się na tyle blisko, żeby mieć zasięg, wystrzelić salwę burtową, a potem szybko oddalić się od niebezpieczeństwa. Po odciągnięciu łodzi patrolowych albo przynajmniej skierowaniu ich uwagi gdzie indziej miało nastąpić prawdziwe uderzenie.

„Prawdziwe uderzenie... Tak... Idiotyczny plan wymyślony przez dwóch amerykańskich dzieciaków zafascynowanych książkami o wojnie secesyjnej”.

Nie miał jednak czasu na dalsze sarkastyczne myśli, gdyż Jimmy zaczął energicznie szarpać go za ramię. I - Patrz! Widzisz?

Jeff zmrużył oczy, starając się dostrzec, co wskazuje palec Jimmy'ego. Jego przyjaciel miał lepszy wzrok niż Jeff w okularach (teraz zresztą całkiem mokrych).

Nic nie widać. A potem... Na początku była to po prostu gęstsza ciemność, ale dużo szybciej, niżby się spodziewał, zastygła w pewien kształt.

- Mamy go! To hiszpański galeon, jak nic. I to spory. Okej, Jimmy, zaczynamy. Zbierz chłopaków.

Jimmy zaczął gestykulować. Cztery mężczyźni zostawili wiosła i zbliżyli się do młodych Amerykanów. Szybko, ale ostrożnie wysunęli na maksymalną odległość potężny wysięgnik, do którego przymocowany był ładunek wybuchowy. Ci, którzy pozostali na miejscach, zaczęli wiosłować. Robili to powoli - mimo że wiosła były owinięte szmatami, uważali, żeby nie wydać żadnego odgłosu - ale wkładali w to wszystkie siły. Łódź ruszyła do przodu.

Jimmy obserwował przyjaciela, czekając na sygnał. Jeff starał się oszacować odległość dzielącą ich od statku wroga, żeby stwierdzić, w którym miejscu najlepiej opuścić minę do wody. Za wcześnie - i łódź zwolniłaby wtedy, kiedy prędkość jest najważniejsza. Za późno - i plusk może alarmować strażników znajdujących się na pokładzie. Naprawdę za późno - i w wszystko pójdzie na marne. Żeby mina wykonała swoje zadanie, musi wybuchnąć pod wodą.

Przez całą noc i dni poprzedzające rozpoczęcie akcji Jeff... zastanawiał się. Tak naprawdę to miał ogromną nadzieję. Nadzieję, że zdarzy się któraś do tej pory przytrafiła mu się tylko trzy razy w życiu.

Po raz pierwszy, kiedy miał szesnaście lat. Jechał samochodem ojca po dwupasmówce w górach i nagle zobaczył, że po jego pasie nadjeżdża z przeciwka samochód. Jakiś idiota próbował wyprzedzić ciężarówkę na zakręcie. Tego dnia Jeff uratował życie swoje i swojej matki, kiedy spokojnie i pewnie, bez śladu paniki skierował samochód na pobocze i uniknął czołowego zderzenia.

Po raz drugi, kiedy wyjechał z innego zakrętu i zauważył rozciągniętą na drodze Becky Stearns, a wokół niej chorwackich kawalerzystów szykujących się, żeby ją zabić. I znowu bez udziału jego woli opadła lodowa zasłona. Prawie od niechcenia odstawił motor i zabił ich wszystkich, niczego w tym momencie nie czując, a jedynie chłodno kalkulując.

Później tego samego dnia zdarzyło się to ponownie, kiedy inna grupa chorwackich kawalerzystów wpadła do sali gimnastycznej, w której zbarykadowała się część

Amerykanów. Jeff bez mrugnięcia okiem zastrzeżył kilku z nich. Nic nie poczuł, kiedy na jego oczach zaszlachtowano pana Trouta. Nie pamiętał nawet, żeby coś czuł, gdy sam został powalony na ziemię cięciem szabli. Pamiętał za to lekkie zdziwienie, gdy głowa Chorwata, który miał go właśnie dobić, została rozcięta na pół przez szablę Gustawa Adolfa.

Jeff już wiedział, że radzi sobie w walce. Jednak teraz, kucając na dziobie łodzi w zalewaną deszczem noc, zastanawiał się, czy równie dobrze poradzi sobie z niebezpieczeństwem, które nie spadnie na niego z zaskoczenia. Kiedy po wielu dniach przygotowań strach i obawa mogły powoli, równomiernie opanować każdy nerw w jego ciele.

Skończył rozważać tę kwestię i powiedział spokojnie i chłodno:

- Dobra, to już. Teraz, Jimmy.

Mina opadła do wody, a Jeff patrzył, jak znika w Zuiderzee. Kiedy upewnił się, że głowica znajduje się na wymaganej głębokości co najmniej półtora metra pod powierzchnią wody, dodał spokojnie i pewnie:

- Wracaj, Jimmy. Ja się nią dalej zajmę.

Jimmy zaczął protestować, ale Jeff tylko pokręcił głową.

- Nie bądź głupi, do jej odpalenia wystarczy jedna osoba. Nie masz pojęcia, co się stanie z tym wysięgnikiem. Może zawrócić i przebić cię jak włócznia.

Oczywiście to samo dotyczyło jego, ale głos Jeffa był tak spokojny i pewny, że Jimmy już nie oponował. Skinął tylko głową, szepnął „po* dzenia” i pobiegł do wiosłarzy.

Ł

Jeff kucnął na dziobie łodzi, jak najdalej od wysięgnika przytrzymu-pegó minę, ale mimo to ciągle był w stanie zobaczyć to, co trzeba, hiszpański okręt był teraz bardzo blisko, praktycznie majaczył nad nim, ^glc że nawet w takich ciemnościach mógł dostrzec, że mina uderzy pod fezą-

1 „Idealnie”.

\ Byli już bardzo blisko. Mimo to nie słychać było żadnych ostrzegawczych krzyków.

Jimmy miał rację. W tę paskudną noc hiszpańscy strażnicy będą się starali znaleźć jakieś schronienie przed deszczem. Oczywiście dotyczyło to tej garstki, która nie stała teraz przy balustradach po drugiej stronie statku i nie oglądała wybuchających w oddali fajerków. Zamknął oczy i schylił głowę - nie było żadnych wątpliwości, że mina trafi. Trzeba było tylko odpalić ładunek w odpowiednim momencie, a do tego i tak nie potrzebował oczu (co się szczęśliwie złożyło, biorąc pod uwagę stan jego okularów). więc równie dobrze mógł chronić głowę przed deszczem. Teraz liczył się jego zmysł dotyku i słuch. Całym umysłem skupił się właśnie na tym. Na wstrząsie, który mu oznajmi, że ładunek wreszcie dotarł do celu.

Trzymał mocno w rękę prosty detonator złożony ze sznurka owiniętego wokół kija. Jedno porządne, szybkie pociągnięcie - naprawdę szybkie -i prowizoryczna iglica stworzona z pomocą amsterdamskiego zegarmistrza odpali nabój karabinowy mocno przytwierdzony do miny na końcu Wysięgnika.

W jego umyśle wyświetliło się coś na kształt schematu: pociągniesz za wcześniej - większość mocy wybuchu się zmarnuje; za późno, gdy mina już uderzy w kadłub i się odbije - stanie się to samo lub, co gorsza, wysięgnik może się złamać, a mina opaść na dno. Jeff nie sądził, żeby to było Prawdopodobne - to był potężny kawał drewna - jednak...

Ledwo zdążył się zorientować, że lodowa zasłona opadła, że już nigdy nie będzie musiał w siebie wątpić - przynajmniej w tej kwestii - kiedy Poczul wstrząs.

Jego ramię odskoczyło do tyłu, a opanowanie przelożyło się na szybkość ruchu.

Kiedy było już po wszystkim, nie pamiętał, żeby usłyszał coś, co choć °drobinę przypominałoby wybuch. Poczul tylko nagle, że powstał Lewia-^ i zaczął wściekle ryczeć, pragnąc pochłonąć w całości żalostną lupin-która zapędziła się przypadkiem na jego potężny nierówny grzbiet.

Spojrzał do góry - prawie pionowo, gdyż kopuła wody wypchnęła łóy pod takim kątem - ciekaw, jakiej długości są kły Lewiatana. Tak napraw, dę nigdy nie wierzył obrazkowi, który widział kiedyś w książce.

* * *

Później Jimmy powiedział mu, że wysięgnik przeleciał nad ich głowa-mi. Twierdził, że nie było żadnego niebezpieczeństwa.

Podobno wylądował gdzieś w Brunszwiku. Jimmy upierał się również przy tym, że Katherine Hepburn na pewno była Angielką, gdyż w filmie „Afrykańska królowa” udało jej się wyglądać dostojnie, mimo że była przemoczona do suchej nitki.

Czego na pewno nie można było powiedzieć o dwóch niechlujnie wyglądających Amerykanach oraz grupie jeszcze bardziej niedbale wyglądających holenderskich rybaków i praktykantów, którzy desperacko starali się wybrać z łodzi wodę i uniknąć czyhających w ciemności hiszpańskich okrętów wojennych.

Jeff zdał sobie później sprawę, że właśnie to była najbardziej niebezpieczna część ich eskapady. Jednak w trakcie ucieczki w ogóle się nie bał, i to nie dlatego, że miał coś nie tak z systemem nerwowym, ale po prostu dlatego, że był zbyt rozdrażniony.

- To następna rzecz, o której nie wspominają w książkach - mruknął, wylewając kolejne wiadro morskiej wody za burtę. - To wszystko... pie-przony burdel.

Jimmy podszedł do sprawy bardziej filozoficznie. -To przebija „Hunleya”31!

Kiedy wrócili, Gretchen ciągle czekała na nabrzeżu razem z kilkoma innymi kobietami, których mężowie i synowie uczestniczyli w tym szaleństwie. Z oczywistych względów Jeff trzymał całą akcję we względnej tajemnicy, nie uznał nawet za stosowne powiadomić o niej władz Amsterdamu, a teraz zaczął się niepokoić, jak mogą zareagować.

Jego niepokój nie trwał długo - Gretchen przywarła do niego całym ciałem i ustami, jej oddech stał się ciężki, a to wystarczyło, żeby zniknęły wszelkie inne uczucia poza miłością i pożądaniem.

- Tak bardzo się bałam - wyszeptła mu na ucho. - Byłam pewna, że zginiesz.

- Też się bałam - przyznał - aż do samego końca. Ale nikomu o ty”1 nie mów, zrujnowałoby to moją reputację świra.

- Głupol - mruknęła i jej usta znów stały się ochocze. - Dla mnie ani dla dzieci nigdy nie byłeś świrem. A co innego się liczy?

Zgodził się z nią - oczywiście niewerbalnie. Gdy Gretchen miała do-nastrój, jej pocałunki uniemożliwiały rozmowę.

* * *

Następnego dnia, kiedy wieści rozniosły się po Amsterdamie, w mieście zawrzało. Od początku oblężenia mieszkańcy miasta byli pogrążeni w ponurej depresji, choć nie rozpaczali - Holendrzy przez dziesięciolecia przetrwali już wiele oblężeń. Niektóre przegrali, ale większość została rozstrzygnięta na ich korzyść.

Mimo to nie mieli złudzeń, że nawet w przypadku zwycięstwa będą musieli zapłacić ogromną cenę. „Wygranie oblężenia” dla doświadczonych oznacza mniej więcej tyle, co stwierdzenie, że ocalisz życie, a stracisz jedynie nogę”.

Ogłoszenie sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi poprawiło odrobinę nastrój, ale niestety tylko odrobinę. Prawdę mówiąc, bardziej wzbudziło ciekawość. Bajki o Amerykanach rozeszły się w Europie już tak dawno, że teraz większość ludzi rzeczywiście uważała, że to bajki. O Stanach Zjednoczonych wiedzano tylko tyle, że to niewielki kraj i że nie jest wystarczająco blisko, żeby udzielić natychmiastowej pomocy. I Zmieniło się to z dnia na dzień. Na dnie Zuiderzee leżał hiszpański okręt wojenny - siła wybuchu rozerwała delikatne drewno, z którego zbudowany był kadłub statku. Większość załogi przeżyła, ale Hiszpanie przestali ratować statek przed zatonięciem, gdy na pokładzie pojawili się do-iadzeni żeglarze i oszacowali rozmiary dziury, którą spowodował jemiczy wybuch.

Radość mieszkańców miasta nie opierała się jednak na wojskowych iczeniach - przecież Hiszpanie mieli jeszcze wiele okrętów wojen-nych. Blokująca ich nieprzyjacielska flota wycofała się na większą od-ległość od miasta, co umożliwiło kilka prób przemytu, ale nie było ich wiele, a do tego Hiszpanie podwoili liczbę łodzi wysyłanych na nocne Patrole. Nie miało to jednak znaczenia. Zadano cios staremu wrogowi, który Wydawał się nie do pokonania. A fakt, że stało się to pod dowództwem niewielkiej delegacji Stanów Zjednoczonych, dodał temu sojuszowi bla-którego nie miał dzień wcześniej. Ipokonał tego Jeff Higgins. Przed zapadnięciem zmroku stał się w Am-rdamie najbardziej znaną osobistością po księciu orańskim, a niewy-zone, że nawet bardziej popularną. Następnego ranka początkującym Jfnitetom korespondencyjnym przybyły dziesiątki nowych członków. Po południu tego październikowego dnia Gretchen wygłosiła pierws publiczną przemową na jednym z miejskich placów. Setki ludzi, któ

'rzy

pojawił się tam, żeby wysłuchać jej przemówienia, przyszło po to, żeby zobaczyć żonę Higginsa, sławnego zabójcy statków. Jednak pod koniec słuchali już Gretchen Richter. Następnego ranka w komitetach korespondencyjnych znowu przybyło chętnych, a wieczorem Gretchen zaczęła szukać odpowiedniego budyn-ku na amsterdamską siedzibę „Łuków Wolności”.

Dzień po udanej akcji nastął czas na wiwaty. Ludność Amsterdamu wylała się na ulice, aby świętować - nawet pogoda się poprawiła. Część ludzi weszła na mury miasta, żeby drażnić hiszpańskich żołnierzy siedzących w okopach.

Na stanowcze polecenie Gretchen Jeff i Jimmy - oraz wszyscy człon-kowie delegacji Stanów Zjednoczonych łącznie z Rebeką - poruszali się po mieście w otoczeniu członków komitetu korespondencyjnego. Tłumy napotykające te niewielkie grupy dziko wiwatowały, uśmiechali się na-wet holenderscy kanonierzy znajdujący się na murach.

Jeff zwrócił uwagę, że jeden z ich oficerów jest nieco ponury - pewnie dlatego, że jego działa nie były aż tak oklaskiwane. A może dlatego, że jego rodzina pochodziła z arystokracji (zwanej przez Holendrów ridder-schap) i zaczynał podejrzewać, że hiszpański statek nie był ostatnią rze-czą, która zatonie.

Była radość, była też tragedia. Tłum głupio ryzykował, drażniąc Hisz-panów, którzy również mieli sporo doświadczenia w sztuce oblężniczej. Odpowiedzieli więc także drwinami - wlatującymi do miasta sześćdziesięciosięcioceterofuntowymi żelaznymi kulami. Większość kul uszkodziła domy i magazyny, ale kilka poleciało w tłum.

Jedna z nich trafiła w żydowską rodzinę, która w czasie wielu innych wojen schroniłaby się w getcie, natomiast tutaj, w Amsterdamie, jej człon-kowie czuli się - przynajmniej do pewnego stopnia - częścią otaczające-go ich świata. A ojciec tej rodziny, zupełnie jak oficer artylerii, miał wra-żenie, że świat może się zmienić.

Zabrał więc żonę i dziecko na paradę. Tak się pechowo złożyło, że hiszpańska kula uderzyła z impetem o bruk w chwili, kiedy Rebeka wraz ze swoją małą świtą przechodziła obok. Czując zbliżające się nieszczę-ście, mężczyzna w ostatniej chwili chwycił żonę i próbował osłonie J<j własnym ciałem. Jednak ludzkie ciało to pożałowania godna osłona p sześćdziesięciosięcioceterofuntową żelazną kulą - rozdarła ich na pół, a mowę rzuciła na ziemię. Rebeka - która kuliła się pod ścianą, dokąd zaciągnął ją doświadczony Knrich, gdy tylko usłyszał zbliżający się wystrzał - była naocznym świad-tem całej tej sceny. Jej twarz zbladła na parę chwil w wyniku doznanego -ku, rozpaczliwie usiłowała zapanować nad torsjami - wszędzie, nawet Da ścianie, pod którą się schroniła, widać było rozbryzgujące się krew i wnętrzności.

Uspokoił ją dopiero widok niemowlęcia - chłopcykowi nic się nie stało. Ciało ojca nie ocaliło matki, ale złagodziło upadek dziecka. Leżało pokryte krwią na zakrwawionym bruku i kwiliło, protestując wobec świata.

Nie myśląc, co robi, Rebeka wyskoczyła ze schronienia, szybko chwyciła chłopca i schowała się z powrotem.

- Zwariowałaś?! - ryknął Heinrich, ciągnąc ją na ziemię. - Powinnaś była go tam zostawić.

Wpatrywała się w niego, ściskając małe zakrwawione ciało. Bezdusznosć Heinricha przeraziła ją tak samo jak masakra.

Najemnik spojrzał na nią gniewnie. ■pNie na zawsze, cholera. Mogłaś poczekać i podnieść go, jak już prześtaną strzelać. - Wzruszył lekko ramionami. - Szanse, żeby kolejna kula trafiła w tak mały cel, były niewielkie. Co z tego, że troszkę pokrzyczy ze strachu? Na pewno nie będzie tego robił po raz ostatni, jeśli przeżyje na tym przeklętym świecie.

Kiedy Heinrich upewnił się, że ogień ustał, natychmiast podniósł się, żeby dzielić radość tłumu. Rebeka nadal kucała pod ścianą. Mimo że nie potrzebowała już osłony przed armatami, ciągle rozpaczliwie potrzebowała osłony przed światem.

■^-Nie martw się - wyszeptala. - Zaopiekuję się tobą, obiecuję.

Chłopiec wydawał się uspokajać. Rebeka zaczęła go wycierać, używając do tego własnej sukienki, którą i tak trzeba było dokładnie wyprać.

Jakiś czas później znaleźli ją tam Jeff i Jimmy. Widok jej poszarzałej ^arzy i sieroty, którą tuliła do piersi, pozbawił ich samozadowolenia wo-jowników.

-O cholera - rzekł Jimmy i odwrócił wzrok, rozgoryczony. Spojrzenie Jeffa nie było rozgoryczone, a posępne. On nie odwrócił Wzroku.

- Następnym razem - powiedział cicho, prawie sycząc - lepiej, żeby-Smy mieli prawdziwe torpedy.

•Kozhstał 43

- Bardzo się cieszę, że tu jesteś, Jesse - znaczy się, panie pułkowniku. Eddie poprawił się szybko, ale nie na tyle szybko, żeby się nie zaru-mienić.

- Nic się nie stało, kapitanie - zapewnił go poważnie Jesse. - Przypo-minam panu, że marynarka wojenna ma tu, w Wismarze, zwierzchnictwo nad pozostałymi służbami. Dla mnie to ma sens. Siły powietrzne - takie jakie są i z tą liczbą członków - mogą teraz działać jedynie przy dobrej pogodzie. Wasze jednostki naziemne będą miały dużo większe możliwości działania przez całą dobę, więc uważam, że powierzenie głównego dowództwa oficerowi marynarki wojennej jest jak najbardziej rozsądne.

- Może tobie się to wydaje rozsądne - rzekł Eddie, krzywiąc się - ale ja za cholere nie czuję się jak głównodowodzący!
 - To przyjdzie z czasem - zapewnił go Jesse. - A poza tym obawiam się, że tak już musi być.
 - W grach zawsze było łatwiej - mruknął Eddie tak cicho, że Jesse zdecydował, że puści to mimo uszu.
 - Skoro już tu jestem, i tym razem raczej na dobre - rzekł zamiast tego
 - w czym mogę pomóc?
 - Larry właśnie otrzymał wiadomości z Magdeburga. Duńczycy wysadzają oddziały w Zatoce Lubeckiej.
 - Rozumiem. - Jesse zdziwił się, że jego głos brzmi tak spokojnie. Choć właściwie chyba się nie zdziwił, gdyż z pewnych względów ta wiadomość przyniosła mu ulgę. Przybycie Duńczyków na pewno nie było zaskoczeniem i przynajmniej kończyło przeciągające się wyczekiwanie.
- Niestety oznaczało to również, że wrogie oddziały znajdują się na lądzie nie dalej niż pięćdziesiąt kilometrów od Wismaru. I - Cóż - rzekł po chwili. - A co na to pułkownik Holtzmiiller?
- Niezbyt wiele - odparł Eddie z krzywym uśmiechem. - Według najnowszych raportów, generał Aderkas ciągle znajduje się około czterech dni drogi od Wismaru. Larry przekazał pułkownikowi Holtzmiillerowi tę samą depezę, a on od razu wyruszył sprawdzić swe oddziały.
 - A kapitan Stecher?
 - Już go ostrzegłem. - Jesse skinął głową. Joachim Stecher, niemiecki luteranin, był szyprem i właścicielem aż sześciu niewielkich łodzi rybackich wypływających z Wismaru i Rostocka. Eddie powierzył mu drogie CB radio i przeszkolonego w jego obsłudze urodzonego w Niemczech żołnierza marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. W tym momencie Stecher znajdował się gdzieś na Zatoce Wismarskiej, starając się wzbudzać podejrzenia i wypatrując oznak zbliżania się duńskiej floty. Szanse na to, że wypatrzy coś w środku deszczowej jesiennej nocy, nie były zbyt wielkie, ale w czasach, kiedy nie wynaleziono jeszcze radarów, najeźdźcze floty potrzebowały przynajmniej minimalnej ilości światła dziennego do próby wysadzenia na ląd swych oddziałów. A jeśli tylko jego łódź będzie próbować wyminąć Duńczyków i popłynąć w kierunku wybrzeża, prawdopodobnie zostawiają w spokoju, gdyż nie mogą wiedzieć, że na jej pokładzie znajduje się radio.
 - Teraz najbardziej interesuje mnie to - powiedział po chwili Eddie - jakie jest prawdopodobieństwo, że wylecicie jutro razem z Hansem, pułkowniku.
 - To pytanie za sto punktów - odparł Jesse z uśmiechem nie wyrażającym rozbawienia.
 - W tej chwili powiedziałbym, że mamy trochę więcej niż pięćdziesiąt procent szans. Sądząc po słabnącym deszczu, front atmosferyczny chyba już nas minął. A jak szedłem tutaj z lotniska, wyglądało, jakby pokrywa chmur zanikała. Oczywiście o tej porze roku na Bałtyku jedyną pewną rzeczą jest to, że nie można być pewnym pogody, cholera, oddałbym wszystko za porządną służbę meteorologiczną!
 - ~ W zupełności się z tobą zgadzam - powiedział ze współczuciem Eddie. - Ale prawdę mówiąc, „trochę więcej niż pięćdziesiąt procent” to „tak więcej, niż się spodziewałem. Pochylił się do przodu i zaczął się przyglądać rozciągniętej na stole mapie w dużej skali, przedstawiającej Wismar i okolice. Badał ją tak uważnie, że nikt by nie pomyślał, że tak naprawdę nawet jej nie zauważa
 - Co planujesz zrobić? - spytał cicho Jesse.
 - Hm? - Eddie uniósł szybko głowę i otrząsnął się. - Kapitan Stecher ma przez noc zostać w zasięgu anteny, więc jeśli coś zauważy, powinniśmy dostać od niego wiadomość.

Jeśli się odezwie, możemy z Larrym spróbować zaatakować w nocy ze sprzętem noktowizyjnym. - Przerwał, a Jesse skinieniem głowy potwierdził, że rozumie. Dzięki obecności wielu myśliwych w Grantville i okolicach armia weszła w posiadanie takiego sprzętu -tak się złożyło, że mieli trzynaście par lornetek noktowizyjnych z nadwyżek rosyjskiej armii i cztery karabinowe celowniki optyczne. Za jakiś czas mogą się pojawić problemy z bateriami, ale teraz ten sprzęt dawał im wprawdzie ograniczone, ale potencjalnie nieocenione możliwości walki.

-A jeśli Stecher niczego nie wypatrzy?

- W taki wypadku sami będziemy musieli ich poszukać. Albo to zrobimy, albo będziemy tu siedzieć i na nich czekać, ale admirałowi raczej nie o to chodziło, kiedy nas tu wysyłał. Dlatego mam nadzieję, że jutro będziecie mogli wylecieć.

- Zrozumiałem. - Teraz Jesse przybliżył się do mapy i zmarszczył czoło. - W najgorszym razie będziemy w stanie wlecieć nieco poniżej poziomu chmur i krążyć ponad miastem. To zwiększyłoby zasięg Stachera

1 mógłbyś go posłać dalej, a on ciągle byłby w zasięgu radiostacji w samolocie. My zaś moglibyśmy szybko wrócić na ziemię, gdyby pogoda znowu się pogorszyła.

- Oczywiście - ciągnął dalej - jego pole widzenia będzie ograniczone. Nie sędzę, żeby Duńczykom udało się przeprowadzić całą flotę tak, żeby ich nie spostrzegł, ale nie jest to zupełnie niemożliwe. W zależności od tego, ile tak naprawdę będzie widział, być może będziemy musieli wysłać jeden lub oba samoloty na zwiad. - Zatoczył ręką łuk od Zatoki Wismarskiej do otwartych wód Bałtyku. - Oczywiście byłbym dużo spokojniejszy, gdyby się wypogodziło, a nie tylko poprawiło. Ale jeśli w ogóle uda nam się wznieść, i tak będziemy widzieli więcej niż wy z poziomu morza - A poza tym oba samoloty są wyposażone w kamery wideo, więc jeśli coś dostrzeżemy, będziemy w stanie dostarczyć wam całkiem porządny materiał zwiadowczy.

-Aco z rakietami? - spytał Eddie zaskakująco bezbarwnym sem. Zmarszczki na czole Jesse'ego pogłębiły się. Rozumiał, że trzeba

Aykorzystać przeciwko Duńczykom wszelką możliwą broń, a nie było żadnych technicznych przeciwwskazań do umocowania pod każdym ze skrzydeł samolotu kilku rakiet. Problem polegał na tym, że według Jesse'ego. broń o tak niewielkim zasięgu i tak niedokładna nie spowoduje „wroga zbyt wielu zniszczeń, natomiast jej waga z pewnością zmniejszy margines bezpieczeństwa samolotu. Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie obuchu przy złym lądowaniu... lub starcie.

Pomyślał jednak również o tym, że ewentualne zniszczenia nie mogłyby się równać z wpływem na morale wroga.

W porządku - rzekł niechętnie i westchnął. Chyba i tak nie było tu zbyt wiele miejsca na dyskusję. Zwłaszcza po tym, jak Greg Ferrara przytrzymał do samolotów podwieszenia.

* * *

Mike spojrział na stertę sprzętu, który Harry LeTerts przywiózł do Magdeburga i który teraz leżał na dziedzińcu siedziby marynarki wojennej, gdzie go dobrze osłonięto i postawiono straż. Pokręcił głową, patrząc z zakłopotaniem na tę dziwną zbieraninę, samego Harry'ego i ledwie skrywaną radość, z jaką on i kilku jego współników złożyli to wszystko razem.

-Dwa silniki do motorówek?

Harry uśmiechnął się szeroko. Nie bądź sknerą, Mike. Pamiętaj, że niesiemy pomoc. Mike przeniósł wzrok na imponujący skład broni różnego rodzaju, którą Harry również przywiózł z Grantville. Niektóre egzemplarze...

- Co to, do cholery, jest? - spytał, wskazując palcem.

Szeroki uśmiech Harry'ego wydawał się przyrośnięty do jego twarzy. Pokiwał głową w kierunku stojącego obok niego niemieckiego żołnierza. Br To Gerd wymyślił. Za nic w świecie nie potrafi strzelać, chyba że z bliska, gdy właściwie nie ma szans nie trafić... Uśmiech nie zniknął z twarzy Harry'ego. Mike nie naciskał. Z prywatnych źródeł wiedział o osobistej zemście, jakiej dokonał Gerd na kilku najemnikach i illy'ego niedługo po przybyciu do Grantville. Wtedy polipa udawała, że nic nie widzi. Po pierwsze, zabójstwa miały miejsce poza ich jurysdykcją. Po drugie...

Niektórych ludzi po prostu trzeba było zabić - Harry i Gerd zgadzali 'C co do tego. a i Mike nie mógł z czystym sumieniem powiedzieć, że się n'e zgadza. Na pewno nie tego wieczora, kiedy czekał w Magdeburgu, Podczas gdy jego żona znajdowała się w oblężonym przez Hiszpanów

Amsterdamie, a kilku młodych ludzi, których bardzo cenił, miało niedh go stawić czoła prawdziwej wojnie. Harry przerwał niezręczną ciszę.

- ...jest jednak geniuszem strzelania z kuszy, więc stwierdziliśmy, że zbu dujemy taki... Hm, jak by to nazwać? Niech będzie „moździerz dla ubogich" A najlepsze jest to, że mamy do tego kilka różnych rodzajów amunicji.

Przez następną minutę Harry radośnie wyjaśniał, jakie wariacje na temat zamętu stworzy w przyszłości. Fuga chaosu skomponowana przez urodzonego w siedemnastym wieku młodego niemieckiego weterana armii Tilly'ego i zaaranżowana na orkiestrę przez młodego twardego ze wzgórz Wirginii Zachodniej.

- Waszym zadaniem jest jedynie przedarcie się do Amsterdamu - za-protestował symbolicznie Mike.

Harry pokręcił stanowczo głową.

- Mike, pozostań przy polityce. Nie myślisz przyszłościowo, tak jak musimy to robić my, ludzie w rodzaju tajnych agentów. A co się stanie, jak już Anne dotrze z całym sprzętem do Amsterdamu? Ha?

Tak się złożyło, że Mike też o tym myślał, ale z nikim się tymi myślami nie dzielił, gdyż były zbyt szalone i nieokreślone. Patrzył to na Harry'ego, to na Gerda.

- Następna będzie Anglia, to pewne - uznał Harry. Gerd potwierdził stanowczym tonem.
- Na pewno.

Uśmiech Harry'ego stał się węższy i bardziej okrutny.

- Będą trzymać naszych w zamknięciu, tak? Darryla też? Nie ma mowy. -Zaczniemy od Szkocji - dodał Gerd. - Nie jesteśmy nierozważni, tylko odważni. Przydałaby się Julie ze swym karabinem, a i Alex Mackay w ostateczności też potrafi być nieprzyjemny. - Wypiął do przodu klatkę piersiową. - Też nie umie strzelać. Ci ludzie z naszych czasów! Waleczni, dzielni, patrzą śmierci prosto w oczy.

Mike nie wiedział, czy się śmiać, czy przewracać oczyma - zrobił więc i jedno, i drugie.

- Tylko mi nie działać bez rozkazu! - warknął. Spojrzał na Harry'ego najsurowiej jak umiał. - Jesteś teraz żołnierzem, i to prawdziwym. Nie chcę nawet słyszeć o waszych szalonych dziecinnych wybrykach!

I Harry, i Gerd wyglądali na rozgoryczonych.

- No pewnie! - zachnął się pierwszy z nich. - Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby ludzie w stylu Jamesa Bonda nie słuchali rozkazów?

Mike przypomniał sobie oglądane w przeszłości filmy i wcale nie był i pewny, ale...

Nie miał nikogo lepszego niż oni i nie żałował tego. Był pewny, że jeśli jest ktoś, kto mógłby wnieść życie do Amsterdamu i sprowadzić śmierć Jo Londynu, to właśnie Harry Lefferts ze swą starannie dobraną, siejącą zniszczenie ekipą. Szczególnie że Darryl, Tom Simpson i Mackayowie czekali na drugim krańcu Wielkiej Brytanii.

Ł-No dobrze - mruknął. - Mam nadzieję, że oglądaliście uważnie wszystkie filmy.

* * *

p Po zachodzie słońca Harry i Gerd zaprosili Mike'a na drinka do znajdującej się niedaleko gospody, która stała się nieoficjalną knajpą żołnierzy marynarki wojennej i ich gorących zwolenników - bojowników komitetów. Mike przez chwilę się wahał, ale w końcu zgodził się, gdyż stwierdził, że dopóki nie otrzyma wiadomości o nieuchronnej bitwie pod Wismarem, i tak nic nie może zrobić. W drodze do gospody przyszła mu jednak do głowy pewna myśl - wywołał ją widok mijanego właśnie budynku.

■-Poczekajcie chwilę, tylko sprawdzę, czy admirał jeszcze tu jest. Może się do nas przyłączy. Gerd, który sądził o żołnierzach marynarki wojennej, a szczególnie o jej pieprzonym admirał, to, co każdy żołnierz piechoty, przybrał wojowniczą minę. Natomiast Harry skrzywił się, widząc reakcję sierżanta, i skinął głową.

i - Prosty sukinsyn - skomentował. - Nie ma na to rady, to Szkop. Nie-wykształcony. Za to ja... - Z dumą poklepał się po piersi. - Ja sporo czytałem, więc znam swoją historię!

Wyraz twarzy Mike'a musiał być bardzo sceptyczny, bo Harry się na-dąsał.

BEJ, to prawda! Hm... no, nie do końca. Ale znam kilka dobrych cytatów.

■- Na przykład?

l - Słynną przemowę, którą wygłosił Franklin Roosevelt po Pearl Harbor. Jak to szło?

„Musimy się trzymać razem, bo w przeciwnym razie ^wiśniemy osobno". Mike wzdrygnął się.

m - Harry, jestem całkowicie pewien, że te słowa wypowiedział Benjamin Franklin.

- Naprawdę? Hm. - Harry wzruszył ramionami. - A co tam, byłem blisko. To ten sam kontynent.

Simpson również się wahał. Jednak tak jak Mike, tylko przez chwila

- Pewnie, czemu nie? Nie robię już nic konkretnego poza kręceniem się w miejscu i czekaniem na jutrzejsze wiadomości. Odrobina alkoholu dobrze mi zrobi.

Kiedy przybyli do gospody i zajęli stolik, Harry zamówił dla siebie i Gerda po piwie. To samo zrobił Mike. Jednak kelnerka nawet nie zdążyła się odwrócić, gdy odezwał się admirał.

- Nie dziś wieczór, Gizelo - rzekł stanowczo, wskazując na Harry'ego i Gerda. - Nie dla tych dwóch panów. Bądź tak miła i przynieś coś z moich specjalnych zapasów. Dla mnie również.

Od razu odeszła w pośpiechu. Widać było, że Simpson był tu tak częstym gościem, że wyrobił sobie autorytet. Oczywiście w przypadku Johna Chandlera Simpсона „często" mogło oznaczać jedynie dwie wizyty.

Harry i Gerd usiłowali nie gapić się na Simpсона. Admirał rzucił na nich okiem i parsknął.

- Proszę! Niedługo wyruszyacie na wymagającą odwagi i śmiałości misję na terytorium wroga. Zwykłe piwo tu nie pasuje.

Kelnerka wróciła szybko, niosąc duży kufel piwa dla Mike'a, trzy mniejsze kubki i butelkę, która nie miała etykiety i zawierała jakiś podejrzanie wyglądający napój.

Harry i Gerd rzeczywiście patrzyli nieufnie na butelkę.

- Nie pytajcie - rozkazał admirał. - Raczej wolelibyście nie wiedzieć. Obawiam się, że to najlepsze, co mogli zrobić w tych okolicznościach. Sądzę jednak, że będzie wam smakowało. Oczywiście jest trochę mocne.

Czy było to zamierzone, czy też nie, ostatni komentarz skłonił Harry'ego i Gerda do podjęcia wyzwania. Kiedy tylko Simpson napełnił kubki, wyciągnęli po nie ręce.

- Proszę, panowie! Do takich rzeczy trzeba odpowiednio podejść. -Simpson chwycił ich kubki i podał im, lekko nimi kołysząc.
- Wstrząśnięte, nie zmieszane. Bardzo proszę.

^xfzòzml 44

- W porządku, mam ich.

Sierżant Elizabeth Buchholz z kompanii A Turyńskich Karabinów przyglądała się ujściu rzeki Trave przez lornetkę noktowizyjną. Razem z resztą niewielkiej grupy była bezpiecznie schowana w mglistej ciemności, ale z łatwością rozróżniała światła kotwiczne duńskich statków znajdujących się na rzece. Zaczumowali wystarczająco daleko, żeby nie dosięgły ich działa z Lubeki, a Gustaw Adolf przezornie nie umieścił w tej okolicy żadnych oddziałów. Chciał bowiem, żeby Duńczycy czuli się jak najbardziej swobodnie.

[Wyglądało na to, że tak właśnie się czują... i że zrobili to, co przewidywał Gustaw. Kilka okrętów wojennych umieścili bliżej miasta, żeby chroniły statki handlowe i transportowe przed wszystkim, co obrońcy Lubeki mogliby próbować przemycić w dół rzeki. Jednak główne siły stacjonowały dalej od miasta. Widać było, że Duńczycy nie są do końca Pewni położenia sił szwedzkiej marynarki wojennej, dlatego umieścili Większość okrętów wojennych w ten sposób, żeby mogły obronić transportowce schowane bezpiecznie przy ujściu rzeki przed nagłym atakiem I Bałtyku.

-Tutaj. Al - powiedziała, podając lornetkę Ałowi Mortonowi. - Do-toze się przypatrz - dodała. ' W przeciwieństwie do żołnierzy, Al nie miał na sobie maskującego naszcza przeciwdeszczowego, ale kombinezon piankowy. Uniósł lornetkę i mruknął coś pod nosem, ssąc miejscową odmianę toffi. Po paru minu tach kiwnął z satysfakcją głową i opuścił lornetkę.

- Mniej więcej to, czego oczekiwaliśmy - mruknął.
- Myślisz, że możecie z Samem spróbować? - spytała Buchholz.

- Żaden problem! - odparł pewnie Al. - I lepiej, żeby nam się udało Skoro Jeff Higgins i Jimmy Andersen mogą zatopić prawdziwy hiszpański galeon za pomocą łodzi rybackiej i prostego ładunku wybuchowego to my wyjdziemy na zupełnych głupków, jeśli nie uda nam się to samo z tym nowoczesnym skomplikowanym sprzętem. Prawdę mówiąc, zamierzam osiągnąć coś więcej.

- Woda jest cholernie zimna, Al. W trakcie odprawy powiedzieli nam że jeśli ktoś zejdzie pod wodę, ma może z dziesięć minut. Potem już po sprawie. Jak wy to nazywacie? - Szukała słowa. Elizabeth mówiła po angielsku płynnie, nawet jeśli chodzi o potoczne słownictwo, ale jej słownictwo techniczne było nieco ograniczone. - Chyba „hipotermia”.

- Ale to dlatego Sam i ja mamy na sobie te śliczne kombinezony piankowe, Liz. Nie martw się. Nic nam się nie stanie, prawda? - Spojrzał na młodszego brata, który odpowiedział błyskiem nieskazitelnie białych zębów.

-A jak - rzucił radośnie. Potem zmarszczył czoło. - Martwi mnie tylko jedna rzecz, Al: nie będziemy mogli używać lamp.

- Hm, nie może być idealnie - odparł filozoficznie Al. Ssał toffi przez kilka chwil, potem odwrócił się do Buchholz. - Wydaje mi się, że najlepiej, jak zanurzymy się gdzieś... tam. - Wskazał miejsce niedaleko brzo-gu rzeki. - Nie wygląda na to, żeby przy brzegu był silny prąd, a to pomo-że, jak będziemy wracać. Umieszczę tam boję świetlną, zanim się zanurzymy.

- Dobrze - zgodziła się Buchholz. - Będziemy wam obstawiać po-wrót. Chciałabym tylko móc się z wami porozumiewać, jak będziecie za-nurzeni.

- Hm - powtórzył Al, wzruszając ramionami. - Jak się nie ma, co się lubi... Przynajmniej mogę się porozumiewać z Samem.

- Dobre i to - przyznała Buchholz, obserwując, jak bracia przywdzie-wają resztę ekwipunku. Ich ruchy emanowały spokojną, płynną i niespiesz-ną precyzją nurków, którzy robili dokładnie to samo już tysiące razy. Buchholz ich oczywiste umiejętności były bardziej niż krzepiące - mogła skoncentrować się na własnych obowiązkach i nie przejmować się r>irn1' Kiedy byli już gotowi i sprawdzili maski, stabilizatory i radia, wysłała czte rech żołnierzy, żeby zabezpieczyli punkt zborny.

No - powiedział lakonicznie Al - To idziemy. Do zobaczenia. , Weszli do rzeki, zanurzyli się i zniknęli.

* * *

[Aage Overgaard wyszedł z nadbudówki rufowej na swym okręcie fla-I gowym i głęboko wciągnął powietrze wilgotnej, chłodnej nocy. Zauwa-żył, że robi się zimno, wręcz przenikliwie zimno jak na wczesny paż-(Jziernik, nawet na wybrzeżu Bałtyku. Uspokoił się jednak, gdyż i tak pozostało jeszcze kilka miesięcy, a to wystarczająco dużo czasu na wy-pelnienie obowiązków, zanim zima zapanuje na dobre. , Podeszedł do relingu i wychylił się, żeby spojrzeć na zakotwiczone trans-transportowce. Szczególną uwagę zwracał na rozrzucone pomiędzy nimi okrę-ty wojenne, zwłaszcza po nawietrznej stronie kotwicowiska, w razie gdy-by wrogom przyszło do głowy zrobić wypad z Lubeki. Cały czas był świadom niebezpieczeństwa ze strony Gustawa Adolfa - szczególnie te-raz, kiedy większość jego oddziałów znajdowała się na lądzie. Działając Z zaskoczenia, kilka dużych łodzi wiosłowych z łatwością mogłoby opa-nować każdy transportowiec, a nawet mniejszy okręt wojenny. To dlatego wystaw il cztery łodzie patrolowe, które poruszały się tam i z powrotem po rzece, szukając śladów właśnie takich działań. i Pomyślał, że wszystko dobrze się układa, i momentalnie skarcił sam siebie w myślach za uleganie takiej chwili samozadowolenia. Zawsze, kiedy człowiek stwierdza, że wszystko świetnie się układa, dzieje się coś |ardzo nieprzyjemnego. Oczywiście to żaden przesąd, ale... BUM!

* Później zdał sobie sprawę, że wybuch w rzeczywistości nie był tak ogłu-szający, jak mu się wydawało. Pierwsze wrażenie spowodowane było kom-pletnym zaskoczeniem oraz wysoką kolumną białej wody i błota, która wzbi-te się w górę. gdy trzydziestoczerodziałowy „Falken” zadarł dziób. Potem tystutonowy statek opadł na wodę, a maszty zgięły się. Na oczach Over-Baarda okręt poszedł na dno; na powierzchni wody pozostały tylko galerie nify. Dw IC łodzie ruszyły w pośpiechu w kierunku wraku, żeby uratować. Itogo się da ()vergaard wątpił jednak, żeby znaleźli wielu, gdyż woda była Pteerażajjico zimna, a poza tym mało marynarzy umiało pływać.

Przez chwilę admirał był pewien, że eksplodował magazyn amunicji •^alkena". Ale nie. nie było widocznego wybuchu. Eksplozja nie nastąpi-lana statku, ale pod nim. Jednak jak...?

Amerykanie! To na pewno sprawka tych niesamowitych sojuszni-^w Gustawa! Ale jak oni mogli zrobić coś takiego? Żaden nurek nie

wytrzymałby w tak zimnej wodzie wystarczająco długo, żeby podłożyć pod statek ładunek. A jeśli nawet ktoś byłby w stanie to zrobić, uzbroję nie takich ładunków było zawsze delikatną i niebezpieczną rzeczą - \ ^ pewno nie można było tego zrobić w ciemną, mglistą noc!

Po raz pierwszy Cwergaard zaczął naprawdę wierzyć w szalone opowieści o amerykańskich cudach. A kiedy zaczął w nie wierzyć, nagle przy. szło mu do głowy, że skoro Amerykanom udało się raz, nie ma żadnego powodu, żeby nie miało im się to udać więcej...

BUM!

Zauważył półprzytomnie, że tym razem był to jeden z transportowców Statek poszedł na dno jeszcze szybciej niż „Falken”, i tym razem Over-gaard słyszał przerażone krzyki części załogi.

Admirał otrząsnął się z chwilowego osłupienia, soczyście klnąc. Ma tak czekać i pozwolić tym amerykańskim diabłom wysadzać wszystkie statki jeden po drugim? Zaczął wykrzykiwać rozkazy, a potem zatrzymał się, słuchając dudnienia setek butów. Inne głosy zaczęły rykiem przekazywać rozkazy. Topory łomotały w liny, a windy kotwiczne skrzypiały, gdy cała duńska flota zaczęła gorączkowo szykować się do ucieczki.

BUM!

Kolejny transportowiec pękł na pół i wyrzucił w powietrze fontannę białej piany i mułu. Overgaard zaklął jeszcze soczyściej, gdyż zauważył precyzyjną synchronizację poszczególnych wybuchów, które kroczyły miarowo przez jego flotę jak demoniczne metronomy. Muszą uciec od tego, co Amerykanie zostawili na dnie rzeki! Pomyślał ponuro, że nie będą mogli tu wrócić. Przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiedzą się, co dokładnie Amerykanie im zrobili i jak sprawić, żeby nie zagrozili im już nigdy więcej!

Coraz więcej statków zaczynało odpływać, odcinając rozpaczliwie kołtwice i dając się ponieść bardziej prądowi niż słabemu i nieregularnemu wiatrowi. Jego okręt flagowy płynął powoli, lecz miarowo, a...

BUM!

Zazgrzytał zębami, gdy czwarta eksplozja rozdarła tafłę wody. Tym razem jednak zaśmiał się histerycznie, gdy zdał sobie sprawę, że ucierpią statek flagowy aroganckiego Martignaca. Patrzył, jak powoli opada na wodę, podczas gdy cała flotylla małych statków pędzi w jego kierunku, żeby uratować ewentualnych rozbitków.

Cwergaard odwrócił się tyłem i zaczął się zastanawiać, ile jeszcze stał ków - jego statków - ucierpi, zanim zdołają uciec. Może już mew

Cj. Może to tylko tom.en pas rzeki, a jak już się ślamtąd wyeofają. BUM!

- Sądysz, że użyliśmy wystarczająco dużo dynamitu, Butch? - spytał brata Al Morton. uśmiechając się pełną gębą, gdy urządzenie zegarowe aliło ładunki wybuchowe i posłało na dno piątą duński statek. -Wygląda na to, że tak - odpowiedział radośnie Sam. - Przyznaję, sądziłem, że będziemy potrzebować większych ładunków, ale te odmierzyłeś idealnie.

- Pewnie - rzucił Al. - Woda nie jest aż tak ściśliwa, szczególnie gdy rzeki znajduje się tak blisko. W takich warunkach nie trzeba potężnej płozi, żeby rozwalić kadłub statku, co nie?

- Pod iloma podłożyłeś ładunki? - spytała z pełnym szacunku podzi-sierżant Buchholz.

- Właściwie tylko pod sześcioma. Tam jest naprawdę ciemno, Liz. I zim-nawet w tych kombinezonach. Udało nam się tylko z sześcioma, bo cięż musieliśmy jeszcze wynieść się stamtąd przed zaplanowanym czasem wybuchu. Ale nie sądzę, żeby jeszcze jakieś statki chciały się tu kręcić, wiedząc, że możemy im to znowu zrobić.

Raczej nie - zgodziła się Buchholz, ciągle kręcąc głową. Br Cóż - rzekł radośnie Al - kiedy admirał Simpson wyjaśniał mi, czego od nas oczekuje, powiedział, że tylko to się liczy.

Chyba będzie szczęśliwy, że tak wyszło? BUM!

Idąc obok samolotu w kierunku morza, Jesse poczuł na twarzy mgłę i zapiął do końca zamek skórzanej kurtki lotniczej. Mimo że mgła wydała się tak gęsta, jak w ciągu ostatnich dwóch dni, czuł w powietrzu różnicę - lekki, świeży powiew od strony morza.

„Niedługo się podniesie - stwierdził. - Już najwyższy czas”.

Przez dwa ostatnie dni niecierpliwił się z powodu złej pogody, bo wiedział, że wróg jest niedaleko i zmierza w ich kierunku. Chociaż mgła nic wyglądała aż tak niebezpiecznie jak burza, która omal go nie zabiła trzy dni wcześniej, mogła się okazać groźna - szczególnie dla pilota, który chciał wylądować. Dlatego też czekali bezradnie, aż mgła się podniesie.

„Takie są problemy z lądowiskiem nad brzegiem morza” - pomyślał Jesse.

Nie marnowali jednak czasu. Jesse dokładnie skoordynował swoje działania zwiadowcze z kontyngentem marynarki wojennej, uświadamiając kapitanom Cantrellowi i Wildowi, że mimo iż to on jest wyższy rangą.10 jednak oni dowodzą obroną Wismaru. Kontyngent sił powietrznych odgrywał tylko rolę pomocniczą i Jesse wytłumaczył to wystarczająco jasno Hansowi i Woody'emu, tak samo jak admirał Simpson wyjaśnił to jemu-Miał wątpliwości co do planów marynarki wojennej, ale znał swoje obowiązki - teraz należało wzbić się w powietrze i dostarczyć użytecznych informacji.

Zastanawiał się, gdzie jest flota najeźdźców. Wiedział, że marynarka wojenna ma gdzieś tam statek rybacki, ale nie mógł się znajdować daleko od wybrzeża.

„Założę się, że zbliżają się od północy, a ja siedzę na tyłku, zamiast być ^ powietrzu”.

Spojrzał do góry i zobaczył tarczę słońca próbującego przepalić sobie drogę przez mgłę.

Potarł nieogoloną szczękę i podjął decyzję - zawrócił do samolotu.

* * *

I Jesse ustawił się pod wiatr i wydało mu się, że już zauważa zmniejszającą się mgłę.

Widoczność wahała się między sto a dwieście metrów, w zależności od gęstości mgły.

Niebo ciągle było zupełnie niewidoczne. Wybrał „Belle II” ze względu na odrobinę większą od pierwowzoru moc i z tego samego względu odpiął cztery rakiety, które były do niej przymocowane. Po tak bliskiej katastrofie trzy dni wcześniej nie miał ochoty na żadne ryzyko. Jesse zakładał, że nawet jeśli mgła ponownie opadnie, będzie mógł skontaktować się z kapitanem statku rybackiego, który pełni dla nich wartę, być może pokrażyć przez kilka godzin i dopiero wtedy zawrócić do Magdeburga. A jeśli mgła się podniesie, Hans i Woody będą mogli wybrać się na lot zapoznawczy na „Belle I”, tak jak to planowali przez ostatnie dwa dni, a on wylądować, uzupełni zapasy paliwa i przezbroi się. „Belle I” była już uzbrojona w cztery rakiety, f Jesse zwiększył obroty i zaczął przebijać się przez mgłę w kierunku krańca lotniska i dalej, nad morze. Kiedy przyspieszył i mgła zaczęła przemykać obok, samolot wznosił się w górę. Natychmiast spojrzał na chylomierz z zakrętomierzem oraz

wysokościomierz, chcąc się upewnić, że utrzyma się na wznoszeniu. Nawet nie próbował obserwować mgły - nie znał lepszego sposobu, żeby dostać zawrotów głowy i się rozbić. Dwadzieścia sekund później wynurzył się na niebie pokrytym kilkoma cienkimi warstwami chmur. Kiedy się wznosił, zauważył, że prawie cała zatoka jest zamglona. Gdy przekroczył pułap tysiąca dwustu metrów, nie widział już nic na zachodzie, gdyż widniała tam kolejna Warstwa chmur. Jeśli dobrze pamiętał, to właśnie tam miał się znajdować przyjacielski statek rybacki. Przez chwilę myślał, żeby go poszukać, ale na wprost zobaczył otwarte wody, więc kontynuował wznoszenie i skierował się na północ. „Bułka z masłem”.

* * *

Godzinę później Jesse niechętnie doszedł do wniosku, że chyba jednak się mylił. Wróg nie nadchodził z północy, tak jak myślał. Ogarnął cały kwadrant terenu, zapuszczając się daleko na północ, ale poza morzem absolutnie niczego nie zobaczył.

„Może w ogóle się nie zbliżają - pomyślał, wracając do Wismaru. -Może popłynęli do Rostocka albo coś w tym rodzaju”.

Znajdował się może sześćdziesiąt kilometrów od miasta, kiedy usłyszał część meldunku radiowego z - jak podejrzewał - statku rybackiego

- Nadchodzą! Duńczycy nadchodzą! - krzyczał podekscytowany głos. Mimo zdenerwowania Jesse próbował go uspokoić.

- Tu „Belle II”. Proszę podać swoje dane i lokalizację. Odpowiedź była natychmiastowa, choć tylko odrobinę pomocna.

- Tu „Elizabet”, płynę lewym halsem na zachód od Wismaru. Duńska flota znajduje się dziesięć kilometrów na zachód, mają wiatr na lewą burzę.. Eee.. odbiór.

Jesse przez chwilę zastanawiał się nad wiadomością z „Elizabet”. „To tyle, jeśli chodzi o powietrzny rekonesans”.

- Potwierdzam, „Elizabet”. Załoga „Belle II” zrozumiała i prześle dalej twoją wiadomość. Wyjdź z szyku. „Outlaw”, tu „Belle II”. Otrzymaliście wiadomość od „Elizabet”?

- Nie, pułkowniku. - Jesse rozpoznał głos Cantrella. - Otrzymaliśmy tylko pańską wiadomość. Proszę o powtórzenie wiadomości od „Elizabet”.

Jesse przekazał informacje, obserwując warunki pogodowe w Zatoce Wismarskiej. Mgła zniknęła, tak jak przewidywał.

- „Outlaw”, wyślijcie kogoś na lotnisko. Proszę poinformować porucznika Richtera, że pułkownik Wood poleca mu wystartować i wspomóc obronę Wismaru. Ja wyląduję, załaduję rakiety i wrócę najszybciej jak się da.

Hans musiał słuchać rozmowy „Belle I”.

- Nie ma potrzeby, pułkowniku. Już kołuję.

- Potwierdzam, „Belle I”. Udanego polowania.

* * *

- Chciałbym, żeby Jack ta był - mruknął Lany, kiedy „Outlaw” wypłynął z warkotem silnika z portu.

- Ja też bym chciał - zgodził się Eddie. Stał między dwoma pulpitanu obserwując horyzont przez lornetkę, po czym opuścił ją i spojrzał na przyjaciela.

- Przepraszam, Lany! Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym ci nic ufał czy coś. Po prostu...

- Po prostu obaj chcemy, żeby wyzdrowiał... a poza tym jest dużo lepiej niż ja. Lany dokończył jego myśl z uśmiechem, który wyrażał i nerwowość, i prawdziwe rozbawienie. - Przecież ja chciałbym go tu widzieć tego samego powodu, matolku.

| - Dla pana „panie kapitanie Matolku” - poprawił go Eddie. Obaj wypchnęli gromkim śmiechem i nie liczyło się to, że jego donośność wynikała w głównej mierze z narastającego w nich napięcia.

Eddie ponownie uniósł do oczu lornetkę i zaczął przeczesywać teren, pomyślał, że wkrótce powinni coś zauważyć i znowu zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście wydał najlepsze możliwe rozkazy.

Sama prędkość „Outlaw”, nawet jeśli przy sterach stał Lany, a nie Jack, sprawiała, że właśnie ta łódź była najbardziej logicznym wyborem. „Chris Craff” i „Century” płynęły z tyłu, ale tego poranka miały służyć jedynie jako wsparcie. „Chris Craff” przewoził ośmioprowadnicową wyrzutnię, taką samą jak ta na przednim pokładzie „Outlaw”, ale „Century” miał jedynie sześcioprowadnicową... i żaden z nich nie miał zapasowych pocisków; poza tym oba były wolniejsze od „Outlaw”. Plan zakładał więc, że „Outlaw” zaatakuje wroga, a dwie pozostałe motorówki będą pełniły rolę Straszaków. Przecież trudno wymagać od Duńczyków, żeby znali różnice w możliwościach amerykańskich łodzi, więc te dwie płynące z tyłu powinny im się wydać równie wielkim zagrożeniem jak pierwsza.

BDczywiście jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i duńska formacja się rozpadnie, dwie pozostałe łodzie przyłączą się. Jednak na razie Eddie byłby szczęśliwy, gdyby Duńczycy wahali się na tyle długo, żeby przybywający z pomocą generał Aderkas zdołał dotrzeć do Wismaru.

Widzę ich. - Eddie znów opuścił lornetkę, gdy z radia na „Outlaw” dotarł do niego głos Hansa. Spojrzał w górę na bucący samolot. Jesse jeszcze nie wyleciał z Wismaru - uzupełniał braki paliwa, a ekipa naziemna montowała rakiety na podwieszaniach, ale głos Hansa brzmiał pewnie.

Eddie sięgnął po mikrofon i wcisnął przycisk nadawania.

- Masz mi powiedzieć, gdzie ich widzisz, Hans - powiedział sucho. - Odbiór.

- Ach! zaśmiał się tamten nerwowo. - Przepraszam, Eddie. Widzę od trzynastu do szesnastu kilometrów przed wami. Trzymają się kursu południowy wschód, prosto na Wismar.

Eddie zmarszczył czoło, starając się wyobrazić sobie mapę, potem skinął głową. Jeśli Hans nie mylił się co do odległości, wydawało się, że Duńczycy podążają bezpośrednio z Lubeki, okrążając przylądek dzielący

Zatokę Lubecką i Zatokę Wismarską. Właściwie Zatoka Wismarska była przesmykiem do południowo-wschodniej części Zatoki Lubeckiej, do której zbliżający się wróg miał właśnie wpłynąć.

- Wygląda na to, że jest tam sześć okrętów wojennych i dwanaście statków kupieckich - ciągnął Hans. - Nie płyną jakoś strasznie szybko, jest z nimi trzydzieści-czterdzieści mniejszych statków i łodzi. Wydaje mi się że używają ich do przewożenia piechoty. Odbiór.

- Zrozumiałem - odparł Eddie. - Muszę się nad tym chwilę zastanowić. Odbiór.

Zaczął wpatrywać się we wskazanym kierunku, ale mimo że poranne niebo nie było zachmurzone, na poziomie morza było zbyt wiele mgły, żeby mógł zobaczyć wroga. Opuścił więc lornetkę i zamyślił się.

- Co o tym myślisz, Larry? - spytał. - Powinniśmy dalej tam płynąć i ich zaatakować czy pozwolić im dotrzeć do nas?

- Prawdę mówiąc, chciałbym to jak najszybciej mieć już za sobą - stwierdził Larry i nerwowo się zaśmiał. - Pamiętaj, co mówił Jack. Im dalej na morzu zaatakujemy, tym więcej będę miał miejsca na sterowanie tą bestią.

- No to załatwione - zgodził się Eddie. Przez chwilę stał ze zmarszczonym czołem, pocierając w zamyśleniu czubek nosa, potem wzruszył ramionami.

- To ma sens - powiedział i znowu chwycił mikrofon. - Hans, zaatakujemy.

Popłyniemy prosto na nich, a ty dasz nam znać, czy dobrze się ustawiliśmy. Odbiór.

- Zrozumiałem - padła odpowiedź Hansa. - Zmieniam kurs. Odbiór. Eddie i Larry wyciągnęli szyję, obserwując, jak samolot zmienia pozycję. Następnie Larry powoli i ostrożnie skrzywił w lewo, nie czekając na

rozkazy Eddiego.

Dodał lekko gazu i warkoczący silnik rozpoczął głębszą, bardziej przenikliwą pieśń.

„Outlaw” uniósł dziób i skierował się na wroga, a pozostałe dwie motorówki ruszyły jego śladem.

* * *

- Patrzcie! Co to?!

Kapitan Tesdorf Vadgaard, dowódca niewielkiego szwadronu eskortującego osiem tysięcy ludzi, którym przydzielono zadanie zajęcia niechro-nionego Wismaru, spojrział z irytacją w górę w odpowiedzi na niezbyt jasny okrzyk oka jego okrętu flagowego. Człowiek znajdujący się na szczycie głównego masztu „Christianii” nie zdawał sobie sprawy, że wywołał gnie*

swego kapitana. Vadgaard już otwierał usta, żeby udzielić mu zgryźliwej nagany, gdy ktoś krzyknął to samo, a oko zaczął gorączkowo wskazywać pa lewo.

I „Christiania” i reszta okrętów pod dowództwem Vadgaarda kierowały się na południowy wschód, do ujścia Zatoki Wismarskiej. Wiatr wiał od lewej, prawie bezpośrednio z północy, i stopniowo przybierał na sile. Fale były coraz większe, zimny wiatr stawał się coraz silniejszy, a mgła, która trzymała się powierzchni wody od samego rana, zaczęła się podnosić i zni-kać na wietrze. To nie miał być ciepły dzień, ale i tak zapowiadał się na dużo ładniejszy niż dwa poprzednie, z deszczem i mgłą. Pomiedzy urwa-nymi brzegami grafitowych chmur zaczęły się pojawiać jasnoniebieskie fragmenty jesiennego nieba.

Oko wskazywał jeden z tych fragmentów, a Vadgaard przyłapał się na tym, że otwiera szeroko oczy ze zdziwienia.

■Coś, co zbliżało się bezpośrednio do jego statku, miało kształt krzyża albo może ptaka morskiego - płynęło bez wysiłku po niebie dzięki rozpo-startym skrzydłom. Jednak mimo że wydawało się małe, kapitan wiedział, że to złudzenie. Cokolwiek to było, przewyższało rozmiarami największego ptaka, jakiego kiedykolwiek widział. W przeciwnym razie nie za-uważ) łby go na takiej wysokości.

m- Lunetę! - burknął do oficera pokładowego stojącego obok sternika. Oficer szybko zrobił to, o co prosił kapitan, ale Vadgaard zauważył, że robi to niechętnie. Widać było, że w tym momencie sam chciałby chwycić lunetę i spojrzeć przez nią na zjawę. Vadgaard go rozumiał, ale prze-rażenie oraz ciekawość przyćmiły zrozumienie.

Spróbował skierować lunetę na dziwny kształt. Odnalezienie go było trudniejsze niż przypuszczał - częściowo dlatego, że kształt był tak mały, ale również dlatego, że Vadgaard nie był przyzwyczajony do spoglądania przez teleskop pod tak ostrym kątem. Ruch pokładu pod stopami też nie bardzo mu to ułatwiał, ale kapitan już od dwudziestu lat pływał po morzu i w tym czasie patrzył przez wiele teleskopów, więc i teraz w końcu udało flui się znaleźć to, czego szukał.

Zacisnął szczęki, patrząc na to dziwo. Zdał sobie sprawę, że jest to jakiegoś rodzaju maszyna, i to tak zupełnie niepodobna do tego, co kiedy-kolwiek widział, że miał trudności z ułożeniem w myślach szczegółów W kompletny obraz. Jednak po krótkiej chwili przypomniał sobie raporty szpiegów. Zlekceważył je jako fantastyczne, przesadzone opowieści, które •i^toerykańscy” sojusznicy Gustawa wydawali się swobodnie wymyślać.

Maszyny ze skrzydłami? Maszyny potrafiące latać? To niepoważne! Ta kie bajki można wymyślać tylko po to, żeby zrobić wrażenie na łatw0 wiernych głupcach.

Wyglądało jednak na to, że szpiegom należą się przeprosiny. Vadgaard wyteżał pamięć, próbując przypomnieć sobie szczegóły, które tak non-szalancko zlekceważył. Z przodu maszyny miało być coś... co zwali „smi-głem”. Coś jak łopatki wiatraka, ale mniejsze i tylko z dwoma ramiona-mi. Nie widział niczego takiego, ale może ciągle był za daleko.

Opuścił lunetę i zamrugał oczami, żeby rozluźnić mięśnie po tak wyteżonej pracy. Czuł, że jego oficerowie i żołnierze są w szoku - w nim po-brzmiewało to samo uczucie. Jeśli

Amerykanie potrafią jak ptaki wznieść się ku niebu, to może rzeczywiście są czarownikami lub czarodziejami, jak sądzono na początku? A jeśli potrafią latać, co jeszcze są w stanie robić?

„Nie - pomyślał stanowczo. - Kimkolwiek są, nie są czarownikami. Można sobie myśleć, co się chce o Gustawie, ale żaden uczciwy człowiek nie oskarży go o przestawanie ze sługami szatana. To po prostu jedna z ich cudownych maszyn i na pewno z tak wysoka nic nam nie może zrobić! Nawet jeśli ktoś, kto ją kontroluje, ma przy sobie jeden z tych muszkietów o dalekim zasięgu, o których tyle się mówiło. Ale jeśli nic nam nie może zrobić, to dlaczego tak nieomylnie kieruje się w naszą stronę?”

Ponownie usłyszał zaskoczony okrzyk oka. Mężczyzna znów wskazywał w lewo, ale tym razem nie na niebo. Vadgaard zacisnął szczęki i ponownie uniósł lunetę.

„Ach tak - pomyślał, obserwując dziwne białe kształty wynurzające się z zanikającej mgły /jeszcze bielszych fal. - Nic może nam nic zrobić, ale wydaje się, że wskaże nas tym, którzy mogą”.

^szbznl 46

Eddie nerwowo obserwował duńską flotę przez lornetkę. Podana przez Hansa szacunków a liczba statków była zgodna z prawdą, choć trudno było stwierdzić ostateczną ich liczbę - kiedy próbował je policzyć, jedne z nich zasłaniały inne i utrudniały mu w ten sposób wykonanie zadania. ; Przeważająca część dwudziestu-trzydziestu okrętów, które widział, wydawała się mieć furty armatnie, ale przypomniał sobie, że to niewiele znaczy. Siedemnastowieczne kupieckie statki zazwyczaj posiadały kilka dział, chociażby do odstraszania piratów, a większość zgromadzonych w tej nieregularnej formacji była transportowcami, a nie prawdziwymi okrętami wojennymi. Oczywiście to wcale nie oznaczało, że przeciwpirackie działa, które miały na pokładzie, nie mogły stanowić zagrożenia, jf Przeczesał w zrokiem horyzont, starając się ocenić jakość duńskiej formacji. Większe statki wydawały się płynąć w pojedynczej kolumnie prosto na Wismar z prędkością około pięciu-sześciu kilometrów na godzinę. Jeśli to miała być kolumna, to nie trzymała szyku, ale im nie bardzo Wypadało krytykować czyjaś sztukę żeglarską.

S Gdy o tym pomyślał, usta zadrgały mu w uśmiechu. Zwrócił uwagę na ■niejsze statki, o których wspomniał Hans. Było ich więcej niż dużych -•toczyły się wokół nieuporządkowanej kolumny jak gąsienki wokół do-rostłych gęsi. Większość wyglądała co najwyżej na łodzie wiosłowe, choć Wały cos w rodzaju żagla, natomiast cztery-pięć z nich było większych fbard/iej kształtnych. Poza tym zatrzymał przesuwającą się lornetkę i zacisnął szczęki - każda z tych większych „łodzi wiosłowych" miała na dziobie coś, co wyglądało jak sporych rozmiarów działo.

„Nie mogą być tak duże, jak się wydają - Eddie przywołał siebie w myślach do porządku. - Przecież te cholerne łodzie by się wywróciły, gdyby próbowali do nas strzelać z trzydziestodwufuntówek! Choć z drugiej strony nawet taka maluteńka jednofuntówka może bez problemu oderwać kołmusz głowę. A to nie są jednofuntówki, tylko trzy-, sześć- albo nawet dziewięćofuntówki”.

Jeszcze na moment zatrzymał wzrok na kanonierkach, potem zmusił się do oderwania od nich oczu. Szanse na to, że siedemnastowieczne działo zdoła trafić motorówkę z dwudziestego pierwszego wieku, były minimalne. Do tego trzeba by całej salwy burtowej albo łutu szczęścia. To drugie nie zależało od niego, natomiast zamierzał dopilnować, żeby z żadnej burty nie można było bezpośrednio w nich strzelić.

- W porządku. - Opuścił lornetkę i odwrócił się do dwóch pozostałych członków załogi: Larry'ego i jeszcze jednego pomocnika. - Nie chcę się zbliżać bardziej niż to konieczne, Larry. Ale jeśli się uda, chciałbym, żebyśmy strzelili w miejsce, gdzie kilka z nich jest blisko siebie - w tej sposób nawet jeśli jeden statek nie oberwie, zawsze jest szansa, że pocisk trafi w inny.

Larry przekrzywił głowę i zaczął się przypatrywać formacji Duńczyków z zaciśniętymi ustami. Potem powoli kiwnął głową.

- Wydaje mi się - ciągnął Eddie - że najlepiej dla nas będzie znaleźć się między nimi a łądem. Powinniśmy mieć wystarczająco dużo wody, zresztą będziemy mieć oko na głębokościomierz. - Stuknął w wyświetlacz cyfrowego miernika głębokości, a Larry ponownie skinął głową. - Jeśli zaatakujemy ich od strony łądu, po wystrzeleniu pocisków będziemy mieć do wyboru skręt w lewo albo w prawo i nie będziemy musieli się martwić o to, że wpadniemy na brzeg, prawda?

- Brzmi rozsądnie - przyznał Larry. Próbował zachowywać się nonszalancko, co nie bardzo mu się udawało, ale Eddie stwierdził, że w tych okolicznościach nie będzie mu tego wypominał.

- Tak naprawdę chciałbym zniszczyć kilka okrętów wojennych - wyjaśnił. - To tam najprawdopodobniej znajduje się ich głównodowodzący - a poza tym założę się, że już wkrótce większość tych statków kupieckich będzie zupełnie gdzie indziej. Jeśli zestrzelimy kilka tych eskorty, mogą zawrócić i po prostu uciec. Poza tym wydaje mi się, że większość prawdziwych jednostek marynarki wojennej skoncentrowana jest 12 tyłu formacji. - Wskazał w tamtym kierunku. - Pewnie dlatego, że jeśli próbowalibyśmy dobrać się do ich transportowców i chcieliby nas zatrzymać, będą mieli wiatr w tyłu.

Larry ponownie potwierdził jego słowa skinieniem głowy. Eddie odwrócił się do ostatniego z trzech członków załogi. Bjorn Svedberg był trochę wąty jak na prawdziwego Wikinga, ale miał odpowiednie blond włosy i brodę. Tak naprawdę jednak został wybrany do załogi „Outlaw”, gdyż mimo silnego akcentu świetnie posługiwał się angielskim.

¥ - Chcę przeprowadzić przynajmniej dwa ataki, Bjorn. Pozwolimy kapitanowi Wildowi zająć się sterem, a my będziemy przeładowywać w przełwach między strzałami. Dobrze? I - Dobrze! - Svedberg tak entuzjastycznie pokiwał głową, że Eddie aż się zaśmiał. Bjorn naprawdę chciał zobaczyć wyrzutnię rakiet w akcji.

Prawdę mówiąc, Eddie też chciał. Chociaż teraz, gdy zbliżał się ten moment, chyba zaczął mieć pewne problemy z kontrolowaniem pęcherza.

[Wziął głęboki oddech, wstrzymał na chwilę powietrze i powoli je wypuścił.

m- W porządku, Larry - powiedział. - Zetnij drogę, żeby dostać się między strzałami i wybrzeże.

m - Dobra. Znaczą się... tak jest. ■ Wielka motorówka skręciła w lewo.

* * *

|- Hans płynął pomiędzy chmurami - usiłował sumiennie skoncentrować się na locie, ale nie było to łatwe. Powierzchnia Bałtyku rozciągała się pod nim jak ciemnoniebieski dywan

pomarszczony przesuwanymi się białymi falami. Stąd wszystko, co znajdowało się na dole, mogło wyglądać na zabawki, ale Hans wiedział, że tak nie jest. i Dzisiejszy dzień zupełnie nie był taki jak wtedy, kiedy po raz pierwszy niszył do bitwy. Wtedy był przerażonym młodym rekrutem, którego jedyną nikłą szansą na ocalenie wielopokoleniowej rodziny było „sprawdzenie się” w oczach tego samego człowieka, który zamordował jego ojca

- doprowadził do zbiorowego gwałtu na jego siostrze. Stawał do walki nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że nie miał wyboru - musiał walczyć jako Jeden z tych, których nienawidził całym sercem i duszą, dla bezpieczeństwa tych, których kochał.

Dzisiejszy dzień był inny. Dzisiaj siedział w kabinie tego cudownego Polotu, bo tak zdecydował. Bo w ciągu raptem dwóch lat odnalazł coś, czego istnienie nigdy nie wierzył: naród i sprawę, które naprawdę warte były tego, żeby za nie zginąć. Świat, który będzie chronił tych, których Hans kocha, nawet jeśli zabraknie już jego samego; świat, który udziela wszystkim pomocy.

Hans Richter nie był stworzony z niezniszczalnej stali, tak jak jego siostra. Wiedział to i akceptował. Przecież nikt nie był równie silny jak Gretchen... ani tak bezwzględny, jeśli w grę wchodził ci, których kochała Jednak Hans był jej bratem - odrobina jej charakteru przeszła też na niego, a teraz czuł tę stal w sercu.

Nie żywił żadnej osobistej urazy do Duńczyków znajdujących się na tych statkach. Co więcej, wiedział, że są wykorzystywani dokładnie tak samo, jak on był wykorzystywany w swej krótkiej karierze w najemnej armii Tilly'ego. A ten wnikliwy umysł, który naprawdę ich wybrał, nie przebywał w Kopenhadze, a w Paryżu. Jednak to nie miało znaczenia. Bez względu na to, jak się tu znaleźli, stanowili śmiertelne zagrożenie dla świata, który liczył się dla Hansa, zamierzał więc zniszczyć to zagrożenie. On i jego bracia z przyszłości.

Spojrzał na białe groty zakręcające, żeby przypuścić atak na wroga. Obserwował, jak „Outlaw” zatacza kręgi, i mimo że jego dłoń czujnie spoczywała na drążku, część jego umysłu znajdowała się w tym grocie z Eddiem i Larrym, towarzysząc w bitwie kolejnym dwóm osobom, które kochał.

Tesdorf Vadgaard patrzył, jak ten sam grot - i kolejne dwa za nim - przecina wodę i złapał się na tym, że odczuwa jeszcze większy lęk niż wtedy, kiedy po raz pierwszy zauważył latający kształt. Coś w jego umyśle podpowiadało mu, że tak nie powinno być, że cud latania przewyższa wszystko, co może się wydarzyć na powierzchni morza. Ale w tym właśnie tkwiło sedno. Sama idea latających ludzi była mu tak obca, że nawet teraz latająca maszyna wydawała się bardziej jakimś mitycznym stworzeniem z fantastycznej opowieści niż czymś rzeczywistym. Poza tym był przecież żeglarzem. Spędził dwie trzecie życia, szkoląc się w swoim fachu i nie miał najmniejszej wątpliwości, że żaden statek na świecie nie jest w stanie zrobić czegoś takiego.

Nie chodziło jedynie o sposób, w jaki te łodzie poruszały się bez wiosel czy żagli, choć oczywiście mogło się to wydawać głęboko nienaturalne. Sednem sprawy była ich prędkość. Po raz pierwszy w życiu Vadgaard zupełnie nie był w stanie określić szybkości jakiejś jednostki. Nigdy nie widział, żeby jakaś łódź poruszała się tak szybko i nigdy nie sądził, że coś takiego zobaczy. Podejrzewał, że bez względu na to, jaką szacunkową prędkość poda, i tak będzie ona za mała. Poczł, że tężeją mu mięśnie szczęki, gdy pojął, co ta niesamowita prędkość może oznaczać dla jego kanoniczów.

z drugiej jednak strony patrząc przez teleskop na zbliżające się zagrożenie, nie zauważył na pokładzie łodzi żadnych działań. Im dłużej się przyglądał tym ostro zarysowanym kadłubom, tym bardziej do niego docierało, że nie można ich było tam ustawić. Po prostu nie było na to miejsca.

Jednak coś było przymocowane do przednich pokładów - Vadgaard wymamrotał pod nosem przekleństwo, usiłując sobie przypomnieć informacje pochodzące z raportów szpiegów, do których wtedy przykładał tak [niewiele wagi].

Obserwował przez chwilę, z jaką koordynacją Amerykanie manewrują łodziami, i stwierdził, że jedna rzecz jest oczywista - są w stanie porozumiewać się ze sobą. Gdyby tak nie było, nie daliby rady reagować tak szybko, poruszać się tak zręcznie i z taką pewnością. To na pewno to ich tajemnicze „radio”, o którym krąży tyle plotek - kiedy o tym rozmyślał, poczuł głęboką, palącą zazdrość. Żaden marynarz, który próbował manewrować dwoma lub trzema statkami na raz, nie mógł im nie zazdrościć. Zwłaszcza kiedy widział, jak pozostałe statki, którymi dowodzi, ruszają do akcji jak i kiedy im się żywnie podoba i często nie zauważają okazji, które on widział, a o których nie miał im jak powiedzieć. | To nie mogło raczej przytrafić się Amerykanom, co sprawiało, że byli jeszcze bardziej niebezpieczni, niż mogły na to wskazywać niesamowita prędkość ich łodzi i tajemnicza broń, którą posiadali. Skupił uwagę na prowadzącej łodzi - była największa; Vadgaard zaliwiał również, że tamte dwie pozostają lekko w tyle. Oczywiście amerykański dowódca znajdował się na pokładzie tej pierwszej. Zamierzał osobiście rozpocząć atak, zachowując dwie pozostałe jednostki w rezerwie - luksus, który umożliwiała komunikacja. Mógł sobie pozwolić na późniejsze zaangażowanie ich w walkę, gdyż kontrolował ich poczynania z taką samą pewnością, z jaką kontrolował swój własny okręt flagowy. I To wszystko było jasne, ale w tym momencie najbardziej interesowało go, czym jest ten niezgrabny szkielec na przednim pokładzie okrętu flagowego. Widać było, że to jakaś broń, ale nigdy wcześniej takiej nie widział. Wpatrywał się w nią, aż zaczęły go boleć oczy - łódź wroga przemieszczała się równo na północny wschód, wzdłuż wybrzeża Meklemburgii. Nie była to strzelba, więc co? Wyglądało to jak... Krew stęzała mu w żyłach, kiedy przypomniał sobie opowieści o tym co Amerykanie zrobili Hiszpanom w Wartburgu i Niemcom w Badenbur-gu i Alte Feste. Wykorzystali kilka nowych szatańskich rodzajów broni o których nikt wcześniej nie słyszał - jedna z nich rozprzestrzeniła ogień piekielny na Hiszpanów uwięzionych w starodawnym zamku. Co prawda z tego, co słyszał Vadgaard, wynikało, że Amerykanie zastosowali stare-go typu katapulty do wyrzucenia w powietrze bomb użytych w Wartbur-gu - a na takie na pewno nie było miejsca na tej pędzącej na niego łodzi tak samo jak nie było tam miejsca na działo. Jednak... krążyły również opowieści o innych rodzajach broni. Na przykład o „raketach”. Z logicznego punktu widzenia Vadgaard podejrzewał, że mrozące krew w żyłach opowieści o zasięgu, dokładności i zniszczeniach, jakich dokonywała amerykańska broń, na pewno są przesadzone. Przecież opowieści te pochodziły od Hiszpanów i Niemców, a nie Duń-czyków! A nawet jeśli nie porównywać odwagi poszczególnych narodów, to chyba każdy, kto zostałby tak spektakularnie zmiażdżony przez nowa-torską broń, bez wątpienia przeceniałby jej efektywność. I to nie tylko po to, żeby zamaskować w ten sposób upokorzenie spowodowane porażką. Emocje wzięły górę nad trzeźwą oceną sytuacji, więc Vadgaard z trudem przełknął ślinę, gdy amerykański okręt flagowy ponownie zmienił kurs. Widać było, że dowódca osiągnął już przewagę, do jakiej dążył, a teraz zawracał, żeby przypuścić atak, manewrując swymi jednostkami jak bezwzględny zawodowiec. Sylwetka wrogiego okrętu flagowego zmieniła się, gdy obrał nowy kurs. Vadgaard odłożył lunetę - już jej nie potrzebował, żeby dostrzec amerykańską łódź. Nie teraz, kiedy znajdowała się tak blisko i płynęła prosto na niego.

* * *

- Jedziemy!

Nie była to odpowiednia komenda wojskowa, ale Eddie stwierdził, że nie udzieli za to Larry'emu reprimendy. Nie w tych okolicznościach.

„Outlaw” zmienił kierunek; warkot silników był coraz głośniejszy, gdy Larry dodał gazu. Eddie sięgnął do przodu i ustawił pionowo zamocowaną na zawiasach stalową płytę tarczy. Zasunął staromodną zasuwkę i zer-kał w bok na Lany ego.

Jego przyjaciel pochylał się mocno do przodu na wygodnym siedzeniu, żeby być bliżej kierownicy i móc patrzeć przez szybkę w tarczy. Ze sposobu, w jaki Larry wyciągał szyję, Eddie mógł wnioskować, że wyrzutni kasłania widok bardziej, niż się tego spodziewał. Złajał sam siebie w myślach, gdyż przyszło mu do głowy, że powinni byli dać Larry'emu półwyczyć prowadzenie łodzi z podniesioną tarczą i pociskami w prowadnicach. [Wtedy przynajmniej miałby odrobinę doświadczenia w sterowaniu LOutlaw", kiedy wyrzutnia raket nie jest już tylko zespawany ze stali szkieletem.

i Jednak teraz nic już nie mogli na to poradzić, więc Eddie pochylił [się do przodu, by spojrzeć przez swoją szybkę w tarczy. Była inna niż Larry'ego - znajdowała się w martwym punkcie za wyrzutnią, co pozwałało mu patrzeć bez przeszkód przez to, co byłoby jej dziewiątą prowadnicą. Był to najbardziej toporny celownik, jaki można sobie wyobrazić. Eddie miał jednak nadzieję, że zadziała. Oczywiście zakładając, że osie pozostałych prowadnic są względem niego odpowiednio ułożone i że rakiety polecą prosto.

I „J że ta cholerna łódź nie podskoczy w najmniej odpowiednim momencie” - pomyślał ponuro.

t - W prawo! Odbij w prawo! - krzyknął do Larry'ego, nie odrywając wzroku od prostego krzyża celowniczego.

| - Dobra! - krzyknął w odpowiedzi Larry i trącił kierownicę. Obraz zmienił się i Eddie pokręcił głową. I - Za bardzo! Za bardzo!

f Tym razem Larry nie odpowiedział, ale „Outlaw” znowu zmienił lekko kurs i Eddie zaczął energicznie kiwać głową.

I - Dobrze! Jest dobrze! - wrzasnął. - A teraz dokopmy sukinsynowi! I - Dobra! - ryknął Larry i maksymalnie przyspieszył.

Eddie chwycił się czegoś, rozpaczliwie starając się utrzymać równowagę udało mu się jednocześnie nie oderwać wzroku od celownika, gdyż „Outlaw” przestał podskakiwać. Łódź wzniosła się na fale i zaczęła się po nich ślizgać, przecinając je jak pocisk.

* * *

- Przygotować się! Ale jeśli ktoś wystrzeli, zanim wydam rozkaz, każę 80 powiesić! - ryknął Vadgaard do kanonierów, a potem spojrział w górę na oficera nawigacyjnego „Christianii”. Inaczej niż w przypadku nieduńskich okrętów wojennych, Vadgaard był marynarzem, a niejednym z tych „kapitanów”, których wybrano (przynajmniej teoretycznie) ze względu na ich doświadczenie bitewne, bez względu jednak na to, czy te bitwy odbywały się na lądzie, czy na morzu, oficer nawigacyjny „Christianii” nie wątpił, że to właśnie on powinien zajmować się manewrami statku, ale Vadgaard nie miał zamiaru nikomu oddawać władzy. Nie teraz, kiedy „Christiania” była jedynym statkiem w jego szwadronie, który mógł bezpośrednio kontrolować.

- Na lewą burtę - rzekł cicho do sternika.

- Tak jest, panie admirale - potwierdził sternik. Bukszpryt „Christianii” skierował się w lewo, a na pokładzie zatopotali marynarze biegnący przytrzymać żagle.

Obserwując zbliżających się Amerykanów, Vadgaard zdał sobie sprawę, że się mylił - atak nie był skierowany bezpośrednio na „Christianie”. Ale to nie on źle ocenił sytuację - po prostu nie zdawał sobie sprawy, ile jeszcze prędkości ma w rezerwie ta diabelska łódź. To, co wyglądało jak obrót wyrównujący jej pozycję wobec „Christianii”, tak naprawdę ustawiło ją wprost na „Anthonette”, która znajdowała się dwie długości statku przed okrętem flagowym Vadgaarda.

Amerykańska łódź przyspieszyła do absolutnie niemożliwej prędkości w czasie krótszym niż uderzenie serca. Już nie orała wody jak przedziwny lemiesz, odkładając białe bruzdy fal na boki. Teraz przecinała fale, a połowa smukłego, ostrego kadłuba wystawała z wody.

Atakowała prosto w serce dowodzonych przez niego statków.

Hans obserwował, jak „Outlaw” przyspiesza. Eddie i Larry powiedzieli mu, co Jack Clements sądzi o maksymalnej prędkości tej łodzi, ale wtedy Hans nie wierzył. Prawdę mówiąc, był przekonany, że „robią sobie jaja”, jak lubili mówić. To po prostu wydawało się niemożliwe, żeby łódź mogła pędzić po wodzie prawie tak szybko jak „Belle” w powietrzu! Teraz już wiedział, że wcale nie robili sobie jaj, choć właściwie „Outlaw” nie pędził po wodzie. Nawet z takiej wysokości Hans widział, że dziób łodzi wystaje ponad fale, jak rekin wynurzający się na powierzchnię po swojej ofiarę.

* * *

Świat składał się ze skrzydeł z białej piany, lecących nad lodowatą błękitną wodą. Był kadłubem z włókna szklanego, na wpół zanurzonym, na wpół unoszącym się w powietrzu. Był rykiem silnika, miażdżącymi uszy uderzeniami o grzebienie fal Bałtyku i wyciem wiatru wokół kanciastej tarczy.

Eddie Cantrell trzymał się lewą ręką włazu, ale mimo to jakoś udało mu się obserwować przez toporny celownik powiększający okręt. Prawą dłonią sięgnął do zwyczajnego przycisku od dzwonka do

I drzwi i, przyczepionego absurdalnie zaraz poniżej celownika. Nie był przygotowany na tak szybką zmianę zasięgu, ale prędkość „Outlaw” i wyeliminowała przynajmniej z równania podskakiwanie łodzi - mimo wstrząsów motorówka ślizgała się miarowo w kierunku Duńczyków.

Nagle pojawił się kolejny dźwięk, głośniejszy nawet niż ryk „Outlaw”. Zabrzmiał jak uderzenie pioruna i wysłał w powietrze chmury brudnego dymu, który wirował jak mgła. Na wodzie pojawiły się białe stalagmity - Duńczycy zaczęli strzelać. Jednak kanonierzy, choć nie brakowało im ogólnego doświadczenia, nie mieli wprawy w szacowaniu prędkości takich łodzi jak „Outlaw”. Żadna z salw nie wylądowała nawet w pobliżu atakującej motorówki. Prawdę mówiąc, Eddie prawie ich nie zauważył - zbyt był skupiony na celu. \ Wszystko działo się za szybko - nie było czasu, żeby się zastanowić i dokładnie oszacować zasięg. Poza tym przy takiej prędkości niedługo ■trzeba będzie zmienić kurs... chyba że chcą wbić się łodzią w cel razem z raketami!

Począł jeszcze ułamek sekundy i nacisnął kciukiem przycisk. Obwód elektryczny został zamknięty. Prąd przebiegł przez proste izolowane przewody cło zapalników, które były nauczyciel chemii zamontował w dwudziestocentymetrowych pociskach raketowych na czarny proch.

* * *

\ Przez chwilę Vadgaard myślał, że statek Amerykanów wybuchł.

i. Wydawało się, że cały zniknął w ogromnym błyskającym ryku płomieni i potężnej fali dymu. Jednak złudzenie rozwiązało się tak szybko, jak szybki) się pojawiło. Z chmury płomieni wynurzył się statek, za nim ciągnął się dym... a osiem ognistych pocisków pędziło w ich kierunku, pchałych gorącym oddechem smoka. I Prosto na „Anthonette”.

Tarcza zadziałała. Eddie czuł się tak, jakby każdy jego włos został przypalony, ale w rzeczywistości tarcza ochroniła ich przed podmuchem. Natomiast nikt nie przewidział, że zapanuje taki chaos - nagły oślepiający wybuch ośmiu potężnych rakiet był nie do opisanego. Nie wyrządził im żadnej krzywdy, ale gdyby wcześniej wiedzieli, że się zbliża, pewnie nie zostaliby w pobliżu.

Jednak nie wiedzieli wcześniej. Larry Wild jeszcze nigdy nie doświadczył wybuchu płomieni i dymu za grubą, znajdującą się na wysokości oczu szklaną sześćdziesięciocentymetrową osłoną i musiałby chyba być nadczłowiekiem, żeby się nie wzdrygnął.

* * *

Tesdorf Vadgaard podskoczył na widok pocisków. Nie dlatego, że nigdy wcześniej nie widział dymu i płomieni. Szczerze mówiąc, pod wieloma względami ta nowa broń była mniej przerażająca, niż wpatrywanie się w burtę statku i wyloty dziesiątek luf wypływających płomienną nienawiść. Jednak nikt urodzony w czasach Vadgaarda nic miał doświadczenia z czymś takim - prostymi jak od linijki smugami dymu, ryczącymi czarnymi potworami z płomienistymi ogonami, okrutnymi wybuchami, goj pięć z nich uderzyło w burtę „Anthonette” jak młot samego Thora.

Trzy z nich nie trafiły w statek - jeden spadł do wody, a drugi trafił jedną z łodzi rybackich, które Vadgaard zarekwirował do pomocy przy transportowaniu ochraniających przez siebie oddziałów. Wybuch pośrodku nieszczęsnych piechurów zmasakrował ich jak stłoczone zwierzęta i rozerwał cienki kadłub na części. To, co pozostało z łodzi rybackiej, zatonęło w ciągu paru minut.

Trzeci pocisk wybuchł na grotmaszcie brygu transportowego. Maszt pękł jak młode drzewo w czasie tornado, a statek przechylił się na bok, gdy palące się pozostałości grotzagi zapaliły takielunek. Pożar szalał, pochłaniając smołowane olinowanie.

Vadgaard nie miał zielonego pojęcia, ile prochu było w tych pociskach, ale nie miało to żadnego znaczenia. Jeden z tych, które trafiły „Anthonette”, odbił się od jej kadłuba.

Kolejny wybuchł w momencie zetknięcia ze statkiem, tworząc dymiący krater na jego burcie. Kolejne dwa zaryły w grubą belkę, a potem wybuchły, tworząc ogromne, poszarpane dziury i miażdżąc poszycie jak młoty kowalskie. Wyrzuciły również gejzery płonących szczątków na olinowanie i ożaglowanie - powstały w ten sposób pożar strawiłby wszystko, ale nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż piąty pocisk trafił bezpośrednio w furtę armatnią i eksplodował wewnątrz statku.

Siła wybuchu wzbijała się przez pokład „Anthonette” huraganem dymu, ognia, drzazg i szczątków ludzkich. Upadł grotmaszt - początkowo powoli, a później nabierając prędkości - gdy wstrząsający wybuch przeciął go jak siekiera tuż nad poziomem pokładu. Płonące szczątki statku zapoczątkowały kolejne pożary na całym głównym pokładzie, ale nie mogły się one równać z falą płomieni płynącą kaskadą przez środkowy pokład. Falą płomieni, która odnalazła skład amunicji.

* * *

Eddie odczuł eksplozję jak uderzenie i zalała go fala triumfu. Udało się! Jednak w tym samym momencie, gdy zdał sobie z tego sprawę, musiał się czegoś chwycić, gdyż Larry instynktownie wzdrygnął się przed podmuchem i „Outlaw” ostro skrzył w lewo. Gdyby poruszali się wolniej, tylko trochę by podskoczyli i zobaczyli lekkie odchylenie na śladzie

Zostawianym przez łódź. Ale mknącą z niesamowitą prędkością łódź za-rzuciło na burtę w szaleńczej, pełnej rozbryzgów wody bezradności.

To był niby drobiazg, ale jednak niebezpieczny ze względu na prędkość łodzi i dlatego, że nieplanowana zmiana kursu skierowała ich bezpośrednio na burtę „Christianii”.

* * *

Wydawało się, że czas się zatrzymał, fragmenty czegoś, co jeszcze niedawno było „Anthonette”, wzbily się w powietrze jak płatki ohydneho kwiatu, a Vadgaard aż skulił się przed jego wściekłością. Ogień był śmiertelnym wrogiem każdego drewnianego statku i Vadgaard wyczuł panikę która ogarnęła oficera nawigacyjnego „Christianii”, gdy ognisty deszcz szczątków zaczął spadać do wody. W zupełności rozumiał tę panikę, ale sam nie miał czasu, żeby ją odczuć.

Amerykanie zniszczyli trzy z jego statków i zabili setki ludzi za pomocą swej przerażającej broni, ale mimo wszelkich cudów, jakie posiadali, nie byli bogami. Byli śmiertelnikami, i gdy ostro skręcili ster, żeby uchronić się przed skutkami własnego ataku, zmieniony kurs popchnął ich tam, gdzie Vadgaard mógł ich dorwać. Poruszali się z taką prędkością, że nie mogło być mowy o celowaniu i nie było sensu tego robić, ale Tesdorf Vadgaard nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby przynajmniej nie spróbował.

Miał w ręku szablę - nie pamiętał, kiedy ją wyciągnął - i machnął nią zawzięcie na przechylający się na bok amerykański statek. - Ognia! - krzyknął.

* * *

To był koniec świata.

Tylko jedna kula wystrzelona z burty „Christianii” dotarła do celu. Trzy-sta lat później piloci nazwaliby coś takiego fuksiarskim trafieniem, które nigdy nic powinno mieć miejsca.

Ale miało.

Eddic Cantrell miał zaledwie ułamek sekundy, żeby zobaczyć, jak roz-trzaskuje się prawa część kokpitu „Outlaw”, gdy kulisty żelazny topór o średnicy dwunastu centymetrów wbija się w szklane włókno. Odłamki wyleciały w powietrze jak miniaturowe topory, a Bjorn Svedberg tylko krzyknął, gdy jeden z nich wbił się w jego klatkę piersiową.

Larry nie krzyczał. Ten sam pocisk dosłownie przeciął go na pół... chwilę po tym, jak trafił w lewą nogę Eddiego.

* * *

Hans widział to wszystko.

Jeszcze parę sekund wcześniej walił pięścią w kolano z radości, że duńskie statki wybuchają. Potem zobaczył, jak „Outlaw” przechyla się na bok, błyska wylot lufy i z burty „Christianii” wydobywa się dym. Wielka motorówka zachwiała się, potem szaleńczo obróciła i prawie wyróciła do góry dnem, a Hansowi wydawało się, że mroźna pięść ścisną go za serce, gdy zdał sobie sprawę, że nikt jej nie kontroluje.

* * *

1633 537

; Eddic nie mógł uwierzyć, że ciągle żyje.

Właściwie nie czuł bólu... Jakaś odległa część jego umysłu domyśliła się, że to w wyniku szoku, gdyż nie miał lewej stopy. Przemknęła mu przez głowę myśl, że to musi strasznie boleć, ale nic nie czuł. Uniósł głowę, starając się wypatrzeć resztę załogi, potem od razu się odwrócił, pisał Larry'ego i Bjorna nic już nie mógł zrobić, a po chwili zorientował się, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, również i on podzieli los swych kompanów.

Jego ręce poruszały się tak, jakby należały do kogoś innego - wyjęły ze spodni pasek i zacisnęły go wokół łydki najmocniej jak się dało. Nie była to idealna opaska uciskowa, ale tylko taką miał - przynajmniej odrobinę zatamowała krwawienie.

Silniki „Outlaw” ciągle wściekle ryczały i poczuł, że łodziąjeszcze raz szarpnęło. Część mózgu, która ciągle uparcie funkcjonowała, zaczęła się zastanawiać, dlaczego łódź jeszcze się

nie wyróciła albo na coś nie wpała, ale on nie miał czasu o to się martwić. Gdzieś tam jest wybrzeże i jeśli wpłynie tam na pełnej prędkości...

\ Przeważał się na brzuchu po zakrwawionym pokładzie, starając się nie myśleć o Larrym i Bjornie. Trwało to wieczność, ale w końcu dotarł Ido roztrzaskanego siedzenia Larry'ego. Poczł maleńkie ukłucie wdzięczności, że pocisk, który zabił jego przyjaciela, jednocześnie wyrzucił stąd jego ciało. Nie wiedział, czy w przeciwnym razie zmusiłby się do zbliżenia do steru.

(Podciągnął się na rękach, stanął z wysiłkiem na zdrowej stopie i zgiął się, żeby wyrzeć przez otwór w tarczy.

I W ciągu paru sekund, które mu pozostały, zrozumiał, że dotarcie do [kierownicy trwało odrobinę za długo.

* * *

* Hans położył ostro samolot na skrzydle, usiłując nie stracić z oczu jDutlaw", który jeszcze raz obrócił się w prawie niemożliwy sposób. :łszedł niżej, rozpaczliwie starając się coś zobaczyć; wydawało mu się, że ;dostrzega jakiś ruch na kokpicie. Nie był jednak pewien i aż zgrzytnął Zębami, gdy łódź ponownie się obróciła.

[i Biały grot z włókna szklanego zostawiał po sobie kropelki wody i piana, ustawiając się na nowy kurs - Hans usłyszał swój własny głos wykrzykujący bezsilny protest, gdy zorientował się, co się zaraz wydarzy. I Coraz więcej duńskich dział strzelało, i to bardziej z desperacji niż zemsty. Wystrzały zakryły poranek dymem i błyskami z otworów dział.

podziurawiły Zatokę Wismarską białymi trąbami wodnymi wokół „Outlaw", ale teraz motorówka wydawała się mieć szczęście. Przedarła się, ignorując wysiłki Duńczyków, żeby ją zniszczyć.

Z drugiej jednak strony nie potrzebowała Duńczyków - jej własne wyjące silniki były jej katami. Trzypółtonowy młot kowalski z ponad setką galonów benzyny i dwudziestoma czterema dwudziestocentymetrowymi pociskami uderzył w ośmiusettonowy okręt wojenny z pięćdziesięcioma ośmioma działami z prędkością przekraczającą sto dziesięć kilometrów na godzinę.

* * *

Radość Vadgaarda zmieniła się w przerażenie, gdy amerykański statek zderzył się z „Johannesem Ingvardtem". Od razu się domyślił, że jego rozpaczliwy atak z burty jakoś trafił, mimo niesamowitej prędkości celu. Zdał sobie również sprawę, że było to dzieło przypadku - patrzył z niedowierzaniem, jak kilwater zostawiony przez łódź skręca się i zapętla jak rozwścieczony wąż wijący się w agonii; widać było, że przy sterze nie ma nikogo żywego. Jednak chwilę potem łódź odwróciła się po raz ostatni i rzuciła się w sam środek jego szwadronu jak grot zemsty. Gorączkowe wysiłki „Johannesa Ingvardta", żeby powtórzyć szczęśliwy strzał „Christianii", nie powiodły się i po chwili oba statki zniknęły w kolejnej eksplozji, która wyrzuciła świeżą porcję szczątków w kierunku szarego od dymu nieba.

* * *

Hans poczuł, jak wybuch wyrywa mu serce z piersi. Wpatrywał się we wznoszący się dym, w miejsce, gdzie dwaj bracia, którzy uratowali życie jego i jego rodziny, zakończyli swój żywot. Poczł, jak narasta w nim skowyt.

Tam. To ten statek. Ten, którego ostrzał najpierw uszkodził „Outlaw", a potem posłał go w zygzakowaty taniec ku śmierci.

Położył się na skrzydle, opuścił dziób samolotu i ustawił kurs na zabójcę swych braci.

* * *

Vadgaard nie wiedział, co go skłoniło do oderwania wzroku od umierającego „Johannesa Ingvardta". Może był to po prostu instykt. A może co innego. To nie miało znaczenia.

Spojrzał w górę i zobaczył, jak latająca maszyna kieruje się wprost na „Christianie”. Coś w prostej, niezmiennej linii jej kursu uzmysłowiło mu nagle, że się mylił, gdy twierdził, że jest nieszkodliwa.

Nic sposob było unieść działa „Christianii” na tyle wysoko, żeby trafić lecący cel, ale Vadgaard miał na statku również piechotę przeznaczoną do objęcia stanowisk w Wismarze - ryknął więc gorączkowe rozkazy.

* * *

li. Cel Hansa zbliżał się szybko, gdy patrzył na niego przez zaimprovizowany celownik. Na pokładzie statku panowało poruszenie, ale nie zwracał na to uwagi. Całym swoim jestestwem skupił się na przekładni biegunów i sterze, na utrzymaniu celu. Sięgnął do przełączników. W związku z ich niewielką precyzją był zdecydowany nie wystrzeliwać pocisków aż do ostatniej chwili. Samolot był uzbrojony jedynie w cztery rakiety, na przełącznikach 3, 4, 5 oraz 6, mógł więc wszystkie odpalić za jednym zamachem.

* * *

Ā Z latającej maszyny wydobyły się świeże płomienie i Vadgaard usłyszał, jak ktoś krzyczy. Mogły to być przekleństwa albo modlitwy - jedno i drugie mogło zadziałać równie dobrze... lub równie słabo. I Z niebios spadły jeszcze trzy pociski i tym razem nie było wątpliwości, gdzie zostały wycelowane. Jeden nie trafił. Drugi trafił w pokład, przebił się przez niego, ale jakimś cudem nie wypalił. Natomiast trzeci trafił prosto w środek fordeku i wybuchł zaraz w momencie uderzenia. Podmuchał szarpnął żołnierzy na boki, fokmaszt zachwiał się jak pijany i runął, a ze szczątków poleciał w górę dym. Rozkazy walczyły z paniką - oficerowie starali się przywrócić porządek i zgasić płomienie, zanim „Christiania” pójdzie w ślady „Anthonette” i „Johannesa Ingvardta”.

Vadgaard wrzasnął do muszkieterów zebranych pośrodku pokładu, żeby strzelali do maszyny, która ciągle się zbliżała. Wreszcie dyscyplina wygrała ze strachem i wybuchła salwa.

} Latająca maszyna przemknęła bardzo nisko, wydając z siebie zacinające się buczenie - Vadgaard nie mógł stwierdzić, czy ją trafili, ale gorąco modlił się, żeby tak było.

* * *

Młot uderzył Hansa w brzuch i młody człowiek na chwilę znalazł się Z powrotem na zakrwawionym polu pod Badenburiem. Już drugi raz kula trafiła go w to miejsce, ale tym razem nie stracił przytomności. Spojrzał w dół i zakrył dziurę w kurtce lewą dłonią. Nie miało to jednak znaczenia. Do pulsującej powodzi gorącej krwi doszedł ból i Hans już wiedział. I Przez jego umysł przemknęło kolejne wspomnienie. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Sharon, myślał, że jest wysłanym po niego aniołem śmierci, później jednak odkrył, że tak naprawdę jest aniołem życia, który go uratował. Jednak tym razem, mimo że była całkiem blisko, była za daleko. Poczł, jak siły wypływają z niego razem z krwią, i wiedział już, że nie ma szans, żeby wytrzymał lot do Wismaru i lądowanie. Nie z taką raną. Poza tym nie tylko on został trafiony przez muszkieterów. Urządzenia sterujące chodziły ciężko i z oporami - jego własne obrażenia nie mogły być tego przyczyną. Nie miał nad samolotem takiej kontroli, jak by chciał ale to musiało wystarczyć.

* * *

- Hans! Hans, do cholery, odezwij się! - Jesse prawie krzyczał do mikrofonu, lecąc tak szybko jak mógł w kierunku chmur dymu unoszących się na poziomie morza.

Nie było odpowiedzi i Jesse mocno zacisnął szczękę.

Nie wiedział, co się tu wydarzyło, ale raporty radiowe, które otrzymał od Louie'ego Tillmana, powiedziały mu wystarczająco wiele. Początkowy atak Eddiego i Larry'ego był bardziej udany, niż Jesse mógł kiedykolwiek przypuszczać... ale zakończył się kompletną katastrofą. „Outlaw” zatonął - tego Tillman był pewien - a razem z nim obaj chłopcy. Ale nie to przerażało Jesse'ego, gdyż nic nie mógł na to poradzić - było już za późno. Louie wspominał

również o szalonym, przeprowadzonym bardzo nisko ataku Hansa na duński statek, który zniszczył „Outlaw”. Hans nie odezwał się do nich jeszcze ani słowem.

- Hans, wiem, że mnie cholernie dobrze słyszysz! - warknął Jesse. -Odpowiadaj. Cisza. Był już jednak wystarczająco blisko, żeby zobaczyć dym i szczyt-ki, jakie pozostały z floty najeźdźców. Niektórzy Duńczycy już zmienili kurs i uciekali w kierunku Lubeki, byle dalej od tych demonów, które zro-biły wśród nich takie spustoszenie. Niektórzy sprawiali wrażenie, że dalej chcą kierować się na Wismar, a kilka statków gorączkowo starało się udzie-lić pomocy znajdującym się w lodowatej wodzie żołnierzom, zanim umrą / wychłodzenia. Jednakże większość statków wydawała się kręcić w kół-ko - Duńczycy ciągle byli zszokowani i dezorientowani po tym, co si\111 wydarzyło. Jesse widział, że dwie pozostałe motorówki unoszą się na wo-dzie między Duńczykami a Wismarem, zobaczył również, że jeden z bry-gów zmienił kurs, byle tylko do nich się nie zbliżyć.

Ale Hans? Gdzie jest Hans?

Jesse rozpaczliwie starał się wypatrzeć „Belle”. Musi gdzieś być, ale gdzie?

Wtedy go zobaczył. Samolot kręcił się po szerokim, dziwnym kole. Pod prawym skrzydłem ciągle wisiała jedna rakietka. Najwyraźniej zawiódł mechanizm odpalający - nie było to zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę i prowizoryczną instalację - ale to nie dlatego serce podeszło Jesse'emu do : gardła. Zagryzł wargę, gdyż dostrzegł ciągnącą się za samolotem wąską i wstęgę dymu. Wyraźnie widoczne srebrne pasmo mogło być tylko benzy-Ba... co oznaczało, że Hans przynajmniej raz oberwał.

Jesse utrzymał kurs, pędząc ku drugiemu samolotowi, a potem prze-rzucił się na kurs Hansa.

h - Hans? - Ponownie spróbował porozumieć się z nim przez radiosta-\ cję. Znowu bez odpowiedzi. Z lodowatą pewnością zrozumiał, dlaczego tak się dzieje, gdy utrzymując się niedaleko lewego skrzydła samolotu |Hansa, dostrzegł sześć dziur w laminacie.

Podleciał tak blisko, jak tylko się dało i jeszcze mocniej zagryzł wargę, gdy zobaczył Hansa. Jego głowa zwisała ciężko na pierś, a on sam wyda-wał się zupełnie nieświadomy, że Jesse jest tuż obok od ponad półtorej minuty. Jednak po chwili powoli odwrócił głowę. Był za daleko, żeby i Jesse dostrzegł wyraz jego twarzy, ale sposób, w jaki siedział, i to, jak wolno obracał głowę, wskazywało, że jest ciężko ranny. I Jesse zaczął gorączkowo gestykulować, żeby Hans wrócił do Wismaru i wylądował. Ten przyglądał mu się przez pustkę między samolotami i po-woli pokręcił przecząco głową.

I Jesse jeszcze raz dobitniej wskazał na Wismar i Hans zmienił kurs. Ale nie na Wismar.

Zamiast tego powoli skręcił w prawo, w kierunku otwar-tego morza i Jesse już wiedział, co zamierza uczynić. I - Nic, Hans - wyszeptał. - Proszę. To po prostu pieprzona bitwa, którą już i tak wygraliśmy. - Ale w momencie, gdy to mówił, wiedział, że to na pic. Nawet gdyby radiostacja Hansa nie była uszkodzona, i tak by nie

Wsluchał. Nie teraz. I Jesse nie miał szans go powstrzymać. Nikt nie miał. Dla Hansa Richtera to nie była po prostu bitwa. To nie była nawet wojna. ■ To ci siedzący w swych pałacach prowadzili wojny z jakichś niepoję-tych powodów, które im wydawały się słuszne. Walczyli na pogruchota-nych kościach niemieckich rodzin, deptali wnętrzości niemieckich ma-tek, wyrzynali ojców w ich małych sklepach. Hans Richter wyruszył na 'krucjatę.

I Osierocony brat ulepiony z tej samej gliny co Gretchen. Ona wystar-czająco często była jego stalowym aniołem, teraz role miały się odwrócić.

Jesse patrzył, jak samolot Hansa obniża lot. Patrzył, jak Hans koryguje kurs, wykorzystując przyswojone umiejętności i nabytą pewność siebie Patrzył, jak samolot przyspiesza.

* * *

- Wraca!

Na ten okrzyk Vadgaard odwrócił się od ludzi walczących z ogniem. Płomienie były już prawie opanowane, ale jeśli latająca maszyna wystrzeżli jeszcze jakieś pociski... Problem w tym, że teraz to nie była jedna latająca maszyna, ale dwie. Serce podeszło Vadgaardowi do gardła. Ileż ci Amerykanie mają tych diabelskich maszyn? I co ma zrobić z nimi i dwoma przekłętymi statkami znajdującymi się pomiędzy nim a jego celem? Wtedy zorientował się, że jedna z latających maszyn nurkuje. Nie odbyło się to tak, jak przy pierwszym ataku. Tym razem zanurkowała pod ostrzejszym kątem i szybciej. I nie kierowała się na „Christia-nie”. Tym razem zmierzała ku „Lossen”, jednemu z dwóch statków, jakie mu pozostały. Wstrzymał oddech, oczekując kolejnego deszczu zabójczych pocisków. Ale ten nie nadszedł. Potrzebował tylko chwili, żeby zrozumieć dlaczego.

* * *

Hans żałował, że jego radiostacja nie działa. Właściwie to i tak wiedział, co Jesse mu rozkazywał, ale przecież nie było sensu słuchać tego rozkazu. Nie przy tak obfitym krwawieniu. Jego myśli rozmywały się z powodu szoku i utraty krwi, ale mimo to chciałby się pożegnać. Z Jesse'em... ale najbardziej z Sharon. Patrzył, jak zbliża się do statku z trzydziestoma działami, ale tak na-prawdę go nie widział. Już nie. Widział teraz jedynie ciemnoskórą twarz, która się do niego uśmiecha, i do której uśmiechnął się w odpowiedzi.

W Bożym ogniu stali

^Rozhzał 48

DO: PRZEWODNICZĄCY, POŁĄCZONY KOMITET SZEFÓW SZTABÓW
O INFORMACJI: SZEF SZTABU, WOJSKA LĄDOWE OI): SZEF SZTABU, SIŁY
POWIETRZNE TEMAT: RAPORT PO AKCJI, OBRONA WISMARU *

Panie admirale:

I. Celem tego raportu jest przedstawienie szczegółów działalności sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych w walce o obronę miasta Wismar 7 października 1633 roku. Tego dnia połączone siły marynarki wojennej i sił powietrznych pod dowództwem kapitana Edwarda Cantrella (marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych) z powodzeniem odparły atak duńskiej floty pod dowództwem (jak później ustalono) admirała Tcsdorfa Vedgaarda z Królestwa Danii (szczegóły dotyczące sił zbrojnych nieprzyjaciela w zakładce A). W czasie akcji

zginęło kilku żołnierzy armii Stanów Zjednoczonych, w tym dowódca obrony, kapitan Cantrell...

Jesse nalał sobie kolejny kieliszek miejscowego bimbrowa i zapatrzył się na początek leżącego przed nim raportu. Nie wiedział, co się wcześniej skończy bimbrowa czy jego zimna krew. „Ty tchórze! - zwymyślał sam siebie. - Przecież twoja wiedza o operacjach militarnych była tysiąc razy większa niż wiedza tego dzieciaka.

Powinieneś być mu bardziej pomóc, wymyślić bardziej skoordynowany plan. O co właściwie chodziło z tym pieprzeniem, że jesteście tu tylko jako wsparcie?”.

Wrócił do pisania i w końcu zaczął zbliżać się do końca.

Gdy ciągle groźna armia wroga usiłowała się zmobilizować, kapitan Richter przypuścił ostateczny atak na duży i wówczas jeszcze nieuszkodzony duński okręt wojenny „Lossen”. Pomimo obrażeń kapitan Richter wyprowadził uszkodzony samolot w górę i uderzył nim w śródkręcie, wywołując pożar. W wyniku eksplozji statek został zupełnie zniszczony - ogień prawdopodobnie dotarł do składu amunicji. Po zniszczeniu „Lossen” reszta duńskiej floty wycofała się na zachód, nieustannie nękana przez pozostałą część sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych, aż do wyczerpania amunicji. Szacowane straty wroga znajdują się w zakładce D. Raport uzupełniający dotyczący ocalałych znajduje się w zakładce E; po wycofaniu się duńskiej floty powrócili oni do Wismaru.

7. Pełen raport dotyczący skuteczności broni zostanie dostarczony osobno. Jednak według szefa sztabu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, rakiety, które mogą być obecnie konstruowane, nie są optymalną bronią do ataku z powietrza. Skuteczność ataku rakiętowego na duński okręt flagowy „Christiania” była głównie zasługą dzielności kapitana Richtera, a nie przydatności samej broni. Należy podkreślić, że ta sama broń, użyta z większego dystansu przez ocalałą część sił powietrznych, doprowadziła jedynie do nieznacznych zniszczeń duńskiej floty. W mojej opinii jako szefa sztabu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, trzeba dołożyć wszelkich starań, aby stworzyć skuteczne techniki bombardowania do wykorzystania w przyszłych konfliktach zbrojnych.

Jesse dolał sobie alkoholu.

„To dlaczego nie zaatakowałeś, tak jak chciałeś, bohaterze? Ach tak. to magiczne słowo »obowiązek«. Przecież na całym świecie został tylko jeden samolot. Jesteś pewny, że to nie było tchórzostwo?”.

8. Podsumowując, porażka duńskiej floty wynikała bardziej z zaścoczenia i zdecydowania sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych pod dowództwem kapitana Cantrella niż z przewagi uzbrojenia czy taktyki. Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych powinny natychmiast zrewidować pojęcie operacji łączonych z czasów sprzed Ognistego Kręgu, aby zapewnić większą skuteczność działania.

Joseph J. Wood,

pułkownik, szef sztabu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych,
Lotnisko Richtera, Wismar.

Załącznik: Panie admirale, wydaje mi się, że naszym wspólnym obowiązkiem jest odtworzenie systemu nagród i odznaczeń. Sądzę, że chciałby pan sam zaproponować odpowiednią według pana nagrodę dla kapitanów Cantrella i Wilda, i w pełni popieram

wszelkie pańskie propozycje. Załączam swoje rekomendacje dla kapitana Richtera w zakładce F. Wolałbym, żeby Hansowi przyznano Medal Honoru, ale wygląda na to, że mogę swobodnie rozporządzać jedynie Lotniczym Krzyżem Walecznych. Niecierpliwie czekam, żeby politycy zrobili, co trzeba.

Joseph J. Wood,

plk, szef sztabu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych

L. Jesse skończył i wstał, żeby zanieść wiadomości do operatora radiostacji. Przez chwilę przyglądał się resztkę bimbru na stole. Zdziwił się, że zostało jeszcze pół butelki. Już zaczął po nią sięgać, ale po chwili prawie ze złością odwrócił się i zdecydowanym krokiem opuścił pomieszczenie. I „Mógłbyś stanąć przed Sharon przynajmniej na wpół trzeźwy”.

* * *

po krótkich poszukiwaniach odnalazł Sharon tam, gdzie zobaczył ją po raz pierwszy po wylądowaniu - na skraju lądowiska, wpatrującą się w morze. Przez tych kilka godzin, gdy Jesse przekazał przez radiostację natychmiastowy raport i zmusił się do napisania tego, co trzeba było napisać, zmieniło się tylko tyle, że teraz Sharon siedziała na ziemi.

Słońce już zaszło, ale niebo było jeszcze wystarczająco jasne, żeby mógł dokładnie widzieć jej twarz. Łzy już wyschły. Pomyślał, że pewnie nie ma już siły płakać.

Usiadł niezgrabnie obok niej. I - Sharon, przepraszam...

' - Nie przepraszaj, Jesse - odparła cicho, nie odrywając wzroku od miejsc na niewidocznym już horyzoncie, gdzie kilka godzin wcześniej słupy dymu oznaczyły stopy pogrzebowe jej narzeczonego i jego najbliższych przyjaciół. - Przynajmniej tyle jesteś Hansowi winny. Świat jest mu to winny.

Jej ciemne oczy zaszyły mgłą, ale Jesse odczuł ulgę, widząc w nich opamięnowanie. Przeszywał ją ból, ale nie dała się złamać. W tym momencie Jesse widział w twarzy dziewczyny rysy jej ojca - nie szorstkość czy niemal brzydotę, ale siłę.

- Hans nie był skomplikowanym człowiekiem, Jesse. Był bystry, ale nie skomplikowany. Sądzę, że dlatego się w nim zakochałam, mimo że jakaś część mnie samej uważała, że cały ten pomysł to wariactwo. Po prostu... nie mogłam się oprzeć temu nieskomplikowanemu uwielbieniu. - Przy ostatnim słowie zaczerpnęła szybko powietrza. Zakryła usta, starając się ukryć swój żal.

Jesse również głęboko odetchnął, starając się zwalczyć łzy.

- Racja, nie był skomplikowany. Paladyni nigdy tacy nie są. Tak mi się przynajmniej wydaje, nie jestem pewien. Hans to był jedyny paladyn, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Z ust Sharon wydobył się na wpół szloch, na wpół śmiech.

- Paladyn! - Odsunęła rękę, ukazując smutny uśmiech. - Właściwie to całkiem niezłe określenie. Oczywiście jeśli nie zwracać uwagi na tę gadkę o cnotliwości. Bo cnotliwy nie był. Do uprawiania miłości podchodził z takim samym zapałem, jak do wszystkiego innego. Po chwili jej uśmiech zniknął.

- Boże, Jesse, tak bardzo będę za nim tęskniła. Tak bardzo. - Tak... Ja też.

Pokręciła głową.

- Ale jedno mi obiecaj - żadnych przeprosin. To umniejszałoby wagę jego poświęcenia i całego jego życia. Nie był wprowadzonym w błąd chłopcem. Nigdy tak nie myśl tylko dlatego, że nie był skomplikowany. Nigdy tak nie myśl.

Jesse zaczął szlochać. Sharon objęła go i mocno przytuliła. Jej oczy były wilgotne, ale nie płakała.

Uniosła odrobinę głowę. Na niebie pokazywały się gwiazdy - idealnie widoczne, gdyż nie było jeszcze powodzi światła, które pojawiły się w późniejszych wiekach.

- Wydaje nam się, że mrugają - mruknęła - tylko dlatego, że oddziela nas od nich powietrze. Same gwiazdy są czyste, jasne i proste. Nie my' tego, co widzisz, z tym, co naprawdę istnieje, Jesse. Hans Richter był

[naszą błyszczącą gwiazdą. I tylko tyle można powiedzieć. Teraz i na zawsze.

* * *

Wieczorem Mike znalazł Weronikę Dreeson w domu Simpsonów, gdzie I babcia Hansa mieszkała od przyjazdu do Magdeburga.

Admirał Simpson ciągle jeszcze był w swoim biurze w stoczni, więc drzwi otworzyła Mary Simpson, która wyszła z bazy marynarki godzinę [wcześniej].

- Nie miałam serca jej powiedzieć, panie prezydencie - wyszeptała, gdy tylko wszedł. - Chyba powinnam była, ale...

- To nie pani zadanie, pani Simpson, ale moje. - Zauważył, że Weronika jest pogrążona w lekturze i że siedzi wystarczająco daleko, żeby ich nie słyszeć. - Niech szlag to wszystko trafi - mruknął ze zmęczeniem. - Jak powiedzieć komuś, że naród, który uratował połowę jej rodziny, właśnie znowu ją rozbił?

Nie musiał jednak mówić. Kiedy wszedł do pokoju, Weronika wyczytała wszystko z jego twarzy. I - Który? - zapytała.

Mike odwrócił wzrok.

-Ilu?

Ciągle nie był w stanie spojrzeć w te surowe stare oczy.

- Z Gretchen i Jeffem wszystko w porządku, Weroni... -Ilu?

- Wszyscy trzej. Wszyscy.

Cisza. Po chwili Weronika przemówiła cicho.

- Więc ich przepędzili, tak?

Mike'a zdziwiły jej słowa i w końcu na nią spojrział. Zobaczył, że na jej surowej twarzy nie ma śladów bólu, poza czymś ledwo dostrzegalnym jej oczach.

- Poznałam po twojej twarzy. Niewiele rozumiesz, Michaelu Stearn-sie. Może kiedyś pojmiesz różnicę między smutkiem i rozpaczą. Mam [nadzieję jednak, że nie będziesz musiał]. Chciałabym móc myśleć, że moi chłopcy nie żyli i nie zginęli na marne.

* * *

Tego samego wieczora również James Nichols usłyszał o wszystkim od Franka Jacksona.

Teraz siedział i wpatrywał się w ściany pustego domu; po raz pierwszy dotarło do niego, jak bardzo nie może się doczekać wnuka.

Pusty dom. Melissy nie ma. Sharon nie ma. Hans odszedł na zawsze.

Usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy otworzył, do środka wpadł Tom Stone razem z trzema nastoletnimi synami. Jeden z nich niósł kartonowe pudełko.

- Koszmarna sprawa - stwierdził Stone. - Naprawdę.

- Skąd wiesz? - spytał James.

- Teraz już wie praktycznie całe miasto - odparł najstarszy syn Toma, Frank. - Przed domem burmistrza Dreesona czeka mnóstwo ludzi, żeby złożyć kondolencje.

- Sami stamtąd wracamy - dorzucił któryś z pozostałych chłopaków, chyba Ron. - Annalise ciężko to znosi, ale stara się być dzielna. Byłoby jej dużo łatwiej, gdyby jej babcia tu była.

- Całe miasto jest wkurzone - rzekł Stone. - Naprawdę wkurzone. Te dzieciaki były... no wiesz. Wyjątkowe.

Przyjrzał się uważnie Nicholsowi.

- Myślałem, że ty też będziesz w nieciekawym stanie. To dlatego przyśzliśmy. Żeby dotrzymać ci towarzystwa i...

Wskazał na kartonowe pudełko, które trzymał w dłoniach jego syn Gerry. Pudełko było zakryte, więc Nichols nie widział, co jest w środku. Znał jednak Stone'a, więc sądził, że jest w stanie zgadnąć.

- Nie jestem w nastroju do zabawy - warknął. Stone wybałuszył na niego oczy.
- Ej, doktorku, spokojnie. To nie trawa. To kwiaty. Kwiaty też uprawiam.
- Yyy... - James poczuł się zażenowany. - Dzięki.

Wyciągnął rękę po pudełko, ale Stone chwycił go za ramię i zaczął prowadzić do drzwi.

- One nie są dla ciebie, doktorku. Są do kapliczki. Pomyśleliśmy tylko - skoro jesteś tatą Sharon i w ogóle - że zaszczyt złożenia tam pierwszych kwiatów powinien przypaść tobie.
- Jakiej kapliczki?

* * *

Kiedy go do niej zaprowadzili, James poczuł się podniesiony na duchu. Przynajmniej odrobinę. Stone i jego synowie już przygotowali pojemniki na kwiaty - dwie bardzo duże doniczki z terakoty, ustawione po obu stronach ścieżki. Prowadziła ona do kompleksu przyczep zamieszkałych po Ognistym Kręgu przez Jeffa Higginsa, Jimmy'ego Andersena,

Eddiego Cantrella i Larry'ego Wilda, którzy przygarnęli Hansa Richtera i jego rodzinę do swego domu i swych serc.

James stwierdził, że to całkiem stosowne. Walący się kompleks przyczep I był chyba najprawdziwszym symbolem tego, za co zginęli ci odważni młodzi ludzie. Na dodatek stary hipis w jakiś sposób wymyślił idealne epitafium. Na jednej doniczce było napisane: „Odszedł, ale my pamiętamy”. Na drugiej: „My trwamy”.

* * *

Następnego ranka admirał John Simpson siedział przy biurku i chyba po i dziesiąty czytał raport pułkownika Wooda, który otrzymał poprzedniego wieczora. Odłożył go i z zaciśniętymi szczękami podniósł łącznik, który ; kolei przeczytał już ze dwadzieścia razy. Jeśli gdzieś była szansa na lalezenie pocieszenia, to właśnie tam.

OFICJALNA POCHWAŁA DOŁĄCZONA DO LOTNICZEGO KRZYŻA WALECZNYCH DLA

KAPITANA HANSA RICHTERA Z SIŁ ZBROJNYCH STANÓW ZJEDNOCZONYCH.

Kapitan Hans Richter z pierwszej eskadry lotniczej sił >owietrznych Stanów Zjednoczonych wyróżnił się w walce powietrznej przeciwko wrogom Stanów Zjednoczonych w obronie i Wismaru 7 października 1633 roku. Tego dnia kapitan Richter otrzymał rozkaz udzielenia wsparcia marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych przy obronie strategicznie kluczowego miasta Wismar przed atakiem duńskiej floty. W reakcji na rozkazy kapitan Richter dostarczył siłom marynarki wojennej przygotowującej się do ataku na wroga niezmiernie ważnych taktycznie informacji. Ciągłe prowadził rozpoznanie, dopóki łańcuch dowodzenia nie został przerwany w trakcie operacji bitewnych. Zauważywszy, że nieprzerwany atak może zmusić wroga do odwrotu, kapitan Richter natychmiast przypuścił indywidualny atak na wrogi okręt flagowy. W czasie akcji poważnie uszkodził statek wroga kosztem własnych obrażeń i uszkodzenia samolotu. Pomimo ran kapitan Richter nie przestał nękać floty wojennej wroga. Następnie przypuścił atak na kolejny duński okręt wojenny i zniszczył go, odnosząc jednak śmiertelne obrażenia. Ten atak złamał w Duńczykach ducha walki i zapewnił

Wismarowi bezpieczeństwo. Dzięki odwadze i determinacji w obliczu wroga, kapitan Richter okrył chwałą swoją osobę i siły powietrzne Stanów Zjednoczonych, za co otrzymał Lotniczy Krzyż Walecznych.

Z rozkazu

Jesse'ego J. Wooda, pułkownika, szefa sztabu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych.

* * *

Niewielka pociecha, ale jednak. Od kiedy John Chandler Simpson otrzymał wiadomości, przypuszczał, że robi to samo, co pułkownik Wood -wymyśla sam sobie.

„Hierarchia służbowa. Strategia. Taktyka. Cały wachlarz. I w końcu do czego to się sprowadziło? Do odwagi młodych lwów”.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się starym człowiekiem.

* * *

Kiedy Mike wszedł do biura Simpsona, admirał siedział wyprostowany za biurkiem i wyglądał przez okno. Rzucił na niego okiem i powrócił spojrzeniem do okna.

Mike zamknął drzwi i zbliżył się do niego. Cały czas go obserwował. Twarz Simpsona nie była teraz „drewniana”. Wyglądała na wyciosaną z kamienia. Jasnego kamienia. Mike zrozumiał, że to jedyny sposób, w jaki ten człowiek ukrywa smutek.

* * *

- Chcę Krzyż Marynarki Wojennej dla kapitanów Cantrella i Wilda -rzekł gwałtownie Simpson. - I Srebrnej Gwiazdy dla maty Bjorna Sved-berga. Oczywiście wszyscy otrzymają też Purpurowe Serce.

Jego twarz ciągle była jak z kamienia.

- Proszę mi wybaczyć złe manieri. Niech pan siada, panie prezydencie. Kiedy Mike usadowił się po drugiej stronie biurka, admirał dodał:

- Mogę to zrobić według własnego uznania. Ustaliłem system odznaczeń marynarki wojennej już jakiś czas temu. - Słowa te zabrzmiały prawie jak wyzwanie.

- Nie będę się sprzeciwiał - rzekł spokojnie Mike.

Simpson oderwał wzrok od okna i spojrzał na Mike'a. Potem rzucił jeszcze gwałtowniej:

-A co pan proponuje dla kapitana Richtera? - Wskazał gestem na pochwałę, którą Mike widział już poprzedniego wieczora. - Pułkownik Wood przyznał mu już Lotniczy Krzyż Walecznych. Więcej nie może. Ale zgadzam się z nim - to za mało. Śmiertelnie ranny kapitan Hans Richter celowo wleciał samolotem w okręt wroga. Za to należy się przyznawany przez JCongres Medal Honoru, panie prezydencie. Przyznany pośmiertnie, jak w większości przypadków.

; Do jego głosu zaczął się przedostawać gniew. Mike ucieszył się, że go postrzega. Mógł dotrzeć do człowieka z krwi i kości, ale nie mógł nic poradzić na człowieka z kamienia.

i - Chyba powinienem dodać, że tak było w naszym starym świecie -niemal warknął Simpson.

- W nowym - kto wie? Chyba nawet nie ma przyznawanego przez Kongres Medalu Honoru.

Oczywiście o nim zapomniało.

| - Tak, zapomniałem - powiedział spokojnie Mike. - Przepraszam bar-Uzo. Natychmiast zarządę, żeby się tym zajęto. - Nic więcej nie dodał. Po prostu czekał.

Gniewne, lodowate spojrzenie Simpsona utrzymało się jeszcze przez arę sekund. Potem zamknął oczy, zaczerpnął głęboko powietrza i powoli je wypuścił przez na wpół otwarte usta.

- Przepraszam, panie prezydencie. Moje zachowanie było niczym nie-sprawiedliwione.

- Wręcz przeciwnie. To była porażka. Moja. Chyba nigdy nie myśla-em... nie chciałem... Ech, szlag. - On również wziął głęboki oddech. -Zajmę się tym, John. Jeśli to możliwe, nawet dzisiaj. Nie będzie żadnego

robieniu, wierz mi. Ramiona Simpsona opadły i jednocześnie z jego twarzy zniknęły

wszelkie ślady kamienia. Ciągle pozostała drewniana, to prawda, ale... [Taka była natura

Johna Chandlera Simpsona. Mike widział to teraz [w całej okazałości. Drewno jednak jest do przeżycia. | Simpson potarł ze zmęczeniem twarz.

I - To i tak wszystko pierdoły, Mike. To takie pożegnalne strzały czło-wieka, któremu trudno jest się przyznać, że nie miał racji. - Kiedy ode-jrwał rękę od twarzy i odwracał się w kierunku okna, niemal się uśmie-phał. - W ogólnym rozrachunku miałeś rację, prawda? Sądziłem, że jesteś palony, chcąc stworzyć kolejne Stany Zjednoczone na swój sposób. Z dnia jna dzień otworzyć bramy dla ludzi, którzy nie mieli naszego wykształce-nia, zwyczajów, tradycji...

[Mike wykrzywił usta.

Ł - Hm... To było ryzykowne przedsięwzięcie. Ciągłe jest, John. I to ry-tZykowne jak diabli. Na pewno przyda mi się twoja pomoc.

- Dostaniesz ją. - Simpson wypowiedział te słowa z całkowitą pewno-ścią. - Zdradziłbym tych chłopców, gdybym ci jej nie udzielił. Wszystko wychodzi w praniu. Pierwszy przyznany przez Kongres Medal Honoru przypadnie Niemcowi, i to zasłużenie. A pozostali dwaj młodzi bohatero-wie byli tymi, którzy od razu go przygarnęli i powitali z otwartymi ramio-nami. Z pewnością ja tego nie zrobiłem. Zacisnął pięść i huknął nią w stół. Nie był to gest wyrażający złość a po prostu... stanowczość. Mike przypuszczał, że w ten sposób Simpson finalizował transakcje.

- Do tego to się w końcu sprowadza, Mike - rzekł ze smutkiem. - Do odwagi czwórki młodych mężczyzn. Dwóch Amerykanów, Niemca i Szweda.

- Dwa baty wystarczą, John. - Śmiech Mike'a był oschły, ale nie zja-dliwy. - My, chłopcy ze wsi, mamy niższe standardy niż wy. Nie potrzeba przeprosin, a już na pewno nie pokuty. To ty ich wyszkoliłeś, pamiętasz? To ty stworzyłeś tę marynarkę wojenną, nie ja czy ktokolwiek inny. Tak jak Jesse stworzył siły powietrzne. Ich poświęcenie da wam - nam wszystkim - tradycję, której potrzebujemy, a przynajmmej jej zaczątki. Ale bez ciebie nie mogłoby się tak stać.

Simpson odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Mike'a. W oczach miał ból, który wcześniej też tam był, ale którego nie dało się tak łatwo dostrzec.

- Chcę tak myśleć, Mike - rzekł cicho, prawie szeptem. - W przeciw-nym razie nie jestem pewien, czy bym sobie z tym poradził.

- Tak, wiem. Mnie też to pomaga. Ale nie stanie się tak bez...

W tym momencie do pomieszczenia wpadł wyglądający na bardzo zmar-twionego Dietrich Schwanhauser.

- Proszę mi wybaczyć, admirale, ale generał Torstensson...

Sam Torstensson odepchnął ramieniem sekretarza Simpsona, zrobił dwa kroki do przodu i stanął w miejscu. Potem rzucił w kierunku Mike'a i Simpsona spojrzenie, które po części wyrażało gniew, po części rzucało wyzwanie i... co najdziwniejsze, zawierało więcej niż jedynie ślad czystej ciekawości.

-A więc! - wykrzyknął w mocno akcentowanym, ale niezłym angielskim. - Teraz zobaczymy. Prezydencie i admirale, grunt w mieście pał się nam pod stopami. Co proponujecie w tej sprawie zrobić?

Kiedy zbliżyli się z Simpsonem do portu marynarki wojennej, Mike zumał już, co się święci. Słowa wypowiedziane pospiesznie przez Nata avisa, który przybiegł ich powitać, tylko to potwierdziły. - Nie wiem, co się dzieje, admirale. - Nat miał twarz pomarszczoną rtwieniem i zmieszaniem. - Prawie nikt nie przyszedł dziś do pracy, sierżant Kohler mówił mi, że tak samo było z marynarzami. Mike przekrzywił głowę, nasłuchując. W oddali rozbrzmiewał niski po-k. Nie dało się rozróżnić słów, ale wiedział, że to odgłos zbierającego ogromnego tłumu. Rozpoznał jego dziwny wpływ na powietrze - jak o w jaskini. Czuł to już wcześniej, kiedy od czasu do czasu uczestni-ł w Waszyngtonie w masowych demonstracjach organizowanych przez ch związkowy.

Różnica była taka, że w tych demonstracjach tłum nie był rozzłoszczo-', a po prostu zdecydowany wyegzekwować - jak to ujmowała pierwsza prawka do konstytucji - „prawo odbywania spokojnych zebrań oraz ...) możliwość przedkładania rządowi petycji o zapobieżenie lub usunię-ie przyczyn niezadowolenia obywateli". Jednak to prawo nie zostało wprowadzone w całej Konfederacji, a je-nie w nowych Stanach Zjednoczonych. A poza tym mieszkańcy Mag-deburga nie byli raczej przyzwyczajeni do norm postępowania istnieją-cego od dawna społeczeństwa demokratycznego. Jasne było, że zbierali lię po to, żeby żądać zadośćuczynienia za krzywdy. Słyszac w odległym pomruku nutę wściekłości, Mike doszedł do wniosku, że ten tłum ra-czej nie będzie przywiązywał wagi do pojęć „petycja" i „spokojne ze-brania".

- Zaczyna się szaleństwo - stwierdził. - Wieści z Wismaru pewnie prze-pełniły czarę. Generał Torstensson wpatrywał się w niego z bezstronną ciekawo-ścią, jak gdyby był obserwatorem nieznanego mu zjawiska - kimś, kogo interesuje, co ma do powiedzenia na ten temat samozwańczy eks-pert.

Simpson zmarszczył czoło. Widać było, że jest zupełnie zdezorien-towany.

-Ale... dlaczego? Przecież wygraliśmy w Wismarze! Bez względu na to, ile nas to kosztowało, to jest jasne jak słońce. Dlaczego są źli? Czemu nie świętują?

Mike poczuł ukłucie gniewu. Mimo że zaczął rozumieć i szanować Simpsona - a nawet do pewnego stopnia go lubić - teraz gwałtownie do-tarło do niego, że ciągle dzieli ich przepaść. Simpson zawsze będzie pa-trzeć na świat z góry, a Mike - bez względu na stanowisko - z przeciwnej perspektywy.

„Spróbuj popatrzeć, jak ludzie, których kochasz, wypluwają z siebie życie z pylicą płuc, jak walczą zajadle z firmami, ich tak zwanymi „eks-pertami" i dziewięćdziesięcioma procentami rządu o każdy grosz, który mogą zarobić. Spróbuj, ty bogaty sukinsynu...".

Nie dokończył myśli, a właściwie ją urwał - nie było na nią czasu.

- Dlaczego są źli? Hm, John, zacznijmy od tego, że od piętnastu lat przyglądają się, jak niemieccy książęta gnębią ich i uciskają. Nawet Gu-staw został przez nich przyjęty jedynie na okres próbny. Dodaj do tego fakt, że ich życie przed wojną też nie było rajem.

Pokręcił głową.

- Wismar ich nie zezłościł. Złość już w nich tkwiła - złości, wściekło-ści, żalu i goryczy wypili już do dna. I mogę cię zapewnić, że widowisko, którego od paru tygodni są świadkami tu, w Magdeburgu - Mike wskazał oskarżycielsko na pałac, w którym Izba Książąt odbywała posiedzenia -tylko pogorszyło sprawę. Niemieccy książęta kolejny raz będą się sprze-aczać i guzdrać, podczas gdy miliony mieszkańców Niemiec patrzą na swą krew i wnętrzności wylewające się na ziemię.

Torstensson chrząknął. Tym razem była to reakcja bezstronnego obserwatora, który przyznaje, że ekspert wyraził słuszną opinię.

- Po prostu Wismar - ciągnął Mike - pozbawił ich w końcu wątpliwości. I to nie wątpliwości dotyczących książąt, bo już dawno stracili w nich wiarę, ale wątpliwości co do tego, czy mogą coś na to poradzić.

Wziął głęboki oddech, który niemal przyprawił go o dreszcz - zaciekle starał się zwalczyć smutek.

- Hans Richter nie tylko zniszczył duński okręt wojenny, John - powiedział cicho. - Rozerwał również ostatni łańcuch, dzięki któremu książęta kontrolowali Niemcy. Prawdę mówiąc, Hans należy do nich, a nie do nas. A my właściwie mamy tylko jego część i tej części możemy przyznać jakie tylko chcemy medale. Ale lud Niemiec wyniesie pamięć o nim pod niebiosa i użyje jej jako swego sztandaru. A ten sztandar - nie wątp w to ani przez chwilę - to sztandar bitewny należący do ludzi, którzy po raz pierwszy uważają, że mogą wygrać.

Którzy po raz pierwszy tak naprawdę

'rozumieją, że „wygrywanie” może stanowić część ich świata. -To prawda - potwierdził

Torstensson. - Pierwsi przedstawiciele tłumy, którzy szli w kierunku pałacu, skandowali jego imię, kiedy opuszczałem tamto miejsce. I tak jak mówisz, był to okrzyk bitewny. -

Uśmiechnął się nieznacznie. - Umiem go rozpoznać.

- Ale... - Simpson pokręcił głową. - Z kim zamierzają tutaj walczyć?

- Najprawdopodobniej ze mną - warknął Torstensson. - Albo z oddziałami saskimi.

Jan Jerzy już je wezwał do miasta, aby obronić siebie i książęta przed przemocą tłumy. Taki przynajmniej ma pretekst... - Torstensson rzucił szybkie spojrzenie w kierunku

narastającego pomruku. - Nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że to jedynie pretekst, bo część tłumy naprawdę żąda jego głowy. I głowy elektora brandenburskiego.

W tym momencie Torstensson w każdym calu wyglądał jak siedemnastowieczny generał.

Ciągle do pewnego stopnia zainteresowany, ale również pomny swych obowiązków. Miał srogie spojrzenie.

- Który, jeśli mogę przypomnieć - wiem, Jerzy Wilhelm to świnia, i co z tego? - ma syna, z którym królowna Krystyna jest nieoficjalnie zaręczona. A skoro ja jestem głównym oficerem armii Gustawa w tym mieście (gdzie teraz mieszka również królowna), muszę temu zapobiec. Bez względu na to, jak brutalnie może się to odbyć.

Simpson otworzył szeroko oczy.

- Mój Boże! To może być katastrofa!

- Pieprzyć to - rzucił Mike. - Tak, to może być katastrofa. Ale równie dobrze to może być zwycięstwo. I to duże. A to już zależy od nas, panowie. - Spojrzał srogo na Simpsona i Torstenssona.

- Pójdziecie za mną? - spytał. Torstensson natychmiast odpowiedział.

- Tak... do pewnego momentu. - Uśmiechnął się ponuro. - I nie pytaj mnie do jakiego, bo sam jeszcze nie wiem. Ale jedno ci mogę obiecać Michaelu Stearnsie. Dopóki zachowam pewność, że panujesz nad sytuacją, zrobię, co mówisz.

- To mi wystarczy. John? Simpson wyprostował się.

- Panie prezydencie, marynarka wojenna zawsze wypełni pańskie...

- John! Przestań, do cholery! Teraz nie czas na to. Wiem, że wypełnisz rozkazy, ale nie o to pytałem. Czy - tym razem - pójdziesz za mną?

Simpson odwrócił twarz. Potem z lekko drżącymi ustami skinął głową.

- Tak, Mike. Tym razem tak. Mam tylko nadzieję... Pokręcił głową.

- Nieważne. Jeśli nie ty, to chyba nikt by nie wiedział, co zrobić w takiej sytuacji. Co mam robić?

Myśli Mike'a leciały już do przodu.

- Po pierwsze: czy masz te piękne mundury? Simpson parsknął.

- Ciągłe są u krawca. Uszyte, ale nie ma czym za nie zapłacić. Może sobie przypominasz, że nie zgodziłeś się na taki wydatek.

Mike uśmiechnął się szeroko. Teraz, kiedy już miał pewność, że ruszy do walki w pełni uzbrojony - do tego rodzaju walki, którą rozumiał i w której był bez wątpienia znakomity - promieniał radością i pewnością siebie.

- Natychmiast to załatwimy. - Wyciągnął z kieszeni koszuli niewielki notes, nabazgrał na nim kilka liter, podpisał, wyrwał kartkę i podał ją Simpsonowi. - Proszę. Wyślij z tym jednego ze swoich żołnierzy do Banku Abrabanelów. - Niewielki budynek banku stał w pobliżu, gdyż Abrabanelowie dopilnowali, żeby zamieszkać w dzielnicy radykałów i w pobliżu bazy wojskowej Stanów Zjednoczonych. - Z tym kodem od razu wydadzą pieniądze. Chcę, żebyś razem ze swoimi ludźmi zaprezentował się w najbardziej wymyślnych mundurach, jakie macie, i to jak najszybciej.

Simpson przekazał kartkę jednemu z młodszych oficerów, którzy zaczęli się zbierać wokół nich. Nie musiał mu udzielać żadnych wskazówek, gdyż ten wcześniej przysłuchiwał się rozmowie i już pędził w kierunku bramy. Potem kiwnął głową do innego mężczyzny, tym razem jednego z oficerów niemieckiego pochodzenia.

- Słyszał pan, kapitanie Kelleher. Proszę iść do krawca i dopilnować, żeby mundury były gotowe, gdy dotrą do niego pieniądze. - Odwrócił się do Mike'a. - Co dalej?

Mike machnął ręką, obejmując tym gestem cały port marynarki wojennej.

- Teraz chcę, żebyście razem z Natem zamienili to miejsce w Disneyland. Dziś będą dni otwarte marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, i to ze wszystkimi dodatkami. Wycieczki z przewodnikiem, dzieci będą mogły się bawić na łodziach - cała gama atrakcji. Po raz pierwszy pozwolimy ludowi Niemiec zobaczyć ich marynarkę wojenną, tę, której bohaterowie walczyli ramię w ramię ze wspaiałym Hansem Richterm.

-Zajebicie! - wykrzyknął Nat Davis. - To świetny pomysł, Mike. Bez obaw, wszyscy marynarze i robotnicy, którzy stąd zniknęli, pojawią się z powrotem i zabiorą ze sobą rodziny, to pewne jak dwa razy dwa jest cztery.

Mike przyglądał się Simpsonowi, oczekując sprzeciwu w kwestii bezpieczeństwa, ale zamiast tego admirał tylko przytaknął. Mike zapomniał, że Simpson również zarządzał potężną firmą.

- Zgadza się. Nic tak nie cieszy robotników, jak pokazanie żonie dzieciom miejsca ich pracy. Zawsze gdy organizowaliśmy dni otwarte, nie było gdzie szpilki wcisnąć.

Mike'a to nie zdziwiło. Praca to jedyne miejsce, gdzie prosty człowiek oże się poczuć jak prawdziwy mężczyzna.

„Żono, drogie dzieci, tu spędzam sporą część życia, robiąc to, co tylko mężczyzna robić potrafi. Tu jestem sam sobie panem. Pieprzyć garnitury one się nie liczą”.

To nie był jednak dobry czas na nieistotne rozmyślenia. -Następna rzecz. Musisz wyciągnąć system głośników, który założyłeś w zakładzie. Niech jacyś elektrycy przeniosą to wszystko do pałacu, a się zajmiesz Disneylandem, a ja muszę zastosować najwspanialszą historię polityki obstrukcję parlamentarną. Muszę przemówić do tego imu - a mój głos nie jest wystarczająco mocny. Całego dnia nie wytrzymam, a nie zdziwię się, jeśli to się przeciągnie do dwóch, a może nawet trzech dni. Ten tłum jest wkurzony.

- Załatwione. - Simpson zaczął wydawać rozkazy kolejnemu młodemu oficerowi, ale i tym razem tamten nie musiał ich słuchać - wyru-

zył od razu. W tej chwili niewielka grupka dezorientowanych podoficerów w zgromadzonych wokół Mike'a, Simpsona i Torstenssona nie była już ani niewielka, ani dezorientowana.

Powróciła atmosfera dowodzenia i władzy, a jeśli skupiała się na prezydencie, a nie na admirałach, to tym lepiej. Pewność siebie tych ludzi wracała ze zdwojoną mocą.

Mike szybko przypomniał sobie, jak wyglądają okolice pałacu cesarskiego. Na szczęście przed pałacem był wielki plac, do którego prowadziły trzy szerokie aleje. Mike był pewien,

że Gustaw Adolf zarządził takie rozplanowanie okolicy, biorąc pod uwagę ewentualny ogień kartaczy. Plac, który był wystarczająco duży, żeby przeprowadzić na nim masową rzeź, był również wystarczająco duży, żeby zaprowadzić wśród mas porządek, zanim taka rzeź stanie się konieczna. Wystarczy miejsca, żeby zebrała się tam spora część tłumu i by on przemienił rodzący się wybuch wściekłości w wiec polityczny.

Rzecz jasna, tłum na pewno będzie szczyrzył kły - „petycja o zadośćuczynienie za krzywdy” z prawdziwymi kłami. Tym lepiej. Niech raz dla odmiany Niemieccy książęta kulą się ze strachu. Dopóki Mike będzie w stanie zapobiec rozlewowi krwi, dopóty będzie również mógł zmienić potencjalną katastrofę w kolejny gwóźdź - bardzo duży gwóźdź, a właściwie ćwiek - do trumny europejskiej arystokracji.

Spojrzał na Torstenssona. Łatwo się mówi, bo przecież będzie potrzebował, żeby szwedzki generał-arystokrata przytrzymał ćwiek, podczas gdy szwedzki król uderzy młotem.

„Oj, Mike. Mama ci mówiła, żebyś nie kombinował, a ty co robisz?”. Była to jednak wesoła myśl. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Mike Stearns czuł, że w jego żyłach płynie krew. Wiedział, że będzie potrzebował tej pewności, tak jak potrzebuje jej każdy rzemieślnik, kiedy zabiera się do trudnej roboty. Nie mógł również powiedzieć, że nie czuje entuzjazmu - to też było konieczne.

-Będziemy też potrzebowali bezpiecznej komunikacji radiowej między generałem Torstenssonem i Gustawem Adolfem w Lubece - chcę, żebyś ty się tym zajął, John. Bezpiecznej również z naszej strony. Jeśli się nie mylę, w ciągu najbliższych dni będziemy wraz z cesarzem starali się postawić na dobrego konia. Ale nie dojdzie do tego, jeśli nie będzie pewien, że może swobodnie i bez świadków porozmawiać z przebywającym tu jego człowiekiem. - Jego spojrzenie przeskakiwało od amerykańskiego admirała do szwedzkiego generała. - Czy mamy jakiegoś szwedzkiego żołnierza, który poradzi sobie z obsługą radiostacji?

- Tak - odpowiedzieli jednocześnie obaj rozmówcy. Torstensson skinął głową do Simpsona, pozwalając mu odpowiedzieć.

- Tak naprawdę mamy dwóch. - Wzrok Simpsona powędrował w kierunku niewielkiego tłumu i prawie natychmiast spoczął na niewysokim, przysadzistym mężczyźnie. - To jeden z nich. Długie tygodnie już się z nami szkoła. Powinni sobie ze wszystkim poradzić.

Torstensson spojrzał pytająco na mężczyznę, którego wskazał Simpson. Szwedzki operator radiowy mówił płynnie po angielsku, więc rozumiał ich rozmowę. Skinął zdecydowanie głową.

- Dobrze - powiedział generał. - To pomoże. Bardzo. I uśmiechnął się do Mike'a, ciągle ponuro, ale również z lekkim rozbrzdękaniem.

- Muszę cię jednak ostrzec, że mimo iż to obraźliwe sugerować, że go Wysokość zniżyłby się do czegoś tak pośledniego jak targowanie, jest w tym całkiem dobry.

- Co ty powiesz? - zaśmiał się Mike. - Już to przerabiałem i wspomnienie o tym ciągle boli.

Jednak nie tak strasznie. A zwłaszcza w porównaniu z wojną domową, 'li można jej uniknąć. Czasem nie można, ale w tym przypadku się da.

- Coś jeszcze? - spytał Simpson.

- Wyślij natychmiast wiadomość do Wismaru. Chcę, żeby Jesse wrócił z samolotem. I powiedz temu upartemu apolitycznemu typowi, że jeśli e przeleci nad pałacem przynajmniej ze trzy razy, zanim wyląduje, zjem

jego wątrobę na obiad. Paliwo jest tanie, krew nie. Ale najbardziej chcę tu widzieć Sharon. Rozpaczliwie jej potrzebujemy - będzie tu nieoceniona.

- Załatwione. Coś jeszcze? Mike przez chwilę myślał.

- Tak. Poślij, proszę, posłańca do małżonki. Bardzo bym chciał, żeby ary i Weronika stały przy mnie na schodach pałacowych. Simpson nie spodziewał się tego.

- Mary? Dlaczego? Rozumiem, Sharon i Weronika - narzeczona i babcia Hansa Richtera, ale Mary...

Admirał miał problemy z wysłowieniem się.

- Mike, proszę. Ona będzie się tu czuła bardzo nieswojo. Nie mówiąc już o tym, że będzie śmiertelnie przerażona. Możesz ją poprosić, żeby [przemówiła do tłumu bogatych ludzi siedzących przy przystrojonych stołach w eleganckiej sali bankietowej i spróbowała od nich wydusić pieniądze na swój najnowszy projekt. Ale...

- John, bądź cicho - rzekł Mike nieznośnym sprzeciwu tonem. - To, ty lub Mary rozumiecie z tego wszystkiego, dałoby się spisać na główce od szpilki. Już nie jesteście w tamtym świecie, ale w tym. A w tym świecie...

On również nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Powiódł wzrokiem dookoła i zatrzymał się na niewielkiej grupie Niemców zgromadzonych niedaleko bramy prowadzącej do portu marynarki wojennej. Po chwili spostrzegł, że nie jest to już niewielka grupa - według jego oceny było tam kilkaset osób. Nie byli wrogo nastawieni. Po prostu...

Patrzyli. Czekali. Zastanawiali się.

A co najważniejsze, osądzali.

Rozpoznał jednego z mężczyzn stojących na czele tłumu - był to Gunther Achterhof, bojownik komitetów korespondencyjnych. Niedługo po tym, jak Mike po raz pierwszy przybył do Magdeburga, zauważył, że Gunther i kilku innych mężczyzn wszędzie za nim chodzi. Podejrzał, że Gunther robi za samozwańczego ochroniarza, co potwierdziło się po krótkiej rozmowie. Później spędzili jeszcze trochę czasu na pogawędkach. Z jednej strony były to bezowocne rozmowy, a z drugiej - sonda.

Widok Achterhofa ukazał Mike'owi wszystko w odpowiednim świetle. Wiedział, że w tym jednym człowieku kryje się dusza tłumu powstałego w odrodzonym Magdeburgu.

Wiedział też, że już niedługo napływie z okolicy do miasta jeszcze więcej ludzi.

Już wszystko rozumiał. Począwszy od wściekłości, która mogła zabić lub okaleczyć żołnierza, ale... niekoniecznie skończywszy w tym samym mrocznym miejscu. Istniała bowiem również nadzieja i tęsknota. A co najważniejsze, świtające zrozumienie, że być może w jego zasięgu jest zwycięstwo, a nie tylko zemsta.

- Stawiam na Gunthera - mruknął Mike bardziej do siebie niż do kogośkolwiek innego.

- Zawsze będę stawiał na Guntherów tego świata.

Odwrócił się z powrotem do Simpsona.

- Wiesz może, jak oni nazywają Mary? Chodzi mi oczywiście o ludzi, którzy mieszkają tu w okolicy, najdzikszych bojowników komitetów. I przy okazji tych samych, którzy pilnują waszego domu - jej domu - dzień i noc, żeby mieć pewność, że nikt was nie zaatakuje.

Nic czekał na odpowiedź Simpsona.

- Mówią na nią po prostu „amerykańska Dama”. Przez duże „d”, John. Słysząc to w sposobie, w jaki wymawiają to słowo. A wiesz, dlaczego ja tak nazywają? Mogę cię zapewnić, że nie ze względu na jej maniery przy stole, bo sami by nie wiedzieli, czy używa odpowiedniego widelca. Nie, powód jest prosty. Twoja służąca Hildę jest jedną z nich, więc wiedzą, jak twoja żona ją traktuje. Mówi „proszę” i „dziękuję” i - co najważniejsze - patrzy na Hildę, kiedy to mówi.

Torstensson chrząknął, a w tym dźwięku było więcej niż nutka zaskoczenia, ale również po raz kolejny obserwator przyznawał ekspertowi rację.

Simpson tak naprawdę nie rozumiał - widać to było po bezradnym wyrazie jego twarzy.

- Ty po prostu nie kapujesz, John. Ciągłe sądzisz - zresztą Mary również - że ci arystokraci to tutejsza wersja dobrze wam znanych wyższych sfer. To nie tak. Oni mają wszystkie możliwe wady, nawet z nawiązką, a niewiele zalet.

Już się nie uśmiechał.

-1 to zalet, które wy macie, bo was ich nauczyliśmy w ciągu długich stuleci. Często krwią i żelazem. Zazwyczaj naszą krwią i waszym żelazem, ale i tak zawsze krew zwycięża. W najgorszym razie dzięki niej żelazo rdzewieje.

Ciągły brak zrozumienia. Mike prawie westchnął.

„Przestań, dobrze? Jest jaki jest i przeżyjesz to. Po prostu mu wyjaśnij”.

Zastanawiał się, czy nie poprosić, żeby Torstensson to wyjaśnił. Ale nie był do końca pewien szwedzkich zwyczajów. Podejrzał, że ze względu na swą historię szwedzka arystokracja nie była tak pełna bezmyślnej arogancji jak niemieccy książęta.

- John, kiedy niemiecki arystokrata lub arystokratka zwraca się do służącego, nie mówi „proszę” lub „dziękuję”. Prawdę mówiąc, w ogóle się [do niego bezpośrednio nie zwraca. Wzywa służącego i nawet na niego jnie spojrzy - wpatruje się po prostu w ścianę, jak gdyby służący nie istniał, i wydaje polecenie w trzeciej osobie. „Niech nam przyniesie herbaty”. „Niech wysprząta sypialnię”.

Oczy Simpsona prawie wyszły z orbit. I - Żartujesz!

\ - Nie, nie żartuje - rzekł Torstensson. - Taki panuje zwyczaj. Generał obrócił głowę - pomruk tłumu coraz bardziej nabrzmiwał Hbcą.

i - Lepiej stąd znikajmy. Ci służący nie będą zadowoleni, dopóki przy-pajmniej na nich nie spojrzymy. Prosto w twarz, jak to mówicie. - Rzucił fokiem na Mike'a. - Miejmy nadzieję, że jesteście w stanie ich nauczyć...

\ Gwałtownie przerwał. Mike uśmiechał się do niego szeroko, i był to czysto zwierzęcy uśmiech. Jak gdyby wilk rzucał wyzwanie zagubionemu w lesie arystokracie, żeby dokończył zdanie. Zanim wilk wypruje mu wnętrzności.

- Ja nie sugeruję, żeby to ich uczyć dobrych manier, generale Torstens-son. Proponuję, żeby takiej lekcji udzielić niemieckiej arystokracji, bo widzę, że naprawdę im się przyda. Arystokrata wzdrygnął się na widok wilka, ale generał pozostał na miejscu. Mike wydał mu instrukcje na cały dzień z taką pewnością i stanowczością, z jaką mógłby to zrobić sam Gustaw Adolf.

- Torstensson, pójdziesz ze mną. Twoim zadaniem jest utrzymanie tych pieprzonych Sasów daleko stąd. Daleko. To samo dotyczy większości twoich własnych oddziałów. Zostaw tylko tyle, żeby królowna Krystyna miała ochronę. To wystarczy.

- Tak jest, panie prezydencie. Mike odwrócił się do Simpsona.

- Przyślij tu Mary - zarządził. - Jeśli się nie przemoże, żeby coś powiedzieć, nie ma problemu. Ale chcę, żeby stała razem z Sharon i babką Richter obok mnie, naprzeciwko naszych ludzi. I żeby zaczęła szkolenie arystokracji. Albo się nauczą używać widelca na sposób Mary - i to szybko - albo poczują, jak kłują widły. Na mój sposób, jeśli będzie trzeba.

Zaczął się odwracać w kierunku bramy, zrobił to jednak tak wolno, że jego ostatnie słowa dotarły i do admirała z innego świata, i do generała -z tego.

- A będzie trzeba, panowie, jeśli nie uda się mnie zadowolić przy stole negocjacyjnym. Możecie być pewni. Jeśli będę mógł, pójdę na kompromis, ale nie sądzcie, że nie wiem, po której jestem stronie.

Wskazał palcem na Gunthera Achterhofa.

- Po jego. Możecie więc mieć do czynienia albo ze mną, albo z nim. Wybór należy do was.

Kiedy Mike i Torstensson dotarli do wielkiego placu przed pałacem, nie było tam gdzie szpilki wcisnąć. Na szczęście Achterhof i jego ludzie utworzyli dla nich przejście. Wieści o przybyciu Mike'a zaczęły się szybko rozchodzić, kiedy więc zbliżali się do schodów pałacu, największym problemem stało się usunięcie z drogi ludzi, którzy gromadzili się, żeby "witać na ich cześć.

A właściwie witać na cześć Mike'a. Niewiele okrzyków kierowano w stronę Torstenssona, i Mike był pewien, że generał to zauważył. „Świetnie. Widzisz, jak jest, Lennarcie? Lepiej przekaż to Gustawowi". Mimo to czuł ulgę, że nikt nie nawołuje do przelania szwedzkiej krwi. Ściekłość ewidentnie wrzała w tysiącach zgromadzonych tu ludzi, ale lajmniej na razie wydawała się skierowana przeciw książętom nie-ieckim, a nie szwedzkiemu królowi, który - teoretycznie - nimi rządził. Teraz już, częściowo dzięki kurateli Becky i Melissy, a częściowo dzięki emu własnemu programowi czytelniczemu, Mike wiedział wystarczająco dużo o historii, żeby rozpoznać to zjawisko. Był to powszechny i wie-frotnie powtarzany schemat. Tłum ciągle chciał dać cesarzowi szansę, od warunkiem, że postąpi słusznie i pozbedzie się swych niegodziwych radców.

Przecież cesarz wydawał się całkiem dobrym człowiekiem. Pokonał bsburgów, a żaden niemiecki książę nie mógł powiedzieć tego samego o sobie. Poza tym spał razem ze swymi oddziałami na polu - kładł się obok nich na zimnej ziemi. I, co chyba najważniejsze, powitał Stany Zjednoczone z...

Hm. Nie do końca z „otwartymi ramionami", ale przecież je powitał. A nie zrobił tego żaden z niemieckich książąt.

Poza jednym, który zdecydował, że wyrzeknie się swego książęcego tytułu.

Wilhelm Sasko-Weimarski stał już na schodach do pałacu niedaleko Spartakusa i - tak samo jak młody niemiecki przywódca komitetów korespondencyjnych - rozpaczliwie starał się uspokoić tłum. Mike kiwnął z szacunkiem głową w jego kierunku, czując ogromną ulgę i satysfakcję.

„Jeśli mogę stanąć na drodze tej wojnie domowej, to może w ogóle nie trzeba będzie walczyć".

Kiedy Wilhelm i Spartakus zauważyli Mike'a przedzierającego się w ich kierunku, na ich twarzach pojawiła się tak wielka ulga, że wyglądali niemal komicznie.

- Dzięki Bogu, że tu jesteś! - syknął Spartakus. - Co zrobimy? Próbnę przemówić im do rozsądku, ale...

Mike klepnął go radośnie w ramię, a po chwili zrobił to samo Wilhelmowi, który do nich pospieszył. Oba te gesty były czysto teatralne. Mike Stearns znajdował się na scenie, a prości ludzie z czasów, w których teraz żył, nie doceniali systemu Stanisławskiego³². Oni potrzebowali teatralnych gestów.

Obejmując obu mężczyzn i niemal ciągnąc ich za sobą do przodu, Mike ruszył na spotkanie tłumu. By go powitać. Nie, żeby powitać ludzi.

Jego ludzi, na zawsze. Na dobre i na złe. W zdrowiu i w chorobie.

- Witajcie, mieszkańcy Niemiec! Radujcie się w tym dniu triumfu! Zwycięstwo należy do nas! Dziś... i jutro!

* * *

Kiedy ludzie Simpsona dotarli na miejsce ze sprzętem, Mike już prawie ochrypl od podnoszenia głosu. Udało mu się jednak uspokoić sytuację na tyle, żeby zapobiec natychmiastowemu wybuchowi, natomiast Torstensson rzeczywiście wycofał z okolicy wszystkie szwedzkie oddziały, poza pozostającą w pałacu osobistą ochroną królowej Krystyny. Ona sama wychylała się z okna, uśmiechała i machała wesoło do tłumu - a wiele osób rewanżowało się tym samym.

„Niech Bóg błogosławi inteligentne dziewczynki - a ta chyba jest ge-niuszem”.

Nigdzie nie było widać oddziałów saskich, które wezwał Jan Jerzy -Torstensson zabrał większość z nich poza miasto, żeby tam się z nimi spotkać i wyjaśnić parę spraw. Znając Torstenssona, Mike mógł sobie wyobrazić, jak zwięzłe przebiegało to wyjaśnianie.

Fakt numer jeden: to my daliśmy cięgi cesarzowi Ferdynandowi pod Breitenfeld.

Fakt numer dwa: wy uciekliście jak psy.

Fakt numer trzy: macie dziesięć minut, żeby się stąd wynieść. A pięć minut, jeśli zobaczę, że nie podkuliliście ogonów. Jazda!

* * *

Kiedy głośniki zaczęły działać, Mike popchnął Wilhelma w kierunku mikrofonu.

- Potrzebuję przerwy. Dawaj, kolego.

Wilhelm gapił się na mikrofon jak królik na węża.

- Co mam powiedzieć? Przecież nie wiem... Nigdy nie...

- To bułka z masłem, Wilhelmie. Po prostu wygłoś mowę wyborczą. Ale... hm... jedna rada.

- Tak? - Wilhelm spojrzał na niego, a Mike szeroko się uśmiechnął.

- Mnie nie krytykuj. Nie dziś - możesz to zachować na czas wyborów. Dzisiaj walczymy przeciw książętom.

Były książę ciągle się w niego wpatrywał.

- Jakich wyborów?

- Tych, o które będę zabiegał, tyrając jak łysy koń. Myślę, że do jutra wieczorem już je wynegocjuję. Może nawet wcześniej. Gustaw to sta-nowczy człowiek, a wierzę, że kardynał i książęta autentycznie go wku-rzyli. Głupie sukinsyny.

Wilhelm ciągle wydawał się nie pojmować. Jednak uśmiech Mike'a nie zniknął - nie znikłby nawet wtedy, gdyby nie stali na największej scenie w Europie.

- Myślę, że już najwyższy czas, żeby Konfederacja Księstw Europejskich postarała się o rząd z prawdziwego zdarzenia. Zgodzisz się, Wilhel-mie? - Wskazał palcem na znajdujący się za nimi pałac. - Zamiast tego głupiego kojca dla książąt.

Wilhelm zamknął oczy i na jego ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Hm, tak. - Otworzył oczy i już nie wydawał się skonsternowany i nie-pewny. - Tak, rzeczywiście.

Byłemu księciu zajęło trochę czasu przyzwyczajenie się do korzystania z mikrofonu, ale jeśli wziąć pod uwagę, że nigdy wcześniej nie widział tego urządzenia, to wcale nie trwało to długo. A kiedy już zaczął mówić, słowa same popłynęły. Kiedy kończył, jego retoryka niemal gra-niczyła z retoryką typową dla Mike'a.

Fakt, tylko graniczyła, ale to nie była granica nie do przebycia.

* * *

Mary Simpson tego dnia nie przemawiała, gdyż Mike, widząc śmiertelne przerażenie, które praktycznie ją paraliżowało, zdecydował, że nie będzie naciskał. Naprawdę wystarczyło, że stała na schodach i była w pełni widoczna. „Amerykańska Dama. Żona admirała, który dowodzi pancernikami. Naszymi pancernikami”.

Oczywiście udało jej się wspaniale, profesjonalnie uśmiechać. Mike podejrzewał, że nawet gdyby Mary Simpson została zesłana do piekła, powitałaby szatana takim samym uśmiechem. Poza tym nad wszystkim sprawowała pieczę babka Richter. I robiła to w sposób właściwy twardej staruszce. Kiedy Weronika skończyła mówić, ludzie zupełnie się uspokoili. Nie ośmieliliby się zachować inaczej.

Skończyła niedługo po dwunastej i Mike ponownie przejął mikrofon. W tym momencie szacunkowa liczba ludzi zgromadzonych na placu mogła dochodzić do czterdziestu tysięcy. Była to, praktycznie rzecz biorąc, cała populacja Magdeburga, a do tej pory dołączyło do niej sporo ludzi spoza miasta. Nie dało się wszystkich dokładnie zliczyć, mimo że Mike znał na to przybliżone metody. W przeszłości sam przecież organizował wiece, ale tutaj problem był dwojaki.

Po pierwsze, tłum był zbyt liczny, żeby zmieścić się na placu, i z tego, co Mike widział, wylewał się z niego trzema głównymi alejami.

Po drugie - i dzięki temu odetchnął z ulgą - tłum zaczynał się przemieszczać. Ludzi przychodzili i odchodzili, ale większość z nich kierowała się praktycznie w jednym kierunku - ku portowi marynarki wojennej.

To zjawisko również rozpoznał - w świecie, w którym kiedyś żył, napotykał je bardzo często. Pracujący mężczyźni - a Magdeburg był teraz najbardziej plebejskim miastem w całych Niemczech i bił pod tym względem nawet Grantville - nie bywają zbyt często na dużych wiecach politycznych. Zupełnie inaczej niż studenci i wolni od zobowiązań młodzi ludzie. Pracujący, jeśli już się na taki wiec wybierają, to często ze swoimi rodzinami. Zobaczyć stolicę swego kraju i domagać się zadośćuczynienia za krzywdy. Bo właśnie tak na to patrzyli, bez względu na to, w jak niewielkim stopniu taki obraz pasował do rzeczywistości. Ich stolica, ich kraju, który oni zbudowali i za który oni ginęli.

Często więc się zdarzało, że w trakcie masowych wieców w Waszyngtonie Mike widział mężczyzn, kobiety i dzieci odchodzących po jakimś czasie od przemów i trzepoczących sztandarów. Po prostu szli całymi rodzinami podziwiać pomnik Waszyngtona, pomnik Lincolna albo Smithsonian Institution.

W Magdeburgu nie było takich miejsc, poza pałacem ciągle obcego cesarza i... portem marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Jeszcze nie.

Spartakus przejął mikrofon, a Mike stanął obok Mary. Pochylił się i cicho ją spytał:

- Zna pani jakichś dobrych architektów?

- Nie. Ale... dwa dni temu landgrafowa... Amalie, to znaczy żona księcia Hesji-Kassel... powiedziała mi...

- Szczegóły się nie liczą. Proszę, niech pani znajdzie dobrego architekta. Potrzebujemy ogromnego pomnika w samym środku tego placu. Czegoś w stylu... nie wiem, może...

- Kolumny Nelsona na Trafalgar Square?

- Brzmi świetnie. Kiedyś widziałem jej zdjęcie na pocztówce. A potem niech dobry rzeźbiarz wykona z brązu posąg Hansa Richtera i postawimy go na pomniku. Dużym pomniku.

W uśmiechu Mary pojawiła się teraz energia. Sam Mike również szeroko się uśmiechał, tak jak to robił przez cały dzień. Obydwa uśmiechy były profesjonalne, a mimo to płynęły z serca.

- Tak... - rzekł Mike. - Nie może być placu Hansa Richtera bez pomnika Hansa Richtera.

Mary otworzyła szeroko oczy.

- Chyba już go nazwali placem Wazów. Wiem na pewno, że największa aleja nazywa się Gustavstrasse.

- Jutro to się zmieni. Najpóźniej pojutrze. Gustaw może zatrzymać ulicę, nie jestem pazerny. Ale plac do niego nie należy. Już nie.

Mary jeszcze szerzej otworzyła oczy.

- Naprawdę sądzi pan, że może mu go zabrać?

- Ja? Pewnie, że nie. Ale Hans Richter tak. Zobaczysz pani.

* * *

Wczesnym popołudniem Mike usłyszał odgłos, który zwiastował zwycięstwo przynajmniej w tej bitwie. Zwycięstwo pewne i niewątpliwe.

Chwilę później nikt ze zgromadzonych na placu ludzi nie patrzył ani na pałac, ani na mówców na schodach. Wszystkie głowy skierowane były do góry, ludzie wykręcali szyję, żeby lepiej widzieć niebo. Kiedy „Belle” przelatywała nad placem, wśród ogromnego tłumu wybuchł szalony entuzjazm. Z tego miażdżącego bębnienia hałasu zniknęły wszelkie ślady wściekłości. Rozgoryczenie zmyła fala zwycięstwa, a chęć zemsty rozpuścił w powodzi triumf.

Nie przegnał, po prostu... rozpuścił. Rozcieńczył na tyle, że przestała być toksyczna, a został po niej słony ocean ludzkiej woli i energii, wzbierający wspaniałą siłą.

Mike wiedział, że gdy zapadnie zmrok, zaczną zbierać owoce tego nowego zwycięstwa.

Jednak w tym momencie, w popołudniowym słońcu, po raz pierwszy tego dnia opuścił głowę. Na chwilę usunął z twarzy szeroki uśmiech i zamknął oczy. Gdy tak wspominał młodych ludzi, których kiedyś znał i których miał zawsze cenić, pozwolił nawet, żeby kilka łez popłynęło po jego twarzy.

Krew bohaterów, którzy sprawili, że to wszystko stało się możliwe. Chłopak, który nauczył się latać - i dziś ponownie był stalowym aniołem chroniącym swój lud.

* * *

Zwycięstwo zostało przypieczetowane, gdy w niecałą godzinę później Sharon i Jesse dotarli w końcu na plac. Niewielki oddział żołnierzy piechoty morskiej w olśniewających mundurach nie musiał im torować drogi. Tłum sam się przed nimi rozstępował, jak gdyby kierowała nim wspólna wola.

Początkowo Mike był rozbawiony - nawet Mojżesz nie mógłby tego lepiej zrobić. Jednak po chwili, kiedy usłyszał kilka okrzyków wznoszonych przez tłum, zrozumiał prawdę. Tu wcale nie chodziło o proroka, który używa boskiej mocy, żeby rozstąpiło się morze. Tu siłą sprawczą była wola samych ludzi, którzy witali swą nową arystokrację. Nieoficjalną arystokrację, którą sami wybrali.

Der Adler!

Die Furstin!

Tę pierwszą nazwę Mike znał. Drugiej nie. Rozumiał, co oznacza to słowo, ale...

- Dlaczego nazywają Sharon Nichols księżniczką? - spytała zaskoczona Mary Simpson.

Mike znał odpowiedź, zanim skończyła zadawać pytanie. I wiedział również, że odnieśli kolejne zwycięstwo, a przynajmniej je zapoczątkowali.

- Ona jest czarnoskóra. Nikt z nich jeszcze nie widział czarnoskórej osoby... no, może poza niewielką garstką. A jeśli chodzi o postrzeganie rasy, to ciągle bliżej nam do renesansu niż późniejszych czasów. Handel niewolnikami jest jeszcze w powijakach, zatem rasizm jeszcze się nie zakorzenił. Więc...

Nieważne, co mogło dezorientować Mary Simpson w jej nowym świecie - znała wspaniałą literaturę światową. I to na wylot.

- Otello, tak? Maur. Egzotyczny, tajemniczy, potężny. A do tego majestatyczny i niebezpieczny. Tylko innej płci i historia zakończyła się innym rodzajem tragedii.

- Właśnie. Ludzie wiedzą, że jej ojciec jest jakimś czarownikiem z obcego i legendarnego świata. Może nawet czarnoksiężnikiem. A ona... -Wziął głęboki oddech, zarówno po to, by delektować się wspomnieniem, jak i po to, by opanować żal, że to jest już tylko wspomnienie. - A ona była narzeczoną Hansa Richtera. Kto bardziej nadawałby się na żonę nowego niemieckiego bohatera ludu, jeżeli nie księżniczka? Tym lepiej, jeżeli cudzoziemska, tajemnicza i egzotyczna.

Po raz pierwszy tego dnia Mike usłyszał cichy śmiech Mary Simpson. Kiedy się nad tym zastanowił, dotarło do niego, że w ogóle pierwszy raz słyszy, jak Mary się śmieje. Brzmiało to bardzo nienaturalnie, ale mógł to przeżyć. -

- Czy ktoś powiedział o tym Hansowi? - wykrztusiła. Na twarz Mike'a powrócił promienny uśmiech.

- Któremu Hansowi? Temu, którego znaleźliśmy, czy temu, którego będzie chciał pamiętać jego własny lud? Nie żeby to robiło jakąś różnicę.

Przez moment przyglądał się, jak młoda kobieta idąca obok Jesse'ego powoli zbliża się do schodów, które tworzyły prowizoryczną trybunę. Nie uśmiechała się do machającego tłumu. Była przecież w żalobie, i to szczerzej. Mimo to poruszała się w majestatyczny, królewski sposób i dziękowała skinieniem głowy. Robiła to z ogromną godnością, której mogła jej pozazdrościć każda europejska królowa.

Na myśl o królowych Mike przypomniał sobie, że ma jeszcze jednego asa w rękawie. Odwrócił się i spojrział w okno pałacu, z którego Krystyna przez cały dzień przyglądała się, jak coś na granicy powstania przemienia się w wiec i święto. Tak jak oczekiwał i miał nadzieję, dziewczynka patrzyła na niego. Mike podejrzewał, że cały czas go obserwowała. Może i miała tylko siedem lat, ale była przecież urodzona i wychowywana na prawdziwą królową. Było bardzo prawdopodobne, że pewnego dnia stanie się cesarową najpotężniejszego królestwa Europy. I na dodatek piekielnie bystrą.

„Tak, tak. Przed nami ciekawe lata. Zobaczymy, jak ciekawe”.

Rzucił jej spojrzenie godne orła i delikatnym, lecz pełnym mocy gestem wskazał ziemię u swych stóp, przekazując królowi Krystynie wyraźne polecenie.

„Zejdź tutaj. Szybko!”.

Rzeczywiście była piekielnie bystra. Twarz królowy rozjaśnił szeroki uśmiech, a jej kręcone włosy zaczęły energicznie podskakiwać.

„Już idę! Muszę tylko przebić się przez moją ochronę osobistą”.

Krystyna zniknęła z okna, a Mike'owi - nawet mimo hałasującego tłumu - wydawało się, że słyszy przenikliwy głosik siedmiolatki wydającej rozkazy.

Odwrócił się, śmiejąc się pod nosem. Nie miał żadnych wątpliwości, że strażnicy będą stanowczo protestować. Nie miał również wątpliwości, że córka Gustawa Adolfa przewróci ich jak kręgle.

A jak. Kiedy tylko Sharon zaczęła wspinać się po schodach, Krystyna wybiegła z impetem przez potężną główną bramę pałacu. Udało jej się jednak wyhamować i po dotarciu do schodów powitać Sharon spokojnym uściskiem, a nie zrzucić ją z powrotem na dół.

-A tłum szaleje... - powiedział do siebie Mike, śmiejąc się szczerze i całkiem głośno. W przeciwnym razie sam by siebie nie słyszał.

Tłum rzeczywiście oszalał.

- Gdybym nie wiedziała, że to nieprawda - powiedziała Mary równie głośno - to przysięgłabym, że pan to zaplanował.

Jesse zbliżył się do nich akurat w odpowiednim momencie, żeby usłyszeć tę uwagę.

- Bo tak było - parsknął pułkownik sił powietrznych. - Ale to oczywiście teatr improwizacji, specjalność Mike'a.

Rzucił w kierunku Mike'a na wpół rozbawione, a na wpół zdziwione spojrzenie.

-A tak przy okazji, Torstensson jest w bazie. Rozmawia z Gustawem przez radiostację już ze dwie godziny. Musieli zmienić operatora, żeby dał odpocząć palcom. No więc? Co dalej, wspaniały sztukmistrzu?

Mike patrzył na królową - a raczej na królową i księżniczkę. Ciąg'e się przytulały.

- Chyba kształcenie członków rodziny królewskiej. Musi się tym zająć odpowiednia osoba.

Mary zachłysnęła się.

- Michaelu Steamsie! Nie możesz wziąć tej małej dziewczynki jako zakładnika!

- A dlaczego nie? - niemal warknął. - Europejskie rodziny królewskie wzięły jako zakładniczkę miliony biednych dziewczynek. Zaraz zobaczycie, cholera!

Westchnął, widząc wyraz jej twarzy.

- Mary, proszę zapomnieć o Three Rivers. Witamy w wojnie trzydziestoletniej. Proszę mi wierzyć, Gustaw Adolf nie mrugnie nawet okiem. Po pierwsze, wie, że będziemy ją odpowiednio traktować. A po drugie, ma świadomość, że się za to odegra. Zrobi to. Pieprzyć królewską krew. Ten człowiek mógłby każdego z nas zrobić w konia. Ale na kradzież koni z nim już bym się nie zdecydował.

j&azbzhxISI

Tego samego wieczora w Edynburgu Robert Mackay spoglądał na swą pogrążoną we śnie synową - przyniosła do niego wnuczkę, kiedy wreszcie spadła jej gorączka i Julie miała już pewność, że Alexi przeżyje. Przy -najmniej tym razem. Potem wymęczona przejściami ostatnich dni sama zasnęła na łóżku Roberta, tuląc w ramionach córkę. Łóżko było wystarczająco duże, żeby nie musiał jej budzić, a poza tym, szczerze mówiąc, nie miał takiego zamiaru.

- Musiało cię trafić jak grom z jasnego nieba, gdy ją pierwszy raz ujrzałeś. Alex siedział na krześle przy łóżku, pieszcząc dłonią biodro Julie.

Uśmiechnął się na te słowa.

-Ach, ojczu, jeszcze jak! Nie mogłem oderwać od niej wzroku, choć w tamtych okolicznościach było to troszkę niezręczne. Przecież wokół stali jej ludzie z tymi swoimi przerażającymi strzelbami.

- Życie w ogóle jest niezręczne, synu. Dlaczego miałyby być inaczej w jego najcenniejszych momentach?

Niemowlę zaczynało się wiercić, więc nie zważając na ból, Robert pochylił się i wyjął je z ramion matki. Potem sam je ukołysał.

- Pierwsza zima ciągle jeszcze przed tobą, dzieciно - mruknął. - Ale my mamy ogień, a ty masz ducha. Myślę więc, że Bóg poczeka jeszcze na twoje towarzystwo. Przynajmniej jakiś czas.

* * *

Również tego wieczora w Londynie ważyły się losy innych dzieci.

- Wasza Wysokość - rzekł cierpliwie hrabia - nie możesz...

- Nie możesz! Nie możesz! To ty, Wentworth, nie możesz używać tego słowa! Nie wobec mnie!

Karol właśnie dostał ataku furii i przemierzał wielkimi krokami swe prywatne komnaty - o ile jego afektowany chód można było nazwać „wielkimi krokami”.

- W książkach nic o tym nie było! Nic! A wszystkie czytałem!

- Na miłość boską, Wasza Wysokość. Musimy myśleć rozsądnie. Nie moż... - Przerwał na moment, prawie zgrzytając zębami. - Historia z tamtych książek zakładała zaistnienie tamtych wydarzeń; zmienić jedno - zmienią się również pozostałe. Jak już mówiłem, nie można sprowadzić z kontynentu tysięcy najemników, nie ryzykując w ten sposób sprowadzenia razem z nimi zarazy.

Królowa wtrąciła swój własny komentarz, jak zwykle wprowadzając zamieszanie.

- W książkach nie było żadnej wzmianki o zarazie! Żadnej! Nie w tym roku! Ja też je czytałam!

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. Nie było również nagłego ogromnego napływu najemników na wyspę. Najemników z zalanego epidemiami kontynentu.

Henrietta Maria spiorunowała go wzrokiem. Oczywiście nic w tym dziwnego. Królowa Anglii nigdy nie lubiła hrabiego Strafforda, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A przez ostatni tydzień jej niechęć zmieniła się w otwartą wrogość, gdyż odmówił przyznania wojkowego stanowiska kolejnemu z jej ulubionych dworzan - jak gdyby żołnierze nie mieli na głowie wystarczająco dużo zmartwień, usiłując wyciszyć panujące na wyspie niepokoje.

- Nic nie było w książkach! - powtórzyła. - Czytałam je!

Do Strafforda dotarło, że to nie ma sensu i lepiej przejść do konkretów. Ale i tutaj król go uprzedził.

- Królowa i ja natychmiast opuścimy Londyn. O poranku. W ciągu paru dni miasto zmieni się w lazaret. Spędzimy zimę w Oksfordzie.

- Wasza Wysokość, błagam, byś to jeszcze raz przemyślał. W Anglii ciągle wrze. Wszędzie są niepokoje. W Londynie jestem w stanie zagwarantować ci, panie, bezpieczeństwo. Zebraliśmy tu nowe oddziały...

- Właśnie dlatego panuje zaraza! - wtrąciła piskliwym głosem królowa. - A co ty sobie myślałeś?

Strafford ledwo powstrzymał wybuch.

„Co sobie myślałem, ty bezmyślna idiotko? Myślałem, że każda rebelie w Anglii zaczyna się albo upada w Londynie. O tym również nie było w książkach? Jeśli utracimy Londyn, to niedługo potem bez wątpienia stracimy wszystko”.

Dyskusja nie miała sensu, ale starał się ją kontynuować.

- Milicja została rozproszona. Już nawet nie śmie wychodzić na ulice. Ale w Oksfordzie... nie mam pewności, co mogłoby się zdarzyć. Poza tym nawet tutaj, w Londynie, jest sporo osób, którym odpowiada nowy obrót spraw. Jeśli Wasze Wysokości tu pozostaną, ludzie będą wierzyć. A przy odpowiednim postępowaniu...

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Spróbował ją wyrazić, ale kapryśność króla to uniemożliwiła.

-To wykluczone! Moi poddani powinni we mnie wierzyć dlatego, że jestem królem, a nie w zależności od tego, gdzie rezyduję albo co robię. Jeśli ktoś uważa inaczej, ociera się o zdradę stanu. Liczy się dynastia, Wentworth, chodzi o nasze życie. Wyjeżdżamy jutro i to ostateczna decyzja.

Hrabia pochylił głowę.

- Królu.

- Oczywiście ty nie. - W słowach króla można było zauważyć więcej niż tylko odrobinę złośliwej radości. - Ty pozostaniesz w Londynie razem z rodziną. Przecież wydajesz się tak przejęty umacnianiem wiary w ludziach. - Machnął ręką. - A teraz już idź. Przez twoje niedbalstwo mamy z królową mnóstwo pracy.

* * *

Kiedy Strafford dotarł do domu, nie było już w nim śladu wściekłości, pozostało tylko rozgoryczenie. Znowu był już w stanie jasno myśleć.

„Niech i tak będzie. Przecież właściwie nie mam na co narzekać, sam chciałem to zaproponować królowi”.

Elizabeth powitała go w korytarzu. Trzymała za rękę Nan.

Strafford okazał jej tyle czułości, na ile mógł sobie pozwolić. Potem sztywno przekazał żonie polecenie.

- Spakuj, co możesz. Zabieram was wszystkich do Tower. Ja sam zostanę tutaj, ale chcę, byście byli bezpieczni. Przynajmniej na tyle bezpieczni, na ile się da w Londynie.

- Do Tower? - Twarz Elizabeth przecięły zmarszczki niepewności.

- Zaufaj mi, żono. Jeśli w Londynie jest jakieś miejsce, które przetrwa ten nowy kryzys, to jest to właśnie Tower.

* * *

- Będzie z nim dobrze? - spytał z niepokojem Andrew. Miał utkwiony wzrok w dwulatku, którego Rita Simpson właśnie skończyła badać. Niedaleko nich stała żona Andrew - miała ciasno splecione ręce i opierała się o ścianę niewielkiej kwatery gwardzistów. Miała bladą twarz, ale była opanowana. Jeśli mały George umrze, dołączy do rodzeństwa na cmentarzu. Ciągle jeszcze ma dwoje dzieci, które wydają się zdrowe. Jedno z nich ma siedem, drugie pięć lat. Ich szanse na przeżycie są na razie duże.

- Myślę, że tak, Andrew - odparła Rita. Potem dodała surowo: - Jeśli oczywiście będziesz robił to, co mówię. Jednak, na miłość boską, dla dobra George'a nie pozwól im upuszczać mu krwi.

Przez chwilę obserwowała dziecko z zaciśniętymi ustami.

- Nie wiem dokładnie, co mu dolega, ale jestem pewna, że to nie jest ani zaraza, ani tyfus. To może być... wiele rzeczy. Ale nawet jeśli nie mogę wyleczyć samej choroby, prawdopodobnie mogę leczyć jej objawy. A w większości chorób to właśnie objawy zabijają dzieci tak szybko.

- Ach tak, Lady Stearns. Będziemy słuchać. Nie bardzo ufam lekarzom.

- Nie jestem żadną Lady Stearns - rzuciła. - Cholera, mam już dość wysłuchiwanie tych głupot. Nazywam się Rita Simpson. Pani Simpson, jeśli chcesz być bardzo oficjalny. Moja teściowa jest w rodzinie „Lady”. Sam ją spytaj, jak mi nie wierzysz.

Andrew już się dalej nie kłócił, jednak widząc wyraz jego twarzy, Rita stwierdziła, że zupełnie go to nie ruszyło. Wręcz przeciwnie - tylko upewniło go we wcześniejszej opinii.

- Tym zabójcą jest odwodnienie. Dziecko potrzebuje dużo płynów. Głównie wody z elektrolitami. Sól się nada, ale postaram się skombinować również trochę cukru. Ustalę dla ciebie dietę i będę wszystko co-dziennie sprawdzać. Okej?

-Tak, La... hm... pani Simpson.

Rita nie wiedziała już, czy się śmiać, czy płakać. W jakiś sposób „pani” w ustach Andrew brzmiało jak „ksieni”.

* * *

- Wydaje mi się, że po prostu postanowili udawać, że nic nie widzą -oznajmił Darryl, kiedy usłyszał, jak po drugiej stronie drzwi opada sztaba. -W ogóle się nie kłócili. Podszedł i ukucnął obok więźnia.

- Melissa mówi, że to dlatego, że strażnicy słyszeli wystarczająco wiele, żeby wierzyć, iż jesteś jakimś demonem. Myślę, że nas posądzają o to samo. Ale skoro wydajemy się przyjacielskimi demonami - a przynajmniej spokojnymi i opanowanymi jak ty - to po cichu zdecydowali, że najlepiej nas nie wkurzać. Kto wie? Jak kiedyś wydostaniemy się na wolność...

Szybko wymienił baterie i wyciągnął z kieszeni zdjęcie.

- Trochę mi zajęło załatwienie tego, ale tak właśnie wygląda. Nie wiem, dlaczego jeszcze trzyma prawo jazdy, ale...

Pokręcił głową nad głupotą kobiet i podał więźniowi niewielki kawałek papieru. Potem zaczął się niespokojnie kręcić, kiedy tamten oglądał zdjęcie na dokumencie.

- To zdjęcie jest do dupy, zawsze tak wychodzą. Chyba mają jakiś egzotyczny, supernowoczesny aparat, stworzony tylko po to, żeby każdy wyglądał najgorzej jak to możliwe. Ja na zdjęciu wyglądałem jak Jesse James" na kacu.

Nie był pewien, czy więzień w ogóle go słyszał.

- Proszę mi wierzyć, naprawdę nie wygląda źle.

Nie mówił całej prawdy, przynajmniej jeśli chodzi o jego osobisty gust. Przysadziste kobiety koło trzydziestki, z przeciętnymi rysami twarzy i my-sio-brązowymi włosami - no dobra, z całkiem dobrą figurą, szczególnie balonami - po prostu nie były w guście Darryla. Ogólnie rzecz biorąc, w guście Darryla były młode blondynki o szczupłej figurze i długich nogach. Szczególnie ostatnio była to pewna młoda kobieta z Tower - blond włosy, szczupła figura i nogi, których nie widział, ale na temat których zaczynał sporo fantazjować.

Niestety była najmłodszą siostrą Andrew, jednego z gwardzistów, który wyglądał na prawdziwie twardego gościa - nie wspominając już o jego dwóch braciach i wujku.

Szczególnie o wujku... Darrylowi udało się nie skrzywić. Po chwili pomyślał o Melissie i tym razem się skrzywił.

„Dać pokojowi szansę, akurat. Jak Melissa mnie złapie... Au!”.

Więzień jednak wydawał się nie zauważać wahania Darryla, więc pewnie ciągnął dalej.

- Zaczniemy też szukać twoich dzieci. Wymyślimy jakiś plan, gdy przyjdzie na to czas.

To sprawiło, że więzień oderwał wzrok od zdjęcia.

- A jak to zrobicie? - spytał.

- Hm... Jeszcze nie jestem pewien. Ale jeśli czytać między wierszami ostatnich wiadomości radiowych, sądzę...

Przerwał, starając się wykombinować, jakie są granice bezpieczeństwa. Potem dodał, wzruszając ramionami:

- Myślę, że mój stary kumpel się tu zbliża. Oczywiście nie nadejdzie zbyt szybko, ale jak już nadejdzie... - Darryl uśmiechnął się perfidnie. -Istny szatan z tego chłopaka. Wierz mi na słowo.

- „Istny szatan” - powtórzył więzień, uśmiechając się nieznacznie. -Darrylu McCarthy, chwilami obawiam się o twą duszę. Oczywiście jako Irlandczyk i tak najprawdopodobniej jesteś już skazany na wieczne potępienie.

Darryl zaśmiał się drwiąco.

- Chciałbyś! - Ponownie zaczął niespokojnie się kręcić. - I jeszcze coś. Chcę, żebyś mi coś obiecał.

-Tak?

- Że nigdy nie pojedziesz do Irlandii beze mnie. Oczywiście pełniąc go oficjalną funkcję. Spytałem Toma - on się na tym zna - i powiedział mi, że Rusczy nawet mają na to nazwę: „komisarz polityczny”.

Uśmiech więźnia przestał być nieznaczny.

- Czyli irlandzki cerber, mający za zadanie utrzymać na smyczy demona?
- Coś w tym stylu. Obiecaj mi, Ironsides.
- Dobrze, Darrylu McCarthy. Słowo honoru.

- To mi wystarczy. - Darryl klepnął go lekko w ramię i wstał. Potem zobaczył, że wzrok więźnia ponownie wędruje ku zdjęciu.

- Ej, mówię, że to naprawdę okropne zdjęcie.

Więzień wydawał się kompletnie nie słuchać. Darryl znowu się skrzywił, gdy zauważył, jak tamten patrzy na zdjęcie. Jak większość mężczyzn w jego wieku, nie chciał myśleć, że kiedyś jego również dotknie ta przeżajająca choroba.

- To silna twarz - mruknął więzień. - Podobają mi się jej rysy. Darryl uciekł jak od samej zarazy.

* * *

Tego samego wieczora w Amsterdamie rozstrzygały się losy jeszcze jednego dziecka. A jeśli nie rozstrzygały, to przynajmniej były omawiane.

Wszyscy członkowie poselstwa znajdowali się w głównym pomieszczeniu, gdzie przebywali od momentu, gdy nadeszły wieści z Wismaru. Tak przynajmniej było po zachodzie słońca, gdyż w dzień Gretchen zmieniła swój smutek w siłę woli, przyspieszając tworzenie z ogromnym zapalem nowego amsterdamskiego komitetu korespondencyjnego.

W mieście widać już było podwójną władzę. Teoretycznie w czasie nieobecności księcia orańskiego, który zbierał swe wojsko w Overijssel, w Amsterdamie rządy sprawowała rada miejska, zwana przez Holendrów vroedschap. W praktyce jednak rzeczywista władza zaczynała przechodzić w ręce Gretchen i jej szybko powiększającej się grupy holenderskich towarzyszy. Żołnierze straży obywatelskiej, a nawet wielu jej oficerów zaczynało - po cichu, a później otwarcie - konsultować się z przywódcami wybranymi przez nowy komitet korespondencyjny. Niejeden żołnierz sam dołączał do komitetu.

Proces ten oczywiście nie przebiegał gładko - na ulicach i spotkaniach komitetu zdarzały się pyskówki. Jednak do tej pory tylko jedna z takich konfrontacji skończyła się otwartym aktem przemocy.

A nawet w tym wypadku nie było tej przemocy aż tak wiele - w jakimś zaułku poszły w ruch pięści, ale zaraz wszystko zostało przerwane nadejściem Gretchen. Wieści o Wismarze już się rozeszły po Amsterdamie, imię Hansa Richtera również. Wszyscy wiedzieli, że Gretchen jest jego starszą siostrą oraz tą okrutniejszą z rodzeństwa.

Nie groziła słowami ani nie wyciągnęła pistoletu. Po prostu przyglądała się tym, którzy zorganizowali napaść na garstkę mówców ulicznych komitetów.

- Precz stąd! - rozkazała i posłuchali.

Niemowlę, które Rebeka uratowała z masakry, znajdowało się w centrum uwagi osób zgromadzonych w pokoju. Od nadejścia wieści z Wismaru żał po utracie braci i przyjaciół łagodnił widok uśmiechającego się dziecka.

Był to radosny i ciekawski chłopiec, sądząc po sposobie, w jaki jego czyste oczy wydawały się wszystkiemu przyglądać.

Ktoś zapukał do drzwi i Heinrich poszedł otworzyć.

- To do ciebie, Rebeko. Jakiś rabin mówi, że chce z tobą porozmawiać. Na osobności. Rebeka wstała z sofy, podała dziecko Gretchen i ruszyła do drzwi.

Na zewnątrz stał zakłopotany człowiek, którego od razu rozpoznała. Już nie pamiętała imienia starca, ale miała pewność, że to ten sam rabin, który dwa i pół roku wcześniej sprawił, że gmina żydowska z Amsterdamu wydalila Baltazara ze swego grona za herezję. Ekskomunikowała i rzucała na niego klątwę, którą Żydzi zwą cherem.

Już wtedy go nie znosiła, a teraz, sądząc po cierpkim wyrazie jego twarzy, nic się nie miało zmienić.

- Tak? - spytała chłodno. - Odkryliście tożsamość dziecka?

- Odkryliśmy ją prawie natychmiast - odparł. - Problem polegał na podjęciu decyzji, co zrobić.

- Na miłość boską, cóż tu decydować? Jeśli ma rodzinę, oddamy go. Jeśli nie - sami się nim zajmujemy.

Rabin rzucił jej gniewne spojrzenie.

- Nie mów nic o Bogu, heretyczko. Nie masz do tego prawa. Ani... -Surowe spojrzenie starca powędrowało ponad jej ramieniem do wnętrza domu. - Ani ten chłopiec. Tak postanowiliśmy. Nawet jego krewni zgodzili się z tym. Cięży na nim cherem. Lepiej sama go zabierz.

- Co? - Rebeka szukała w jego słowach logiki. Chorej logiki. - Przecież on nie ma nawet roku! To niemożliwe!

- Urodził się mniej niż rok temu. Ale jakie to ma znaczenie? Herezja i tak jest jego przeznaczeniem. Lepiej będzie dla nas, jeśli teraz się tym zajmujemy.

Rebeka była na skraju wybuchu. Zaciśnęła zęby, a po chwili prawie wyszczała:

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię, arogancki starcze. Nawet ktoś taki jak ty nie może utrzymywać, że przepowiada przyszłość. I z ogromną przyjemnością informuję cię, że za kilka stuleci nie będzie o tobie pamiętał nikt poza - jeśli będziesz miał szczęście - kilkoma uczonymi. W tych czasach jest tylko jeden Żyd z Amsterdamu, który zostanie zapamiętany przez świat, i jest to...

Nagle przerwała.

- Mój Boże. Ależ...

Odwróciła gwałtownie głowę i spojrzała na niemowlę usadowione na kolanach Gretchen.

- Ależ on się urodził... - Omal się nie zakrztusiła. - O Boże - wyszeptwała. - Jak on ma na imię?

Rabin powiedział jej. Potem dodał:

- Listopad 1632, tak. My również mamy egzemplarze tych książek, heretyczko. Tych, które były dla nas interesujące. Więc go teraz zabierz. Skazujemy go na wygnanie.

Rebeka z roztargnieniem zauważyła, że starzec wyszedł. Z roztargnieniem zamknęła drzwi. Jej spojrzenie utkwione było w dziecku.

* * *

Nikt nigdy nie słyszał, żeby Rebeka wydawała okrzyki wesołości. Prawdę mówiąc, był to dosyć osobliwy dźwięk - skrzyżowanie niczym nieskażonej radości i okrzyku wojownika, który dokonał czegoś wielkiego albo właśnie ściągał komuś skalp.

Kiedy wszyscy przestali się krzywić, Rebeka przebiegła przez pokój i chwyciła dziecko. Potem podnosząc je do góry, wykrzyknęła:

-Wiecie, kim on jest?! To człowiek zaliczany do dziesiątki największych filozofów na świecie! Baruch Spinoza!

Przytuliła do piersi dziecko, które było raczej oszołomione, jeśli sędzić po wyrazie jego twarzy, i trąkotała dalej:

- Lepiej znany jako Benedictus Spinoza po tym, jak go wyrzucili i zamieszkał z Menonitami, którzy go przygarnęli... Był również biegłym optykiem - chociaż prawdopodobnie to go zabiło, pył zniszczył mu płuca... Teraz to się nie stanie - bądźcie tego pewni, mój mąż to związkowiec... Ach, muszę powiedzieć Michaelowi! Sami go adoptujemy!

Wepchnęła dziecko z powrotem w ramiona Gretchen i popędziła w kierunku schodów prowadzących na górę, do sali radiowej.

- Kto ma dyżur? Jakob?

- Tak, jest na górze, Becky. Jest...

Nie było sensu dalej mówić, więc Jimmy zamilkł. Rebeka już dotarła do pierwszego półpiętra i mimo że zazwyczaj stawiała bardzo lekkie kroki, teraz wydawała odgłosy jak stado bawołów. Słyszeli, jak krzyczy do operatora w pokoju nad nimi:

- Szybciej! Szybciej! Dopóki się da.

* * *

Każdy z obecnych w pokoju przyglądał się dziecku, a ono odwzajemniało się tym samym. Chłopiec wydawał się tym wszystkim lekko zdziwiony.

Sami dorośli również wyglądali na bardziej niż zdziwionych. Wraz z upływem czasu, gdy docierała do nich waga całego tego wydarzenia, byli coraz bardziej osłupiali.

- Nie możemy na to pozwolić, kolego - mruknął Jimmy. - Znaczący jest ten zbrodnia przeciwko naturze albo coś w tym stylu.

- Dobrze to ująłeś - rzekł stanowczo Jeff i wziął dziecko z ramion żony. Potem trzymając chłopca wysoko, spojrzał na niego z surowym postanowieniem.

- Nie martw się, mały. Obronimy cię. Możesz o nas myśleć jak o wujkach albo jakoś tak.

- Najpierw zdobędziemy dla niego małą czapkę Caterpillar - zarządził Jimmy. - Potem najszybciej jak się da nauczymy go grać w D&D.

Jeff przytaknął.

- Powiem ci coś, Jimmy. Kiedyś próbowałem przeczytać jego Etykę. Przebrnąłem przez pierwszy rozdział. Ten dzieciak będzie świetnym Miśtrzem Podziemi.

- Głupole - warknęła Gretchen. - Możecie chociaż raz myśleć bardziej przyszłościowo? Jeśli ten chłopiec potrafi pisać o metafizyce, to na pewno potrafi również pisać wielkie traktaty polityczne.

- Może nauczyć go jeździć konno? - wtrącił się zawsze praktyczny Heinrich.

- Nieee, pieprzyć to - zripostował Jeff. - Ciągłe mam terenowy motocykl. Trzeba dzieciaka szybko na niego wsadzić, zanim będzie na zawsze stracony. Mogę zorganizować zrzutkę i skombinować dla małego skórzaną kurtkę. A potem...

- Tak, tak! - wykrzyknął Jimmy. - Wspaniale! Mam nawet w domu zapasową!

- ...możemy na niej zrobić logo Harleya-Davidsona. Nalepić mu to na piersi. A na ramionach może...

Tutaj musieli skończyć. Rebeka wróciła do pokoju, poruszając się już w swój normalny - lekki i pełen wdzięku - sposób. Weszła akurat w odpowiednim momencie, żeby usłyszeć ostatnie słowa.

- Prostaki! - pisnęła. Wyrwała Barucha z rąk Jeffa i wycofała się do kąta, gdzie przyciskając dziecko do piersi, obrzuciła wszystkich gniewnym spojrzeniem matki zdecydowanej bronić swego dziecka przed wyposażonymi w rogi i kopyta sługusami diabła. - Nie macie szacunku!

* * *

Następnego dnia rozstrzygnął się los kolejnego dziecka, a losy wszystkich dzieci na świecie zostały wlane do nowej formy.

Kiedy chwilę po wybieciu południa pułkownik Ekstrom przyjechał do Bastionu Teuffelsorth w Lubece, zastał już tam swego króla, który opierając się o mur, spoglądał na Trave zmierzającą do Bałtyku. Pułkownik nie był tym zaskoczony - podczas kampanii Gustaw Adolf często sypiał tylko po kilka godzin. W takich okolicznościach król wydawał się mieć praktycznie nieskończone zapasy energii.

Sam Ekstrom nie wyspał się poprzedniej nocy i teraz odczuwał tego skutki. Jako jedyny doradca sztabowy Gustawa w Lubece brał udział w niekończących się negocjacjach, które zatrzymały jego samego i jego monarchę przy radiostacji w Lubece do wczesnych godzin porannych.

Negocjacje się zakończyły - przynajmniej pierwsza runda. Warunki ugody ustalono na tyle szczegółowo, żeby przetrwać obecną wojnę. A może i dłużej, może nawet dużo dłużej...

Gustaw Adolf miał podjąć w tej sprawie decyzję. Tak lub nie. Pod koniec negocjacji król stwierdził, że nastąpi to dopiero po tym, jak się trochę prześpi.

Człowiek po drugiej stronie nie wyrażał sprzeciwu. To również nie zdziwiło Ekstroma. Nigdy osobiście nie poznał Michaela Stearnsa, ale nieprzerwane godziny negocjacji pozwalają wyczuć rozmówcę. Stearns nie tylko miał umiejętności wprawnego negocjatora, ale poznał również fundamentalny sekret rokowań: pewność siebie.

Nie przechwałki, nie groźby. Przede wszystkim wiara w swe umiejętności. Poza tym pewność człowieka, który wie, że jego żądania są słuszne i że dostanie to, czego pragnie. Prędzej czy później, więc czemu nie wcześniej, żeby zaoszczędzić wszystkim czasu, żalu i kłopotu?

Oczywiście król Szwecji cechował się taką samą wiarą w swe umiejętności. Jeszcze dwanaście godzin wcześniej Ekstrom przysięgłby, że król żywi taką samą pewność co do słuszności swej sprawy.

Dziś jednak nie był tego pewien. Obserwował przez chwilę monarchę, podczas gdy ten wpatrywał się w horyzont. Być może próbował znaleźć natchnienie w tym wspaniałym widoku.

Gustaw Adolf musiał usłyszeć kroki, gdyż przemówił, nie odrywając wzroku od horyzontu.

- Tak, miałem rację. Najlepiej podjąć decyzję po odrobinie snu. Najważniejsze, by podjąć ją w świetle słońca. Richelieu się myli.

Ekstrom nie był pewien, co król przez to rozumie, nie zadawał jednak pytań. Miał pewność, że Gustaw Adolf wszystko wyjaśni.

- Tak, Ognisty Krąg był ostrzeżeniem od Boga, ale nie dawał konkretnej odpowiedzi na pytanie o jego cel. To ostrzeżenie - skierowane do książąt świata - dotyczyło środków, które On będzie tolerował. Teraz jestem tego pewny, jest to dla mnie tak jasne jak ten horyzont.

Właściwie horyzont był odrobinę przymglony, tak jak zazwyczaj nad Bałtykiem o tej porze roku. Jednak Ekstrom rozumiał, że król nie odnosi się do jasności widzenia, ale do głębi postrzegania.

Skinął głową.

- Więc Wasza Wysokość się zgodzi.

- Tak, zgodzę się.

Wzrok Ekstroma przesunął się po linii horyzontu na wschód, w kierunku jego ojczystej ziemi.

- Hm. Oczywiście ciągle będziemy mieć Szwecję. Gustaw uderzył dłonią w mur.

- Więcej, Nils! I to wkrótce! - Wskazał ręką Danię. - Będę miał własną unię kalmarską, Bóg mi świadkiem. I tym razem na szwedzkich warunkach, a nie duńskich. A żeby mieć pewność, że ten zapijaczony sukin-syn Chrystian zrozumie, co się zbliża - i to szybko! - postanowiłem mianować nowego para Szwecji. Zanim uczyniłem z Julie Mackay baronową, było ich tylko dwunastu. Czas dodać kolejnego.

Odwrócił głowę i uśmiechnął się radośnie do pułkownika.

- Osobiście uważam, że to ładnie brzmi: Sharon, baronowa Bomholmu. Ekstrom odpowiedział królowi uśmiechem. Duża wyspa Bornholm była być może najbardziej strategicznym miejscem na południowym Bałtyku. Należała również do terytorium Danii.

- Wyślij wiadomość, pułkownik. Wystarczy jedno słowo: „tak”. Mimo wszystko Ekstrom się wahał.

- Czy... - Właściwie był jedynym królewskim doradcą w Lubece. Co prawda król rozmawiał z Torstenssonem przez radiostację i ten doradzał mu przyjąć warunki. Jednak nie było Oxenstierny i nie dało się z nim ni-jak skontaktować, więc Ekstrom czuł się w obowiązku spróbować zająć miejsce wielkiego kanclerza.

- Może Krystyna...

- Wystarczy, pułkownik. Powiedziałem, że odpowiedź brzmi „tak” i nie będę się spierał o szczegóły. A poza tym...

Spojrzenie króla powróciło na linię horyzontu.

- Niech świat myśli o niej jako o „zakładnicze”. Ja tak nie myślę. I je-stem pewien, że to samo dotyczy Michaela Stearnsa. Przyglądałem się temu człowiekowi bardzo uważnie przez te dwa lata. Nie wierzę - już nie, jeśli kiedykolwiek w ogóle tak było - w predestynację. To również jest przesłanie Ognistego Kręgu. Natomiast w charakter wierzę. Powoli i z widoczną satysfakcją Gustaw Adolf obserwował rozciągają-jącą się przed nim panoramę.

- To człowiek, który oszczędził w Wartburgu tylu Hiszpanów, ilu tylko się dało. Nie pozwolił swemu ludowi wypuścić w świat trucizny. Zdołał pogodzić się ze swym największym wrogiem, kiedy przyszedł na to czas i kiedy było to możliwe. Taki człowiek nie zamorduje dziecka dla poli-tycznego zwycięstwa. Może i jest bezwzględny, ale nie jest głupi. Rozu-mie, że pewne cele wykluczają pewne środki, gdyż w przeciwnym razie zwycięstwo stałoby się bezwartościowym słowem.

Ekstrom złapał się na tym, że się zgadza.

- To nie wszystko - ciągnął król. - „Zakładnik” jest również zobowią-zaniem. A czy Michael Stearns nie podjął takiego samego zobowiązania wobec świata? Czy nie powierzył swej żony jednemu narodowi, a swej siostry drugiemu? Bez ryzyka nie ma triumfu, pułkowniku Ekstrom. Ni-gdy nie ufaj człowiekowi, który myśli inaczej, gdyż skończysz jak Jan Jerzy.

Usta króla rozwarły się w uśmiechu, który ledwo dało się odróżnić od grymasu.

- Elektor saski niedługo odkryje, że już nie jest największym z nie-mieckich książąt. A wkrótce potem - śmierdząca, zdrażliwa świnka - zo-rientuje się, że w ogóle nie jest już księciem. Pamiętam wszystkie rany, które mi zadano. Szczególnie w plecy.

Klepnął serdecznie Ekstroma w ramię.

- Idź już! Poza tym pomyśl, jak zachwycona będzie Krystyna, kiedy usłyszy nowiny. Ona nie będzie miała nic przeciwko temu, mogę cię za-pewnić.

Nad tym Ekstrom nie musiał się zastanawiać.

- Będzie skakać z radości - powiedział, uśmiechając się do samego siebie. - O ile pozwolą jej trzymać dobrego konia.

Mary Simpson odczuła ogromną ulgę, widząc, że Mike Stearns ubrał się odpowiednio na przyjęcie w pałacu cesarskim. Co prawda obiecał jej, że tak zrobi, ale...

Jakaś część Mary Simpson ciągle nie była pewna tej osobliwej istoty znanej jako Mike Stearns. Kto wie, kiedy nagle przyjdzie mu do głowy chęć zaprezentowania się przed niemieckimi księżętami jako nieokrzesany barbarzyńca? Na szczęście tak się nie stało. Rzeczywiście był odpowiednio ubrany.

Zaanonsował go majordomus o tubalnym głosie i gdy Mike stał w wejściu, Mary przez chwilę mu się przyglądała. Wszyscy wokół zamarli i zamilkli, gdy usłyszeli, kto przybył. W ogromnej sali było może ze trzysta osób, z czego większość stanowili księżęta, którzy przyłączyli się do Lojalistów Korony Wilhelma Hesji-Kas-sel, oraz ich żony i najbliżsi krewni. Około dwudziestu osób należało do nowej dla Magdeburga klasy prominentnych właścicieli manufaktur i kupców, którzy wśród tego imponującego zbiorowiska arystokracji czuli się nieswojo i niepewnie. Była tam również garść najważniejszych oficerów armii Gustawa na czele z generałem Torstenssonem oraz trzech najważniejszych oficerów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych - jej mąż, generał Jackson i pułkownik Wood. Widać było również Sharon Nichols i jej ojca, który przybył do Magdeburga tego samego ranka, oraz Weronikę Dreeson, wyglądającą jeszcze bardziej nieswojo i niepewnie niż właściciele manufaktur i kupcy.

Na szczęście kiedy tylko starsza pani przybyła na miejsce, zajęła się nią przeorysza opactwa Kwedlinburg, która miała również na oku niesforną królową Krystynę. Widok przeoryszy i jej dwóch towarzyszek - młodej królowy i starej kobiety z plebsu - sprawił, że Mary pokręciła głową, skonsternowana. Ze wszystkich dziwnych rzeczy w siedemnastowiecznych Niemczech najdziwniejsze dla niej było chyba poznanie luteriańskiej przeoryszy kierującej instytutem arystokratycznych sawantek⁴, które nie składały żadnych ślubów religijnych. Przeoryszy posiadającej również własne niezależne terytorium, dzięki któremu otrzymała miejsce w Reichstagu, a potem w Izbie Księżąt - dodatkowo była kuzynką braci sasko-weimarskich oraz przerażająco inteligentną i dobrze wykształconą kobietą. Przebywanie przez jakiś czas w jej towarzystwie rozwiało wszelkie podejrzenia Mary, że mieszkańcy jej nowego świata mogliby być pośledniejsi od tych ze starego. Wiele by dała za możliwość współpracy z przeoryszą w Pittsburghu.

W sali było jeszcze kilka znakomitości: Ed Piazza, który przybył do miasta z Jamesem Nicholsem, Wilhelm Sasko-Weimarski (a raczej Wilhelm Wettin, gdyż teraz tak o sobie mówił) oraz Otto Gericke. Gericke był naukowcem, inżynierem, a tuż po trzydziestce Amerykanie mianowali go zarządcą rządowym. W związku z tym, że był jedną z niewielu osób, które przeżyły rzeź Magdeburga w 1631 roku, przydzielono mu zadanie odbudowy miasta. Przez ostatnich kilka dni Mary Simpson bardzo go polubiła - Gericke miał również zacięcie artystyczne i zawsze chętnie słuchał jej pomysłów i propozycji.

„Dobrze wygląda - pomyślała Mary, przyglądając się Mike'owi. Po chwili zmusiła się do pełnej szczerości: - Nie, wygląda wspaniale”.

Tak też było. Krawcowi, do którego go wysłała, udało się połączyć „plebejską prostotę”, na którą Stearns nalegał, z tkaniną i krojem godnymi księcia. Mary była pewna, że już niedługo taki styl stanie się popularny w całych Niemczech. Przecież styl czy moda zawsze były dyktowane przez najpotężniejszych i najznakomitszych ludzi na świecie.

A dzisiaj takim człowiekiem był Mike Stearns - i tak też wyglądał. Mimo że jego ubiór nie był aż tak wspaniały, jak stroje obecnych w sali księżąt, ten brak nadrabiała jego imponująca

postać. Był wysoki, bardzo dobrze zbudowany, a jego twarz, nawet jeśli nie była przystojna, promieniała męskim wigorem, który sprawiał, że słowo „przystojny” stawało się kwestią dyskusyjną.

Książę, który wygląda na księcia, z założenia prawie zawsze jest przystojny. Przecież Gustaw II Adolf nie wydawał się szczególnie atrakcyjnym mężczyzną. Miał wielki nos, nadwagę i tak dalej - ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Gdy król Szwecji przebywał w jakimś pomieszczeniu i był odpowiednio ubrany, natychmiast znajdował się w centrum uwagi.

Takie przynajmniej zasady panowały w świecie Mary Simpson i podejrzewała, że powinny dać się zastosować w każdym innym świecie. Nic zastanawiała się jednak nad tym dłużej. Dziś wieczór powróciła do swego świata i przynajmniej przez jakiś czas będzie mogła w nim pozostać. Ta myśl dawała jej takie rozluźnienie, że bez żadnego wysiłku była w stanie przybrać odpowiednią do okoliczności pozę.

Z taką też pozą przepływała wśród tłumu - była oficjalną gospodynią uroczystości i już gdzieś zaczynało się mówić „Dama z Magdeburga”. Ręce miała wyciągnięte do przodu, na twarzy obowiązkowy oficjalny uśmiech, a jej oczy - choć było to zupełnie niewidoczne - dokończyły ostatniej inspekcji oddziałów.

„Landgrafova jest na miejscu. Wspaniale. Oczywiście tak miało być. Dzięki Bogu Amalie jest naprawdę mądrą kobietą. Przeorysza ochrania Weronikę i Krystynę. Dobrze, bardzo dobrze. Książę Hesji-Kassel sprawnie, że tłum ludzi otacza Nicholsów, pere et filie.

Wyśmienicie”. - Panie premierze Stearns! Tak się cieszę, że dał pan radę przybyć! Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad tytułem, którego użyła. Oczywiście majordomus zaanonsował Mike'a, wymieniając obydwie funkcje, które sprawował: „prezydent Stanów Zjednoczonych, premier Stanów Zjednoczonych Europy”. Jednak jak na takiego rodzaju spotkanie towarzyskie było to zbyt skomplikowane. Przecież i tak Mike miał wkrótce zrezygnować ze stanowiska prezydenta, a do czasu nowych wyborów miał go zastąpić Ed Piazza, który awansował ze stanowiska sekretarza stanu na wiceprezydenta po rezygnacji Franka Jacksona.

Mary wiedziała, że wszystko się zmienia. Do ustalenia najdrobniejszych szczegółów potrzeba będzie długich miesięcy, a może nawet roku lub więcej. Pewnie trzeba będzie zmienić nawet nazwy terytorialne. Stare Stany Zjednoczone ze stolicą w Grantville będą musiały odróżniać się od noszącej prawie takie samo miano nowej federacji, której będą jedynie częścią składową. Co prawda będą największą i najpotężniejszą prowincją, ale mimo to niczym więcej. Nie będą już cieszyć się częściową suwerennością, choć i tak zatrzymają więcej władzy niż osobne stany w innym świecie. Formalnie jednak mają się różnić od innych prowincji - może tylko poza magdeburską, którą planowano niedługo stworzyć - tylko tym, że jeśli będzie do nich przybywał dziedziczny król Stanów Zjednoczonych, będzie to robił jako kapitan generał.

Mike obstawał przy tym formalnym drobiazgu, ale Mary doskonale rozumiała, że robił to tylko po to, żeby ułatwić własnemu rządowi ratyfikowanie porozumienia, które zawarł z Gustawem Adolfem.

- Moi ludzie zaprą się, jeśli nie będą mogli powiedzieć, że ich kraj jest republiką nadaną przez Boga - powiedział jej, uśmiechając się krzywo.

Co prawda miała pewne wątpliwości (uważała, że to wszystko są jakieś dziwactwa mieszkańców gór, niemal przesady), nie komentowała tego jednak, tylko przytakiwała - tyle się nauczyła. Nigdy już nie popełni tego błędu i nie będzie przewidywać posunięć człowieka, który według niej był najsprytniejszym europejskim politykiem. Zdecydowała tak między innymi dlatego, że mimo wątpliwości dotyczących szczegółów porozumienia całym sercem je popierała.

Po raz kolejny Mike Stearns wyszedł z potknięcia pewnym siebie, nieśpiesznym krokiem. Upadanie na potłuczone szkło nie było dla niego. Do przodu, nie w dół. Zawsze do przodu. Na dobrą sprawę Mike i Gustaw stworzyli ze znacznej części Konfederacji Księstw Europejskich nowe i bardzo prawdziwe państwo. Miał to być obustronny kompromis: monarchia, której król rządził, a nie tylko panował, ale robił to jedynie w granicach praw konstytucyjnych. Mary całkiem dobrze orientowała się w historii i od razu przyszło jej do głowy porównanie z sytuacją w Anglii w siedemnastym wieku. Dynastia Wazów miała rządzić, ale tylko wedle granic ustalonych - i ciągle zmienianych - przez tutejszych odpowiedników Pitta i Burke'a.

Kompromis - tak, ale taki, w którym nie zabraknie miejsca na rozwój. Wilhelm V już zdecydował się przyłączyć do tego nowego tworu. Miał pozostać landgrafem Hesji-Kassel, ale od razu powołał konstytuante - której skład miał zostać ustalony w ciągu najbliższych kilku miesięcy - by stworzyła konstytucję dla nowej prowincji Hesji-Kassel. Oczywiście ta nowa prowincja Stanów Zjednoczonych Europy miała mieć inną strukturę niż prowincja Grant-ville - każda z nich miała być wariacją tej samej melodii. Miały jednak podlegać tym samym prawom państwowym, które ostro ograniczały władzę książąt, a co sprytniejszych z nich zachęcały do przedsiębiorczości.

A Wilhelm V niewątpliwie do nich się zaliczał. Przynajmniej dopóty, dopóki słuchał swej żony Amalie i przyjaciela Wilhelma Wetlina. Bez wątplenia był wystarczająco sprytny, żeby sprawić, aby przyszła konstytuanta składała się w głównej mierze z produktywnych klas Hesji-Kassel.

Jerzy, książę Kalenburga, zacierał ręce z radości - w jego prowincji znajdowało się pole naftowe w Wietze, a Abrabanelowie już się zgodzili otworzyć lokalną filię swego banku w jej stolicy, Hanowerze.

Obaj obecni tu hrabiowie Wetterau również zacierali ręce z radości i gorączkowo coś negocjowali - ich ziemie na pewno będą musiały zostać połączone, co część z nich postawi w lepszej sytuacji niż innych. Jednakże - o, szczęśliwa gwiazdo! - w związku z tym, że ziemie Wetterau nie znajdowały się bezpośrednio w konfederacji, to właśnie ich lokalna władza miała rosnąć najszybciej. Oczywiście zakładając, że kontruderzenie, które Gustaw szykował dla Ligi Ostendzkiej, będzie tak druzgocące, jak tego oczekiwali.

Oczywiście było też kilku przegranych, i to wielkich - przede wszystkim księżęta Pomorza i Meklemburgii. Ale skoro chronili się pod skrzydłami Saksonii i za przykładem Jana Jerzego praktycznie odłączyli się od Konfederacji, nikt z osób znajdujących się w wielkiej sali balowej w Magdeburgu nie martwił się o nich. Ich ziemie i tak już od trzech lat znajdowały się pod bezpośrednimi rządami Szwecji, więc oficjalne przemianowanie ich na prowincje będzie miało niewielkie znaczenie. Szczególnie dla prostych mieszkańców Pomorza i Meklemburgii, gdyż ich książęta byli wyjątkowo podłym nasieniem nawet według niemieckich standardów.

Dziś kulili się w Dreźnie i Berlinie. Jutro albo pojutrze...

Nikt ze zgromadzonych nie miał żadnych wątpliwości, że kiedy Gustaw Adolf wyrówna rachunki z Ligą Ostendzką, dziób szwedzkiego orła skieruje się na Saksonię oraz Brandenburgię i tamtejszą zgraję książęcych lizusów.

Krół ostro traktował zdrajców, nie zważając na formalności. Praktycznie rzecz biorąc, Konfederacja Księstw Europejskich już nie istniała, więc lojalne królowi regiony przyłączają się do nowych Stanów Zjednoczonych, natomiast te nielojalne będą szukać sojuszu z Austriakami i Polakami. „Zimna” wojna wkrótce stanie się gorąca.

* * *

-1 co pani o tym myśli? - spytał cicho Mike, kiedy Mary chwyciła go pod rękę i zaczęła wprowadzać po sali.

-Wszystko się idealnie układa. Wilhelm i księżę Hesji-Kassel zgodzili się spotkać później z panem na osobności w jednym z mniejszych pokoi. Myślę, że za jakąś godzinę. Najpierw muszę pana wszystkim przedstawić.

- To pani jest ekspertem. Rozumiem, że nie chce pani, żebym wpadł między ludzi i zaczął radośnie ścisnąć im dłonie.

Uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

- Oszalał pan? - mruknęła. - To nie jest wiec wyborczy. Cała sztuka polega na tym, żeby być przystępnym, ale to im pozwolić do siebie podejść. Wszystko odbywa się bardzo kulturalnie, ale nie oszukujmy się -to pan ustala tutaj reguły gry. panie premierze. Tylko w sposób, który pozwala im zachować twarz.

Zaczynała dostrzegać poruszenie wśród tłumu utrzymującego do tej pory pełen szacunek dystans.

- Młodzi będą pierwsi. Musi ich pan obsypać pochwałami. Oczywiście nie nietaktownego. Godność, godność. Tego właśnie potrzebują te książątka, które w przypływie entuzjazmu rzuciły się w ogień i dobrowolnie abdykowały.

Mike lekko chrząknął.

- Jeśli dobrze pamiętam, to samo stało się na początku Rewolucji Francuskiej. Dobrze. Mam ogromną nadzieję, że uda nam się uniknąć gilotyn i dymu kartaczy. Porozmawiam z Frankiem i Lennartem o możliwości przyznania im nominacji oficerskich w nowej armii. Oczywiście początkowo musiałyby to być stanowiska w sztabie - regimenty ochotników na samym początku będą raczej niezdyscyplinowane.

Mary już zaczynała odpowiadać, kiedy zauważyła zbliżającą się bardzo szybko pierwszą grupkę chętnych do poznania Mike'a. Nie zdążyła jeszcze ich przedstawić, a Mike już zaczął kierować w stronę siedmiu byłych arystokratów powściągliwe, lecz szczerze wyrazy uznania, których według niej nie powstydziliby się sam Waszyngton.

„Dignitas. Na tym polega cała sztuka”.

Udało mu się bez problemu przetrwać tę pierwszą decydującą godzinę, dostosowując dignitas odpowiednio do każdej poznawanej osoby. Dla dośrodkowych miał powagę, zapal dla żarliwych, pewność siebie dla niespokojnych, rozluźnienie i dowcip dla tych, którzy chcieli stawić mu czoła. A co najważniejsze, udało mu się zachować pogodny wyraz twarzy w trakcie rozmów z trąkoczącymi, bezmyślnymi idiotami, którzy stanowili około połowy zgromadzonego tłumu.

Mary szacowała, że to mniej więcej tyle samo, co w Pittsburghu. Minus dziesięć procent dla przeoryszy.

„Boże. wspaniale!”.

* * *

- To jak, Michaelu, na kiedy przewidujesz pierwsze ogólnonarodowe wybory?

- Trudno powiedzieć, Wilhelmie. Mogę zgadywać, że gdzieś za rok, ale... Wszystko będzie zależało od kilku czynników. Na pewno od tego, jak potoczy się wojna. Przez większą część zimy będzie raczej spokojnie

- głównie oblężenia. Ale jak przyjdzie wiosna... Mike poruszył się na krześle.

- A z drugiej strony będą też proste problemy techniczne. Na przykład ustanowienie względnie uczciwych i skutecznie działających komisji wyborczych. Albo ustalenie procedur liczenia głosów. Samo wydrukowanie kart do głosowania będzie nie lada wyzwaniem. - Uśmiechnął się wesoło.

- Przewiduję szybki rozwój przemysłu drukarskiego w Magdeburgu.

Wetlin zaśmiał się.

- Czy ty zawsze spiskujesz na kilku poziomach? Jeszcze tego potrzeba w Magdeburgu! Więcej drukarzy! Przecież to najbardziej radykalni rzemieślnicy w Europie.

Mike lekko wzruszył ramionami.

- Nie narzekaj, Wilhelmie. Zgadza się, prowincja magdeburgska będzie moim bastionem. Pod pewnymi względami nawet większym niż... hm...

Wilhelm uśmiechnął się szeroko.

- Postanowiłeś już, jak ją nazwiesz? Nie da się niestety zachować pro-wincji „Stany Zjednoczone” w „Stanach Zjednoczonych Europy”. To by było zbyt mylące.

- Osobiście - rzekł Mike, drapiąc się w zamyśleniu po karku - skłaniam się ku propozycji Gustawa. „Wirginia Wschodnia” brzmi całkiem dobrze i na pewno byłby to niezbyt subtelny prztyczek w nos Richelieu. Przecież nasz dobry kardynał zmienił nazwę Wirginii na Luizjanę. Jestem strasznie ciekaw, jak nazwie Luizjanę, gdy i na niej położą łąpska.

- Kardynalia - parsknął Ludwig Guenther, hrabia Schwarzburg-Rudolstadt. - Zobaczycie.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Mike. - Richelieu jest na to zbyt głodki w obejściu, a poza tym zawsze uważa, żeby nie było zbyt oczywiste, że to on rządzi Francją, bo Ludwik XIII mógłby się poczuć zawstydzony. Ale wracając do pytania Wilhelma, nie wiem, czy mieszkający tam ludzie przyjmą nazwę „Wirginia Wschodnia”. Wielu rodowitym Amerykanom pewnie będzie ona przeszkadzała, a dla reszty nie będzie miała żadnego znaczenia. Jednak...

Wzruszył ramionami.

- Nic będę się w to mieszał. Od jutra, kiedy wejdzie w życie moja dy-misja, Ed Piazza będzie nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych, a ja nie będę wsadzał nosa w nie swoje sprawy. Poradzi sobie z tym, tak jak i z innymi rzeczami, którymi będzie musiał się zająć. Prawda jest taka, że on będzie dużo lepszym administratorem, niż ja kiedykolwiek byłem. W niewielkim pomieszczeniu zapanowała niezręczna cisza - Mike był pewien, że właśnie coś takiego pisarze nazywali „brzemienią ciszą”. Znowu się zaśmiał.

- No dalej, Wilhelmie, wyrzuć to z siebie. Starasz się wykombinować, kiedy będziesz mógł założyć partię i być w opozycji do mnie. Chcesz rady! Najszybciej jak się da. Wilhelm uniósł głowę.

- Aż tak jesteś pewny, że gdy minie stan nadzwyczajny, wygrasz w po-nownych wyborach?

- Nie żartuj! Ty wygrasz miażdżącą przewagą głosów. Oczywiście nie w... eee... Wirginii Wschodniej i Magdeburgu. Sądzę, że po policzeniu wszystkich głosów w całych Stanach Zjednoczonych dobrym dla mnie wynikiem byłaby jedna trzecia głosów. Przynajmniej tyle postawię sobie za cel. Znowu cisza.

- Nie wygląda pan na kogoś, kto się tym bardzo przejmuje - zauważył Ludwig.

-Apo co? Ludzie muszą się teraz uspokoić, zacząć się relaksować. Przyzwyczaj się do nowej politycznej sytuacji. Zacząć w nią wrastać w takim tempie, które by im odpowiadało. Ja sprawiam, że zbyt wiele osób czuje się nieswojo. Pan to wie, ja to wiem - wszyscy tutaj zdają sobie z tego sprawę. Do pewnego momentu to nie jest problemem, ale chyba ten moment właśnie nastął.

Ciągle siedząc na krześle, wychylił się do przodu i pokazał ośmiu byłym książętom taką dignitas, że Jerzy Waszyngton zakrzyknąłby z apro-batą. Mężczyźni słuchali z napiętą uwagą jak uczniowie chłonący słowa sławnego mędrca. Ośmiu byłych książąt, teraz przywódców, którzy nie wiedzą, kim są. Mike zdawał sobie sprawę, że później będzie się z tego wszystkiego śmiał.

Później, nie teraz.

- Panowie, lekcja numer jeden. Jednym z ważniejszych powodów, dla których demokracja jest bardziej stabilna od innych ustrojów, jest jej me-CHANIZM SAMOKOREKCYJNY. Na tym poziomie nawet nie chodzi o dobro czy zło. Można naciągać ludzi tylko do pewnego

momentu, później się łamią. Albo wy się łamiecie, bez względu na waszą władzę. Tak więc... zobaczymy po wyborach, ale wydaje mi się, że Niemcy mieszkający w naszych granicach będą woleli Wilhelma. Przynajmniej na jakiś czas. Muszą trochę odpocząć.

Zaśmiał się smutno.

- Prawdę mówiąc, mnie też by się przydał odpoczynek. Kiedy Becky wróci z Amsterdamu, naprawdę chciałbym spędzić trochę czasu z rodziną. Szczególnie teraz, kiedy wiem, że mam też syna. I to sławnego minifilozofa. Przynajmniej trzy godziny dziennie zajmie mi pilnowanie, żeby dzieciak nie wyrósł na wariata. Becky może sobie marudzić ile chce, ale pierwszą rzeczą, jakiej go nauczę, będzie łowienie ryb.

- A co pan zrobi, jak pan przegra? - spytał jeden z hrabiów Wetterau, którego imienia Mike nie był pewien.

Właściwie to nie miało znaczenia, bo odpowiedź była skierowana do nich wszystkich.

- Będę miał na was oko i tyle. Nie obawiajcie się, panowie. Prawdopodobnie i wy będziecie mogli odrobinę odsapnąć. Ale znowu nie tak długo.

Oparł się wygodnie na krzesło, zdecydowanym gestem ułożył ręce na oparciach i pozwolił uśmiechowi zniknąć. Resztę załatwi dignitas.

- Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o zasadę równowagi władzy. Zazwyczaj dotyczy ona struktury politycznej, ale sięga też dalej. Nic zapominajcie ani na chwilę, że mimo iż ja prawdopodobnie nie zostanę wybrany na premiera, to jednak Ed Piazza wygra w Wirginii Wschodniej miażdżącą przewagą głosów. I pewnie to samo stanie się w Magdeburgu, niezależnie od tego, kto zdecyduje się tam startować. Nie zapominajcie ani na chwilę, że mimo iż władzę nad siłami zbrojnymi będzie teraz mieć bezpośrednio Gustaw Adolf, a dowodzić nimi będzie Torstensson, to jednak ani marynarka wojenna, ani siły powietrzne nie będą mogły nic zrobić bez współpracy moich ludzi, a poza tym nowa armia Torstenssona będzie się składać głównie z regimentów ochotników. A większość z nich, jak pewnie wiecie, będzie rekrutowana i organizowana przez komitety korespondencyjne. Pozwolił sobie na chwilę ciszy, żeby dotarło do nich znaczenie jego słów. Ośmiu byłych książąt sprawiało wrażenie bardzo zamyślonych.

- Poza tym - ciągnął dalej - istnieje również ekonomiczna i finansowa strona równowagi władzy. Nie...

Przerwał, usłyszawszy z tyłu jakiś hałas. Kiedy się odwrócił, zobaczył stojącego w drzwiach admirała Simpsona. Miał trupio bladą twarz, a w dłoni ścisnął kartkę papieru, w której Mike rozpoznał formularz używany przez radiooperatorów.

- Wybaczcie, panowie, ale muszę się czymś zająć. - Wstał tak nieśpiesznie, jak tylko mógł i ruszył w kierunku drzwi. Następnie chwycił Simpsona za ramię i wyprowadził go na korytarz.

- Co się stało, John?

Admirał pokręcił głową - w taki sposób, jakby się obawiał, że może przestać nad sobą panować.

- Nic - wyszeptał. - Dostaliśmy właśnie wiadomość z Lubeki. Kurier natychmiast ją tu przyniósł. Gustaw Adolf również ją dostał trochę wcześniej. Od króla Chrystiana.

Duńczycy... Wygląda na to... Jezu...

Z oczu Simpsona zaczęły płynąć łzy. Mike był zszokowany - nie podejrzewał, że ten człowiek potrafi płakać.

- On żyje, Mike - szepnął Simpson. - On... - Teraz już zupełnie się załamał. Mike podtrzymał go za ramiona.

Nagle usłyszał narastający hałas z drugiego krańca korytarza prowadzącego do głównej sali balowej. Dotarło do niego, że to odgłosy tłumu, który zaczyna świętować. Ogarnęła go szalona nadzieja.

- Eddie - wydusił z siebie Simpson. - To znaczy kapitan Cantrell. - Odzyskał nieco kontrolę nad sobą, uniósł głowę i spojrzał na przeciwległą ścianę. - Bóg jeden wie, jak mu się udało uciec z łodzi, zanim uderzyła w statek. Duńczycy pływali po całej okolicy, wylawiając swoich, i jego też wylowili. Był ciężko ranny - mówią, że stracił nogę albo jej część - ale wyszedł z tego. Odzyskał przytomność.

Przełknął ślinę, ewidentnie usiłując zapanować nad swoimi emocjami.

- Wychłodzenie prawdopodobnie było dla niego błogosławieństwem, bo ograniczyło do minimum utratę krwi. Ale jak, u diabła, udało mu się przetrwać uderzenie o wodę, i to przy takiej prędkości?

Mimo ogarniającej go radości Mike zmusił się do jasnego i chłodnego myślenia.

- John. Posłuchaj, nie chcę nawet o tym myśleć, ale może to...

- Duński podstęp? Wybieg? - Nagle Simpson zaczął się śmiać. Ten śmiech, tak jak wcześniej szloch, był na wpół histeryczny. Zupełnie jakby człowiek, który się śmiał, nie miał w tym zbyt wielkiego doświadczenia. Albo przynajmniej jakby nie robił tego od lat.

- Nie ma takiej możliwości! - wykrzyknął, podając Mike'owi kawałek papieru. - Nie, to na pewno Eddie. To nie może być fortel Duńczyków. Już zdążył wkurzyć króla Danii - najwyraźniej zrobił mu wykład na temat konwencji genewskiej i odmówił podania jakichkolwiek informacji poza nazwiskiem, stopniem wojskowym i numerem identyfikacyjnym.

Mike zaczął się śmiać, i prawdę mówiąc, również na wpół histerycznie.

- To nie wszystko! - krzyczał Simpson. - Chrystian jest bardzo niezadowolony. Mówi (niegłupi człowiek, już zauważył, że lepiej nie palić za sobą więcej mostów), że może się stosować do konwencji genewskiej, czymkolwiek ona jest, ale...

Teraz admirał niemal podrygiwał z radości.

- ...ale musimy przestać oszukiwać.

Ciągle trzęsąc się ze śmiechu, Simpson wyciągnął w kierunku Mike'a kartkę papieru.

- Sam zobacz.

Mike przebiegł wzrokiem całą wiadomość.

...CANTRELL UTRZYMUJE, ŻE ZAPOMNIAŁ NUMERU IDENTYFIKACYJNEGO. JEST TO PODEJRZANE. ZATRZYMAMY GO JAKO JEŃCA, STOSUJĄC SIĘ DO ZASAD, KTÓRE ON CYTUJE. NALEGAMY JEDNAK NA DOSTARCZENIE NAM JEGO NUMERU IDENTYFIKACYJNEGO. TO KONIECZNE.

CHRYSTIAN IV, KRÓL DANII

- Oczywiście - zaśmiał się Simpson - on kryje starego sukinsyna. Ma-rynarka wojenna trzyma się razem. On nie zapomniał swojego numeru identyfikacyjnego - ja nigdy nie pomyślałem, żeby im takie przydzielić.

Wzruszył ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Zawaliłem sprawę. Chyba będziemy musieli wykombinować system przydzielania takich numerów. Oczywiście nie możemy używać numerów ubezpieczenia; tak jak to robiła stara marynarka wojenna.

- Pieprzyć system - stwierdził Mike. - Później przyjdzie na to czas. Teraz musimy improwizować, przecież Eddiemu ten numer jest potrzebny natychmiast.

Wiwatujący tłum zaczął się wylewać z sali balowej na korytarz i Mike wiedział, że niedługo zostanie otoczony życzliwymi osobami, które nie dadzą mu oddychać.

„Myśl szybko!”.

Myślał, ale...

„Czy Eddie jest wystarczająco bystry? Głupie pytanie”. „Czy będzie działał nierozważnie? To może być problem. Eee tam, niech to szlag, co się może stać? Przecież stracił nogę”. „Hm. Eddie? Głupie pytanie”. „Pieprz to, Mike. Pamiętaj o przyjaciółach”. „Po prostu to zrób”. Wyciągnął z kieszeni eleganckiego ubrania notes i długopis, które zawsze miał przy sobie - był to kolejny powód, dla którego należał na przebranie ubrania - i szybko nabazgrał wiadomość. Ledwo zdążył ją podać Simpsonowi, a tłum już go wciągnął z powrotem do sali balowej. Pieprzyć dignitas. Bawmy się!

* * *

Simpson odczekał jeszcze jakieś pół minuty, żeby być pewnym, że w pełni nad sobą panuje, zanim przeczytał wiadomość. A kiedy już to zrobił, znowu wybuchnął śmiechem.

KAPITANOWI CANTRELOWI PRYZNANO KRZYŻ MARYNARKI WOJENNEJ.
GRATULACJE. KAPITANOWI CANTRELOWI UDZIELONO NAGANY ZA
ZAPOMNIENIE NUMERU IDENTYFIKACYJNEGO. NALEGAMY NA POKAZANIE
MU TEJ REPRYMENDY RAZEM Z NUMEREM IDENTYFIKACYJNYM. W TEN
SPOSÓB SYTUACJA JUŻ SIĘ NIE POWTÓRZY.
NUMER IDENTYFIKACYJNY KAPITANA CANTRELLA: 007.

ffia&fafote^xxvx flinta

Jedną z ogólnie przyjętych prawd dotyczących literatury pięknej jest to, że książki pisane przez więcej niż jednego autora są zazwyczaj słabsze niż te pisane przez pojedynczych autorów. W związku z tym, że lubię pokazywać język ogólnie przyjętym prawdom, chciałbym myśleć, że pokazałem go również w przypadku tej książki, tak samo jak i paru innych, które stworzyłem we współpracy z kilkoma różnymi pisarzami.

Nigdy nie widziałem w takim myśleniu niczego logicznego, poza jedną kwestią techniczną: przed nastaniem ery komputerów i Internetu współpraca między pisarzami była po prostu bardzo trudna. Pamiętam, jak korzystałem jeszcze z maszyny do pisania i poświęcałem tyle samo czasu na dokładne przepisywanie rękopisów, żeby wprowadzić do tekstu kilka poprawek, co na pisanie samego tekstu. Nie będę już nawet wspominał o przyjemnościach korzystania z kalki i płynu korekcyjnego. Praca w takich warunkach jest wystarczająco męcząca dla pisarza pracującego samodzielnie, a współpracownik dwukrotnie zwiększa problemy.

Sądzę, że to dlatego pisarze od tylu dziesięcioleci, a nawet wieków, pracują sami. A jeśli zdarzały się wyjątki od tej reguły, zazwyczaj działo się to w niezwykłych okolicznościach, z czego najpowszechniejsze były dwie:

Pierwsza, gdy jeden z pisarzy zajmuje się praktycznie w stu procentach pisaniem, a wkład drugiego ogranicza się do wymyślenia fabuły, a często tylko do użyczenia nazwiska w celach marketingowych.

Druga zazwyczaj dotyczy par albo ludzi, którzy i tak bardzo blisko ze sobą współpracują. Użyję powszechnie znanego przykładu z historii science fiction - praktycznie wszystko, co zostało napisane przez Henry'ego Kuttnera i C. L. Moore po tym, jak wzięli ślub, było pisane wspólnie, nawet jeśli nie było to wprost powiedziane.

Jednak nowoczesna technika wyeliminowała wszelkie problemy związane ze wspólnym pisaniem. W przypadku tej książki, kiedy już ustaliliśmy z Dave'em szczegóły fabuły, mogliśmy pisać swoje rozdziały, wymieniać je po kilka razy e-mailem, nawzajem je redagować i dodawać nowy materiał czy przerabiać to, co było konieczne, z prawie taką samą łatwością, z jaką jeden autor mógłby się zajmować przerabianiem i redagowaniem swej własnej książki.

Oczywiście ciągle pozostają aspekt twórczy i aspekt osobisty, które mogą być wyzwaniem - czasem nie do pokonania - albo szansą. Niektórzy ludzie sądzą, że współpraca autorów drastycznie zmniejsza jakość książki - w takim bezmyślnym założeniu irytuje mnie to, że nie zauważają jednej oczywistej rzeczy. Wspólne pisanie to umiejętność jak każda inna.

Niektórzy pisarze są zupełnie niekompetentni albo po prostu nie chcą tego robić; innym wychodzi to słabo; jeszcze innym fachowo, ale banalnie: a niektórzy - tak się składa, że ja do takich należę - robią to bardzo dobrze.

Sądzę, że na tę umiejętność składają się trzy elementy. Pierwszym i najważniejszym są chęci. Żaden pisarz, dla którego współpraca z innym jest utrapieniem albo przykrym obowiązkiem wykonywanym tylko i wyłącznie ze względów praktycznych i komercyjnych, nie będzie tego robił dobrze. Może i poradzi sobie z wyzwaniem, ale nie skorzysta z szansy i potencjalnych ułatwień.

Po drugie, trzeba bardzo ostrożnie wybierać partnera lub partnerów ze względów osobistych i zawodowych. Jeśli chodzi o względy osobiste, trzeba dobrze się rozumieć z osobą, z którą się współpracuje. Natomiast zawodowo musi to być ktoś, czyje mocne i słabe strony dobrze pasują do naszych. Nie ma sensu, żeby Jacek pisał książkę z Plackiem. Potrzeba autora, który by coś dodał i którego słabsze strony (a wszyscy takie mają) mogłyby zostać zrównoważone przez nasze mocne strony - i vice versa.

Wreszcie trzeba wybrać odpowiednią historię, gdyż nie wszystkie nadają się do tego celu. Podam przykład z własnego doświadczenia: od ponad trzydziestu lat, czyli od kiedy obydwaj mieliśmy niewiele ponad dwudziestkę, pracuję z moim przyjacielem Richardem Roachem nad serią Joe

Word, i wiem, że współpraca z kimkolwiek innym byłaby niezwykle trudna. (Pierwsze dwa tomy serii, *The Philosophical Strangler* oraz *Forward the Mage*, są właśnie w druku). Ta opowieść jest po prostu zbyt zdominowana moimi poglądami na niektóre sprawy oraz moim nieraz ekscentrycznym poczuciem humoru. Wątpię, czy wielu innych pisarzy byłoby w stanie odnaleźć się w jej surrealistycznej logice.

Z kolei inne opowieści idealnie nadają się do współpracy, a świat 1632 roku należy właśnie do tej grupy. Czasem mówiąc o literaturze, używam terminów muzycznych; w tym przypadku byłoby to coś pomiędzy muzyką kameralną i jam session. I to nie tylko dlatego, że opowiadana historia na to pozwala. Uważam, że ona często niemal wymaga współpracy dwóch pisarzy.

Przyczyna takiego stanu rzeczy leży w naturze opowieści będących alternatywnymi wersjami historii. Oczywiście mogą one zostać stworzone przez jednego autora i być bardzo dobre.

Jednak wpisane w to jest pewne „ryzyko zawodowe”. Pisarz tworzący samodzielnie niemal zawsze zaczyna kształtować swą opowieść w taki sposób, żeby pasowała do historycznego schematu, który sobie stworzył. A wraz z upływem czasu i przybywaniem kolejnych tomów

zaczyna to źle wpływać na samą fabułę. Trudno to uchwycić. Zdarza się jednak tak, że złożoność, dziwność i - jeśli mogę tak powiedzieć - chaos prawdziwej historii gdzieś zanika. W chwili, gdy zdecydowałem, że 1632, którą tworzyłem jako samodzielną powieść, zapoczątkuje serię książek, postanowiłem uniknąć tej pułapki. Wtedy też zacząłem szukać współpracowników, których znalazłem w dwóch miejscach.

Oczywiście pierwszą osobą, do której się zwróciłem, był Dave Weber. Już wtedy się przyjaźniliśmy, a poza tym doświadczyliśmy wspólnego pisania przy opowiadaniach tworzonych do jednej z antologii z jego serii Honor Harrington (chodzi o opowiadanie Góral, które pojawia się w trzecim zbiorze opowiadań Nie tylko honor). Kiedy Dave powiedział, że z chęcią stworzyłby książkę w świecie 1632 roku, postanowiliśmy razem napisać kolejną część powieści. Właśnie przeczytaliście to, co z tego wynikło. Mam nadzieję, że wam się podobało. Dave'owi i mnie podobało się tak bardzo, że podpisaliśmy umowę na stworzenie kolejnych czterech powieści z serii (pierwsza z nich, 1634: The Baltic War, będzie bezpośrednią kontynuacją 1633).

Szukałem również wśród licznej obecnie grupy fanów, którzy codziennie udzielają się na forum dyskusyjnym dotyczącym świata roku 1632.

Odbywa się ono w Baen's Bar, który stanowi część strony internetowej Baen Books (adnotacja poniżej), w specjalnie stworzonej konferencji „1632 Tech Manual”. Forum działa już od ponad dwóch lat, a w tym czasie pojawiły się na nim dziesiątki tysięcy postów.

W zeszłym roku, po konsultacji z moim wydawcą Jimem Baenem, zdecydowałem się na stworzenie antologii opowiadań osadzonych w świecie 1632 roku. Chciałem to zrobić w sposób, który w miarę możliwości pokazywałby wrzący kocioł pomysłów, jakim stał się „Tech Manual”. Przyjąłem więc raczej niespotykaną strategię. Tak jak to się zazwyczaj robi w takich sytuacjach, poprosiłem pewną liczbę uznanych pisarzy, żeby napisali opowiadania do antologii. Miałem pewność, że właśnie ci pisarze stworzą dzieła, które będą pasowały do miejsca akcji, a zarazem wniosą również coś swojego. Wśród tych autorów znaleźli się: David Weber, Mercedes Lackey, Dave Freer, Kathy Wentworth oraz S. L. Diehl.

Oczywiście wszyscy spełnili moje oczekiwania i oczywiście znajdzie się tam również opowiadanie mojego autorstwa.

Jednak połowę miejsca w antologii przeznaczyłem dla nowych pisarzy, więc użytkownicy forum mogli przysyłać swoje propozycje. Część tych osób poza tym, że jest fanami, aspiruje również do bycia pisarzami, wierzyłem więc, że stworzą świetne opowiadania. Tak też się stało. Otrzymałem około sześćdziesięciu opowiadań, z czego wybrałem dziewięć, które umieściłem w antologii.

Duże znaczenie miało dla mnie to, żeby wszystkie utwory zebrane w antologii (stworzone przez uznanych, jak i początkujących pisarzy) rozwijały moje podejście do tego świata, który stworzyłem w 1632. Już teraz istnieje ponad dziesięć wariacji na jego temat. Te aspekty, nad którymi za długo się nie zastanawiałem, zostały rozwinięte w osobnych utworach.

Pojawiły się postacie, które zaczęły wpływać na tworzoną przeze mnie historię i sposób, w jaki o niej myślałem.

Mógłbym tu podać mnóstwo przykładów - Tom Stone został stworzony przez Misty Lackey w jej opowiadaniu To Dye For, a ja razem z Dave'em włączyłem je do / 633. Dodatkowo Stone zostanie główną postacią w kontynuacji, którą będę pisał wspólnie z Andrew Dennisem. Kontynuacja ta rozwinięte opowiadanie stworzone przez Andrew do antologii Between the Armies. Znajdą się w niej postacie, które albo odegrały nieznaczną rolę w 1632 (tak jak ojciec Larry Mazzare), albo zostały stworzone przez Andrew, i będą pokazywały wpływ, jaki Ognisty Krąg wywarł na Włochy i kościół katolicki.

Podsumowując, mimo że to ja stworzyłem miejsce akcji i że ciągle będę pisał osadzone w nim powieści, to jednak uważam się za część zespołu. Czasem jestem solistą, czasem twórcą

muzyki kameralnej (szczególnie jeśli mowa o duetach z Dave'em Weberem), a czasem spełniam rolę dyrygenta.

Jeden z członków orkiestry zasługuje na szczególną wzmiankę w tym posłowniu; mam tu na myśli Mike'a Spehara. Pracował on nad opowiadaniem do antologii, gdy wydarzenia z 11 września sprawiły, że musiał przerwać tę pracę ze względu na swoje obowiązki zawodowe. Mike jest na tyle dobrym pisarzem, że ciężko mi było zgodzić się, żeby jego praca po prostu się zmarnowała. Tak więc za zgodą Dave'a włączyliśmy to, co zdażył stworzyć, do początkowych rozdziałów 1633. Postać Jesse'ego Wooda została stworzona właśnie przez niego, to samo dotyczy bazy technicznej dla samolotów (powinienem chyba dodać, że przyłożył się do tego również Evan Mayerle).

Później w trakcie tworzenia powieści zaczęły się pojawiać pewne wątpliwości. Od czasu do czasu prosił mi więc Mike'a, żeby napisał którąś ze scen do kolejnych rozdziałów, gdyż to właśnie on, emerytowany pilot sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, był w stanie opisać sceny powietrzne tak szczegółowo i obrazowo, jak my nie dalibyśmy rady. Mike przystał na to, więc wiele pierwszych wersji takich właśnie scen zostało stworzonych przez niego. Prawdę mówiąc, napisał wszystkie sceny rozgrywające się w powietrzu, poza bitwą o Wismar, ale i przy tej ostatniej wspomagał nas jako redaktor techniczny.

Mike będzie nas również wspierał w pracy nad 1634: The Baltic War i będę bardzo zdziwiony, jeśli sam nie zacznie pisać opowiadań lub współpracować na pełnych prawach przy tworzeniu dalszych części tej serii. Sądzę, że to samo czeka inne osoby, które już od ponad dwóch lat biorą udział w tworzeniu świata 1632 roku. Z pewnością będę ich do tego zachęcał i zrobię wszystko, żeby wspomóc ich w tej pracy.

Lubię współpracować z innymi pisarzami i nie obchodzi mnie ogólnie przyjęte prawdy. To chyba nie przypadek, że opisując pisarstwo, często używam terminów związanych z muzyką. Jestem pewny, że gdybym był skrzypkiem albo pianistą, a nie pisarzem, grałbym muzykę kameralną, przy najmniej tak często, jak występowałbym solo lub z orkiestrą.

* * *

Teraz nadszedł czas na publiczne podziękowanie osobom, które wspomogły mnie i Dave'a swą wiedzą techniczną i historyczną. Nie dam rady

wymienić wszystkich, ale zacznę od podziękowania setkom osób, które przez ostatnie dwa lata wypowiedziały się na forum dyskusyjnym „1632 Tech Manual”. Poza tym dziękuję: Virginii DeMarce, historykowi i specjalistce od siedemnastowiecznych Niemiec. (Nawiasem mówiąc, Virginia jest jednym z pisarzy, których dzieła pojawiają się w antologii. Jest również jedną z osób, z którymi mam nadzieję już niedługo zacząć współpracę nad powieścią, w której rozwinie ty zostanie zapoczątkowany przez nią wątek Weroniki. Tak samo jak Mike Stearns, mam słabość do twardych staruszek).

Andrew Dennisowi za rady w kwestiach dotyczących morza i historii.

Detlefowi Zanderowi, który niesamowicie nam pomógł, wyszukując dla nas informacje u siebie, w Niemczech. Jego wkład w zdobycie schematów, map i zdjęć portów na północy Niemiec, kanałów, rzek i pola naftowego w Wietze był nieoceniony.

Bobowi Gottliebowi, Rickowi Boatrightowi, Drew Clarkowi oraz Marcusowi Mulkinsowi, którzy użyczyli nam swej wiedzy dotyczącej chemii, produkcji stali, medycyny i antybiotyków. Rick był również naszym ekspertem od spraw związanych z radiostacją i pomógł nam nie pogubić się w związanych z tym częściach powieści.

Ralphowi Tacomie oraz Conradowi Chu za ogólne rady dotyczące inżynierii

Wreszcie chciałbym podziękować Judith Lasker. Nie za konkretną pomoc przy 1633, ale za pomoc i zachętę, których udziela mi nieprzerwanie już od dłuższego czasu.

UWAGA: Wszystkich, którym podobała się ta książka i którzy byliby zainteresowani uczestnictwem w forum dyskusyjnym, serdecznie zapraszam. Można to zrobić w następujący sposób:

- 1) Wejdź na stronę internetową <http://www.baen.com>
- 2) Z menu u góry wybierz „Baen's Bar”.
- 3) Wypełnij kilka pól, żeby się zarejestrować. Później możesz się po prostu zalogować.
- 4) Kiedy już będziesz w „Baen's Bar”, wybierz konferencję zatytułowaną „1632 Tech Manual”.
- 5) Następnie czytaj lub pisz - wedle uznania. A co najważniejsze: baw się dobrze.